

Nagroda Księgarzy Norweskich przyznawana za najlepszą książkę dekady

Herbjørg Wassmo

Syn szczęścia

Oszłamiająca kontynuacja
kultowej *Księgi Diny*

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

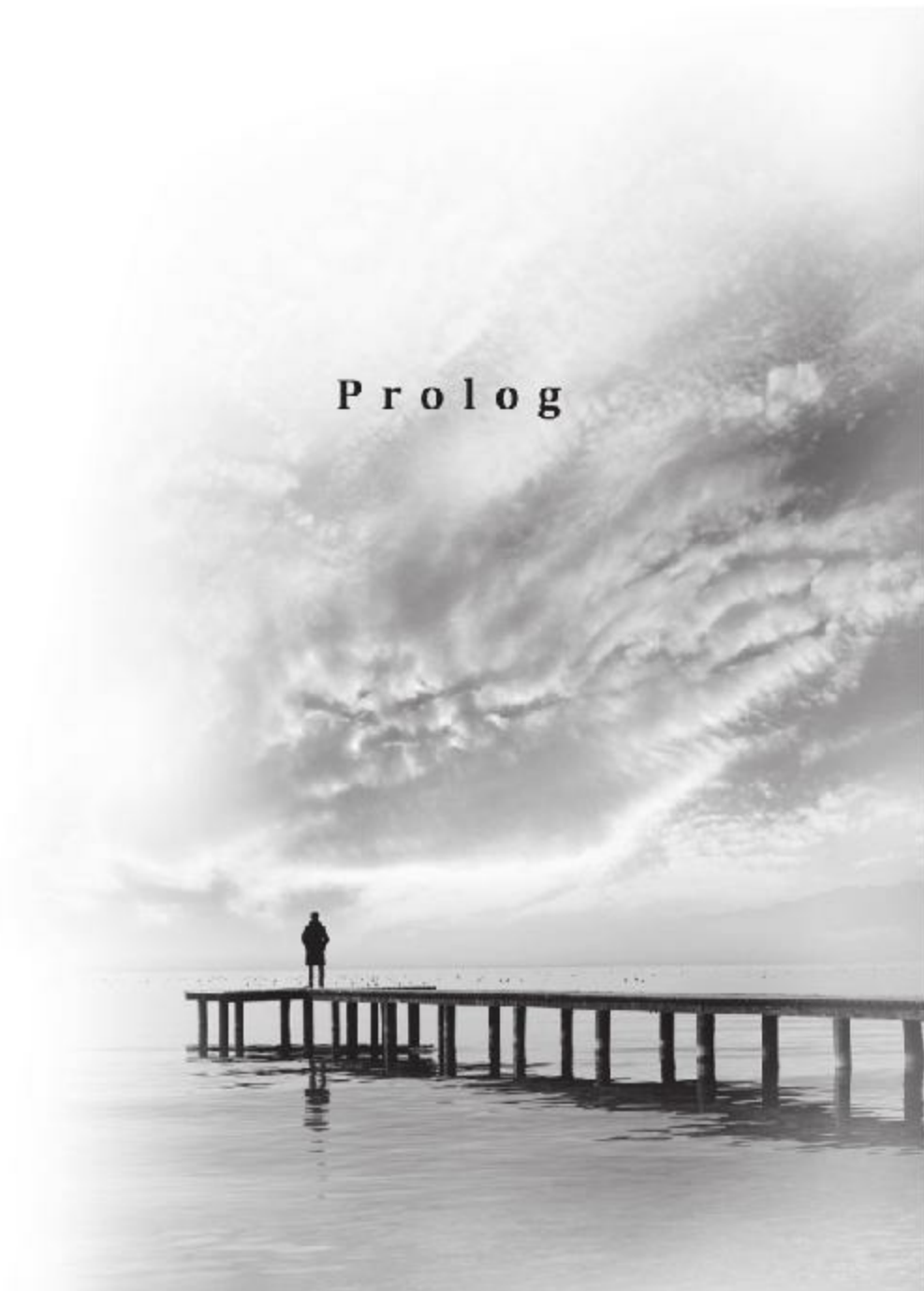


Dia Ib

*Gdyby szczęście naprawdę było stanem pożądanym dla człowieka,
to idiota bez wątpienia uosabiałby najlepszego przedstawiciela
gatunku*

Friedrich Nietzsche

Prolog



I RZEKŁ MU JEZUS: LISY MAJĄ JAMY I PTAKI
NIEBIESKIE GNIAZDA, ALE SYN CZŁOWIECZY NIE
MA, GDZIE BY GŁOWĘ SKŁONIŁ.

(Ewangelia św. Mateusza 8,20)^[1]

Oto ja: Mrówka na wrzosowisku. Albo ptak, który zagubił się gdzieś w przestworzach. Daleko od ziemi. A jednak ona jest tak blisko, że czuję jej oddech na czole.

Stoi, mocno wsparta na szeroko rozstawionych nogach, wyciągając przed siebie ręce. Jednocześnie coś wymyka jej się z dłoni. W chwili, gdy metal trafia w kamień, słycać dziką pieśń. Ten dźwięk zostanie ze mną na zawsze.

Później, kiedy wszystko staje się jedną wielką ciszą, wrzosy zaczynają się poruszać. Suchy, chrzęszczący odgłos. A jej buty znikają spod brzegu spódnicy, robiąc powolny krok w tył. Aż do momentu, gdy znajdą się poza kręgiem zdarzeń.

W kręgu jestem ja. I mężczyzna. Leży we wrzosach z głową pokrytą czerwoną pianą, rozlewającą się coraz szerzej dookoła. To właśnie czerwień tworzy ten krąg wokół nas. Otacza jego i mnie. A ona w tym czasie wycofuje się ze wszystkiego. Nie jesteśmy w stanie jej dosięgnąć. Wyzwoliła się nawet ze skrajów własnej spódnicy.

Nie jestem ani mrówką, ani ptakiem. Jestem nikim. A jednak coś zmusza mnie, żeby wstać. Powoduje, że wyrastam z powietrza, żeby mnie dostrzegła.

Wtedy czuję jej dłonie. Dotykają mojej głowy. Ramion. Szyi.

Twary. Wpaja mi palce w oczy. Powoli. Aż wszystko staje się czarne. To nie boli. A jednak się boję.

Bierze mnie w ramiona, jakbym był czymś kruchym i lekkim. Przytula mnie. Dosyć mocno.

Czuję zapach jej skóry. Wysuszonej na słońcu trawy i świeżego potu. Przypraw i soli. Ale nie mogę jej zobaczyć, bo wetknęła mi palce w oczy, raz na zawsze.

*

Jeszcze zanim odrzuci mnie od siebie, czuję, jak napinają się jej mięśnie. W brzuchu. Piersiach, ramionach. Czuję uderzenia jej pulsu. Jest silny jak prąd płynący pod lodem. Niebezpiecznie bliski.

Chłód napiera na skórę. Potem sam, na ślepo, wyruszam w przestrzeń świata. Z obawy przed upadkiem podciągam pod siebie stopy. Gotów na wszystko. Dłońmi zasłaniam twarz. Chcę ochronić się przed katastrofą.

Potem dociera do mnie, że unoszę się w powietrzu. Płynę. A jej głos przemyka koło mego ucha jak nocny wiatr w otwartym oknie: „Błogosławię cię, Beniaminie, jesteś synem szczęścia!”.

*

Powiadają, że kłamstwo bywa również zatajoną prawdą. Jeśli tak, to kłamstw jest więcej, niż można sobie wyobrazić.

Nie powiedziałem nikomu, kto upuścił sztucer we wrzosach. Być może już wtedy poszukiwałem własnej prawdy.

Może najprawdziwsze kłamstwa to te przemilczane prawdy?

Bóg jest milczący. Czy Bóg jest kłamcą, bo milczy?

Napisano, że jesteśmy stworzeni na obraz i podobieństwo Boże.

A jeśli tak: Czy najbardziej przypominamy go w sztuce przemilczania?

...TYLKO TEN, CO SIĘ TRWOŻYŁ, ODNAJDUJE
SPOKÓJ, TYLKO TEN, CO ZSTĘPUJE DO ŚWIATA
PODZIEMNEGO, UWALNIA OBLUBIENICĘ, TYLKO
TEMU, CO WYCIĄGA MIECZ, ODDANY JEST IZAAK

(Johannes de Silentio)^[2]

To również ja: Próbujący się pozbierać w obcym mieście. Ale nic się nie zgadzało. Moje życie przemykało obok. Z góry na dół. Wstecz. Ludzie idący w moją stronę na ulicach i chodnikach mieli maski. Wszyscy. Każdy z nich był Diną, używającą wszelkich dostępnych przebrań, aby ukryć się przede mną.

Niebo było ogromną, wypolerowaną monetą, na którą pluły długie szeregi ceglanych kominów.

Ktoś napisał do mnie, prosząc, abym odebrał wiolonczelę Diny. Przyjaciele lub bliscy robili takie rzeczy, kiedy ktoś umarł. Nie pozwoliłem tej myśli zagnieździć się we mnie, bo chciałem odnaleźć jej żywe ślady.

Przez krótką chwilę szła przede mną kobieca postać z wielkim kapeluszem, kołysząc biodrami. Przypomniało mi się coś, co kiedyś powiedział Anders: Unikaj kobiet usiłujących ukryć twarz pod kapeluszem, które jednocześnie sprawiają wrażenie, jakby szły z obnażonymi biodrami. Nie są ani tak skromne, ani tak nagie, jak w twoich marzeniach.

Wiolonczela mogła przywodzić na myśl kobietę o nagich biodrach. Stała gdzieś tutaj, w obcym mieście, oparta o ścianę, z brzuchem pełnym łez.

Człowiek mógł powiedzieć sobie, że jeśli odnajdzie wiolonczelę, to znajdzie też płacz. Albo śmierć. Albo jedno i drugie.

Można było również dyskutować ze sobą, czy to czyn szaleńca, czy zrozumiała reakcja dziecka. W obu wypadkach równie groteskowa.

Nie umiałem grać i nie zamierzałem się nauczyć. Wiolonczela zapewne nie kosztowała aż tyle, żebym nie mógł ponieść tej straty. Ale postanowienie zapadło. Musiałem odszukać instrument i przewieźć go do Reinsnes.

Ludzie przechodzący pośpiesznie obok mnie, ich głosy, obcy język, zamieszanie – wszystko zmieniło się w inferno, otwierające każdy por w moim ciele. Byłem znów mały i Dina posadziła mnie na koniu, mówiąc, że przytrzyma wędzidło, dopóki nie przejdziemy przez podwórko, ale potem muszę sam złapać cugle.

*

Już na brudnej, zadymionej stacji kolejowej miałem uczucie zanurzania się w podziemny świat. Byłem Orfeuszem. Miałem zejść śladami kobiety do królestwa śmierci.

Podczas jazdy ze stacji kilkakrotnie sprawdziłem, czy list z adresem znajduje się w wewnętrznej kieszeni mojego płaszcza. Mimo że już dwa razy podałem adres fiakrowi, a on potakująco skinął głową.

Dom był ogromny i położony nieco dalej od ulicy, otoczony wysokim płotem. Wejście zagradzała kuta furtka z ostrymi szpikulcami na górze i na dole. Wyglądało na to, że dzikie wino i chwasty przejęły władzę nad rabatami kwiatowymi przy schodach. Dom raczej nie wydawał się zamieszkały.

Poprosiłem woźnicę, aby chwilę poczekał, a potem zrobiłem tych kilka kroków w stronę furtki i znalazłem zaśnieżony dzwonek. Gdzieś w środku zabrzęczało. Ale nic się nie wydarzyło. Spróbowałem otworzyć furtkę. Jednak ta wydała tylko piskliwe, groźne skrzypnięcie i pozostała zamknięta.

Potrząsnąłem furtką. Zawołałem. W dziecinnej wściekłości przez chwilę coś wykrzykiwałem. Samotność, rozczarowanie, zmęczenie. Wszystko płynęło ze mnie w tym twardym języku, którym niezbyt dobrze władałem. To Benjamin chciał wejść do Diny. Do mamy!

Gardziłem sobą. Ale nie mogłem się poddać. Nie teraz!

W końcu woźnica uznał chyba, że to już dla niego zbyt wiele. Chciał dostać swoje pieniądze i odjechać.

W sąsiednim domu otworzyło się okno, pojawiła się w nim kobieta i coś do mnie zawołała. Nie zrozumiałem jej. Ale słowo „wahnsinnig” uświadomiło mi, że mnie karci. Otwierały się kolejne okna wychodzące na ulicę. Kolejne głosy. Ktoś krzyknął słowo „policja”.

Wtedy się poddałem. I z uczuciem, że dom istniał tylko w mojej wyobraźni, wspiałem się do dorożki.

Znalazłem tanią kwaterę w okolicy i codziennie po kilka razy mogłem spacerować w pobliżu domu. Gorące słońce stanowiło udrękę. Podobnie jak moje ciemne ubrania. Oczywiście mogłem poszukać dla siebie czegoś lżejszego. Tyle grosza jeszcze miałem. Ale co miałbym z tym zrobić, kiedy to wszystko już się skończy? Poza tym człowiek, u którego wynająłem kwaterę, twierdził, że lada dzień nadejdzie chłód.

Pensjonat przesiąknięty był zapachem boczku i kiełbasy aż po samo wnętrze twardej jak kamień poduszki. Pluskwy biegające po ścianach przypominały żywe, niespokojne wzory na tapecie. Przesiadywałem w różnych miejscach i na rynku, wśród spadających liści. Ludzie spieszyli się do swoich zajęć i nie dostrzegali mnie. A jednak miałem makabryczne uczucie, że jestem obserwowany.

Można było pomyśleć sobie, że do pompowania krwi w żyły nie jest potrzebne żadne serce. To samotność stanowiła siłę podtrzymującą krążenie. Docierała do każdego zakamarka mojej istoty.

Śmierć!, szeptała.

Byłem Orfeuszem. Podjąłem się pewnego zadania. Dla kogo?

*

Język męczył mnie śmiertelnie. Na początku każdy przemawiał głosem Matki Karen. Znów tkwiłem w czasach dzieciństwa, a ona czytała mi głośno po niemiecku zajmujące historie, żeby nauczyć mnie języka. Sądziłem, że opanowałem go na tyle, żeby wyrażać się zrozumiale w prostych rozmowach. Ale po kilku godzinach w głowie miałem jeden wielki zamęt. Zaczynałem doznawać uczucia, że ludzie specjalnie wydają dźwięki, żeby mnie zwieść lub doprowadzić do nieporozumienia.

Wieczorami, kiedy kładłem się spać pod świetlikiem z widokiem na nieobecne Boga, głosy i słowa miały się w mojej głowie. Czy ludzie, z którymi próbowałem rozmawiać, zrozumieli, o co pytałem? Czy ja pojąłem dobrze ich odpowiedź?

Miałem przecież nadzieję, że ona żyje. I bałem się, że jest

inaczej.

Ale Orfeusz musiał zyskać pewność, którą będzie mógł zabrać w podróż do domu.

Człowiek mógł wyobrazić sobie, że siedziała na tej właśnie ławce lub przechodziła tą oto ulicą. Pewnego dnia uznałem, że ją widzę. I przez kilka dzielnic podążałem za obcą kobietą. Aż do chwili, gdy się odwróciła, posyłając w moją stronę rozwścieczony potok słów.

– Proszę się nie bać! To tylko Orfeusz – powiedziałem przyjaźnie.

Wtedy zaczęła biec. Torebka uderzała ją w udo. Opłakany to był widok. Miała o wiele za wysokie obcasy. Jej kroki dźwięczały na bruku drobnym stukaniem. Prawie nie niosły jej do przodu. Łatwo można było ją pochwycić. Złapać za rękę lub coś w tym rodzaju. Kusząca możliwość. Prawie prosiła się o to tym idiotycznym biegiem.

*

Minęły trzy dni, a ja nadal krążyłem ulicami. Brud i liście tworzyły sterty pod noskami moich butów, jakby stanowiły część mnie, której usiłowałem się pozbyć.

Wstałem wcześniej, postanawiając porozmawiać z ludźmi w sąsiednich domach. Ogoliłem się starannie i włożyłem czystą koszulę.

Chodziłem od drzwi do drzwi, naciskając dzwonek. Stałem, nad słuchując odległych, mechanicznych odgłosów szurających stóp. Wielkich nóg w butach o skórzanych podeszwach. Drobniejszych stóp w filcowych pantoflach. Wysokich obcasów, wydających

metaliczny, prawie przerażający dźwięk. I tak ciągle od nowa. Tkwiłem w rytuale pozbawionym większych zmian. Zupełnie jakby naigrawali się ze mnie, pragnąc mnie zmylić i sprawić, bym zapomniał, dlaczego tam jestem.

Nikt nie znał Diny Grønely. Niektórzy odpowiadali uprzejmie, ale z roztargnieniem, jakby w gruncie rzeczy mnie nie dostrzegali. Inni wydawali się zirytowani lub zalęknieni, jakby sądzili, że zadzwoniłem do drzwi tylko po to, aby mieć pretekst do napaści. Niektórzy byli chłodni, poprawni i lakoniczni. Jeszcze inni patrzyli na mnie jak na szaleńca. Jak na człowieka chodzącego od drzwi do drzwi i pytającego o kobietę, której wyglądu nie potrafi nawet opisać.

Po południu wróciłem pod podany mi wcześniej adres. Zadzwoniłem do drzwi, tak jak codziennie.

W tym momencie rytuał został przerwany. Zbliżały się kroki! Szurające, ale jednak szybkie. W drzwiach pojawił się starszy mężczyzna z długimi, pokrytymi siwizną wąsami i bystrymi oczami. Przez chwilę staliśmy, mierząc się wzrokiem. W końcu odezwał się niecierpliwie:

– Tak?

Przedstawiłem się, oczekując, że mnie rozpozna. Ale spojrzenie mężczyzny było puste.

– Dostałem list z informacją, że mogę tutaj odebrać wiolonczelę pani Grønely – wyjaśniłem.

W końcu zareagował serią przyjaznych grymasów.

– Ach, tak. Więc to pan? Cóż, ja nazywam się Karl Meyer. I rzeczywiście mam na przechowaniu wiolonczelę – odparł

mężczyzna.

Sytuacja zdawała się nierzeczywista. Poczulem rozgorączkowanie. Wszystkie pytania cisnęły mi się na usta jednocześnie. Stałem tam, jękając się.

Mężczyzna przyglądał mi się przez chwilę, a potem skinął głową. Chociaż nie wiedziałem, czy zrozumiał moją wypowiedź. Potem zaprosił mnie do dużego, ponurego holu. Meble były niczym budynki, kradnące powietrze i światło. Stojąc między witryną a krzesłami o wysokich oparciach, mężczyzna wydawał się mniejszy.

Okazało się, że to właśnie jest mistrz. Przyjął na przechowanie wiolonczelę należącą do Diny Meer. W chwili, kiedy wspomniał o Dinie Meer, zrozumiałem, że Dina używała fałszywego nazwiska.

Musiałem udawać, że jestem tego świadom. A zarazem sprawić, żeby opowiedział mi wszystko to, czego nie wiedziałem.

Drżący z niecierpliwości, podałem mu rękę, wyrażając wielką ulgę, że w końcu zastałem go w domu. Kiedy zostawiałem płaszcz na wieszaku przypominającym szubienicę, zamieniliśmy parę słów. Ubolewał nad tym, że niestety przez kilka dni był w podróży. Potem poprowadził mnie przez kolejne zagracone meblami pokoje. W końcu znaleźliśmy się w dużej sali. Na środku, na parkiecie z ciemnego drewna, stał ogromny fortepian. Na ścianach wisiały rozliczne instrumenty. Skrzypce, altówka, instrumenty dęte.

Wciągnąłem głęboko powietrze. Rozpoznałem stojącą w kącie wiolonczelę Diny. Oczy natychmiast napełniły mi się łzami.

Mężczyzna powiedział, że przyniesie jakiś poczęstunek. Niestety bardzo prosty, bo gospodyni ma dziś wychodne.

Podszedłem do instrumentu. Dotknąłem go. Gładkie drewno.

Chłodne i ciepłe zarazem. Rysa po jednej stronie. Rozpoznałem ją. Niczym przyjaciela. Biła od niej siła. Brakowało mi jej.

Gwałtowne fale wspomnień. I tajemnic. Przerazenie. Smutek. I radość. Dopiero słysząc, jak mężczyzna wchodzi ponownie do pokoju, uświadomiłem sobie, że stoję tam i płaczę.

Odwrócony do niego plecami starałem się pozbierać. Słyszałem, jak stawia karafkę i szklanki na małym stoliku pod jednym z wysokich okien. W przeciwieństwie do wszystkich pomieszczeń, przez które przeszliśmy, to tutaj nie służyło żadnemu innemu celowi niż muzyka. Żadnych ciężkich zasłon. Żadnych zbędnych mebli ani szaf. Żadnych dywanów.

Miało się uczucie, jakby człowiek już wcześniej tu był. Bo ona tutaj była.

– Miała talent – powiedział, wskazując dłonią stolik. – Wielki talent. Ale była nieco za stara na występy w salach koncertowych. Poza tym była kobietą – zakończył.

Zarejestrowałem, że użył słowa „była”. To mnie rozwścieczyło. Osobliwe. Bo przecież byłem przygotowany na to „była”, czyż nie?

Usiadłem.

– Czegoś jej brakowało. Miękkości w palcach – stwierdził. – Była zbyt dzika. Za twarda. Zbyt późno rozpoczęła właściwe kształcenie.

Umilkł na chwilę, sprawiając wrażenie, że myśli o niej.

Zapytałem, czy wie, gdzie teraz jest. Na chwilę pochylił się nad kieliszkiem wina, a potem podniósł na mnie wzrok.

– Wyjechała jakiś czas temu.

– Dokąd?

– Trudno powiedzieć. Ale wspominała o Paryżu.

Usiłowałem wyczytać z jego głosu, czy wie więcej, niż powiedział. Ale nie było to możliwe. Nie znałem go dostatecznie dobrze, żeby odgadnąć, czy kłamie.

– Trudne czasy – wymamrotał z pewnym zakłopotaniem. – Niełatwo przebywać w Paryżu w obecnej chwili... Nigdy nie pojąłem tego ludzkiego upodlenia, które wydaje się takie nieuniknione...

– Czego?

– Wojny.

Przerwał. Potem dodał – jak gdyby sam dla siebie:

– Ujmująca i piękna. Budząca zainteresowanie. Chyba wielu marzyło o jej towarzystwie. I nie wszyscy byli z najlepszych sfer.

Dlaczego wciąż używał czasu przeszłego?

– Czy ona nie żyje? – zapytałem.

– Skądże znowu, dlaczegóż miałyby nie żyć? – odparł zdziwiony.

– Oczywiście, czasy są ciężkie... ale nie istnieje żaden powód, z jakiego miałyby jej nie być wśród żywych. Była w pełni zdrowia, kiedy widziałem ją po raz ostatni, ale porzuciła już wtedy wiolonczelę.

– Dlaczego zrezygnowała z wiolonczeli?

– Zbyt wiele od niej wymagała. Wspominała coś o ofierze. Miała bardzo silne przekonania.

Próbowałem wyjaśnić mu, że nie sędzę, aby Dina była w stanie

porzucić grę na wiolonczeli lub rozstać się z nią na zawsze.

– W moich oczach była osobą, która porzucała wszystko, czego nie można było uczynić nieśmiertelnym – odparł z namysłem.

Pokazałem mu list z adresem i podpisem, którego nie potrafiłem do końca odczytać.

– Chyba się spieszyła. Wyjazd...

Przez chwilę patrzył na mnie pytająco. A potem skinął głową w stronę rogu pokoju.

– Wiolonczela – mruknął – nie ma w zasadzie zbyt wielkiej wartości, ale to dobry instrument. Proszę ją zabrać!

– Gdzie mieszkała? – zapytałem.

Potrząsnął głową.

– Czy to na pana polecenie zarzuciła grę? – zadałem pytanie.

– O, nie! – odparł w popłochu. – Ale powiedziałem jej jasno, że nie ma widoków na wielkie sale koncertowe.

– Cóż za bezduszność! – powiedziałem bezczelnie.

– Nie, konieczność.

– Odebrał jej pan wszystko!

– Nie, to dało jej siłę! – odparł cicho.

– Siłę? Do czego?

– Żeby być sobą.

– Dina zawsze była sobą!

Siedzieliśmy, przyglądając się sobie nawzajem. Jego wąsik był

groteskowy, przypominał rozczochranego kota.

– Proszę mi powiedzieć, znał pan tę kobietę? Musiał pan ją znać, skoro ofiarowała panu swoją wiolonczelę? – zapytał.

Skonstatowałem to. Bez zdumienia. Nie wspomniała o mnie. Swoje życie zachowała dla siebie. Nie używała ani nazwiska Andersa, ani Jakuba. Dosłownie ukryła się w sercu Europy, przybierając nazwisko Meer.

Chyba uznał, że nie rozumiem, co do mnie mówi, bo powtórzył:

– Proszę mi powiedzieć, znał pan Dinę Meer?

– Nie, chyba nie – odparłem krótko.

W tym samym momencie zrozumiałem, że to prawda.

– Kim pan jest? Krewnym? – zapytał.

– Tak. Bardziej przyjacielem...

– Musi pan być młodym przyjacielem.

Poczułem się głupio.

Wypiliśmy po łyku, robiąc przerwę w rozmowie.

– Zdaje mi się, że musi pan się zdecydować – rzekł nieśpiesznie
– czy szuka pan wiolonczeli, czy kobiety.

– Szukam wiolonczeli – odparłem z mocą.

– A zatem odnalazł pan wiolonczelę.

– Wie pan o niej coś jeszcze, prawda?

Potrząsnął głową z uśmiechem. Irytującym. Trudno mi było zapanować nad sobą, bo miałem uczucie, że drwi sobie ze mnie.

– A więc pana też opuściła? Nieprawdaż? – usłyszałem własny głos.

Coś się z nim stało. Nie wiem dokładnie, co to było. W oczach przemknął mu jakiś cień, dłoń poruszyła się. Prawie niezauważalnie. Nagle wiedziałem, że to prawda. Zostawiła go.

– Dlaczego sądzi pan, iż byliśmy ze sobą tak blisko? Jestem starym człowiekiem – rzekł z uśmiechem.

– Nie wiem – odparłem.

Uśmiechnął się leciutko.

– Proszę nie wyciągać młodzieńczych wniosków. Sam pan rozumie... widziałem, jak przychodzą i odchodzą. Z marzeniami o sławie. Też takie miałem. Niektórzy przychodzą w porę, ale nie mają dość talentu albo woli poświęcenia innych spraw. Inni mają i wolę, i talent, ale przychodzą zbyt późno. Albo też życie staje im na drodze w inny sposób.

– W jaki?

– Och, to może być wiele rzeczy. Rodzina, brak pieniędzy. Miłość i inne szaleństwa...

– Co powstrzymało Dinę?

– Przede wszystkim to, że pojawiła się zbyt późno. Ten, kto ma zostać wirtuozem, musi być jak воск, a jednocześnie mieć twardą jak kamień dyscyplinę. A poza tym nie może nosić w sobie smutku i tęsknoty za domem.

– A ona nosiła?

Przyjrzał mi się, nie zamierzając odpowiedzieć.

– Dlaczego nie pojechała do domu? – zapytałem podstępnie.

– Nic mi o tym nie wiadomo – odparł szybko. Trochę zbyt szybko?

– Nic pan nie wie? – dociekałem.

– Ona akurat nie była z tych osób, które zwierzają się komukolwiek.

– Ale przecież pan nie jest kimkolwiek? Jest pan jej nauczycielem i przyjacielem, czyż nie?

– Ale to nie oznacza, że jestem jej powiernikiem w każdej sprawie. Co miał pan nadzieję ode mnie usłyszeć?

– Gdzie mogę ją znaleźć.

– Przykro mi, że nie jestem właściwą osobą – odparł z westchnieniem.

Zaraz potem wyjął z kieszeni zegarek i oznajmił, że wkrótce przychodzi uczeń. Podniósł się, ponownie wskazując głową wiolonczelę.

Kiedy staliśmy w korytarzu, wręczył mi swoją wizytówkę.

– Ach, prawda – powiedział nagle. – Mogę podać panu adres teatru, w którym często bywała. Wydaje mi się, że miała tam sporo znajomych.

Powiesił laskę na przedramieniu i pochylił się nad solidnym, dębowym biurkiem, żeby zapisać adres na odwrocie wizytówki.

Podziękowałem.

Chwilę potem stałem na ulicy z wiolonczelą Diny. Uchwyt futerału był urwany. Wziąłem ją pod pachę. Kiedy skręciłem za róg,

uderzył mnie lodowaty wiatr. Kilka dużych liści podfrunęło w moją stronę, przyklejając mi się do płaszcza.

*

Można było sobie marzyć, jak to wszystko mogło być.

Gdyby się ją znalazło. Ale do niczego to nie prowadziło. Orfeusz wyruszył w podróż z konkretnym zadaniem. Można było nawet powiedzieć, że zadanie zostało właśnie wykonane. Już wcześniej zapisano, że Orfeusz wróci z podziemi z pustymi rękami. I teraz ruszał w drogę powrotną z wiolonczelą w futerale.

Poszedłem w stronę mojej kwatery, myśląc o studentach zwierających się ze swoich marzeń o podróżach. Na zabawach w Regensen albo w Valkendorfie. Lub w knajpach, kiedy na stołach stawiano piwo. Marzyliśmy o wyruszeniu w świat, dokonaniu odkryć medycznych i zdobyciu sławy.

Mogłem sobie pozwolić na ironiczny uśmiech. Teraz byłem w świecie. I co z tego? Czy kurz i brud nie były takie same wszędzie, gdziekolwiek się postawiło stopy?

Ona też marzyła o podróżach. Zobaczyłem ją oczyma wyobraźni, jak wchodzi na pokład statku „Księżę Gustaw”, a wiatr szarpie rondo jej kapelusza. Ciągle jeszcze nienawidziłem tej chusteczki, którą machała mi na pożegnanie. Usiłowałem dostrzec rysy jej twarzy. Ale odległość między nami była zbyt wielka.

Co spełniła ze swoich marzeń o podróżach? Czy znalazła spokój, pozbywając się mnie? Uciekając przed możliwością, że jedno moje słowo mogłoby wszystko zdradzić?

Dreńczyłem się rozmyślaniami, co też zrobiły z nią lata. Jakich kochanków miała? Z czego żyła? Jak wyglądała? Dlaczego nie

wyjechała od razu, zrozumiawszy, że musi? Staralem się przypomnieć sobie, czym to spowodowałem. Co takiego powiedziałem lub zrobiłem, co uświadomiło jej, że prędzej czy później ją wydam? Czy okazałem słabość, która wzbudziła w niej wątpliwość, czy dam radę? Milczeć.

Jej wiolonczela okazała się ciężka. Człowiek mógł tylko dodawać sobie ducha wyobrażeniem tego, jak ona wskakuje na konia lub zamyka drzwi. Zawsze w drodze. Uciekająca ode mnie.

W ten sposób szybciej podjąłem decyzję, że następnego dnia wracam do Kopenhagi.

*

Jednak następnego dnia nie pojechałem na stację. Odwiedziłem teatr, którego adres podał mi mistrz. Nie mogłem się powstrzymać. Najpierw próbowałem wyjąkać coś w stronę zszarzałej męskiej twarzy, która pojawiła się w małym okienku w ścianie. Poszukiwałem Diny Meer, gdyby mógł mi w tym pomóc. Potrząsnął głową, nie przestając jeść czegoś, co miał w papierowej torbie. Za każdym razem, kiedy zanurzał w niej głowę, twarz zniknęła mu tam aż po korzonki włosów. Staralem się być uprzejmy, dając mu do zrozumienia, że to ważne, abym porozmawiał z kimś, kto ją zna.

Ignorował mnie całkowicie. Aż do chwili, gdy wpadłem na to, żeby wyjąć banknot. Wtedy zamyślił się, wysysając coś z zębów, a potem błyskawicznie chwycił świstek. Następnie starannie złożył papierową torebkę, ze swojej klatki otworzył drzwi i dał znak ręką, abym wszedł. Poszliśmy śladem kakofonii dźwięków, która miała okazać się próbą orkiestry.

– Schröder! Pierwszy skrzypek! – wskazał palcem i zniknął.

*

Poczekalem do przerwy. Wtedy niepewnie podszedłem do mężczyzny, który, jak sądziłem, był pierwszym skrzypkiem. Nie robił aż tak nieprzyjemnego wrażenia, jak się obawiałem. Od razu przystąpiłem do rzeczy. Przedstawiłem się jako krewny Diny, który przyjechał do Berlina i chciałby się z nią spotkać. Bez wahania podał mi adres mistrza.

– Czy ona tam mieszka? – zapytałem, nie wspominając, że już tam byłem.

– Tak – odparł, odwracając się jednocześnie do dyrygenta, który powiedział coś, czego nie zrozumiałem.

Gdyby oceniać po sfatygowanej kurtynie i poplamionych fotelach, wyglądało to na teatr trzeciej kategorii. Orkiestra na pewno nie była lepsza.

Kiedy tylko dyrygent zniknął nam z oczu, zapytałem Schrödera, czy ma czas na chwilę rozmowy. Zwlekał trochę z odpowiedzią, w sumie miał właśnie zjeść śniadanie. Zaproponowałem, że go zaproszę. O ile w pobliżu jest jakieś miejsce. Ale nie miał na to dość czasu. Zrobił niecierpliwy ruch ręką w stronę widowni i usiadł.

Był w nieokreślonym wieku. Wąska twarz. Czarne włosy z białym pasmem zaczesanym od prawej skroni do szczytu czaszki. Wyglądało to osobliwie. Znał Dinę!

– Ona już nie mieszka pod wspomnianym przez pana adresem – powiedziałem.

– Ach, tak – odparł tylko, wzruszając ramionami.

– Czy ona tu grywała?

– Nie – odrzekł, uśmiechając się w sposób sugerujący, że myśl ta była zabawna.

– Skąd więc pan ją zna?

– Przybyła tu razem z panem Erenstem.

– Kim jest Erenst?

– Właścicielem teatru.

– Co tu robiła?

Ze znużeniem ponownie wzruszył ramionami, rzucając spojrzenie w stronę drzwi.

– Bywała na przedstawieniach. Słuchała koncertów...

– Jaką rolę odgrywał Erenst?

– On nie gra, tylko projektuje i buduje domy – odparł zrezygnowany.

– Chciałbym z nim porozmawiać!

– Wyjechał.

– Dokąd?

– Do Paryża.

– Czy to możliwe, że Dina pojechała do Paryża razem z nim?

Potrząsnął głową. Potem odwrócił się do mnie plecami, zwracając się do wchodzącego członka orkiestry. Chwycił smyczek i zaczął grać. Jakbym był powietrzem.

Można było oczywiście zmarnować sporo energii na myślenie, że świat jest tyleż nieuprzejmy, co niemądry. Chodziłem wśród orkiestry od człowieka do człowieka, starając się w zrozumiały

sposób zadać pytania o życie Diny i adres tego Erensta w Paryżu. Pozwoliłem, żeby dotknął mnie ten płytki, obojętny, wrogi, głupi człowiek. Grubo ciosany i posłany w świat dla unicestwienia wszelkiego dobrego kontaktu.

A więc to tutaj przebywała Dina! Tutaj przychodziła, żeby słuchać prób. Na pewno grali równie gruboskórnie, jak się wypowiadali, pomyślałem sobie, stojąc już na ulicy.

Śmierdziało z rynsztoka, a koła dorożek stukały o bruk. Myślałem o wszystkich tych chwilach w dzieciństwie, kiedy płakałem ze złości lub strachu, i pragnąłem znów umieć tak płakać. Zamiast tego położyłem płaszcz na wyszczerbionych kamiennych schodach i usiadłem na nim.

*

Potem włóczyłem się ulicami. Ale kiedy księżyc pojawił się na niebie, a latarnie zapłonęły, znów stałem przed budynkiem teatru. Kupiłem bilet, nie sprawdzając, co grają.

Szkoda, że nie miałem ze sobą zgniłych jaj.

Odszukałem swoje miejsce. Kiedy kurtyna poszła w górę, zrozumiałem, że nie będzie to przedstawienie teatralne. Orkiestra siedziała na scenie zamiast w kanale. Rozpoznałem niektóre osoby spotkane wcześniej tego dnia. Dyrygenta i skrzypka.

Sala była prawie pełna. Kakofonia strojonych instrumentów od razu zadziałała mi na nerwy. Nie miałem pojęcia, co tam robię. Byłoby lepiej, gdybym po prostu dopadł tego Schrödera na zewnątrz, jak już będzie po wszystkim.

Kobieta siedząca za mną mówiła coś nieprzerwanie do swojego towarzysza. Zrozumiałem tyle, że poznała mężczyznę tak

niezdarne i niewychowane, że nie była w stanie tego znieść. Odwróciłem się z irytacją. Kobieta miała na sobie czerwoną suknię z koronkowym stanem. Gestykulowała dłońmi ciężkimi od pierścionków i całkowicie zignorowała moje spojrzenie.

W końcu w sali zapadła ciemność. Kobieta za mną ucichła. Skrzypek i pozostali muzycy przyłożyli smyczki do instrumentów. Jego ramiona tam nie pasowały. Ani do skrzypiec, ani na podium. Powinien był zostać drwalem. Bawiło mnie, że znajduje się w tak śmiesznie nieodpowiednim dla siebie miejscu.

Wtedy zagrała muzyka! Popłynęła ku mnie.

Orkiestra nie okazała się równie podrzędna, co kurtyna. Zrozumiałem to już po pierwszych taktach, starając się rozpoznać, co grają.

Spektakl mnie wciągnął. Twarze pochylone nad instrumentami przestały jawić mi się jedynie w powiązaniu z wcześniejszymi przygnębiającymi doświadczeniami tego dnia. Nie czułem już nienawiści do ramion, poruszających się w górę i w dół. Karków. Palców. Cieni na prospekcie.

Bo w muzyce było wszystko. I muzyka była nią.

Wiedziałem już, dlaczego zносиła tych ludzi stojących za instrumentami. Dlaczego przychodziła tutaj słuchać prób. Starzejący się wiolonczelista w wyświechtanej marynarce zniknął. Cała orkiestra zniknęła, jeden muzyk po drugim. Pozostał tylko dźwięk.

Dina siedziała gdzieś u góry z wiolonczelą między kolanami. Płacz strun płynął z jej wnętrza. Nagle obok mnie na wolnym fotelu usiadł Rosjanin. Na głowie miał przekrzywioną czapkę z wilczego

futra, przykrywającą dziurę w czaszce. Pochylił się ku mnie z uśmiechem, wskazując głową w stronę sceny. Kiedy przebrzmiały ostatnie dźwięki, klasnął w dłonie i głośno zagwizdał. Ludzie odwrócili się i zaczęli gapić. To mnie uspokoiło. Był gorzej ubrany ode mnie.

Czy tylko my rozumieliśmy z tego cokolwiek? Wiedzieliśmy, kim ona jest? A może to właśnie dlatego wrzosa tamtej jesieni poczerwieniały – bo on nic nie rozumiał?

*

Podczas przerwy ponownie dostrzegłem kobietę w czerwonej sukni. Ciemne włosy zwisały po obu stronach jej twarzy. Wydawały się tak ciężkie, jakby pokrywała je smoła. Słuchała czegoś, co opowiadał jej młody człowiek w białych spodniach i ciemnej marynarce. Potem potrząsnęła głową i upijając łyk z kieliszka, przewróciła oczami.

Człowiek nie zawsze wie, dlaczego coś robi. Wszedłem w otaczający ją krąg światła. Pomiędzy nią a mężczyzną. I w tym twardym języku, którym byłem tak bardzo zmęczony, zapytałem:

– Przepraszam, nie zna pani przypadkiem pani Diny Meer?

Najpierw tylko wpatrywała się we mnie. Ale kiedy jej kawaler spróbował wsunąć się pomiędzy nas, robiąc przy tym odpowiednią minę, wówczas jakby się przebudziła.

– Nie – odparła prawie przyjaźnie.

– Kim pan jest? – spytał poirytowany kawaler.

Człowiek mógł po prostu uznać, że jest powietrzem.

– Jest pani pewna?

– Tak – odparła. Ale się uśmiechała. Zęby miała nierówne, a na jej policzku widniał o wiele za duży pieprzyk. Była dość wysoka. Miała wyzywające brwi i zbyt mocny makijaż. A jednak była piękna.

– Czy ta kobieta miała być tutaj dziś wieczorem? – zapytała, kładąc dłoń na ramieniu swojego zalotnika, żeby trzymać go w ten sposób z daleka.

Zwróciłem uwagę na pole siłowe między nami.

– Tak – odrzekłem, wpatrując się w nią.

– Wobec tego życzę panu powodzenia – odpowiedziała po prostu.

– Ona gra na wiolonczeli – rzekłem w panice, widząc, że zamierza odejść.

– To interesujące – stwierdziła – kobiecie nie jest łatwo poradzić sobie z tym instrumentem.

Wtedy zrobiłem te dwa brakujące kroki. Ująłem ją zdecydowanie pod łokieć i odprowadziłem z miejsca, gdzie stała z innymi osobami.

Rozległ się dzwonek zapowiadający drugą część. Ale my nadal staliśmy przy czerwonej aksamitnej kotarze, mierząc się wzrokiem. Jej czerwony cień na kurtynie. Czuję się od niego ciężki. Napełniony. Jak skórzany worek pełen wina lub oliwy.

Rozstawiłem szerzej stopy. Pomogło. Poruszyłem palcami pod jej łokciem. Na skórze miała chłodną wilgoć. Przeszył mnie dreszcz podniecenia. Siła skupiła się w moich palcach. Widziałem i czułem, że przyjmuje to.

– Jest pan chyba bardzo śmiały i nie jest pan berlińczykiem –

rzekła cicho.

– Ma pani rację.

– Bardzo chciałbym, żeby znała pani tę, której szukam! – powiedziałem. – Jest ciemna i wysoka jak pani. Często przebywa wśród aktorów i muzyków.

– Czy ta kobieta, której pan szuka, jest pana... kochanką? – zapytała, wymawiając ostatnie słowo na wdechu.

Można było zrozumieć, dlaczego jej brwi są takie wyzywające.

– Nie. Przyjaciółką.

– Nie uzgodniliście miejsca spotkania?

– Nie. Straciłem ją. Dawno temu.

– Ale przecież przyjaciół się nie traci – odparła.

Usłyszałem, że coś w niej wzbudziłem. Nie tylko ciekawość. Coś było w jej oddechu. Kontynuowałem, patrząc jej w oczy i ujmując obie jej dłonie. Miały w sobie miękkość. Właśnie tę miękkość, za którą człowiek zawsze tęsknił.

– Ja tracę!

– Kim pan jest? Sprawia pan wrażenie nieco nieuprzejmego – wyszeptała, nie zabierając dłoni.

– Nie jestem do końca pewien – odparłem.

– Wygląda pan trochę na szaleńca. Śmiałego, ale dziwnego... Przypomina mi pan kogoś, kogo...

Dzwonek rozległ się ponownie. Powoli poszliśmy na salę.

Kiedy usiedliśmy w ciemności, musnęła mnie lekko dłonią po

karku. Powiedziała coś do kobiety siedzącej obok. Nie zirytowało mnie to. Odwróciłem się powoli, żeby pochwycić jej spojrzenie. Ale mrok zgasił światło w jej oczach. Moje nozdrza łapczywie chwyciły każdy ślad woni jej perfum. Uchyliłem usta, żeby nabrać jej więcej. Napić się. Nasycić.

Wtedy ruszyły skrzypce, wiolonczele, instrumenty dęte.

Nie myślałem o Rosjanie. Nie zwróciłem uwagi, czy nadal przy mnie siedzi. Ale na podium siedziała Dina w zielonej sukni podróżnej z szeroką spódnicą. Z rozchyłonymi udami i zamkniętą twarzą.

Podczas gdy jej roztańczone palce wmuszały we mnie muzykę, części garderoby spadały z niej jedna po drugiej i unosiły się pod sufitem. Tam kryształowe żyrandole chwyciły je licznymi ramionami. W końcu siedziała już tylko w rozpiętej pod szyją koszuli.

Ubrania Diny rzucały cień na ludzi w sali, chociaż tego nie zauważali. Ktoś kaszłał. Muzyka wznosiła się i opadała. Nie byłem sam. Miasto mogło być tyleż nieprzyjazne, co brudne. Ludzie tyleż groteskowi, co nieokrzesani i nieuprzejmi.

Ale za mną siedziała kobieta w czerwieni.

Muzyka wybiegała nie tylko z instrumentów, zamieszkała też w moich biodrach. W skórze. Pachwinie. Czułem zapach ubrań zwisających z kryształowych żyrandoli. Zapach kobiety w czerwieni tuż za mną. Moje nozdrza się rozszerzyły. Odchyliłem głowę do tyłu i zamknąłem oczy.

*

Podczas trwania owacji poczułem jej dłoń na ramieniu. W

chwili, gdy podniosłem rękę, żeby wziąć jej wizytówkę, wszystkie ubrania Diny zaczęły spadać z pociemniałych żyrandoli. Miałem je wszędzie na sobie. Przyjmowałem je, ściskając przez krótką chwilę końcówki jej palców. Potem wyswobodziłem się z pachnących zwojów garderoby i nadal biłem brawo.

– W czwartek o siedemnastej – wyszeptała, podnosząc się i podążając za innymi w stronę wyjścia.

Idąc, spojrzałem na program wystający komuś z dłoni. Mozart.

Dina zebrała szybko wszystkie swoje podniszczone nuty, zeszła z podium, zostawiając wiolonczelę, i poprowadziła mnie między ludźmi. Kiedy zniknęła, jej koszula jeszcze przez chwilę lekko powiewała. Pachniała tymi samymi perfumami, co kobieta w czerwieni.

Na wizytówce widniało nazwisko: Pani Birthe Schultz. Adres nic mi nie mówił. Byłem w obcym mieście.

Skrzypka nigdzie nie było widać. Poszedłem za scenę zapytać o niego. Ktoś powiedział, że już dawno wyszedł. Czego właściwie od niego chciałem?

Człowiek czuł się trochę jak łódź z podniesionymi żaglami, smagana silnym bocznym wiatrem. Trzeba było przepłynąć wzburzone wody, poświęcając na to odpowiedni czas, albo zamknąć wszystkie wyjścia na pokład i oddać się we władanie żywiołom. Kil był już dostatecznym ciężarem. Lepiej było przyznać głośno, że nie jest się żadnym marynarzem. Ale mając w pamięci rady Andersa, zarówno w kwestii kobiet, jak i łodzi, człowiek musiał przyznać, że najlepiej będzie jednak płynąć do przodu.

Dlatego żyłem w oczekiwaniu na czwartek, czując w całym ciele

coś w rodzaju triumfu.

Można było marnować czas na przeżywanie szoku, że dając wizytówkę całkowicie obcemu mężczyźnie, złamała wszelkie zasady. Ale człowiek miał w ciele zbyt wiele dzikiej, samotnej siły na takie rzeczy. Sprawa była przesądzona.

Było się takim cholernym skazańcem, zmuszonym do krążenia po mieście i ciągłych poszukiwań.

*

Wynająłem dorożkę. Pani Birthe Schultz mieszkała w okazałej kamienicy na skraju miasta. W otoczeniu starych drzew i kolczastych krzewów. Na furtce prowadzącej do ogrodu jeżyły się szpikulce. Ta cała pani Birthe prawdopodobnie też miała kolce.

Portier zapytał, do kogo przychodzę i czy jestem oczekiwany. Skinąłem głową, pokazując mu bilecik wizytowy Birthe Schultz.

– Drugie piętro – rzekł z ukłonem, prowadząc mnie w górę po pięciu solidnych stopniach z mosięzną balustradą do czarnych, podwójnych drzwi.

Przez chwilę, wstrzymując oddech, pomyślałem sobie, jak musiały czuć się dzieci z chłopskich zagród, stojąc na białym piasku przed głównym wejściem do Reinsnes. Zanim obeszły dom dookoła, znajdując wejście kuchenne. Pnąc się po schodach odbijających echo moich kroków, przypomniałem sobie, jak idąc aleją prowadzącą w górę od przystani, można było zobaczyć główny budynek oświetlony w mroku niczym zamek. Zanim poszło się do Stine, do oficyny.

Można było przecież pozwolić sobie na chwilę przekornej nostalgii tutaj, przed głównym wejściem do domu całkowicie obcej

kobiety, czując się jednocześnie jak zdruzgotane dziecko?

Dino! Twoja wiolonczela niech sobie zgnije na śmierć!, powiedziałem sam do siebie w chwili, gdy pani Birthe otworzyła mi drzwi. Dzisiaj nie była czerwona. Tylko żółta.

*

Co takiego powiedział Anders wtedy w Bergen, kiedy chciałem pójść z mężczyznami do kobiet w zaułkach miasta? Nie protestował przeciwko mojej próbie męskości. Ale rzekł:

– Miej ze sobą nóż i nie bierz więcej pieniędzy, niż potrzebujesz!

Tamta dziewczyna była młodsza ode mnie. Wychudzona i brudna. Zabrała mnie do ciasnej, ciemnej komórki i posadziła na łóżku, na niechlujnie wyglądającej kapie. Potem zaczęła się ze mną zabawiać w taki sposób, jakbym był niedorozwinięty. Odepchnąłem ją. Zapłaciłem godziwie i wyszedłem. Gdyby nie obawa, że ktoś mnie zobaczy, pewnie bym się rozplakał. Nie dlatego, że zarówno dziewczyna, jak i łóżko były byle jakie i niedelikatne. Ani nie dlatego, że wszystkie marzenia o gorącej krwi w żyłach nie znalazły potwierdzenia w rzeczywistości. Tylko z tego powodu, że czułem się tak, jakbym nadepnął na palce małej dziewczynce, pływającej w czarnym stawie, która właśnie chwyciła się konara, żeby nie utonąć.

Miała bluzkę pozbawioną guzików przy dekolcie i chude ramiona.

Lepiej było już myśleć o Akselu i Madame przy Peder Madsens Gang.

*

Pani Birthe miała krągłe ramiona, a jej żółta bluzka została na pewno starannie wybrana. Miała cały rząd bardzo czasochłonnych guzików. Dokładnie rzecz ujmując, dwadzieścia jeden.

Poprowadziła mnie przez słabo oświetlony korytarz wprost do salonu. Czułem, jak krew pulsuje mi w szyi. Najchętniej schwyciłbym ją i wwiercił się w nią całą moją siłą. I żeby było już po wszystkim.

Zamiast tego skonstatowałem, że siedzę na miękkiej sofie.

Służąca przyniosła na tacy filiżanki do herbaty i ciasteczka. Wypatrywałem każdego znaku, który mógłby stworzyć mi okazję. Czujny na wszystkie sygnały wysyłane przez panią Birthe. To było prawie jak wywoływanie duchów i seans spirytystyczny.

Od czasu do czasu zajmowałem miejsce kandydata Grønelva przy stole sekcyjnym. Z uniesionym w dłoni skalpelem studiowałem kobiece ciało. Ćwiczenia w kostnicy pod okiem profesora Schmidta podlegały pewnym regułom i celom. Należało usunąć błony i mięśnie w całym ciele. Najpierw trzeba było pewną dłonią zebrać krew z wszystkich żył pani Birthe, tak aby profesor Schmidt nie zauważył ani jednej plamki krwi na moim mankiecie.

Ciało pani Birthe zaznało już tego rodzaju operacji. Mimo swoich cnotliwych guzików.

– Nie odnalazł pan swojej przyjaciółki? – zapytała.

– Niestety, nie – odparłem, nie odrywając od niej oczu. Zdawałem sobie sprawę, że ta rozmowa jest na użytek służącej. W czasie nalewania herbaty dowiedziałem się, że oczekuje kilku miłych przyjaciół i chciałaby, żebym ich poznał. A kiedy służąca po chwili weszła ponownie z pytaniem, czy jeszcze coś ma zrobić przed

odejściem, pani Birthe machnęła do niej wesoło dłonią i odparła, że nie, dziękuje, ma wszystko, co jest potrzebne.

Drzwi się zamknęły, a ja zapytałem, kiedy przychodzą przyjaciele. Wtedy ponownie wdrapała się na stół sekcyjny, żebym mógł rozpocząć pracę.

– Mój mąż jest w podróży. To nie wyglądałoby dobrze... tylko pan i ja – rzekła, odsuwając na bok filizankę. Potem zaoferowała mi sherry.

Po dłuższej chwili odszukałem w sobie słowa, których mogłem użyć. Ale ona najwyraźniej nie miała potrzeby słuchania czegokolwiek. Wszystko roztopiło się w oddechu i poruszeniach.

Piana. Nie wiedziałem, gdzie po raz pierwszy widziałem pianę. Ale wylaniała się z mojej świadomości niczym zmienny, a zarazem wieczny obraz. Piana pod kobiecymi dłońmi podczas dojenia. Piana powstała od wielkich fal, uderzających o kamienistą plażę. O płycizny za przybrzeżnymi skałami. Kłębiąca się za rufą łodzi, prującej morze bielą, żeby pokazać swą siłę. Piana. Skapująca z rąk Stine filcującej rękawice żeglarskie. Piana! Kiedy Dina w letniej porze myła włosy w jeziorku za wzgórzem. Piana w nozdrzach ogiera szykującego się do skoku na klacz. Skok na panią Birthe w Berlinie. Zawsze byłem w tej pianie. Jak ruch ciężkiego, pełnego mocy dźwięku. Niosłem go ze sobą. Byłem w nim. Nie mogłem uciec. Kobiety. Zapach słonych wodorostów. Ługu. Włosów. Wody kwiatowej. Suszącej się bielizny. Karna! Zapach ciała Karny zmieszany z krwią i ropą! W szpitalu polowym pod Dybbøl.

Piana była wszystkim: radością i strachem. Ohydą i pięknem. Jednocześnie.

Dzisiejszej nocy miała odbyć się tajna sekcja. Zabroniona i płomienna. Ale dokładnie tak jak fala po burzy cofa się, pozostawiając po sobie pianę, tak ja miałem wycofać się bez zobowiązań i przedkładania mi rachunku.

Czyż nie dostałem biletu wizytowego? Zaproszenia? Czyż nie otrzymałem wyraźnego znaku? Czy nie rozpiąłem wszystkich dwudziestu jeden guzików, zbierając zarazem krew pani do pustej dłoni?

W którymś momencie musiałem wejść też w tę inną pianę. Rosjanin. Czerwień. Piana tryskająca z wielką siłą. Miliony malutkich płatków róż, które nigdy nie miały się rozwinąć. Bo obraz zamarzał.

Dina i on na wrzosowisku. Najpierw białym, potem czerwonym.

Potem nie było już żadnego Boga. Pani Birthe została pokrojona. Piana pokryła i ją, i Rosjanina.

Kto stał wysoko wyprostowany we wrzosach?

Z jej ust wydobył się donośny dźwięk wiolonczeli. Wznosił się i opadał. Jakby próbowała zaśpiewać, ale nie była w stanie.

Położyła sobie roztrzaskaną głowę Rosjanina obok mojej, na kolanach.

Kiedy miałem wychodzić, zapytała, czy zobaczy mnie ponownie.

– Niewykluczone.

– Mojego męża nie ma do przyszłego czwartku – rzekła niskim, poprawnym tonem.

Byłem wycofującą się falą. Daleko w morze. Przyglądałem się

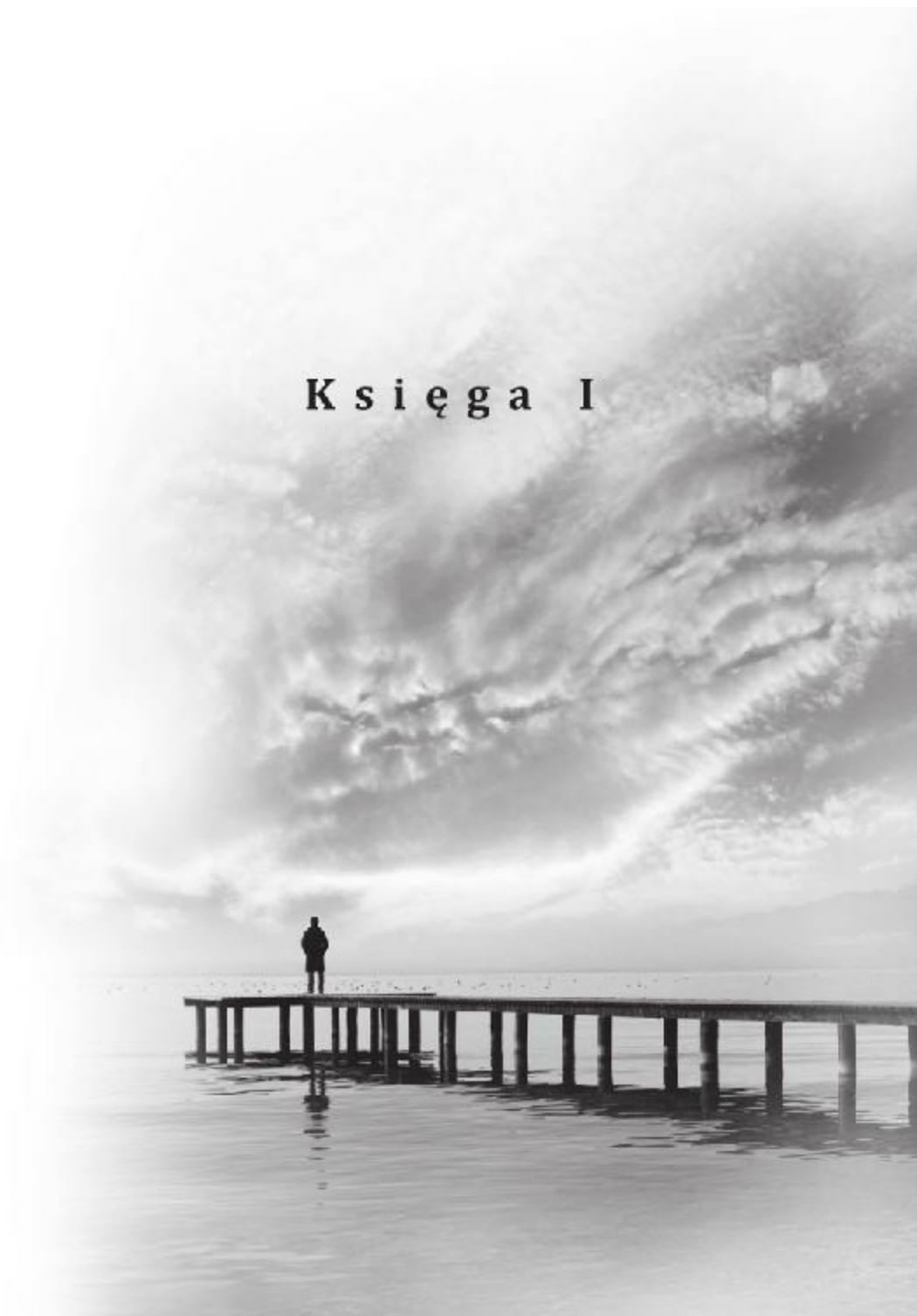
pozostawionej pianie. Szare światło wpadało ukosem przez wysokie okno. Twarz pani Birthe stała się całkowicie biała. Byłem obcy sam dla siebie.

Nastał właśnie kolejny dzień.

[1] Fragmenty Pisma Świętego, jeśli nie zaznaczono inaczej, są cytowane za Biblią Warszawską. (Wszystkie przypisy w książce pochodzą od tłumaczki).

[2] Søren Kierkegaard, *Bojaźń i drżenie*, tłum. Jarosław Iwaszkiewicz, Zysk i S-ka Wydawnictwo, 1995, s. 43.

Księga I



Rozdział pierwszy

BO GDZIE JEST WIELE MĄDROŚCI, TAM JEST WIELE ZMARTWIENIA; A KTO POMNAŻA POZNANIE, TEN POMNAŻA CIERPIENIE.

(Księga Kaznodziei Salomona 1,18)

Chłopiec stał na podwórzu, a jego oczy pałały dziko. Coś wykrzykiwał w przestrzeń. Jakby w furii. Najpierw podnieśli głowy. Zdumieni. W kuchni i w oborze. W izbie czeladnej i w budynkach gospodarczych. Znali ten głos, a jednak wydawał im się obcy.

Stine wyszła najszybciej. To ona pierwsza pojęła słowa. Po chwili byli tam wszyscy, kto tylko mógł czołgać się lub iść. Nawet Matka Karen i Jakub wywikłali się ze starych całunów i dawno zapomnianych zdarzeń i stanęli obok. Ale nic nie mówili, bo nie mieli prawa zabierać głosu.

– Sztucer wystrzelił w Rosjanina! Rosjaninowi... w głowę! W głowę!

Wzgórza i góry odbiły echem te słowa. Rzuciły się ponownie na niego, jakby ostrzegając, chcąc go uspokoić. Poprosić, aby zamilkł. Ale on powtarzał je w kółko, z narastającą dzikością. Aż do chwili, gdy Stine zarzuciła na niego ramiona i mocno je zacisnęła.

Wtedy już wszyscy wiedzieli. Chłopiec biegł przed mężczyznami, pokazując drogę. Krzyczał, wyjaśniał i płakał. Że Rosjanin nagle zniknął im z oczu między drzewami. Wspiął się na skałę, żeby zobaczyć, gdzie mężczyzna się ukrył. Wtedy usłyszał wystrzał. I zobaczył Rosjanina osuwającego się we wrzosi. Strzelba też leżała

we wrzosach. Dina powiedziała, żeby biegł szybko do ludzi po pomoc. Ale nikt nie mógł już pomóc Rosjaninowi. Dziura w jego głowie była zbyt wielka.

Rachela ze Starego Testamentu synowi, który kosztował ją życie, nadała imię Benoni, syn boleści. Ale stary patriarcha, Jakub, zmienił to imię i nazwał go Beniaminem, synem szczęścia.

Nikt nigdy nie dowiedział się, co myślała Dina Grønelv, dając swojemu synowi na imię Beniamin. I nikt również nigdy nie usłyszał, co Jakub Grønelv, figurujący w księgach parafialnych jako ojciec, myślał o całej tej sprawie. Ale każdy widział, że ten mocno zbudowany, dość niski chłopiec miał oczy jak stary człowiek, a bruzdy na jego czole mogły pomieścić co najmniej dwa wiadra sadzeniaków.

Dobrze, że miał niezłą głowę, choć biada temu, kto musiał odpowiadać na wszystkie jego zawile pytania o każdą możliwą sprawę. O rzeczy na ziemi, pod wodą i sprawy wieczne.

Tym, że wykarmiła go i wychowała Laponka, która za nierząd i czary miała zostać ukarana śmiercią, nie można było obciążać dziecka. Ani tym, że jego matka posiadała władzę i wzbudzała raczej strach niż miłość. Miała potężną zdolność pomnażania mamony i wszystko, co mogło przynieść zysk, kwitło w jej rękach. Nie była kochana, bo pod jej wzrokiem o barwie spokojnej wody każdy przypadał do ziemi. Jeśli po wypłynięciu w morze utrzymywała się dobra pogoda, to jej oczy nabierały miękkiego, zielonkawego blasku. Ale przy wzburzonym niebie jej źrenice twardniały niczym lód.

*

Pewnego dnia późną jesienią w roku, w którym Beniamin skończył jedenaście lat, zdał sobie sprawę, że siły ciemności działają przeciw niemu i że na nikim na tej ziemi nie można polegać. Aż do tego dnia, w którym wrzosowisko w Eidet zabarwiło się na czerwono od ludzkiej krwi, wierzył w coś na kształt ochrony, przynajmniej dla siebie. Teraz był świadom, że wszystko może się zdarzyć. Wszystko! Zrozumiał również, że tylko on jeden wie.

To było zupełnie tak, jakby spojrzeć na coś przez lupę Matki Karen. Na litery w Biblii albo na mrówki, przynoszone przez małą Hannę. Zbliżenie było niepotrzebne, zbyt wyraźne. Nic już nie było takie samo. Dostrzeganie tego tak jasno przyprawiało go o ptasi niepokój.

*

Wrzosowiska były już czerwone z natury. Przecież nastawa jesień. A mężczyzna leżący nieruchomo na ziemi już dawno skradł mu Dinę. Dlatego nie czuł żadnej tęsknoty. Jak dotąd wszystko wydawało się co prawda nierzeczywiste, ale nadal możliwe do zniesienia.

Tym, czemu nie mógł podołać, była obecność tam Diny.

Żeby jakoś poradzić sobie z tym uczuciem, dał im do zrozumienia, nie mówiąc tego wprost, że Rosjanin sam strzelił sobie w głowę.

*

Dina zajęta była czuwaniem przy zwłokach. Najpierw tam, na wzgórzach, gdzie mógł czaić się niedźwiedź, gotów nadbiec, poczuwszy zapach świeżej krwi. Słaby, jesienny wietrzyk muskał jej twarz, a ostre, niskie słońce świeciło w kark, nie dając żadnego

ciepła.

Potem w domu, w Reinsnes, gdzie czuwanie trwało dalej, przy otwartych oknach zasłoniętych prześcieradłami. Wśród migających, ociekających stearyną łożowych świec. Mężczyznom nie było łatwo wnieść wielkie ciało Rosjanina po schodach i położyć je w sali. A to tam właśnie Dina chciała je mieć.

Łamiąc wszelkie zasady przyzwoitości, sama umyła i oporządziła zwłoki. Zupełnie jakby kiedykolwiek była z tym ciałem złączona małżeństwem i znała wszystkie jego tajemnice. Najpierw wypchnęła z sali służące, które stały tam, chwiejąc się na nogach z powodu widoku. Potem krótko skinęła głową w stronę Tomasza i parobka, dając znak, że mają odejść.

Kiedy została sama, owinęła górną część głowy Leo czystymi ściereczkami i związała je. Ciasno. Dolna partia twarzy została nietknięta. Półotwarte usta miały zdziwiony wyraz. Jak gdyby wyrażały jakąś zabląkaną, odchodzącą myśl. Górna warga była spokojna i sina. W końcu odnalazła spokój.

*

Leo Żukowski został złożony w wystawnej trumnie i pochowany przy kamiennym kościele. I to wszystko pomimo że nie był prawowiernym człowiekiem, tylko szpiegiem, katolikiem, obcym i co tylko najgorszego.

Przy pogrzebie na niczym nie oszczędzano. Ludzie uważali, że Dina Grønely mogła trochę mniej się wykosztować. I że nie godziło się, żeby pastor chował człowieka, który najwyraźniej zginął z własnej ręki.

Ale pastor odprawił nabożeństwo. Bo Dina Grønely rządziła się

własnymi prawami w kwestii tego, co wypada. I miała dość środków, żeby wprowadzać je w życie.

Tymczasem pierwszy nocny przymrozek wgryzał się w ciała wszystkich obecnych.

Rozdział drugi

– Pewnie teraz przez rok będzie siedziała w sali sypialnianej, coś mi się zdaje – tak zawyrokowała Oline dzień po pogrzebie. Był już późny ranek, a Dina ciągle jeszcze się nie pokazała.

Ani Stine, ani żadna z dwóch pokojówek nie miały odwagi odpowiedzieć. Mogło to być niebezpieczne niezależnie od wyboru strony.

– Bóg świadkiem, że ona nie przydaje się do niczego, kiedy coś się dzieje! Tea! Ten garnek ma brudny brzeg! Zapomniałaś opłukać go w zimnej wodzie przed myciem!

Dziewczyna zerknęła z ukosa, ale nie zaprotestowała ani słowem. Wzięła tylko garnek i poszła z nim do sieni, gdzie stała beczka z zimną wodą.

– Pewnie będzie teraz chodziła nocami tam i z powrotem przez długie miesiące, coś mi się tak zdaje – rzekła Oline, cedząc słowa przez zaciśnięte kąciki ust. Dźwięk był taki, jakby burza usiłowała wdrzeć się pod poszycie dachowe, żeby je zerwać.

Nadal nikt nie odpowiadał. Stine zajęta była składaniem serwetek, którymi wcześniej przykryte były półmiski z kanapkami.

Stine czerpała energię z tajemniczego miejsca. Nie tego rodzaju energię, jaką często mają kobiety skazane na krzątanie się całymi latami po domu. Nie, ona była raczej jak szeroka rzeka. Zawsze ten sam, równy prąd. Wiecznie płynący, nadchodzący, zawsze obecny. Kiedy widziało się Stine przy pracy, można było lepiej zrozumieć nieubłagany cykl życia roślin. Praca Stine była większa niż ona sama.

– Była w nocy w piwnicy! Wyraźnie ją słyszałam. A klucz po prostu rzuciła potem na ławę. Każdy mógł go wziąć! Na górze na pewno stoją porozstawiane wszędzie puste butelki. Ale nie wolno wam pisać na ten temat ani słówka gdzieś po obcych chałupach! Rozumiecie? – dodała Oline z groźbą w głosie.

Jednak wtedy jej pulchne ciało zgięło się wpół. Była jak zamarznięta na sztywno poszewka, wisząca na sznurze w zimowym wietrze. Teraz nagle dosięgnął ją gwałtownie południowo-wschodni wiatr. Naciągnięta poszwa złamała się w połowie. Upadła na skrzynię z torfem, zakrywając sobie twarz nie do końca czystym, płóciennym fartuchem.

– Biedny człowiek! Biedny człowiek! – dobiegł żałosny głos spod fartucha. – Jak to wszystko teraz będzie? Jak to będzie?

Nie do końca były pewne, czy Oline boleje nad Rosjaninem czy nad Diną. I nie miały odwagi o to zapytać.

*

Dina zeszła z poddasza dopiero wieczorem. Kilkakrotnie przeszła przez wszystkie salony, przystając przy różnych przedmiotach i biorąc je do ręki.

Potem pojawiła się w kuchni i sama nałożyła sobie jedzenie. Zjadła na stojąco przy blacie. Napiała się wody z chochli zabranej z beczki stojącej na ławie w przedsionku. Przez cały czas sprawiała wrażenie, jakby miała problem z policzeniem czegoś i nie była w stanie go rozwiązać. Między jej brwiami i wokół ust zaznaczały się głębokie bruzdy. Ale włosy miała wyjątkowo porządnie uczesane i zebrane w węzeł na karku. Jej oczy wyglądały tak, jakby ktoś godzinami sypał w nie piaskiem. Wydawała się prawie zdziwiona i

zakłopotana, kiedy musiała skrzyżować z kimś spojrzenie. Zupełnie jakby nie rozpoznawała ludzi albo nagle zauważyła, że nie znajduje się we właściwym miejscu.

Jednak wszyscy odetchnęli z ulgą, bo chodziła po pokojach i odpowiadała, gdy się do niej zwracali.

*

Anders był w Strandstedet, kiedy to się stało. Gdy wieczorem wrócił do domu, w sali leżały już zwłoki mężczyzny.

Poczuł w zasadzie coś w rodzaju smutku. Ale przede wszystkim zdarzenie wydało mu się niewiarygodne. Kiedy człowieka wyniesiono w końcu z domu i zabrano na cmentarz, czuł się prawie tak, jakby to był przyjaciel.

Bo umarł?

Anders zawsze zajmował się wieloma sprawami. Teraz miał ich jeszcze więcej. Zbiegał na przystań. Do klipra „Matka Karen”. Poza gospodarstwo.

Kiedy przychodził do domu na posiłki, siedział zawsze naprzeciwko Diny. Był tym dalekim krewnym, który uprzejmie podawał półmiski oraz sól. Anders wiedział, gdzie jest jego miejsce.

Ale nie dawał tego po sobie poznać. Gromadził wszystko w sobie. Jak cienką warstwę kurzu na twarzy. Nie można było jej usunąć tylko za pomocą sobotniej kąpieli w pralni. Kolejne warstwy układały się spokojnie na wieloletnich pokładach tego samego pyłu. Znać swoje miejsce!

Anders miał wrażenie, że zasiada przy stole z duchami. A jednak siedział. Nakładał sobie na talerz. Przeżuwał. Pozwalał, by

mu podawano. Wygłaszał zwykłe, codzienne uwagi. I od czasu do czasu dostawał zdumiewająco zwyczajne odpowiedzi. Zdarzało się, że nagle robił się niespokojny, jeśli zostawał z Diną sam na sam w jadalni, czekając na zupę lub deser, i nie miał czym zająć rąk. Wtedy potrafił bez powodu zacząć opowiadać ostatnie plotki z wyszynku w sklepiku albo ze Strandstedet. Ona zazwyczaj przyglądała mu się przyjaźnie, ale w nieobecny sposób. Jednak i tak codziennie docierało do niego: ona cię nie dostrzega.

Na początku chłopiec siadywał między nimi jak myszka, bo Dina posyłała po niego. A potem wrócił do izby dla służby, do Stine i jej wyszorowanego do białości stołu. Tam nie kładło się na co dzień obrusa. Ale za to można było zarówno oddychać, jak i jeść.

*

Beniamin od dawna już sypiał w izbie dla służby, u Stine i Tomasza. Trzynastego dnia po pogrzebie, trzy godziny po północy, głęboki, zapraszający głos Rosjanina wezwał go do łóża z baldachimem. W samej koszuli nocnej, uzbrojony w zawieszoną na sznurku na szyi lupę Matki Karen, wygramolił się z ciepłego łóżka w służbówce i wyszedł na dwór.

Kępki trawy i pokryte lodem kamyki wbijały się w stopy jak migoczące kawałki szkła. Czuł się ugotowany z gorąca, chociaż noc była tak zimna, że para unosiła mu się z ust.

W całym wielkim domu światło paliło się tylko w dwóch oknach sali. Delikatna, żółta poświata mówiła mu, że Dina zapaliła jedynie woskowe świece. Już wcześniej zdarzało mu się stać na podwórzu, wpatrując się w okna Diny. Próbował nawet do niej wejść. Ale to było dawno temu. Teraz był już duży. A duzi chłopcy nie biegali do łóżka swojej matki.

Było ciemno. A jednak dostrzegał zarysy budynków. Studnię pośrodku podwórza. Drzewa pochylające się ku ziemi, z liśćmi ciężkimi od zamarznętej rosy, którymi bawił się wiatr. Słaby dźwięk nie opuszczał głowy. Niektóre drzewa były półnagie, jak obdarte strachy na wróble na tle nieba.

Nie wiedział, skąd pada poświata. Ale leżała na skręconym źdźble trawy przed jego stopami. Przesuwała się. Jeśli ruszał do przodu, światło szło za nim. Robił krok w bok, światło również. To podziemne istoty chciały wskazać mu drogę.

Głos Rosjanina był tyleż odległy, co bliski. Czegoś od niego żądał, ale on nie chciał tego wiedzieć. Tak więc szedł, starając się myśleć o czymś przyjemnym.

Ornamenty nad drzwiami wejściowymi miały oczy, paszczę i smocze zęby. Zwykle myśli zamieniły się w młyński kamień, obracany głosem Rosjanina. Wszedł do środka. Dom przypominał pustą skorupę, był niczym widziadło. Zostało postanowione, że nie będzie w nim sypiał. Nie chciał pamiętać, jak do tego doszło.

Ale dzisiejszej nocy było inaczej. Stał, trzymając w dłoni kutą, żelazną kłamkę. Mróz zmienił ją w ostrze kosy.

Był już w środku. Głos Rosjanina stał się teraz spokojniejszy. Zupełnie jakby wiedział, że dostanie to, czego chce. Zapachy unosiły się tu inne niż w służbówce. Aromat przypraw w domu Stine nie był tak wyraźny. Tutaj wonie mieszały się ze sobą, walcząc o miejsce. Niektóre były starymi, zapomnianymi myślami. Inne łatwo można było rozpoznać. Wiadro z popiołem, cygara, książki i woda różana. Wszystkie spotykały się w korytarzach. Kryły się w płaszczach z owczych skór i szalach zawieszonych pod schodami. Ze ścian dochodziła woń wszystkich ludzi mieszkających

tam przez stulecia. Tych, których znał z opowiadań innych.

Wszystko, czego dotknął, skrzypiało. Przeciąglým dźwiękiem, który więził go w środku. Każda z owalnych, czarnych ramek zawieszonych wzdłuż schodów prowadzących na górę miała co najmniej jedną parę oczu, które się w niego wpatrywały. Wszystkie naraz. Nie chciał już wiedzieć, kim są ci ludzie, chociaż znał ich imiona. Ich oczy były jak zimna morską poświata, jaśniejąca złowrogo w ciemności. Nie miał odwagi spuścić spojrzenia. Wtedy podpaliliby go, zamieniając w spaloną ćmę leżącą u stóp schodów.

Przez zaciśnięte wargi wypowiadał modlitwę Matki Karen, posuwając się w górę po jednym stopniu.

– Ojczy nasz, któryś jest w niebie, święć się imię twoje, przyjdź królestwo twoje, bądź wola twoja... i odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom...

Drzwi do sali zaskrzypiały tylko odrobinę. Świece w wysokim lichtarzu stojącym przy łóżku gwałtownie migwały w przeciągu. Głos Rosjanina dochodził z łóżka! Tutaj w środku szalała burza i ogień, miotane niczym przez Bestię z Apokalipsy. Patrząc na Dinę, zauważył, że też to usłyszała. Uniosła się do połowy na poduszkach. Jak czarna fala na białym tle.

Kilkakrotnie otworzyła i zamknęła usta. Podszedł bliżej, biorąc ją pod lupę Matki Karen. Miała białosine nozdrza, a białka oczu przekrwione. Była niczym wyblakła, woskowa lalka. Przez moment pozwolił, aby nią była. A potem zaczął drzeć.

– Przyszedłem... bo Rosjanin tak okropnie mnie wołał – wyszeptał, stojąc niepewnie między krzesłem a łóżkiem.

Wpatrywała się w niego jasnymi, szeroko otwartymi oczami, ale

pojął, że nie zamierza odesłać go z powrotem.

Prześcieradło zaszeleściło jak zwiędły liść osiki, kiedy odrzuciła koc na bok, żeby zrobić mu miejsce. Gdy tylko poczuł ciepło jej ciała, Rosjanin ucichł. Prześcieradło miękko tuliło się do jego skóry i nastał wielki spokój.

– On nie jest zadowolony – rzekł po chwili.

– Cicho sza – wymamrotała w jego włosy. – Cicho, cichutko...

– Dlaczego on woła mnie po nocach? – zapytał, nie poddając się.

– Nie wiem.

– Ale on mnie budzi i straszy.

– Pewnie tak musi być.

– Ale dlaczego, Dino? Dlaczego tak się stało?

– Musiało.

– Ale Dino... dlaczego? – płakał.

– Tego nikt nie wie.

– Co mamy z nim zrobić?

– Nic, Beniaminie. Nic.

– Ale jeśli on w nocy woła też do innych? I wszystko im opowie?

– On nie ma nic do opowiedzenia – odrzekła, okrywając go dokładnie kołdrą. – Ma już spokój.

– Skąd to wiesz?

– Po prostu wiem.

Zrezygnował z wszelkiego sprzeciwu. Czuł, jak spowija go ciepło

i zapachy jej ciała. Był pisklakiem pod skrzydłem nakrapianej kwoki. Tkwił teraz w jednym z określeń Oline. Tym, które brzmiało „błogosławione szczęście”. Nie chciał myśleć, dlaczego więc czuje się tak mało zadowolony. Wolał nie dręczyć samego siebie tym, że nie pamięta już, kiedy po raz ostatni był tak blisko Diny i czy w ogóle kiedykolwiek był. Teraz jakoś nie było po co się nad tym zastanawiać.

Zasnął z nosem wsuniętym w pachę Diny i kolanami wciśniętymi pomiędzy jej uda. Dłonie wplątał w jej koszulę nocną, aż znalazł szczelinę między piersiami. Jej ciepło było niczym miód i pieśczoła na odmrożone palce. Gdyby tylko noc mogła trwać wiecznie!

*

Noc nigdy nie trwa wiecznie. Nad ranem drapie ostrym pazurem, szykując nowy dzień, tak jakby miał być ostatnim.

Stine szukała Beniamina wszędzie. Na poszukiwania została też wysłana Hanna, a po pewnym czasie przyłączyli się do niej ludzie z gospodarstwa. Nikt nie wpadł na to, że może być w sali u Diny. To było miejsce, w którym nikt nie poszukiwał zaginionych spraw.

Ale krzyki dotarły do sali. Spowodowały, że przebudzenie zmieniło się we wstyd. Wytoczył się z łóżka i chciał zbiec po schodach i uciec. Wtedy ona schwyciła go za rękę i przytrzymała.

– Beniaminie.

Najpierw spojrzał na nią przekornie. Potem spuścił wzrok.

Koszulę nocną miała rozpiętą na piersiach. Nigdy wcześniej jej tak nie widział. Była obcą kobietą z nabrzmiałymi, niebieskawymi

żyłami i bruzdami wokół ust.

Zaczął płakać.

Popchnęła go z powrotem do łóżka. Łagodnie. Niezdarnie. Jak samica, która dostrzegła, że młode zaraz wypadnie z gniazda. Potem wstała, owinęła się szlafrokiem i wyszła na korytarz. Usłyszała, jak kogoś tam woła. Głos Oline dobiegający z dołu był donośny i pobrzmiwało w nim zaniepokojenie.

– Benjamin jest tutaj, u mnie – rzuciła w stronę dołu schodów.

Ciepłe echo przepłynęło przez jego głowę i ciało: „Benjamin jest u mnie... Benjamin jest u mnie...” Płakał, bo nie wiedział, jak mógłby spowodować, żeby ta chwila trwała. I dlatego, że tak okropnie się wstydził.

Ponownie weszła do środka i przez chwilę stała przy łóżku. Potem wręczyła mu chusteczkę do nosa i poczochnęła go po włosach. Nie miał odwagi podnieść na nią wzroku. Czuł jej palce na swojej dłoni. Ucisnęła ją. Odwzajemnił uścisk.

– Przyszedłem, bo on tak głośno krzyczał – powiedział wyjaśniająco.

– Tak – odrzekła.

– Nie biegam po nocy do nikogo, bo się boję. Ale on tak strasznie hałasował – dodał uparcie.

Jej spojrzenie. Dlaczego patrzyła na niego w ten sposób?

– Nie mam już zwyczaju wchodzić komukolwiek do łóżka! – rzekł desperacko.

Nie odpowiedziała. Stała tam tylko.

– Powiedz coś do mnie, Dino! – wrzasnął ze złością, wbijając paznokcie w wierzch jej dłoni.

– Tyle jest w tobie krzyku, Beniaminie – odparła w końcu.

– Ale nie tyle, ile w Rosjaninie!

– Kto taki powiedział Beniaminowi, że to wstyd bać się swoich snów?

– Nikt – odrzekł niepewnie.

– Dlaczego więc jesteś taki zły?

Przez cały czas siedział z pochyloną głową wśród poduszek.

– Tylko głupki nie mają dość rozumu, żeby się bać! – stwierdziła z mocą, wyzwalając się z jego dłoni. Potem rozstawiła parawan wokół umywalki i rozpoczęła toaletę.

Zapach mydła rozpląnął się po izbie, a on w tym czasie ze zgrozą myślał, że ona myje się w lodowatej wodzie. Nie poruszył niczym poza gałkami ocznymi, kiedy jej ręka sięgała po kolejne części ubrania, przygotowane wcześniej na krześle przy parawanie. Wyszła, walcząc jeszcze z broszką Hjertrud, którą usiłowała przypiąć do bluzki. Ze skupionym, spuszczonej spojrzeniem i determinacją w palcach.

Można było być pewnym, że człowiek zapamięta właśnie to:

Dinę stojącą przed parawanem z wizerunkiem Ledy z łabędziem, spinającą broszką rozcięcie w bluzce między piersiami.

– Dlaczego mówisz, że tylko głupki się nie boją? Czy ty się boisz?

Zanim odpowiedziała, przeciągnęła się, stojąc przed owalnym

lustrem, i sprawdziła, czy spódnica dobrze leży.

– Tak.

– Kiedy?

– Bez przerwy.

– Dlaczego?

– Z powodu tego, czego nie ma. Wszystkiego, czego nie robię.

– Co to jest?

– To, że muszę gdzieś pojechać... do mistrza, który jest w stanie nauczyć mnie grać na wiolonczeli.

Stała na środku pokoju. Jakby sama zadziwiona tym, co właśnie powiedziała.

Drgnął czujnie, tak jakby podniosła rękę do ciosu.

– Tylko żartujesz! Przecież umiesz grać na wiolonczeli – odparł szybko.

– Nie – rzekła, podchodząc do łóżka. Zmierzwiała mu znów włosy i powiedziała:

– Wstawaj, śpiochu!

Poczuł, jak ciekną mu łzy. To było upokarzające.

– Chodź – rzekła lekko Dina. – Przydałoby się znaleźć parę spodni i koszulkę. Co ty na to?

Skinął głową, myśląc intensywnie o tym, jaki to wstyd, że nie ma spodni w tym samym domu, w którym spał. To dlatego musiał płakać.

Wyszła z pokoju.

Kiedy wróciła, niosąc dla niego ubrania, był już zdecydowany.

– Czy mogę spać tutaj również dzisiaj? – zapytał, wyrzucając szybko słowa.

Wręczyła mu ubrania i odwróciła się tyłem.

– Nie, ale możesz spać w izbie od południa.

– Chcę spać tutaj!

– Nie. Musisz mieć własną izbę.

– Dlaczego?

– Masz jedenaście lat.

– Mam to gdzieś!

– Ale ja nie.

– Mogę spać w komórce – wskazał głową na dużą garderobę, w której ciągle stał szezlong Jakuba.

– Nie.

– Czy to dlatego, że ludzie gadają, że Jakub musiał tam spać, kiedy byłaś na niego zła?

– Kto tak mówi?

Dostrzegł wyraz jej oczu i zaczął gorączkowo myśleć.

– Tego nie pamiętam!

– Nie należy powtarzać rzeczy, których źródła nie jesteś pewien.

– Nie. Ale Jakub nie żyje i nie potrzebuje już żadnego miejsca.

Zapadła wielka cisza. Dlaczego zapadła aż taka cisza?

– Powiedziałaś kiedyś, że w służbówce nie ma żadnego ducha.

Chociaż Niels się tam powiesił – powiedział szybko i bez tchu.

– Tak.

– To Jakuba też nie ma w komórce!

– Nie. Ale zmarli również potrzebują swojego miejsca.

– A Rosjanin? Czy on tu leży? – zapytał szeptem, wystawiając z łóżka dwie kościste, chłopięce nogi.

Nie odpowiadając mu, zaczęła układać kołdrę i prześcieradło.

– Nie zajmuję zbyt wiele miejsca – powiedział prosząco.

Szturchnęła go w ramię, mówiąc:

– Zajmujesz o wiele więcej miejsca, niż ci się wydaje. Możesz spać w izbie od południa. A jeśli się zdarzy, że nie będziesz mógł zasnąć, to przyjdź mnie obudzić, zagramy partyjkę szachów.

– Nie umiem grać w szachy – wymamrotał.

– Masz dobrą głowę, nauczę cię – powiedziała z tak głęboką łagodnością, że zrozumiał, iż rozmowa się skończyła.

– To wobec tego nie wyjeżdżaj! – rzekł tak szybko, że każde słowo gryzło swego poprzednika w ogon.

– Czy coś takiego powiedziałam?

– Powiedziałaś, iż obawiasz się, że musisz.

– Wiesz...

– Nie wyjeżdżaj! Przecież aż tak się nie boisz, Dino? Prawda?

Stała tam, pochylona nad łóżkiem z poduszką w dłoniach. Po chwili odwróciła się powoli.

– Nie myśl o tym, Beniaminie. Obiecuję, że uprzedzę cię, jeśli będę się bardzo bała.

*

Chyba nie do końca zdawał sobie sprawę, że chłopcy zazwyczaj nie prowadzą ze swoimi matkami takich rozmów. Ale miał coś w rodzaju przeczucia. Bo po przejściu progu oświetlonej służbówki nie opowiedział o niczym Stine i Tomaszowi.

Stine ani słowem nie wspomniała o jego zniknięciu. Ale Tomasz nie był w stanie się powstrzymać:

– Uciekłeś dziś w nocy do swojej matki, coś mi się zdaje!

Chłopiec pochylił głowę, wpatrując się w talerz z owsianką.

Hanna przeniosła wzrok z jednego na drugiego, wietrząc niepokój.

– Przeprowadziłem się z powrotem do głównego domu – rzekł Beniamin, strosząc piórka.

– Ta łaska nie potrwa zapewne długo, ona nie chce mieć...

Tomasz umilkł. Ale i tak powiedział już dość.

– Tomaszowi gównu do tego! – szepnął Beniamin, rzucając łyżkę do talerza, aż trysnęła owsianka. Przez chwilę na jego twarzy malowała się rozpacz. A potem jak strzała pomknął do swojej izby. Usłyszeli, jak z dzikością coś tam przestawia.

Tomasz nie miał pojęcia, co powinien zrobić, poszedł więc za nim do izby i chwycił chłopca za ucho, żeby utrzymać mores.

– Puść mnie!

– Masz zachowywać się przy stole, jak należy – syknął Tomasz

przez zaciśnięte zęby, potrząsając nim.

– To Tomasz nie umie zachować się przy stole! To on mówi o rzeczach, które go w ogóle nie dotyczą.

– Chyba dotyczy mnie to, że jesteś bezczelny i nieposłuszny przy wszystkich. Musisz być przecież wychowywany na równi z innymi dziećmi.

– Nie jesteś moim ojcem!

Tomasz puścił chłopca. Jego ręka zawisła w powietrzu.

Beniamin jeszcze długo po tym, jak drzwi się zamknęły i został w izbie sam, stał na środku, mrugając oczami. Nie rozumiał, dlaczego nie jest w stanie dociągnąć do końca ani jednej myśli. Niepomalowane deski na ścianach miały tak strasznie dużo sęków. Przeliczył je od kąta przy wezgielciu łóżka, podążając według jak najprostszej linii do następnego rogu. W ten sposób musiał również obrócić całe ciało. I stopy. Ważne było, żeby odwrócić stopy.

Po drugiej stronie szyby okiennej świat był tak szpetnie czarny, z odcieniem granatu.

Rozdział trzeci

Referendarz zamierzał posłać do władz wieść o tragicznym losie Rosjanina. Ponieważ Beniamin wszystkim już opowiedział, co i jak się zdarzyło, nie było potrzeby, żeby kogokolwiek niepotrzebnie nękać. Chciał jednak przedyskutować z Diną, komu należy odesłać przedmioty należące do Rosjanina. Referendarz nie był aż tak głupi, żeby nie rozumieć, że ta historia zawierała pewne dodatkowe elementy. Postanowił jednak, że nie będzie się tym z nikim dzielił, gdyż wywołałby tylko zamieszanie.

Przypadkowa kula mogła być samobójcza. Ale ponieważ Rosjanin nie miał żadnych bliskich, którzy mogliby domagać się wyjaśnienia tej sprawy, referendarz uznał, że teoria niech pozostanie teorią. Nawet jeśli miała cokolwiek wspólnego ze szpiegostwem i wielką polityką, to i tak, próbując w tym grzebać, wzbudziłby jedynie niepokój i urządził widowisko. A jeśli miało to cokolwiek wspólnego z jego córką, Diną, to nikomu nic do tego. Jeśli pan Leo dostał kosza i ta odmowa – po utrapieniach związanych ze zdemaskowaniem i uwięzieniem – przelała czarę goryczy, to już samo to było dostatecznie okropne i nie było potrzeby mieszać we wszystko władz.

Referendarz Holm uważał, że cała ta sprawa jest niezwykle przykra. Lubił tego człowieka. Nosił w sobie nawet cichą nadzieję, że Rosjaninowi uda się okiełznać Dinę, chociaż prawdopodobnie nie mógłby wnieść do tego związku zbyt wielu dóbr. Był nawet gotów zapomnieć o pobycie Rosjanina w więzieniu. Ale teraz i tak było już za późno.

Referendarz bez pośpiechu i z niezwykle spokojem zapukał do sali, żeby porozmawiać z Diną.

Przyjęła go nie jak ojca, który przyszedł do niej z troski, ale jak referendarza, którym mimo wszystko był. Z jej strony spotkaniu temu nie towarzyszyła ani serdeczność, ani niechęć.

Zaplątał się w długie wprowadzenie i nie wiedział, jak je zakończyć. Wreszcie musiała mu pomóc, żeby mieli to już z głowy.

– Nie miał zbyt wielu rzeczy. Tylko ubrania i książki. Ach tak, i jeszcze srebrny nóż. O ile mi wiadomo, nie ma żadnych krewnych. Więc chyba nie ma powodu wysyłać czegokolwiek aż do Rosji?

– Prawo jest prawem – stwierdził referendarz.

Wzruszyła ramionami.

Referendarz nigdy nie czuł się dobrze w sali. Nie podobało mu się, że Dina korzysta z sypialni do prowadzenia rozmów i negocjacji niezależnie od tego, jak bardzo reprezentacyjnie to pomieszczenie wyglądało. Złym obyczajem było mieszanie łoża z baldachimem oraz instrumentów muzycznych z rozmowami wymagającymi powagi i kwestiami zasadniczymi. Czuł tak już od tamtego dnia, kiedy stał tutaj, w tej wielkiej sypialni, usiłując zmusić ją do pójścia na pogrzeb Jakuba. Akurat owego czynu naprawdę żałował. Miał ochotę jej to powiedzieć. Ale się nie udało. Zamiast tego odchrząknął i rzekł:

– Co ostatecznie było przyczyną? W jaki sposób nastąpił ten strzał?

Uniosła nieco głowę. Jak gdyby nadśluchiwała jakiegoś dźwięku z zewnątrz. Z pewnym zadziwieniem zapytała:

– Chcesz, żeby powiedziała ci, że to ja go zastrzeliłam?

Wzdrygnął się.

– Nie żartuj sobie z takimi sprawami. Chcę tylko napisać w dokumentach, jak do tego doszło. Uważasz, że zrobił to celowo?

– Nie. Chyba po prostu nie rozumiał do końca, jak to działa...

– Widziałaś, czy niósł strzelbę na ramieniu? Może upadł na nią?

– Nie.

Skinął w zamyśleniu głową.

– Czy Beniamina też tam nie było?

– Według tego, co sam mówi, to nie. Ale wiesz... dzieci widzą to, co chcą zobaczyć.

– Nie wiesz tego na pewno? Nie rozmawialiście o tym?

Spojrzała na niego bez odpowiedzi.

– No cóż – powiedział. – Trzeba zatem porozmawiać z młodzieńcem. Czy możemy zawołać go teraz tutaj?

– Nie! Nie należy go tym wszystkim męczyć.

– Ale to konieczne.

– Sądzisz, że to Beniamin strzelał?

– Ależ nie, na Boga! – wybuchnął referendarz, wydając z głębi płuc rodzaj świstu. Cisza, zamykająca się wokół niego, była tak trudna do wytrzymania, że musiał ją przerwać.

Beniamin Grøneltv został uroczyście doprowadzony przed oblicze referendarza, swojego dziadka ze strony matki, żeby złożyć zeznania potwierdzające, w jaki sposób pan Leo zdołał zrobić sobie

dziurę w głowie. W zasadzie gdy tylko zobaczył malowaną na niebiesko żaglową łódź przybijającą do przystani, wiedział, że będzie musiał to zrobić. Złożyć zeznania.

Dina przeprosiła i wyszła. Nie zamierzała być świadkiem zamęczania dzieciaka na śmierć, prychnęła, mijając się w drzwiach z Beniaminem.

Sytuacja zrobiła się tak kłopotliwa, że referendarz nie miał pojęcia, co począć. Posłano po Andersa, aby im towarzyszył.

Po upływie czasu potrzebnego na założenie koniowi wędzidla usłyszeli, jak Dina jedzie konno przez podwórze. Gdy tylko zjechała na pole, kopyta zaczęły stukać bardziej miękko. Słyszając zmieniający się odgłos końskich kopyt, Beniamin wiedział dokładnie, gdzie teraz jest. Mówiło o tym również echo odbijające się od szczytów. Góry przyzywały ją do siebie.

O tym myślał. Ta myśl górowała nad wszystkim.

*

Anders, widząc, jak bardzo chłopiec jest przestraszony, chciał go wziąć na kolana. Ale przyszło mu do głowy, że już dość zaznał upokorzeń, żeby jeszcze dodawać do tego sadzanie go na kolanach. Dlatego poprzestał na położeniu dzieciakowi dłoni na ramieniu, po czym głośno i wyraźnie powtarzał szeptane przez niego słowa.

– Usłyszałem straszny huk – zaczął Beniamin, a z każdego otworu jego ciała coś ciekło i kapało. Nie mógł się wytrzeć ani w inny sposób uratować, bo dłonie i stopy schowane pod stołem miał całkowicie omdlałe.

– Rozumiem – odparł referendarz, wyraźnie zakłopotany. – Gdzie wtedy byłeś?

– Nie wiem. Po prostu biegłem. I wtedy...

– Wtedy co?

– Wtedy... wtedy zobaczyłem, że on tam po prostu leży. A wszędzie dookoła było czerwono.

Położył głowę na stole, opierając ją na obu dłoniach. Drewno pachniało woskiem. Myślał o tym, że drewno pachnie woskiem. To była zwyczajna myśl.

– Czy byłeś wtedy razem ze swoją matką?

– Nie – dobiegła odpowiedź z nad stołowego blatu.

– Gdzie ona była, kiedy to się zdarzyło?

– Nie jestem pewien... Chyba stała gdzieś w zaroślach.

– A ty?

– A ja nadbiegłem...

– Dlaczego biegłeś?

– Był huk! Czy nie rozumiesz...

– Podnieś się ze stołu, chłopcze, żebym rozumiał, co mówisz! Nikogo z tobą nie było?

– Nie...

Powoli podniósł głowę. Dłonie złożył na blacie. Wszystko się zatrzymało. Zobaczył siebie unoszącego się w dużych, poważnych oczach referendarza. Ale to mu nie przeszkadzało. Bo w końcu znalazł wytłumaczenie całej sprawy.

– Nie. Nikogo ze mną nie było. Byliśmy osobno. Zbierałem i jadłem jagody.

Rzucił to z triumfem w przestrzeń izby.

Kiedy nadal panowała cisza, zastanowił się mocno nad tymi słowami i jeszcze raz je powtórzył. Brzmiały bardzo prawdziwie.

Referendarz westchnął. Wykonał swój obowiązek. Sumiennie wypełnił dokumenty. Zostało w nich zapisane, że Leo Żukowski, pochodzący z Imperium Rosyjskiego, podczas podróży w rejonie Północy zakończył życie z własnej woli, strzelając do siebie przypadkowo w dystrykcie zarządzanym przez referendarza Larsa Holma. Mężczyzna poszedł na polowanie, a w chwili wystrzału nie było w pobliżu żadnych świadków. Wystrzał usłyszała Dina Grønelv i jej małoletni syn Benjamin, którzy niezwłocznie nadbiegli z pomocą. Ale życia Rosjanina nie udało się już uratować.

Referendarz odczytał cały dokument. Kiedy wymawiał słowa „życia nie udało się już uratować”, jego głos zabrzmiał nieco ochryple.

Anders nieznacznie przytakiwał. W ten sposób było po wszystkim.

Dopiero wtedy chłopiec pojął, że nasikał pod siebie.

Wyszedł ostatni i niezauważony przemknął do swojej izby, żeby znaleźć suche ubrania.

*

Po południu, kiedy referendarz odbił już od przystani, Anders nie mógł pozbyć się uczucia, że wziął udział w czymś bardzo grzesznym. Nie miał pojęcia, jak mógłby wynagrodzić to Benjaminowi. Jedyne, co przyszło mu do głowy, to zabranie chłopca na pomost na ryby. Dał mu też kawałek brązowego cukru i tyle tytoniu do żucia, ile ten miał ochotę wziąć.

Chłopiec jadł i żuł tytoń, aż zwymiotował. A kiedy już się umył, sprawiał wrażenie, że pozornie wszystko jest w jak najlepszym porządku.

Jednak Anders przez kilka dni obserwował go uważnie, badając, jak się sprawy mają. Od czasu do czasu nawiedzała go myśl, że to ona jako matka powinna teraz być z chłopcem. Ale rozumiał ją aż nadto dobrze. Kilkakrotnie bliski był powiedzenia jej o tym. Nie wiedział jednak, jak miałby się do tego zabrać.

I na tym sprawa się zakończyła.

Rosjanin Diny zniknął. A Anders czuł się winny wielkiego grzechu, jakkolwiek dziwnie mogło to brzmieć. Przecież to jasne, że lubił tego człowieka. Podziwiał go. I zazdrościł mu. Ten chłop był taki szybki w działaniach. Kuł żelazo, póki gorące. Mężczyzna, który nie siedział przyczajony, czekając na okazję. Wziął się do roboty. I zdobył Dinę dla siebie. To było jedyne, co Anders miał mu do zarzucenia. Najwyraźniej jednak wolałby, żeby nigdy się nie urodził.

A teraz już go nie było.

*

Pierwszą rzeczą, jaką zrobił Beniamin po przeniesieniu puchowej kołdry, muszelek, lupy Matki Karen oraz swoich przyborów do pisania do domu głównego, było obwąchanie całego domostwa. Musiał dopuścić do siebie te niezwykle zapachy, żeby znowu poczuć się tutaj jak w domu. Zajęło mu to wiele dni. Spędzał całe godziny w izbie Matki Karen. Przyglądał się obrazowi przedstawiającemu Jakuba z piękną twarzą przyozdobioną wesołym wąsikiem. Sprawiało to wrażenie, jakby Jakub przez cały

czas ukrywał własny śmiech.

Przyglądał się swojemu odbiciu w owalnym lustrze nad komodą, żeby ustalić, co właściwie odziedziczył po Jakubie. Ale zarzucił poszukiwania podobieństwa i postanowił wrócić do nich wtedy, kiedy będzie miał już brodę.

*

Oline była niezwykle zadowolona.

– Chłopak przeprowadził się z powrotem do domu – mówiła dosłownie każdemu, kto tylko chciał słuchać. – Przecież to nie jest żaden chłopski dzieciak, tylko jedyny dziedzic Reinsnes!

Stine milczała. Ale codziennie przychodziła z drobiazgami, o których Benjamin zapomniał, albo prosiła go o pomoc w różnych drobnych sprawach i pracach. Bezgranicznie irytowało to Oline.

– Benjamin nie jest żadnym chłopcem na posyłki – prychnęła pewnego dnia, kiedy Stine przyszła poprosić go o pomoc w sprzątanii piwnicy.

– Oczywiście, że nie – rzekła Stine. – Ale jest silny i sprawny. A Hanna jest taka niezdarna i słaba.

Oline wzięła na siebie zapobieganie obniżaniu pozycji Beniamina i odpowiedziała potokiem twardych słów. Dina przechodziła obok uchylonych drzwi kuchennych akurat w chwili, kiedy mogła usłyszeć, jak Oline mówi:

– Chyba możesz pójść do siebie i poprosić małą, żeby ci pomogła w pracy, a nie męczyć o to Beniamina! Już o wiele za długo traktowany był jak chłopak stajenny.

Kiedy Dina weszła do kuchni, Oline zamilkła, odwracając się w

stronę blatu, na którym rozbijała rybę. Wielki drewniany tłuczek żarłocznie wbijał się w rybi farsz. W nowym, żeliwnym piecu kuchennym zostało porządnie napalone, a pierwsze kotlety już skwierczały na patelni. Woń kotlecików rybnych przepojona delikatnym aromatem gałki muszkatołowej docierała w każdy kąt.

– Jak dotąd Beniaminowi nigdy nie zaszkodziło wykonanie takiej czy innej pracy – powiedziała Dina.

Oline milczała groźnie.

– Beniamin niezbyt dobrze sypia. Męczą go sny. Nie szkodzi, że nie pozwala mi zasnąć, bo ja też ostatnio nie sypiam. Dlatego właśnie przeprowadził się do południowej izby. Ale jak najbardziej może zrobić coś pożytecznego.

– Nie przyszłam się kłócić – rzekła Stine.

– Nigdy nie przychodziłaś się kłócić – odparła Dina. – A Oline i tak ma już dość roboty, niech więc nie martwi się dodatkowo o Beniamina!

– Ale to jest niestosowne! – powiedziała Oline. – Bardzo niestosowne! Żeby syn z dobrej rodziny w swoim własnym domu dorastał w oficynie i musiał wykonywać wszystkie prace, których nikt inny nie chce zrobić!

Czuła się poruszona własną odwagą, wysunęła więc zwinięte w trąbkę usta, żeby odpowiednio podkreślić swoją godność.

– Na świecie jest już dosyć panów – rzekła krótko Dina. – Beniamin dobrze wie, kim jest. Nie potrzebuje siedzieć beczynn timer.

Oline zmeła między zębami odpowiedź i poprzysięgła sobie nigdy więcej nie otwierać ust.

I trzymała się tego aż do samego wieczora.

*

Na początku sądził, że wystarczy tylko przyjmować smaczne kąski od Oline, od Stine otwarte dłonie i oczy, od Diny jej nieco szorstką bliskość, na którą trzeba było zasłużyć. Ale to wszystko nie było takie proste. Relacje z kobietami z gospodarstwa okazały się równie trudne, jak balansowanie na napiętym drucie do suszenia siana, rozciągniętym pomiędzy ścianą obory a podjazdem przy stodole. Często upadał, raniąc się i nabijając sobie liczne siniaki.

Zdarzało się, że miał tego wszystkiego dosyć. Albo że Rosjanin krzyczał i podnosił wrzask nawet w dzień. Wtedy szedł na przystań do Andersa. Ten o nic nie pytał i niczego innym nie planował. Można było zapytać go o cokolwiek i dostać rzeczową odpowiedź. Z nikim nie był spokrewniony, z nikim żonaty, dla nikogo nie był ojcem ani nie przyjaźnił się z pastorem. Miał jedynie stałe miejsce przy stole Diny, zarządzał jej kliprami i jej handlem z Bergen. To wszystko. Nikt nie mógł zabronić Andersowi wyjazdu, kiedy tylko zechce, ani pozostania, jeśli tak wybrał. Nikt nie próbował skłonić go do posprzątania w piwnicy. To zapewne dlatego na twarzy Andersa często gościł uśmiech.

Pewnego dnia zapytał Andersa, w jaki sposób znalazł się w Reinsnes. Na to Anders z fajką między zębami i gotową do uśmiechu, osobliwie wystającą dolną szczęką odpowiedział:

– To przez katastrofę morską, chłopcze! Katastrofy to ważne rzeczy w ludzkim życiu. Decydują o życiu i śmierci. Często wtedy przybywa się w nowe miejsce... To najprawdziwsza prawda. Ja dotarłem tu, do Reinsnes.

– Czy dawno temu zdarzyła się ta katastrofa?

– To moi biedni, błogosławieni rodzice się rozbili, nie ja. Byłem wtedy tylko małym chłopcem.

Opowiadał dalej historię o pierwszej żonie Jakuba, Ingeborg, która zajęła się zarówno nim, jak i jego bratem, Nielsem. Obraz ten w oczach Beniamina stał się tak żywy, że przechodząc w korytarzu obok jej wizerunku, ukłonił się.

Oline wiele razy wprowadzała go szczegółowo we wzajemne powiązania rodziny z Reinsnes. Ale ona malowała to wszystko w innych barwach niż Anders. Jej niezliczone historie i zawikłane detale były dostatecznie interesujące, żeby słuchać. Tylko że one nigdy się nie kończyły. Anders natomiast miał taki sposób snucia opowieści, że człowiek od razu wiedział, co jest ważne, a co nie. Kiedy jednak miał czas na porównanie relacji Andersa i Oline, to w pewien sposób wszystko w nich się zgadzało.

Przestał traktować Jakuba jak nieszczęśliwego mężczyznę, który odszedł zbyt wcześnie, tak jak chciała widzieć to Oline. W jego oczach Jakub był wesołym marynarzem, który zszedłszy na ląd, zenił się po kolei to z jedną, to z drugą. A kiedy już poczuł się tym zmęczony, spadł z wielkiej góry. Ale zawsze był otoczony szacunkiem przez Andersa i darzony miłością przez Oline.

Wtedy dobrze było myśleć: „Jakub jest moim ojcem”.

– Gdyby człowiek miał ojca, to może udałoby się popłynąć z nim na Lofoty? – powiedział pewnego dnia, gdy siedzieli z Andersem na przystani Andreasa i w świetle wielkiej lampy naprawiali sieci.

– Wiesz... to nie o to chodzi... możesz przecież wyprawić się na Lofoty, jak tylko trochę podrośniesz. Ojciec nie ma tu nic do rzeczy.

Chodzi raczej o to, jakiego masz w sobie ducha – odrzekł Anders, uciekając wzrokiem.

– Po co są ojcowie? Znaczący, co robią z nimi tacy, którzy jakiegoś mają?

– Cholera wie? Ale to chyba może być sporo rzeczy... – powiedział Anders po chwili głębokiego namysłu.

Potem nabił fajkę i zaczął opowiadać o swoim ojcu.

– Potrafił odwrócić talerz pełen gorącej owsianki tak szybko, że nawet masło z wierzchu nie wypadło! Dobrze to pamiętam!

– Przecież to niemożliwe.

– Nie dla mojego ojca – rzekł Anders. – W ogóle nie bał się, że oparzy sobie rękę. No i cóż... utonął...

– A ojciec Hanny się powiesił?

Anders zachował spokój.

– Tak – odparł jedynie.

– Dlaczego zawsze tak się dzieje?

– Nie zawsze tak się dzieje, tylko tak wydaje się ludziom pochodzącym z Reinsnes – odpowiedział Anders.

– Czy ty jesteś dla kogoś ojcem, Anders?

– O ile wiem, nie.

– A człowiek nie wie takich rzeczy?

– Nie zawsze, mężczyznom czasami nie jest łatwo zorientować się w tych sprawach.

Anders splunął, żeby ukryć śmiech.

– Dlaczego ty nie jesteś moim ojcem? – zapytał chłopiec, patrząc bystro na mężczyznę.

– O to powinieneś zapytać raczej Dinę.

Anders odciął linkę małym nożem, który miał zamocowany na kółku na palcu. Nagłe uderzenie ostrego dzioba.

– Czy to baby decydują, kto ma być ojcem?

– Wydaje mi się, że nie zawsze. Ale Dina na pewno tak.

– Czy Jakub był takim wyjątkowym ojcem?

– No cóż... nie jestem pewien, czy wzięła go sobie na ojca. Dina była taka młoda, gdy tutaj przybyła.

– A więc dlaczego go sobie wzięła?

Anders poczuł, że się poci. A nici do naprawiania sieci właśnie się skończyły.

– Jakub pod każdym względem był godnym podziwu człowiekiem. I miał Reinsnes. Sądzę, że to referendarz chciał go na zięcia. Ale nie powinienem się na ten temat wypowiadać, Beniaminie. Należałoby zapytać o to twoją matkę...

Puścił mimo uszu ostatnie zdanie, traktując je jak zbyteczną gadaninę, i rzekł:

– A czy Dina chciała Jakuba?

– Sądzę, że tak...

– Po co był jej mężczyzna, który zaraz umarł?

– Nikt nie mógł przewidzieć, jaki będzie los Jakuba. Ale być może to przede wszystkim referendarz postanowił, kto ma być

mężem Diny.

Zapadła cisza, a potem z ust chłopca padły zdecydowane słowa:

– W życiu w to nie uwierzę!

Anders nie był w stanie powstrzymać śmiechu.

– Wiesz, Beniaminie, od tamtej pory upłynęło trochę lat.

Beniamin nie odpowiedział, siedział tylko, miętosząc sieci i nie poświęcając uwagi wielkiej dziurze, którą właśnie znalazł.

– Powinno być tak, żebyś to ty był moim ojcem – rzekł.

– Dlaczego?

– Po prostu tak czuję... że moglibyśmy popłynąć razem na Lofoty.

Chłopiec posłał mu bezbronne spojrzenie.

Mężczyzna z trudem zaciągnął się dymem z fajki.

– Czy myślisz, że wtedy byłbym inny? – zapytał Beniamin.

Anders wyjął fajkę z ust, potem długo i gwałtownie kaszłał, zanim spojrzał na chłopca. Następnie powoli potrząsnął głową.

– Nie sędzę, myślę, że niezależnie od wszystkiego byłbyś zawsze samym sobą.

– To wobec tego możesz być moim ojcem, skoro tak?

Anders wahał się przez chwilę, a potem wyciągnął dłoń.

– Skoro tak, zgoda! Jeśli uważasz, że to przyniesie ci coś dobrego. Ale wydaje mi się, że najlepiej, aby pozostało to między nami, bo w księgach kościelnych zapisane jest coś innego.

Ujęli się za dłonie i obaj poważnie skinęli głowami.

Rozdział czwarty

Nad Reinsnes zaciążyły różne niewidzialne brzemiona. Przeniknęły stare deski. Ukryły się w szparach. Wśród wiecznego oddechu zmarłych w wiekowym domu. Między omszałymi kątaami i starymi szmatami, leżącymi tam od dawna.

Po pewnym czasie dom napełnił się ciałami i głosami zdolnymi stłumić smutek. Dina nie chodziła po nocach na górze ani nie siadywała w altanie, pijąc wino, tak jak przepowiadała Oline. Rankami nie poniewierały się po całym domu porzucone przez nią niedopalone cygara i puste butelki. Pozornie wszystko było jasne i czyste jak świeży śnieg na polach.

Niekiedy Beniamina budził płacz Rosjanina. Albo jego własny płacz. Wtedy szedł do sali, do Diny. Grali w szachy, żeby zagłuszyć strach przed ciemnością i wszystko inne, na co nic nie można było poradzić.

Jako że tylko Anders, Dina i Beniamin sypiali po tej stronie poddasza, wszystkie dźwięki wybrzmiewały głośno w uszach Andersa. Często budził go płacz chłopca. Potem słyszał człapanie po deskach i skrzypienie drzwi. W środku dokładano do ognia. Wtedy jego izba wydawała się jeszcze bardziej lodowata, a pościel wilgotna. Czuł tęsknotę, żeby pozełgować jak najdalej od tego wszystkiego. Bo przypominało mu coś, czego nigdy nie miał. Zdarzało się, że Anders godzinami leżał, wpatrując się szeroko otwartymi oczami w czarną ścianę ze świadomością, że tamtych dwoje czuwa tuż obok, po drugiej stronie korytarza.

Pewnego ranka chłopiec nie przyszedł na śniadanie. Ale

guwerner, który uczył Beniamina i Hannę, siedział przy stole.

– Zdaje się, że chłopak zamienił dzień w noc? Czy przesiadywanie po nocach dobrze wpłynie na jego chęć do nauki?

Dina rzuciła młodemu guwernerowi Angellowi ostre spojrzenie.

– Beniamina męczą koszmary. Radzimy sobie z tym, grając w szachy – powiedziała, wręczając Andersowi trzymany w obu dłoniach półmisek z chlebem, chociaż o to nie prosił. Jej dłoń ześlizgnęła się po przegubie Andersa.

Anders nie był pewien, jak ma się zachować. Już od dawna widział, że oczy Diny są przekrwione, a po obu stronach jej ust pojawiły się głębokie bruzdy. Opuścił wzrok, żeby nie krępować jej znękanej twarzy swoim spojrzeniem.

– Dzisiaj w nocy było tak zimno, że w beczce pod okapem dachu całkowicie zamarzło – powiedział wesoło, podając półmisek guwernerowi.

– Idzie ku zimie, nie ma żartów – odparł życzliwie guwerner, ciesząc się w duchu, że jego drobna, niefortunna uwaga nie pociągnęła za sobą gorszych skutków.

*

Jakoś tuż przed świętami Bożego Narodzenia stało się tak, że Hanna przestała być dla Beniamina „małą Hanną”. Miało to chyba coś wspólnego z Rosjaninem i Diną. Od dawna przyglądał jej się ukradkiem. Miał w związku z tym mnóstwo spraw do przemyślenia. Na przykład, jak wyglądałaby, gdyby umarła. Gdyby na przykład nie miała głowy. Mógłby podkraść się do niej z lupą Matki Karen, jak nie przymierzając do jakiegoś owada. Trudno było wyobrazić sobie Hannę jako martwą muchę na parapecie

okiennym. Ale nie dawał się temu zwieść. Bo Rosjanin też wydawał się taki... niemożliwy do wyobrażenia go sobie martwego.

A może to tylko dlatego, że nigdy nie przyszło mu to do głowy. Chyba był wtedy za mały. Myślał tylko o zwyczajnych rzeczach.

Pewnego dnia siedzieli razem przy wielkim stole w jadalni. Obserwował Hannę, która męczyła się z wycięciem żłóbka bożonarodzeniowego z papieru. Jej górną wargę pokrywał meszek. Zupełnie jakby była kotem. Można było je obserwować przez lupę i nic ich to nie obchodziło.

Wtedy do izby weszła Dina. Coś w głębi oczu Hanny zamknęło się, a jej twarz przybrała naburmuszony wyraz.

Nie podobało mu się to. Dlatego zaczął myśleć o tym, że ma wyjątkowo małe stopy, a jej krągłe kolana skierowane są do wewnątrz. W ten sposób mógł ją ukarać, nie robiąc jej nic złego.

Najtrudniejszą sprawą w Hannie były jej oczy. Były brązowe jak ziarna kawy, dryfujące swobodnie w wielkim, okrągłym kubku pełnym mleka. Kiedy mrugała, to wszystko niknęło na chwilę w lesie czarnych rzęs. Nikt nie potrafił mrugać tak długo i z takim rozmachem jak Hanna.

– Nie lubisz Diny, prawda? – zapytał przez stół, kiedy Dina już wyszła.

– A dlaczego miałabym nie lubić Diny? – odparła Hanna, mrugając długo i starannie.

– Widzę to – stwierdził, ponownie pochylając się nad nią z lupą.

Odsłoniła dwa brunatne ziarna kawy. Iskrzyły w jego stronę. Potem jeszcze raz zamrugowała rzęsami.

– Jeśli musisz gadać o wszystkim, co widzisz, to proszę bardzo – powiedziała w połowie mrugnięcia.

Taka odpowiedź była w stanie wzbudzić w nim wściekłość zdolną skruszyć kamień. Ale tym razem się pohamował.

– Nie lubisz Diny, bo przeniosłem się do południowej izby – stwierdził.

Hanna wysunęła usta i wycięła dwa skrzydła anioła, zanim w ogóle pokazała po sobie, że usłyszała choćby słowo. Potem westchnęła i odrzekła:

– Nie wyprowadziłeś się wcale na tyle, żeby bez przerwy do nas nie przybiegać.

– Za dużo przychodzę?

– Nie, ale nie rozumiem, co to ma wspólnego z Diną?

– Ona jest moją matką! Nikt nie ma matki, która jeździ na koniu i wyprawia się do Bergen! Ale ja mam!

Zrobiła przedrzeźniający gest, potem zawiązała mocniej wokół szyi troczek fartucha i wróciła do swojego zajęcia.

– Pewnego dnia stąd wyjadę! Żebyś wiedziała! – zawołał.

Hanna dalej wycinała aureolę Dzieciątka Jezus, dodając po chwili z westchnieniem:

– Zrobiłeś się ostatnio naprawdę paskudny!

Siedział z otwartymi ustami.

– Jak to?

– Ciągle tylko Dina i Dina! Bez przerwy mówisz i myślisz

wyłącznie o Dinie. To nie jest żadna kobieta! Ona jest – szatanem!

– Kto tak mówi? – wyszeptał.

– Mężczyźni w składzie.

– Kłamiesz! – wykrztusił i odłożywszy lupę z głośnym stuknięciem, pobiegł do drzwi.

Hanna w oczekiwaniu na jego powrót wycięła obie stopy i dwa ramiona Dzieciątka Jezus. Kiedy nie wracał, ruszyła za nim. Bez szała. Znalazła go w szopie na siano. Stał tam, zajadle rozrzucając suche źdźbła, zupełnie jakby miał zamiar sam nakarmić wszystkie zwierzęta.

– Nie marnuj siana – odezwała się pojednawczo.

Wtedy rzucił się na nią. Popchnąwszy ją z całej siły na zakurzone klepisko, ciągnął ją tak długo za włosy, aż zaczęła płakać.

– Sama widzisz, z ciebie też jest diabelskie nasienie! – krzyknął, osuwając się obok na kolana.

Dała mu bezsilnego szturchańca. Broniąc się, przytrzymał ją mocno, wciskając głowę w jej brzuch. Ale ona już się poddała. Słyszał to w jej oddechu. Miał ochotę ugnieść ją jak ciasto, ścisnąć tak długo, aż ucichnie każdy dźwięk. Ale dopóki płakała, nie był w stanie tego zrobić.

Skończyło się tym, że przyciągnął ją do siebie i był dla niej dobry. Badał ją i głaskał, wciągał jej zapach i bawił się z nią w te tajemne zabawy, o których tylko oni wiedzieli. Zabawy, które zostały odkryte już dawno temu, przez co nie pozwalano im więcej sypiać w tym samym łóżku ani w jednej izbie.

W samym środku zabawy poczuł, że nic już nie jest takie, jak wcześniej. Bo widział Dinę i Rosjanina na wrzosowisku. Przez to zabawa stała się obrzydliwa i haniebna. A jednocześnie nabrał chęci, żeby robić z nią rzeczy, na które nie miał odwagi. A ten, kto nie miał odwagi, był miernotą.

Po pewnym czasie usłyszeli wołanie Stine dobiegające z podwórka. Hanna szybko poprawiła ubrania i wybiegła bez słowa. Ale wiedział, że na swój sposób znów są przyjaciółmi. Nie mogło być inaczej. Czuł się tak, jakby właśnie uniknął wielkiego niebezpieczeństwa, więc zaczął czyścić zgrzeblem konie.

Ten dzień okazał się dniem niezwykłych spotkań. Dina przysłała po konia i kiedy w chwilę później Tomasz wszedł do stajennego korytarza, usłyszał jasny głos Beniamina, przerywany tylko ruchami zgrzebła i końskim oddechem.

– Dino, chociaż nie ma już Rosjanina, nie musisz szukać sobie męża.

Tomasz ledwo słyszał głos Diny. Koń uderzał kopytami w ziemię. Dźwięki dochodziły z innej strony świata. Podszedł bliżej i przystanął. Jak przykuty do korytarza w stajni. Ramiona opadły mu niczym ołowiane odważniki. W ogóle ich nie czuł.

– Bo wiesz, damy sobie jakoś radę – mówił chłopiec. – Wkrótce będę dorosły, a przynajmniej confirmowany. A poza tym zapytałem Andersa, czy póki co nie mógłby być moim ojcem!

– Ach, tak?

Dina zakaszłała przez pył unoszący się z siana.

– Powiedział, że się zgadza – dodał chłopiec.

– I wy dwaj tak całkiem samodzielnie o tym zdecydowaliście?

– Tak, nie chciałem zawracać ci tym głowy.

– A co on ma robić jako twój ojciec?

– No cóż, też go o to pytałem. Jego ojciec umiał odwrócić talerz z owsianką tak, że masło nie wypadało. Ale on tego nie potrafi. Tylko w sumie tego nie warto się uczyć. Więc pozostanie raczej sterowanie zagłowcem, wyprawy do Bergen i podobne sprawy. Tak też będzie dobrze. Mógłbym zabrać ze sobą książki, żeby mi się nie dłużyło.

– Rzeczywiście mógłbyś.

Przez chwilę, podczas której nakrywali konia derką, panowała cisza.

– Czy dużo myślałeś o tym, że chciałbyś mieć ojca? – usłyszał Tomasz jej pytanie.

– Ależ nie, nie, tylko jak była jakaś okazja. Niezbyt często...

– Co jeszcze powiedział Anders? – zapytała.

– Ach, on jest taki zabawny, można z nim rozmawiać o wielu rzeczach. Uśmiecha się tak spokojnie, ale w tym chłopie jest mnóstwo wesołości. Gdybyś w tym czasie, kiedy wzięłaś sobie Jakuba na ojca dla mnie, wyszła za Andersa, to miałabyś dzisiaj męża przy życiu – powiedział. – Ale tego nie mogłaś oczywiście wiedzieć – dodał dobrodusznie.

– Tylko wiesz, Beniaminie, to Jakub chciał mnie za żonę, a nie Anders.

– Jakim durniem był Anders! Powiedział, że to dlatego, że

Jakub miał Reinsnes i był takim poważanym mężczyzną, no i że referendarz chciał Jakuba.

– Lepiej, żebyś nie gadał o tym aż tyle z Andersem – rzekła.

– Przecież muszę z nim rozmawiać, skoro ma być moim ojcem!

Tomasz ocknął się nagle. Wyślizgnął się cicho przez drzwi i poszedł w stronę rybackich szop na przystani.

Rozdział piąty

Święta Bożego Narodzenia trwały w najlepsze, razem z całym swoim zamieszaniem i pośpiechem. Posiłki, zabawy towarzyskie i szklanki z grogiem. Niektórzy na pewno pamiętali tamte święta, kiedy Rosjanin tańczył i śpiewał.

Przyjechał referendarz z rodziną. Chłopcy biegali w górę i na dół po schodach, wypadali przez drzwi. Oline wołała za nimi, a Tea przynosiła im rzeczy i zbierała je po nich. Izba Beniamina stała się ruchliwą jaskinią pełną mokrych, wełnianych skarpet, buczenia parowca i ogryzków zakazanych cygar. Odór spoconych karków i słodki zapach kakao z bitą śmietaną. W całym korytarzu pachniało świętem i chłopcami. Kłaczki kurzu beztrąsko przesuwają się z jednego kąta w drugi, zależnie od tego, skąd powiało.

W korytarzu poddasza trzeba było postawić trzy wiadra na potrzeby naturalne. A drugiego dnia świąt Tea stwierdziła, że nie rozumie, jak z ludzi może wychodzić aż tyle wody. W tym roku więcej niż w zeszłym, tak uważała.

Śmiech i kłótnie chłopców następowały po sobie tak szybko, że nikt nie zamierzał bawić się w pojednawcze rozmowy. W końcu byli teraz o rok starsi. Poza tym wszystko działało się jak zawsze.

Z tego, że Benjamin już pierwszego dnia świąt cichutko przeniósł się na dół, do izby Matki Karen, postanowiono nie robić większego problemu.

Miał kłopoty ze snem, rzuciła Dina w pędzie. Ale synowie referendarza, usłyszawszy to, gapili się na Beniamina. Tylko starzy ludzie miewali problem ze spaniem. Ale nawet nie drażnili się z

nim. W jakiś sposób kłopoty ze snem budziły ich respekt. Gorsze było to, że Beniamin unikał zabawy. Siedział tam, w swojej izbie, i dobrowolnie czytał książki.

W czasie pierwszego większego przypływu po Nowym Roku wyciągnęli kliper „Matka Karen”. Ludzie przybywali z bliska i z daleka, do ogólnego rozgardiaszu dołączyli też niektórzy spóźnieni goście świąteczni. Kobiety wyszorowały mydłem pokład, żartując przy tym, że najbardziej odporne wszy żyły w koi Andersa. On odwdzięczał się żartobliwym stwierdzeniem, że to z powodu stałego ciepła w łóżku. Dziewczyny napawały się tą śmiałością i korzystały z okazji, żeby szturchnąć albo dotknąć Andersa.

Dina stała w otwartym oknie nadbudówki. Ku zdumieniu wszystkich też przyszła, żeby popłynąć. Dzień był łagodny, choć ołowianoszary, bo słońce ciągle jeszcze się nie pokazało. Na południu jednak, w samym środku dnia, pojawiał się jego zwiastun, kładąc cień blasku na wyspach.

Dziewczęta uniosły głowy, słysząc, jak Dina woła Andersa. Dźwięcznym głosem.

Beniamin leżał na płask w małej łodzi, łowiąc płocie wśród przybrzeżnych kamieni. Też to usłyszał. I czuł, że ten dzień zapowiada się coraz lepiej.

Skończywszy szorowanie oraz żarty z Andersem, dziewczyny zebrały sterty szmat i cebrzyki, żeby powiosłować na ląd. Ale w chwili, kiedy Anders wspiął się do nadbudówki, rzuciły parę znaczących spojrzeń.

– Dowcipkujesz sobie z czeladzią – powiedziała, kiedy Anders wszedł do kabiny.

– Tyle mamy radości, ile jej sobie sami dostarczymy – parsknął cicho.

– Mam tutaj łyk rumu dla uczczenia tej chwili. Jesteś gotów do wyprawy na Lofoty.

– Ach, tak – powiedział tylko, siadając na jednej z koi. W czasie, gdy nalewała, przyglądał jej się z boku.

– Nie wygląda, żebyś miał wielką ochotę na ten kieliszek.

– Ależ tak, tylko nie spodziewałem się. Ostatnio dawno temu...
– dodał cicho.

– Dużo się działo.

– To prawda, bardzo dużo – stwierdził.

– Ale w końcu zrobiło się już na tyle jasno, że da się żyć! – powiedziała, siadając obok niego i wręczając mu kieliszek. Siedzieli na tej samej koi, na której płód z trudem opuszczał jej ciało podczas przeprawy przez Foldhavet.

– Co masz na myśli? – zapytał, myśląc o wyrzuconym za burtę płodzie.

– Że nadchodzą lepsze czasy.

– Ach, w tym sensie – wymamrotał w oczekiwaniu.

– Dlaczego tak mi się przyglądasz? – zapytała.

– Bo nie wiem, czego ode mnie chcesz.

Odrzuciła głowę do tyłu. Pomyślał, że do złudzenia przypomina teraz swojego konia, jak spętany rzy, stojąc na polu.

– Nigdy nie rozmawialiśmy sam na sam, o ile pamiętam...

– Nie – zgodził się.

Siedziała, ważąc kieliszek w dłoniach.

– Czasami jesteś dla mnie zbyt bystry, Anders – rzekła nieoczekiwanie.

– Ależ doprawdy... Co masz na myśli?

– Niewiele wypowiadasz się o tym, co widzisz – odpowiedziała, balansując kieliszkiem pomiędzy jedną dłonią ustawioną poziomo a drugą w pionie.

– O czym?

– Na przykład o mnie.

– To nie jest mój interes – wymamrotał.

Przyglądał jej się w zakłopotaniu. Kobiety wiosłujące w stronę łądu zaśmiewały się. Lekka fala od małej łódki chlupotała o burzę. Pachniało mocno solą. Byli sami. Dina i on.

Gdzieś rodziło się napięcie. Opuścił wzrok.

– Chcę, żebyś w moim imieniu zajął się Reinsnes! Jadę na południe. Być może już mnie nie będzie, kiedy wrócisz z Lofotów – powiedziała.

Starannie przełknął ślinę, odstawiając spokojnie na niewielki stolik kieliszek na nóżce razem z zawartością. Stolik był bezpiecznie zamocowany do pokładu. Musiał się mocno przechylić, żeby do niego dosięgnąć.

– Dokąd chcesz jechać?

– Do Kopenhagi. Może jeszcze dalej. Ruszę parowcem do Trondhjem.

– Jedziesz na południe do Kopenhagi... Czy mogę spytać, po co?

– Nikt o to nie wypytuje – odparła sucho.

Światło nabrało fioletowej barwy. Jej palce oparte na kolanach były niespokojne. Owalne, połyskliwe paznokcie odznaczały się na tle ciemnego, wełnianego materiału.

– Jest ci ciężko? – zapytał.

Wtedy wzięła go za rękę, zbliżając się. Poczul kłujący dreszcz pod skórą i niepokój.

– Tutaj jest ciasno! Rozumiesz to?

– Czy rozumiem... Jak długo zamierzasz tam być?

– Tego nie wiem.

– O co właściwie w tym wszystkim chodzi? – zapytał, chcąc wstać.

Wtedy pochyliła się, chwytając go za oba przeguby. Była silna. Napawał się tą chwilą, a jednocześnie czuł niepokój. Kiedy nie odpowiadała, zapytał:

– Chyba muszę zrobić, jak mówisz. Wypytać cię. Czy to Rosjanin za mocno straszy w Reinsnes?

– Co chcesz przez to powiedzieć? – wyszeptwała.

– Chcę powiedzieć: czy nosisz tak wielką żalobę po Leo Żukowskim, że musisz stąd uciekać?

– Żalobę?

– Wszyscy widzieli, że tego właśnie mężczyznę Dina chciałyby mieć za gospodarza w Reinsnes. Ja również to dostrzegałem.

Chciał, żeby jego głos brzmiał miło i zwyczajnie. Ale nie był pewien, czy tak jest.

– Żałoba? – powtórzyła, przyglądając się uważnie czemuś za oknem nadbudówki. – Tutaj jest tak ciasno... Ciągłe ten sam znój. Pory roku. Praca w polu. Ludzie. Rachunki.

– I zauważyłaś to dopiero, jak zabrakło Leo? – zapytał cicho.

– Pewnie wcześniej też to dostrzegałam... zapewne tak samo byś myślał, gdybyś bez przerwy był skazany na...

– Zapewne tak – zgodził się.

Przez chwilę milczeli.

– Ale ja nie jestem właściwą osobą do zajęcia się w twoim imieniu Reinsnes. Tak rzadko bywam w domu.

– Tylko ciebie mogę o to poprosić.

– Chyba nie mówisz tego poważnie?

– Ależ tak!

– Ale gdybyś wyszła za mąż, to byłyby do tego dwie osoby? – zapytał gorączkowo.

Jakiś cień przeleciał przez nich oboje. Zbiegła mewa za oknem kabiny.

– Już ten i ów mówił mi to wcześniej – rzekła.

– I co odpowiedziałaś?

– To było dawno temu... Zapytałam, czy mają na myśli kogoś konkretnego.

– I mieli?

– Tak.

– Kogo?

– Ciebie, Anders.

Krew uderzyła mu do twarzy. Ale zmusił się, żeby patrzeć na nią. Czekał na szydercze spojrzenie. Nadaremno.

– No cóż, ludzie gadają niestworzone rzeczy. Pamiętam, że mówili to i owo... kiedy zapisałaś na mnie kliper.

– Może mieli rację – powiedziała powoli.

– Rację?

– Że to powinieneś być ty.

– Można zawsze snuć sobie różne myśli – rzekł, dodając szybko:

– A teraz zamierzasz wyjechać do Kopenhagi, bo tutaj jest zbyt ciasno.

– Czy przyjąłbyś mnie? Gdybym cię poprosiła?

– Gdybyś mnie poprosiła?

Bezradnie chwycił się za włosy jedną dłonią.

– Gdybym cię zapytała?

– Tak – odrzekł z prostotą.

Westchnęła.

– Ze względu na siebie? Czy dla Reinsnes? – dociekała.

Przyglądał jej się długo, zanim odpowiedział:

– Powiem ci tyle, że nie wykonuję tego rodzaju robót dla Reinsnes!

– Jak sądzisz, jak to by się ułożyło?

– Źle!

– Dlaczego?

– Spotkałabyś Rosjanina. A ja uciekłbym do Bergen – odrzekł szczerze.

– A gdybym nie spotkała Rosjanina?

– To pewnie mogłoby się udać...

– Teraz nie widać już Rosjanina.

– To prawda, ja go nie widzę, ale sądzę, że ty na pewno tak – powiedział.

– Z jakiego powodu tak myślisz?

– Nawet tutaj w półmroku widzę, że masz co najmniej dwa nowe siwe włosy. Włóczyś się po nocach, a skóra wisi na tobie tak, że przypominasz tarlaka dorsza. Zostały z ciebie tylko oczy i kości. A teraz chcesz stąd uciekać. Rzucić się na głęboką wodę.

Musiała się roześmiać. Przyglądali się sobie nawzajem z czymś w rodzaju rozbawionej powagi.

– Czy chciałbyś mnie teraz, gdybym cię o to zapytała? – powiedziała nagle.

Przez dłuższą chwilę myślał, że to wszystko nie trzyma się kupy, a potem powiedział:

– Gdybyś mnie zapytała, a potem pojechała do Kopenhagi?

– Gdybym cię zapytała i pojechała z tobą tylko do Bergen?

– Musiałbym odmówić – wyszeptał.

– Dlaczego?

– Nie mogę żyć z kimś, kto myśli o nieboszczyku!

Uderzyła tak mocno, że oboje przewrócili się na koję. Potem ponownie uniosła ręce i uderzyła raz jeszcze. Z obu stron. Jego kieliszek poleciał na pokład. Leżał tam, chybocząc się na prawo i lewo. Dźwięk mówił mu, że nadal jest cały. Zanim zdążył pozbierać myśli, leżał już na niej całym swoim ciałem. Pot wystąpił mu na czoło, kiedy wykręcał jej rękę, żeby ją przytrzymać.

– Już! – powiedział zdyszany.

Jej ciało pod nim! Nie był pewny, które z nich drży. Oboje?

Potem poddała się. Najpierw udawał, że tego nie widzi. Chciał, żeby to trwało. Po chwili połuźnił uścisk i puścił ją, podnosząc się od razu. Zawstydzony wygładził jej ubrania, nie patrząc na nią.

– Proszę o trochę zdrowego rozsądku – wymamrotał i podciągając się, wyczołgał się na zewnątrz kajuty.

Już na pokładzie zaczął drzeć. Dygotanie zaczęło się w kolanach i powoli objęło całe jego jestestwo. Chciał zapiąć koszulę, otwartą z przodu w ferworze walki, ale nie był w stanie. Zamiast tego schwycił reling i trzymał się go mocno. Kiedy tak stał, oddychając, miał wrażenie, że upłynęła wieczność. I wtedy usłyszał:

– Anders!

Nawoływała go cicho ze środka.

Odrzucił głowę w tył, wpatrując się w szczyty gór. Wtedy usłyszał to jeszcze raz, wyraźnie.

– Anders!

Przez chwilę chciał biec z powrotem do nadbudówki. Ale coś kazało mu zawrócić.

– W porządku! Zajmę się Reinsnes dla ciebie! – zawołał ochryple.

Potem wyskoczył za burtę i brodząc, poszedł w stronę lądu.

Mała łódka, z której Beniamin łowił ryby, prawie przewróciła się od cofającej się fali. Chłopiec krzyknął coś za nim.

Anders ślizgał się po oblodzonych kamieniach, z trudem przedzierając się przez wodorosty, usiłując zatrzymać go od dołu. Ruszył w górę aleją, ociekając strumieniami morskiej wody. Na oczach wszystkich brodził w nich przez podwórze, poruszając się z determinacją godną morsa w rui, dysząc i plując wodą na prawo i lewo.

Nikt nigdy nie widział Andersa w takim stanie. Nie chodziło tylko o to, że był mokry od pasa w dół, oklejony zielenią, a sznury wodorostów zwisały mu z cholew butów. To był niesłychany widok. Ale Anders był zły! Jak można było to inaczej nazwać?

*

Po raz pierwszy Anders popłynął na Lofoty, nie czując radości. Nie ciesząc się na powrót do domu. Przeklinał sam siebie, że nie umie być inny. Jednocześnie zdał sobie sprawę, że przez te wszystkie lata nosił jednak w sobie pewne wizje i marzenia.

Ale marzenia to było jedno. A zrobienie tego na serio to drugie. Dina nie była dla niego, zawsze o tym wiedział. Potrafił żeglować łodzią wśród burzy i zawiei śnieżnej i utrzymywać się na powierzchni, ale nie był w stanie świadomie zdecydować się na długą podróż łodzią bez steru.

Tak właśnie było! Niech jedzie sobie zatem do Kopenhagi, a on popłynie teraz na Lofoty.

Rozdział szósty

Beniamin widział już martwe ciała. Martwe twarze. Samo w sobie nie było to aż takie okropne. W sumie znacznie gorzej wyglądał ubój. Bo zwierzęta były tak strasznie okaleczane. Martwa twarz Matki Karen przypominała biały, matowy wazon stojący na kredensie w jadalni. Pokryty przezroczystym szkliwem w żółtawym odcieniu i bezładnymi wzorami z kresek. Kiedy tylko potrzebował, widział to tak wyraźnie, że nie zastanawiał się nawet nad tym, że jej ciało jest martwe i już zniknęło.

Z Rosjaninem sprawa przedstawiała się inaczej. Wołał bez twarzy. Pewnie dlatego tak trudno było się go pozbyć. W pewien sposób stał się zwierzęciem rzeźnym.

Za każdym razem, kiedy na stół wjeżdżało świeże mięso, człowiek mógł wyobrazić sobie, jak Oline w wielkiej tajemnicy serwuje na półmiskach Rosjanina. Nie wiedział, skąd biorą się u niego takie myśli, a z Oline czyniły one potwora. Niekiedy jednak miały taką moc, że wszystko w żołądku podchodziło mu do gardła i musiał przeproszać i szybko biec do wychodka.

Kiedy Oline wykorzystała już całe mięso z mężczyzny i została tylko zniszczona głowa i buty, można było przypuszczać, że ten koszmar wreszcie się skończy. Ale sprawa jakby wrosła trwale w jego głowę. Buty skrzypiały po podłodze, kiedy przewracał się w łóżku, a krzyki zjawy dobiegały do jego uszu.

Następnego dnia po takiej nocy potrafił godzinami siedzieć w izbie Matki Karen, patrząc niewidzącym wzrokiem na paznokcie swoich kciuków. Tak długo, dopóki guwerner albo ktoś inny nie

zażądał od niego zajęcia się czymś pożytecznym. W lodowate poranki, zanim ktokolwiek napalił w piecu, można było wyobrazić sobie, że jest się mnichem dokonującym pokuty w celi. Pokuty za Rosjanina.

Zauważał dni wedle sposobu, w jaki były opisane na kalendarzu runicznym^[3] Matki Karen. W zasadzie nie była to żadna deseczka, tylko kawałek oprawionej skóry cielęcej, na której ktoś nakreślił litery i nieporadne rysunki. Zawsze wisiał nad jej sekretarzykiem.

Już w pierwszy dzień nowego roku, na długo przed powrotem słońca, wstawał wcześnie, żeby zobaczyć, czy niebo nie jest czerwone. „Jeśli niebo jest czerwone rankiem nowego roku, wtedy rok ten przyniesie skargi, wiele smutku i nastanie wielka wojna” – tak było napisane.

Westchnął głęboko, widząc, że na dworze jest zamieć oraz zawierucha i że nawet sopte lodu nie czują się dobrze na zewnątrz.

Nie do końca wiedział, o co chodziło z tymi wojnami. Ale jedna rzecz była pewna: ludzie padali jak muchy. Nie wszyscy ginęli od dziury w czaszce. Anders mówił, że większość marła na wojnie z głodu.

Można było wyobrazić sobie te zataczające się dookoła, wychudzone, odziane w łachmany ciała, rzucające się na wszystko, co tylko dało się ugryźć. Ale ta wizja nie do końca dawała mu poczucie, czym jest Wojna. Do tego potrzebne były konie i mundury.

Czasami widział ich oczyma wyobraźni. Żołnierzy. Leżeli porzrzućani na polach bitew z wielkimi, czerwonymi dziurami w głowach.

Ale to też nie do końca się zgadzało. Na swój sposób wojna straciła tej zimy swoje groźne oblicze. Stała się prawie tak przepelniona pokojem, jak wnętrze kościoła. Kiedy pomyślało się o tym wszystkim, co mogło zdarzyć się w rzeczywistości. Ustawił sobie ołowiane żołnierzyki, otrzymane kiedyś od Andersa. Ale to nic nie dawało. Zmiotł je więc na bok i odłożył do kąta, biorąc zamiast tego książkę pełną opowieści z wielkich lasów Ameryki.

W lutym zaczął przyglądać się światłu, wspinającemu się na parapet okienny w izbie Matki Karen. Siedział cierpliwie na podłodze, czekając, aż promienie dosięgną jego bosych stóp. Doszedł do wniosku, że nigdy wcześniej nie był prawdziwie obecny w słonecznym świetle.

Z jednej strony było w tym coś uroczystego, z drugiej czuł przerażenie graniczące z płaczem. Dokładnie tak jak wtedy, kiedy stał na cmentarzu, przyglądając się rzędom grobów, a ludzie dookoła paplali o pogodzie. Kiedy tak stał, rozumiał przecież doskonale, że tylko on zna śmierć.

Tęsknił za opowiedzeniem komuś o słonecznym świetle, ale słowa ukrywały się zbyt głęboko we wnętrzu jego głowy. Nie było sensu nawet o tym myśleć.

Zdradził kiedyś Hannie, że idąc ciemną ścieżką do wychodka, zawsze liczy do stu, a do tysiąca, kiedy w ciemne jesienne i zimowe wieczory musi pójść do letniej obory. Musiał tak robić. Nie wiedział, dlaczego. Ale był pewien, że jeśli nie będzie pilnował, żeby w chwili, gdy otwiera haczyk wychodka, dojść dokładnie do stu, to wszystkie podziemne istoty sprzysięgną się przeciwko niemu. Nie do końca było jasne, do czego mogłoby to prowadzić. Dlatego nie był w stanie wyjaśnić tej sprawy Hannie w zrozumiały dla niej sposób. Słuchała

go jednak, bezustannie mrugając rzęsami.

– Do wychodka trzeba chodzić. Ale po co łazisz bez powodu do letniej obory, skoro jest tak źle? – zapytała.

– Trzeba odwiedzać miejsce, w którym człowiek się urodził – odparł, zdmuchując szron z zamrożonego źdźbła trzymanego między kciukami. Wydawało dźwięk, jakby zbliżała się pędzona batem świnia.

– Nie gadaj ciągle o tym, że urodziłeś się w oborze letniej. To jest bluźnierstwo! Oline wyraźnie to powiedziała.

– Wcale o tym nie mówię. To ty pytasz i skrzeczysz jak jakaś sroka.

Powinien był wiedzieć, że ona nie rozumie. Zawsze go napominała albo przekręcała jego historię. Ani trochę nie pojmowała sprawy podziemnych istnień ani ich natury. Żałował, że cokolwiek powiedział, i przestraszył się, że pewnego dnia pójdzie za nim i przeszkodzi mu w liczeniu. Żeby sprawdzić, co się stanie, jeśli nie zdąży doliczyć do stu! To by do niej pasowało.

Ale ona nie wiedziała, że poznał słońce ani że zamierzał policzyć kroki aż do miejsca, gdzie we wrzosach leżały buty Rosjanina.

24 lutego Beniamin odczytał na kalendarzu księżycowym: „Święty Maciej zimę traci albo ją bogaci”.

Od dawna już czekał na znak życia od Andersa. Żeby przysłał go, tak jak robili to wszyscy ojcowie. Ale nic takiego nie nastąpiło. Zrozumiał, że to dlatego, że Anders tak bardzo rozgniewał się na Dinę w dniu, kiedy szykowali kliper do wyprawy na Lofoty.

Można było zadawać sobie pytanie, co miał na myśli Anders,

wołając do Diny, że zajmie się dla niej Reinsnes, a potem nie miał nawet ochoty wysłać listu!

Nikt wcześniej nie widział, żeby Anders wskakiwał do morza. Oglądanie tego wielkiego mężczyzny, jak przedziera się na ląd, brodząc w zimnym morzu po pachy, już samo w sobie było okropne. I zupełnie niekonieczne, bo przecież on czekał tam w małej łódce, żeby przewieźć ich suchą nogą na brzeg.

A potem po prostu popłynął na Lofoty. Co prawda uszczypnął go w policzek na pożegnanie i powiedział do widzenia, ale i tak było nieprzyjemnie.

Coś takiego się działo, że wszędzie tam, gdzie pojawiała się Dina, jakby za sprawą czarów dla niego nie było już miejsca. Jednak człowiek mógł mieć trochę nadziei, że Anders napisze do niego z Lofotów.

Nikt niczego nie słyszał. Zaczął myśleć, że nadszedł chyba już sądny dzień, bo w charakterze Andersa nie leżało długie chowanie urazy. Próbował wybadać Dinę, ale ona rzekła, że Anders nigdy nie lubił pisać. Sposób, w jaki to powiedziała, również wskazywał na sądny dzień.

„Jeśli nie może zimy stracić, to ją bogaci!”. Tłumaczył sobie kalendarz runiczny w ten sposób, że to Matka Karen wybrała go do wyższych zadań. Czuł się tym zmęczony. Nie na tyle, żeby móc spać. Ale dość znużony, żeby nie mieć siły się bać.

Nie chodziło tylko o to, że Rosjanin krzyczał całymi dniami i nocami. Problem polegał też na tym, że Dina krążyła po domu, przesuważąc kufry podróżne i otwierając szuflady komód. Pewnego dnia, słysząc, jak miota się u góry po sali, pobiegł do niej i wszedł

bez pukania. Stała pochylona nad kufrem i układała w nim rzeczy. Wtedy wbił w nią pięści, mówiąc okropne rzeczy, o których natychmiast zapomniał. Coś tam było o tym, że pewnie planuje zostawić go samego z Rosjaninem, kiedy na ziemi nastanie już dzień sądu ostatecznego. Nie powiedziała na to ani słowa. Nie żeby tego oczekiwał. Ale ciężko było mu z całym tym lodem. I nie poczuł się bezpiecznie, dopóki nie zobaczył, jak wciąga kufer podróżny z powrotem do komórki Jakuba.

Przemógł jakoś myśl, że ciągle jeszcze nie pogodzili się z Tomaszem, i zapytał go, czy na Lofotach jest aż tyle do roboty, że ludzie nie mają czasu nawet wysłać pozdrowień. Ale wyglądało na to, że Tomasz nie do końca zrozumiał. W każdym razie odpowiedział w dość nieobecny sposób, że jakikolwiek byłby tego powód, mężczyźni często zapominali posłać do domu wieści z Lofotów.

– Ale nie Anders! – rzekł Beniamin.

– No cóż, wygląda na to, że Anders też nie jest lepszy od innych – odparł Tomasz z krzywym uśmiechem.

– Może statek zatonął?

– Nie, wtedy ktoś na pewno przyniósłby tutaj wiadomość – stwierdził zdecydowanie Tomasz.

Wskutek tej rozmowy Beniamin zupełnie nie był w stanie pójść do domu dla służby, jeśli tylko wiedział, że Tomasz tam jest.

Kalendarz runiczny w dniu św. Grzegorza głosił: „Czas Grzegorza. Noc i dzień są równe sobie”. A on nadal nie miał wiadomości od Andersa.

Anders przygotowywał się do życia w Reinsnes, kiedy jej tam zabraknie. Układał plany, jak będzie spędzał dni i noce. Starał się przekonać samego siebie, że wizja samotnych posiłków wcale nie jest przerażająca. Kiedyś snucie tego rodzaju myśli nie pochłaniało mu zbyt wiele czasu. Teraz była to ostatnia rzecz, jaką miał przed oczami, zasypiając, i pierwsza, do której musiał odnieść się po przebudzeniu.

Dobrze było mieć „gwóźdź w ścianie do pocieszenia koszuli”, mówił sam sobie, dodając od razu: Wszystko zależy nie od tego, jak się człowiek czuje, tylko od tego, jak to wszystko przyjmuje. Ubrojony w przysłowie i nie zawsze wystarczającą własną pociechę, już przed opuszczeniem Lofotów z góry zaplanował wczesny wyjazd do Bergen. Wzbudzał w sobie tęsknotę za bezpiecznymi milami morskimi na południowym szlaku. I napominał sam siebie, że są różne rodzaje nieszczęścia.

Nie mógł jednak nic poradzić na to, że ląd pociemniał mu przed oczami w chwili, gdy wpłynęli do cieśniny i byli w domu. Puścił ster, zdjął zydwestkę i zagwizdał, tak jak zawsze to robił, mogąc już sterować prosto na półwysep Reinsnes.

Najpierw miał wrażenie, że to jakieś przywidzenie. Ale gdy Anton rzekł: – Chyba tym razem ona we własnej osobie stoi tam na przystani – wtedy ocknął się i zrozumiał, że to naprawdę Dina tam czeka. To był szok. Sądził, że raz dane słowo Diny nie podlega żadnym zmianom.

Był przyzwyczajony do radzenia sobie z porami roku i z wiatrem. Nie było łatwo, ale przynajmniej przyroda dawała czas na zastanowienie się. Dlatego widok Diny na przystani wywołał w nim uczucie, że zima bez żadnego ostrzeżenia zmieniła się w lato.

Dopóki jednak ludzie na niego patrzyli, pilnował, żeby zachowywać się tak jak zawsze. Uścisnął jej rękę i obdarował ją uśmiechem. Ale najszybciej jak mógł, odwrócił się w stronę Beniamina i jego wszystkich pytań, dlaczego nie napisał.

– Niespecjalnie umiem pisać – to była jedyna odpowiedź, na jaką się zdobył.

Pozwolił, żeby inni zajęli się drobiazgami, objął chłopca za szyję i poszedł z nim od przystani w górę, opowiadając o przywiezionej paczce. Dzięki temu mógł umknąć.

Drzewa stały z zamarzniętymi kroplami wody na końcówkach czarnych gałęzi. Wrony rozgrzebywały nawóz na polu. Wyraźnie nadchodziły już jaśniejsze dni.

Chłopiec pytał i drażył. Anders odpowiadał i się śmiał. Słyszał ją tuż za sobą. Najwyraźniej miała na sobie nowe buty. Skrzypiały odrobinę przy każdym jej kroku. Ale Anders się nie odwracał.

*

Skrzynki z wążuskiem przeznaczonym do gotowania po wyrażeniu odpowiedniego podziwu zostały rozdzielone pomiędzy miejscowych a dobrych klientów. To, co już zasolili w beczkach, miało pójść do ziemianki. Ale było też parę skrzynek, których zawartość planowano rozwiesić na krótkie suszenie lub lekko zasolić. Mężczyźni opowiadali o tych wszystkich rybach suszących się na rusztowaniach na Lofotach, klepiąc się znacząco po kieszeniach spodni.

Po pewnym czasie do przystani przybiła cała armada małych łodzi. Każdy, kto widział kliper i barkas wpływające obok cypla, jak najszybciej przybywał pod jakimś pretekstem. Żeby, jak to się

nazywało, zobaczyć, czy ludzie wracający z Lofotów zostali już odwzeleni albo czy urosła im broda.

Powrót do domu i dorsz gotowany z ikrą oraz wątróbką działały usypiająco. Mężczyźni szybko się pożegnali. Tylko Anton spał w budynku głównym. Inni rozjechali się do domów albo poszli spać do izby czeladnej.

Guwerner dostał kilka dni wolnego i wyruszył do Strandstedet. Dziewczyny jeszcze krzątały się po kuchni i w spiżarni, a Beniamin poszedł na poddasze, zabierając ze sobą otrzymaną od Andersa czapkę sternika. Siedział w niej przy stole i nikt jakoś nie uznał, że jest w tym coś niestosownego.

Anton ziewnął trzy razy, a potem powiedział dobranoc. Jego kroki skrzypiały teraz w korytarzu na poddaszu.

Dina jak zwykle siedziała na szeszlunku z rękoma ułożonymi na oparciu. Jej na wpół spalone cygaro leżało w popielniczce. Oczy miała przymknięte. Anders lekko chrząknął, a potem spokojnie powiedział, że chętnie wypiłby ten kieliszek rumu, którego nie opróżnił przed wyjazdem na Lofoty.

Wydawała się zaskoczona, ale szybko przywołała się do porządku i zawołała ze spiżarni Teę.

Zmęczona i wyczerpana Tea wetknęła głowę w drzwi.

– Anders chciałby dziś napić się rumu – rzekła Dina.

Dziewczyna ze zdziwieniem spojrzała na butelkę stojącą tuż obok Diny, ale przyniosła kieliszek i napełniła go.

– Czy mogę już pójść spać? – zapytała z prawie niewidocznym dygnięciem.

– Zapytaj Oline – odparła Dina.

– Ona już śpi.

– To i ty zapewne możesz się położyć. Dziękuję! Było dziś dużo zamieszania – rzekła Dina z zadowoleniem.

Tea rzuciła jej szybkie spojrzenie.

– Ale i przyjemności – powiedziała, obdarzając ich szybkim uśmiechem, dygnęła jeszcze raz i już jej nie było.

– Jest teraz jasno do późnego wieczora – zagadnął niezręcznie Anders.

Nie odpowiedziała od razu.

Musiał zakaszleć. Potem zaczął opowiadać o tym, ile zarobili na Lofotach. Chciał pokazać jej liczby i rachunki, żeby sama mogła ocenić.

– Cyframi zajmiemy się jutro – orzekła.

Potem wstała i podeszła do stolika po kolejne cygaro. Chciał przypomnieć jej, że jedno ma już koło siebie. Ale wtedy przemknęła tuż obok niego, ujmując go za ramię. Tak jak robiła to kiedyś. Nawet na oczach innych. Zanim Rosjanin umarł.

Anders długo spał ze zmarzniętymi dłońmi na zimnych skórkach. Oczami przesunął po jej kostkach, kiedy usiadła niedbale, nie poprawiając spódnic. Były dobrze widoczne przez pończochy. Miała na sobie domowe buty. Łuk jej prawej kostki wyraźnie wychodził spod brzegu spódnicy. Miało to na niego taki dziwny wpływ.

Kiedy minął czas potrzebny na wypicie powolnymi łykami kieliszka rumu, uświadomił sobie, że coś musi powiedzieć. Odchylił

się do tyłu, spoglądając na nią.

– Czy dużo podróży przewinęło się tutaj w czasie mojej nieobecności?

– Tyłu, ilu można spodziewać się zimą – odpowiedziała, wytrzymując jego spojrzenie.

– A co poza tym? Wszystko dobrze?

– Jak zawsze.

Głęboko, z zadowoleniem pociągnęła dymu z nowego cygara.

– Nie pojechałaś – stwierdził w końcu.

– Nie.

– Dlaczego?

– Przyszło mi do głowy, że powinnam poczekać. Przynajmniej do lata. I pojechać razem z tobą, kiedy będziesz wyprawiał się do Bergen.

Zegar patrzył na nich czujnie ze ściany. Ruchy wahadła wybijały mu z głowy cały rozsądek.

– Poza tym chodzi o Beniamina... – rzekła.

– Cieszę się, że zmieniłaś zdanie!

Zaskoczył sam siebie. I pomyśleć, że tak po prostu to wypowiedział?

– Nie powinienem był mówić tego, co wtedy powiedziałem na kliprze – wymamrotał.

Wzruszyła ramionami, robiąc kółka z dymu, a on śledził je szeroko otwartymi oczami.

– Nie powinnam była cię uderzyć! – powiedziała, nie patrząc na niego.

– Trochę to było... no, gwałtowne. Bijesz mocno!

Usiłował wyszczerzyć zęby w uśmiechu, ale nie do końca mu się udało.

– Beniamin wspomniał mi, że obiecałeś, że będziesz jego ojcem?

Powoli oblał się czerwienią, ale skinął głową.

– On tego sam chciał... – rzekł.

– Tak.

Wahadło zegara męczyło go.

Anders miał nerwy napięte jak stare smołowane nici. Trzeba było uważać, żeby wytrzymały. Wisiał na końcu jednej z nich. Nabrał powietrza:

– To, o co mnie pytałaś... o tę sprawę, zanim popłynąłem na łowisko. Nie wiadomo, czy jest po co się zastanawiać.

Uniosła głowę.

– Myślałem o tym dużo na wyjeździe... Chyba przyjmę propozycję – kontynuował.

– Anders?

Dzieliła ich cała palarnia. Dywan, który Matka Karen sprowadziła z Kopenhagi. Był gruby, ozdobiony kwiatowymi wzorami w oliwkowej zieleni i kolorze wina. On przy stoliku z cygarami. Ona na szezlongu, zwrócona plecami do okna. Na niebie za nią nie było księżyca. Tylko nagie, niebieskawo połyskujące szkło.

– Tak! – odparł.

– Czy ty wiesz, co mówisz? – wyszeptała po chwili.

Skinął głową i odchrząknął. Jego ciało pozostawało w bezruchu.

– A co ty z tego będziesz miał? – kontynuowała.

– No cóż, tylko ty możesz mi na to odpowiedzieć.

– Nie wiem, czy mam coś do dania.

Nadal mówiła szeptem, tak jakby jedwabna tapeta miała uszy.

– Zobaczymy, jak to wszystko się ułoży – powiedział bardziej do siebie niż do niej.

– Nie wydajesz się specjalnie zadowolony?

– Nie wiem, jak się czuję, Dino. Chodziłem latami, nie mając odwagi nawet pomyśleć...

– Nie wierzysz, że może nam się udać?

– Jeśli naprawdę chcesz.

Odłożyła cygaro i przeszła przez cały pokój, zbliżając się do niego.

Wyciągnął rękę, opierając jej głowę na swoim ramieniu i z wahaniem głaszcząc ją po włosach.

– Czy jeszcze czuć ode mnie rybimi flakami, czy udało mi się domyć?

– Pachniesz Andersem – powiedziała z nosem wtulonym w niego.

– Skąd możesz wiedzieć, jak pachnie Anders?

– Już teraz wiem.

– Wiele czasu upłynęło.

– Prawdopodobnie tyle, ile musiało. Czy jesteś ciągle moim bratem?

– Nie.

– Dlaczego?

– Bo nie mogę być wszystkim naraz.

Siedział w palarni w Reinsnes. W pokoju, w którym od młodości marzył, żeby być panem. Stół ze stojakiem na fajki i pudełkami cygar. Witrynka z bardzo starymi holenderskimi kieliszkami na wysokich nóżkach. Dotarło do niego, że w sumie nie o to chodziło. Radość najwyraźniej nie tkwiła w przedmiotach?

Czuł jej ciepło. Jej głowę na swojej szyi, na policzku. Kiedy tak siedzieli, w jego wyobraźni wypłynęły obrazy. Diny i Jakuba. Diny i Rosjanina. Diny otoczonej murem z muzyki.

– Ale jest jedna sprawa, o którą muszę cię zapytać... – powiedział.

– Tak?

– Czy ty mnie kupiłaś, Dino?

– Dlaczego tak mówisz?

– Bo ludzie będą tak myśleć.

– Ludzie?

– Tak. Ci sami, którzy od dawna sądzą, że coś się szykuje.

– A jaka miałyby być cena?

– Reinsnes.

– A ja? Co ja miałabym z tego mieć? – zapytała, wstając z jego kolan.

– Mężczyznę, który zajmie się Reinsnes. Twoim synem.

– Anders! Dlaczego mówisz to w tej chwili?

Stała naprzeciw niego z zaciśniętymi pięściami. Pochylił się do przodu, nie patrząc na nią.

– Żebyś powiedziała, jak jest naprawdę.

Własne słowa brzmiały w nim jako echo odbijające się między piwnicami.

Wciągnęła powietrze w ten chrapliwy sposób, świadczący o tym, że jest mocno wzburzona.

– Myślisz, że masz teraz nade mną przewagę?

Pośpiesznie przeszła na szezlong.

– Nie – odrzekł. – Ale jestem za stary, żeby w otwartej łodzi, we mgle, wypuścić się na morze, nie wiedząc, gdzie jest ląd. Dlatego muszę wiedzieć, gdzie cię mam? Bo ja nie jestem na sprzedaż. Nie interesuje mnie posiadanie tych wszystkich budynków pełnych srebra i aksamitu. Mam wszystko, czego mi potrzeba, jeśli tylko mogę płynąć pod żaglami, mając na pokładzie wiosła.

– Świetnie! – powiedziała, oglądając uważnie kryształowy żyrandol.

– Nie chcę cię zmuszać do powiedzenia, że mnie kochasz, Dino. Chciałbym tylko wiedzieć... Chodzi o resztę życia... o to też.

Poszukała dłonią po omacku zgaszonego cygara i je znalazła. Jej

palce nie były do końca pewne, a twarz jaśniała bielą. Podniósł się i podał jej ogień.

Wahadło ściennego zegara wciąż krzyczało.

Uświadomił sobie, iż tęskni za tym, żeby powiedziała, że go kocha. Chcąc to przerwać, zapytał:

– Jaki on był? Leo? Co ci obiecał?

Z wahaniem przeszedł przez pokój, ponownie siadając. Ciągłe nic nie mówiła. Nie wiedział, czego się spodziewał. Wściekłości? Że zacznie z niego szydzić, mówiąc, że ta zazdrość jest trochę nie w porę? Wszystkiego, tylko nie tego, co się zdarzyło.

Zwinęła się w kłębek na szezlongu, otulając się ramionami. Jak kupka nieszczęścia.

Podszedł do niej ponownie, żeby uratować jej włosy od żaru z cygara.

– Dino – powiedział cicho, opadając przed nią na kolana.

Najpierw próbował objąć ramionami szezlong. Nie bardzo mu się udawało. Więc w końcu objął ją.

– Dino, powiedz coś do mnie, powiedz... słyszysz?

Jej głos brzmiał jak dźwięk starej pozytywki, która długo stała na mrozie, a potem ktoś wniósł ją do domu i nakręcił zbyt mocno.

– Jeśli musisz płakać, to płacz, ale rozmawiaj ze mną, słyszysz!
– poprosił.

– Nie ma go tutaj – powiedziała bezradnie. – Nie ma go! Inni zostali. Nie ma tylko jego! Czy jesteś w stanie zrozumieć, że tak musiało być? Sądziłam, że go mam... Ale tak nie jest.

– Czy chciałabyś, żeby był teraz tutaj, Dino?

– Tak.

– Jakich innych miałaś na myśli?

Potrząsnęła głową, kołysząc się wolno na boki w swoich obszernych spódnicach.

– Dlaczego mnie chcesz, Dino?

– Bo to ciebie powinnam była sobie wziąć już dawno temu.

– Jak dawno temu? – zapytał ochryple.

– Beniamin ma rację. To powinieneś być ty, a nie Jakub!

– Czy twoja miłość jest taka ulotna, Dino?

– Miłość? – rzuciła ze zdziwieniem w przestrzeń.

– Tak, czy jak tam chcesz to nazwać. Nigdy nie patrzyłaś na mnie inaczej niż jak na mężczyznę, który od czasu do czasu bywał w domu Jakuba.

– A ty? Kiedy ty okazałaś... miłość? Nie pamiętam nic ponad to, że zawsze starałaś się stać tam, gdzie akurat nie ma pożaru.

– Pewnie nawet nie przyszła mi do głowy taka możliwość... Kiedy dałaś mi znak, którego nie zrozumiałem – to musiało być strasznie dawno temu?

– Zawsze przelatywałeś przez dom jak wiatr. Zanim człowiek zdążył przyzwycząić się, że siedzisz przy wspólnym stole, już byłeś na morzu, o wiele mil stąd.

– Kiedy zauważyłaś mnie po raz pierwszy? Mam na myśli...

– Podczas naszej wyprawy do Bergen. Nie wiedziałam zapewne,

co to może oznaczać. Poza tym...

– Poza tym był Leo?

– Tak – odparła twardo.

Podniósł się. Usiłował uczynić to z godnością. Nie zaszkodziłoby zapewne, gdyby trochę się z siebie pośmiał. Ale nie zrobił tego.

– Kogo widzisz w tej chwili?

– Sądziłam, że skoro już jesteś na kolanach, to zamierzasz poprosić mnie o rękę – rzekła.

– Kogo widzisz? – powtórzył. – Mnie czy Rosjanina?

– Może już dosyć? Czy chcesz mnie zmusić, żebym wylizała do czysta każdą deskę, po której Leo kiedykolwiek chodził?

– Gdyby chodziło tylko o deski...

– Jeśli masz na myśli mnie, to uważam, że sam powinieneś wylizać – prychnęła.

Zniknęła, zanim przez jego głowę przemknęła choćby jedna myśl.

*

Nocą Anders miał wrażenie, że Rosjanin chodzi w ciężkich butach po korytarzu na poddaszu, zabierając ze sobą wszystko, co kiedykolwiek miało związek z Diną. Prawy kącik jej ust, który tak dziwnie podwijał się przy uśmiechu. Kędzior nad czołem. Piersi.

Rosjanin wkładał to wszystko do torby podróżnej, ciągnąc ją za sobą po podłodze. W głębinach snu Anders zdał sobie sprawę, że wolałby, żeby tamten nie był martwy, bo wtedy mógłby posłać go do diabła gołą pięścią.

O świcie następnego ranka obudził go południowo-zachodni wiatr szorujący okno. Przez chwilę leżał, czując, że znajduje się w zeszywniałym ciele lofockiego rybaka. Potem przypomniał sobie wieczór i powrót do domu.

W tym wszystkim jednak miał chyba taką naturę, że każdy poranek stanowił dla niego nowy początek. Może to była kwestia dziennego światła.

Powiosłował do żaglowca po rachunki i zamówienia. Potem dopilnował chwili, kiedy Dina zeszła do biura składu. Papiery niósł pod pachą w brezentowej teczce, żeby zarówno dla subiekta w składzie, jak i dla wszystkich istot stojących pod ścianami było jasne, że idzie z konkretną sprawą.

Kiedy stanął w drzwiach biura, podniosła głowę. Nawet wymówiła jego imię.

– Anders! – powiedziała.

Ale on na wszelki wypadek zamknął drzwi. Przygotowany na przyływ i nie tylko.

– Chcesz dzisiaj omówić interesy? – zapytała.

– Tak – odparł. – Chcę mieć to z głowy, żebyśmy również o to się nie pokłócili.

– A jesteśmy pokłóceni?

– Tak mi się wydaje.

– A o co?

– O to, kto z nas ma posprzątać po Leo.

Zobaczył, jak jej oczy się zwięzają, a dłonie chwytają protokół,

który miała przed sobą na biurku. Dlatego natychmiast dodał:

– Doszedłem do wniosku, że jednak ja muszę to zrobić. I jeśli nie zamierzasz mnie odrzucić, to chciałbym zacząć od razu. Czy wyjdiesz za mnie, Dino Grøneltv?

Jednym ruchem zerwała się, stając przy biurku. Jak żołnierz, który nagle dostał rozkaz.

– Tak! – zawołała prawie ze złością.

Nie do końca był pewien, gdzie ma ręce. Kiedy je odszukał, zrobił coś, co jeszcze poprzedniego dnia wydawało się nie do pomyślenia. Podeszedł do witryny, w której stały kieliszki i trunki Diny niezbędne do toastów z kupcami. Potem wręczył jej jeden pusty kieliszek.

– Proszę! Trzymaj! – rzekł.

Oboje mieli niepewne dłonie. On nalewał zamasyście, aż rum pociekł jej po palcach. Pochylił się więc i zlizął krople.

Nie poruszyła się. Czas stanął. Nigdy wcześniej nie zrobił czegoś takiego.

– Zaczynam od razu – wymamrotał gdzieś w jej dłoń. – W końcu chcę napić się tego rumu, który obiecałaś mi, zanim wypłynąłem na połów!

– Jak będziemy pić rum w ten sposób, to zbankrutujemy – rzekła.

– A więc zbankrutujemy – zgodził się.

Kiedy wyprostował się i wpłynął w jej oczy, wyobraził sobie, że odnalazł i usta. Ale nie dotknął jej. Długo przyglądali się sobie.

Potem ona nagle zaczęła się śmiać, a łzy leciały jej po policzkach.

W składzie wszyscy słyszeli, że rachunki z wyprawy na Lofoty wzbudziły wiele wesołości. Najpierw dotarł do nich mroczny śmiech Diny, potem dołączył do niego dudniący głos Andersa. Najwyraźniej rozliczenie było korzystne.

[3] Norw. *primstav* (w staronordyckim *prim* – księżyc w nowiu, *stav* – długa deseczka) to kalendarz księżycowy (zwany też zwyczajowo, choć błędnie „runicznym”), wyrzeźbiony dwustronnie na długiej deseczce.

Rozdział siódmy

Nowiny na temat małżeństwa Diny i Andersa stały się rodzajem gwarancji, nie tylko dla Oline.

– Swoje się wie. Ale nikomu nic do tego – wypowiedziała się. W ten sposób uratowała honor. Jednak prawda była taka, że niczego nie przeczuwała. Żadne nocne spacery, żadne ukradkowe spojrzenia ani pieszczoty niczego szczególnego jej nie powiedziały. Dla Oline była to zdrada. I nieprędko była gotowa ją wybaczyć.

Okazja do wzbudzenia dla siebie szacunku pojawiła się w chwili, gdy Tea wspomniała, że polecono jej nie szykować małżeńskiego łóża w sali, tylko w drugiej wielkiej izbie, gdzie sypiał Johan pod koniec swojego pobytu w domu.

Oline najpierw zaczęła biadolić, że państwo mogą mieć aż takie dziwaczne pomysły. Najwyraźniej nie mieści się w ich głowach, że łóża z baldachimem nie da się tam wstawić.

Anders wyjaśnił, że następnym parowcem przyplynie z Trondhjem nowe łóżko. I że nie będzie takie wielkie jak to stare. Oline rozdziawiła usta – i zamknęła je ponownie. Ten człowiek stał tam, uśmiechając się! I zamówili nowe łóżko! Nie mówiąc jej ani słowa o tym, że trzeba uszyć nowe prześcieradło i poszewki! Co to były za obyczaje?

Anders przeprosił, nie miał pojęcia, że to taka poważna sprawa. Nie znał się na tym.

– Ale ona powinna była to wiedzieć! Chłopy nie mają o tym pojęcia. Ale teraz i on już wie! – stwierdziła krótko Oline.

– Niech Oline się tak nie złości. Znajdzie się jakieś wyjście – rzekł dobrodusznie.

– Muszę z nią o tym sama porozmawiać. Trzeba szybko zawołać szwaczkę.

– Ale w domu jest przecież pełno prześcieradeł? Czy nie możemy...?

– Boże mój jedyny! Tu nie chodzi o koję na łodzi! Czy on nie rozumie, że mamy przygotować łoże małżeńskie dla państwa? I że pastor przyjedzie pobłogosławić? Czy on całkiem stracił rozum?

*

Chwila, w której Anders wydał swój pierwszy rozkaz we własnym domu, nie miała żadnych świadków.

Pewnego wieczoru, kiedy w domu było już cicho i tylko oni nie spali, Dina zaprosiła go do sali. Anders siedział z rozjaśnioną twarzą i wsłuchiwał się w pierwsze tony Mendelssohna płynące z wiolonczeli Lorcha.

Pokój razem ze swoimi ciężkimi, zaciągniętymi kotarami nadśluchiwał wspólnie z nim. Anders usiadł na najdalszym fotelu, stojącym pomiędzy oknami.

Przyglądał jej się przez gęste, jasne rzęsy, jak porusza ramionami i palcami, przebiegając po strunach. Jak prowadzi smyczek. Palce lewej ręki były niczym małe zwierzęta ganiające się po strunach, żeby nagle uspokoić się i przyczaić. A zaraz potem zrobić potężny skok ku wolności. Wyraz jej twarzy go poruszał. Muzyka go porwała. Nie mógł się przed tym obronić, chociaż nic nie wiedział o muzyce ani jej nie rozumiał.

Dawna fala tęsknoty przebudziła się w nim, kiedy Dina, odrzuciwszy głowę w tył, chwyciła rytm, zanim oddała go instrumentowi. Jej twarz jaśniała, a usta poruszały się, jak gdyby cały czas wydawały krótkie, zduszone okrzyki.

Kiedy ostatnie tony rozpląnęły się już w kotarach i zasłonie przy łóżku, Dina siedziała nadal ze smyczkiem zwisającym nad podłogą. Pochylona do przodu, tak jakby na coś czekała.

Odstawiła instrument, nie patrząc na niego.

– Słuchanie było prawdziwym wytchnieniem... – rzekł cicho.

Pożałował tych słów, jeszcze zanim zostały do końca wypowiedziane. Pewnie zabrzmiały tak, jakby rozmawiał z kimś obcym, kto próbował go zabawić.

– Czy słyszałeś, co to było?

Potrząsnął głową, czekając, aż ona mu to powie. Ale tego nie zrobiła. Poczul się niepewnie, a cisza stała się ciężka. Bo nie wiedział, co grała. Zastanawiał się, czy teraz myśli: on nie wie nawet tego...

– Chyba już najwyższy czas, żeby Oline i dziewczyny miały spokój i mogły zasnąć – powiedział, podnosząc się, żeby wyjść.

Wtedy Dina odwróciła się do niego z uśmiechem.

– Chcesz poczekać ze wszystkim do ślubu, Anders?

Dziki, wiosenne światło wdarło się przez szczelne kotary, kładąc czarne cienie na jej szyi i policzkach.

Stała zbyt blisko. Nie był w stanie podnieść rąk, żeby jej dotknąć. Deski podłogowe tuliły się do jego kolan, a rzędy kwiatów

wypadały z tapety, zaciskając mu się na szyi. Nie znalazł żadnej odpowiedzi.

Wziął ją więc za rękę i zdecydowanie poprowadził za sobą. Ciemnym korytarzem, gdzie światło dochodzące ze schodów prześlizgiwało się po ścianach.

Już w swojej izbie puścił ją i zaciągnął zasłony. Kiedy wskazywał jej brzeg łóżka, widział pory otaczające skrzydełka jej nosa. Usiadła.

– Masz wąskie łóżko, Anders – szepnęła. Zwrócił uwagę, że zerknęła na ścianę, i przypomniał sobie, że Benjamin śpi po drugiej stronie. Ale nie wspomniała słowem na ten temat.

– Wszystko zależy nie od łóżka, lecz od mężczyzny – odszepnął, siadając przy niej.

– Gdzie się tego nauczyłeś? – zapytała.

– Nie nauczyłem się. To jest coś, czego muszę spróbować teraz się nauczyć – powiedział, zbierając w dłoń jej włosy. Jakby sprawdzał, ile ważą.

– W sali jest przyjemniej – stwierdziła.

– Tamta przyjemność nie jest dla mnie.

– Co masz na myśli?

Ostrożnie objął jej głowę obiema rękoma. Otworzył usta, żeby coś powiedzieć. Zrezygnował. Ponownie wciągnął powietrze. Potem zadał to pytanie takim głosem, jakby chodziło o coś zupełnie zwyczajnego:

– Ilu znalazło rozkosz albo leżało na marach w twoim łóżku w

sali, Dino?

Oddech go zdradzał. Nadal jednak obejmował ją za głowę.

– Anders! Znowu zaczynasz? Wiesz, że byłam mężatką? – powiedziała.

– Wiem.

– Więc o co chodzi?

– Twoja choroba na morzu podczas przekraczania Foldhavet, czy to był spadek po Jakubie, tyle czasu po jego odejściu?

Wyrwała się z jego rąk z prychnięciem.

– Powiedz wreszcie to wszystko i skończmy z tym! Ale najpierw ja chciałabym zapytać: Czy ja rozpytuje cię, co robiłeś wzdłuż całego szlaku do Bergen albo w koi klipra? Czy stawiam cię pod ścianą za to, że miałeś jakieś życie, zanim my dwoje zgodziliśmy się na siebie nawzajem? Co?

Potrząsnął głową.

– Nie, nie robisz tego. Ale ja nie jestem mężczyzną, który chciałby dzielić łóżko z Rosjaninem. Nawet jeśli postanowiłem dzielić z nim ciebie.

Był pewien, że go uderzy. Pomny poprzedniego razu, podniósł błyskawicznie rękę, żeby się ochronić. Ale ona miała taki wyraz twarzy, jakby siedziała samotnie na przybrzeżnym kamieniu, patrząc przez niego na wskroś we mgle i zawierusze.

Objął ją twardo ramionami.

– Nie chcę, żebyśmy teraz zaczęli się o to spierać. Ale czuję się... W środku czuję się zagubiony.

Nie odpowiedziała. Nie wtedy. Ale coś musiało do niej dotrzeć, bo wtuliła się w niego. Siedział tam, kołysząc ją.

Po chwili zaczął rozsznurowywać jej buty. Wędrował dłońmi w górę, po kostkach, łydkach, udach. Ich głowy się zderzyły.

Powoli podniósł jej spódnicę i starannie ułożył wokół jej bioder. Jakby to była praca, w której zamierzał zdobyć tytuł mistrza.

Z uśmiechem badał koronki jej halki, a potem położył głowę na jej kolanach. Pomyślał, jakie to dziwne, że jej zapach zawsze tam był. Teraz należał do niego. I ciepła skóra. Przez cienki materiał. Przy twarzy. Jej krew szumiała, a serce waliło tuż przy nim.

Wtedy poczuł na sobie jej dłonie. Rozbierała go. Jakby od dawna znała i pamiętała każdy troczek i guzik przy jego ubraniach. Wyciągnęła go z łóżka, pozwalając, aby zrzucił z siebie ostatnie rzeczy. Przez chwilę trzymała go na wyciągnięciu ręki, przyglądając mu się. Jak gdyby szukała czegoś konkretnego. Pieprzyka albo znamienia. I muskając palcami jego członek, powiedziała mrocznym głosem:

– Zawsze to dostrzegałam. Masz takie piękne ciało, Anders.

Zaśmiał się bezdźwięcznie. Całe jego ciało pokryła gęsia skórka. Kiedy go dotykała, każde miejsce stawało się źródłem rozkoszy. Wtulał się w nią, ukrywał w niej. Zamykał oczy i bawił się w chowanego na jej skórze. Głęboko w środku zajaśniała w nim krucha radość. Potem stracił kontrolę, poniesiony dziką siłą, której nie potrafił pohamować. Izba wokół wirowała.

Pościel była chłodna i gładka. Nakrył ich oboje kocem. Chciał ją ogrzać. Chronić. Ale najpierw pragnął ją posiąść.

Wąskie, kawalerskie łóżko stało się odrębnym światem,

żeglującym w przestrzeni. Była z nim! A niepokój, czy zdoła unieść się razem z nią, jaki jeszcze przed chwilą odczuwał, wyparował bez śladu.

Natarło spienione morze. Mocno. Fale uderzały, aż wydała cichy pomruk i zaciążyła w jego ramionach. Nie wiedział, że kobiety mogą tak mieć. Myślał, że ta sprawa dotyczy jedynie mężczyzn. Wszystkie jego granice się przesunęły.

Kiedy morze się wycofało, na mokrej plaży pozostały tylko rozrzucone dookoła kawałki drewna, pachnące wodorosty i wilgotne, okrągłe kamienie. I wielki oddech. Nieskończenie głęboki, nasycony oddech, osiadający rosą na wszystkich gładkich powierzchniach.

*

Beniamin wreszcie rozumiał, do czego potrzebni są ojcowie. Słyszał nocne odgłosy dochodzące z izby Andersa. Zasypiał z Andersem, a budził się z Rosjaninem.

Wśród tych wszystkich dźwięków wyczuwał ją. Na bezkresnie zielonych, przemoczonych deszczem polach. Wśród oślizgłych, czarnych, nieruchomych ślimaków.

Najwyraźniej po to miało się ojców. W tym sensie Rosjanin też był kimś w rodzaju ojca. Bo zanim nadszedł kres, on i Dina byli jednym kłębowiskiem leżącym we wrzosach. Czy z Andersem i z nią też tak było? Czuł z tego powodu niepokój. Bo chyba tylko wrogowie robili takie rzeczy?

Te pytania i wizja ślimaków przyprawiały go o poczucie winy. Bo prawdopodobnie wiedział więcej niż oni. O wiele więcej. I nie był w stanie ostrzec Andersa. Sam przecież umówił się z nim na rolę

ojca.

Zmuszony był przez cały czas pilnować Andersa. Bo groziło mu niebezpieczeństwo. I nie miał o tym pojęcia.

Kiedy Dina, obejmując go za szyję, powiedziała, że ona i Anders biorą ślub, zrozumiał, że postanowiła oszczędzić Andersa ze względu na niego.

Przełknął ślinę i skinął głową. Zapytała, czy się nie cieszy.

– Pewnie będzie tak samo – odpowiedział.

– Tak samo?

– Tak, więc chodzi o to, żeby nie... nie umarł.

Zrobiła się jakaś dziwna, aż trudno było na nią patrzeć, więc od razu po wypowiedzeniu tych słów pożałował ich. Ale przecież pytała. Ludzie nie powinni za dużo pytać.

– Nie umarł? – szepnęła, przerażająco blisko przy jego głowie.

Przełknął ślinę i kiwnął głową.

– Benjamin nie powinien tak myśleć – rzekła.

– Wiesz, Dino, muszę myśleć.

Chciał przemknąć się obok niej.

– Ale czy nie cieszysz się, że on będzie twoim ojcem?

– Od dawna jest już moim ojcem. Ale teraz jest też twój – wymamrotał. Nie do końca rozumiał, czy rozsądnie robi, mówiąc to.

– Czy wolałbyś, żebyśmy się nie pobierali?

– Najlepiej będzie, jak to zrobicie – powiedział, najdoroślej jak potrafił.

*

Czyniono przygotowania do wielkiego wesela. Rozesłano zaproszenia do Grøtøy, Kjerringøy, Tjeldøy, Trondarnes, Bjarkøy i Strandstedet. Zaproszono również Johana, a on potwierdził swoje przybycie.

Maj wziął w posiadanie skały i czynił cuda w żyznej ziemi. Czuwał nad cieśniną, śląc słońce i deszcz.

Łoże małżeńskie zostało przygotowane tam, gdzie zdecydował Anders. A panna młoda tym razem nie pędziła przez salony w samej bieliźnie, żeby schronić się na drzewie. Na schodach nie stała Matka Karen cała we łzach z powodu zażenowania i wstydu.

Pozbycie się zapachu cygar i zimowego odoru mężczyzn stanowiło nie lada wyzwanie. Oline najęła pięć dziewczek. Ale zmarły Jakub był niepokieszony i ciągle snuł się między izbami. Wkręcał się w palce służących, wpychał dym z pieców do izb, układał martwe, nieapetyczne truchła much na parapetach okiennych. Chociaż zostały właśnie świeżo wyszorowane mydłem.

*

Dzień ślubu przywitał wszystkich zamiecią śnieżną. Białą ścianą nad cieśniną.

Beniamin otworzył rano okno w izbie i się zaśmiał. Chwytał płatki śniegu w otwarte, ciepłe dłonie i patrzył, jak się roztapiają. Potem przyłożył mokre ręce do twarzy. Tej nocy Rosjanin o nim zapomniał.

Podczas obiadu siedział pomiędzy Dagny a żoną pastora. Na dorosłym miejscu. Dina i Anders siedzieli u szczytu stołu. Razem. Widział, że Dina niewiele je. Ale jej oczy się uśmiechały.

Przez ostatnie dni wahał się pomiędzy radością z tych zaślubin a lękiem przed nimi.

Człowiek mógł się cieszyć, bo teraz, kiedy jest mężatką, na pewno nigdzie nie wyjedzie. Nie zastrzeli też Andersa. Nie teraz, kiedy wyszła za niego za męża. Ale jedna sprawa wszystko przyćmiewała. Musiał nastawić się na samotność z Rosjaninem, bo ona na pewno nie będzie teraz miała czasu na nic innego niż bycie mężatką.

To z tego powodu od czasu do czasu robiło mu się czarno przed oczami, bo zapominał oddychać. Gromadził dobre znaki. Prószyący rankiem śnieg uznał za dobry omen. O tej porze śnieg nie był zwyczajnym zjawiskiem. A rzeczy niezwykle najczęściej stanowiły błogosławieństwo. Choć nie zawsze.

Bał się aż do chwili, kiedy usiedli wszyscy w łodzi i ruszyli do kościoła. Wtedy spłynęło na niego poczucie czegoś Uroczystego. Przyglądając się Andersowi, rozumiał, co dokładnie Matka Karen miała na myśli, mówiąc o Uroczystym. Chodziło o to, że w pewien sposób widać było wewnątrz człowieka. Kiedy siedzieli w łodzi pomiędzy gałązkami młodej zieleni, a Anders jednym ramieniem objął Dinę, a drugim jego, wtedy właśnie to Uroczyste wyszło z Andersa. Można było je zauważyć w postaci światła nad jego kośćmi policzkowymi.

Nie był pewien, czy Dina to widzi.

*

Teraz siedzieli przy weselnym stole i wszyscy wyglądali na zadowolonych. Dina w każdym razie wyglądała inaczej niż zwykle. Na swój sposób dobrze. Ale z nią nigdy nie miało się całkowitej

pewności.

Johan sprawiał wrażenie surowego. Ale tylko dlatego, że tego chciał. Widać było wyraźnie, że jedzenie mu smakuje.

Tomasz natomiast siedział w milczeniu, jedząc najładniej, jak potrafił. Z umiarem nalewał sobie trunków i pilnował, aby brać sztućce i kieliszki w takiej kolejności, w jakiej Stine mu przykazała. Ogolił się tak dokładnie, że na twarzy miał kilka krwawych śladów. Jego garnitur był nieco przyciasny w torsie. Stine zmierzyła i przeliczyła jego korpus z każdej strony, a jakiś czas później garnitur przysłano z Tromsø. Za mocno wygórowaną cenę, zważywszy że to przecież tylko marny łach, jak powiedział.

Po wielokroć zawieszał spojrzenie jednego brunatnego, a drugiego niebieskiego oka na Stine. Kiedy kiwała głową, wiedział, że zachował się, jak należy. Przeżuwał powoli i z namaszczeniem. O wiele ładniej niż żona pastora. Nawiasem mówiąc, zdumiewająca była szybkość, z jaką ta pobożna pani potrafiła przełykać.

Rozdział ósmy

Wiosna wycofała się, zsyłając karę na każdego, kto pracował na dworze. Liście zamarły, a kwiaty szczelniej otuliły się płatkami.

Pewnego wieczoru siedzieli w salonie wokół stołu pod wielką lampą. Anders, Johan, Dina, guwerner Angell i Benjamin. Dorośli czytali gazety i przeglądali pocztę. Benjamin siedział nad zadaniami z rachunków, które miał skończyć do kolacji. Prowadził ołówek lewą ręką, a jego prawa dłoń prześlizgiwała się po zielonym, aksamitnym suknie.

Zwrócił uwagę, że guwerner Angell starał się zgadzać i z Diną, i z Johanem. Dziwne, że nie rozumiał, iż to nie może się udać. Angell podziwiał Johana za to, że jest pastorem, dlatego zawsze popierał jego zdanie. Ale to Dinę lubił, więc również jej starał się przytakiwać.

Anders zaczął czytać na głos z gazety „Tromsø Stiftstidende”, że w Bergen ustalono już ceny na ryby wywożone za granicę. Północny czarniak zdrożał do 96 szylingów za vog^[4]. Ikra z dorsza kosztowała sześć talarów i trzydzieści szylingów za beczkę.

Johan i guwerner Angell zaczęli rozmawiać o nieprawdopodobnych doniesieniach, które przeczytali na temat rosyjskiego cara. Zamierzał zlikwidować poddaństwo pod hasłem: „Lepiej reformować odgórnie niż ryzykować zmiany oddolne, z buntem i rozlewem krwi!”

Coś było w tym określeniu. Rozlew krwi. Było nieobliczalne. Tkwiło w gardle, aż trudno było oddychać. Próbował pojąć, że rosyjski car był jednocześnie dobry i niebezpieczny.

Anders wyrażał się najjaśniej i był zdania, że car działa mądrze. Jednak guwerner nie był tego pewny. Jego zdaniem naród rosyjski był jak dzikie zwierzęta, niemożliwe do okiełznania inaczej niż siłą.

Johan stwierdził, że zarówno wojna krymska, jak i traktat paryski pokazały, co stanowi problem w Rosji. Naród rosyjski upodliła tyleż wojna, co i pokój! Ale imperium się ostało! Dlatego krajowi potrzebny był car, który będzie kimś więcej niż zwykłym człowiekiem.

Nie był w stanie w takiej chwili rozwiązywać zadań z rachunków.

– Nie pojmuję, jak to miałyby dać się pogodzić? – wtrąciła Dina.

– Co takiego? – zapytał Anders.

– Żeby być carem i jednocześnie zwykłym człowiekiem!

– Przecież oni tak samo jedzą, piją i rozmnażają się jak wszystkie inne istoty – stwierdził Anders.

– Dina miała na myśli bycie bliźnim – poprawił Johan.

Anders na ułamek sekundy zmarszczył czoło.

– Dobrze, że mamy ciebie, Johan, zawsze możesz nam wszystko wyjaśnić – rzekła Dina.

– No już dobrze, w porządku – powiedział dobrodusznie Anders, poklepując delikatnie ramię Diny. – Wychodzę z założenia, że każdy człowiek jest jednocześnie bliźnim – dodał.

– Grzech i okrucieństwo nie mają w sobie krzty miłości bliźniego. A historia rosyjskich carów jest zbudowana na okrucieństwie – stwierdził Johan.

– Grzech jest chyba równo rozdzielony po świecie – mruknął Anders.

– A jak wygląda to u osób duchownych, drogi Johanie? – zapytała Dina.

Wyraźnie widział, że Johan czuje się niezręcznie. Bawił się wyciorem do fajki. Stukał nim szybko po opuszkach palców, a jego twarz nabiegła czerwienią.

Johan chciał być najmądrzejszy. Mądrzejszy nawet od Andersa. Trudno było zorientować się, co myśli o tym Anders. Człowiek przecież nie mógł tak po prostu zapytać.

Wokół stołu zapadła dziwna cisza. Najlepiej było na nich nie patrzeć. W końcu rozwiązywał rachunki.

Wtedy Dina zaczęła mówić, zupełnie jakby zapomniała, że zadała Johanowi pytanie:

– Ciekawie byłoby pojechać tam i zobaczyć to wszystko. To taki ogromny kraj... tak nieprawdopodobnie bogaty. Nie chodzi tylko o dobra. Ale o skarby sztuki. O muzykę! U nas wszystko jest takie przyziemne, i dla grzeszników, i dla wszystkich innych ludzi. Nasze drobne grzeszki są takie płaskie.

Nie powinna była tego mówić! Zaczął sądzić, że chce wyjechać.

Przecież chyba nie zamierza wyjechać? Do kraju Rosjanina? Dobry wszechmogący Bóg, ten sam, który pokazał, że z Andersa może wyjść „coś Uroczystego” i otoczyć tym łagodnie ich wszystkich, ten sam Bóg powinien powiedzieć jej, że ma nie wyjeżdżać! Bo jeśli to zrobi, nastanie głód i nieurodzaj, a wiosna nigdy nie nadejdzie.

Czy Najwyższy nie pojmował takich oczywistych spraw?

Musi wymyślić coś, żeby zapomniała o swoim zamiarze wyjazdu. Zauważył coś na zwróconej ku niemu stronie gazety. O kobiecie z Anglii, Florence Nightingale. Zaczął czytać na głos o tym, jak chodziła ze swoją lampą wśród rannych żołnierzy w Turcji, robiąc więcej niż tylko ślanie do Boga modłów za ich dusze. Poświęciła całe swoje życie lazaretom polowym, smrodowi i krwi, potrafiąc jednym ostrym słowem okiełznać generałów, którzy nie chcieli okazać łaski rannemu wrogowi. Teraz wojna – której nikt nie wygrał, a którą wszyscy przegrali – się skończyła. Teraz anioł z lampą powrócił do domu, do Anglii. Co prawda ocalał życie, ale był chory i załamany oraz pozbawiony wiary w istnienie dobra w człowieku.

Wszyscy zamilkli, kiedy to czytał. Dzięki temu mógł zapytać:

– Co to jest to „dobro”, w które ona nie wierzy?

– Przecież była na wojnie – rzekł Anders. – A tam niewiele zdarza się przejawów ludzkiej dobroci.

– Co masz na myśli? Czy tutaj, gdzie nie ma wojny, jest bardziej widoczna?

Anders złożył gazetę na kolanach.

– Tutaj przynajmniej do nikogo nie strzelamy – rzekł Johan.

Odgłosy dochodzące z kuchni i spiżarni stały się nagle bardzo istotne. Chwycił obiema rękami za brzeg stołu. Potem mocno zacisnął usta. Siedzenie prosto kosztowało go zbyt wiele. Trzeba było tylko trochę pochylić się nad stołem i poczekać, aż przejdzie. Nikt nie dostrzegł jego mdłości. Ale wszystko miał takie bezwładne. Ramiona i stopy.

– Beniaminie – zawołała Dina jasnym, zdecydowanym głosem.

Wstała.

W tym momencie opuścił swoje schronienie. Żeby tylko nie musiał na nich patrzeć, a na pewno wszystko pójdzie dobrze, już zmusił stopy do ustawienia się na podłodze. Teraz wystarczy tylko wstać. Nie zwymiotował. Ależ nie. Zrobił dwa niepewne kroki. Podłoga wyszła mu naprzeciw.

Znalazła się przy nim. Podtrzymała. Wyprowadziła.

Mężczyźni pozostali sam na sam z rosyjskim carem, cenami ryb i Damą z lampą.

*

Krzyki dobiegały z głębokiej pieczary. A jednak wiedział, kto woła. Jego oczy utkwily w sieci na ryby. Nie mógł ich uwolnić. Były takie stare. Cieknące. Nie znosiły światła. Nie były w stanie się oswobodzić. Noc zostawiała swoje znaczone połyskliwym wzorem ślady, ozywające w półmroku. Sieć rybacka powiewała w otwartym oknie niczym biała firanka.

Rosjanin trzymał go mocno. Krzyki dobiegały zewsząd. Pałacym uciskiem przebijały uszy i głowę. Echo wprawiało w drżenie nawet wargi. Rosjanin wykrzykiwał swoje pytanie. Raz po raz. W barbarzyńskim, niemożliwym do zrozumienia języku. Mężczyzna w jednej chwili był tak blisko, że czuł parę unoszącą się z jego ust, a za moment był tak daleko, że już go nie widział.

Kiedy był blisko, człowiek wpadał w czerwoną, powiększającą się dziurę, a krzyki Rosjanina stawały się coraz dziksze.

Kiedy się oddalał, można było złapać oddech na tyle, żeby się

ratować. Przełknął wszystko, co zebrało mu się w ustach, i wyskoczył z łóżka. Żeby zabrać z powrotem swoje oczy.

Wtedy zrozumiał, że stoi na pokrytym kamieniami zboczach i patrzy z góry na Dinę i Rosjanina, wijących się we wrzosach jak węże. Walczyli, drąc na sobie ubrania i szarpiąc się za członki. Tak jakby nie mogli się zdecydować, czy chcą być blisko, czy daleko od siebie, czy są przyjaciółmi, czy wrogami. Walczyli, żeby się uwolnić. Trzymali się mocno.

W końcu głowa Rosjanina leżała we wrzosach, płynąc czerwienią. Leżał spokojnie, z długimi nogami rozrzuconymi na boki. Zupełnie jakby był wypchanym strachem na wróble, który przewrócił się na polu. Strzelba również leżała we wrzosach, a echo strzału odbijało się łkaniem od każdej góry. Wszelki dźwięk spowity był wełną, a ptak bijący skrzydłami w zaroślach poruszał nimi tak wolno, że czuło się obawę, iż zaraz spadnie.

Musiał otworzyć usta, żeby uwolnić tę nieznośną ciszę.

Wtedy nagle zjawiała się ona. Stała w jego izbie w samej koszuli nocnej, z bosymi stopami na chodniku. Usiłował zaczarować jej palce, żeby nie podchodziła bliżej. Bo nadal otaczał ją krzyk Rosjanina. Jednocześnie chciał, żeby go przytuliła. Była suchym sianem i wodorostami zarazem. Wielkim drzewem o czarnych liściach. Niebezpiecznie wysokim. A jednak człowiek musiał wspinać się na nie. Oślizgłe gałęzie. Głęboko w pniu coś biło. Niczym ptak, którego ktoś zamknął w środku. Puk, puk.

Wspiał się tak wysoko. Tak bardzo kręciło mu się w głowie.

Po chwili pojawił się też Anders. Miał na sobie niebieski szlafrok i przewracał oczami. Był niepodobny do siebie. Jego dłonie

przypominały uciekające wrony, chwytające się konarów i gałęzi. Zewsząd dochodził trzask łamanego drzewa. Anders spadał i wspinał się ponownie. Spadał i wspinał się. Człowiek rozumiał, że Andersowi drzewo również nie jest przeznaczone.

W końcu udało mu się oderwać oczy od firanki i rozplakać.

– Co cię tak przeraża? – zapytał Anders.

– Rosjanin! Został carem. Leży tam i bez przerwy tylko krzyczy i pyta!

– O co?

Zrobiło się niebezpiecznie. Anders przeleciał przez podłogę. Pewnie się zabił. Chyba powinna była rozumieć, że musi utrzymać go w górze.

Anders nie wiedział przecież, że nie należało pytać.

– To wie Dina! Przecież ona wie! To ona zna rosyjski!

Jej twarz! Zrobiła się taka płaska. Chyba nigdy jej tam nie było. Teraz odeszła! Wyjechała. Zabrała ze sobą pudło na kapelusze i odpłynęła parowcem. A więc zdarzyło się najgorsze!

Ale nie odeszła. I pozwoliła, żeby Anders został.

*

Pewnego dnia Dina przypilnowała, kiedy Tomasz będzie w stajni, i poleciła mu, żeby strzelby i proch były odtąd zawsze zamykane na klucz. Wzruszył ramionami i obiecał, że zrobi, jak kazała. Ale kiedy zapytał, dlaczego, i dowiedział się, że to z powodu Beniamina, nie mógł się powstrzymać.

– Nawet jeśli Rosjanin się zastrzelił, to chłopak musi przecież

przyzwyczaić się do dorosłości.

– Będzie, jak mówię – rzekła.

– Nie możemy go chronić przed bronią przez resztę życia. Przecież ma z niego wyrosnąć mężczyzna.

– Powiedziałam.

Tomasz spojrział na nią przeciągle. Stał tam, układając siano w równe porcje dla koni, a wokół niego unosiła się woń bardzo dawno minionego, suchego lata.

– Co na to mówi Anders? – zapytał.

– Anders nie używa strzelby.

– Nie, to prawda, ten chłop nie poluje – odrzekł. Szyderstwo było wyczuwalne.

– Niech Tomasz nie zawraca sobie głowy tym, co robi Anders! Tutaj chodzi o Beniamina.

– Od dawna obchodzi mnie Beniamin, czy ona tego nie rozumie?

– Dziękuję za ten trud, Tomaszu!

– Chyba jest on więcej niż słuszny. Zdaje się, że od samego początku on dotyczy nas dwojga.

– Tomaszu!

– Czy ona się obawia, że powiem Andersowi, jak się sprawy mają?

Odwróciła się już, żeby odejść. Teraz zeszywniała. Z jedną ręką uniesioną do góry odwróciła się w jego stronę tak gwałtownie, że był pewien, iż go uderzy.

– I co takiego Tomasz miałby powiedzieć? – zapytała, podchodząc tak blisko, że poczuł jej oddech na twarzy.

Nie odpowiedział. Stał mocno wsparty o stajenną podłogę.

– Dina stoi w sianie – zauważył w końcu.

– Co miałbyś powiedzieć Andersowi? – powtórzyła.

– Że chłopak jest mój!

Na chwilę zamknęła oczy. Kiedy ponownie na niego spojrzała, była już spokojna:

– I Tomasz sądzi, że dożyłby starości w gospodarstwie Andersa, gdyby przyniósł mu takie nowiny?

– Nie – odparł krótko.

– To w takim razie powinieneś pomyśleć o swoich własnych dzieciach i co czeka je przy ojcu, który roznosi takie plotki. Beniamin cię nie potrzebuje.

– Potrzebował mnie wcześniej. To Stine i ja...

– Dziękuję ci za to! Ale to nie daje ci teraz prawa do zemsty. Czy nie masz wystarczająco dobrze? Czy nie mieszkasz jak hrabia w domu z kaflowym piecem i żyrandolem? Czy nie masz jedzenia i szacunku? Czy możesz żądać więcej? Co?

Podczas tej długiej przemowy skulił się nieco w sobie. Przez chwilę każde z nich patrzyło w swoją ścianę.

– Gdyby nam się kiedyś inaczej ułożyło... – zaczął.

– Nigdy nie mogło nam się nic ułożyć inaczej – przerwała mu.

– Jedno słowo? Czy nie mogłabyś dać mi choć jednego słowa?

– To niebezpieczne coś ci obiecać. Masz pamięć jak koń. I kopiesz w tył!

– Czy ty zapomniałaś? – zapytał.

– Ja niczego nie zapominam! Niczego!

Drzwi przybudówki zaskrzypiały. Jak na komendę, Dina szybko cofnęła się o krok, a Tomasz pochylił się nad stertą siana, gotów je podnieść.

– To wobec tego tak się umawiamy! – powiedziała głośno i wyraźnie w chwili, gdy chłopak stajenny pojawił się w wejściu. Kiedy Tomasz poszedł do domu, żeby coś przegryźć, natknął się na promienną Stine. Dina była u niej i powiedziała, że przywiezie jej z Bergen nowe krosno. To, które Stine miała, zaczęło już niszczyć nici osnowy. – Te nitki w środku zawsze pękają. Ostatnio musiałam zdjąć połowę osnowy – powiedziała.

Tomasz skinął głową. Potem zsunął czapkę z głowy i poszedł umyć ręce.

[4] Vog/våg – stara norweska miara. 1 vog = 36 funtów = 17,93 kilograma.

Rozdział dziewiąty

Pewnego dnia w środku zimy Anders i Benjamin zaczęli rozmawiać nad jakąś robotą.

– Chłopcze, chyba powinienes popłynąć ze mną do Bergen tego lata?

Anders powiedział to całkiem od niechcienia. Aż człowiekowi zrobiło się od tego tak cholernie mokro w oczach.

Miał dostać wypłatę za pracę i spać razem z mężczyznami. Ale za każdym razem, kiedy pojedzie do Rygi na wachcie, będzie musiał oddać coś z pensji. Przybili sobie dłonie z Andersem dla potwierdzenia umowy, nie pytając Diny o zgodę.

Nosząc tak wspólną z Andersem tajemnicę, poczuł, że zaczyna być dorosły. Pewnego dnia zauważył wyraźnie, że tylko przez jedną noc puszek na górnej wardze zrobił mu się większy, ciemniejszy i dłuższy. Z namaszczeniem wziął brzytwę Andersa i wspiał się na krzesło, żeby lepiej zobaczyć swoje odbicie w wielkim lustrze nad komodą. Ale odbita w lustrze dłoń była niepewna. Skończyło się na tym, że skaleczył się w nos. Zakrwawiony musiał poprosić Dinę o pomoc. Nie krzyczała, rzuciła jedynie okiem na brzytwę i zmywała z niego krew, aż przestał krwawić.

– To był tylko taki głupi pomysł – powiedział słabo, szczerząc zęby w uśmiechu, żeby zatuszować sprawę.

– Ach, tak. Wygląda, że tym razem się zagoi. Ale następnym razem będziesz musiał być może poświęcić cały nos.

Skinął głową i prześlizgując się obok niej, wypadł na dwór.

– Nie minie wiele lat, a będziesz miał tę mękę na co dzień! – zawołała za nim w dół schodów.

Wtedy nie potrafił już się pohamować i zatrzymał się, wołając:

– Nie wiesz tego, co ja! Co Anders i ja uzgodniliśmy wspólnie!

Stała na podeście schodów.

– Czego nie wiem?

– Zobaczysz! – wykrzyknął, znikając za drzwiami wejściowymi.

*

Przez całą zimę i wiosnę pytał i drażył każdy temat związany z Bergen. Wyciągał zdjęcia i książki, które kiedyś stamtąd przyjechały. Guwerner Angell nie był mu już do niczego potrzebny. Bo on nie był nigdy dalej niż w Trondhjem.

Kiedy nie było Andersa, sprawy wyglądały beznadziejnie, bo nikt w całym gospodarstwie nie był wtajemniczony. Dlatego, gdy pewnego dnia Dina zdradziła, że wszystko wie, poczuł ulgę. Przynajmniej odpowiadała na jego pytania, chociaż zazwyczaj krótko.

Szybko nauczył się, że nie powinien pytać o Bergen, kiedy Dina i on nie mogli spać w nocy z powodu krzyków Rosjanina. Jej oczy robiły się od tego złe.

Gdy ptaki zaczęły krzątać się przy budowie gniazd, a bydło zostało wypuszczone na pastwiska, pomyślał sobie, że to dziwne, iż można mieć w ciele aż tyle radości, kiedy tak dużo się wie.

*

Kiedy nadszedł ten dzień, pojął, że Hanna nie cieszy się z jego

wyjazdu tak jak on. Ale trzeba było znać umiar. Nie miała żadnego prawa, żeby robić mu taką straszną awanturę.

– Sama rozumiesz, jestem mężczyzną, a ty kobietą – powiedział, wciągając tyle powietrza, że pod każdym ramieniem mógłby zmieścić kobiałkę.

– Pamiętam, jak krzyczałeś i zanosił się płaczem, kiedy twoja matka wyjechała bez ciebie – stwierdziła, ocierając twarz.

– To było dawno temu – odrzekł wyniośle i, jak sądził, po męsku.

– Wcale nie jest pewne, że będę tutaj, kiedy wrócisz!

– A gdzie się wybierasz?

– Jeszcze nie wiadomo.

– Skoro nie, to nie będę mógł cię odwiedzić, nie wiedząc, gdzie jesteś – rzekł, wyszczerzając zęby w uśmiechu.

– Jesteś głupkiem!

– Ty też! Skoro nie chcesz, żebym gdziekolwiek jechał, bo zaraz musisz uciekać.

– Nie będzie tu nikogo, z kim mogłabym się zadawać – powiedziała.

Odstawił niesione rzeczy ze zrezygnowaną miną.

– Jak będę na tyle dorosły, żeby o tym decydować, to zabiorę cię ze sobą.

– To jeszcze cała wieczność, bo ty tak wolno rośniesz!

– Mogę przecież być już dość dorosły, żeby decydować, nawet

jeśli noga nie urośnie mi ani trochę – prychnął, popychając ją. – Jestem i tak większy od ciebie, ty gówniaro! – krzyknął, podniósł swoje rzeczy i pobiegł w dół wzgórza.

– Nie miałam nic złego na myśli – odkrzyknęła słabo.

Pogodzili się przed jego odjazdem. Żadne z nich nie chciało, aby było inaczej. Obiecał jej lalkę z twarzą z porcelany i z prawdziwymi włosami. Tylko tak dla żartu, powiedziała, przecież jest już za duża na lalki.

Pomyślał sobie, że będzie go to tyle kosztowało, że musi dopłynąć wolny od choroby morskiej, jeśli jego płaca ma mu wystarczyć.

*

Tego ranka, kiedy ruszyli na południe, wiatr wiał jak na zamówienie, ale słońce się nie pokazało. Anders stał przy sterze i był sobą. Na morzu dużo lepiej mu się myślało, tak utrzymywał.

Beniamin, przewieszony przez reling, gapił się na przybrzeżne wysepki, plaże i zatoki, których nigdy wcześniej nie widział. Świat otworzył się i stał nieskończony, kiedy nieustająco krzyczał do każdego, kto go słyszał:

– O cholera, jak szybko płyniemy! Hanna powinna to zobaczyć!

Anders spojrział w okno nadbudówki, gdzie była Dina. Nie powiedziała ani jednego złego słowa o jego ryzykownej obietnicy, że zabierze chłopca do Bergen. Wyglądała prawie na zadowoloną.

– To będzie dla ciebie kłopotliwe, Anders, zabierać całą rodzinę – rzekła wtedy. – Nie wiemy, na ile ten młodzieniec okaże się marynarzem.

– Dowiemy się w swoim czasie – odparł z ulgą, że nie odebrała źle jego przymierza z chłopcem.

Sternik Anton zadziwiająco spokojnie podszedł do kwestii podróżowania z kobietą i chłopakiem. Wyglądało na to, że wszystkie pytania zadawane przez Beniamina bawią go i utwierdzają w poczuciu bycia niezastąpionym.

Przez większość czasu mieli korzystny wiatr. Ale nie aż tak silny, żeby chłopca dopadła choroba morska. Każdego dnia robił kreskę na jednej, wybranej desce na pokładzie, gdzie magazynowali ryby. Potem spluwał w dłonie i pogwizdując, zabierał się do tej lub owej nakazanej mu pracy. Zwijał liny, aż leżały starannie ułożone w równych kłębkach niczym kopce piasekówek.

Kiedy nie wykonywał stałych zadań, które przydzielił mu Anders, siedział na stercie suszonych ryb uzbrojony w lornetkę, komentując wszystko, co widział. Albo siadywał z książką w nadbudówce, przy akompaniamencie skrzypiącego takielunku i krzyku mew. Grał w karty z mężczyznami. Dawali mu czasem wygrać i mieli z tego spory ubaw.

– Ona, to znaczy twoja matka, lepiej grała w karty, kiedy pierwszy raz płynęła do Bergen – powiedział Anton.

– Miała trochę więcej lat i była już mężatką – stwierdził Anders, zerkając w stronę nadbudówki.

– Chyba jakieś szesnaście lat? – zapytał któryś.

– W każdym razie pamiętam, że Jakubowi nie podobało się to, iż leży pod żaglem i gra w karty – rzekł Anton.

– Dosyć na ten temat – powiedział krótko Anders.

Dziwne było nie to, co powiedział Anders. Tylko sposób, w jaki ludzie to przyjęli. Nagle wszyscy zajęli się innymi sprawami albo pogwizdując, wrócili do swojej pracy.

*

Pewnego dnia, kiedy przepływali wzdłuż osady złożonej z domostw i nabrzeży, gdzie Anders i Dina – jak mówili – mieli znajomych, Benjamin poprosił, aby przybili do brzegu.

– Nie, no ależ skąd, przecież musimy dotrzeć do Bergen, zanim będzie za późno i nikt nie będzie chciał naszych towarów – poprawił się sam, zanim ktokolwiek zdążył coś powiedzieć.

– Ale w drodze z powrotem na północ zrobimy wypad na plażę i będziemy spali w łózkach i siedzieli na krzesłach! – rzekł Anders i zaczął opowiadać o tym, jak bardzo jest zadowolony z tegorocznego załadunku. Co prawda musiał odesłać z kwitkiem niejednego dzierżawcę, który chciał przemyścić rybę gorszą niż wymagana.

– Takie sprawy mogą rodzić wiele wrogości. To nie żarty, kiedy nasz połów zostaje zakwestionowany. Ludzie nie mają przecież innego zarobku. Ale sam rozumiesz, musimy dbać o dobre imię klipra z Reinsnes w Bergen. Więc ludzie muszą dostać towar pierwszego gatunku. Nieprawdaż, chłopcze?

Brakarze w Bergen byli swoimi własnymi panami, niezależnie od tego, u kogo zarabiali. Ich słowo było wiążące. Jeśli uznali, że partia ryby stanowi prima sort na holenderską rybę suszoną, to nikt nie był w stanie tego zmienić.

Anders wygłosił na ten temat długą przemowę.

– Rozumiesz, Beniaminie, królem dla sortowaczy w Bergen jest holenderska ryba do suszenia. Musi mieć właściwy, niebieskawy

kolor, być czysta i nie większa niż łokieć. I nie może ważyć więcej niż półtora funta! Najlepiej tylko funt! Rozumiesz, chłopcze? Ryba bremeńska jest znakomita, ale za duża na miano holenderskiej. Sprzedajemy ją do Bremy, Holandii i do krajów nad Morzem Śródziemnym. Dobrze byłoby tam pojechać, co? No i jeszcze mamy brosmę. Powinna być błyszcząca, z białą skórą i mięsem, filetowana i bez ości. To jest towar pierwszej klasy dla Holandii! Tam jest płasko jak jasna cholera!

Kiedy Anders chciał przygotować najlepsze sztokfiszki, zawsze dbał o to, aby wypatroszono je i zasolono, póki jeszcze były świeże, i żeby przeleżały w drewnianej kadzi całą dobę. Wypłukane i ułożone w sterty nie wyższe niż na łokieć. Odwrócone ku sobie stroną od mięsa. Później rozkładano je na czystych skałach do wyschnięcia. Nigdy na trawie ani podmokłej ziemi. I nigdy nie układano ich w sterty, zanim porządnie nie wyschły.

– Nie wożę do Bergen ryb solonych byle gdzie na pokładzie ładowni, tego by jeszcze brakowało!

Można było zadawać sobie pytanie, dlaczego Anders stawał się tak rozmowny na morzu. Tyle gadał o rybach. Szczególnie, jeśli człowiek sam był zdania, że wszystkie suszone rybie tuszki wyglądały tak samo, jakkolwiek by się nazywały.

*

Przez cały czas podążania szlakiem na południe Rosjanin nie odezwał się ani razu. Chyba z nimi nie pojechał. Świat był tak oszałamiająco szeroki i wielki.

Ludzie na łodzi, którzy nigdy nie przepłynęli morzem wzdłuż brzegu w jasną noc, nie mieli pojęcia, że skały i góry mogą

wydawać się takie ostre.

No i ten zapach morza. Wszechobecny. We śnie. Ta dojmująca, potężna woń. Ludzi chyba to jakoś zmieniało.

Poza tym noc także zmieniała swoje oblicze. Im bardziej na południe, tym błękitniejsza się stawała. I w każdym miejscu, gdzie zarzucali kotwicę, żeby zejść na ląd po świeże jedzenie i wodę, ludzie mówili nieco inaczej.

Czytał o pomieszaniu języków na wieży Babel, ale to co najmniej dziwne, żeby to samo mogło się dziać w jednym kraju.

– Ten kraj jest długi jak kiszka. To dlatego tak jest – rzekł Anton, biorąc kęs solonego udźca, który trzymał zawinięty w starym kawałku żagla w maszcie.

– Nie – odparł Beniamin – to dlatego, że kiedyś wszystko się pomieszało na wieży Babel i nikt nie rozumiał, co mówi sąsiad, więc musieli rozjechać się po świecie i zacząć wszystko od nowa!

Anton przestał żuć.

– A, do diaska! – powiedział poważnie, wsadzając nóż do pochewki. – A więc to tak się sprawy mają? Tylko poczekaj, aż usłyszysz skrzeczenie pań w Bergen! One na pewno musiały opuścić Babel jako jedne z pierwszych!

*

Kiedy przybyli do Bergen, miał ochotę słuchać i gapić się dookoła nie tylko z powodu języka. Musiał sam siebie napominać, żeby nie przestawać oddychać. Od czasu do czasu wciągał głośno kilka gwałtownych haustów powietrza, a potem stawał się cichy i niewidoczny aż do następnego razu. W tym wszystkim zauważył

nagle nowy kapelusz Diny.

– Jest piękny jak rajski ogród – powiedział z uznaniem.

Ale kiedy zamierzała wziąć go za rękę, odskoczył na bok.

– Nie, przepraszam! Nie mogę przytulać się do kobiet! Tyle chyba Dina rozumie?

Szedł tuż obok Andersa, z jedną ręką wsuniętą w rozpiętą kurtkę, a drugą założoną na plecy.

Najpierw to wszystko, co działo się w porcie Vågen. Te wszystkie łodzie. Żagle. Krzyki. Jeszcze to można było znieść. Bo wszystko widać było z daleka i można było sobie myśleć, co się chce. Ale kiedy zeszli na ląd, wszystko rzuciło się na niego i niemożliwością było zachowanie w tym jakiegoś porządku. Nieskończone rzędy dachów, nabrzeży i szczyty domów. Dorożki i wozy, z końmi i bez. Wszelkie rodzaje istot. Tak dziwnie ubranych, że można by sądzić, iż ogląda się obraz. Prawie każda z pań osłaniała głowę. Chyba wydawało mu się, że taki zwyczaj ma tylko Dagny, żona referendarza.

*

Na targu rybnym wszystko było prostsze. Nawet zapachy zdawały się znajome. Ale dookoła przewalały się takie tłumy ludzi krążących tam i z powrotem, że na myśl przychodziły mu wyłącznie mrówki krzątające się pospiesznie wokół swego kopca. Nie do końca był pewien, czym się zajmują. Na rynku drewniaki stukały w bruk, a ludzie przez cały czas coś robili, dokładnie tak, jak w domu. A przynajmniej ci, którzy znajdowali się na ziemi. Bo wszyscy, którzy siedzieli w dorożkach z budami, wyglądali tak, jakby w środku lata jechali na plebanię z bożonarodzeniową wizytą.

Zrozumiał, dlaczego należało ubrać się jak człowiek, zanim zejdzie się na ląd w Bergen. Anders przywłókł ze sobą z tak daleka zegarek z łańcuszkiem, żeby w palącym słońcu móc iść z rozpiętą marynarką.

Góry w Bergen były śmieszne. Wyglądały tak, jakby nie mogły ustać bez podpierających je ludzi. Trochę dziwnie było mieć je tak blisko siebie. Ale ludzie byli chyba przyzwyczajeni, że mieli je nad dachami domów. Wyglądały jak kamienne kopczyki. Powiedział o tym Andersowi, kiedy tak szli, rozglądając się dookoła.

– Sądzę, że lepiej nie wspominać o tym nikomu, kto urodził się w Bergen – rzekł Anders, z trudem powstrzymując śmiech.

Pewnego dnia wynajęli dorożkę i jeździli nią po mieście, zupełnie jakby mieli gdzieś sprawę do załatwienia. Anders przypomniał Dinie, że byli już tutaj wcześniej. A ona uśmiechnęła się jasnym wzrokiem. Kiedy tak na siebie patrzyli, zrobiło mu się ciepło i szczęśliwie. Nie miał po temu najmniejszego powodu. Bo nie mówili do niego.

Im większe domy mijali, tym okazalsze otaczały je ogrody i drzewa. Oprócz samego środka miasta, gdzie budynki były tak stłoczone, że można by pomyśleć, iż ludzie w Bergen nie mieli dość pieniędzy, żeby zbudować sobie własną ścianę, tylko musieli opierać się o sąsiada.

Kiedy wracali spacerem do miejsca, które wynajęli sobie na lądzie na nocleg, spłynęło na niego wielkie zadziwienie. Chciał, żeby to też zrozumieli. Dlatego zatrzymał się, patrząc zmrużonymi oczami na dachy domów.

– Że też nie mają dosyć budowania w wielkim mieście? Że też

można kupować i sprzedawać taki bezmiar rzeczy, które mogą okazać się komuś potrzebne!

Rozdział dziesiąty

Podczas drogi powrotnej na północ zapytał Andersa, skąd ma nazwisko Bernhoft.

– To po tych, którzy w swoim czasie zbudowali port handlowy na wyspie Kjerringøy – rzekł Anders. Ale z tego niewiele mu przyszło. Rodzina Andersa ze strony matki pochodziła z Schøningene na wyspie Grøtøy. W domu Sørena i Sophie zawsze był mile widziany.

Rodzina z Grøtøy była na weselu w Reinsnes i teraz mieli złożyć im rewizytę.

– Trzymaliśmy się razem, Søren i ja. Søren miał pecha w czasie wojny krymskiej. Jego galeas pełen mąki utkwiał w lodzie i dotarł z ładunkiem na miejsce dopiero wtedy, kiedy ceny spadły już na tyle, że cały zysk przepadł. Ach tak. Jakoś i to udało się przetrwać – powiedział Anders, patrząc w przestrzeń.

Płynęli na północ szerokim odgałęzieniem fiordu Folla, kierując się na wąski przesmyk prowadzący ku wyspie Grøtøy. Wieczne słońce jednym promieniem rozpałiło pożar na otwartym morzu, a ściana Lofotów widoczna za wysepkami pociemniała. Niezliczone małe i większe wysepki trzymały grzywacze z dala. Ale do ich uszu dobiegała wieczna pieśń morza niczym ostrzeżenie.

– Najstraszniej jest wtedy, kiedy między wysepkami wody są spokojne, a pełne morze tuż obok ryczy najgłębszymi tonami kościelnych organów. Wtedy wiadomo, że za chwilę wiatr zmieni kierunek i uderzy! – opowiadał Anton.

– Tak, trzeba pilnować żagli, żeby nie znaleźć się znienacka w

wodzie z oderwanym rumplem w ręce! Szlak koło Grøtøya ma dość podwodnych skał i na tyle podstępne dno, żeby odwrócić dzioby całej armadzie! – dodał.

– Nie będzie aż tak źle – stwierdził Anders.

Osada handlowa leżała na wyspie najdalej wysuniętej w morze, ale zwrócona była w stronę szlaku i stałego lądu. Duży, biały budynek główny miał na każdym piętrze po dziesięć okien w rzędzie, a wzdłuż całej fasady – werandę opartą na palach. Solidny mur chronił od strony morza duży ogród z drzewami i przeszkloną altaną. Dookoła, niczym tętniący życiem krąg, rozrzucone były domki rybackie i mniejsze zabudowania. Wszędzie widać było życie i ruch. Łodzie, narzędzia i ludzi. Ale w porównaniu z rozległymi polami w domu krajobraz dookoła był ubogi w żyzną ziemię i nagi.

*

Beniamin chodził między domami, próbując poznać otoczenie. Zapomniał, że zaraz będzie dorosły, pytał i drażył. Ale nie biegł, tylko szedł. Rosły tam drzewa, których nigdy wcześniej nie widział. Dowiedział się, że przywieziono je z daleka i posadzono. Został poczęstowany sokiem i ciasteczkami, ale już po chwili ruszył ponownie w dół wzgórza, ku nadmorskim spichrzom.

Miejscowość była taka mała. Tak ciasna. A jednak mieli tu wszystko. Ludzie byli inni niż w domu. A może tylko w tej chwili, bo mieli gości? Wszędzie panowała czystość i porządek. Zauważył to szczególnie w okolicy nabrzeża. Wszystko było ułożone w sztaple i zwoje, nic nie poniewierało się po ziemi. Nie tak jak w Reinsnes. Tam można było wyciągnąć to, co było potrzebne do pracy, i zostawić do następnego dnia, o ile akurat komuś bardzo nie przeszkadzało.

Tylko w jednym miejscu w Reinsnes obowiązywały surowsze zasady. I była to kuchnia. Pracowały tam dwie chichoczące służące w fartuchach. Jedna miała warkocze i była młodsza od niego. Niewiele. Druga miała już wyraźne piersi i zbyt ciasną sukienkę. Ale ona była najlepsza, nawet jeśli przewyższała go wzrostem o pół głowy. To mu uwłaczało, ale cóż mógł począć. Miała krótkie, jasne włosy, jak chłopak. Pocił się, przebywając w pobliżu niej. Więc nie przeszkadzał im zajmować się obieraniem ziemniaków.

Po wielu godzinach rozglądania się po nowym miejscu usiadł w salonie razem z dorosłymi. Søren zaangażowany był w prace Komisji Lofockiej, która zamierzała ustanowić wolne prawo, zatwierdzające trzy rzeczy: Wolne morze dla wszystkich. Swobodne połowy dla każdego bez względu na to, z którego rejonu Królestwa Norwegii pochodził. I urzędowy nadzór nad wypełnianiem tego prawa.

Søren chwalił pana Ketila Motzfeldta, którego traktowano jak ojca tej ustawy. Anders niewiele się odzywał, mówił raczej ten drugi. Z Andersem zawsze tak to wyglądało.

– A właściciele łowisk...? Gdzie jest dla nich miejsce w tej ustawie? – zapytał w końcu Anders.

– Tam, gdzie wszystkich innych ludzi – odparł Søren.

– Ale będzie pewnie tak, że pierwsi na łowisko przybędą ci z najszybszymi i najlepszymi łodziami. I tak jak wcześniej, trzeba będzie wiosłować do smaku krwi w ustach i zagotowania rękawic – stwierdził Anders z krzywym uśmiechem.

– Tak, ale nikt cię nie przegoni i nie będzie gnębił, jeśli przyplyniesz na łowisko, na którym nie zapłaciłeś taksy.

– Ale wszyscy, tak czy owak, popłyną na te same, stare miejsca – uważał Anders.

– Zobaczymy! Przynajmniej nikt nie jest właścicielem morza, nawet jeśli posiada linię brzegową i budynki!

– Dziwne, że akurat ty, posiadacz długiej linii brzegowej i tylu budynków, tak się do tego zapaliłeś? – rzekła Dina.

– Właśnie, też tak mówię – westchnęła Sophie. – Pływa na spotkania i układa się z możnymi z Lofotów bez żadnego pożytku.

– Nowe czasy nie nastąpiły tylko dla zamożnych – powiedział w zamyśleniu Søren.

Dina przyglądała mu się kątem oka. Beniamin poczuł zaniepokojenie.

– Troszczysz się o biedniejszych, Søren – rzekła. – Gdzie się tego nauczyłeś? Tutaj, na Grøtøy?

– Nauczyłem? Sprawiedliwości nie trzeba się uczyć, nawet jeśli ktoś powiedział nam, co to znaczy. Powietrze, ogień i morze nie powinny być niczyją własnością.

Anders zauważył, że posiadanie wód chyba nie jest niczym gorszym niż posiadanie kaczych ferm i bagnisk z moroszkami. Ale nie zamierzał się o to spierać. Sformułował to raczej jako pytanie.

Dina na szczęście nie powiedziała nic więcej. Ale od czasu do czasu uważnie przypatrywała się Sørenowi. Człowiek wolałby, żeby tego nie robiła.

Z podwórza, gdzie przygotowywano się do tańców, dobiegała muzyka i śmiechy. Wieczór był ciepły. Drzwi i okna pootwierane. Młodzi i starzy krążyli dookoła. Służba i państwo, krewni i

najemnicy. Nikt nie zamierzał kłaść się spać. Ludzie mieli rozpromienione twarze.

– Beniaminie, ty chyba gdzieś pobiegłeś? Albo nie zauważyłeś, że mamy tutaj dwie dziewczynki ku pożytkowi i ozdobie?

Mógł pozwolić sobie na skinięcie głową.

– Może byś poprosił je do tańca? – powiedziała z uśmiechem Sophie.

Na szczęście w tym samym momencie Søren odezwał się do Andersa:

– Co do ciebie, ojcze, to skończyło się chyba bieganie za dziewczętami?

Anders nic nie odpowiedział, tylko się uśmiechnął.

– Pamiętam, jak powiedziałeś, że ożenek nie jest dla ciebie, więc nie wierzysz, że kiedykolwiek cię to czeka. A teraz ożeniłeś się, prawda, Anders? Więc wnieśmy toast za miłość w Reinsnes!

Dorośli unieśli kieliszki. A jednak ciągle jakby pilnowali siebie nawzajem. Pociągnął nitkę ze swetra. Nie powinien był tego robić. Oczko poleciało przez cały rękaw.

Sophie zobaczyła to od razu i poszła po igłę. Musiał ściągnąć sweter przez głowę i dać jej do zszycia.

Reinsnes i Grøtøy różniły się od siebie. W domu nikt nie wpadłby na pomysł, żeby w połowie wzniesłego toastu z przemową na temat samej miłości zaczynać szyć. Albo kiedy Dina gra.

Z zakłopotaniem zerknął na Dinę, sprawdzając, czy ta nitka nie zepsuła wszystkiego. Ale wyglądała zupełnie zwyczajnie. Prawie.

Jednak był na siebie zły, że w ciepłą pogodę włożył sweter.

– Słyszałam, że smaliłeś cholewki do dziewczyny stąd, z Grøtøy. Tej, którą sprzątnęli ci sprzed nosa i wydali za mąż do Bergen – powiedziała z uśmiechem Sophie, zerkając z ukosa na Dinę i pochylając się szybko nad sprawą nitki.

– Ależ to było przecież wieki temu – zaśmiał się Søren, najwyraźniej nie chcąc dalej o tym rozmawiać. Chociaż kwestia nie dotyczyła wcale jego.

– Nigdy nie byłem najszybszy, jak przyszło do proszenia o rękę – Anders wyszczerzył zęby w uśmiechu i wstał, żeby napełnić sobie kieliszek. Widać było, że czuł się tu jak w domu.

– Nie, zapewne tak miało być, ale trzeba mieć cierpliwość, żeby czekać tak długo jak Anders! – zarechotał Søren.

Dina poprawiła rękaw swojej sukni. Søren nie powinien był tego mówić. Absolutnie nie powinien był tego mówić! Beniamin miał ochotę wstać i rzucić się do drzwi. No ale ten sweter. Jeszcze nie był gotowy. Musiał podziękować za pomoc.

– Ach, ta młodzież – zaśmiał się Anders.

– No, nie byłeś taki znów młody – stwierdziła Sophie.

– Nie pamiętam już zbyt dokładnie – wymamrotał Anders.

– Coś mi się zdaje, że Dinie może nie podobać się ta gadka – rzekł Søren, unosząc kieliszek w stronę Diny.

Nie, nie, nie powinien był tego mówić. Sweter był już gotowy! Dlaczego jeszcze go trzymała?

– W Reinsnes nie obawiamy się przesadnie tego, co mówią

ludzie w naszej obecności. Znacznie gorzej jest, jeśli po zapadłych dziurach wzdłuż szlaku opowiada się rzeczy, przed którymi nie możemy się bronić – powiedziała Dina.

– No tak, to prawda – rzekła zmieszana Sophie, oglądając czubki swoich palców.

Rozmowa ucichła. Cisza wydawała się martwą muchą na parapecie okiennym. Søren przez chwilę kręcił młynka kciukami, a potem odezwał się:

– Nie znamy Diny tak dobrze, jak Andersa. Niech nie bierze sobie zbyt do serca naszych przyjacielskich żartów.

Sophie, wzdychając, zauważyła, że chyba przed nocą spadnie deszcz... po takim wieczorze. Potem podała mu sweter. Jej uśmiech był całkowicie płaski.

Podziękował. Kiedy naciągał sweter na głowę, Anders odstawił swój kieliszek i podszedł do wielkiego fotela, w którym siedziała Dina. Dokładnie w chwili, gdy oczy Beniamina wynurzyły się nad brzegiem swetra, Anders wziął sobie ze stolika cygaro, zupełnie jakby był u siebie w domu. Starannie oblizał koniuszek. Anders miał usta idealne do oblizywania cygar. Widział to już wcześniej. Teraz prawie musiał skinąć głową w momencie, kiedy Anders otaczał cygaro miękkimi wargami. Potem zapalił je i wciągnąwszy kilka głębokich haustów, podał je Dinie.

– Przy Dinie żaden mężczyzna nie byłby w stanie pamiętać o wszystkich głupotach, jakie robił w młodości. To wszystko nie ma już znaczenia. A dziewczyna dobrze wyszła za mąż bez mojej pomocy – powiedział.

Anders przez chwilę stał przed nią, a potem wcisnął się na fotel

tuż obok niej. Człowiek w życiu nie widział nic równie dziecinnego. To było pewne. A jednak poczuł radość. Bo Dina uśmiechnęła się do niego, robiąc mu miejsce.

Przez drzwi powiał wiatr od ogrodu. Dłoń Boga pogłaskała twarz Diny. Tak było. A Dina odwróciła się i patrzyła na Andersa.

*

Później, kiedy już pociągnął za warkocz jedną dziewczynkę i porozmawiał z drugą, wyszła Sophie z pytaniem, czy nie powinien pójść na poddasze, bo zrobiło się późno. Zawstydzilo go to, że dziewczynki usłyszały pytanie. Wtedy w drzwiach pojawił się Anders i powiedział:

– Beniamin jest już prawie dorosły! Popłynął jak mężczyzna aż do Bergen. Tacy mężczyźni nie śpią zbyt wiele.

– Myślałam tylko... – zaczęła Sophie, lecz Anders złapał ją za rękę, mówiąc, że powinna z nim teraz zatańczyć.

– Czy to twój ojciec? – zapytała z podziwem jedna z dziewczynek.

– Tak – odparł z przekonaniem, że nie mówi nic złego.

– Tak, to Anders, mój ojciec! – powtórzył.

Dziewczynki obejrzały się za Andersem.

– Nie jesteś do niego podobny! – rzekła ta z warkoczykami.

Nie powinna była tego mówić! Dlaczego to powiedziała? Czyżby cały świat zwariował? Zagryzł jednak usta i nic nie odpowiedział.

– Przypominasz swoją matkę, Dinę Grønelv, ona jest strasznie ładna! – stwierdziła ta z chłopięcą fryzurą, przekrzywiając głowę

na bok.

Wtedy wbił to sobie do głowy. Że musi z nią zatańczyć. Tamta mogła sobie stać jak osioł i się przyglądać. Obracał Bolette i nawet nie deptał jej zanadto po palcach. A poza tym ona wcale nie tańczyła jakoś dużo lepiej od niego.

– Nie potrafię zbyt dobrze tańczyć – przyznała zdyszana.

– Ja też nie! Ale nie będziemy się tym przejmować! – zawołał tak nieskończenie zadowolony, że aż poczuł ukłucie rozchodzące się od szyi niczym iskierki gdzieś na sam dół.

*

Kiedy dotarli w końcu tam, gdzie mieli spać, i powiedzieli sobie dobranoc, Anders zamknął drzwi pomiędzy izbami. Ale i tak był świadom ich obecności.

Schował twarz między piersiami Diny, odpływając z nią w morze. Nie mogli jednak pozbyć się Rosjanina, który towarzyszył im, zanurzony w kałuży gęstej smoły o kwaśnym odorze. Chciał go odepchnąć i pragnął, żeby morze go zabrało. Człowiek mógłby wreszcie spokojnie płynąć z Diną. Ale stęchła woń ciągle unosiła się dookoła. Krzyknął coś o tym do Andersa. Ale odległość do kasztelu rufowego na „Matce Karen”, gdzie Anders stał i obserwował szlak, była zbyt duża.

Wielkie, ohydne stworzenie, ni to wąż, ni to kruk albo mewa, tylko jakieś pomieszanie tego wszystkiego, krążyło wokół nich przez cały czas. Nurkowało w powietrzu, a po chwili znów wznosiło się w niebo.

– Ona nie jest twoja. Nie dostrzegasz tego? – powiedział ptak prosto w jego ucho. – Musi wyjechać. Bo jest nieczysta!

Zrobiło się okropnie. Obrzydliwie. To, że z nią płynął. Chciał ją puścić i nie chciał zarazem. Dryfowała z nim. Była tak strasznie ciężka. Chciał ponownie zawołać Andersa. Jednak nie był w stanie. Co miał począć? Dryfowała z nim. Nie należała do niego i chciała wyjechać.

Ptak odrzucił swoje przebranie, pozwalając, żeby zeń opadło. Zobaczył, że to jest – i zarazem nie jest – Rosjanin.

– Musisz coś powiedzieć – zawołał do stworzenia. Ale ptak nic mu nie odrzekł, tylko brodził w przybrzeżnych wodorostach. W tym obrzydliwym zapachu!

Zobaczył dziewczynkę z warkoczykami. Rozpaliła wielkie ognisko między kamieniami na plaży. Żar uderzył go w twarz, aż zapiekło. Paliło go w żołądku. I tam, gdzie trudno było nazwać. A wszystkie drzewa wzdłuż brzegu morza stały otoczone jasną łuną.

– To dlatego, że zawsze trzeba żenić się z kimś innym! – rzekła szyderczo dziewczynka. Rozplotła warkocze. Włosy falowały w deszczu iskier. Płynęły ku niemu. Cienkie, złote nici na czarnym morzu.

Dina ciągle powtarzała jego imię. Tak jakby dopiero go odnalazła i nie do końca wiedziała, kim jest.

Robił się od tego ogromny i pusty w środku. Wzrokiem przenikał morze. Wydawało się zupełnie zwyczajne. Aż po samo dno. Przezroczyste jak okienna szyba.

Mógł też patrzeć w górę. Na wskroś morza i powietrza. Od strony dna. To nie wydawało się osobliwe. Niebo miało pęknięcie. Nieskończenie powoli spadał przez nie Anders. Jak papierowy ptak rzucony z okna strychu. Wylądował na świeżo wypranej,

wysuszonej na słońcu wełnie, wzdychając i pojękując. Bo tak długo siedział wśród topniejącej, rozmokłej kry na Morzu Lofockim.

Poczuł smak bólu odmrożonych palców Andersa. Bolesny i przyjemny. Całkiem zwyczajny. Tak jak to się dzieje z przemrożonymi dłońmi – w ciepłym wnętrzu.

Rozdział jedenasty

Kiedy wrócił do domu, jesień trwała już na dobre, pełna bezpiecznych zapachów. Mógł przechadzać się po gospodarstwie i składzie, opowiadając historie o Bergen i o Świecie.

Wtedy jeszcze nie wiedział, że następnej jesieni ma pojechać do szkoły w Tromsø. Usłyszał to pewnego dnia, siedząc w izbie Matki Karen, nie zamknąwszy drzwi do salonu. Czasami tak bywało, że ktoś gdzieś nie zamknął drzwi.

Anders czytał Dinie na głos gazetę. Firma Giaever & Syn ogłaszała wyprzedaż starego portwajnu, muszkatu, octu malinowego oraz oliwy do lamp za niedużą cenę. Na chwilę zapadła cisza, a potem czytał dalej. O nieodebranym liście z poczty głównej dla Diny Grønelv od pastora Johana Grønelva, należna kwota wynosiła 12 szylingów.

W głosie Andersa było coś dziwnego. Zupełnie jakby próbował nauczyć się czegoś na pamięć i nie dawał rady.

– Dlaczego nie odebrałaś listu, Dino? – zapytał Anders.

– Bo wiem, co w nim jest – odpowiedziała takim tonem, jakby mówiła o kierunku wiatru.

– Wiesz, co w nim jest?

– Tak.

– Ależ, na Boga... Oszalałaś?

– To samo, co ostatnio.

– Ach, tak. A co to było?

– Że chciałby otrzymać niewielką kwotę, żeby móc pojechać do Kopenhagi kontynuować studia z teologii.

Anders prawie zniknął.

– Nic mi o tym nie wiadomo.

– Nie, tego by jeszcze brakowało. Nie zamierzałam zawracać ci tym głowy.

Potem słyhać było tylko ścienny zegar. Wbijał ich oddechy w ścianę, napełniając jego uszy nieznośnym hałasem.

– Czy nie jesteś w stanie go niczym wspomóc, Dino?

– Nie!

– Nie mówisz poważnie?

– Ależ tak!

– Ale przecież to nieprawda, Dino.

– Johan przez te wszystkie lata dostał więcej niż dość. Nigdy nie wykonał innej pracy niż łożenie po mieście z książkami pod pachą. Jest teraz ktoś inny, na kogo przyszła pora się uczyć. A to będzie dużo kosztować.

– Kto?

– Beniamin.

Gazeta poczuła się niezręcznie. Zaszleściła. A duże stopy przesunęły się gwałtownie gdzieś tam pod stołem.

– A jakie masz plany co do Beniamina, jeśli wolno mi zapytać?

– Szkoła realna w Tromsø! Powinien uczyć się obcego języka i złożyć egzamin dojrzałości. Samo tylko czesne kosztuje tam

trzydzieści sześć talarów. Do tego trzeba doliczyć zakwaterowanie i wyżywienie.

– Zakwaterowanie i wyżywienie! Tromsø! Ależ Dino, przecież to jeszcze dziecko!

– Nie może łązić tutaj i...

– Czy chłopak wie o tym pomyśle?

– Jeszcze nie. Ale rozmawialiśmy o tym już wcześniej.

– Jest zbyt młody – rzekł Anders. Jego głos brzmiał tak jak wtedy, gdy wydawał rozkaz rzucenia kotwicy. Nie był zły. W żadnym wypadku. Ale kotwicy nie można zatrzymać.

Dina jednak ją wstrzymała:

– Dobrze jest wcześniej zacząć.

– Ale przecież guwerner Angell jest dobrym nauczycielem.

– Beniamin nie będzie snuł się po Reinsnes, nie znając innego świata.

Czy to Anders się zaśmiał?

Kto się roześmiał?

– Ależ Dino, przecież się nie spieszy. Ma jeszcze całe lata przed sobą.

– Nikt nie powinien być zmuszony do siedzenia latami na kamienistej plaży!

– Czy ty tak właśnie się czujesz, Dino?

Ktoś chodził po izbie. Dokąd zmierzali? Dlaczego nie siedzieli spokojnie?

– To będzie dla niego trudne, Dino.

– Tak – odrzekł głos Diny.

Słowo skurczyło jego głowę tak, że niemal zniknęła. A w środku tej nicości znajdował się mały orzech. Bolał i chciał wyjść. Benjamin chciał wstać i wejść do środka, do tych głosów. Ale nie zrobił tego. Nie, to było niemożliwe.

– Zakładam, że to ty mu powiesz, że wyjeżdża z domu?

Głos Andersa był przerażająco blisko.

– Tak – odparła Dina.

Ruszenie się z miejsca było niemożliwe.

– A ja dowiem się, jak już wszystko będzie załatwione? – rzekł Anders głosem takim, jakby dobiegał z blaszanego wiadra. Nie dawało się go słuchać.

– Anders, nie patrz na to w ten sposób.

– A jak mam na to patrzeć?

– Chodzi tylko o to, że uważam, iż najlepiej będzie, jeśli to ja załatwię sprawę Beniamina.

– Tak, w końcu jesteś matką!

Przez uchylone drzwi dobiegł odgłos cmoktania. Pewnie Anders nabijał fajkę. Nabijał fajkę! Ludzie robili najdziwniejsze rzeczy.

Przez jakiś czas pachniało fajką, a potem Dina powiedziała:

– Dlaczego tak bardzo się o to złościysz?

– Nie złość się. Czuję się jak głupek, który nie ma nic do powiedzenia. Dyrygujesz nami wszystkimi, Dino. Zobaczysz, że to

nie może przynieść niczego dobrego. Wiem, że jesteś przyzwyczajona do decydowania o wszystkim samodzielnie. Ale teraz urządziłaś się tak, że masz tutaj mnie, więc musisz jakoś znaleźć się w sytuacji, że chciałbym mieć słowo do powiedzenia w różnych sprawach.

– Przecież masz – odrzekła. Stanowczo zbyt miło.

– Nie, nie wydusiłaś z siebie ani słowa o tym, że chcesz wysłać chłopaka z domu. I nie zapytałaś mnie, co ja o tym sądzę, gdybyś coś takiego rozważała.

– Powinnam była to zrobić. Chyba nie jestem przyzwyczajona do tego, że mam męża.

Zobaczył oczyma wyobraźni, jak Dina wyślizguje się i wychodzi z myśli Andersa. Jak łasica. Potrafiła zrobić się taka chuda, że wciskała się w szczeliny wśród gęstych kamieni i widać było tylko znikający ogon.

– A te koszmary, Dino!

– On choruje tylko w Reinsnes.

Powiedziała, że jest chory. Przecież wiedziała, że to nieprawda. To Rosjanin był chory. Tak bardzo, bardzo chory! Zupełnie zniszczony. Czy kłamała, żeby ratować siebie? Czy Dina kłamała tak jak wszyscy inni?

Stał pośrodku izby Matki Karen, wyciągając przed siebie rękę. Chciał pocieszyć się, gładząc lampę z zielonym, szklanym kloszem podtrzymywanym przez cheruba pańskiego. Coś człowiek musiał przecież mieć. Rozpostarł palce. A potem stało się. Lampa Matki Karen też go nie chciała. Zemściła się! Zielone odłamki szkła wbiły mu się w łydkę. A potem Rosjanin wyciekał z niego drobnymi,

czerwonymi kroplami, a dookoła czuć było zapach oliwy.

Stał tak jeszcze długo po tym, jak ze wszystkich stron nadbiegli ludzie i zaczęli mówić.

Rozdział dwunasty

Oline nie powinna tak krzyczeć, pomyślał sobie. Oline i on byli jedynymi osobami w Reinsnes, które kiedykolwiek krzyczały. Ale znacznie gorzej było, kiedy to ona krzyczała. Nieprzyjemnie. Bo ona, w pewnym sensie, miała do tego prawo. Ona była Oline.

– Niech Bóg Wszechmogący pokarze tego, kto marnuje dary Boże! – wrzasnęła z twarzą w kolorze jasnej czerwieni.

Pootwierane drzwi nie były bezpieczne. Teraz znów to się zdarzyło. Może powinien przeprowadzić się do służbówki. Ale tam również czyhało zagrożenie. Tam był Tomasz.

– Pani nie może sobie tak pozwalać z mąką, jak to teraz robi!

Strumień jazgotliwych wyrzekań wypłynął z jej ust, a z oczu trysnęły łzy. Chyba tylko Tea miała być tego świadkiem. Ale człowiek przecież nie mógł nic na to poradzić, że słyszy, skoro i tak miał uszy. Dina od dawna była już w stajni z faską pełną mąki.

– Aż tyle nie wzięła. Było tylko trochę na dnie... – wymamrotała Tea gdzieś tam w środku.

– Ja ci dam na dnie! – lamentowała Oline.

W chwilę potem dało się słyszeć plaśnięcie. Jakby ktoś z impetem odłożył na blat mokrą ścierkę. Mógłby oczywiście udawać mężczyznę, stać tam i szczyrzyć zęby, uznając to wszystko za zwykłe kobiece głupoty. Ale to nie było takie łatwe.

– Sama widziałam, co wzięła. To nie do pomyślenia! I do tego wielki grzech! Stary dobry obyczaj, żeby nie marnować darów Bożych dla konia, tu w Reinsnes w ogóle nie jest szanowany. Ale to

się zemści! Wszyscy to już kiedyś widzieliśmy. Jaka kara spada za to, że Dina zabiera kaszę i mąkę dla konia.

Postanowił, że jednak będzie dorosły i wejdzie do kuchni. Pewnie wtedy Oline zamilknie. Ale Oline w ogóle nie zwróciła na niego uwagi. Podeszła bardzo blisko do próbującej się wycofać Tei i zaczęła szeptać. Groźnie i głośno, jakby rzucała zaklęcia.

– Co takiego jest z ludźmi i końmi w Reinsnes, że mają takiego pecha? No co? Tak sobie tylko pytam, z czystej ciekawości. Najpierw koń poniósł i zerwał postronki, a Jakub zginął w przepaści. Potem Dina musiała sama ubić swojego wierzchowca. Przez całe lata mieliśmy tu zjawy i chore konie robocze. Wspomnisz moje słowa, dziewczyno! Mogę je powtórzyć przy pastorze! To wszystko kara za to, że Dina marnuje dary Boże!

Zapytał, czy w szufladzie znajdzie kawałek smołowanego sznurka. Musiał koniecznie mieć coś do owinięcia rękojeści noża, bo była bardzo śliska.

Ale ona go nie widziała. Trafił w sam środek burzy.

– Dina zna się na koniach! – burknął, czując, że drży.

– Zna się! – prychnęła Oline, jakby zwracając się do Tei. – A dlaczego wobec tego mamy tu w gospodarstwie tyle nieszczęścia z kupowaniem koni? Ostatni koń do roboty miał takie słabe kopyta, że aż wstyd. Tak mówi Tomasz! A jak myślisz, skąd to się bierze? Ogier zapada się w sobie i z każdym sezonem ma coraz bardziej szablaste nogi. A poza tym kulał i miał kolkę.

– W innych miejscach też to się zdarza – stwierdziła słabo Tea.

– Nie wolno ci tak mówić! Akurat kolkę Dina najlepiej umie wyleczyć. Daje koniowi łyżkę kwaśnego mleka rozmieszanego w pół

litra wody albo pół litra rozcieńczonego octu i sama go doprawia i próbuje! – rzekł groźnie, podchodząc bliżej do Oline.

Ale Oline była dzisiaj w szaleństwie. Nie do powstrzymania.

– Przestała dawać mu jeść i sama siedziała przy nim i nacierała mu brzuch ciepłą szmatą – powiedziała Tea, starając się mu pomóc.

Oline wyglądała tak, jakby miała ochotę opluć ich oboje. Ale zamiast tego jej oczy zwęziły się w szparki, miotające ogień i siarkę.

– Ona znieważyla dary Boże! To przynosi nieszczęście! Próbowałam przenieść worek z mąką i wstawić pod blat w spiżarni, za skrzynię, żeby nie mogła go znaleźć. Sądziłam, że o niego nie zapyta. I nie zapytała. Ale świeże ślady mąki pokazują jasno, że znalazła kryjówkę i ją ograbiła! Czego się spodziewacie? Skoro pani domu zniża się do tego, żeby kraść dary Boże z własnej spiżarni! I dawać je jakiemuś cholernemu koniowi!

Kiedy Oline wzdychała, człowiek miał wrażenie, jakby ktoś z chlupotem wrzucał ogromne głowy halibutów do beczki z solą.

– Poza tym co jest takiego wyjątkowego w koniach? Czy ktoś na tym świecie może mi powiedzieć, co takiego wyjątkowego jest w koniach? Innego niż w krowach, które dają mleko, masło i cielaki? Konie wierzchowe do niczego się nie nadają. Ostatni źrebak ledwo wyrósł i ma krzyż jak niosąca się kura! To jest właśnie kara! Za marnowanie darów Bożych! Jak ten Anders ma odwagę wypływać na szerokie morze, mając żonę, która łamie najprostsze z wszystkich zasad!

– Nie wolno ci tak mówić o Dinie! Bo wtedy... wtedy cię zastrzele! – krzyknął.

Na te słowa trochę jakby się opamiętała. Zamknęła usta,

policzki jej drżały, wpatrywała się w niego.

– Niech Bóg zlituje się nad nami wszystkimi! I nad tobą, mój biedny chłopcze! A teraz ona cię stąd odeśle! – załkała Oline, obejmując go ramionami.

Znalazł się w świecie przesyconym zapachem kwasu, słodczy i mąki pszennej.

Człowiek chyba mógł znów zacząć myśleć. Skończyło się.

*

Poszedł do Andersa, żeby ostrzec go przed karami Oline. W ten sposób człowiek przynajmniej coś zrobił, nawet jeśli nie na wiele to się zdało.

Anders krążył po nabrzeżu, doglądając wszystkiego, co trzeba było spakować przed wyprawą na Lofoty.

Zmarszczył czoło i rzekł:

– Czy Dina to słyszała?

– Nie, była w stajni.

– Nie ma po co zawracać jej tym głowy. Oline jest pełna różnych przesądów.

– Przykro było tego słuchać – powiedział.

– Po prostu o tym zapomnij! Oline musi od czasu do czasu pokrzyczeć. Ona jest jak maszyna parowa! Najlepiej działa, jak upuści sobie trochę pary. Zostań lepiej tutaj i pomóż mi liczyć i układać.

Anders uśmiechnął się lekko, ale widać było, że jest nieco przestraszony.

– Mężczyźni płynący na Lofoty, w przeciwieństwie do koni, mają swoje uświęcone od dwustu lat prawo do trzech miesięcy wyżywienia – powiedział, rozkładając starą listę i odczytując na głos:

– „Dwanaście funtów masła, tyle samo dojrzałego sera gammelost oraz dwa sery mleczne. Trzydzieści sześć funtów podpłomyków. Ponadto dwadzieścia cztery funty mąki jęczmiennej na zupełną śledziową. Do tego wędzona kość wołowa i trochę solonego mięsa. Dwadzieścia placków ziemniaczanych i antałek śledzia. Anker kwasu, pół garnca wódki, parę grzywien tytoniu. Każdy dostanie też dowolną ilość mąki do wspólnego gotowania kleiku oraz syrop, zgodnie z własnym zapotrzebowaniem. A wszystko to za dziesięć talarów”.

– Czy oni będą to wszystko jedli?

– I jeszcze więcej. Jeśli chce się mieć najlepszą załogę, lepiej jest dać ludziom za dużo niż zbyt mało. Z załogą poradzę sobie sam, niezależnie od tego, co twierdzi Oline, ale rybą rządzi już tylko Najwyższy. A jeśli ryba nadpłynie wielką ławicą, to nic to nie da, jeśli nie ma się chętniej do dzieła załogi.

– Ciekawie byłoby to wszystko zobaczyć...

– Niewyobrażalna liczba załóg! Zdaje się, że mówiono, iż na Lofotach jest obecnie dwadzieścia tysięcy rybaków. Każdy ma swoje sprzęty. Wiele puszek z chlebem i liczne skrzynie. I nieprawdopodobna liczba sztormiaków oraz kaloszy. Rękawic porozwieszanych na łodziach, żeby były czyste i nie zamarzały.

Człowiek mógł sobie wyobrazić czterdzieści tysięcy szarobiałych stynek stojących w wodach Vestfjordu. To były poważne sprawy.

Dziwne, że nikt mu tego wcześniej nie opowiedział?

– Jeśli Oline narzeka, że Dina daje koniowi dary Boże, to powinienesz wiedzieć, że to twoja matka wiele lat temu poczyniła żmudne rachunki, ile sera, masła i tytoniu potrzeba co roku do wyprawy na Lofoty. Dzięki temu zacząłem wozić towary na sprzedaż. A Oline, biedna, martwi się teraz o stan kuchni w Reinsnes... I Dina, i ja patrzemy na to nieco inaczej.

„Dina i ja”, tak powiedział. To naprawiało wszystko. Anders się z nim zgadzał. Wobec tego to Oline musiała się mylić.

– Chociaż masz jechać do Tromsø się uczyć, to powiem ci tyle, chłopcze, że połowy ryb to prawdziwa wolność i przygoda! Dobrze się potem śpi. Ma się spuchnięte palce i nieprzepartą chęć do życia. Nawet jeśli połowy są skromne, to błogosławieństwem jest wytchnienie od kręcenia się po domowych kątach. Wszystko inne, na co nic nie można poradzić, musi poczekać do końca połowów.

– Czy mogę pojechać z tobą na Lofoty?

Zobaczył, że Anders nie wie, co powiedzieć. Ale mimo to powtórzył pytanie.

– Porozmawiam z Diną – obiecał niepewnie Anders.

Ale obaj wiedzieli, jak jest. Że to nie do pomyślenia.

Anders odchrząknął i rzekł:

– Masz dobrą głowę, chłopcze. Musisz chyba z niej skorzystać, zanim zrobisz się stary i niedouczony.

– Przecież ty też masz dobrą głowę, Anders. A mimo to nikt nie wysłał cię do obcego domu w Tromsø!

– Nie, jak ja byłem młody, nie było takiego zwyczaju. Trzeba się było cieszyć, że ktoś chciał cię na służbę. Poza tym moje zajęcie nie wymaga czytania książek.

– Chcę zostać szyprem klipra, Anders. Powiedz Dinie, że tak zdecydowaliśmy!

– Dina nie ma wiary w to, że będzie z ciebie szyper łodzi.

– Dlaczego? Jeszcze jej pokażę!

– Ja też nie sądzę, żebyś miał być szyprem.

– Czy mam iść na zatracenie do Tromsø, skoro nie nadaję się na szypra?

– Nie, masz więcej szczęścia niż jakikolwiek inny znany mi chłopiec. Uważamy, że wiele osiągniesz. Dlatego masz jechać do szkoły.

– Kim mam zostać?

– Pewnie sam po pewnym czasie do tego dojdiesz. I to będzie coś ważnego!

– Myślałem, że masz być moim ojcem i też o czymś decydować. A i tak decyduje tylko ona!

Człowiek nie mógł nic na to poradzić, że się wściekł. A teraz te słowa już padły i nie można było ich cofnąć. Anders patrzył w podłogę.

– Twoja matka pewnie lepiej to dostrzega.

– Sam widzisz, jak to się skończyło dla Johana. Leży teraz tylko w księżowskiej sukience na szezlongu i żebrze o pieniądze.

Anders musiał się roześmiać.

– Z nim jest inna sprawa. On nie jest synem Diny – rzekł łagodnie.

– Co masz na myśli?

– Ty jesteś z innej gliny, Beniaminie.

– Skąd to wiesz?

– Widzę to po tobie, kiedy się złościysz. I kiedy jesteś zadowolony również.

– Ale my jesteśmy synami Jakuba, i Johan, i ja, a wiesz przecież, jak skończył Jakub? Teraz wisi sobie tylko na ścianie dla ozdoby i straszy w komórcie koło sypialni.

– Kto mówi, że on straszy?

– Dina powiada, że on tam jest.

– Ach, tak – rzekł Anders w zamyśleniu.

– Nie jest groźny.

– Nie, na pewno nie.

Anders skończył nabijać fajkę i ją zapalił.

– Czy wierzysz w duchy i umarlaki, Anders?

– Nie, te stworzenia nigdy mnie jakoś nie nachodziły.

– A mnie męczą.

– Kto taki?

– Rosjanin. Przeprowadzi się ze mną do Tromsø. Tam nie będę miał z kim grać w szachy po nocach.

– Ciągle śni ci się Rosjanin?

- Tak.
- A co on wtedy robi?
- Krzyczy i pyta.
- O co pyta?
- Czy mogę być jego świadkiem.

Nie powinien był w żadnym razie tego mówić! Uświadomił to sobie natychmiast, jak tylko wybrzmiały słowa. One nie powinny były nigdy paść!

- Czy ciągle męczy cię to, że referendarz tyle wtedy wypytywał?
- Nie wiem...
- Nie możesz zapomnieć, że się zastrześlił?
- To strzelba!

Powtórzył to kilka razy, żeby nie było żadnych wątpliwości.

- Tak, to strzelba! – zgodził się Anders.
- Czy myślisz, że to możliwe, żeby ludzie strzelali do siebie nawzajem? – zapytał, chociaż wiedział, że nie powinien.
- To się zdarza, ale nie tutaj.
- W jakim sensie?
- Wtedy idzie się do więzienia na resztę życia. Tylko na wojnie wolno strzelać do ludzi.
- Nie znasz nikogo, kto by kogoś zastrześlił?
- Nie, na Boga!
- To się zastanów. Bardzo dobrze się zastanów!

Jakby nastąpił na nóż. Nie dało się tego odwrócić. Już to powiedział.

– Dajże już pokój, chłopcze! Nie muszę się nad tym zastanawiać.

Człowiek mógł patrzeć zupełnie spokojnie na małe stworzenie z czarnym grzbietem, chyba był to jakiś żuk, kroczący powoli po desce. Czarny, błyszczący pancerzyk. Nagle musiał coś zrobić. Zapanowała taka pustka. Nie do wytrzymania. Podniósł się i zgniół żuka obcasem.

– To nie było zbyt ładnie. Przecież nic ci nie zrobił – powiedział cicho Anders.

– Martwi Rosjanie też nie są zbyt ładni i też nic nie zrobili – rzekł, czując, że przewrócił się na beczkę. Bujała się tam i z powrotem. Podłoga była tak cholernie nierówna.

– Nie, to prawda – odparł Anders.

– Jak ci się zdaje, jak ona może... udawać, że nic się nie stało? – usłyszał własny głos.

– Ona nie udaje, że nic się nie stało. Tylko się nie poddaje – powiedział Anders. Miał tak wielką twarz. Można było sobie pomyśleć, że Anders wszystko wie.

Ale Anders nic nie wiedział.

– Ale ona ma ciebie!

Tak podejrzanie łatwo było to powiedzieć: „Ale ona ma ciebie”.

– Ty też mnie masz, Beniaminie.

– Jeśli kogoś ma Dina, to już nikt inny go nie ma!

– Może dlatego chciałyby, żebyś pojechał w świat i nauczył się

być kimś innym niż synem Diny.

– Tak sądzisz?

– Tak mniej więcej – odparł Anders i wyglądał nieco dziwnie.

– A Rosjanin?

– On musi zostać tutaj. A jeśli nie, to zawiadam mnie, przyjadę z nim porozmawiać.

– A jeśli będziesz na Lofotach?

– Z Lofotów też da się przypłynąć.

– Ale to długo trwa.

– Jednak jest możliwe. A w międzyczasie musisz sobie radzić sam na tyle, na ile potrafisz. Tego oczekuje się od mężczyzny.

– Czy myślisz, że jestem jak baba, bo przeraża mnie martwy Rosjanin?

– Widziałem większych chłopców od ciebie przestraszonych jakimś zwykłym wypadkiem – powiedział poważnie Anders.

– Czy ty się czasami boisz, Anders?

– Zdarza się.

– Dina mówi, że każdy się boi.

Anders sprawiał wrażenie zdumionego. Niewiele on wiedział. Zawsze wierzył w dobro, Anders taki już był.

– Och, ona tak mówi?

– Powiada, że sama się boi.

– Czego?

Powiedział zbyt wiele. Nie można było tyle gadać z ludźmi. Ani rozmawiać z nimi po to, żeby siebie ratować. Człowiek nie mógł się poddawać. Trzeba było zmienić temat. Na jakiś zwyczajny. Dlatego powiedział:

– To są pewnie jakieś codzienne sprawy, które nie są specjalnie niebezpieczne.

Anders kiwnął głową i więcej o nic nie pytał. Pod wieloma względami był wspaniałym ojcem. Wiedział, że wszystko powinno mieć swój kres. Zamiast tego opowiedział mu historię ze swojej żeglarskiej wyprawy. Bał się tak bardzo, że wymiotował, chociaż nie dostał choroby morskiej.

– O tym wszystkim zapomina się na lądzie, jak jesteś już bezpieczny – dodał z uśmiechem.

Już następnego dnia Anders zapowiedział Beniaminowi, że przed wyjazdem do szkoły łacińskiej w Tromsø niestety będzie musiał wprawiać się w gramatyce i ćwiczyć w liczbach. Nie było czasu do stracenia, więc wyprawa na Lofoty musi poczekać do następnego roku.

– Ona chyba zwariowała!

Tyle chyba mógł zaryzykować, żeby coś takiego powiedzieć do kogoś, kto miał być jego ojcem.

– Może ma swoje powody – rzekł Anders, odwracając się plecami.

*

Często siadywał w izbie Matki Karen, rozmyślając o tym, że człowiek nie powinien wszystkiego pamiętać. Nie było w tym nic

dobrego. Im więcej o tym myślał, tym więcej pamiętał.

Od czasu do czasu myśli wpływały w czytaną właśnie książkę, niszcząc wszystko. Przemawiały do niego przerażonym głosem, który okazywał się jego własnym. W samym środku baśni i powieści słyszał, jak sam opowiada to, czego nie miał pamiętać.

To było gorsze nawet od wrzasków Rosjanina.

Niekiedy przyglądał się sobie z zewnątrz. Jak pyłkowi, położonemu przez kogoś pod lupą Matki Karen. Czasami miał wrażenie, że sam się tam umieścił. I że ta część jego, która to zrobiła, była niezwykłym olbrzymem, krocącym przez świat z ramionami okrytymi gwiazdzistym niebem jak peleryną. Ale najbardziej czuł się jak ktoś leżący pod lupą. Niekiedy był mołem przelatującym przez izbę, na którego nikt nawet nie podnosił spojrzenia.

Często zastanawiał się, dlaczego robi to, co ona zdecyduje. A może to nie ona decydowała? Może to on sam usiłował odgadnąć, czego dla niego chce.

Od czasu do czasu dostrzegał wyraźnie, że to nie jej wina. Ani niczyja. Ale nie miał odwagi ciągnąć tej myśli, bo wtedy wszystko stawało się jego winą. Bo był tchórzem. Bo nie był tak grzeczny, jak powinien. Bo krzyczał i szlochał gorzej niż Oline, nie mając do tego żadnego prawa.

W naprawdę złe dni myślał sobie, że najlepszym synem Jakuba był Johan. I tym, z którego Matka Karen była najbardziej dumna. Johan był najwyraźniej dobrym człowiekiem. Jeśli bił, to pewnie miał powód. Uzasadniony powód.

Pewnego dnia po ślubie Andersa i Diny próbował porozmawiać z

Johanem. Miało się w końcu tylko tego jednego brata. A Johan wydawał się w tym dniu taki zadowolony. Więc poszedł za nim nieproszony, kiedy Johan ruszył wzdłuż plaży. Ale zaraz okazało się wyraźnie, że człowiek jest dla niego tylko utrapieniem. Można było udawać, że się tego nie widzi, i po prostu przeczekać. Ale to już nie było to samo. Wtedy właśnie wyszło na jaw, jakim złym człowiekiem można być w stosunku do własnego brata. Nagle to powiedział. Był na tyle dorosły, że wiedział, iż nie powinno się mówić ludziom takich rzeczy:

– Tym razem musisz w Reinsnes spać sam, bo teraz Dina jest żoną Andersa.

Johan stanął jak wryty wśród kamieni, a fala pluskała o skały. Słońce barwiło na płyciznach morze na zielono, a wszystko otaczał spokój. Johan był równie blady jak piasek, na którym stał. Zapowiedź nieszczęścia. Biały brat, chwiejący się lekko na wietrze.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – zapytał ten brat prawie bezgłośnie.

Wiedział przecież, że Johan nie udźwignie tej odpowiedzi. Dlatego odparł:

– Kiedyś zawsze spałeś z Diną, kiedy jeszcze mieszkała w służbówce! Prawda?

– Skąd ci to przyszło do głowy, dzieciaku?

Johan zrobił dwa groźne kroki w jego stronę. Nie pozostało mu nic innego, jak wycofać się z sercem walącym aż w czubkach palców.

– Widziałem!

Poczuł, jak Johan chwyta go za ramię. Paznokcie wbiły się w skórę. Prawie przyjemnie. Dzięki temu mieli coś wspólnego.

– Milcz! Nigdy nic takiego nie widziałeś! – zawołał Johan, szczypiąc go jeszcze bardziej.

Przecież musiał krzyknąć. Ale to nic nie szkodziło. Człowiek mógł wszak krzyczeć, będąc szczypanym. Wtedy przynajmniej wiedziało się, dlaczego się krzyczy.

– Czy to taki wielki problem? – zawył, wyrwał się i pobiegł przodem.

Nagle jednak odwrócił się, wyrzucając z siebie kolejne słowa, przez które Johan rzucił się w ślad za nim i nie mógł już mieć wątpliwości, że Benjamin widział.

– Ani mi się waż opowiadać komukolwiek te wierutne kłamstwa! – sapał Johan.

– To nie są kłamstwa! Ale jak tak bardzo się boisz, to mogę o tym nie opowiadać! – człowiek wrzasnął tak do swojego brata. To było takie łatwe. W ten sposób mógł mieć coś wspólnego z Johanem. Johan nie był w stanie się wymknąć, nie myśląc o nim. Nie myśląc, że tylko oni dwaj coś wiedzą.

Rozdział trzynasty

Referendarz z rodziną przyjechał z przedświąteczną wizytą. Wokół stołu panował nastrój pełen napięcia. Chłopcy pojechali z Tomaszem saniami do domów zagrodników zawieźć świąteczne dary.

Nie poprawiła tego uwaga referendarza poczyniona nad halibutem, że w nocy jest za dużo hałasu. Bez przerwy ktoś chodzi tam i z powrotem. To zły obyczaj.

– Beniamin ma ciągle kłopoty ze snem – rzekł krótko Anders.

Dina sprawiała wrażenie sztywnej i odpychającej. Siedziała, dłubiąc w jedzeniu.

– Co noc? – zapytała Dagny.

– Ostatnio tak – przyznał Anders.

– To poważna sprawa! Czy nie jest tak... że jest trochę zbyt łagodnie wychowany? – powiedział referendarz, wychylając do końca drugi kieliszek.

– To z powodu tego zdarzenia z Rosjaninem – rzekł cicho Anders, podając referendarzowi półmisek z rybą.

Pachniało liśćmi laurowymi i octem. Rybie mięso było białe i jędrne, z wierzchu pokryte chropowatą skórą, błyszczącą jak macica perłowa, z pasemkami tłuszczu na brzegach.

– Ale to było przecież dawno temu – powiedział referendarz, nakładając sobie ryby.

– On tam był. Nawet na dorosłym mężczyźnie coś takiego

zrobiłoby wrażenie – stwierdził Anders.

– Przecież zaraz po tym wydawał się taki silny – rzekła Dagny. Za wszelką cenę chciała, aby przy stole panował spokój.

Przez chwilę referendarz przyglądał jej się, przeżuwając. Potem skinął głową i powiedział z naciskiem:

– Nie można się z nimi zanadto patyczkować, bo robią się dziwne.

– Takie jak ja? – zapytała Dina.

– Dobrze już, dobrze – odparł referendarz.

Anders i Dagny w tym samym momencie otworzyli usta. Zdania zderzyły się w powietrzu.

– Czy byłeś tam, kiedy się przewrócił? – kontynuowała Dina.

Referendarz był wyraźnie wzburzony, ale starał się nad sobą zapanować.

– No już dobrze, dobrze... – powtórzył przymilnie.

– Czy byłeś przy tym, kiedy upadła Hjertrud? – szepnęła Dina.

Referendarz Holm zbladł i chwycił się nagle za serce.

– Dino, Dino, dajże już spokój – poprosiła Dagny, unosząc się do połowy na krześle. Nóż spadł jej na podłogę. Srebrna rękojeść była wypełniona piaskiem. Jeszcze długo po upadku spod stołu dobiegał jej śpiew.

– Czy byłeś obok, kiedy Jakub spadł w przepaść? – kontynuowała zimno Dina. Splotła obie dłonie tuż przed swoim talerzem i patrzyła sztywno w zamknięte oczy referendarza.

– Dino... – poprosił Anders.

– Czy byłeś na miejscu, kiedy Nils powiesił się pod powalą?

Wokół niej wszystko pokrywał szron.

– Gdybyś tam był, to kto wie, może musiałbyś poświęcić temu bezsenną noc. Więc nie bądź taki zaskoczony! – rzekła.

Potem spokojnie odsunęła krzesło, złożyła serwetkę, odkładając ją obok pełnego talerza. Następnie skinęła głową każdemu z osobna i opuściła izbę.

Anders wytrzymał do końca posiłku. Ale zaraz potem pod pretekstem zmęczenia powiedział wszystkim dobranoc. Już na górze, w korytarzu poddasza, musiał stanąć i zebrać się mocno w sobie, zanim wszedł do środka.

*

Rozbierała się właśnie za parawanem. Podeszedł do niego i stał, przyglądając się czubkowi jej głowy, aż znieruchomiała i spojrzała na niego.

– Nie mam siły znosić tej wrogości pomiędzy tobą a twoim ojcem! – powiedział bez żadnych wstępów.

– I co zamierzasz z tym zrobić?

– Jeśli nie będziesz starała się, żeby przy stole dało się jakoś wytrzymać, to będę znikał stąd za każdym razem, kiedy przyjadą – rzekł, ściągając z siebie jednym ruchem marynarkę i koszulę.

Powiesiła bluzkę na brzegu parawanu, nie odpowiadając. W skąpym świetle widział tylko jej dłonie i włosy. Na dworze padał śnieg. Zaciągnął zasłony i rozebrał się do końca.

Kiedy już wyrzucił to, co leżało mu na sercu, zmiękł. Ale ona nie odpuszczała. W końcu stało się to nie do wytrzymania.

– Jeszcze jedna sprawa... i ona jest ważniejsza. Nie możemy wysłać chłopaka do Tromsø w jego obecnym stanie. On przecież w ogóle nie sypia! – rzekł.

– Zapewne będzie myślał tam o innych rzeczach niż tylko o tym, co tutaj – odparła.

Anders poczuł, że robi się zły.

– Twardo postępujesz z tym chłopcem.

– A jak uważasz, co powinnam zrobić?

– Pozwól mu zostać w domu, aż mu to przejdzie.

– A jeśli mu nie przejdzie?

Anders stał, przyglądając się jej plecom, a ona szczotkowała włosy. Tak jak często w chwilach, gdy patrzył na nią, a ona o tym nie wiedziała, na jego twarzy pojawił się wyraz zagubienia.

– A jeśli tak będzie? Już zawsze? Czy ma się snuć tutaj po Reinsnes ze swoimi koszmarami?

– Czy próbowałaś z nim porozmawiać? O tym, co jest nie tak?

– Wiem, co jest nie tak – odparła ze zmęczeniem w głosie, wychodząc zza parawanu.

– Ach, chodzi o Rosjanina. Ale czy powiedziałaś mu, że to nie jest jego wina.

Odwróciła się szybkim ruchem i wbiła w niego spojrzenie.

– Nie ma tutaj mowy o winie!

– Nie! Tylko czy on to rozumie? Musimy mu pomóc...

Przez chwilę milczał. Potem dało się słyszeć powolne:

– Może nie jesteś najlepsza do tego akurat zadania, Dino?

– Co masz na myśli?

– Że też byłaś tam i go znalazłaś. Że lepiej byłoby, gdyby ktoś inny porozmawiał z nim o tej sprawie.

– A kto miałby to być? Pastor? – powiedziała szyderczo.

– Nie. Ja!

Mierzyła go spojrzeniem, odkładając jednocześnie bez patrzenia szczotkę.

– Masz wysokie mniemanie o sobie, Andersie?

Poczuł ukłucie.

– Tak, a ty nie masz? Wysokiego mniemania o mnie?

Na jego twarz wypłynął swego rodzaju uśmiech.

– Ależ tak. I to ładnie z twojej strony, Anders – rzekła w nieobecny sposób.

Kiedy znaleźli się w łóżku, powiedziała w przestrzeń:

– To nie ty powinieneś wychodzić z domu, tylko ja.

– I jak ty to sobie wyobrażasz? Czy twoja rodzina miałaby odwiedzać mnie w czasie, gdy ciebie nie ma?

– Może będą musieli tak robić.

– Co masz na myśli?

– Że sądzę, iż muszę wyjechać.

W pokoju była obecna wyłącznie cisza.

– Znowu to, Dino? Dlaczego? – wyszeptał w końcu.

– Do miejsca, gdzie jakiś mistrz mógłby przyjąć mnie na naukę gry na wiolonczeli.

– Wiolonczela! Boże drogi!

Słyszał tylko jej oddech. Był taki zimny.

– Już wcześniej tym zagroziłaś – rzekł, wciągając oddech tak głęboko, że aż pierś mu się uniosła. Potem kontynuował:

– A więc nie starczyło na dłużej niż do tej chwili? Już załujesz? Ślubu?

Potrząsnęła głową, wtulając się w niego.

– Co ciebie tak gna? Czy to Rosjanin wciąż jeszcze żyje w tym domu?

– Tutaj jest tak ciasno.

– Wtedy na łodzi powiedziałaś to samo. I chciałaś mnie, żeby jakoś się z tym uporać. A teraz to również nie wystarcza!

– Nic nie mogę na to poradzić.

– A kto wobec tego może coś na to poradzić?

Nie odpowiedziała. Leżała spokojnie, jakby pragnąc przekonać go, że śpi. To go rozwścieczyło. Ale Anders niechętnie pokazywał światu swoją wściekłość.

– Czy ciągle się smucisz? – zapytał w końcu.

– Co to znaczy... smucić się? – odpowiedziała.

– Wiem, co to znaczy. Dla mnie... Ale nic nie wiem o twoim

smutku, Dino.

– Ja też nie – rzekła ledwo słyszalnym głosem.

Poczuł się śmiertelnie zmęczony. A jednak się nie poddawał. Musiał do niej dotrzeć.

– Może powinnaś się tego dowiedzieć? Musiałaś przecież odczuwać smutek przez całe życie. Najpierw twoja matka, potem Jakub. Wreszcie Leo... Może powinnaś była zbadać to, zanim poprosiłaś mnie o małżeństwo, Dino?

Na schodach prowadzących na poddasze słychać było kroki. Dagny i referendarz rozmawiali przyciszonymi głosami, a po chwili ostrożnie zamknęli za sobą drzwi do sali. Kiedy zapadła cisza, Dina kilka razy głęboko odetchnęła.

– Małżeństwo z tobą nie ma nic wspólnego z moim smutkiem – rzekła.

– Ach, tak? Czy zapytałabyś mnie o nie, gdyby Leo nadal gościł w Reinsnes?

– Znowu zaczynasz, Anders?

– Nie! – odpowiedział.

Leżeli blisko siebie pod wielką kołdrą. Bez ruchu. Upłynęło tyle czasu, że musiał się poruszyć.

– Śledziowy włók za twoje myśli? – zapytał, obejmując ją.

Nie odpowiedziała. Ale obejmowała go. To było przynajmniej coś.

– Dino?

– Tak?

– Czy nie sądzisz... że pewnego dnia będzie... że pojawi się trochę miłości, czy jak to chcesz nazwać...

Zmartwiał.

– Miłości... – zaczęła.

– Tak, mnie jest łatwo to mówić – mruknął.

– Dlaczego?

– Bo ja ją czuję ze swej strony.

Pogłaskała go po włosach i karku. Poczul się przez to jeszcze większym nieszczęśnikiem.

– To chyba nie jest nic złego? – powiedział do jej dłoni.

– Nie, Anders, nie, nie, to nie jest nic złego!

O coś ją zapytał. Czy tego nie rozumiała?

W końcu westchnął i powiedział:

– Może powinnaś mówić o nim? O Leo?

Nie odpowiedziała. Ale czuł, jak słowa w niej pracują. Wstrzymała oddech. Wyłuskał ją z pościeli, żeby spojrzeć jej w oczy. Było jednak zbyt ciemno. Tylko przez chwilę mignęły mu tam niczym dwie odległe gwiazdy. Potem zniknęła z zasięgu jego wzroku.

– Nie. Czy możemy już spać, Anders? To był długi dzień – powiedziała, usiłując zagrzebać się z powrotem w pościel.

– Oskarżasz się? O to, że się zastrzelił? I o to, że Benjamin to widział?

– Czy możemy już spać, Anders? – powtórzyła.

Zmusił ją, żeby zwróciła ku niemu twarz.

– Nie! Dlaczego chcesz wyjechać?

Był rozgniewany. Sam to słyszał. Był zły, bo się bał.

Wtedy usiadła na łóżku, podciągając oba kolana pod brodę i oplatając je ramionami. Kołysała się wolno na boki. Spróbował ją objąć. Ale wyswobodziła się. Trzymając ręce tuż przed twarzą, tak jakby czekała na uderzenie, wyrzuciła z siebie urywane słowa:

– A gdybym ci powiedziała – że on nie zrobił tego – nie zrobił tego sam – co wtedy byś uczynił, Anders?

– Co masz na myśli?

– To, co mówię...

– Że to nie był wypadek?

– Nie.

Coś było nie tak z cieniami przy drzwiach. Nie rozumiał, skąd się tam wzięły.

– Dino...?

– Tak.

– Nie mówisz przecież...?

– Właśnie tak!

Kiedy między ścianami zostały już tylko ich oddechy, powtórzyła głośno:

– Właśnie tak!

Panował mrok. Anders był małym chłopcem. Siedział na kolanach mamy. Ale mama utonęła wiele lat wcześniej. Nikt nie

wie niczego o czasie. Ale odnalazł jej dłoń. Splótł jej palce ze swoimi. Wyswobodził je i ponownie zaplótł.

– Czy chłopiec to widział? – usłyszał własny głos. Z wielkiej oddali.

– Nie wiem – odparła tak cicho, że przez chwilę musiał nadśłuchiwać w mroku, zanim słowa do niego dotarły.

Wtedy wplótł swoją drugą dłoń w jej rękę. Uścisnął aż do bólu w knykciach. Ale ona chyba tego nie czuła.

– Co teraz zrobisz? – zapytała.

Kilkakrotnie próbował odkaszlnąć. Potem dotarło do niego, że siedzą tam i marzną, więc szczelniej otulił ją i siebie.

– Cholera wie! – wyrzucił w końcu z siebie, przyciskając ją mocno. Tak jakby tylko to jedno się liczyło.

Czas biegł z powrotem w ich stronę, jak piasek zostawiany przez cofającą się w odpływie falę.

– Co on takiego ci zrobił? – głos wydobył się z niego.

Potrząsnęła głową. Ten drobny ruch przeszedł w drzenie całego ciała. Nie potrafił powiedzieć, czy ona płacze. Ale twarz oparta o jego pierś była sucha.

– Dino?

– Nie mogłam tak po prostu pozwolić, aby zniknął. Podpełzały węże i ogień...

– I ty to mówisz! Która grozisz, że mnie opuścisz! Czy uważasz, że powinienem załadować strzelbę...?

Spojrzała na niego. Jej oczy błyszczały w ciemnościach.

– Tak! – odparła z mocą. – Jeśli masz na to dość miłości, to zrób to! Aż do chwili, kiedy ktoś się odważy inaczej, robimy ciągle, od nowa, to samo co zawsze. Przez całą wieczność. Ktoś musi się odważyć!

Wpatrywał się w nią.

– Nie mówisz tego poważnie!

– Zrób to, Anders! Zabierz to ode mnie! Właśnie w ten sposób! Jest napisane, że miłość nigdy nie jest daremna! Że przetrzyma wszystko. Dla mnie tak się nie stało. Nie przyjeżdżał już więcej...

Anders czuł, jak serce rozrywa mu ciało na kawałki. Potężnymi uderzeniami rozdzierało kości, chrząstki i mięso, aż głowa odpadła od reszty, tocząc się po kolanach Diny.

– Panie Boże mój, chroń nas oboje! – wydyszał, przyciskając ją wędnącymi ramionami.

Zdarzało mu się stać za sterem w wichurze, wśród fal wyrastających jak kościoły. Rozdzierał mężczyzn, rzucających się na siebie z nożami. Wzywał imię diabła i wyższe siły na pomoc, kiedy huragan stawał się zbyt gwałtowny. Ale nigdy nie przytulał kogoś, kto...

Ale jeśli to miało być jego życie, przyjmował je.

– Co teraz zrobisz? – wdarł się w ciszę jej głos. Obcy i twardy.

Wciągnął powietrze. Dużo powietrza.

– Będę cię obejmował tak długo, aż opowiesz mi wszystko, co powinienem wiedzieć! I wtedy dalej będę cię trzymał! Ale nie uciekaj ode mnie! Słyszysz! Nie opuszczaj mnie!

– Czy dasz wówczas radę to wszystko dźwigać?

Nie odpowiedział od razu, ale po chwili dobiegło zdecydowane:

– Mogę unieść wszystko, co tylko chcesz dźwigać wspólnie ze mną! Wszystko, o czym cokolwiek wiem!

– Teraz już wiesz!

Zaśmiała się chrapliwym, urywanym głosem, wyzwalając się z jego objęć. Wyskoczyła z łóżka, zanim zdążył ją powstrzymać. Zataczając się jak ktoś, kto szuka czegoś, jeszcze się nie obudziwszy. Pochyliła się, sięgając po nocnik stojący pod łóżkiem i przysiadła nad nim. Usłyszał strumień. Po chwili dźwięk ten zmieszał się z płaczem.

Wstał i usiadł obok niej w ostrych oparach moczu i potu. Nie wiedział, co mógłby zrobić innego, więc rozczesywał palcami jej włosy. Kiedy skończyła, pomógł jej wejść z powrotem do łóżka.

Drżącymi dłońmi zapalił świecę. Postawił ją na krześle aż przy drzwiach, żeby jej nie krępować. Podszedł do umywalki. Przytrzymał ręcznik w strumieniu wody z dzbanka i niezgrabnie wykręcił go nad porcelanową miską.

Kiedy wrócił do łóżka i przetarł jej twarz i szyję, wymamrotała coś, czego w pierwszej chwili nie zrozumiał.

– Spotkałam ich wszystkich. Patriarchów. Uczniów. Jana. Judasza. Szymona Piotra. Ciągle tu są. Kłamstwo, zaprzeczenie i zdrada. Myślę, że nawet oni sami o tym nie wiedzą. A Chrystus jest tylko dzieciakiem, niezależnie od tego, ile nierządnic leżałoby u jego stóp.

Przerwała, tak jakby nie wiedząc, jak dopowiedzieć resztę.

– Ale ty... Anders! Otrzymałeś zbyt ciężkie brzemie. Nie dasz sobie z nim rady!

– Dźwignę to, co ty dźwigasz.

Potrząsnęła głową, oddając mu ręcznik.

– Wszystko się powtarza. Zawsze czynimy to samo. Zawsze. A ty zrozumiałeś to dopiero dziś w nocy. Ale teraz – teraz zobaczyłeś! Anders!

Odłożył ręcznik na podłogę.

– Pamiętam, jak myślałem sobie, że Leo nie jest z tych, co z kimkolwiek zostaną... Ale sądziłem, że tobie to odpowiada. Panie mój, Stwórcu! Dino, czy mogłem cokolwiek zrobić... zanim było za późno?

Potrząsnęła głową.

Schwycił ją mocno za oba ramiona i rzekł:

– Musimy więc teraz po prostu postanowić, że nie jest za późno! Dino!

Z miejsca gdzieś poza sobą samym usłyszał, jak koń z saniami zawija na podwórze. Blask pochodni plamiał zasłony krwią. Niedługo potem drzwi otworzyły się z godnością i trzy pary niesfornych stóp ruszyły na poszukiwanie drogi do łóżek.

*

Płatek za płatkim, śnieg osiadał na zewnątrz szyby. Zbijał się w wielki placek. Kula zrobiła się zbyt ciężka i spadła. Bezgłośnie. Człowiek mógł przez chwilę popatrzeć w noc. Aż zaczęły się zbierać nowe płatki. Od zawsze wszystko powtarzało się zgodnie z prawami

natury.

*

Następnego ranka napotkali swoje czujne spojrzenia. Jakby żadne z nich nie wierzyło, że to możliwe, iż to drugie tam będzie. I to pomimo że leżeli mocno spleceni. Gdyby ktoś poprzedniego dnia powiedział Andersowi, że da się żyć dalej z taką świadomością, zaprzeczyłby temu natychmiast.

A jednak wstali. Ona pierwsza. Potem on. Poszedł za nią za parawan i objął ją. Nie padły żadne słowa.

Podczas śniadania przyglądał się jej dłoniom smarującym masłem kromkę chleba. Długim palcom obejmującym nóż i przytrzymującym żytnią kromkę na talerzu. I nagle dostrzegł, jak ta dłoń przykłada fiński sztucer do policzka. Usłyszał wystrzał. Rozbrzmiał w całym domu, chociaż nikt nawet nie podniósł głowy.

Mdłości. Trzeba było się do nich przyznać. Przyjąć je i ukryć.

Rozdział czternasty

Beniamin słyszał, jak starzy ludzie mówią, że czas płynie o wiele za szybko. Jemu również już tak się wydawało. Odkąd dowiedział się, że zostanie wysłany do Tromsø. Całe jego życie składało się tylko z nauki i guwernera Angella. Trochę tak, jakby nie należał już do świata żywych.

Anders wypłynął sam na Lofoty i na wcześniejszą wyprawę do Bergen. Nigdy go już nie było w pobliżu. A ona najwyraźniej skierowała oczy na coś, czego nie widział nikt inny. Hanna miała tyle obowiązków, że można było pomyśleć, iż szykuje się do ślubu.

Zaczął żałować, że od tak dawna unikał Tomasza. Chociaż z tym człowiekiem od chwili, kiedy puściły lody, była tylko orka. Tomasz przeprowadził swoją wolę i otrzymał pomoc z Towarzystwa Ziemińskiego w kwestii takiego sposobu prowadzenia orki, aby ziemia była bardziej żyzna.

Teraz Tomasz skłonił Dinę do zakupienia w Trøndelag młodego byczka rasy ayrshire. Rozmawiano o tym cielaku tak, jakby był jedyny na świecie. Anders miał go przywieźć, płynąc na północ z Bergen.

*

Nowe krosno Stine było źródłem wielkiej radości.

– Niech Bóg błogosławi to krosno! Jakie solidne bidło z dobrym uchwytem. Szerokie, ale lekkie w ruchu, prawdziwy cud – mówiła szczerze Stine.

Żeby nikt nie miał wątpliwości co do kwestii własności, Dina

kazała wyryć na bidle inicjały Stine. Gdyby chciała, mogła nawet zabrać je ze sobą do Ameryki.

Kobiety przychodziły do gospodarstwa na użyczenie. Z wełną, gałgankami i córkami. Bo krosna nie wolno było ruszać! Rozsiadały się w największej izbie świetlicy, która w zasadzie była miejscem pobytu robotników z gospodarstwa. Ale mężczyźni najwyraźniej sądzili, że przyjemniej jest mieć tam kobiety razem z ich krosnem, pomimo że wieczorami musieli wychodzić na ganek z kwaśnym odorem swoich fajek.

Obce kobiety zmieniały gałganki, pomagały z osnową i odcinaniem. Śmiały się, plotkowały i śpiewały. Przywodziły mu na myśl świeżo ubite masło albo mały strumyczek w dzikich górach.

Tkaczki nie przychodziły wszystkie naraz. Ależ nie, pojawiały się jak drobne fale przypływu bijące w nabrzeże. Jedna, potem dwie. Zaczynało się od szeleszczenia spódnic wędrujących w górę alei. A po chwili: radosne okrzyki i cichy śmiech za rogiem wychodka czy izby czeladnej. Prowadzone szeptem rozmowy w otwartych nocą oknach. Jasne, śpiewne głosy w ciągu dnia. Nie tylko on śledził każdy krok tych obcych istot. Robili to wszyscy mężczyźni w gospodarstwie. Słyszał, jak pytali, czy którąś trzeba może podwieźć łódką. Albo narąbać więcej drewna? Albo zawiesić kolejne haki do lamp? Najmłodszy z parobków chciał w końcu nawet zbić półki na kosze z gałgankami, żeby nie plątały się pod nogami. Kiedy krosno Stine stało gotowe do użyczenia obcym kobietom, nietrudno było zgodzić mężczyzn do pomocy w Reinsnes.

On również szukał pretekstu, żeby na nie popatrzeć. Jedna była tak szczupła w talii, że trudno było pojąć, jakim cudem nie rozpada się na dwie części. Wszystkie pochylały się nad bidłem, ciągnąc je

takim ruchem, od którego aż drżały staniki sukienek.

Do składu napływało więcej klientów niż zwykle. Zaczynało się to już w lutym. Przyplływali małymi i większymi łodziami odwiedzić żony, siostry i ukochane. Albo kogoś, kogo mieli nadzieję spotkać. A skoro już wciągnęli łódź na ląd, wszyscy kupowali syrop i tytoń, i po trosze innych rzeczy.

Nawet guwerner Angell zapominał się od czasu do czasu. Wychylał się przez otwarte okno, przerywając dyktando w połowie. Zazwyczaj wtedy, kiedy jedna z obcych kobiet przechodziła w pobliżu.

To był jeden z ostatnich dni maja. Stał na solidnym stołku, obracany na wszystkie strony z wyciągniętymi na boki rękami. Jeśli tylko czynił jakiś zbędny ruch, natychmiast czuł bolesne ukłucia dziesiątek szpilek.

– Stój spokojnie, to będzie szybciej! – powiedziała szwaczka.

Uznał, że to jedyny sposób, żeby prędzej uwolnić się od wroga.

– Beniamin nie urósł jakoś przesadnie przez ostatni rok – rzekła z ustami pełnymi znienawidzonych szpilek. Miała na sobie niebieski fartuch i mocno związany węzeł włosów na karku. Chciał, żeby połknęła te igły. Wszystkie naraz. To oczywiście była haniebna myśl. Ale zupełnie naturalna. Im więcej o tym myślał. Przez chwilę jednak stał szczególnie spokojnie, żeby Bóg mu wybaczył.

– Tak mało śpi po nocach i je tak niewiele, że nie ma jak rosnąć! – powiedziała Tea, przyglądając mu się w taki sposób, jakby już skurczył się całkowicie i umarł.

– Z czym się zmagasz, młody Beniaminie? – zapytał przymilnie

wróg, poszturchując go lekko w ramię.

Nie odpowiedział. Wymyślił coś lepszego. Wytarł nos w rękaw, zostawiając białawy ślad. Oczywiście zaraz potem musiał też kichnąć. Nie planował tego. Od razu pożałował, bo wszystko zepsuł i szpilki należało powtykać od nowa.

Stine cicho skarciła go za to wycieranie nosa i poszła do kuchni po ścierkę.

Nic nie powiedział. Pozwolił, żeby zabawiały się swoimi sprawami, gadając, jak to nie urósł. Nie zamierzał im w tym przeszkadzać.

Weszła Dina i stała, przyglądając się mu z przechyloną na bok głową.

– Czy nie powinien raczej mieć ubrań pasujących na niego teraz? – zapytała.

– Ubrania muszą być szyte na wyrost! Inaczej będzie chodził po Tromsø półnagi, jeszcze zanim nadejdą święta – odparła szwaczka, pokazując, że doliczyła dodatkową długość w nogawkach i rękawach koszul.

Stine i Tea zgadzały się ze szwaczką. Z mozołem ściągnęły ze ściany w korytarzu wielkie lustro i przytrzymały je teraz, żeby mógł się zobaczyć. Zarówno on sam, jak i ubrania wyglądały jak pożyczone.

Dina skinęła głową, ale doskonale widział, że nawet mu się nie przyjrzała. Nie przejmowała się tym, że wygląda jak strach na wróble. Ale jemu było wszystko jedno.

Pozwolił, żeby szwaczka obracała go dookoła pod czujnym okiem

Stine. Był niczym drewniana figurka, którą miano ubrać i wysłać do Tromsø. Wcześniej miał stanąć w kościelnej nawie, składając wyznanie wiary i potwierdzając znajomość Pisma. Ale i to zniesie, byle Anders zdążył wrócić z Bergen przed konfirmacją.

*

Hanna nie знаła się na niczym poza przykładaniem się do swojej codziennej roboty. Zdarzało się, że siedziała przy nich zupełnie cicho. Że słuchała, kiedy głośno czytał. Ale robiła to tylko dlatego, że nie lubiła być sama. Ze dwa razy zdarzyło się nawet, że zasnęła, kiedy czytał.

Już nigdy teraz jej nie badał. Marudziła, że są już na to zbyt duzi. Nie miał w tej sprawie dobrej odpowiedzi. Ale nie bardzo można było coś na to poradzić. Niekiedy jednak udawało mu się mimo wszystko musnąć nosem jej włosy. Na karku. Ta czynność wyzwalała jakieś osobliwe ciepło. Ale nie chciała siedzieć spokojnie dostatecznie długo. Nie to nie. I tak przecież miał wyjechać.

Chyba najchętniej byłby teraz sam. Bo tyle człowiek miał do przemyślenia. Poza tym zrobiło się tak, jakby różne rzeczy tylko przepływały obok, nie do końca dla niego uchwytnie. Sądził, że przyczyną jest to samo, za sprawą czego jego ciało przestało rosnąć. Nawet ten delikatny puch, zauważony wcześniej na górnej wardze, jakby się zatrzymał.

Póki siedział tylko w izbie Matki Karen i nie sprawiał żadnych problemów, nikt się nim nie przejmował. Gdyby codziennie przesiadywał tam tylko o chwilę dłużej, mogłoby się zdarzyć, że nikt nie zauważy jego nagłego zniknięcia.

*

Często przesiadywał też w letniej oborze. Przez mały świetlik zawsze wpadało tam do środka niebieskawe światło. Pachniało krowami, gnojem i koniczyną. Potrafił siedzieć w otwartych drzwiach, snując zawiłe rozmyślenia nad tym, kim jest, co sądzą inni o tym, kim jest, oraz kim zmuszony jest zostać, aby niczego nie zauważyli.

Człowiek miał pokusę, aby zadać sobie pytanie: po co się żyje? Czy tylko dla siebie? Czy żeby być przymusowym świadkiem, który niczego nie zdradzi?

Nigdy nie znalazł na to żadnej odpowiedzi. Przyzwyczał się po prostu do niepokoju. Jego głowa zrobiła się jakby za duża w stosunku do ciała. Nie pomagało stosowanie się do rady Stine, żeby prostować kark.

Nie wiedział, kiedy ta myśl pojawiła się po raz pierwszy. Że nikt nie jest w stanie go uratować. Że musi uratować się sam. Ta myśl zmieniała się w białe robaki, pełzające w jego kręgosłupie. Wiły się i spletały ze sobą, rodząc cały czas nowe robaki. W końcu ledwo dawał radę trzymać się prosto. Gdyby jeszcze był w stanie naprawdę się bać. Ale nie. Wtedy umarłby. Zamiast tego miał niepokój i robaki. Kiedy wszystko już zjadły, w oczywisty sposób została pustka. Nie można było przez cały czas chodzić i o tym myśleć, ale człowiek to wiedział. Że nastąpiła pustka.

*

Dostrzegął, że Dina również wyczekuje Andersa. Codziennie chodziła na wzgórze, gdzie stał maszt flagowy. Była tak chuda, że sama mogłaby służyć za maszt. Więc nie przejmowała się tym, jak on wygląda ani co ma na sobie. Niby czemu miałyby to robić? Miała dość zmartwienia sama ze sobą.

Przez chwilę usiłował chodzić na wzgórze razem z nią. Pilnować jej. Jakby to było jakieś miejsce spotkań. Tylko dla nich dwojga. Ale w głębi duszy wiedział przecież, że ona wcale nie czeka na Andersa. Chodziła tam tylko dla Rosjanina.

Nie złościła się nigdy, kiedy szedł za nią, ale też nie mówiła wiele. Stała tam tylko z włosami rozwianymi jak wielki, ciemny żagiel. Jeśli świeciło słońce, oboje osłaniali sobie oczy dłońmi. Jakby w geście tajemnego porozumienia.

Tak właśnie stali w porywach wiatru, kiedy kliper pod pełnymi żaglami wpłynął w cieśninę. Krzyknął głośno z radości i pobiegł do domu, żeby przebrać się w długie spodnie, tę zbyt wielką marynarkę i białe gors. Czuł się jak spóźniony wędrowny ptak. Tak jakby zmienił barwy na ochronne. Wkrótce miał sam przepłynąć przez morze.

Buty miał o tyle za duże, że musiał iść w specjalny sposób, jeśli nie chciał się potknąć o kamienie i konary. Wyczekiwał powrotu Andersa. A jednak nie czuł wyraźnej radości. Dlatego głośno śmiał się i wiwatował. Kiedy to zostało już załatwione, stał tam po prostu na plaży razem ze wszystkimi innymi i czekał.

Małe łódki zostały spuszczone na wodę. Jedna po drugiej. Głosy płynęły z wiatrem nad drobnymi falami i splachetkami piany jeszcze długo po tym, jak przebrzmiały słowa.

Potem nastąpiło coś, na co Tomasz czekał od miesięcy – byczek został wyprowadzony na ląd w Reinsnes z równie wielką pompą, jakby był Murzynem z Afryki. Miał problemy z trawieniem, bo w drodze do domu dosięgła ich paskudna, południowa bryza. Boks, w którym stał byczek, oraz trzymający go parobek byli zabrudzeni po same cholewy butów.

Wyglądało, że Anders odczuł ulgę, kiedy dumnemu byczkowi założono kantar i sprowadzono go z powrotem na suchy ląd. Potem rozkazał, aby porządnie wyczyścić całą łódź.

– Byk to też człowiek. Ale jego miejsce nie jest na łodzi – uśmiechnął się półgębkiem Anders, kiedy łódka dotknęła kamieni.

– On ma na imię Tore Hund i kosztował 30 talarów – powiedział Tomasz głośno pod adresem każdego, kto tylko chciał słuchać.

– Niezła suma jak na zwierzę – rzekł jeden z miejscowych parobków, pochylając się pod bykiem, żeby go zmacać.

Pozostali mężczyźni przyglądali się z zainteresowaniem, ale kobiety wolały odwrócić wzrok gdziekolwiek, byle nie patrzeć. Byk ryknął donośnie i wspiął się na zadnich nogach nad wozem.

– Zarobi na sobie – powiedział Tomasz z dumą.

– Ile kosztuje skok? – zapytał ktoś.

– Sześć talarów – odparł Tomasz, poklepując rozbuchane zwierzę.

– Chyba musisz brać pod uwagę, że gospodarze będą wybierać tańsze byki – rzekł mężczyzna.

– Miejscowym dam zniżkę – powiedział cicho Tomasz.

Trudno sobie wyobrazić potężniejszego młodego byczka, mówili wszyscy dookoła.

Wtedy na plaży pojawiła się Dina. Ujęła dłoń Andersa, witając go. Wokół byka i Tomasza zapadła cisza. Istnieli tylko Dina i Anders.

Od dawna już wisiała gęsta mgła. Ale Anders na lądzie był jak

wełniany koc. Zauważył to również po niej, kiedy szła w górę od przystani. Tak jakby Anders szedł lekko jak piórko w górę alei z Rosjaninem na plecach. I później, kiedy położył łokcie na stole i zaczął opowiadać o wszystkim, co widział, oddychanie zrobiło się nieco łatwiejsze.

*

Człowiek nie miał w sumie powodu do narzekania, nawet jeśli został już spakowany w skrzynie i kufry i czekał na odesłanie. Mogło być gorzej. Mogło być tak, że to ona miałaby wyjechać.

Pewnego popołudnia Anders i Benjamin stali przy gołębniku, obserwując przelatujące tam i z powrotem gołębie. Wtedy Anders rzekł nagle:

– Przywiozę cię na święta. Ledwo zdążysz zmówić pacierz i już będą święta! Przywiozę cię, choćby szalał nie wiadomo jaki sztorm!

Musiał skinąć głową, rozumiał dobre intencje.

*

Referendarz z rodziną przyjechali na przyjęcie z okazji konfirmacji. Dagny chwaliła, jak pięknie znalazł się, stojąc w głównej nawie kościoła, ze swoją świętą wiarą i celnym wyjaśnieniem zawiłych kwestii katechizmu.

Referendarz był zdania, że z taką dobrą głową powinien starać się do czegoś dojść. Już poprzedniego wieczoru wręczył mu złote spinki do mankietów.

Oskar i Egil już się z nim więcej nie bili. Skończyła się wszelka zabawa. Oline nie wołała już na cały dom, że „smarkacze referendarza zaraz zabiją Beniamina!”. Oskar i Egil chodzili krok

w krok za Diną. Rozmawiali z nią i o niej tak, jakby była ich własnością. Nigdy nie przyzwyczał się do myśli, że była w pewnym sensie ich siostrą. To, że on był najmłodszy, też nie poprawiało sytuacji.

Brał odwet, zbliżając się do Dagny. Tego lata zmieniła się w jego oczach. Z kogoś, kto zawsze pocieszał i łagodził, w istotę pełną blasku. Niebezpieczną. Koło której trzeba było być blisko. Włosy. Jej ciężar, kiedy pochylała się nad łóżkiem, żeby powiedzieć dobranoc. Tak, bo ciągle pielęgnowała ten zwyczaj, chociaż byli już na to o wiele za duzi, jak powiedziała.

Była niczym odległa góra. Dawało mu to cudowne uczucie. Używał wszelkich możliwych sztuczek, znanych sobie i nieznanym, żeby zwrócić uwagę Dagny na swoje istnienie.

*

Po powrocie z kościoła, a przed obiadem, kobiety zgromadziły się w ogrodowej altanie i wokół niej. Cienie liści tańczyły na stanikach sukien i przemykały po twarzach. Wpłynął w te zapachy. Między spódnice i gorsety. To nie było szczególnie męskie zachowanie. Ale człowiek mógł sobie chyba pozwolić na małą chwilkę zapomnienia?

Dagny pochyliła się ku niemu, żeby przyjrzeć się nowym spinkom do mankietów. Dotknęła jego dłoni. To było nieco dziwne. Powiedziała coś o tym, że wyrósł na pięknego chłopca.

Jego głowa zmieniła się w miękką kluskę. Dłoń mu się uniosła. Nie mogła nic poradzić na to, że musnęła jej pierś. Dagny nie poruszyła się. Stała tam tylko, przykrywając jego dłoń swoją. Jakby brała w tym udział. Żeby nikt tego nie zobaczył. Wtedy na chwilę

stał się szczeniakiem i wetknął nos w dekolt sukni. Tylko na mgnienie oka. I już było po wszystkim.

Ale zapach nosił w sobie przez długie dni.

Rozdział piętnasty

Tomasz powiedział, że rok 1859 zapowiada się na dobry dla wszelkich plonów. Również dla ziemniaków i warzyw korzeniowych. Za sprawą nocnych deszczy i ładnych dni trawa była mocno zielona i wybujała wysoko. Beniamin pomógł Tomaszowi ją zwieźć. Książki zostawił na ten czas w spokoju. Wszyscy dorośli zgadzali się co do tego. W ogóle chyba byli zgodni we wszystkim, co dotyczyło jego.

Pewnego dnia po sianokosach przyjechała kobieta z Bjarkøy, żeby wypożyczyć krosno Stine. Miała ze sobą stworzenie z jasnymi warkoczami sięgającymi bioder i bladą skórą. Nigdy wcześniej nie widział takiej dziewczynki. Tak niepodobnej do Hanny.

A jednak Hanna przyjęła ją jak swoją. W pracy. W chichotaniu nad czymś, czego nikt nie rozumiał, podczas cięcia gałganków do tkania. Chodziły razem do wychodka. A ich śmiech unosił się nad podwórzem jak dzikie okrzyki mew.

Teraz, kiedy Hanna zaprzyjaźniła się z tą Else Marie, miała wreszcie okazję ukarać go za to, że miał wyjechać do Tromsø. A on nie mógł się odegrać.

Ze dwa razy spróbował zbliżyć się i porozmawiać z tą nową, ale Hanna za każdym razem szepnęła jej coś, co sprawiło, że tamta zaczęła chichotać, zasłaniając twarz dłonią.

*

Pewnego ranka o świcie, idąc przez podwórze, zobaczył ją. Else Marie. Stała przy studni, wciągając wiadro z wodą. Miała rozplecione włosy, mieszające się w jedno z niskim słońcem. Jej

stopy były bose. Światło opływało ją, wyraźnie rysując jej ciało pod cienkim, płóciennym materiałem. Szybko rozejrzał się dookoła, a potem jednym susem znalazł się przy niej.

Nie słyszała go, bo korba i uchwyt wiadra piszczwały na wyścigi. Kiedy nadszedł od tyłu, chcąc zabrać jej z rąk korbę i pomóc, podskoczyła ze strachu, puszczając wszystko. Poczul, jak żelazna część zrywa mu skórę z dłoni. A wiadro wylądowało w studni z głuchym plaśnięciem.

Stał tam, trzymając się za rękę. Oboje przyglądali się sobie wyzywająco.

– Chciałem pomóc – powiedział.

– Aha.

– Else Marie? Czy to tak masz na imię? – zapytał, chwytając korbę. Ubrudził ją krwią.

– Tak – odparła zawstydzona. A w następnej chwili:

– Wielkie nieba! On krwawi!

Zaczął się słaniać.

– Krwawisz – powtórzyła.

– Ależ skąd.

– Widzę przecież. Czy jakoś ci to opatrzeć?

– Głupstwo.

Zataczał się coraz mocniej, a ona nic już więcej nie powiedziała.

– Lubisz tak przez cały czas ciąć gałganki? – zapytał.

– Nie.

Wtedy tak jakby przyszło jej do głowy coś bardzo śmiesznego. Zgięła się w pół, chichocząc, zerkając na niego od czasu do czasu zniewalającymi, niebieskimi oczami. Zupełnie niepodobnymi do ciemnych oczu Hanny. Stał tak blisko, że mógł dostrzec drobne, jasne piegi pokrywające jej ramiona i nos. Były nawet na dekolcie, który nie został porządnie zapięty.

Opuścił wzrok i zajął się kręceniem korbą. Wiadro z łomotem wychynęło znad brzegu studni, opryskując wodą ich oboje. Sukienka przykleiła jej się do ciała ciemną plamą. Na samym przodzie. Nie mógł oderwać oczu od tego miejsca. Na jej ciele były takie dziwne łuki. Była cała zaokrąglona.

– Czy wiesz, kim jestem? – zapytał, zdejmując wiadro z haka.

– Tak.

– Kim?

– Jesteś Beniaminem Grønely z Reinsnes – odrzekła.

– A skąd to wiesz?

– Każdy to wie.

– Uważasz, że to coś szkodzi?

Położyła obie ręce na mokrym przodzie sukienki i przyglądała mu się spod półprzymkniętych powiek.

– Nie – odparła.

– To dlaczego nie chcesz ze mną rozmawiać?

– Tego nie powiedziałam...

– Coś ci pokażę. Obok letniej obory. Po kolacji. Jak już krowy będą wydojone i wszystko ucichnie. Ale musisz tam być, zanim

słońce zajdzie za wysepką Kobbholmen, inaczej to się nie uda.

– Która jest wtedy godzina?

– Sama musisz się rozeznać.

– Gdzie jest Kobbholmen?

Odwrócił się, wskazując palcem.

– Co takiego mi pokażesz?

– Tego nie mogę zdradzić.

Zachichotała, pochylając się nad mokrą sukienką. Podniosła ją i opuściła. Człowiek mógł dostrzec, jak się z powrotem przykleja. Coś to z człowiekiem robiło. Oddech się zacinał.

Oparł nosidła o ramiona i zawiesił na nich oba wiadra. Z dłońmi uwięzionymi w pałakach wiader powiedział:

– To coś z podziemnego świata.

Już w chwili, gdy to mówił, zdał sobie przecież sprawę, jak idiotycznie to brzmi. Ale było za późno. Nie dało się cofnąć tych słów. Przełknął ślinę i poczuł, jak się czerwieni. Potem odwrócił się, najszybciej jak umiał, z tymi pełnymi wiadrami i poszedł zanieść je na schody izby czeladnej.

*

Tego samego dnia pomógł Tomaszowi zwieźć z pola płotki do suszenia siana. Musiał je człowiek nosić, chociaż miał pękniętą skórę na dłoni. Tomasz nie miał zbyt wiele współczucia dla takich spraw.

Przeskok od nauki i przyjęcia z okazji konfirmacji do prac polowych z Tomaszem był okropny. Nie powiedział ani słowa na ten

temat. I tak nic by to nie dało.

Jak mógł być tak głupi, żeby chwalić się przed Else Marie podziemnym światem? Przecież nie miał jej nic do pokazania!

Poza tym czuł się źle w towarzystwie Tomasza. Miał wrażenie, że jest pod obserwacją, tak jakby tamten cały czas chciał obnażyć jego słabość. Coś takiego było w Tomaszu, co powodowało, że go unikał. Nie potrafił tego nazwać.

Prace polowe zaczęły się w dniu, w którym przechodząc obok otwartych drzwi stajni, usłyszał dobiegający ze środka głos Tomasza:

– Chłopak jest blady i zaniedbany, ciągle tylko siedzi i czyta. Pochoruje się od tego.

Głos Diny odpowiedział coś, czego Benjamin nie zrozumiał.

Zaraz potem usłyszał, jak jedno z nich wychodzi. Umknął szybko, czując żywą niechęć. Dlaczego rozmawiała o nim z Tomaszem? Po co to robiła?

Dzisiaj został wyznaczony do noszenia płotków.

Swędziało go całe ciało i czuł na sobie wzrok Tomasza. Ale musiał jakoś znaleźć się wobec konieczności prowadzenia czegoś w rodzaju rozmowy:

– Gorąco mu dzisiaj – rzekł Tomasz.

– Tak.

Przenieśli po kilka drągów każdy, układając je na wózku.

– Niedługo jedziesz do Tromsø uczyć się?

– Tak.

- To chyba będzie przyjemnie?
- Nie wiem.
- Wiedzę łatwo unieść... Łatwiej niż żerdzie?
- Mmm.
- Pewnie będzie ci tam dobrze.
- Tak.
- Hannie robi się nudno.
- Mmm.
- Przyjedziesz do domu na święta?

Jednym ruchem wrzucił żerdzie do wózka. Potem wyprostował plecy. Miał wrażenie, że jego twarz jest ciemnoczerwonym węzłem.

- Dlaczego pytasz? – rzekł.

Niedobrze się stało. A jednak to powiedział. Dostrzegł, jak Tomasz ucieka spojrzeniem i nie wie, co odpowiedzieć. Przykro było na to patrzeć. Ale on nie chciał!

Mężczyzna odłożył spokojnie trzymane brzemie i patrząc w ziemię, powiedział:

- Bo chciałbym dla ciebie jak najlepiej.

Można było popłakać się od takiego zachowania dorosłego człowieka.

- Słyszałem przecież, jak mówisz Dinie, że żaden ze mnie robotnik!

- Kiedy?

– Jakiś czas temu... w stajni.

– Mówiłem, że powinieneś być więcej na dworze, a nie tylko ślęczeć nad książkami.

– A co tobie do tego?

Język Tomasza przesunął się po wargach.

– No cóż, pewnie nic...

Tym razem jego głos przeszedł w szept. Było w tym coś złowieszczonego. Tak jakby Tomasz wiedział, że jeden z nich wkrótce umrze. Jakby ważne było dla niego wypowiedzenie dokładnie tych słów: „Chcę dla ciebie jak najlepiej. No cóż, pewnie nic...”.

Przełknął ślinę. Złość z niego wyparowała. Coś było mocno nie tak. Nikt nie powinien chodzić i nosić płotów, słuchając rzeczy, przed którymi nie można się obronić. Których się nie rozumie. Nagle chwycił za dyszel wózka, chociaż był tylko w połowie napełniony, i z dziką prędkością pociągnął go w górę, w stronę stodoły. Żerdzie tańczyły, a słońce prażyło. Człowiek musiał się ratować.

Kiedy w pędzie przelatował obok ogrodowego płotu, zobaczył Else Marie w towarzystwie Hanny. Siedziały na ławce w ogrodzie i jak zawsze cięły swoje odwieczne gałganki na chodniki. Zagwizdał, chociaż i tak już brakowało mu oddechu. Hanna go nie dostrzegła. Else Marie uniosła dłoń. Tylko odrobinę. Ale wystarczająco.

Rzucił się w stronę stodoły z żerdziami. Wrzucił je pod podłogę. Rana w dłoni otworzyła się. Wszędzie zrobiło się czerwono. Nagle poczuł mdłości. Płynęło. Czerwienią. Dopiero dzisiaj to zauważył. Że jego krew jest piękna. Poczuł, że się poci. Kapało mu z twarzy.

– Else Marie! Else Marie! Else Marie! – krzyczał w środku. Ale pilnował, żeby nie wydobył się z niego żaden dźwięk. Zamiast tego przysiadł na chwilę. Wytarł nos w niekrwawiącą rękę. Trochę pomogło.

Kiedy wracał po kolejne drągi, dziewczęta stały przy płocie, gapiąc się na niego. Hanna posłała mu szydercze spojrzenie. Potem pochyliła się blisko ku Else Marie i coś do niej szepnęła. Chichotały, osłonięte dłońmi.

Człowiek nie mógł nic poradzić na to, że coś w nim się uwolniło. W środku. Nie rozumiał, co to było. Nagle. Mały, zły duszek? Wysuszający oczy na wiór. Zamieniający głowę w gniazdo węży. Zmieniający wściekłość w straszną siłę. Puścił wózek w stronę płotu. Był na tyle wysoki, żeby nie przechodziły przez niego owce. Malowany na biało. Każda deska zakończona ostrym końcem.

Zanim sam zorientował się, co robi, pochylił się i chwycił Else Marie w talii, wciągając ją do siebie na wózek. Kiedy sadzał Else Marie, pochwycił mroczne spojrzenie Hanny. To odebrało mu oddech.

Wtedy zmusił się do tego. Wciągnął powietrze, aż zaszumiało mu w uszach. Potem jeszcze raz uniósł obcą dziewczynę. Na wyciągniętych wysoko nad głowę rękach. Jej buty lekko otarły się o płot. W chwili, gdy sadzał ją w wózku, wydała przeciągłe westchnienie. Odwrócił gwałtownie twarz w stronę Hanny i zamierzał wyszczerzyć zęby w uśmiechu. Jednak nie był pewien, czy mu się to udało.

Else Marie siedziała tam ze smugą krwi pozostawioną przez jego dłoń. Czerwony pas wokół całej talii. Teraz była jego!

Chwycił za drążki wózka i rzucił się w dół przez pola, wioząc dziewczynę.

*

Naprawdę przyszła do letniej obory tego samego wieczora. Schował się w zaroślach, widząc, jak nadchodzi ścieżką prowadzącą w górę. Była tak nieprawdopodobnie jasna. Nie wiedział, że ludzie mogą być tacy. Kiedy mijała zarośla dzikich malin, wyciągnęła rękę i zerwała kilka owoców, które nadziała na źdźbło trawy. Niedobrze. Że wzięła sobie maliny Hanny. Ale to nie była jego wina.

Nagle zaczęła sprawiać wrażenie, jakby poczuła się obserwowana. Zatrzymała się, prostując plecy. Spojrzała wprost na niego, nie dostrzegając go. Łaskotało go słodko. Drobnymi muśnięciami w dole brzucha. W stronę ud. Potem przyszło mu do głowy, że nie ma jej do pokazania żadnych podziemnych istot.

Najlepiej byłoby chyba mieć to już z głowy. Wyszedł z zarośli, unosząc dłoń. Podeszła powoli ku niemu, niosąc przed sobą czerwone owoce nanizane na źdźbło. Kiedy była już całkiem blisko, zauważył, że ma pot na twarzy. Drobne krople wystąpiły jej na górnej wardze i czole. Pod spodem skórę miała całkiem białą, upstrzoną tymi przedziwnymi małymi kropkami.

Mógł wyciągnąć dłoń i dotknąć czubkami palców jej twarzy. Teraz. O, tak.

Stała zupełnie spokojnie, przyglądając się jego palcom. Dziwnie to wyglądało. Musiał zaśmiać się lekko, chociaż nie padło żadne słowo. Ona także się roześmiała. Była równie mała jak Hanna, chociaż miała chyba piętnaście lat. Kiedy tak stali, a on przesuwiał palcem wskazującym po jej policzkach, nosie i czole, zaczął jej

opowiadać o ubranej na błękitno huldrze, która wyszła z podziemnej krainy, bo chciała wykąpać się w strumieniu należącym do ludzi.

Nigdy nie słyszał tej historii, ale to nic nie szkodziło. Bo była tam obecna. Wystarczyło opowiadać. Po pewnym czasie zauważył, że wstrzymała oddech.

– Huldra stała pod ogromnym wodospadem, a woda po niej spływała – opowiadał.

Nadal nie oddychała. Patrzyła tylko na niego bardzo wielkimi oczami. Chyba ją to udusi, pomyślał sobie. I to jego wina. Ale nic nie mógł poradzić na to, że napawał się tym, że ona stoi tam, dusząc się, kiedy on snuje swoją opowieść.

Kiedy można było mieć wrażenie, że to już koniec, bo zaczęła się chwiać, nabrała powietrza. Ostatnie zakołysanie się spowodowało, że była teraz jeszcze bliżej. Tak blisko, że musiała wyciągnąć ręce, aby na niego nie upaść.

Ciepło jej dłoni! Chyba nigdy nie czuł nic aż tak osobliwego. Były żywe. Przerazająco żywe.

Ponownie położył czubki palców na jej twarzy. Jakże delikatnej twarzy! Ile miała w sobie światła! Może jasność mieszkała w niej, powodując, że się unosiła? Może tylko on o tym wiedział?

– Huldra po wyjściu na ląd zdjęła z siebie błękitną szatę. Była cała mokra. Rozwiesiła ją do wyschnięcia w brzozowym zagajniku. Dokładnie w takich zaroślach, jak tutaj – powiedział, wskazując palcem. Zrobił to bardzo szybko. Bo nie mógł sobie pozwolić, żeby na zbyt długą chwilę oderwać się od jej twarzy.

– Wtedy huldra położyła się w trawie spać. Ale nie powinna była

tego robić! Zobaczył ją ciemnowłosy chłopiec, który uznał, że jest bardzo piękna, bo mieszka w niej słoneczne światło. Chciał ją posiąść i nie wiedział, że ona nie jest człowiekiem, tylko huldrą. I dokładnie w chwili, kiedy dotknął jej policzka, o tak... obudziła się i zrozumiała, że jest naga. I wstydziła się tak strasznie, że jej wstyd dotarł aż do skał, gdzie były inne huldry. Wtedy ruszyły szybko i rzuciły zaklęcie na chłopca, który już nigdy więcej nie był sobą. A ona nie mogła już wrócić do domu, na skały. Odtąd zawsze siedziała pod wodospadem i marzła albo błąkała się po zaroślach... Cicho! Czy słyszysz, Else Marie? Jak ona wokół nas krąży? Ciiii...

Nadśłuchiwała i wydawała się lekko przestraszona. Więc wzięła ją za rękę. Ani razu się nie zaśmiała. Wokół nich szybko ciemniał błękit nieba. Pachniało dziewiczym latem i krowami. I ciągle jeszcze nie powiedziała ani słowa.

Posadził ją głęboko w gęstym zagajniku. Potem pytająco wyciągnął dłoń w kierunku trzymanego przez nią źdźbła. Wtedy ocknęła się i podała mu malinę. Potrząsnął głową, wsuwając malinę do jej buzi. Otworzyła usta i włożyła owoc do środka. Jeden z malutkich pęcherzyków pękł przy tym i czerwony sok zaznaczył kropkę na jej podbródku. Musiał ją zetrzeć. A ponieważ nie wiedział, co miałyby potem zrobić z palcem oblepionym sokiem, zlizął go.

Przez cały czas patrzyła na niego. Tylko na niego. Zaczął od tego drzeć. Od tego siedzenia i bycia obserwowanym, podczas gdy oboje jedli maliny, nie mówiąc ani słowa.

Kiedy owoce się skończyły, nadal jeszcze nic nie wspomniała na temat tego, co miał jej pokazać. Ale człowiek nie mógł być pewien, że o tym całkiem zapomniała. Dlatego objął ją w pasie obiema

rękoma. Tylko lekko. Pewnie. Tak żeby nie poczuła się zagrożona. Wtedy coś się wydarzyło. Zamknęła oczy. Nie zacisnęła ich tak, jakby nie chciała nic widzieć. Nie, po prostu powieki jej opadły. Lekko, leciutko. Niczym małe skrzydła rozpostarły się nad policzkami. Jej rzęsy były tak jasne, że wydawały się prawie nierzeczywiste. Powieki miała całkowicie białe, pokryte błękitnymi żyłkami. Zupełnie jakby ktoś namalował je tam cieniutkim pędzelkiem. I przez cały czas drżały, jakby próbując ukryć swój lęk.

Przełknął ślinę i dotknął jej. Z przodu, tam gdzie były piersi. Niedokładnie tam. Trochę z boku, tak żeby równie dobrze mogło to wyglądać na przypadek. To, że całą wieczność siedziała tam zupełnie po prostu, bez słowa, z drżącymi powiekami, było prawie nie do wytrzymania.

Przełknął ponownie, pozwalając dłoni ześlizgnąć się po wycięciu jej sukienki. Skórę miała wilgotną i miękką. I pomyśleć, że siedziała zupełnie spokojnie.

Właśnie miał rozpiąć górny guzik jej sukienki, kiedy w krzakach u stóp wzgórza rozległy się trzaski i głos Hanny zakrzyknął:

– Wiem, że tutaj jesteście! Wiem, że tutaj jesteście!

W ułamku sekundy Else Marie zerwała się na równe nogi i zaczęła biec w dół ścieżki. Poczuł coś w rodzaju skurczu. W brzuchu i w twarzy. Jakby miał się rozplakać bez powodu. Świat był zupełnie błękitny. Jeszcze długo po tym, jak zniknęła, słyszał gałązki łamiące się pod jej stopami.

Było mu wszystko jedno. Chwilę później usłyszał ich śmiechy dobiegające z dołu.

*

Poszedł do letniej obory, do krów. Dmuchały mu w nos, biorąc do pysków wiechcie trawy, które przyniósł ze sobą. Po kolei dotykał ich ciepłych ciał.

– Jestem Benjamin Grønely z Reinsnes. Znacie mnie? – szeptał do każdej po kolei. Przeżuwały, stojąc lub leżąc, każda inaczej. Czasami któraś zerkała na niego wielkimi oczami i kiwała głową.

– Ale teraz muszę wyjechać.

Ostatnia krowa sapnęła mu wilgotnym oddechem prosto w twarz.

– Nie nadaję się do przenoszenia żerdzi.

Krowa rezolutnie odwróciła głowę.

Wtedy nagle, nie wiedząc, dlaczego to robi, kopnął krowę z całej siły w nogę i krzyknął:

– Ja wam jeszcze pokażę! Pokażę wam! Słyszycie!

Wtedy to się stało.

Wszystkie krowy wyciągnęły głowy, otwierając przepastne pyski w stronę powały. Cienie wielkich łbów były przerażające. Z ogromną siłą wydobył się z nich ryk, rzucając go do dołu z gnojówką. Drżąc z lęku, leżał tam i czuł, jak krowie łajno przepływa mu między palcami. Przenika ubranie. Zwierzęta ryczały. Biły kopytami w ziemię. Nabierały powietrza i wydawały ryk za rykiem.

Podniósł się i tyłem wycofał do drzwi.

Oczy! Podążały za nim. Gapiły się na niego pustym wzrokiem. Z

każdym jego krokiem było ich coraz więcej. W końcu otaczało go jedno potężne, wielkie, krowie oko.

Wtedy poczuł za plecami drzwi. Wytoczył się na dwór i zasunął rygiel.

Drzewa stały dookoła niczym zjawy. Słyszały i widziały. Chwytały go, drapiąc i szepcząc. A mimo to człowiek musiał biec. W stronę rzeki. Przez chwilę stał, obserwując wodę kipiącą w zagłębieniu, z którego wypływał strumień. Potem rzucił się do wody.

Trzeba było obmyć własny cień. Pachniał łajnem.

Jego ciało dryfowało w zimnej wodzie. Znalazł najgłębsze miejsce, zanurzając się aż po szyję. Pozwolił wodzie obmywać się dookoła. Przepływać obok siebie. Lodowatej i czystej. Szum i kipieli przyprawiały go o zawroty głowy. Wszystko było takie kruche. Wszystko się rozpadło. Człowiek musiał to znieść. To nigdy nie trwało długo. Coś szeptało do niego. Najpierw sądził, że to woda. Albo podziemne istoty. Potem zrozumiał. To Rosjanin.

Nie wiedział, jak długo tam siedzi. Jego ciało rozmyło się w wodzie. Nie czuł zimna. Nie miał ramion i nóg. Był tylko pływającą w rzece głową, przez którą przelatowały jasne jak piorun myśli i szybko odchodziły. Rozświetlone, krowie oczy wpatrywały się weń z głębokiego fioletu nieba.

Księża II



Rozdział pierwszy

A KIEDY DZIECIĘ MA BYĆ ODŁĄCZONE, MATKA MA POD RĘKĄ WZMACNIAJĄCE POŻYWIENIE, ABY DZIECIĘ NIE UMARŁO. SZCZĘŚLIWY, KTO MA POD RĘKĄ WZMACNIAJĄCE POŻYWIENIE!

(Johannes de Silentio)^[5]

Pewnego ciemnobłękitnego, jesiennego dnia „Matka Karen” wpłynęła do cieśniny koło Tromsø. Benjamin miał wyjść na ludzi i może nawet zostać uczonym człowiekiem.

Anders nie miał przekonania, że należy uczyć kogokolwiek tego, o co nie prosił. Ale zdjął z głowy zydwestkę, wskazując szlak. Kiedy wpłynęli do portu i rozglądali się za stosownym miejscem do zacumowania, Anders usłyszał nagle, że Benjamin coś za nim mówi. Brzmiało to bardziej jak zaklęcie niż wypowiedź:

– Karelowie przybyli tutaj w roku 1250, bo najechali ich Tatarzy i zabrali ich ziemie w Rosji. Håkon Håkonsen powiedział, że muszą stać się chrześcijanami, wtedy ich oszczędzi. Więc zbudowali kościoły w okolicy Ofoten i w Tromsø. Wtedy ludzie zaczęli tu przyjeżdżać, żeby kupować i sprzedawać. A Dina siedzi sobie w Reinsnes i mnie wysyła tutaj! Bez najmniejszej rzeczy na sprzedaż!

Anders uważnie pilnował przybijania do lądu, ale trochę wytrąciło go to z równowagi.

– Skąd, do diabła, wiesz takie rzeczy? – zapytał w końcu, wykrzyknąwszy uprzednio parę krótkich rozkazów do mężczyzn szykujących kotwicę.

– Trochę wymyśliłem, a co nieco po prostu przeczytałem, jak wszystko inne – powiedział chłopiec tonem dorosłego człowieka i również zsunął do tyłu czapkę.

Sternik przepłynął, lawirując, obok wielkiego angielskiego brygu oraz rosyjskiej barki, a Anders wydał komendę rzucenia kotwicy.

Jak to często bywało wcześniej, kiedy Beniamin mówił rzeczy, o których Anders nigdy wcześniej nie słyszał, czuł się tak, jakby dostał w darze nieco mądrości. Myślał wtedy o Matce Karen. Ale ona była leciwa i dużo podróżowała. A ten młody człowiek tutaj był jeszcze chłopcem.

Kiedy wiosłując, płynęli do brzegu, Anders wskazywał na domy i przystanie rybackie wzdłuż nabrzeża, wymieniając ich nazwy. Tam oto, zupełnie osobno, położony był Magazyn Jego Królewskiej Mości oraz należąca do niego przystań. A tam imponujące pomosty należące do kupca Giaevera oraz przystanie i spichrze będące własnością firmy Figenschau i Steenson. Nad miastem górowały położone na uboczu przystanie Ebeltofta oraz probostwo.

Domy opierały się o siebie w błękitnym świetle. Gdzieniegdzie widać było żółtozielone skwery i kępy drzew. Niektóre z dużych, malowanych na biało domów miały obok ogrody otoczone płotami ze sztachet, a w nich spore jarzębiny. Po łagodnych pagórkach wiły się drogi i ścieżki niczym sieć pajęcza. Znikały wprost w bladoniebieskim, popołudniowym niebie.

Wzdłuż plaży ciągnął się szereg małych, niepomalowanych albo już obłazących z farby domków. Z biednych kominów unosiły się żalosse, cienkie smugi dymu. Po drugiej stronie cieśniny wszystko było okropnie zielone.

Domy stały rzędem, oddzielone szeroką ulicą. Były mniej liczne i mniejsze niż w Bergen, ale w ten sam sposób łączyły się bramami i przybudówkami. Niektóre zbudowano ściana w ścianę, zupełnie jakby strasznie bały się zostać same na tym świecie.

Szli za wozem wiozącym skrzynię i pakunki na całą zimę, a Anders wskazywał domy, znaki i drogi, wymieniając ich nazwy.

– Tylko poczekaj, aż zrobi się na tyle ciemno, że zapalą światła! To dopiero będzie widok!

*

Ale najpierw musiał podejść pod górę i przekroczyć próg domu garbarza. Piętrowego budynku w kolorze ochry z malowanymi na brązowo ornamentami wokół okien. Gdyby nie to, że szedł tam ze swoją skrzynią i pakunkami, uznaliby pewnie, że to ładny dom. Nic na nim nie brzęczało ani zeń nie spadało przy najłżejszym podmuchu wiatru. W oknach stały gerania, a brama miała ciche zawiasy.

Człowiek nie musiał myśleć o tym, że jak będzie przechodził obok, dachówki spadną mu na głowę. Były mocno przytwierdzone. I drzwi wejściowe nie skrzypiały.

A jednak od razu po wejściu do środka coś w rodzaju niespokojnego drżenia usadowiło się w jego wnętrzu. Jakby to zostało postanowione już dawno temu. Że oto tu jest.

Coś dziwnego było w zapachu. Nigdy wcześniej takiego nie czuł. Nie był to zapach stajni. Ani prochu. Nie ługu ani pełnego nocnika. Nie kwaśnej wełny ani zgniłego mięsa. Ale może było w nim po trochu tego wszystkiego. Kiedy garbarz wrócił do domu, woń stała się tak silna, że był pewien, iż Anders to zauważy. Ale Anders nic

nie powiedział.

Kiedy weszli z bagażami, w progu powitała ich pani Andrea. Była wysoka, ciemnowłosa i miała biodra, na które nie sposób było patrzeć przez dłuższą chwilę, nie przełykając śliny. To stanowiło dla niego zbyt wiele. Gdyby na jej biodrze postawił małą karafkę do wody, którą miał na nocnym stoliku w domu, to zapewne by się tam utrzymała. Z przodu też było jej sporo.

Nigdy nie udało mu się zmierzyć tego wszystkiego wzrokiem, bo zaraz się czerwienił. Nosiła obcisłą i zapiętą wysoko pod szyją suknię. Była brązowa. Pod brodą miała broszkę. Jeśli chciało się patrzeć na nią od przodu, można było spoglądać na broszkę.

A jednak nie mógł zapobiec temu, że się czerwieni. Jej włosy były gładko zaczesane do tyłu. Tak ciasno, że skóra na skroniach naciągnęła się, przez co oczy stały się skośne jak u kota.

Włosy Diny nigdy nie były ściągnięte. Ale jej twarzy człowiek również nie widywał zbyt często, chyba że sama tego chciała. Twarz Andrei była bardzo widoczna, a jednak nie można było spojrzeć jej w oczy.

Oczu Diny nie dało się uniknąć. Przebywanie z nią w jednej izbie z tego właśnie powodu należało do rzeczy najgorszych i najlepszych zarazem.

Pierwszego wieczoru jego pobytu w żółtobrązowym domu Andrea z każdą minutą objawiała mu się coraz bardziej. Falowała pomiędzy nimi. Chyba to była kwestia sposobu poruszania się. Jak grzebień fali przelewającej się przez kamienie przy zachodnim wietrze. Gwałtownie i powoli jednocześnie. Z ledwo wyczuwalnym drzeniem. A może chodziło o te skośne oczy? Można było pomyśleć,

że jest czarownicą albo coś w tym rodzaju. Nie, skądże. Nie bał się jej. To było coś zupełnie innego. Nie był do końca pewien. Miał wrażenie, że chce być ciasteczkiem owsianym, które trzymała w dłoni i na którym po chwili namysłu zamykały się jej wargi.

Przez chwilę zastanawiał się, czy Anders też tak myśli. Ale Anders zachowywał się zupełnie zwyczajnie.

Kiedy przyszli, zaszuszonego istota w niebieskim fartuszkach i białym czepku prawie osłaniającym oczy stała za Andream. Kilkakrotnie bezgłośnie skinęła głową. Potem kolejno ujęła dłoń jego i Andersa i zniknęła gdzieś w głębi domu.

*

Anders miał rację. Latarnie uliczne na rynku i przed piekarnią Røsta przedstawiały nie lada widok. Widział wielkie nabrzeża w Bergen, więc przystanie Holstbrygga i Wadelbrygga w środku dnia nie zrobiły na nim większego wrażenia. Ale naftowe latarnie były prawdziwym cudem.

Już w pierwszym tygodniu nauczył się, że to właśnie pod latarniami stoi się i chyłkiem pali skręcane z tytoniu papierosy, nadsluchując, z czego chichoczą dziewczęta.

Nigdy w całym swoim życiu nie widział tylu dziewcząt naraz! Stały w małych grupkach z dłońmi schowanymi w mufkach, a nosami w futrzanych kołnierzach i szalikach. Coraz więcej było tych warstw w miarę narastania mrozu. Dziewczęta pod naftowymi latarniami w Tromsø były niepojętym zjawiskiem!

Zegar na ratuszowej wieży również był oświetlony. Jakby w tym mieście o każdej porze ludziom absolutnie konieczna była wiedza, która jest godzina.

Zagadkę stanowiło to, skąd przybywały. Dziewczęta. Wczesnym popołudniem małe dziewczynki ze szkoły Søndre tworzyły pod latarniami niespokojne cienie. Wzdychały i narzekały na niegrzecznych chłopaków z męskiej szkoły w Nordre, którzy przeklinali, pluli i rzucali szyderczymi słowami, a w późniejszej porze roku – śnieżkami.

Od czasu do czasu obok przemykała niechlujna sylwetka. Krokiem wracającego z knajpy robotnika. Ale ten zapewne był trzeźwy. Był to główny nauczyciel Hans Baade Theting, który przedzierał się do przodu, wymachując rękami i mamrocząc do siebie, jakby właśnie uciekł z „wariatkowa”. Nikt się go nie bał. Rozpraszali się jedynie, żeby uniknąć nieprzyjemności. Zdarzało się, że któryś z twardzieli stawał mu na drodze, żeby się z nim drażnić. Ale mężczyzna tylko oganiał się i machał rękoma, wyrzekając jednocześnie na „łotra”, który jeszcze odpowie za swoje przewinienia. Po kilku gwałtownych uderzeniach laską w ziemię nauczyciel w nieobecny sposób unosił kapelusz i szedł dalej, jak gdyby zapominając, że jest zły.

Niektórych nauczycieli mieli w pogardzie, inni byli uwielbiani. A jeszcze inni byli obiektem zazdrości. To ostatnie dotyczyło tych, którzy uczyli dziewczęta w szkole Søndre lub u pani Thesen albo pani Braeck.

Dyrektor Blom był dziennikarzem i nie można było na niego liczyć. Siedział pogrążony w swoich artykułach, a oni w tym czasie pisali tłumaczenia z niemieckiego. Na swój sposób żył we własnej głowie. Ale ciało i oczy były na miejscu. Więc nie można było założyć, że niczego nie dostrzega. Nie było z nim żartów. Otaczała go aura szacunku, którą trudno było wyjaśnić. Prawdopodobnie

brało się to stąd, że pisał dla gazety „Tromsø Stiftstidende”. Jakoś trudno było to pominąć.

*

Już od pierwszego razu, kiedy szedł po trotuarach ulicy Fr. Langes do domu szypra Witha, który położony był na rozwidleniu przy plaży, musiał niechętnie przyznać sam przed sobą, że podobało mu się w tym miejscu przymusowego zesłania. Zapomniał o wszystkim, co wcześniej wyobrażał sobie jako przerażające i obce.

Zapachy. Ludzie w ruchu. Dźwięki dobiegające z domków rzemieślników nad brzegiem morza, łodzie z obcymi flagami i przewożeni na ląd mężczyźni w niezwykłych oponczach. Podobały mu się nawet strome góry po drugiej stronie cieśniny, które nie pozwalały mu spojrzeć na szerokie morze. Stały się czymś w rodzaju ochrony. Skoro już zostało się wysłanym w świat, to dobrze, że nic tutaj nie przypominało mu Reinsnes.

Na początku miał uczucie, jakby ktoś umieścił go w bajce. Nie do końca był pewien, jak powinien się w tym znaleźć. Kiedy dotarło do niego, że nikt go z tej bajki nie przyjedzie zabrać, postanowił sobie, że to miasto zostało stworzone w tym momencie i tylko dla niego. Czasami stawało się rozdziałem czytanej akurat książki.

Ale gdy tylko Anders pojechał do domu, człowiek od razu pojął, że nie może tak po prostu zamknąć książki i wyjść z opowieści. Miał tu żyć i mieszkać przez lata. Należało się poddać losowi.

Co wieczór, kiedy garbarz wracał do domu i zasiadali wspólnie wokół stołu do posiłku, wyobrażał sobie, że dom jest zaczarowany. Był w nim zamknięty ze smokiem i zaklętą kobietą o nieodgadnionym wyrazie twarzy. W domu było wiele pokoi, do

których nie wolno było mu wchodzić. Bo gdyby to zrobił – zdarzyłoby się coś potwornego.

Powiedzieli Andersowi, że dostał najlepszy pokój. Z dwoma wysokimi oknami, wpatrującymi się pusto w komórkę na podwórzu i płot ze sztachet. I z czarnym piecem, cały czas pachnącym czernidłem, bo miał być taki błyszczący.

Miał siedzieć przy stole z tą dużą, ciemnowłosą kobietą, która nie mogła pokazać swojemu mężowi, kim naprawdę jest. Garbarz chrząknął, a jego spłoszone spojrzenie przemknęło po każdym przedmiocie po kolei. Jakby podejrzewał wszystko i wszystkich. Albo jakby się bał, że nagle powiedzą coś, czego nie będzie w stanie wytrzymać. Coś strasznego, co przerwie zakłęcie.

W sumie trudno było wyczuć, czy garbarzowi podobało się to, że ma go w domu, czy wręcz przeciwnie. Nikt z nich nie powiedział ani słowa, które mogłoby dać mu o tym jakieś wyobrażenie. Słowa były gdzieś uwięzione. Najwyraźniej wieki temu zostało zdecydowane, które z nich można wypowiadać.

Póki Anders tam był, zachowywali się w miarę zwyczajnie. Ale kiedy pojechał, z każdym dniem zmieniali się nieco bardziej. Stawali się jakby coraz mniej realni. Miał na to wiele dowodów. Andrea na przykład była w stanie widzieć ukrytym okiem, które miała na karku. Za każdym razem, kiedy odwrócona była do niego plecami, a on próbował wyobrazić sobie, że stawia malutką karafkę na jej biodrze, wykonywała błyskawiczny zwrot.

Musiał przyzwyczać się nie tylko do zapachu w tym domu. Mężczyzna miał nieprzyjemne ręce. Przez pierwszy tydzień wydawały się zwyczajne. Potem, w miarę upływu czasu, nabrały barwy żółtawej miedzi. Ale niezależnie od koloru, grzbiet dłoni

porastały czarne włosy. Aż po palce.

Starał się nie wpatrywać w dłonie garbarza. Ale nie było to łatwe.

Jedzenie również było nierzeczywiste. Albo zakłète. Smakowało zawsze tak samo, niezależnie od wyglądu. Nie było to szczególnie dziwne. Bo nastrój przy stole przywodził na myśl klimat morskiej głębiny. Ciemne, falujące zarośla wodorostów i śliskie kamienie, rozpadliny i pęknięcia. Pływające wokół stworzenia z otwartymi paszczami i ostrymi płetwami. Ciemna jadalnia z poczerniałymi od tytoniu rzędami kwiatów na ścianach tak naprawdę była pełna falujących wodorostów i oślizgłych ciał. Pokój aż po sufit wypełniały słowa, które nigdy nie miały zostać wypowiedziane. Żadne słowa nie mogły tu przeżyć. Nawet uzbrojone w skrzela.

Wokół pływały tajemnice zasłaniające człowiekowi widok. Coś w tym wszystkim przypominało mu owcze futra do spania po dwóch miesiącach używania ich przez mężczyzn na Lofotach. Zapach również. Taki zapewne jest, jeśli nigdy nie zdejmujesz ubrań, kładąc się spać.

Aż dziw, jak szybko człowiek się do tego przyzwyczaił. Uważał już za tak oczywiste, iż nie prowadzi się żadnych rozmów przy stole, że podskakiwał jak złapany na jakimś oszustwie, jeśli tylko powiedzieli nagle coś o pogodzie. Nie było w tym nic groźnego. Pogoda była albo dobra, albo zła. Wiatr był albo północny, albo – niestety – zachodni. Albo jedno i drugie.

Zgroza zawierała się w tym, że słowa prawdopodobnie dotyczyły czegoś innego. Czegoś strasznego! Nawet jeśli udawano, że dotyczą pogody.

Czasami zauważał uśmiech. Zawsze z jej strony. I zawsze do niego. Nigdy do męża. Za pierwszym razem, kiedy to się zdarzyło, w dole jego brzucha narodziło się napięcie. Przez to, że jej oczy spoczywały na nim. Że jej usta rozciągnęły się na boki i mógł zajrzeć do środka. Stała się wielkim zwierzęciem, czyhającym na niego. Nie żeby go pożreć. Tylko liżąc, wciągnąć w siebie.

*

W taki właśnie sposób przysła do niego po raz pierwszy również we śnie. Z uniesionymi kącikami ust gotowych do działania, miał uczucie, jakby upadła na niego. Wszystko stało się ciężkie od niewymownych, zabronionych obrazów. Zbliżających się coraz bardziej. Aż w nich zniknął. W samym środku jej dużych, pełnych warg.

Ale to było nocą. Przy stole zawsze miała usta zaciśnięte. Jakby bolały ją zęby. Oprócz chwil, kiedy się uśmiechała. Nie mógł sobie przypomnieć, żeby uśmiechała się z powodu czegoś, co zostało powiedziane, albo dla okazania przyjaznego nastawienia. Prawie zawsze miało to miejsce wtedy, gdy odwracała się błyskawicznie i wiadomo było, że przyglądał jej się od tyłu.

Czasami stała przy kredensie, porządkując sztucce i filiżanki. Nagle zastygała bez ruchu, odwracała się, a usta rozciągały się jej na boki. Uśmiech rysował się w przestrzeni i wciągał go, bezwolnego, do środka.

*

Od razu po wejściu do tego domu wiedział, że tutaj nikt nikogo nie dotyka. Dlatego stało się to wyrokiem. Odważyć się pewnego dnia, żeby jej dotknąć. Kiedy tak stała odwrócona do niego w

połowie plecami.

Słyszał o wilzycach i czarownicach, prowadzących podwójne życie. Jako zwykli ludzie w ciągu dnia, a wilki nocą. To pasowało! Od myślenia o tym robił się wielki i ciężki.

Wiedział, że jeśli dotknie jej dokładnie w tym momencie, kiedy tak stoi i nie czuje się obserwowana, będzie zdolny ją zdemaskować. A wtedy stanie się to najokropniejsze.

*

Miasto Tromsø miało do zaoferowania więcej niż panią Andreę. Nie tylko na Beniamina Grønrelva z Reinsnes, ale też na wielu innych czekały tam obowiązki i odwieczne poszukiwanie aprobaty.

Dyrektor Blom w roku 1858 wywalczył otwarcie tak zwanej rozszerzonej szkoły. Syn Diny był jednym z dziewiętnaściorga uczniów, którzy przyjechali tu spoza miasta i zamieszkali u obcych ludzi bądź dalekich krewnych. Miał zostać wdrożony do nauki i dyscypliny. Przed ukończeniem trzeciej klasy jego obowiązkiem było poznać dziewięć ksiąg *Dziejów* Herodota, dzieła Platona i mowy Demostenesa, *Iliadę* Homera – księgi od piątej do siódmej – a poza tym zaznajomić się z tajnikami formy, składni i gramatyki. Lista lektur obowiązkowych z łaciny była obszerna: Liwiusz – księga pierwsza od rozdziału czterdziestego czwartego, Fedrus – księgi druga, czwarta i piąta. *Eneida* Wergiliusza i Horacy również byli na liście. Co czternaście dni należało napisać wypracowanie po niemiecku, angielsku i francusku. Trzeba było wkuwać geografię i ćwiczyć się w arytmetyce i geometrii. Wszystko pod kątem egzaminu końcowego. Mieli zdawać go po łacinie: wypracowanie, tłumaczenie, egzamin ustny. Poza tym wypracowanie z

norweskiego, historia, region, greka, geografia, arytmetyka i geometria. Czekał ich również sprawdzian ze śpiewu i deklamacji. To ostatnie należało do jego ulubionych.

Co miesiąc rada nauczycielska oceniała ucznia. Poza tym prowadzony był codzienny rejestr przewinień zawarty w protokole. Za cały ten dryl i naukę Dina musiała pozbywać się 36 talarów. Prawie codziennie słyszał z katedry, jak wielką ofiarę stanowił ten wydatek dla „drogich opiekunów”.

Człowiek uczył się coraz to nowych sztuczek, żeby uniknąć kar, jakie miały być „odpowiednie” w razie braku posłuszeństwa.

Pierwszym przykazaniem była absolutna cisza w obecności nauczyciela, jeśli akurat o nic nie pytał. Kolejnym – uprzejmość bez ponizania się. Szybko nauczył się, że wszystkich uniżonych prędeej lub później dotykała karząca ręka sprawiedliwości. Albo w osobie nauczyciela, albo innych uczniów.

Ale kiedy nie miało się talentu do płaszczenia się, wszystko szło dobrze.

Miał natomiast sporo do nauczenia się w kwestii trzymania buzi na kłódkę. W Reinsnes tylko Dina i Stine w rzeczywistości rządziły słowami. I robiły to z własnej nieprzymuszonej woli. Nauczył się – chociaż nikt nie powiedział tego wprost – że każdy ma prawo do przedstawienia swojego zdania bez narażania się na szykany, jeśli tylko w obecności Oline powstrzyma się od przekleństw i obelg.

Można powiedzieć, że nauczyciel łaciny miał rację, nazywając go chłopcem trudnym i wygadany niczym nieposkromiona wyrocznia. Ale nie stanowiło to żadnego śmiertelnego grzechu, dopóki człowiek wykazywał wolę poprawy.

*

Szkoła była miejscem dla synów kupców i urzędników. Ale zdarzał się ten i ów mający za ojca rzemieślnika albo marynarza. W Tromsø praca wykonywana rękami nie stanowiła najwyraźniej żadnego poniżenia. Jednak różnica była odczuwalna.

Ci, którzy pochodzili z niezamożnych domów, zawsze czymś się zdradzili. Nawet jeśli próbowali dostosować swój język. A zwłaszcza ci, w których domach nie przejmowano się z nadto prostackim językiem przy stole. Powstawało mylące pomieszanie tak zwanego języka kulturalnego i nieokrzesanego.

Z czasem pojawił intencje referendarza, który kilkakrotnie zbeształ Dinę za to, że pozwala mu mówić językiem stajennego. Ale pomogło mu to jedynie w kontrolowaniu radości ze swobodnej mowy.

Istniały rzeczy ładne i wulgarne. Lepiej niż z kimkolwiek innym czuł się z Sofusem, synem stolarza Becka. Sofus kłął raczej cicho i potrafił przestać w chwilach, kiedy oczekiwano od niego kultury. I podobnie jak on był niemo zachwycony dziewczętami wystającymi pod latarniami. Nawet jego zapach można było polubić. Ten człowiek chodził po świecie, pachnąc świeżo heblowanym drewnem i żywicą.

Ze swoim szerokim nosem, patykowatą sylwetką i ponurym wyrazem twarzy Sofus stał się kimś, na kogo można liczyć. Ale nie rozmawiali o tym.

[5] Søren Kierkegaard, *Bojaźń i drżenie*, s. 35.

Rozdział drugi

Pani Andrea była o wiele młodsza od męża. Myśląc o tym, czuł coś na kształt triumfu. Nie wiadomo, co robiła za dnia, bo wtedy był w szkole. Zastanawiał się, czy o to zapytać. Ale to było nie do pomyślenia. W jakiś sposób musiał się tego dowiedzieć. Tak chyba miało być.

Mąż przebywał w swojej garbarni nad brzegiem morza. Ale nie stawał się przez to mniej niebezpieczny. Wręcz przeciwnie. Można było wyobrazić sobie, jak stoi nad parującą kadzią i ogromną warząchwią miesza w kipiącej masie krwi i kości. Wiedział przecież, że garbowało się skóry. Ale ta cała reszta? Co się z nią działo? Przecież trzeba było jakoś się tego pozbyć, chociaż okropnie było o tym myśleć. I na pewno garbarz to robił. Dlatego miał takie nierzeczywiste dłonie.

Nigdy w życiu nie widział takich dłoni. Ręce garbarza codziennie jakby się nieco powiększały. Od czasu do czasu miał wrażenie, że widzi je przez ścianę sypialni. Były wielkimi ranami na jej ciele pod ogromną kołdrą, której nigdy nie widział. Zdarzało się, że ten widok wyłaniał się w jego wyobraźni również wtedy, gdy widział, jak garbarz z dłońmi złożonymi na białym obrusie siedzi przy stole, odmawiając modlitwę przed posiłkiem. Jeden z jego palców wskazujących miał paznokieć przypominający szpon. To była tajemnica! Ona włożyła tam swą truciznę i w ten sposób uwięziła ich obu przy sobie.

Najpierw sądził, iż ona go nie dostrzega. Że tylko pozornie go widzi. Z Diną i pozostałymi domownikami działo się tak, że nawet jeśli nie okazywali bez przerwy, że go zauważają, to jednak tak

było. Rozumiał to od zawsze. Miał w Reinsnes swoje tajemne kryjówki, ale każdy, kogo po niego posłano, znajdował go w ten czy inny sposób.

Tutaj nikt o nic nie pytał. Kiedy do niego mówili, nie patrzyli na niego. Nie byli prawdziwi.

*

Nikt z zewnątrz nie przychodził do tego domu ani w nim nie przebywał. Tylko staruszka, będąca zarazem kucharką i służącą. Mieszkała tuż za ścianą w małej przybudówce, wyglądającej tak, jakby kiedyś służyła za stajnię albo szopę. Mogłaby mieszkać w domu, bo musiało w nim być co najmniej pięć sypialni. W każdym razie z korytarza na poddaszu prowadziło gdzieś pięćdziesiąt drzwi. Ale staruszka chyba dobrze wiedziała, co robi, opuszczając co wieczór dom.

Przez Reinsnes nieustannie przewijało się mnóstwo ludzi. Wielu z nich nie widział nigdy wcześniej. Każdy, nawet pastor, zaglądał do kuchni i do składu. I niekoniecznie trzeba było mieć powód, choć często udawano, że tak jest.

Tutaj było inaczej. Po miesiącu spędzonym u rodziny garbarza ciągle jeszcze nie zobaczył innych miejsc niż jadalnia, korytarz i własny pokój.

W Reinsnes drzwi i szafy miały zamki oraz haczyki. Ale tylko po to, żeby było za co chwycić przy otwieraniu. Nawet drzwi do biura w składzie nigdy nie były zamknięte w taki sposób, żeby nie było w nich klucza. No tak, może tylko piwniczka z winami była naprawdę zamknięta. Ale klucz do niej wisiał na kołku u Oline albo leżał na górze u Diny, jeśli zapomniała odwiesić go na miejsce.

W domu garbarza przed położeniem się spać zamykano na klucz wszystkie drzwi. Każdy pokój miał własny klucz. I był on w użyciu. Wiezorami leżał cicho, nadsłuchując przekręcania kluczy w zamkach. Potem słyhać było kroki na schodach, skrzypienie drzwi do sypialni gospodarzy, charkanie garbarza, a na końcu dobiegał go dźwięk klucza przekręcanego od środka.

Już w pierwszych tygodniach zrozumiał, że tego dnia, gdy ten rytuał z jakiegoś powodu zostanie przerwany albo nie odbędzie się dokładnie tak, jak we wszystkie wcześniejsze wieczory, wtedy właśnie zdarzy się ta „potworność”.

Leżał pod kocem, wstrzymując oddech, aż wszystko ucichło. Liczył kroki na schodach i obracane w zamkach klucze.

*

A jednak był nieprzygotowany, kiedy naprawdę się to zdarzyło. Pewnego wieczoru na początku zimy. Zabrakło dźwięku ostatniego klucza!

Noc była groźna jak gotowa trumna, podwieszona wysoko pod dachem stodoły w domu. Nikt nie wiedział, kto będzie w niej leżał. Można było oczywiście wstać i zapalić lampę i w ten sposób się uratować. Ale w tym celu trzeba było faktycznie to zrobić. Nie był w stanie.

Człowiek mógł sobie tłumaczyć, że najlepiej zasnąć i nie zwracać na nic uwagi. Nie wiadomo było przecież na pewno, czy przekleństwo dotyczy i jego. To mogła być pułapka zastawiona na nią przez garbarza. Niezamknięcie drzwi. Ale głęboko w środku wiedział, że to właśnie dla niego.

Nie był pewien, czy już wcześniej słyszał odgłosy z sypialni

gospodarzy i po prostu przyzwyczał się do nich jak do wszystkiego innego. Ale po chwili trudno było je opacznie zrozumieć. Wcisnęły się w jego uszy, rodząc napięcie, od którego daremnie byłoby próbować uciec.

Ktoś jęczał. Ktoś wzdychał!

Należało zapewne wziąć się w garść i uratować w ten czy inny sposób. W zimnym, mrocznym pokoju zerwał się z łóżka. Wciągnął jakieś ubrania. Kiedy wsunął stopy w grube skarpety, poczuł puste ciepło. Dół brzucha i dłonie miał zeszywniałe. Sztywność stała się najważniejsza. I pragnął, i zarazem nie chciał jej mieć.

Po omacku dotarł do okna i odsunął zasłony. Światło księżycy wdarło się do pokoju, odmieniając wszystko. To był oczywisty znak. I dźwięki! Zmusiły go do wyjścia.

Poruszał się, nie dotykając podłogi. Otworzył drzwi tak cicho, że żaden człowiek nie mógłby go usłyszeć ani zobaczyć. Nie istniał. Miał ulotne, ale sztywne poczucie bycia nie do końca obecnym.

Na korytarzu dźwięki stały się wyraźne. Na wpół zduszone pojękiwania i głośne sapanie. Przecież wiedział to chyba przez cały czas! Że garbarz ją zdemaskuje, rozumie, że włożyła mu truciznę pod paznokieć.

Właśnie nadszedł czas. Garbarz potrzebował świadka! Chciał ją zastrzelić!

Wiedział o tym przez cały czas. Że tak musi się stać.

Nie zastanawiał się, czy się odważy. Dlatego zrobił to! Otworzył drzwi do ich sypialni. Uchyliły się bezgłośnie. Odgrywały swoją rolę w wyroku! Brały w tym udział! Musiał przez to przejść. Był tutaj po to, żeby przez to przejść.

*

Na początku wokół był tylko chaos i mrok. Ale światło księżycyca przedzierało się między zasłonami. Wielkie plecy garbarza rysowały się pod białą koszulą nocną. Nogi widoczne poniżej przypominały sękaty sosnowe konary. Jego ciało pracowało z mocą pochodzącą z ogromnego, niewidzialnego miecha. Na pewno go usłyszał. To nie mogło dziać się naprawdę. Nagle garbarz wyprostował się i przechylił nieco na bok.

Coś trzymał w dłoni. Jakieś narzędzie. Sztucer! Nóż? Zastawił na nią pułapkę. Pokazała mu, że jest wilczycą. Dlatego musiał ją zabić.

Jej uda! Księżyc otulał je bielą. Straszliwą bielą.

Księżyc oświetlił również przedmiot dzierzony przez garbarza.

Nikt nie mógł trzymać czegoś takiego luzem w dłoni. To powinno być przytwierdzone do ciała. Więc pewnie skazała go na to. Żeby trzymał go w rękach. Całkiem w oderwaniu. To był wyrok!

Teraz garbarz zamierzał się zemścić. Trzymał zemstę w dłoniach!

Chyba zrozumiała, że wszystko się skończyło. Pojękiwała, kiedy mąż nachylał się nad nią, wbijając w nią rytmicznie narzędzie. Przytrzymał ją jednym ramieniem na pościeli, a pracował drugim.

Pokój przepełniały te wszystkie słowa, które nigdy nie miały zostać wypowiedziane. Przenikała go zemsta garbarza i jej jęki.

Niemożliwe było uratowanie się z tego wszystkiego. Pragnął mieć to już z głowy. Bez krzyku. Zupełnie po cichu. Również w

chwili, gdy dostrzegł jej nagły skurcz. Uda i łydki rozrzucone po bokach pleców garbarza. Księżyc oblewał to wszystko swą bielą.

Nagle garbarz zesztyniał z narzędziem uniesionym w górę. Czy zauważył, że ktoś tam stoi? Ale nie. Pochylił się ponownie, wbijając narzędzie między jej uda. Ruchy! Jęki! Ona jeszcze żyła!

Człowiek musiał tylko stać całkowicie bez ruchu i być świadkiem. Wykonywali jakiś rodzaj tańca. Byli wrogami. I byli skazani na siebie. To koniec. Wkrótce rozlegnie się wystrzał. I pojawi się krew.

Nagle ona wydała zduszony jęk, a jej stopy opadły, zwisając luźno z brzegu łóżka.

Już był w grobie. Panowała cisza niepodobna do niczego. Człowiek mógł tylko czekać na spadające bryłki ziemi, które go wkrótce pogrzebią.

Garbarz zwiódł go, żeby był świadkiem. Teraz był jak oni. Nierzeczywisty.

Nie zamknął drzwi za sobą. Przemknął tylko przez korytarz do siebie. Ale odór tych dwojga usadowił się w jego włosach i na skórze. Oddech garbarza był jego własnym oddechem. Zapach ich łóżka – jego zapachem. Nie był w stanie od tego uciec. Był teraz nimi. Razem w ich łóżku.

*

Następnego poranka wszystko się zdarzyło. A jednak zarazem było jak wcześniej. Bo ona ciągle jeszcze nie umarła. Usłyszał ją przez ścianę. Mówiła coś do garbarza. Zupełnie zwyczajnie. To był dowód, że nic nie jest prawdziwe.

Człowiek musiał zrobić wszystko jak zwykle. Zejść na śniadanie. Zjeść. Pójść do szkoły. Tylko robiąc zupełnie zwyczajne rzeczy, można było się zbawić. Postawił stopę na stopniu schodów. Potem drugą. Trzymał się poręczy.

Stał na krawędzi i miał skoczyć w stóg siana. Z mdlącej wysokości. Nie było widać, czy na dole jest siano. Teraz skoczy. Teraz!

Trzeba było otworzyć drzwi do jadalni. To była ciężka praca. Musiał zrobić to szybko, żeby nikt nie zauważył, że stał się jak oni.

Kiedy wszedł do pokoju, już tam siedzieli. Nie wziął tego pod uwagę. Że już tam są. Bo przez to mogli obserwować, jak podchodzi do stołu i siada, szurając krzesłem.

Kiedy człowiek już zdołał usiąść, nie przewracając niczego po drodze, nie powinien był się podnosić. Lepiej było siedzieć.

Garbarz odchrząknął i mruknął:

– Dzień dobry.

Ona poruszyła ustami, nie patrząc w jego stronę.

Wiedziała! Zobaczyła go w uchylonych drzwiach!

Podawała mu półmisek z chlebem. Chleb na pewno był zatruty. A jednak musiał sięgnąć po kromkę. Wziął sobie masła z czworokątnego naczynia ze złożonym brzegiem i napisem „masło”, wykonanym ozdobnymi, zawijanymi literami. Było twarde jak kamień i robiło w chlebie dziurę, nie chcąc się rozsmarować.

Wyciągnął rękę po konfitury. Porzeczkowe. Straszliwie czerwone. Miał wrażenie, że rozplývają się po całym pokoju. Poczłł mdłości i sięgnął po ser. Leżał na kolejnym czworokątnym

półmisku z ozdobnym, zawijanym napisem „ser”. Dostawał pisemne wskazówki, co ma robić.

Chyba było tam napisane, że powinien co noc stać w drzwiach, pilnując, żeby garbarz nie użył noża ani strzelby.

To dlatego przyjęli go do swojego domu.

A może: To tylko ona? Ona dostrzegła, do czego można go użyć?

Żuł, spoglądając na zmianę to na jedno, to na drugie czworokątne naczynie. Można było się do tego przyzwyczaić.

Ale szklanki z mlekiem nie dał rady podnieść. Miała barwę księżycy i jej ud. Nie można było tak po prostu tego wypić.

Kiedy już bezpiecznie przebrnął przez kromki chleba i szedł w stronę drzwi, zauważył to: jej uśmiech. Rozlewał się na twarzy. Po całym pokoju. Wargi falowały w jego kierunku, nie odsłaniając zębów. Jej oczy! Śpiące i tak strasznie czujne zarazem. Jak u kota.

Garbarz chrząknął i powiedział:

– Tak, tak, pogoda jest nie najgorsza!

Rzucił się do drzwi, niezdarnie naciągnął ubrania i wyruszył z domu. W kieszeni palił go klucz. Nie zamknął drzwi zewnętrznych, chociaż go w tej kwestii napominali.

*

Zaczął sypiać z głową pod poduszką. A jednak dźwięki tam były. Również we śnie. Wiedział, co oznaczały. W końcu to on, a nie garbarz, trzymał w dłoni wielkie narzędzie, wykonując te ruchy. Dźgał ją. W niektóre noce robili to razem. Garbarz i on. W inne z kolei zostawał z nią sam. Była miękka i duża. Kąciki jej ust

rozpłynęły się. Zmieniły w ogromną rozpadlinę, do której mógł wpychać narzędzie. Jęczała i wzdychała, przez cały czas obnażając swoje duże, pełne wargi.

W dzień człowiek nie był w stanie żyć ze świadomością nocy. Ledwo był zdolny podnieść na nią spojrzenie podczas posiłków. Myśl o dotknięciu jej była pierwszą, z którą się budził, i ostatnią, zanim zasnął. Jeśli tego nie zrobi, umrze.

A jednak: wiedział, że musi!

Kiedy był w domu, coś zmuszało go, żeby przez cały czas szukać okazji do dotknięcia jej dłonią, a zarazem do unikania wszelkich pułapek, które zastawiała, żeby właśnie to zrobił. Zaczął patrzeć na jej ciało opięte ciasną suknią jak na znak. Chodziło o to, żeby zwracać uwagę na znaki.

Był bezpieczny tylko wtedy, gdy oni nie widzieli, że ma twarz.

Rozdział trzeci

Zmarł jeden z krewnych garbarza. Znak nie mógł być bardziej wyraźny. Wiedział, że to jego вина. Już od dawna marzył, że stanie się coś, co stworzy mu okazję.

Musiało być gdzieś w sypialni. Narzędzie garbarza.

Kiedy Andrea z pozbawioną wyrazu twarzą oświadczyła, że muszą jechać na pogrzeb, nie był w stanie poczuć żadnego żalu za swoją winę w sprawie tej śmierci. Zajmie im to cztery dni. Ale on dostanie jedzenie i wszystko, czego potrzebuje. Kucharka będzie na miejscu.

*

Tego samego popołudnia siedział nad łacińskimi koniugacjami, oczekując wieczoru. Wtedy kucharka przycłapała w swoich szarawych kapciach i powiedziała, że idzie na nabożeństwo w zborze. Przygotowała dla niego kolację, która stała w jadalni, przykryta serwetką.

Nie udało mu się powstrzymać i uśmiechnął się do niej. Nie powinien był tego robić. Popatrzyła na niego podejrzliwie i rzekła:

– Niech zamknie drzwi wejściowe!

Pośpiesznie przybrał znów poważny wyraz twarzy.

Kiedy usłyszał, jak zamyka kluczem drzwi, czasowniki i koniugacje przestały istnieć. Podbiegł do okna w korytarzu, chcąc się upewnić, że naprawdę kroczy wolno w dół ulicy, mocno trzymając podniszczoną torebkę.

Potem na powrót znalazł się w stodole. Stóg siana był na swoim

miejscu. Wystarczyło skoczyć. Człowiek wiedział przecież, jakie to uczucie. Ssanie. Drzenie. Napięcie. Czy się odważy? Czy da radę?

Może drzwi są zamknięte? Być może wetknęli papierowe karteluszeki pomiędzy szuflady komody, żeby go zdemaskować? Albo jeszcze gorzej: może ona nie wyjechała? Leżała w łóżku i czekała? Nie widział przecież, jak wychodzi z domu. Może chcieli go zwabić do sypialni? Żeby móc się na niego rzucić?

Obszedł kilkakrotnie dookoła swój pokój. Ale w końcu człowiek musiał podjąć jakieś postanowienie. Więc się zdecydował. Wyślizgnął się na korytarz i podszedł do drzwi. Czuł się tak, jakby krew potężnymi falami wypływała mu z uszu i zalewała podłogę.

Położył ostrożnie dłoń na mosiężnej klamce i nacisnął. Ustąpiła bez najmniejszego jęknięcia. Popchnął drzwi, które również prawie bezszelestnie otworzyły się w stronę pokoju. Czy to pułapka? Że drzwi nie były zamknięte na klucz! Przecież zawsze je zamykali.

Potem znalazł się w środku. Pokój rozpostarł się przed jego oczami. Niebieskie jak lód światło wpadało przez okna, kładąc się na kapie okrywającej posłanie.

Nie było jej w łóżku!

Wślizgnął się do pokoju i zamknął drzwi. Domostwo czuwało nad każdym jego krokiem. Zapach tej sypialni był zupełnie inny niż w domu. Tutaj nigdy nie dochodziła woń lata i sianokosów.

Łóżko było niczym statek wiozący duchy. Wysokie i ciemne. Nad komodą wisiało ogromne lustro, odstające ukosem od ściany. Podskoczył na widok własnego odbicia. Rozmazana postać ze zbyt długimi rękawami koszuli i białą jak kreda twarzą. Oczy miała ciemne i szeroko otwarte. Chciał wybiec z pokoju. Ale coś, nie

wiedział co, było od tego silniejsze. Został.

W głowie dudniła mu kamienna lawina. Uświadomił sobie, że zapomniał nasłuchiwać, czy kucharka nie wróciła. Mogła przecież czegoś zapomnieć?

Wyskoczył ponownie na korytarz, nasłuchując odgłosów ze schodów. Ale nie. Żadnych dźwięków. Żadnego hałasu z salonów ani z kuchni. Najmniejszego stuknięcia drzwiami. Znów wślizgnął się ostrożnie do pokoju i wciągnawszy głęboko oddech, otworzył najbliższą nocną szafkę. Stał tam nocnik z pokrywką. Uderzył go w nos odór niemożliwy do pomylenia z niczym innym, choć nocnik na pewno był pusty.

Otworzył małą szufladę w górnej części szafki i zobaczył w niej pudełko obciągnięte żółtym jedwabiem. W środku znajdowały się równo poukładane haftowane chusteczki do nosa. Stało tam również malutkie puzderko z pierścionkami i szpilkami. A więc to była jej szafka nocna! W długim i płaskim kartonowym pudełku leżała niewielka, nieskończona robótka ręczna. Haft krzyżykowy tworzył na niej postać dziewczynki obejmującej jagnię. W jagnię wetknięte było mnóstwo szpilek. Obok w starannych, małych motkach ułożone były nici do haftu. Czerwone, żółte, niebieskie, pomarańczowe i czarne. Pod spodem znajdowało się kilka listów przewiązanych jedwabną wstążeczką. Zostawił je w spokoju.

Szafka nocna jej męża zamknięta była na klucz! Spodziewał się tego. A jednak spowodziło to na niego szaleństwo. Potrząsał i szarpał gałką. Ale szafka nie chciała się otworzyć. Musiał usiąść. Ale nie miał odwagi dotknąć łóżka. U stóp łoża stał podnózek. Opadł na niego. W gardle miał kredę i piasek. Wpatrując się w punkt przed sobą, ponownie napotkał własne odbicie w lustrze nad

komodą. Włosy miał zjeżone. Wyraz twarzy szaleńca. Dobrowolnie przestąpił ten próg!

*

Pożądanie nadchodziło falami. Silne. Coś trzeba było z nim zrobić. Człowiek musiał poluznić ubrania i zrobić to sam. Wpatrując się we wszystko dookoła. A członek w dłoni robił się wielki.

Wpadł w jej zasadzkę. Nie dało się tego uniknąć. Kiedy nadszedł wytrysk, zgiął się wpół.

Czyżby szczęknęły drzwi wejściowe?

Czy uderzenia własnego serca mogły człowieka udusić? Musiał się przemóc i wstać. Podciągnąć spodnie. O, tak! Ciągłe jeszcze paliło go tam w dole. Mokro i lepko. Dotarł jakoś do własnego pokoju. Ale ona i tak go schwytała.

Wyczerpany opadł na łóżko i zasnął.

*

Następnego dnia w szkole myślał tylko o jednej rzeczy: jak otworzyć zamkniętą szafkę. Po południu, siedząc samotnie przy posiłku złożonym z solonego śledzia z ziemniakami, poczuł przyływ odwagi.

Mniej lub bardziej starannie odrobił lekcje. Ale słowa nie chciały utrzymać się w głowie. Potem zapadł wieczór.

Najpierw sprawdził, że na pewno jest w domu sam. Zszedł do piwnicy i znalazł pilnik, szydło oraz młotek. W każdym miejscu domu wyczuwał teraz zapach ich sypialni.

Wszystko było jeszcze groźniejsze niż wczoraj. Odłożył na komodę pilnik, szydło oraz młotek i ostrożnie pogładził łóżko. Czy było ciepłe? Nie. Podniósł kapę i zajrzał pod nią. Ciemność!

Przyniósł ze swojego pokoju lampę i postawił ją na komodzie. Światło przenikało lustro i odbijało się od niego.

Pochylony nad mosiężnym okuciem drzwi szafki, przez chwilę poczuł, jak opuszcza go odwaga. Wziął głębszy oddech, próbując najpierw użyć szydła. Bezskutecznie. Zamek był bardziej skomplikowany, niż mu się wydawało. Pilnik okazał się za duży, a młotek w ogóle nie wchodził w rachubę.

Wtedy nagle wpadł na to! Szybko podniósł się i odsunął szafkę nieco od ściany. Tak jak myślał. Tylne ścianki zrobione były z deski przymocowanej gwoździami. Odwrócił całą szafkę tyłem do pokoju, żeby uzyskać lepszy dostęp.

Okazało się jednak, że nie poradzi sobie bez obcęgow. Gwoździe były wbite zbyt mocno. Udało mu się wyciągnąć je na tyle, że wystawały główki, ale reszta była nie do ruszenia.

Czy dobrze pamiętał, że w piwnicy leżały obcęgi? Odłożył pilnik i zabierając ze sobą lampę, poszedł w dół schodów. Lampa okropnie kopciła sadzę, gdyż nie był w stanie trzymać jej prosto. Cały dom wypełniały mroczne, skrzypiące kąty.

Co to? Czyżby ktoś szedł? Zupełnie roztrzęsiony potknął się na wąskich piwnicznych schodach i stanął, nadsłuchując. Ale nie. Panowała absolutna cisza.

Nie znalazł obcęgow, ale przypomniał sobie, że na ścianie w kuchni widział wiszące szczypczyki do cukru. Mogłyby się nadać. Poszedł po nie.

Stałem się jak oni, jak garbarz i Andrea, pomyślał. Potem ruszył do ataku z głową zanurzoną w czerwonej mgłę, sięgającej aż do podbrzusza. We mgłę niczym dzika siła, która wyciskała z niego dech i napełniała całe ciało jątrzącym oczekiwaniem.

Deska odpadła i mógł włożyć rękę do szafki. Miała dwie półki. Na dolnej leżały papiery i książki przypominające protokoły. Na najwyższej kawałek zwiniętego materiału w kratkę. Wyciągnął go, czując, że w środku coś jest.

Zawiniątko otwarło się niczym temblak.

Narzędzie garbarza spadło na podłogę.

*

Najpierw wpatrywał się w nie, nie mogąc się ruszyć. Potem ostrożnie ujął je w dłoń. Garbarz pojechał na pogrzeb pozbawiony narzędzia!

Zrobione było z miękkiej, gładkiej, jasnej skóry. Na tyle długie, że mieściło się na całej jego wyciągniętej dłoni. Miało starannie uformowaną główkę i dwa duże mieszki na drugim końcu.

Kłęczał, trzymając je w rękach. Było wykonane z sześciu pasów skóry. Dokładnie przyciętych wzdłuż do tej niezwyklej formy i równo zszytych drobnym ścięciem za pomocą brązowej, jedwabnej nitki.

Przesuwał opuszkami palców po szwach. Prawie niewyczuwalnych. W środku zapewne były trociny. Mocno ubite, ale elastyczne.

Z lustra wyskoczyło stado ogierów. Każdy miał pod brzuchem narzędzie garbarza. Łączył je jeden cel. Kopyta i rozwiane grzywy.

Mięśnie preżące się pod skórą. Głośne rzenie. Tętniąc kopytami, galopowały ku przeznaczeniu. Do niej. W łóżku. Do miejsca dla narzędzia garbarza. Ust.

Obrazy wirowały wokół jego głowy, jakby ktoś wymierzył mu cios w policzek. Wtedy wskoczył w stado koni. Przedmiot garbarza leżał ciepły w jego dłoni. Wpatrywał się w niego. Wąchał. Śledził, jak wchodzi w nią. Robił się od tego silny. W środku w niej, ze wszystkimi tymi prychającymi za jego plecami ogierami, które czekały na swoją kolej.

To była najwyższa konieczność! Dojść tam. Aż do końca! Ona tego właśnie chciała.

*

Wsunął narzędzie i szafkę na miejsce, odwrócił mebel i poszedł na dół, zabierając szczypczyki do cukru. Chociaż miał ze sobą lampę, czuł się tak, jakby schodził w dół pogrążonego w ciemności stromego zbocza. Szkło było zupełnie czarne od sadzy.

Zaryzykował, że nikt póki co nie będzie potrzebował pilnika, szydła i młotka, więc położył je w swojej szafce nocnej.

W piecu zgasło i przez okno jego pokoju zaglądał chłodny księżyc. Z głową pełną czerwonych fałdów skóry poszedł z powrotem do pokoju garbarza.

Musiał położyć się w jej łóżku. Nie wiedział jeszcze, jak to zrobić, żeby nikt nie zauważył jego obecności. Ale po prostu musiał.

Rozsadzały go potężne, przyprawiające o szloch siły. Wślizgnął się pod koc po tej stronie, gdzie stała jej szafka nocna. Zagrzebał twarz w poduszkę i wdychał jej wonie. Złowieszcze. Bliskie. Rozkoszne. Takie wyraźne.

Czuł je, kiedy schodziła do jadalni. Czasami muśnięcie jej zapachu unosiło się w korytarzach jak słabe przeczucie. Ale tutaj było wszystko. Ciężar. Ciało, oddech i noc.

Zdmuchnął lampę i objął ramionami poduszkę i kołdrę. To była ona! Ciepła. Dotknęła go, pieszcząc, zmieniając go w potężne narzędzie ze skóry szytej jedwabnymi nićmi.

Bolało. A jednak przeciągała wszystko. Przytrzymała go tam. A on napawał się tym aż do momentu, gdy dłużej nie był już w stanie.

Po raz pierwszy nie była to tylko przyprawiająca go o zawstydzenie zabawa. Tylko śmiertelna powaga. Wcisnął się do jej łóżka!

Można było mieć obawy, że garbarz zdemaskuje go i powiesi na kryształowym zyrandolu. Albo obije do nieprzytomności. Albo zawiadomi dyrektora szkoły. Albo napisze do Diny i Andersa. Było mu wszystko jedno, co zrobi. Stał się niezwyciężony. Był dorosłym mężczyzną, tryskającym i w nią, i na prześcieradło.

*

Obudził się, słysząc kroki na schodach. Kucharka. Idąca do góry, żeby go obudzić! Nie miał odwagi wciągnąć powietrza. Oczy miał wpatrzone w kłamkę, jeszcze zanim całkowicie się obudził. Zasnął w łóżku gospodarzy! Zostanie odkryty!

Kucharka zapukała do drzwi jego pokoju. Dźwięk rozerwał świat na kawałki. Ledwo powstrzymał się, żeby nie odpowiedzieć jej z miejsca, gdzie się znajdował, tylko po to, żeby mieć to już za sobą.

Na zewnątrz usłyszał dwa kroki. Albo być może przeniosła ciężar ciała z jednej nogi na drugą, czekając na jego odpowiedź. Potem jeszcze raz zawołała:

– Jest siódma! Niech wstaje!

Wstrzymał oddech. Czekali oboje. Teraz otworzy drzwi! I zobaczy, że łóżko jest puste! Zaczął się modlić. Żeby odeszła spod drzwi. Zapomniał, że jest w sytuacji na tyle wstydlivej, iż zwracanie na siebie uwagi Najwyższego nie było zbyt rozsądne.

Wtedy usłyszał, jak woła go po raz trzeci. Ostro. Potem na chwilę zapadła cisza. A jeszcze później jego modlitwy zostały wysłuchane i usłyszał skrzypienie schodów.

Natychmiast skoczył na równe nogi. Usiłował szybko ogarnąć wzrokiem łóżko. Ale było zbyt ciemno. Zepchnął serce głęboko do żołądka, bo waliło jak szalone. Wpatrywał się w kapę na łóżku jak ślepy usiłujący zatrzeć ślady. Starał się pamiętać, że musi zabrać do siebie lampę.

Ledwo z tym zdążył. Kucharka znów pojawiła się na schodach. Kaszlał głośno i wyraźnie, żeby usłyszała, że już wstał. Miał nadzieję, że słysząc kaszel, nie zada zbyt wielu pytań. Ale w związku z tym zawołała:

– Czy on jest dzisiaj chory, że tak kaszle?

– Nie! – odkrzyknął głosem, którego nikt wcześniej nie słyszał. – Idę już, idę!

Wymamrotała coś pod nosem i schody zaskrzypiały ponownie.

*

Kiedy siedział, próbując jakoś odnaleźć się w twardej,

drewnianej ławce wspólnie z innym uczniem, nadszedł niepokój: co będzie, jeśli kucharka pójdzie na górę do pokoju garbarza i zobaczy zniszczoną szafkę nocną i ślady korzystania z łóżka!

Gdy nauczyciel zapytał, czy jest chory, bo wygląda bardzo blado, przyznał gorliwie, że czuje się okropnie, i dostał pozwolenie na pójście do domu. Miał zamiar dokładnie obejrzeć sypialnię i usunąć wszelkie ślady. Póki było jasno.

Buty i płaszcz kucharki zniknęły. Z ulgą ponownie wkroczył w zakazane. Tak jak się obawiał, widać było wyraźnie, że ktoś leżał w łóżku. Wgłębienie, jakie pozostawiła jego głowa, rysowało się nawet pod kapą, którą usiłował rozciągnąć na łóżku. Poprawił ją najlepiej, jak umiał. Jednak śłanie łóżek nie należało w domu do jego obowiązków.

Począł do wieczora na moment, kiedy kucharka już sobie poszła, i odłożył skórzane narzędzie garbarza na miejsce. Przybił gwoździe. Miał uczucie, jakby ukrywał współlnika. Kogoś, kto wszystko wiedział.

Wyobrażał sobie, że ona wróci do domu i położy się do tego samego łóżka, w którym wcześniej spał. Myślał o tym, nawet siedząc nad lekcjami.

*

Tego wieczoru, kiedy wrócili z pogrzebu, złożyło się, że akurat był w lokalach gospody Pettersena i ćwiczył się w aktorstwie, jak to nazywano.

Nauczyciel norweskiego poprosił go, aby odczytał wiersz Wergelanda.

– Benjamin Grøneltv ma dobry głos i talent do deklamacji –

rzekł nauczyciel.

Stał więc na podium, wkładając w każde słowo własną tajemnicę. Wiersz poświęcony był Stelli, „niebiańskiej oblubienicy”. Słowa same formowały się w ustach. Wystarczyło je uwolnić:

Uczucie – niczym pchnięcie szabli

Które świat nagli

By z posad ruszył

Żeby po kres dni płonęło słońce, tętniły odměty

Prometeusza ogniem, co zakłęty

Tlić się musi w Planety bladej krwi!^[6]

To, że jego marynarka miała za długie rękawy, a spodnie fałdowały się nad butami, nie grało większej roli. Brawa były solidne i długie.

Człowiek musiał uważać, żeby nie spaść z podium. Należało iść pewnie.

W pierwszym rzędzie siedział cały szereg dziewcząt. Omiótł je wzrokiem, idąc w trakcie przerwy do korytarza, żeby przynieść sobie kubek kakao.

Wpatrywały się w niego! Wszystkie! W niego? Zmusił się, żeby przejść obok nich w drodze powrotnej, niosąc kubek pełen kakao. W środku rzędu siedziała rudowłosa dziewczyna w zakiecie z rękawami wykończonymi skórą.

Wtedy to zobaczył! Trzymała w dłoni skórzane narzędzie garbarza. Człowiek nie mógł nic poradzić na to, że drgnął, rozlewając po drodze nieco kakao.

Rudowłosa szybko wstała, schowała narzędzie w fałdy swojej spódnicy i wzięła od niego kubek. Ciągle jeszcze nie spuszczała z niego wzroku. Wszystko stało się tak błyskawicznie. Ukłonił się i rzekł:

– Dziękuję!

Wtedy poczuł oparzoną dłoń. Na jego twarzy pojawił się grymas. Wyjęła z kieszeni chusteczkę, trzymając kubek w drugiej ręce. Jej piersi unosiły się i opadały. Jak dwa zwierzątka. Miała białe, pulchne palce, którymi teraz ostrożnie wycierała wierzch jego dłoni.

– Tak pięknie czytałeś! – powiedziała. Jej oczy były okropnie niebieskie. Ale człowiek pamiętał, że cały czas ukrywała w spódnicy narzędzie garbarza.

– Dziękuję! Czy chcesz mojego kakao? – zapytał bez tchu.

Dygnęła i upiła łyk. Również się oparzyła. Zauważył to. Usiłowała to ukryć. Ale nie cofała spojrzenia.

Kiedy podniosła głowę znad kubka, pomiędzy górną wargą a skrzydełkami nosa miała jasnobrązową linię. Poczul ochotę, żeby ją zlizać. Ale zamiast tego uśmiechnął się, najpiękniej jak potrafił.

– Nazywam się Charlotte Wickstrøm – rzekła nieco zażenowana. Ale sam sposób, w jaki wymówiła własne imię, uświadomił mu, że zapewne powinien był wiedzieć, kim była.

Rzuciła szybkie spojrzenie przyjaciółkom, zupełnie jakby rozpoczęła to wszystko w ramach zakładu. Dlatego ukłonił się tak, jak go uczono, i przedstawił się.

– To wiadomo – powiedziała po dorosłemu, przesuwając

jednocześnie czule palcami po narzędziu garbarza ukrytym w fałdach sukienki.

- Wszyscy znają rodzinę Grønely z Reinsnes – dodała.
- Ach, tak – odparł matowym głosem.
- Każdy wie, kim jest Dina Grønely.

Właśnie miał ją zapytać, kim jest „każdy”, ale słowa zawisły w powietrzu. Bo właśnie wystawiła czubek języka, zlizując nim kreskę z kakao. Zakręciło mu się od tego w głowie. Dłoń piekła. Ale nie zwracał na to uwagi. Miała różowy język. Stojąc w wyprostowanej postawie, usiłował ignorować ból ręki.

Wtedy zaczerwieniła się i spuściła wzrok. I kiedy krótko skinęła głową, odchodząc w stronę przyjaciółek, uświadomił sobie, że mogła poczuć się przedrzeźniana. Chyba zrobił to samo co ona, wysunął język i z lubością oblizał wargi. Trudno było coś takiego naprawić. Bo co człowiek mógłby powiedzieć?

Chciał pobiec za nią, ale już zniknęła w tłumie ludzi. Chciał ją odnaleźć. Wyjaśnić. Że wcale jej nie przedrzeźniał, tylko oblizał sobie usta. Musiał. Bo ona stanowiła znak. Uciekła, zabierając w fałdach spódnicy drogocenne narzędzie garbarza.

*

Idąc do domu z „sali Hegelunda”, położonej przy ulicy Skippergata 12, myślał o dwóch sprawach: że właśnie wrócili z pogrzebu. I że Charlotte Wickstrøm uciekła, zabierając narzędzie garbarza. Garbarz na pewno wiedział już wszystko. Zobaczył, że Benjamin włamał się do jego szafki nocnej i razem z nią spał w łóżku.

Majestat śmierci skrzypiał w śniegu, a spod podeszew butów dobiegał płacz.

Z suchymi ustami i rozbieganym spojrzeniem otworzył kluczem drzwi żółtego domu, usiłując przemknąć na poddasze. W połowie drogi stało się. Ona wyszła na korytarz i odezwała się do niego. Przemówiła do niego!

– Czy wszystko było w porządku podczas naszej nieobecności? Czy dostawał jeść?

Wymamrotał coś, kilkakrotnie kiwając głową.

– On sam jest w warsztacie, żeby tam wszystkiego dopilnować – rzekła z kocią miękkością, patrząc na niego. Prosto na niego.

Pot! Był jak głupek, próbujący w rozpaczach zatrzymać gwałtowny przyływ. Twarz. Górna warga, z której już od pół roku golił wąsy. Kapała. I nos. Nos był jak ognisko.

Czy musiała trzymać lampę tak wysoko?

– Chyba nie szkodzi, że kolacja się trochę opóźni? Że poczekamy również na niego?

– Ależ nie, nie, nie – wyrwało mu się z ust.

Ruszył pędem po schodach.

Kiedy zawołała go na posiłek, garbarza jeszcze nie było.

– Ma teraz tyle pracy, że wróci później – powiedziała, nalewając mu mleka do szklanki.

Słodka ciemność na chwilę wszystko przysłoniła. Dla pewności odłożył kromkę na talerz. Nie był w stanie nic powiedzieć. Coś nie tak było z jego językiem.

Na kredensie stał mosiężny samowar. Słał w jego stronę lodowate błyski, kiedy usiłował ratować w nim swoje spojrzenie. Lampa na stole była zapalona. Chwiała się odrobinę. Dlaczego się kołysała? Rzucając pożar na jego twarz.

Oparł się o tył krzesła, wpatrując się w samowar. Potem przełknął bez żucia kawałek chleba.

Na pewno został odkryty! Widział to po niej. Lepiej będzie się poddać. Westchnął głośno. Wypił mleko z zatrważającą prędkością, myśląc o jej udach w blasku księżyca.

Podawała mu dzbanek z mlekiem. W chwili, kiedy pochwycił ucho, dotykając dwoma palcami jej palców, całe jego ciało stanęło w płomieniach. Trzymał dzbanek w wyciągniętej nad stołem ręce tak długo, aż zabrała swoją dłoń. Ruch ten wywołał matowy odbłask w broszce pomiędzy jej piersiami.

Jej oczy! Trzeba było ich unikać. Ukrywały się tam za ciężkimi powiekami. Jej wargi wyrastały z twarzy. Poruszały się. Chciały go dosięgnąć. Wsysały go. A narzędzie garbarza tańczyło.

Wiedział to. Został zdemaskowany!

Człowiek nie mógł wiedzieć, czy tak wygląda śmierć, czy pożądanie. Ale tak czy owak, nie było po co uciekać. Jej usta rozciągnęły się na boki. Ukazały się w nich brzeżki przednich zębów. Dołki w kącikach ust drżały.

Narzędzie garbarza głucho łomotało. W końcu szklanka z mlekiem się przewróciła.

*

Podniosła się, obchodząc stół. Pochyliła się nad nim całym

ciałem, trzymając w dłoni serwetkę.

Teraz trzeba było to zrobić! Przypomniał to sobie w ostatniej sekundzie! Że musi jej najpierw dotknąć. Uniósł dłoń. Udało mu się! Położył dłoń na jej odsłoniętej szyi. Była zupełnie miękka. I ciepła.

Zatrzymała się na chwilę. Potem położyła serwetkę pomiędzy talerzem a nim, żeby wytrzeć mleko. Siedział zupełnie bez ruchu. Cały czas trzymał dłoń na jej szyi. Dłoń poruszała się w takt jej ruchów. Jak jej część. Osobliwie.

Wreszcie skończyła i odłożyła serwetkę na swój talerz. Potem chwyciła dzbanek i ponownie napełniła szklanekę.

Wtedy zrobił to! Przewrócił szklanekę!

– Och, nie! – usłyszał jej okrzyk. Kiedy tak stała pochylona nad nim z lnianą serwetką, czuł ciężar jej skóry. Po własnej ręce spływała mu na kolana mleczna biel. Przesączała się przez spodnie i kleiła do ud.

Wycierała ostrożnie, nie podnosząc oczu. Powiedziała coś o zmianie spodni. Dotknęła jego ubrań. Miała głodne palce. Były na nim. Przyciskały. Dotykały. Odchylił głowę do tyłu. Ramiona opadły mu wzdłuż krzesła. Za zamkniętymi powiekami wyczuwał jej cień. Zmysłowy cień. Zapewne był groźny? Ale nie do uniknięcia. Oddychał ciężko.

Poczuł coś, co mogło być bólem. Ale nie było.

W piecu wygasło wiele godzin temu. Rytuały z zamykaniem drzwi i krokami na schodach zostały zakończone. Dom zapadł w sen, który objął nawet ulotne róże narysowane przez mróz na szybach.

Weszła do pokoju w taki sposób, że nie słyszał otwierania drzwi. Ale dotarło do niego, że zamknęła je na klucz od środka. Noc była czarna jak smoła. Okruch światła przemknął po jej sylwetce. Najpierw przez fałdy szlafroka, potem po jej ciele spowitym białym, cienkim materiałem. Jej skóra wylała się. Potężnymi falami, przed którymi nie było ucieczki. Jak zwoje aksamitu, które ciężko opadły nań z góry, grzebiąc go w sobie. Grzebiąc go w jej zapachu. Rozpoznał go. I wiedział, że musi go osiąść.

Najpierw zlała się w jedno z ciemnością i cudownym zatraceniem. Śmiercią i przerażeniem. Pozwolił się prowadzić. Bez oporu. Poddał się jej wilgotnemu ciepłu. Ukrył się. Wpełził w nią. Jęczał. Wykonywał ruchy, jakby był rybą, która nie wiedziała, że umie pływać. Zanim nie spróbowała. Należał teraz do niej.

A ona pozwoliła mu rozlewać mleko na wszystkie swoje białe obrusy.

[6] Wszystkie cytowane wiersze w tłumaczeniu Karoliny Drozdowskiej.

Rozdział czwarty

Rano wstał wcześnie. Jak ktoś, kto spał na szpilkach. Jego zadanie polegało na tym, żeby wyjść z domu, zanim ktokolwiek się obudzi.

Wędrował pustymi ulicami, patrząc, jak budzi się miasto. W dół, aż do kościoła. W górę ulicą Strandgata i z powrotem. Obok domu położnej, domu rodziny referendarza Irgensa, domu kupca Giaevera. Można było je liczyć i katalogować według rozmiarów i kolorów. Można było próbować zapamiętać nazwiska ludzi i budynki.

W końcu znalazł się na plaży, stojąc pomiędzy starymi zabudowaniami kościelnymi. Nigdy wcześniej tu nie był. Jakiś mężczyzna, który dziś jeszcze najwyraźniej nie spał, rzucił mu z ukosa spojrzenie, śpiesząc się do domu. Czuć było odór szczywn i starych odpadków. Zaniedbany kot nieokreślonego koloru wyskoczył spod drewnianego płotu i zasyczał. Bo prawie potknął się o niego.

Był na dnie studni. Stracony. I posiadał cały ogromny świat! Nie mógł wrócić do żółtego domu. Nigdy więcej! Garbarz rozerwałby go na kawałki. Wypruł z niego flaki, a krew spuścił po schodach. Zdarłby z niego skórę i zrobił z niej miękkie jak jedwab narzędzia wypełnione trocinami. Pociechę stanowiło to, że wiadomo było, dla kogo są przeznaczone.

Jego głowę i członek garbarz zapewne obciąłby i schował w komórce. Być może zasolił w antałku jak śledzia. Po pewnym czasie wyjąłby je ukradkiem i w wielkiej tajemnicy zjadł w czasie, gdy

kucharka była na nabożeństwie.

Nikt by za nim nie tęsknił. Oprócz drobnej Charlotte Wickstrøm. Pewnie kilka razy by o niego zapytała. A potem szybko zapomniała na rzecz czegoś innego.

Myśląc o Charlotte, starał się przypomnieć sobie, czy ktoś powiedział mu, gdzie ona mieszka. Może mógłby ją poprosić, żeby poszła przebłagać garbarza. Ale porzucił ten pomysł. Wtedy musiałyby przecież najpierw opowiedzieć jej tę całą historię. A ona nie przypominała wiersza Wergelanda. Absolutnie nie nadawała się dla Charlotte Wickstrøm. Bo ona na pewno zupełnie nie rozumiała kwestii narzędzia garbarza.

Powędrował w górę miasta, w stronę szkoły. Poczuł, że błoto i plucha przemoczyły mu buty. Było w tym jakieś oczyszczenie, nawet jeśli uczucie to było żałosne.

Co takiego mówiła zawsze Oline? Cierpienie syna człowieczego jest zbawieniem człowieka. Można było poczuć na własnych lodowatych stopach, jak bardzo musiał cierpieć Chrystus.

Trzeba było iść dalej. Żeby – być może – zostać oczyszczonym. Ale jego myśli były równie sprośne, jak wcześniej. Składały się tylko ze skórzanego narzędzia i jej ciała. I dzikiego napięcia. Tam w dole.

Można było zadawać sobie pytanie, czy człowiek kiedykolwiek się do tego przyzwyczai.

*

Będzie wszystkiemu zaprzeczał. Czegokolwiek nie byłby w stanie dowieść garbarz – temu wszystkiemu zaprzeczy. To było jedyne wyjście. A może użyć tej samej taktyki co garbarz?

Milczenia. Ani jednego słowa. Jeść w milczeniu i zniknąć. A jeśli garbarz uderzy? Zbije go do nieprzytomności? Wtedy to wszystko jedno. Garbarz i tak zabije jedno z nich. A może oboje. Na końcu.

Nie, nie! Ona na to nie pozwoli. Ukryje go.

Poczuł coś w rodzaju odwagi. Postanowił pójść do szkoły. Zobaczy się, co będzie dalej. W połowie tej myśli zderzył się na rogu domu z twardym jak kamień ciałem. Obaj upadli, upuszczając książki.

Usłyszał przekleństwo i zobaczył krew lecącą z nosa. To był Sofus Beck. Po zebraniu wszystkich rzeczy podnieśli się obaj, otrzepując śnieg.

– Mógłbyś trochę patrzeć! – warknął Sofus, szukając czegoś, czym mógłby wytrzeć krwawiący nos.

– I nawzajem!

Po chwili ciszy obaj uznali, że nie ma co się obwiniać. Podał swoją chusteczkę Sofusowi. Ten przyjął ją, nie dziękując, i przyłożył do nosa. Ale krew ciągle leciała.

– Można włożyć szczyptę śniegu do środka. To pomaga – rzekł, wciskając w twarz Sofusa garść śniegu. Zrobił to bezceremonialnie. Krew przestała płynąć.

– Mój ojciec zna kogoś, kto potrafi powstrzymać krew – powiedział Sofus.

– Teraz ty też to umiesz – odparł, wyszczerzając zęby.

Idąc, rozmawiali o wszystkim tonem dorosłych mężczyzn. O nauczycielach i lekcjach. Człowiek mógł sobie na to pozwolić. Ten dzień przyniósł już dość wrażeń.

Czy to za sprawą Sofusa, czy też z innego powodu, poszedł do żółtego domu zaraz po lekcjach. Cokolwiek miałyby się zdarzyć, lepiej było już mieć to za sobą niż błąkać się na mrozie.

Z pewnością można było przyzwycząić się do bycia rozjechanym ślimakiem, leżącym w koleinie. Jeśli stanie się tak odrażający, że nikt nie zechce go dotknąć, to przynajmniej zostawi go w spokoju.

Dotknęła go! Tego nie można już było zmienić.

*

Podczas obiadu zrobiło się groźnie. Garbarz przemówił! Zapytał, czy stał się na tyle zdyscyplinowany, że wychodzi, zanim inni wstaną. Gdyby tak miało być nadal, to trzeba będzie zostawiać dla niego kanapki przykryte talerzem, żeby nie głodował.

Od czasu jego przybycia do tego domu garbarz nigdy nie wypowiedział tylu słów naraz.

– Obiecałem coś dla kogoś zrobić. Pracę...

Garbarz chrząknął i splótł dwie żółte dłonie, żeby odmówić modlitwę przed jedzeniem.

Ona jadła zupę mięsną, nie podnosząc oczu. Drobnymi, pełnymi kultury ruchami łyżki. Bez odsłaniania zębów. Obejmowała jedynie łyżkę wargami.

Oddech utkwiał mu w piersi. Ale trzeba było przecież coś zrobić. Schwycił łyżkę.

Może garbarz miał broń ukrytą pod stołem? Czekał tylko na właściwą chwilę? Kiedy człowiek najmniej się tego spodziewał? Czy ona też na to czekała?

Z łyżki ułało jej się nieco zupy, która spłynęła z powrotem do talerza. Drobnymi kroplami. Siedziała tak, jakby słuchanie dźwięku tych kropel było ważne. Nie patrzyła na niego. Czy sprzysięgła się z garbarzem? Czy uzgodnili wszystko? Nie, ona go chroniła. Tak było.

Mięso zostało pokrojone na bardzo drobne kawałki. Niektóre jednak były na tyle duże, że wyzierała z nich czerwień pokryta kropelkami tłuszczu. Człowiek nie był w stanie na to patrzeć. Coś się od tego robiło w podbrzuszu.

Miała gęste rzęsy. Ciemne niczym stary drut kolczasty. Teraz ocieniały jej policzki. Była blada. Obraz przywodził na myśl koronę cierniową Chrystusa. Tak jakby dwie takie korony położyły się po obu stronach jej twarzy. Z powodu grzechu?

Pod wpływem ruchu jej piersi broszka unosiła się i opadała. Poruszała się w górę i w dół, aż wprawilo go to w drzenie. Wtedy stało się: uniosła swoje dwie malutkie, cierniowe korony i spojrzała na niego. Prosto na niego.

Zaczął spadać. Spadał i spadał bez tchu, zaciskając uda.

*

Ale nadeszły kolejne dni i noce. Chodził do szkoły i uczył się lekcji na pamięć. Wędrował z Sofusem pod latarniami, przyglądając się dziewczętom. Jednak robił to tylko dla pozorów.

Od czasu do czasu obiecywał sobie skruchę i poprawę. Postanowienie to trwało do chwili nadejścia wieczornego rytuału. Wtedy podpływał niepokój. Pożądanie. Tęsknota.

Najbardziej niebezpieczne były te wieczory, kiedy garbarz po kolacji szedł do garbarni, a kucharka na nabożeństwo.

Rozbierał się wtedy do naga, zdmuchiwał lampę i kładł się do łóżka. Wola rośnięcia miała tak wielką moc. Był belką, podtrzymującą cały dom koloru ochry.

Rozdział piąty

Dawno temu powiedziała, że ostrzeże, zanim wyjedzie. Pewnie rzuciła to tylko na wiatr.

Usłyszał to wyrywkowo i po kawałku, przyjechawszy do domu na lato. Oline była jak stara barka towarowa, nie do końca pewna, co powinna mu dostarczyć. W końcu jednak poukładała wszystko na tyle, że zrozumiał.

Dina wyjechała. W maju, po tym jak Anders ruszył do Bergen. Najpierw przez cały tydzień chodziła nocami po sali. Potem nagle była już przy pracy, zanim ktokolwiek otworzył oczy. W ciągu kilku dni pozbyła się swojego dobytku. Rachunki i papiery schowała w starym sejfie. Wtajemniczyła w sprawy sprzedawcę w składzie, dając mu do powrotu Andersa wszelkie pełnomocnictwa.

Potem spakowała pudło z kapeluszami, kufer podróżny i wiolonczelę Lorcha w czasie potrzebnym słońcu na zatoczenie koła nad horyzontem.

– Ostrygojady dawno temu już wróciły na północ i pilnują swoich gniazd na brzegach pól. Ale Dina opuściła wszystko, co do niej należy, i popłynęła parowcem na południe – rzekła Oline.

Zawsze przecież wiedział, że ona wyjedzie. Teraz to się stało.

*

Oline wspomniała, że referendarz dostał pocztą list z pełnomocnictwem przekazującym Andersowi wszelkie prawa i obowiązki w stosunku do Reinsnes i „chłopca” na nieokreślony czas. Można było zrozumieć to tak, jakby człowiek stanowił część

majątku. Kopia listu podobno znajdowała się w dużej zalakowanej kopercie z nazwiskiem Andersa. W sejfie w biurze.

Oczywiście mógł tam pójść i obejrzeć list. Z zewnątrz. Klucz był w drzwiczkach. Nie tak jak w ochrowym domu.

Usłyszał również, że referendarz zamierza telegrafować wzdłuż całego szlaku, żeby ją odnaleźć i osobiście sprowadzić do domu. Ale Dagny odwiodła go od tego. Zatelegrafował więc do Bergen, żeby zawiadomić Andersa. W odpowiedzi dostał zdumiewająco rzeczową wiadomość:

„Moja żona postanowiła pojechać za granicę, żeby uczyć się gry na wiolonczeli. Ja natomiast wkrótce wrócę do domu, jeśli Bóg tak zechce. Z uszanowaniem, pański zięć Anders”.

*

Bóg najwyraźniej chciał, żeby Anders wrócił do domu. Ale poza tym był surowy. Podczas podróży z Bergen na północ zabrał kliper „Matka Karen”. Razem z załogą i towarami.

Stał na plaży, kiedy Anders przyplłynął parowcem. Wstydził się, bo ludzie widzieli jego łzy. Ale nie do końca był w stanie zdecydować się, dlaczego płacze. Dina wyjechała, ale przecież nie umarła. Anders przybył z pustymi rękami, wychudzony, ale też przecież żył. Wiele osób stało, oplakując tych, co zginęli.

Anders szedł przez tłum, który zebrał się na plaży. Obejmował tych, którzy kogoś stracili. Raz powiedział, że katastrofa morska wszystko zmienia. Więc zapewne coś o tym już wiedział.

– Poczekaj, Beniaminie. Jestem, ale nawet nie mam dla ciebie żadnego podarunku z miasta – rzekł. Trudno było odgadnąć, co sobie myślał.

*

Nie mówiono zbyt wiele o tym, że nie ubezpieczył łodzi i ładunków, jak wyraźnie radził mu to referendarz. Jeśli chodzi o ludzi, ubezpieczenie nie znaczyłoby wiele. Byli i zniknęli.

Anders zaprosił wszystkich osieroconych na stypę w Reinsnes. Pościelono spanie dla każdego. Na podłodze i w łózkach. Żeby mogli być razem przez jeden dzień i jedną noc. I nie zamierzano oszczędzać na niczym. Przybył pastor, który łagodnie rozmawiał z ludźmi.

Wdowa po Peterze Olai w jednej z zagród miała szczególnie trudno. Została z szóstką małych dzieci i zadłużeniem na łodzi i oborze. Anders dopilnował, żeby w składzie i w miejscach, gdzie ludzie przechodzili, ustawić puszkę na zbiórkę. Nie miał żadnych udziałów do wypłaty, bo skrzynka z pieniędzmi leżała na dnie zatoki Foldhavet.

– Wichura i sztorm. Ogromne fale. Maszt złamał się jak drzazga. Zboczyliśmy z kursu. Ster uderzył w skały. I tak wpadliśmy w rozszalałe morze!

Tak się o tym mówiło, kiedy Najwyższy zażądał swojej ofiary.

Anders wraz ze sterem znaleźli ocalenie na tej samej skale. Po kilku dniach został znaleziony przez rybaka. Natrafiono również na chłopca pokładowego. Pogrzebano go na łądzie. Innych nigdy nie odnaleziono.

*

Po stypie nad całym gospodarstwem zawisła martwa cisza. W końcu Anders powiosłował na ryby. Dwa dni spędził w łódce bez

jedzenia i picia. Wyruszył szalupą z trzema parami wiosł. Zupełnie sam. Tylko to stanowiło już czyn szaleńca.

Kiedy nie przybił wieczorem do lądu, Oline zalała się łzami, przyzywając Najwyższego. Ludzie mawiali: „Bóg jest silny, ale trzech mężczyzn w szalupie to też niemało”.

Lecz Oline miała własną wersję:

– Dobry Boże, skoro teraz w łodzi z sześcioma wiosłami jest tylko jeden, jedyny mężczyzna, to musimy polegać na Tobie! Ześlij mu dobrą pogodę!

Obserwowali szalupę z lądu. Ruchomy cień. Raz tuż obok przydomowej przystani, innym razem aż w cieśninie. Człowiek mógł zadawać sobie pytanie, co powinien zrobić w sytuacji, kiedy matka wyprowadziła się nie wiadomo dokąd, a ojciec zbiegł na ryby. Można było się z tego śmiać. Ale od tego nic nie zmieniłoby się na lepsze. W końcu powiedział sobie, że gdyby był na miejscu Andersa, to marzyłby o tym, żeby ktoś przywiosłował do niego i przemówił mu do rozsądku. Dlatego wskoczył w łódź i wyruszył sprawdzić, czy Anders żyje. Zajęło mu to trzy godziny. W obie strony. Z wiosłowaniem i wszystkim.

Nie można powiedzieć, żeby rozmowa pomiędzy nim a Andersem była szczególnie treściwa.

– Czy zamierzasz siedzieć tu przez resztę życia, Anders? – zawołał w wieczorną mgłę, kiedy podpłynął już dostatecznie blisko.

– Na to wygląda, chłopcze!

– Co takiego tam robisz?

– Jest tu mnóstwo czarniaka!

– I gotujesz na pokładzie?

– Nie, ale mewy mają ze mną bardzo dobrze!

– Może zostawisz jednak trochę ryb dla ludzi na lądzie?

– Co do tego, to jeszcze nic, do cholery, nie zdecydowałem.

– A ile czasu potrzeba ci na decyzję?

– A czekasz? Na mnie?

– Tak, ale to nie jest wielka robota. Bo niespecjalnie mam teraz na kogo czekać.

– No tak, to prawda.

Łodzie musnęły się.

Anders miał stalowosiwą brodę, a jego nos zmienił się w jedną wielką ranę. Poparzyło go słońce.

– Przypominasz upiora – pozwolił sobie na uwagę, trzymając jednocześnie mocno krawędzie burty.

– Bo jestem upiorem! – zawołał Anders. – Bez przerwy czujnym, wrzuconym w najstraszniejsze piekło między niebem a ziemią, jestem w każdym piekielnym zaułku tej cholernej, rozżarzonej, spalonej przez czarta krainy! Jestem widmem! I ani sam szatan, ani Najwyższy nie dadzą rady pokonać tego upiora! Mogą mnie osaczać, szaleć z bezradności, ale przekonają się, że Anders nie po to żył przez tyle lat, żeby teraz jak jakiś ostatni dureń zejść na psy! Właśnie tak! Więc przywiąż łódź, smarkaczu! Wskakuj do mnie na pokład!

Bez większych ceregieli zrobił to, co polecił mu upiór podobny do jego ojca. Kiedy w końcu usiadł i pochwycił jedną parę wiosel,

Anders mówił dalej:

– Jesteś w stanie wyobrazić sobie, że tak po prostu wzięła tę cholerną wiolonczelę i wyjechała? Wyobrażasz to sobie, mój chłopcze? Co o tym myślisz? Rozumiesz to? Czy gdziekolwiek w całym Balsfjord jest jakaś cholerna baba, która mogłaby wpaść na coś tak głupiego? Nie szkodzi, że to twoja matka! Za przeproszeniem, nie wynalazła prochu w tej kwestii! Teraz ruszamy! Powiosłujemy prosto przez góry lodowe i najgorętsze piekło!

*

Tego lata Anders przestał być Andersem. Jego włosy zrobiły się całkiem białe. Ale w miarę upływu czasu opuściła go wściekłość. Później już rzadko je wspominał: kliper „Matka Karen” i Dinę. A jeśli to robił, to tylko wtedy, gdy było to akurat naprawdę niezbędne na użytek jakiejś opowieści.

Na co dzień Anders żył dalej tak, jakby nie spotkało go nic złego. Ale przestał jeździć do kościoła. Jeśli znało się go dobrze, łatwo było to zrozumieć: stał się upiorem.

*

W pewnym sensie odczuł ulgę, wyjeżdżając jesienią do Tromsø. Przestał tam myśleć o tym, że Diny nie ma, a Anders stał się widmem.

Jeśli tylko człowiek powtarzał sobie dostatecznie często, że to wszystko jest jedną rzeczywistością, a Tromsø drugą, to w końcu był w stanie w to uwierzyć.

Jesień nie była taka zła, nawet jeśli pachniała złowieszczo.

Chodziło o to, że każdy dzień wypełniony był sprawami, a Reinsnes zostało daleko.

No i była Andrea. Być może w głębi duszy wiedział, że to musi się zdarzyć. No cóż, w gruncie rzeczy wiadomo było, że może być znacznie gorzej.

Andrea nigdy przecież nie obiecała tego wprost. Ale on sądził, że będzie go chroniła. Nie w tym rzecz, żeby miała zastrzelić garbarza. Nie, nie w tym! Powinna była po prostu poprosić go, żeby wziął w poplamione dłonie swoje wielkie skórzane narzędzie i wyniósł się z miasta. Wtedy zniknąłby też jego zapach.

Potem mogliby pomalować żółty dom. Na biało. On mógłby się uczyć, a ona robiłaby te wszystkie potrzebne rzeczy. I nikt nie musiałby wiedzieć, jak się sprawy mają. Bo w posiadaniu lokatora nie było nic złego.

*

Jednak tego dnia tuż przed świętami, kiedy garbarz wrócił z garbarni wcześniej niż go oczekiwano i wygłosił swoją krótką mowę, wyszła z jego pokoju bez słowa.

Wiedział, że jedno z drugim nie miało nic wspólnego. Że Dina wyjechała, a Andrea po prostu wyszła z pokoju. Był dostatecznie dorosły, żeby to zrozumieć. Człowiek powinien być przyzwyczajony do tego, że ludzie znikają. Gdyby nie ta pustka.

Garbarz go nie zabił.

Niczego mu nie odrąbał.

Nie zagroził, że dopilnuje, aby wyrzucili go ze szkoły, ani nic podobnego.

Garbarz wygłosił coś na kształt mowy, płacząc przy tym. Tam, przy jego łóżku. Wiedział to od zawsze: garbarz nie istniał naprawdę.

*

Uratowała go kucharka. Posłała mu łóżko w swojej alkowie na te kilka dni, które pozostały do wyjazdu do domu na święta. Ale nie pamiętał, żeby odezwała się choćby słowem. W jej izbie pachniało kamforą i jodyną. Miał z tego powodu mdłości. Ale nie było sensu się tym przejmować. Przestał już bać się, że coś może się wydarzyć. Przecież właśnie się wydarzyło.

Już w domu w Reinsnes dowiedział się, że postanowiono o wyjeździe Hanny do rodziny Andersa na wyspę Grøtøy. Żeby nabrała trochę ogłady.

Nie miał na nic wpływu w tej sprawie.

Po lecie spędzonym z Else Marie Hanna zrobiła się nieco dziwna, więc nieczęsto się widywali. Teraz na pewno triumfowała, że wyjeżdża. To byłoby do niej podobne.

Zupełnie jakby wyspa Grøtøy była jakimś godnym zobaczenia miejscem?

Człowiek mógłby się do tego wszystkiego przyzwyczaić, gdyby nie pustka.

Rozdział szósty

– To niesłychane, jak ty urosłeś, chłopcze! Chyba musisz jechać ze mną w tym roku na Lofoty? – powiedział Anders.

Dzięki temu pojawiła się okazja, żeby nie wracać do Tromsø od razu po świętach.

Anders nie wypowiadał się na temat wszystkiego, o czym wiedział lub co zobaczył. On po prostu decydował.

– Trzeba odzwyczaić cię od tej melancholii – rzekł Anders. – Poza tym musimy rozesłać zapytania do ludzi, których znamy, żeby znaleźć ci nowe miejsce do mieszkania. To nie będzie trudna sprawa – dodał.

Nie był pewien, co właściwie wyobrażał sobie, słuchając o połowach na Lofotach. Słyszał przecież, jak Anders opowiada o wolności, falach, wspólnocie losu i rybach. O nieprawdopodobnych ilościach żywego srebra prosto z czarnego morza. Ale zapomniał dodać choć słowo o piekle odmrożonych palców, o katarze i przemoczonych kaloszach. I poranionych dłoniach! Ręce dosłownie ulegały rozkładowi i wyglądały tak, jak w opisie Matki Karen przedstawiani byli trędowaci w Biblii. Całymi godzinami, gdy krzatali się po pokładzie, smagani słonym wiatrem, nie czuł dłoni. I było mu wszystko jedno. Potem, kiedy już siedzieli w kajucie i mieli odpoczywać, nagle nadchodziło go szaleństwo. I bez przerwy obmacywał sobie ręce.

Szybko okazało się, że jest nie najlepszym „chłopcem pokładowym”. Owszem, biegał energicznie dookoła, starając się wszystkich zadowolić. A jednak jeżeli tylko było coś, co można było

przewrócić, to on to przewracał. Jeśli coś mogło się rozbić, on to rozbijał. I bosak, i młotek wpadły mu do morza. Oszołomiony smutkiem i pełen ślepej energii nie był w stanie niczego się nauczyć.

Najpierw z ukosa przyglądali się książkom, które zabrał ze sobą, radząc mu, żeby je wciągnął na maszt, bo wtedy mewy również mogłyby się czegoś nauczyć. Kiedy zobaczyli, jak nieporadnie zabiera się do każdej praktycznej czynności, najpierw zasnął milczących spojrzeń spod oka. Z czasem na tym zaczyniły coraz częściej wyrastały drobne, bolesne słowa.

Przestraszyło go to na tyle, że zaczął powtarzać je głośno, tak aby wszyscy mogli usłyszeć i żeby w ten sposób uczynić je mniej groźnymi.

Na długo pozostawili go w miarę w spokoju. Miał okropne uczucie, że im przeszkadza. Czuli jednak respekt przed Andersem.

*

Ale w pewien sobotni wieczór rozpętało się piekło. Anders pojechał za sprawami do Vaeret, a mężczyźni postawili garnek pełen gotowego gulaszu rybnego na blaszanej płycie koło pieca.

Wszedł do środka, zamierzając rozwiesić swoje mokre ubrania do suszenia. Na pewno pomyślał, jak to zrobić, żeby mokre rękawice nie wpadły mu do garnka. Ale w chwili, gdy zrobił krok naprzód i chciał je powiesić, stało się. Nadepnął na uchwyt garnka. Gulasz z dorsza zalał całą podłogę.

W oczekiwaniu na jedzenie mężczyźni zdążyli wypić po kilka kieliszków. Niektórzy nawet więcej. Wściekłość i rozczarowanie z powodu zmarnowanego posiłku zadziałały jak iskra padająca na

kopiec suchego siana.

Najpierw dwóch złapało go z każdej strony za ramiona, przysięgając, że będzie musiał zlizać te kawałki ryb i wątróbek z podłogi. Trzeci nagle wpadł na lepszy pomysł kary:

– Ochrzczimy bachora czarownicy w beczce z wątróbką! Ochrzczimy go w beczce z wątróbką!

Zaciągnęli go pod pokład. W chwilę potem zamknął oczy, starając się wstrzymać oddech tak długo, jak tylko się dało. Wyjmowali go odpowiednio często, żeby się nie udusił.

Po dobrze wykonanej robocie odetchnęli i zaczęli mu się przyglądać. Stał, drżąc i mrugając oczami w ich stronę, z głową ociekającą lodowatą wątróbką dorsza. Nie miał odwagi się poruszyć z lęku, jaką jeszcze karę mógłby na siebie sprowadzić.

Kiedy zobaczyli, jak fatalnie wygląda, jak gdyby diabeł w nich wstąpił. Jeden zaczął krzyczeć, że powinni umyć małego czorta, żeby był czysty jak dobrze wysuszony sztokfisz. Wywołało to gorliwe potakiwanie: – Tak, tak, tak – ze strony pozostałych.

Zawiązali mu w pasie solidną linę, przeciągnęli na brzeg pomostu i wyrzucili do morza. Zważywszy na luty, była to sroga kara.

*

Był przygotowany na śmierć już w beczce. Teraz umarł. Szok w chwili, gdy lodowata woda zamykająca się wokół głowy wybiła z niego oddech, spowodował, że na chwilę zniknął sam dla siebie. Potem otworzył oczy i uszy po tamtej stronie, a z głębin dotarł do niego dobiegający powolny dźwięk dzwonu. Nie tylko go usłyszał. W pewnym sensie zobaczył, jak ten bijący dzwon się porusza. To

było ładne.

Człowiek mógł spokojnie umrzeć. Ale nigdy nie zapomnialby tego dźwięku.

Mniej więcej w tym czasie musiał nadpłynąć Anders, wiosłując przez zatokę Vågen. Zobaczył go przez ułamek sekundy, kiedy na chwilę wyciągnęli jego ciało na powierzchnię. Chyba zrobili to w panice. Wszystko działo się tak szybko, że bębrenki w uszach wcisnęły mu się do środka głowy. Mimo wszystko Anders w łodzi mignął mu przed oczami. Podniósł się i stanął między dulkami. Cały czas trzymając wiosła. Zwisaly prosto do morza. Jak ogołoczone skrzydła.

Głos Andersa rozbrzmiał niczym potężna lawina, dochodząca jednocześnie ze wszystkich kierunków świata. Niosła ze sobą dziką nawałnicę, rozdzierającą powietrze, rozbijającą na drobne kawałki ostatnie okruchy dziennego światła.

Mężczyźni poczuli powagę sytuacji. Nie chodziło im chyba o to, żeby ponownie wpadł do morza. Ale nikt nie chciał w tym momencie trzymać liny. Tym razem opadł aż na dno. Nie trwało to długo, już po chwili poczuł ostre szarpnięcie pod pachami i zaczął unosić się do góry.

W niezręcznej ciszy został wciągnięty na ląd. Na początku był sztywny i spokojny. Potem zwymiotował, chociaż czuł się martwy. Widział mężczyzn do góry nogami, a niebo leżało w morzu. Wszystko obracało się wokół niego z zawrotną prędkością.

A więc nie tylko miał umrzeć, ale też zostać przenicowany na wylot.

Wnieśli go do kajuty i ściągnęli z niego ubrania. Anders

wydawał krótkie rozkazy dotyczące ciepłej wody, wełnianej bielizny i grubych futer.

Kuchcik wybąkał, że on nic nie zrobił. Wycofując się, chciał wyjść. Ale głos Andersa rozdarł powietrze:

– Dzisiaj nie ma schodzenia na ląd! Wszyscy zostają w kajucie. Mam zamiar rozgrzać sobie pięści co nieco!

Rozległy się gniewne pomruki. Ale wszyscy zostali.

Został owinięty i ułożony na koi. Anders wybrał czterech mężczyzn biorących udział w zabawie. Był teraz spokojny. Wywołał ich po nazwisku jak pastor, mający udzielić im świętego sakramentu.

Słyszał to wszystko, leżąc tam z zamkniętymi oczami i wstydem spowijającym głowę niczym worek. Najpierw dźwięki, których nie rozumiał, zbyt mocno oszołomiony. Wszystko przewalało mu się w mózgu jak szpilki w blaszanym pudełku. Potem miał wrażenie, że Oline rozbija mięso na kotlety w drewnianej misce. Pierwsze powstało zapewne w chwili, gdy Anders robił sobie miejsce między stołkami, narzędziami i beczkami. Drugie w momencie, gdy jego pięści trafiały w mężczyzn.

Człowiek zapomniał, jaki jest zmalretowany, i otworzył oczy.

Pierwszy z mężczyzn przyjął ciosy z nieprzytomnym spojrzeniem. Po chwili pozostali próbowali wejść między nich. Wtedy Anders zmienił się w potężny wiatrak. Ramionami i nogami młócił powietrze wokół siebie, metodycznie poszukując celu w postaci ciała. Nigdy nie podejrzewał, że u Andersa coś takiego jest możliwe.

– Oszalał – wykrztusił jeden z nich, otrzymując jednocześnie

fangę w sam środek twarzy, aż ucichł i bezdźwięcznie osunął się na stertę skrzynek.

Anders rzucił się w stronę następnego. Zapewne mogli go obezwładnić. Gdyby naprawdę mieli powód. Ale wszystko działo się tak, jakby stracili wszelkie siły w obliczu tego świętego gniewu. Dosłownie pozwolili obić się do nieprzytomności.

Jeden z tych, którzy najbardziej ochoczo przyglądali się chrtowi, stojąc przy beczce z wątróbką, wysapał w końcu ze sterty skrzynek:

– Odpuść, Anders! Odpuść już, w imię Boże!

Wtedy Anders skoczył na niego z dzikim wyciem. Ten drugi nie był zbyt wielkim mężczyzną. Ale mocno zbudowanym i silnym. Poza tym był w miarę trzeźwy. Można było obawiać się najgorszego. Ale kiedy Anders w końcu podniósł się, pozbierawszy własną odzież i członki, tamten leżał z zakrwawioną twarzą zwróconą w stronę pokładu z nieheblowanych desek. Powoli przetarł twarz, żeby lepiej widzieć, i zmusił się do krzywego uśmiechu, żeby zachować resztki godności, a potem wysapał:

– Dobrze już, Anders, wystarczy. Zrozumieliśmy, że potrafisz utrzymać tu porządek! Zrozumieliśmy. Chłopak nie jest rybakiem, ale naprawdę miał cholerne szczęście do ojczyma! Będę pilnował go wspólnie z tobą! Tylko daj już spokój!

*

Musieli jeden za drugim podejść do koi i podać mu rękę. To było niemiłe. Nie był w stanie wykrztusić ani słowa. I nigdy nawet nie wspomniał Andersowi, że nazwali go bachorem czarownicy. Przekonany, że nieszczęśnik, który to powiedział, nie pozostałby

przy życiu.

Od tej pory traktowany był jak klejnot, którym można było się skaleczyć. Anders pokazał mężczyznom swoją inną stronę, której nigdy nie widzieli. Co prawda chodził przez wiele dni z dłońmi owiniętymi szmatami. Starał się ukrywać je pod rękawicami. Waleczność mocno nadwerżyła jego pięści.

Człowiek z tego wszystkiego – oprócz świadomości, że z jego powodu Anders jest w stanie zmienić się w młócający dziko wiatrak – wyciągnął taką wiedzę, że dorośli mężczyźni potrafią wstydzić się w dostrzegalny sposób. Byli niczym stado kormoranów na skale. Kiedy wiatr zmieniał kierunek, odwracali głowy jak na komendę.

Poczuł się winny tego, że aż tak się wstydzą. I wybaczył im wszystkim. Co innego mógłby zrobić? Już i tak było dostatecznie trudno.

Ten paskudny nastrój. Cisza klejąca się do niego. I ten mdlący odór gotowanych ponownie rybich wątróbek. Miał już na zawsze odebrać mu radość ze świeżo ugotowanego dorsza.

*

Kiedy powrócili z Lofotów do domu, z zapachem rybich flaków w nozdrzach i przepełnieni tęsknotą, Oline właśnie wzięła na służbę Else Marie z Bjarkøy. Miała zastąpić Hannę i uczyć się prowadzenia gospodarstwa w dużym majątku.

Powrót do domu po twardym, męskim życiu w ciasnocie był jak powstanie z gorączki po chorobie. Prawie zapomniał, że Diny tam nie ma.

Po lofockiej wyprawie najpierw obowiązywała kąpiel w łaźni przy nabrzeżu wspólnie z innymi mężczyznami. Słońce ognistymi

mieczami przebijało parę w powietrzu za każdym razem, kiedy ktoś otwierał drzwi. Kobiety nosiły wodę i drewno. Przez mgnienie oka mogły zobaczyć mężczyznę takiego, jaki był. Nagiego.

Człowiek mógł z łatwością poczuć śmiertelne przerażenie. Zupełnie czym innym było krążenie między baliami kąpielowymi jako ubrany chłopiec, a czym innym stanie nago wspólnie z innymi mężczyznami. Ciało miał już co prawda wyrosnięte, ale ciągle jeszcze niegotowe. Wstydził się. Nikt nie mógł tego zobaczyć. Pocieszał się, że wyciągnął się na długość. Ktoś wspomniał o tym już na plaży:

– Zdaje się, że młody Beniamin porządnie urósł, widać to i po stopach, i po wąsach!

– Poiliśmy go tranem z wątroby i rozciągaliśmy między dragami
– odpowiedział z lekkością Anders.

Na tym poprzestali, ale okropne było, że mówili o nim tak, jakby był cielakiem.

Już dawno zrozumiał, że jest coś szczególnego we wspólnej kąpieli wszystkich mężczyzn. I w usługujących im kobietach, które w tym czasie biegały tam i z powrotem.

Jeden za drugim mężczyźni wychodzili z łaźni z ociekającymi wodą włosami i ogolonymi brodami. Niektórzy nawet nie podciągnęli jeszcze szelek i nie zapięli koszul. Chodziło o to, żeby pokazać owłosienie. Oczywiście w granicach przyzwoitości. Włosy wystawały im z wszystkich miejsc. Widział, jak dotykają przemykających obok dziewczyn. Nigdy nie pozwoliliby sobie na to, gdyby to był tylko zwykły dzień roku. Ale w dniu kąpieli dziewczęta stały spokojnie, uśmiechając się. Może takie one właśnie były.

Pewnego dnia się ich dotknie? Wtedy nadeszła pustka.

Były zakazane. Ale i nie były zakazane. Jeśli człowiek rozumiał, jak to wszystko działa. Albo miał dostatecznie dużo włosów i brody.

Teraz w każdym razie przynajmniej kąpał się już wspólnie z mężczyznami w łaźni. Najlepiej jak potrafił. Nagi!

W środku było ciasno. Para i zapach mydła. Tea dolewała ciepłej wody do drewnianej balii, a on w tym czasie ubierał się za rozwieszonym żaglem. Anders czekał na swoją kolejkę do szorowania pleców, rozmawiając dobrodusznie z pozostałymi. Można było usłyszeć pluskanie wody i jego przekomarzanie się z Teą, że ma twardą rękę.

– Masz takie szorstkie dłonie, coś mi się zdaje, że pokłóciłaś się z narzeczonym?

– Phi, nie mam żadnego narzeczonego, ale jak chcesz, to możesz spróbować się postarać! – wypaliła.

Nigdy nie odezwałaby się w ten sposób do Andersa, gdyby nie był to dzień kąpieli. To było pewne.

Śmiech dowodził, że jej rezolutna odpowiedź spotkała się z uznaniem. Anders również się roześmiał. Kiedy tak siedział w balii, z owłosionymi nogami i ramionami zwisającymi po bokach, można było przyjrzeć się jego plecom. Człowiek chciałby tak wyglądać. Gdyby był synem Andersa, to przynajmniej wiedziałby, czego może spodziewać się w nadchodzących latach. Jakub wisiał na ścianie i był niczym więcej niż tylko ładną twarzą. Trudno było przewidzieć, co przyniesie przyszłość, jeśli chodzi o ciało. Ale trzeba było starać się trochę urosnąć.

Właśnie wciągał na siebie koszulę, kiedy w szczelinie pomiędzy

rozwieszonym żaglem a ścianą wynurzyła się różowa twarz, okolona złocistymi, rozczochranymi włosami. Dwoje szeroko otwartych, niebieskich oczu trzepotało niczym pstrąg uderzający ogonem w wodę. Odpowiedział spojrzeniem. Trwało to tylko krótką chwilę. Twarz oblała się głęboką czerwienią i zniknęła. Była to Else Marie z Bjarkøy.

– Dziewczyno, nie możesz przeszkadzać nowicjuszowi tam za żaglem! – krzyknął jeden z mężczyzn o imieniu Trond.

– Nie wiedziałam... Chciałam tylko wziąć mydło z półki – broniła się.

Mężczyźni się zaśmiali. Odczuł to tak, jak gdyby ktoś połaskotał go po całym jestestwie źdźbłem trawy. Ciało pod czystą koszulą pokryło się gęsią skórką. Wsunął nagie stopy w drewniaki i powoli wycłapał ze swojej kryjówki, żeby dowieść, że wcale nie widziała go nago.

Dziewczyna znikła. Ale jej twarz niczym welonem okrywała wszystko, na co tylko spojrzał. Stał w otwartych drzwiach, chcąc ją do siebie przywabić. Pragnął, żeby przyszła jak najbliżej. Blisko jak ubranie. Jak wiatr. Nawet gdyby miało to trwać zaledwie krótką chwilę.

Ale nikt nie powinien tego zobaczyć!

Zajrzał do kuchni, do Oline, i uhonorował ją podarunkiem przywiezionym z Lofotów. Ale zrobił to ze względu na Else Marie.

Stała, siekając cebulę do garnka z wątróbką. Był boso, tylko w drewniakach. Prosto z mrozu. Spojrzała na niego ze łzami w oczach. To było ładne. Ale zapewne spowodowane cebulą.

Człowiek mógł sobie wyobrazić, jak zachowałby się Anders.

Dlatego wyprostował ramiona, obdarzając Oline uściskiem i paczką z sukienką. Kiedy pochylał się w stronę Oline, mógł spokojnie i dokładnie przyjrzeć się dziewczynie, pochylonej nad deską z cebulą. Ładnie zaokrąglona. Bardziej niż kiedy widział ją ostatnio. Czy myślał o Else Marie? Trudno było to sobie przypomnieć. Tak daleko przecież wyjechał. Był w Tromsø i na Lofotach. Ale teraz chyba tak było. Myślał o niej.

Rozmawiał z Oline, nie czerwieniąc się.

– Jestem tobą zadziwiona – powiedziała, gładząc obiema rękoma sukienkę.

– Dziękuję bardzo – dodała, a on musiał dać się uścisnąć i wysłuchać przemowy o tym, jakim jest dobrym i wzruszająco troskliwym chłopcem.

Nie przeszkadzało mu, że Else Marie się przysłuchuje.

– Widzę, że masz pomoc?

– To Else Marie. Zostanie tutaj do jesieni – rzekła Oline, kiwając łaskawie głową w stronę dziewczyny.

Na tyle, na ile pozwalały mu drewniaki, postąpił parę kroków. Podał jej rękę, tak jak go uczono, że należy zrobić w stosunku do nowych ludzi przychodzących na służbę. Jej dłoń była zimna i wilgotna. Cebula wokół nich działała jak cuchnąca przyzwoitka.

Jej złote włosy były zmierzwione przy skroniach. Ale poza tym porządnie zaplecione w dwa długie warkocze. Dokładnie tak jak wtedy, gdy biegł przez pola, wioząc ją na wózku. Nie miała już tylu piegów, co latem. Ale mieszkało w niej jeszcze więcej światła, niż zapamiętał. Człowiek mógł sobie wyobrazić, że pochodzi ono z podziemnej krainy.

*

Tak często miał coś do załatwienia w kuchni, że Oline zwróciła mu uwagę. Nie w kpiącym tonie. Nie, ależ skąd! Było w tym jasne ostrzeżenie.

– Beniamin jest mężczyzną, a nie dziewczyną kuchenną, o ile wiem! – powiedziała po kilku dniach wycieczek do kuchni. Zaciśnęła powieki w dwie szparki, przyglądając mu się przez nie z ukosa.

Starał się być na tyle męski, że kiedy Oline nie widziała, mrugał do Else Marie. Ale dziewczyna nie miała odwagi na niego spojrzeć.

Trzymał się więc z dala od kuchni, ale zaczął teraz pilnować, czy Else Marie nie ma czegoś do załatwienia w którymś z budynków na zewnątrz albo w innym miejscu. Już sama myśl o niej czyniła dzień dzikim i pięknym.

Wystawiał również głowę na korytarz, wołając w dół schodów z prośbą o ciepłą wodę albo ręcznik, albo cokolwiek. Kiedy domyślał się, że wszyscy inni są zajęci i tylko ona będzie mogła mu to przynieść. Pierwsze dwa razy pojawiła się w uchylonych drzwiach szybko jak łasica, niosąc to, co potrzebne. Znikała, zanim zdążył jej podziękować. Ale za trzecim razem był na tyle szybki, że zdążył podskoczyć w jej stronę i chwycić ją za ramię.

– Poczekaj, Else Marie – powiedział bez tchu, zamykając drzwi na korytarz.

– Mam dużo roboty – odparła, również z trudem chwytając oddech.

– Co takiego robisz?

– Odkurzam w południowej izbie, bo ktoś ma przyjechać parowcem – odpowiedziała.

Było w niej tyle morza i słońca. Przycisnął ją do framugi drzwi, przyciągając do siebie. Mocno, na wypadek gdyby chciała uciekać.

Najpierw próbowała się wyzwolić. Potem ucichła. Zamilkła tak całkowicie, że człowiek mógł zadać sobie pytanie: I co teraz mam zrobić?

Ich oddechy były nieskładne. Podniósł dłoń, dotykając jej policzka. Wtedy westchnęła, przesuwając jedną stopę. Przez cały czas wpatrywała się w coś na przeciwległej ścianie.

– Czy nie możesz spotkać się ze mną przy letniej oborze po kolacji? – wyszeptał w końcu.

– To się chyba nie uda.

– Dlaczego? Robiłaś to przecież już wcześniej?

– Przez Oline.

– Oline nie jest właścicielką twoich wieczorów.

– Nie, ale...

Nie wiedział, skąd mu się to wzięło, bo była to śmieszna myśl, a jednak powiedział po męsku:

– Ale to ja jestem posiadaczem Oline i wszystkiego tutaj.

Otworzyła szeroko oczy. Spojrzała prosto na niego i zapytała:

– Czy państwo w Reinsnes posiadają nawet kucharkę i wszystko inne?

– Tak – odparł, zbywając to śmiechem jako żart.

– To wobec tego nie mam odwagi przychodzić do letniej obory – rzekła, wyrywając się i wybiegając z izby.

*

Polował na nią. Szukał jej. Nie ukrywał, że pomaga jej nosić wiadra z wodą i kosz z drewnem.

Oczywiście pamiętał, że jest tylko dziewczką w gospodarstwie, ale nie miało to żadnego znaczenia. Musiał ją mieć.

Pewnego dnia został wezwany przez Oline do spiżarni. Czekala tam, usadowiona na jednym z tych nieużywanych na co dzień, obciążanych brokatem krzeseł.

– Widzę i słyszę, Beniaminie – powiedziała.

Stał przy drzwiach, wiedząc, co teraz nastąpi.

– Starasz się zdobyć sobie Else Marie, to oczywiste.

Najlepiej było nie odzywać się ani słowem.

– Coś ci powiem, Beniaminie! Chodzi o to, że wzięłam na siebie odpowiedzialność za tę dziewczynę.

Trzeba było tam stać, aż skończy.

– Jesteś dorosły, Beniaminie! I wiesz, dlaczego trzeba przejść ponad moją głowę, żeby dostać się do izby dziewczyn. Jak sądzisz, dlaczego żadna, jeśli pominąć biedną Stine wiele lat temu, a to było na zapleczu składu, o ile wiem... Jak sądzisz, dlaczego żadna, dzięki Bogu, nie popadła w nieszczęście w Reinsnes? Dobrze, to ci powiem. Dlatego, że Oline tego pilnowała i ma sen lekki jak motyl.

– Nie zrobię nic złego Else Marie.

Czerwień oblała nie tylko jego twarz, ale i całe ciało.

– Dowiedz mi tego! – rzekła surowo.

Potem zamilkła i można by sądzić, że zacznie płakać.

– Panie mój, Stwórco, jak ty bardzo przypominasz naszego błogosławionego Jakuba...

A po chwili dorzuciła bez ostrzeżenia:

– Ale niech cię czort, jeśli biegając za Else Marie, wpędzisz ją w nieszczęście!

– Ależ Oline...

– Czy nikt ci nie powiedział, że nie można uganiać się za dziewczkami, kiedy jest się dziedzicem w Reinsnes?

– Nie-eee.

– To ja ci teraz to mówię – rzekła, uderzając otwartymi dłońmi w uda, aż wszystko zadrżało. Potem wstała.

Nie miał pojęcia, co powinien zrobić, żeby wrócić do łask.

– Else Marie tak bardzo mi się podoba... – szepnęła.

Jakby słońce wypłynęło na twarz Oline. Z wyciągniętymi rękami postąpiła krok w jego stronę.

– Och, Beniaminie, Beniaminie, jesteś wypisz wymaluj jak Jakub – powiedziała, wycierając szybko pięścią kąt oka. – Ale widzisz, w twoim wieku miłość jest taka zmienna. A przecież nie chcesz zniszczyć dziewczynie życia? Narazić jej na obmowy? Żeby ludzie wzięli ją na języki i posądzali o najgorsze, prawda?

– Nie – odparł.

Coś jakby utkwilo mu w gardle.

– To zostaw ją w spokoju. Jest zaręczona z Evertem Steinbakken z wyspy Hasseløya i ma nauczyć się prowadzenia domu. Poza tym jest co najmniej dwa lata starsza od ciebie. Jesteś przecież jeszcze tylko chłopaczkiem. O złotym sercu...

Znów prawie płakała. Za samo to można było się wstydzić.

Chyba musiało tak być, że człowiek nic nie miał. W każdym razie wyjechał do Tromsø, nie spotkawszy się z Else Marie w letniej oborze. Oczywiście można było uśmiechnąć się do siebie z przekąsem, mówiąc samemu sobie, że pora roku wcale nie była po temu.

Rozdział siódmy

Anders nie zapytał, co takiego się stało, że poróżnił się z garbarzem przed świętami.

Czasami wydawać się mogło, że Anders wszystko wie. Innym znów razem był pewien, że nie wie niczego. Tyle było spraw, o których nikt nie powinien nic wiedzieć. Jego głowa zdawała się tym tak przepełniona, że nie było w niej miejsca na inne sprawy.

Ale Anders nic nie powiedział. Zadbał tylko o to, aby ktoś odebrał kufer i pakunki z żółtego domu i przewiózł je do kupca Sørensen, mieszkającego tuż przy rynku. Kiedy przyjechał, wszystko już tam było.

Jego izba znajdowała się na samym szczycie poddasza. Był tam zupełnie sam ze sobą, a spadzisty dach ciemnego strychu do suszenia bielizny oddzielał go od stromych schodów. W rodzinie Sørensenów codziennie zasiadano do stołu w siedem osób. Razem z nim było to już osiem. Matka mówiła najwięcej. Wiedziała wszystko o wszystkich i chętnie dzieliła się tym z pozostałymi. Zastanawiał się, czy wie, dlaczego wyprowadził się od garbarza. Czy on sam to wiedział?

Uspokoił się myślą, że gdyby wiedziała, to nie byłaby w stanie utrzymać tego w tajemnicy.

*

Człowiek powinien pracować, aby zadośćuczynić za swoje grzechy, tak chyba stało w Piśmie.

Był marzec i dyrektor wyraził ubolewanie z powodu choroby,

która na tak długo uniemożliwiła mu chodzenie do szkoły. Ale gdyby chciał uczyć się dodatkowo i zdawać egzamin, to szkoła go w tym wesprze.

Choroba? Już chciał zadać pytanie. Ale na szczęście dyrektorowi nie zadawało się pytań nie w porę. To na pewno Anders. Chyba już wcześniej pojął, że Anders zazwyczaj potrafi znaleźć stosowne wytłumaczenie.

Pozostawało zabrać się do nauki.

Było zbyt jasno, aby wyprawiać się do żółtego domu i sprawdzać, czy ktoś tam jeszcze mieszka.

Wiedział, którą drogą garbarz chadza do pracy i z powrotem. Więc omijał te miejsca. Czasami nagle musiał się odwrócić, bo miał wrażenie, że czuje jej zapach. Ale to zawsze był ktoś inny.

*

Mniej więcej w tym czasie, kiedy powrócił z Lofotów i nie spotkał się z Else Marie, bo należała do Oline, wybuchła w nim jakaś choroba. A może była to tylko pustka po tym, jak Andrea wyszła z pokoju, nie broniąc go?

W każdym razie zrobiło się tak, że kiedy czuł zapach kobiety, koniecznie musiał zbadać, skąd pochodzi. W podobny sposób, w jaki ludzie tłuszczy muszą bez przerwy jeść. Nawet jeśli był tak pełen, że prawie wymiotował, mimo wszystko musiał jeść. Jakby to jedzenie dawało ochronę i ratunek przed wszelkim bólem.

Wszystko jedno, co mówiły i robiły, nieważne, czy go odrzucały, czy uśmiechały się zachęcająco. Te stworzenia istniały i musiał je zgłębić, zanim znikną.

Andrea już zniknęła, nawet jeśli ciągle jeszcze przebywała w ochrowym domu na wzgórzu.

*

Dom kupca Sørenseną był pomalowany na biało i pełen życia. Krzyków dzieci, śmiechu i dobrych czasów. Pierwszą rzeczą, na którą zwrócił uwagę, były niepozamykane na klucz drzwi.

– Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło! – mawiała pani Sørensen, kiedy działo się coś, co można by uznać za nieco nieprzyjemne.

Jej mąż prowadził handel z Rosjanami. A właśnie miał zostać wydany dekret królewski, zezwalający na przewóz drewna z okolic Archangielska do północnej Norwegii. Dzięki temu interesy, które od dawna prowadził, miały stać się znacznie łatwiejsze.

Sørensen wtykał kciuki pod kamizelkę, jakby ten dekret był jego własnym dziełem. Świętowano go tak, że sos z mięsa pryskał na obrus. A jednak człowiek siedział tam, myśląc o tym, co je Andrea.

Rodzina Sørensenów była zbyt liczna i hałaśliwa, żeby można było mieć z tego jakąkolwiek przyjemność. W Reinsnes również mieszkało wielu ludzi. Ale we wszystkim powinien być umiar. Tam w domu można było zamknąć drzwi, niekoniecznie na klucz.

Stało się więc tak, że dużo przesiadywał i uczył się u Sofusa. Dzieciaki Sørenseną zanadto szukały jego towarzystwa.

*

Urósł. Tego przecież pragnął przez cały czas. A jednak nie był zadowolony z kształtu swojego ciała. Coś było nie tak z

nadgarstkami i ramionami. Kiedy wrócił do domu latem, musiał dostać nowe ubrania. Odmówił wspinania się na stołek, żeby szwaczka mogła je dopasować. Uśmiechnął się tylko lekko i uszczypnął ją delikatnie w policzek.

Od czasu do czasu myślał o Hannie. I o Else Marie. Ale one zniknęły.

Kiedy przyjechał do domu na święta, dowiedział się, że Else Marie wyszła za męża. A Hanna stała się niezastąpiona w Grøtøy. Myślał o tym, jak dziwnym życiem żyją dziewczęta. Tak szybkim, chociaż wszystko wydawało się dziać powoli.

Trochę dotykał i wachał sobie nowe dziewczki w Reinsnes. Ale z umiarem, bo Oline miała oczy dookoła głowy. A kiedy następnym razem przyjechał do domu, już ich nie było.

W Tromsø miał Charlotte Wickstrøm. Ale ją można było obwąchiwać tylko pod latarniami. Nigdy nie chciała pójść na wycieczkę w górę wyspy. Ani usiąść przed nim na sankach i zjeżdżać z gór.

– Mama tego nie lubi. Policjant może zabrać nam sanki, jeśli będziemy jechać tak szybko – mówiła, wtykając dłonie w mufkę.

A jednak ciągle za nią chodził, choćby tylko dla samego zapachu.

Musiał przecież dodatkowo się uczyć. I palić skręty z tytoniu z Sofusem. W sumie to nie było żadne życie. Ale czas płynął, jak mawiali starzy ludzie. Pewnie człowiek wkrótce się zestarzeje, nie spotkawszy nikogo, kogo można by dotknąć.

Podczas dwóch ostatnich wizyt w domu w Reinsnes nie zadał Andersowi pytania, czy miał jakieś wieści od Diny. Nikt już o niej

nie mówił. Nawet po kątach. Ze względu na Andersa.

Anders z każdym dniem coraz bardziej zmieniał się w upiora. Im mniej mówił, tym więcej robił. Pewnego dnia, gdy siedzieli sami w palarni, odezwał się jednak:

– Zacząłeś trzeci rok nauki w Tromsø. W lecie miną dwa lata, odkąd wyjechała.

Chciał zapytać, co Anders sobie myśli. Ale nie był w stanie. I kiedy wyjeżdżał do Tromsø w czarnym mroku stycznia, ciągle nie wiedział, co się dzieje w głowie Andersa. Czuł, jakby to była jego wina. Kiedyś, gdy był dzieckiem, pytał o wszystko. A Anders zawsze mu odpowiadał.

*

Pewnej nocy śnił, że poszedł pieszo w stronę plaży. Kierując się zapachem. Do garbarni. Garbarz stał na desce przerzuconej nad wielką kadzią. Pływały w niej skóry wszelkich kształtów i rozmiarów. Wydawały się oślizgłe. Zawołał głośno na dzień dobry do garbarza. Ale chyba nie powinien był tego robić, bo garbarz wpadł do kadzi i na długą chwilę w niej zniknął. Ze wszystkich stron nadbiegli ludzie, żeby go wyciągnąć. Garbarz był całkowicie żółty. Stał, przypatrując się temu przez chwilę. A potem trzeba było jak gdyby nigdy nic usiąść do stołu z rodziną Sørensenów i udawać, że nigdy się tam nie było.

– Czy Magnus, ten garbarz, nie żyje? – zapytał najstarszy chłopiec, który kończył w tym dniu czternaście lat i dostał w prezencie skórzane narzędzie garbarza. Leżało na stole, na szarym papierze.

Później mógł się z tego śmiać, że we śnie to wszystko wcale nie

było dziwne. I nie tego dotyczyło westchnienie pani Sørensen. Powiedziała:

– Tak, biedak... zupełnie zmienił go ten kolor...

– Jedz ładnie, kochanie! Nie rozlewaj mleka! – powiedziała do najmłodszego dziecka.

W snach ludzie mówili najosobliwsze rzeczy. Najdziwniejsze, że mówili to samo, co zazwyczaj na jawie. A jednak potem można się było z tego śmiać.

Nigdy wcześniej nie słyszał, że garbarz ma na imię Magnus.

We śnie pomyślał sobie: czasami ktoś musi się przeprowadzić albo umrzeć, żeby ludzie dowiedzieli się, jak się nazywał.

Ciągle jeszcze nie poszedł w pobliże domu na wzgórzu zobaczyć, czy Andrea nadal tam jest.

Tej nocy syn Sørensenów zachorował. Może to dlatego zaczął myśleć, czy nie mógłby zostać doktorem. Najwyraźniej myślał o tym na długo przed wyjazdem do domu na święta. Tego dnia dyrektor przyszedł do klasy i powiedział, że w mieście wybuchła zaraza. Ludzie mówili, że przyszła z Trondhjem. Dlatego nazwano ją pomorem z Trondhjem. Zaczynała się od bólu gardła i zabijała ludzi.

Była wiosna. Sørensen zabrał syna ze sobą na pokład łodzi, która przyплыnęła z Trondhjem. Najpierw było mnóstwo zamieszania. Potem zapadła straszna cisza. Można było usłyszeć, jak rozmawiają o tym, że nie zdążyli nawet zapędzlować go łapciem, zanim zrobiło się za późno.

Wiedział to przecież przez cały czas. Że nazywa się Søren. Ale

nawet jeśli tego nie wiedział, to teraz nie było już żadnych wątpliwości. Bo pani Sørensen zaczęła wykrzykiwać to imię za swoim mężem. Tej samej nocy, kiedy syn umarł.

– Nie powinieneś był Sørena tam zabierać! To twoja wina! Twoja wina! Bez przerwy wlokłeś dzieciaka gdzieś ze sobą. A teraz Sørena nie ma, teraz dla niego już tylko zimny cmentarz! To twoja wina!

Izba na szczycie poddasza była tuż nad ich sypialnią. Na świecie istniało teraz jedynie imię Søren. Człowiek nie mógł spać, więc raz na jakiś czas trzeba było wstać i porozmyślać o tym, że może należałoby zostać doktorem.

Kiedy nocne słońce zajrzało do jego pokoju, usiadł uczyć się łaciny. Tamtej nocy na poddaszu było takie dobre światło. Wyjątkowo dobre światło. Tylko bardzo hałasowały mewy. Zapewne miały gniazdo gdzieś pod dachem. Wetknął w uszy dwie zatyczki z waty. Biedna pani Sørensen tak głośno krzyczała. Chyba wszyscy się pobudzili. W każdym razie słychać było wielu płaczących.

Po chwili zobaczył Sørensen, jak w rozwianym kubraku i bez kapelusza zbiega w dół drogą. Z okienka na poddaszu wydawał się zaledwie czarną kropką. Sprawiał wrażenie człowieka, którego ktoś opuścił. I w pewnym sensie tak było. Ale kiedy robiło się źle, pani Sørensen nie była tą osobą, która po prostu wyszłaby z pokoju. Problem polegał na tym, że również go nie broniła. Więc Sørensen musiał wyjść z domu.

Kiedy pojechali z Sørenem na cmentarz, on był w szkole. Nie obeszło ich to zanadto. I tak nie mógł nic pomóc.

Ale myślał o tym, że powinien był powiedzieć chłopcu dobre słowo. Zanim umarł. Wiele razy przychodził do niego na górę. Chciał rozmawiać i oglądać jego książki.

To pewnie dlatego. To dlatego ciągle przychodziło człowiekowi na myśl, że chciałby zostać doktorem.

Już w lutym komisja sanitarna ustaliła surowe zasady: pamiętać o zachowaniu czystości i o świeżym powietrzu! Przy pogrzebach osób zmarłych na gardłową chorobę nie wolno urządzać styp w dużych salach ani tłumnych pogrzebów, pochówek musi odbyć się jak najszybciej, pościel i ubrania po chorym należy wyprać, a izbę wyszorować i dokładnie wywietrzyć.

Jednak wielu jeszcze miało umrzeć na świszczący kaszel. Zbyt wielu, żeby dowiedział się, jak mieli na imię. Ale głowę miał przepełnioną myślami.

I płacz. Tak strasznie niósł się po Tromsø płacz. Søren miał tylko czternaście lat. Najstarszy zmarły miał dwadzieścia trzy.

*

Tego dnia gdy rozdawano świadectwa i dyrektor miał wygłosić przemówienie na temat zakończonej nauki i zdanych egzaminów, mówił prawie wyłącznie o tych, którzy odeszli w wiośnie swojego życia. I Sofusa Becka nie było w tym dniu na swoim miejscu. Dyrektor był świadom, dlaczego. Człowiek od razu to wiedział. Przyszedł czas i na Sofusa.

*

Sofus w pewnym sensie był kimś, z kim można było wspólnie przebywać. Kiedy się nie uczyli, dużo się śmiali albo przyglądali spacerującym pod rękę dziewczętom. Czasami wspinali się na górę

wyspy i opowiedział tam Sofusowi, że tamtego razu wcale nie był chory, tylko pojechał na Lofoty. A Sofus przysiągł, że nigdy o tym nikomu nie powie. Oczywiście były też sprawy, o których nie można było powiedzieć nawet Sofusowi.

Trzeba było znów przez to przejść. Oczyszczanie. Wszyscy w rodzinie Sørensenów byli cali jasnoczerwoni i błyszczący od szorowania. Kiedy było się jednym z nich i do tego bywało się u Sofusa Becka, trzeba było poddać się odkażaniu. Nikogo już nie chciano stracić.

Ale nawet po odkażaniu poszedł odwiedzić Sofusa, jeszcze zanim ten umarł. Zamierzał powiedzieć, że jest coś w tym, co mawiała Dina: że zmarli tak czy owak są zawsze z nami. Był na tyle dorosły, że rozumiał, iż jest to głównie ku własnej pociesze. Sofus miał dosyć własnych zmagañ. Ale jego matka nie wpuściła Beniamina. Objęła go za szyję, głośno płacząc.

– To komisja sanitarna – chlupała. – To oni mówią, że nikomu nie wolno wejść do biednego Sofusa.

Powiedział, że to nic nie szkodzi, bo przecież przez cały czas przebywali razem, a każdy i tak musi kiedyś umrzeć. Ale nie powinien był tego mówić. To dziwne, jak łatwo rzucić niewłaściwe słowo, gdy człowiek jest przekonany, że coś należy powiedzieć. Zaczęła tak okropnie płakać.

Nie miał odwagi jej dotknąć.

*

Nie miał porządnego pogrzebu. Byłoby to niezgodne z zaleceniami komisji sanitarnej. Był dorosły i rozumiał, że tak musi być, żeby ochronić życie pozostałych.

Ale poszedł pod kościół i stanął za sztachetowym płotem. Matka Sofusa płakała, ale skinęła mu z daleka głową. Pomyśleć, że w takim dniu go dostrzegła!

Teraz pozostawało czekać na rozwój wypadków. Ale gdyby udało się wymigać, należało chyba przyjąć to za znak, że człowiek powinien zostać lekarzem.

Z każdym mijającym dniem, w którym nie zachorował, myślał o tym, żeby pójść do niej, do ochrowego domu. Ale nie zrobił tego.

Garbarz też nie zachorował i nie umarł. Wszyscy zmarli byli młodzi. Sofus był szesnasty.

Chyba to już było dość.

*

Anders przybył, żeby zabrać go nowym kliprem, któremu nadano imię „Svanen”^[7].

– Niech to wszystko diabli wezmą! Co oni tu z tobą zrobili? – zapytał od razu po wejściu do izby na poddaszu.

Słyszając to, pomyślał, że pani Sørensen przestała powtarzać: „nie ma tego dobrego...”.

Po krótkiej chwili wręczył Andersowi świadectwo, żeby jakoś wynagrodzić mu swój nieszczególnie elegancki wygląd. Oglądali je wspólnie, a Anders przecierał czoło i powtarzał:

– Dobra robota! Dobra robota! Chodźmy! Nie ma po co tutaj dłużej zostawać!

Chyba miał rację.

[7] *Svanen* (norw.) – łabędź.

K s i ę g a I I I



Rozdział pierwszy

KAŻDY WYSIŁEK WIECZNOŚCI MOŻE SIĘ ZRODZIĆ TYLKO Z NAMIĘTNOŚCI I ŻADNA REFLEKSJA NIE MOŻE SPOWODOWAĆ TEGO ODRUCHU. NA TYM POLEGA WIECZNY SKOK W EGZYSTENCJĘ I TYLKO ON TŁUMACZY TEN WYSIŁEK [...]

(Johannes de Silentio)^[8]

Można zadawać sobie pytanie, co wpływa na nasze wybory. I czy w ogóle wybory istnieją. Po miesiącach żeglugi z Andersem musiałem przyznać sam przed sobą, że nie jestem ani marynarzem, ani kupcem. Nie mam pojęcia, czy w dniu, w którym powiedziałem Andersowi, że chcę jechać studiować do Kopenhagi, odczuł rozczarowanie czy ulgę. Ale na pewno nie próbował mnie odwieść od tego zamiaru. I nie wygłosił żadnych napomnień, że to będzie sporo kosztować.

Z polecenia Johana zostałem zainstalowany u wdowy przy ulicy Bredgade, jak powszechnie ją nazywano. Ale tak naprawdę nazywała się Norgesgade^[9], więc już samo to nieźle wróżyło. Johan mieszkał tam wiele lat temu. Madam Frederiksen nie była zbyt dobrze sytuowana, ale najwyraźniej miała klasę. Od razu na wstępie stwierdziła, że nie przypominam w niczym mojego brata. Wiele miesięcy minęło, zanim zrozumiałem, że ta opinia była na moją korzyść.

Na początku miasto mnie przerażało. Ale nie mogłem przecież żyć w ciągłym lęku, więc trzeba było po prostu dać się ponieść ciekawości i zmysłom. Tylko ten, kto sam był w takiej sytuacji, wie,

jak mogłem się czuć, wkraczając po raz pierwszy do westybulu uniwersytetu.

Wkrótce potem uczestniczyłem już w pełni w życiu studenckim i nauczyłem się studenckich przyśpiewek. Przejrzałem również książkę Møllera poświęconą rozważaniom o naturze kobiecości, chociaż nie byłem skłonny przyznać się przed kimkolwiek, że nauczyłem się z niej czegoś nowego. Student nie powinien niczego takiego przyznawać, powinien studiować i dyskutować o odwiecznych zagadnieniach. Powinien chadzać do piwnicznych lokali pełnych piwa i być zapraszany na bale.

Przyglądałem się wysokim drzewom z grubymi pniami i potężnymi koronami jak nowym znajomym. Stały się moim bezpośrednim kontaktem z niebiosami, tak jak w domu były nim góry. Drzewa tam w domu zawsze, od małości, przyprawiały mnie o metaliczny posmak w ustach, kiedy widziałem, jak jesień zamienia je w nagie konary. Drzewa w Kopenhadze zdolne były zachować liście niemal do połowy zimy. Pozwalały się przemieniać mrozowi i pokrywać glazurą szronu, ale trwały.

Tymi myślami oczywiście nie mogłem się podzielić z innymi napotkanymi studentami. Dzięki temu zrozumiałem, że już od czasu śmierci Matki Karen nabrałem zwyczaju myślenia w sposób, w jaki myślał stary człowiek.

Przyzwyczailem się do wysokich domów, tłumy ludzi oraz języka i odnalazłem się w tym wszystkim. Ale tuż pod powierzchnią wrzało gorączkowe pragnienie wielkich przeżyć. Z czego miałyby się one składać, nie do końca wiedziałem.

Czym więc wobec studenckich lat

Piotrowy Tron?

Bo czy się kręci, czy stoi świat

Student z mędrkami jest za pan brat

Górom odmierza upływ lat

I za nic ma poranny dzwon

Gdy wojny toczą zniewoleni

jego jedyny skarb na ziemi
to jasnej myśli plon.

Takie było przesłanie Møllersa w studenckim śpiewniku. Zaglądałem często do bractwa studenckiego w Regensen na wspólne śpiewanie, podczas którego kufle z piwem podawane były z rąk do rąk niczym fajka pokoju. Nieco później uzyskałem prawo wstępu do społeczności Valkendorfu. Tam najczęściej każdy przynosił własną butelkę. A na zabawach w oczywisty sposób dawały się zauważyć szczodrze przydzielane tygodniówki.

Tam też poznałem Aksela. Syna pastora z Limfjorden, który znał Grundtviga. Aksel czerpał wiele radości ze sławy najgorszego pastorskiego syna wśród wszystkich duchownych w Danii. Jasnowłosa, wysoki i ironiczny. Z głosem sędziego i opowieściami godnymi kopacza rowów.

Po pewnym czasie się zbliżyliśmy. Razem czytaliśmy *Philosophicum* i słuchaliśmy wykładów Sibberna lub Rasmusa Nielsena. Poza tym mieliśmy poważne plany przeczytania wszystkiego, do czego byliśmy zobowiązani, zarówno z zoologii, jak i fizyki, botaniki i chemii. Było to niezbędne do egzaminu przygotowawczego na studia medyczne, który wszyscy nazywali po prostu „Kantusem”.

Nauczyciele powiadali, że w ten sposób człowiek może osiąść „znajomość przyrody i jej cudów”. Cuda te były dosyć suche, więc szybko poznaliśmy inne cuda Kopenhagi, z pewnością warte badań.

Aksel miał kontakty. Chodziliśmy na bale. Błyskawicznie zrozumiałem jednak, że dziewczęta na balach są nie do ruszenia. To czyjeś córki. Nawet nie można było z nimi zatańczyć bez

zapisania się do kolejki w karneciku. Ktoś, kto pochodził z bieguna północnego, miał prawo czuć się tym nieco przestraszony. Ale można było się przyzwyczaić. A na balach często podawano dobre jedzenie i napoje.

Musiałem od nowa nauczyć się tańczyć. Zdaniem Aksela sposób, w jaki to wcześniej robiłem, mógłby przerazić nawet słonia. Ćwiczyliśmy ukradkiem w korytarzach bursy Valkendorf, klnąc i czyniąc wiele zamieszania. Aksel był, rzecz jasna, opóźniony w stosunku do mnie. Utrzymywał, że w rodzinach duńskich pastorów nikt nie tańczy.

Niewielu studentów czytało dla przyjemności. Większość naszego rocznika zadowalała się ekstazą z powodu wyrwania się z domu i ucieczki od szkolnej dyscypliny, a także radością z wędrówek po Królewskim Mieście. Powieści i opowiadania były najwyraźniej czymś zarezerwowanym dla pań, nie dla prawdziwych mężczyzn.

Mężczyźni studiowali, słuchali wykładów i dyskutowali o polityce. Czułem się rozczarowany i zadziwiony. Ale pilnowałem się mocno, żeby tego nie okazać.

*

A jednak to literatura stała się ostatecznie przyczyną mojego braterstwa krwi z Akselem. Pewnego wieczoru na początku nowego roku usiłowałem opowiedzieć Akselowi o moich przygnębiających świętach spędzonych u wdowy przy ulicy Bredgade. Spróbowałem mianowicie przebrnąć przez Panią Bovary Gustawa Flauberta w wersji oryginalnej.

Siedzieliśmy w „Apotheket”, a ja starałem się przywieść go do

zrozumienia, że Flaubert tylko potwierdził to, co wiedziałem już wcześniej. Chyba przejrzał moje starania, żeby wydać się mądrzejszym, niż naprawdę byłem, ale przyjął to spokojnie.

– Inteligentny człowiek pojawił się na ziemi, żeby pogodzić się z faktem – co więcej, błogosławić go! – że wszystko stale się powtarza – powiedziałem tragicznym tonem.

– Dla mnie to w porządku – uśmiechnął się szeroko.

Puściłem mimo uszu tę w oczywisty sposób niestosowną replikę i kontynuowałem swój wywód. Jakoś to znosił, od czasu do czasu dyskretnie okazując znudzenie.

– Nie tylko te drobne, codzienne sprawy, takie jak pożywanie się, wydalanie, stawianie jednej nogi przed drugą, zakochiwanie się, knucie intryg i tak dalej... Ale również dzieje rodów, wszystko się powtarza w odwiecznym korowodzie. I to wszystko ma jeden koniec. A mianowicie bezsensowną śmierć! – powiedziałem jednym tchem.

Aksel pilnował, żeby wzdychać w chwili, kiedy nabierałem powietrza. Poza tym parokrotnie poprawił mój duński.

– Jasne, że rozumiem, iż twórca chce nam pokazać również wielką tragedię. Ale zdemaskowałem formę. Jest prostacka.

– Jesteś zbyt przemądrzały! Zanadto mieszczański! Czytałem, że mieszczaństwo chce wtrącić autora do więzienia – zarechotał.

– Mieszczański? Ja?! – odparłem z lekka urażony.

– No bo dlaczego jesteś taki zły? To tylko literatura, nieprawdaż? Co jest takiego szczególnego w tej książce?

– Chlubi się swoją nieprzyzwoitością – odparłem ponuro.

– W jakim sensie?

– Ach, chodzi o tę Emmę – powiedziałem niecierpliwie, próbując znów zagłębić się w filozofię.

Ale Aksel nie zamierzał się w to wdawać.

– Powiedz mi, co jest w niej nieprzyzwoitego – rzekł z werwą.

– No wiesz – odparłem, starając się zyskać na czasie – tego nie można tak łatwo wyjaśnić.

– Masz na myśli to, że nie można pisać o takich osobach jak Emma? – zapytał Aksel, szczerząc zęby w uśmiechu.

– Namówiła swojego męża lekarza do zrobienia operacji według nowoczesnych zasad. Nie udało mu się. Ty i ja możemy znaleźć w tym coś dla siebie, w końcu obaj będziemy lekarzami. Ale ogólnie uważam, że sam zrobiłbym to lepiej. Mam na myśli książkę – pochwaliłem się.

– No cóż, najpierw musisz chyba przestać być dziewicą – odparł swawolnie.

Na chwilę przerwałem, czerwieniąc się. Człowiek nigdy nie mógł przewidzieć, co ten pastorski syn będzie w stanie z siebie wypuścić.

– Nie czytałeś książki – powiedziałem z irytacją.

– To prawda, nie czytałem. A twoja przemowa mnie nudzi. Porozmawiajmy lepiej o Baudelairze – rzekł Aksel.

– To będzie trudne – przyznałem.

– Dlaczego? Przecież zawsze po trzech kufiach piwa recytujesz jego wiersze!

– To coś innego – powiedziałem.

Nie mogłem z nikim rozmawiać o wierszach Baudelaire'a. Wstydzilem się, że robią na mnie aż takie wrażenie. To prawda, że niekiedy czytałem je na głos. Żałowałem tego. Dla mnie w tych wierszach była czysta magia. Zanurzałem się w opisach długich procesji żałobnych. I w nadziei poety, która okryła jego pochyloną głowę swoim czarnym proporcem.

– Najlepsze w wierszach Baudelaire'a są kobiety – rzekłem, usiłując nawiązać do wspólnych zainteresowań. Ale była to prawda.

– I co z tego? – odparł Aksel.

– Zwierzęce. Nieludzkie i bezwzględne, gwałtowne i niebezpieczne.

– Uważasz, że można je zabrać do łóżka i dzięki temu nie tęsknić za prawdziwymi? – zapytał.

– Nie wiem – powiedziałem rozmarzony.

Aksel wzruszył ramionami.

– Coś mi się zdaje, że nie obchodzi cię poezja, chłopie! Chwalisz się tylko wszystkim, co wiesz i co uważasz, dokładnie jak każdy inny Norweg – zachichotał.

Zaprotestowałem oburzony. I przyznałem się, jaki wpływ miały na mnie te wiersze.

– Czujesz się od nich napalony? – zapytał, ożywiając się.

– No wiesz...

– Napalony od wierszy Baudelaire'a! Tam przecież są tylko węże i śmierć. Czyż nie? To skąd to napalenie?

– Mam wtedy ochotę robić pewne rzeczy...

– Z kobietami? Czy...

– Wszystko! Robić wszystko! – odparłem.

– Boże jedyny! – rzucił, wyraźnie pod wrażeniem.

W ten sposób wywabił mnie z ukrycia.

– Znałem kiedyś kobietę... – zacząłem.

– I co? – rzekł bez tchu, zlizując z ust piwną pianę.

– Andrea... Ona była... Przychodziła do mnie nocami.

– Niemożliwe? Kiedy to było?

– Dawno temu... – odparłem w rozmarzeniu.

Przyglądał mi się tak długo, aż znowu poczerwieniałem.

– Mniejsza o to! Co takiego robiła? – zapytał śmiało.

– Dotykała mnie i...

– I?

– No wiesz... Wszystko!

W miarę jak opowiadałem o skórzanym członku garbarza, przyglądając się twarzy Aksela, zacząłem sam wątpić, czy ta historia była prawdziwa. Może tylko ją sobie wymyśliłem? Śniłem o niej?

– Musiała być chyba zboczona? – rzekł Aksel z błyszczącymi oczami.

– Tak sądzisz?

– A może ona...? Nie! Zamknij się, chłopie! Wymyśliłeś tę historię, żeby mnie zaszokować! – stwierdził zdecydowanie.

Nie odpowiedziałem. Potrząsnąłem tylko głową.

– Jaka była? – zapytał po chwili.

– Gwałtowna – odparłem.

– Tak, tak, ale w jaki sposób?

– Nie pamiętam zbyt dobrze.

– Kłamiesz! Pamiętasz! Po prostu się wstydzisz.

Usiłował się zaśmiać.

– To było okropne – powiedziałem nagle. – Nie to miałem zamiar opowiedzieć.

– W jakim sensie?

– Ten mężczyzna wyrzucił mnie z domu.

– Też bym tak zrobił! – rzekł Aksel.

– Płakał.

– Płakał? Fuj!

– Chciałem, żeby umarł – powiedziałem.

– Nie należy życzyć ludziom śmierci – stwierdził Aksel.

– Ale ja życzyłem.

– Tylko tak ci się wydaje. Nie mów mi, że byłeś aż taki odważny! Na pewno strasznie się bałeś. Niech cię diabli, chłopie, naprawdę to zrobiłeś!

– Niech to pozostanie między nami – rzekłem z pogrózką w głosie.

– Oczywiście, do cholery!

Aksel wyciągnął do mnie swoją wielką dłoń.

Przez ten krótki moment czułem się, jakbym płynął na fali. Posiadaliśmy coś wspólnie. Aksel i ja. Być może było to tamto wielkie, stale przychodzące i odchodzące słowo. Szczęście? Czy jak inaczej należałoby to nazwać?

*

Kiedy wyszliśmy, Aksel zaczął żartować, że dobrze byłoby znaleźć kiedyś czas na odwiedzenie „ciemnych zaułków”.

– Chyba znam jedno czyste miejsce – powiedział z namysłem.

Wlepiłem w niego szeroko otwarte oczy, więc po chwili dodał, że tylko słyszał o tym miejscu. Ale wiedział, w których uliczkach... można było je łatwo spotkać. Kobiety. Siedziały w oknach.

– Tyle to ja też widziałem! – rzekłem buńczucznie.

Nasza połączona odwaga była dwa razy większa. Przeliczyliśmy pieniądze. Wyglądało, że wystarczy.

– Ile to kosztuje? – zapytałem.

– Różnie bywa. Nie będziemy brać najdroższej.

Poszliśmy niedbałym krokiem w stronę ulicy Holmensgade. To tam widzieliśmy te kobiety, które czasami nawet wychodziły na ulicę. Ale teraz chyba wszystkie były zajęte, bo nikt nie otwierał. Zapukaliśmy do dwojga drzwi, o których wiedział Aksel. Żadna nie pokazała się też w oknie.

– Porządni ludzie przechrzcili tę ulicę – zaśmiał się Aksel.

– Jak nazywała się wcześniej?

– Ulkegade. Ulica, o której wiedział każdy marynarz na świecie.

Zbyt wiele dla tych, którzy mieszkali w jej porządniejszej części. Ale najwyraźniej zmiana nazwy niewiele pomogła.

Śmiałyśmy się, brnąc przed siebie przez pluchę.

– Niezależnie od nazwy nie możemy tu łązić całą noc – powiedziałem.

Wyglądał na nieco zakłopotanego, w końcu to on podobno miał tutaj rozeznanie.

– To ty wspominałeś kiedyś, że masz wielką siłę przebicia – odparł prowokująco.

– To było w młodości – wyszczerzyłem zęby.

– Chcesz, żebym w to uwierzył? – zarechotał z rozbawieniem.

– Ulica Magstraede! Tam możemy pójść! – wykrzyknąłem, ciągnąc go za rękaw.

– Nie, no coś ty, tam przyjmują w obitych aksamitem salonach i mają surowe burdelmamy, noszące męskie kapelusze. Na pewno jest tam bardzo drogo! – odparł Aksel.

– Jakąż ten chłopiec ma wiedzę o świecie... – mruknąłem do siebie.

Wylądowaliśmy w zaułku przy Peter Madsens Gang. W wąskim przejściu prowadzącym od apteki Svane w stronę bulwaru Grønnegade.

Ciasne, brudne, zapomniane miejsce, całym sobą ostrzegające porządnym ludzi. A już na pewno kobiety. Domy o dwóch lub trzech kondygnacjach stały, trzymając się pod pachy, po obu stronach wąskiego trotuaru z otwartym rynsztokiem, pełnym

brudu i odchodów.

Przypomniało mi się nagle, jak jeden z profesorów wspomniał na wykładzie, że tylko dziewiętnaścioro dzieci na osiemdziesiąt urodzonych dożywało tutaj pięciu lat.

Nie przypomniałem o tym Akselowi. Bo i po co? I że mnie też, do cholery, musiały zaprzętać te liczby! Wzdrygnąłem się na tyle widocznie, że uznał, iż żałuję całej tej wycieczki.

– Trzęsiesz portkami? – zapytał drwiąco.

– Ależ skąd!

Dwie, trzy kobiety siedzące w otwartych oknach już nas zauważyły. Za późno było zawracać. Rzuciłem okiem na Aksela, chcąc zapytać, czy się rozdzielamy. Ale bałem się, że się zgodzi. Człowiek mógł teraz żałować, że tak się chwalił swoim doświadczeniem. Odchrząknąłem, posyłając uśmiech najbliższej ozdobie okiennej. Miała szeroką, zmęczoną twarz i włosy upięte w kunsztowny kok na czubku głowy. Siedziała w stroju roboczym. W szerokiej, białej sukni, przyozdobionej koronkowym kołnierzykiem i broszką. Nie była gruba, ale niewiele brakowało. Mimo to wydała mi się ładna. Dostatecznie, żeby uciąć sobie z nią pogawędkę. Ale żeby z nią obcować? Nie!

Aksel najwyraźniej był innego zdania. Albo usiłował mi zaimponować. Strząsnął błoto z butów, wetknął głowę przez okno i powiedział:

– Piękna pogoda!

Uśmiechnęła się i wstała. Kobieta w oknie po przeciwnej stronie pomachała mi ręką. Paliła fajkę i chyba nie była pierwszej młodości. Ale one chyba w ogóle nie były...

– Proszę! Zapraszam do mojego biura! – krzyknęła przez ulicę.

Obie lafiryndy zaczęły się o nas kłócić. Najwyraźniej była to dla nich codzienność. Próbowałem pociągnąć Aksela dalej. Ale on tkwił w miejscu z głupawym uśmiechem.

Wtedy otworzyły się drzwi i wyszła z nich Madame. Krzyki dobiegające z okien natychmiast ucichły.

– Prosimy do środka! Nie zwracajcie uwagi na Jenny. Wrzaskliwa z niej baba! – powiedziała, wskazując gniewnie głową w stronę tamtej, która najwyraźniej nie pracowała w jej „biurze”.

Znaleźliśmy się w wąskim korytarzu, gdzie nic nie było widać nawet na wyciągnięcie ręki. Ale przynajmniej byliśmy razem. Serce chciało wyskoczyć mi z kamizelki. Czułem, jak jabłko Adama stoi mi kością w gardle, i nie miałem pojęcia, co mógłbym powiedzieć.

Madame otworzyła kolejne drzwi i złote światło padające z malutkiego saloniku pełnego frędzli, kutasików i zasłon otoczyło nas groźną poświatą. Jakby tego było mało, wyskoczyła ku nam niewielka karykatura psa z wyszczerzonymi, drobnymi i ostrymi ząbkami. Wygięta w pałąk i ze śliną lecącą z pyska.

– On zawsze tak się cieszy na widok gości – rzekła Madame.

Pokój był całkowicie zastawiony meblami. Komoda z trzema dużymi wazonami na kwiaty, stojakiem na fajki i do połowy opróżnioną butelką. Okrągły stolik przykryty obrusem we wszystkich kolorach tęczy i ze stojącymi na nim czterema kieliszkami. Za stolikiem: sofa z pulchną kobietą i kolejnym pieskiem trzymanym na kolanach. Ten miał wyraźny świerzb, ale zachowywał się przyjaźnie. Na dwóch z trzech foteli wokół stołu siedziały kobiety w szerokich, żółtawych fartuchach, z

umalowanymi twarzami. Skinęły głowami, uśmiechając się zachęcająco, jakby siedziały na scenie Teatru Królewskiego.

Żółtawe światło padało ze stojącej na stole lampy naftowej. Jedynej pięknej rzeczy w całym tym pomieszczeniu. Przypominała lampę w jadalni w Reinsnes. Ramiona podtrzymujące kolbę i kopułę były stylizowane na pędy róż, a abażur miał żółty kolor. Przy uchwycie lampy zawieszono trzy zakurzone, różowe pompony z wełny. Na okopconej od dymu ścianie wisiał portret króla. Nie zauważyłem ani jednego okna. Pachniało mieszanką wody różanej i potu, przeplatanych nutą świeżo krojonej cebuli. Panie siedziały, trzymając w dłoniach każda swój kufel piwa, a na stole stał półmisek z zielonymi ciasteczkami.

Lekko oszołomieni pozwoliliśmy się usadzić na fotelach. Panie i psy stłoczyły się razem na sofie. Aksel miał spory problem z wepchnięciem nóg pod stolik. Albo stolik był zbyt niski, albo fotel za wysoki. A jedyne miejsce, gdzie mógł ustawić stopy, znajdowało się pod stołem. Usiadł więc na brzegu fotela, odchylając się do tyłu, i ostrożnie wsunął je pod mebel.

Któż mógł przewidzieć, że będzie ich aż tyle? Spojrzałem na Aksela. Ale on tylko siedział.

– To jest Tilda, to Olga, a to Birthe. Kogo mam przedstawić?

Madame zrobiła dłonią znaczący gest. Miała naprawdę szeroką suknię, ale nie był to typowy strój do pracy. Nakrapiana brązem, ze złotymi sznurowaniami biegnącymi spiralnie w dół stanika. Kiedy się poruszała, kręgi na piersiach drżały. Trudno było oderwać od tego wzrok. Twarz miała surową. Prawie piękną. Jej wiek był nieokreślony. Była jak solidnie zasmolowany statek piracki pod pełnymi żaglami.

Najmłodsza z kobiet mogła liczyć około dwudziestu pięciu lat, może trochę mniej. Wyglądała zwyczajnie. Aksel wpatrywał się w nią, chociaż nie była ładna.

Ta z psem, imieniem Birthe, była wielka jak trójmasztowiec. Przy każdym poruszeniu drobnych, pulchnych dłoni, przesuwających się ze stołu na podółek, jej brzuch falował.

Chyba nie robi się tego tutaj? Na widoku – pomyślałem, czując ruch członka. Niczym dżdżownicy na wysuszonej pustyni.

Widziałem po Akselu, że szybko trzeźwieje, i poczułem się przez to jeszcze bardziej samotny.

Panie spojrzały na nas pytająco. Zręcznie unikałem ich wzroku. W końcu odezwała się Madame.

– Czy panowie chcieliby napić się piwa, zanim przejdziemy do biura?

– Jaka jest cena? – wydusiłem.

Wymieniła cenę, zwracając naszą uwagę na fakt, że piwo jest gratis.

– Od każdego? – zapytałem, przejmując dowodzenie.

– Od każdego – odparła Madame, wznosząc oczy do nieba.

– Tyle nie mamy – powiedziałem, otwierając niezbyt mądrze usta.

– Nie, tyle nie mamy – powiedział Aksel, z ulgą kiwając kilka razy głową.

Madame taksowała nas wzrokiem z góry do dołu.

– Tutaj rozliczamy się tylko w gotówce i nie schodzimy ze stałej

ceny – rzekła zdecydowanie. Było widoczne, że nam nie wierzy.

– Nie mamy razem więcej niż połowę – powiedziałem, podnosząc się. Aksel również się zerwał.

Nie wziął pod uwagę swoich nóg. Panie błyskawicznie pochwyciły kufle i paterę z zielonymi ciasteczkami. Staliśmy tam jak dwa ołowiane żołnierzyki, które właśnie uratowały się z wojny.

Panie popatrzyły po sobie. Widać było, że są nawykłe do porozumiewania się wzrokiem.

– Jesteście bardzo młodzi? – powiedziała Madame z kocią miękkością.

– No cóż – odparł Aksel z wahaniem.

– Są ładni, szczególnie ten ciemny, z pięknymi oczami – rzekła Madame takim tonem, jakby mówiła o psach.

Grubaska na sofie zaśmiała się, aż całe jej ciało się rozedrgało. Madame posłała jej spojrzenie mogące zabić na miejscu. W okamgnieniu zapadła cisza. Wszystkie kolejno upiły po łyku ze swoich kufli. Jakby odprawiały rytuał. Madame zaciągnęła się fajką. Bardzo powoli. Uważnie przyglądała się nam przez kłęby dymu.

– Ten duży nie jest taki przystojny, ale ma piękne ramiona – rzekła Madame, skinąwszy głową ku paniom na sofie.

– To prawda! – powiedziała grubaska przyjaznym tonem.

– To nie wystarczy! – dodała najmłodsza, chichocząc gwałtownie z ustami przysłoniętymi dłonią.

Ma pryszczę i zniszczone przednie zęby, pomyślałem mściwie,

zamierzając odwrócić się i odejść.

– Poczekajcie, moi panowie! – zawołała Madame.

Poczułem, jak skóra na plecach pokrywa mi się gęsią skórką.

Podeszła do sofy i wyszeptała coś do ucha grubaski, potem odwróciła się do nas, mówiąc miękko:

– To ile razem macie?

Aksel i ja spojrzeliśmy na siebie. Czerwoni jak buraki. Potem wetknęliśmy ręce w kieszenie, wyciągając z nich to, co mieliśmy. Kiedy położyliśmy pieniądze na stole, cztery głowy błyskawicznie pochyliły się nad nimi i zaczęły liczyć.

W końcu uniosły się jednocześnie. Madame odezwała się sucho:

– Za te pieniądze nie możemy udać się do biura, moi młodzi przyjaciele. Za takie marne grosze można wziąć sobie tylko panią wystającą w lasku Volden albo na cmentarzu.

Skinęła łaskawie głową w naszą stronę. Potem jednym palcem poprawiła sobie włosy.

– Zabiorę ich sama do biura – powiedziała do pozostałych tak, jakbyśmy byli głusi.

Grubaska chciała zaprotestować, ale się powstrzymała. Pozostałe dwie sprawiały wrażenie mocno zaskoczonych.

– Ależ matko, nie o to przecież chodziło! – rzekła grubaska.

Madame odparła z westchnieniem:

– Jest niedziela. A w niedzielę można chyba zrobić dobry uczynek.

*

Zatem było za późno. Na wszystko było zbyt późno. Aksel też ociekał potem. Zostaliśmy poprowadzeni do małego, ciemnego pokoiku, również bez okna. Pomyślałem sobie, że jeśli wybuchnie pożar, to spalimy się tu żywcem i do cna, bo nie ma żadnej możliwości ucieczki.

Tyle słyszałem o palpatacjach serca. Sam je kiedyś miewałem, oczywiście. Ale akurat w tamtym momencie moje serce ucichło. Nie miałem nawet odwagi oddychać. Śmierć kliniczna.

Na środku pokoju stało łóżko, którego zawartości nie było widać z powodu mroku. Za czarnym jak smoła parawanem majaczył niewyraźny zarys umywalki. Madame niosła w ręce mały lichterzyk ze świecą, który postawiła na stołku za parawanem.

– Bardzo proszę, czujcie się jak u siebie w domu! – rzekła, wskazując głową na łóżko.

Ponieważ stałem w osłupieniu, Aksel szturchnął mnie w bok. Zauważyłem kątem oka, że usiłuje zdobyć się na kpiący uśmiech.

Usiadłem na brzegu łóżka, wpatrując się w Madame za parawanem. Nalała wody do miski. Potem wysunęła się ze swojego smołowanego kadłuba w spirale. Przez chwilę za sprawą szpary w parawanie widziałem zarysy jej ciała, skórę i rozliczne fałdy. Potem powoli wciągnęła przez głowę białą koszulę. Aksel przełknął ślinę tuż przy moim uchu.

A więc to działo się naprawdę. Wyszła zza parawanu, opromieniona od tyłu mdłą poświatą. Dzięki niej przez cienką koszulę widoczne były biodra i uda. Wszystko falowało. Nie tylko ona. Cały pokój.

Powoli zaczęła rozbierać Aksela, przemawiając do niego tak, jakby był jednym z jej piesków.

– Dobrze już, dobrze, on zaraz zobaczy, jak mu będzie przyjemnie! – powiedziała, poklepując mnie jednocześnie po ramieniu przy każdym odpiętym guziku.

– Och, jak będzie dobrze. Teraz on musi tylko się umyć. To ważne. Każdy to wie. Tak, właśnie tak. On zaraz zobaczy.

Rozebrała nas obu do naga od pasa w dół. Nawet jej w tym pomagaliśmy. Nie miałem odwagi spojrzeć na Aksela. Podczas ceremonii mycia wbiłem wzrok w ścianę. Gdyby jeszcze Aksel zaprotestował. To i ja bym to zrobił. Ale on udawał, że wszystko jest w porządku. Można było nieomal podejrzewać, że śpi.

Łóżko było zbyt małe dla nas trojga. Byliśmy o krok od katastrofy. Wtedy Madame wzięła koc z prześcieradłem i rozłożyła je na podłodze.

Położyła się między nami i dotykała nas tak, jakbyśmy byli jednym ciałem. Miała taki sam dotyk jak Oline, kiedy ta zagniała chleb.

Mam wrażenie, że najpierw poddałem się ja. Ale to Aksel pierwszy dorwał się do koryta.

*

Nagle odwróciła się tyłem do Aksela i zadarła koszulę. Wyłoniła się biała skała. Poruszała się kokieteryjnym, kolistym ruchem tuż przed zachłystującym się z wrażenia Akselem.

Stała oparta kolanami po obu bokach mojego ciała, pracując nad moim członkiem, a jednocześnie oferowała mu swój tył! Potem

uwolniła piersi z koszuli.

– Chodź tutaj! – powiedziała władczo, kładąc się na mnie dwoma pełnymi workami ze skóry. Poruszały się rytmicznie.

Chyba się nie modliłem. Ale powinienem był to zrobić. Boże, zmiłuj się nad nami, biednymi grzesznikami!

Aksel! Poruszał się powoli, klęcząc za nią. Po chwili rytm stał się równy. Jego pojękiwania były raz poddańcze, raz groźne. Przemawiała do niego kojąco. Odwróciła się w jego stronę, najwyraźniej pomagając.

Wtedy szatan zerwał się z uwięzi. Rzucił się na nią jak dzikie zwierzę. Docisnął ją do mnie, pracując jak szalony. Przez chwilę umierałem, zaduszony jej wielkimi piersiami.

Można starać się nie myśleć o tym codziennie. Ale nigdy nie da się tego zapomnieć!

Potem Aksel leżał. Jego oddech był niczym dźwięk lokomotywy, starającej się zwolnić bieg.

Chyba nigdy nie zebrałem w sobie dość odwagi, żeby powiedzieć mu, jakie były fantastyczne. Te jego pchnięcia. Bo jak, do cholery, można coś takiego wyrazić? Człowiek nie powinien być w ogóle zwrócić na nie uwagi.

Ze mną jej się nie udało. Prawie popłakałem się ze wstydu. Zrozumiawszy, jak się czuję, Aksel wycofał się za parawan. Ale nic to nie pomogło. Mógłbym całą noc doznawać wysiłku jej dłoni. Znalazłem się ponownie w ochrowym domu. Byłem dziką siłą, rozkoszującą się samą sobą w zręcznej dłoni Andrei. Ale gdy tylko próbowała pomóc mi w wejściu w nią, słabłem. Za każdym razem.

W końcu się poddała. Poklepała mnie po udzie, mówiąc pocieszająco:

– Nie martw się, jesteś taki piękny i młody. Twój czas jeszcze nadejdzie. Och, nadejdzie na pewno, sam zobaczysz!

Wstydu, który wtedy czułem, nie zaznałem nigdy wcześniej.

Kiedy staliśmy już na ulicy, a ja drżałem w zimnych podmuchach wiatru, Aksel odezwał się:

– Potrzebujemy kielicha!

– Nie, ja idę do domu – wymamrotałem.

– Ależ nie zostawisz mnie przecież teraz, do cholery! Nigdy wcześniej nie zrobiłem czegoś podobnego!

Znaleźliśmy otwartą jeszcze piwniczkę i wcisnęliśmy się w jej najciemniejszy zakątek. Dzięki temu nie musieliśmy przyglądać się sobie zbyt otwarcie. Przez chwilę siedzieliśmy jak dwa strachy na wróble. A przynajmniej ja. Aksel przecież sprostał próbie.

– Oddam ci pieniądze, które wyłożyłeś – rzekł nagle, wpatrując się w dno swego kieliszka.

– W jakim sensie? – zapytałem, gapiąc się w swój.

– Do cholery, ja przecież też nie dałbym rady wsadzić go w dziurę pełną czegoś po poprzedniku...

Nigdy później nie wspomniał już o moim upokorzeniu. Nawet wtedy, gdy spróbowałem odebrać mu Annę.

[8] Søren Kierkegaard, *Bojaźń i drżenie*, s. 56.

[9] Norgesgade (duń.) – ulica Norweska.

Rozdział drugi

A więc musiałem przyjąć to do wiadomości! Że zaledwie chwilę wcześniej szwedzko-norweski król Karol spotkał się w Kopenhadze z królem Fryderykiem VII i w zawartym tam świętym przymierzu obiecali sobie zmieść z powierzchni ziemi Prusę i Austrię.

Skończyło się jednak na fanfarach i wielkich słowach. Kiedy sytuacja stała się poważna, Norwegowie i Szwedzi nie stanęli na wysokości zadania.

Byłem takim nowicjuszem na tym świecie. Wstyd z powodu bycia Norwegiem w Kopenhadze w drugim półroczu stał się boleśnie odczuwalny. Mimo uniwersytetu, piwa i Aksela. Kraj stał bezradnie naprzeciw dwóch wielkich, żądnych krwi armii.

Nie lubiłem odzywać się w ojczystym języku. Wyćwiczyłem kilka krótkich zdań po duńsku i mądre spojrzenie, a poza tym starałem się nie otwierać ust. Za każdym razem, kiedy zdradził mnie język, musiałem wysłuchać opowieści o słabości Karola XV w chwili, kiedy szwedzko-norweski rząd, zrozumiawszy powagę sytuacji, mimo to nie zamierzał ryzykować krwi dla obrony swojego brata.

W knajpach i miejscach studenckich spotkań opowiadano soczyste historie i intonowano łzawe przyśpiewki o miłości królowej Wiktorii do Bismarcka. O licznych ciężach królowej i o tym, za którą z nich Anglicy mogli podziękować Bismarckowi. I o tchórzliwym Napoleonie III, tak przestraszonym, że obawiał się puścić w stronę linii niemieckich i pruskich nawet bąka, nie mówiąc już o kuli armatniej.

Kupcy i kramarze nadal kupowali pełną ogłoszeń gazetę

„Adresseavisen”. Ale inni ludzie zaczęli czytać o wojnie wszędzie, gdzie się dało. Wokół latały ulotki. Albo poszukiwali najświeższych wieści w lokalach.

Trzynastego listopada rada państwa ustanowiła nowe wspólne warunki dla Danii i Szlezwiku. Niemcy dostali to, na co czekali. I nadeszła zima.

Ludzie mówili o tym na swój sposób:

Bismarck wkroczył, przynosząc żelazo i krew!

*

– Karna! – wykrzyknąłem, kiedy powiedziała, jak ma na imię. – Nikt nie nazywa się Karna!

– Ależ owszem, ja tak – odparła oschle.

Siedziała w chłopskim wozie, trzymając za rękę rannego porucznika. Szedłem obok, prowadząc konia, a z przydrożnego rowu cuchnęło krwią i odchodami.

Wielu osobom zawdzięczam spotkanie z Karną. Na przykład wojskom pruskim i austriackim? Nocą pierwszego lutego 1864 roku przekroczyły Eider. A może powinienem podziękować za to Bismarckowi? Cynicznemu umysłowi stojącemu za zajęciem Szlezwiku.

Już w grudniu studenci wiedzieli, że sprawy nabierają rozpędu. Ale nie byliśmy w stanie przewidzieć skutków. W Kopenhadze wszyscy wierzyli, że sztańce Danevirke powstrzymają każdego Niemca.

Na spotkaniach w knajpie przy kieliszku dyskutowaliśmy o możliwości wybuchu wojny. Nie tylko ja, naiwniak z Północy, nie

byłem w stanie do końca wyobrazić sobie wojny. Najobrzydliwszego ze wszystkich heroizmów.

Przez całe dzieciństwo zastanawiałem się, jak wygląda wojna, i nikt nie dał mi na to odpowiedzi. W lokalach Kopenhagi snuto opowieści o starym naczelnym generale C.J. de Mezie, który grał na pianinie i przechadzał się w szlafroku, martwiąc się złym stanem swego żołądka w czasie, gdy inni dzielnie dawali się zabić.

Niewielu znało Bismarcka. Zawsze zadawałem sobie pytanie, czy ten człowiek grywa w szachy. Czy sądzi, że życie to partia szachów?

*

W tym czasie armia duńska wycofała się z Danevirke i okopała w rejonie Dybbøl. Wlokła się z powrotem niczym szereg spętanych skazańców w złym stanie, pozbawionych nadziei. Ci, którzy dotarli do Kopenhagi i byli w stanie mówić, opowiadali o dniach i nocach spędzonych na stojąco bez porządnego posiłku i w marnych ubraniach, o śniegu, błocie i chłódzie wżerających się w ciało i o śmierci czyhającej na nich wokół ognisk w austriackich obozowiskach.

Pewien znienawidzony pan z ministerstwa przyjechał do nich na przegląd wojsk – w gumowych butach i z rozłożonym parasolem! Król zbiegł, a reszta Północy siedziała wokół swoich suto zastawionych stołów z zamkniętymi oczami, powtarzając te same frazesy. Na przykład:

– To okropne! Nikczemne! Tragiczne!

Słyszałem wszystko, ale nie rozumiałem. Dla mnie były to tylko zajmujące historie. Na ulicach często można było zobaczyć

wyczyszczone na błysk kamasze, broń i błękitne mundury. Niektórzy wspominali o zaciągnięciu się. Uniwersytet miał pod tym względem długie tradycje, kiedy przychodziło już co do czego.

Po spotkaniu studenckim na dziedzińcu Regensen, w czasie którego piwo i pieśń uczyniły z nas zgodne grono bohaterów w rękawicach bez palców i czapkach studenckich, zgłosiłem się do służby polowej. Aksel też zamierzał to zrobić. Ale on miał matkę, która przybyła, żeby ten zamiar udaremnić. Ja nie miałem.

Ponieważ byłem Norwegiem i do tego studentem medycyny, wylądowałem obok pola bitwy, skąd miałem przenosić rannych do lazaretu.

Najpierw uznałem to za degradację i wyraz szyderstwa. Ale nie trzeba było wielu kursów przez splamione krwią pola, żeby zrozumieć, iż miałem szczęście. O ile można było użyć takich słów w tym lodowatym piekle.

Gdyby wiedzieli, jak doskonałym mięsem armatnim jest moje młode ciało, zostałbym pewnie wysłany z bronią na pierwszą linię frontu.

Ale generałowie też chyba nie mieli wiary w tę wojnę.

*

Zostaliśmy zakwaterowani w stajni. Zwierzęta dawały nam jakie takie ciepło. Stare siano również. Na miarę skromnych możliwości myśliśmy się w zbiorniku wody w gospodarstwie, przebijając otwór w kruchym, nocnym lodzie.

Ten, z którym przenosiłem ciała rannych, miał na imię Paul. Krążyliśmy razem dookoła. Najpierw do pokrytych słomą i śniegiem przyczółków forpoczty, a potem do znieawidzonych

okopów pod wałem. Było ich dziesięć. Na pewno wszystkie były równie znienawidzone. Baliśmy się tak bardzo, że nie padało między nami prawie żadne słowo. Mróz smagał nas po uszach i przenikał na wskroś ciała. A jednak ciekły z nas strumienie potu, które zasychając, sztywniały od mrozu.

Nie wysyłano nas jednak pod największy ostrzał artyleryjski. Ale to my przybywaliśmy pierwsi na cały ten widok. Kiedy już ucihły wybuchy, a pruskie granaty się nasyciły.

Felczer i my. Bywał tak brudny i zaniedbany, że wyglądał na zabłąkanego włóczęgę. Okrążał pole ze swoją skrzynką w dłoniach, potem siadał na wozie i zapadał na kilka minut w drzemkę. Kiedyś spadł i rozciął sobie czoło. Opatrzyłem go najlepiej, jak potrafiłem, chociaż wyzywał mnie od idiotów i kalek.

Zaproponowałem mu, że go przywiążę, żeby mógł spokojnie pospać. Ale armaty dudniły tak strasznie, że mój głos zniknął w przestrzeni.

Maszerowali do okopów. Wracając, chwiali się i czołgali. Nasi chłopcy. Na wozach i obok nich. Wszyscy chyba byli już martwi. Również ci, którzy ciągle szli.

Pewnego dnia usłyszałem głos mówiący: Pozycje niemieckie znajdują się 450 metrów od okopów.

Nikt nie odpowiedział głosowi.

W ten sposób poznałem Karnę.

*

Za pierwszym razem, kiedy Prusacy w sile piętnastu tysięcy ludzi przekroczyli wyspę Als, Najwyższy zapobiegł nieszczęściu,

zsyłając zamieć śnieżną i błogosławioną niepogodę. Ale bombardowali, zbliżając się do nas. Pruskie granaty spadały jak ciągły, przeklęty strumień słońca, plujący na nas śmiercią. Dziewiątego kwietnia artyleria duńska umilkła.

Kiedy szpital polowy wypełnił się już po brzegi, polecono nam kwaterować rannych w okolicznych gospodarstwach i prowizorycznych lazaretach. Jednym z takich miejsc była niewielka zagroda obok kościoła. Byliśmy jak mali, śmiertelnie przerażeni bohaterowie, przewożący setki rannych żołnierzy.

Dawny koszmar związany z Rosjaninem ukrył się gdzieś w zakamarkach pamięci. Trzeba było robić to, co do człowieka należało, z pewną mechaniczną samokontrolą.

Później można było pozwolić sobie na myślenie. Na przykład o sprawiedliwości. Czy przyszło mi wtedy do głowy, że powinienem być zamienić medycynę na prawo? Nonsens! Czas spędzony pod Dybbøl nauczył mnie, że sprawiedliwość jest śmieszna i bezużyteczna. Medycyna stanowiła co prawda tylko rodzaj pierwszej pomocy, ale i tak lepiej było jej właśnie poświęcić swoje życie.

Śmierć jawiła się jako jedyna trwała rzecz. Ale byłem zbyt przerażony, aby to przyznać. Lęk był niczym czarny koń. Raz za razem wbijał mnie kopytami w ziemię. Ale zawsze się podnosiłem. Nie miałem odwagi zrobić nic innego.

Niespokojny sen w stajni, gdzie byliśmy zakwaterowani, pozwolił mi zobaczyć Dinę w zupełnie nowym świetle.

Skoro pruscy i austriaccy sprzymierzeńcy mogli zarzynać i okaleczać setki Duńczyków, bo zostali wysłani do obrony ziemi,

czemu ona nie miałaby zastrzelić jednego Rosjanina, pakując mu kulę w czoło, bo jej się sprzeciwił?

Była w tym pewna pociecha. Widzieć Dinę z tej nowej perspektywy. Rosjanin został zmasakrowany, bo strzał padł z małej odległości, ale miał miłosierną śmierć. Szybką i skuteczną!

Pewnej nocy koszmar senny nie dotyczył jak zwykle krzyków Rosjanina, ale Diny jadącej konno w polowym mundurze. Była dowódcą armii i szybko oraz humanitarnie zabijała każdego napotkanego żołnierza pruskiego. Za pomocą sztucera! Celnie i skutecznie przeganiała generałów za linię wroga. Wyszukiwała epolety i złote szamerunki dokładnie tak, jak kolekcjonowała kapelusze. Towarzyszył jej herold, którego zadaniem było zbieranie męskich ozdóbek z poległej na polu bitwy próżności.

Obudziłem się w prowizorycznym łóżku, świadom tego, że to nie celnie strzelająca Dina uczyniła z mojego snu koszmar. Ani ta bezimienna horda stojących za nią żołnierzy. Nie, to moja własna rola. Bo to ja byłem tym śmiertelnie przerażonym heroldem, błakającym się między końskimi kopytami wśród trupów. To ja niosłem wszystkie medale i dystynkcje w worku na plecach.

We własnej głowie stałem się już bardzo stary.

*

Lazaret polowy przesycony był krwią, ropą i goryczą. Przenikały one kikuty nóg, gangrenę i okaleczone twarze. Więcej, przepajały nawet samą śmierć. Jeśli człowiek nie był w stanie zrobić nic na polu walki i utracił wiarę w możliwość wygrania tej wojny, to przynajmniej mógł wypuścić z siebie nienawiść i rozpacz przez usta.

Ja, który nigdy nie znosiłem upokorzeń. Pod Dybbøl trzeba było się tego nauczyć. Czułem się upokorzony potrójnie. Moi krajanie stali tchórzliwie z boku, podczas gdy Duńczycy prowadzili nierówną walkę. Dina ukryła się gdzieś za linią wroga, a ja nie wiedziałem, gdzie. Ci, którym poświęcałem cały swój czas i uwagę, szydzili ze mnie, gdy tylko otworzyłem usta. Chyba że odnieśli takie obrażenia, iż nie byli w stanie mówić. Tolerowali mnie dopóty, dopóki rany nie pozwalały im reagować. Ale gdy tylko wróciło im nieco sił i nienawiść, dowiadywałem się, kim jestem.

Dlaczego zostałem? W końcu, do cholery, zaciągnąłem się! Na jakimś tam papierze naniosłem swoje nazwisko. Chyba nie czułem różnicy pomiędzy lękiem a wściekłością. Być może zrosły się we mnie w jedno. Pewna kobieta pracująca w gospodarstwie służącym za lazaret nazywała mnie „tym dobrym Norwegiem”.

Nie zamierzałem pytać, co przez to rozumie.

*

Kobiety w gospodarstwie pracowały całe dni i noce, opiekując się rannymi żołnierzami i nami oraz karmiąc nas wszystkich.

Musiałem zaznawać czegoś innego niż krwi i lęku. Więc patrzyłem na nie. Czułem ich zapach. Starąłem się być jak najbliżej. Kiedy biegałem po pokrytych szronem polach, stawały się dla mnie wytęsknionym ogniskiem. Dzięki temu mogłem zachować choć odrobinę dystansu do całej reszty. Armat. Ognia. Zmasakrowanych męskich ciał.

Ci, którzy wieczorami wracali z pola bitwy o własnych siłach, myśleli chyba w ten sam sposób. Palili papierosy i podszczyrywali dziewczęta, pili i spali. Czasami śpiewali. Jeden miał ze sobą starą

pozytywkę.

Kobiety były niczym muzyka. Straszliwie obecne. Pod skórą. A jednak nieosiągalne. Tylko prowokowały, poruszały. Dawały pewien stan. Nigdy nie był trwały. W końcu i tak prędzej czy później opuszczały izbę.

W przeciwieństwie do nich, książki i marzenia można było zabrać ze sobą. Nawet tutaj. Do piekła.

Nie wiem, czy miałem jakiekolwiek marzenia po tym, jak zabiłem Karnę.

*

Pierwszy umierający, którego zobaczyłem w lazarecie, przywoływał mamę. Po pewnym czasie zrozumiałem, że umierający mężczyźni często to robią.

Prawą rękę i całe ramię miał rozerwane na kawałki. Twarz szarą z jasnymi lokami na czole. Oczy przekrwione, tylko one desperacko trzymały się życia. Zważywszy, jak wiele krwi stracił i jak straszne bóle cierpiał, nieprawdopodobne było, że w ogóle przemówił.

– Mamo! Mamo! – jęczał, bezsilnie szukając Karny jedyną ręką, jaka mu pozostała.

Żałosny chłopięcy głos:

– Nie odchódź! Nie odchódź! Mamo, nie gaś światła! Nie odchódź!

Karna Dons kołysała go, szepcząc mu do ucha.

Była służącą w gospodarstwie. Zanim tam przybyliśmy. Przed

Bismarckiem. W moim wieku. Silna. Jej włosy były jak ogromna, spłowieła końska grzywa. Twarz poważna i blada. Już w chwili, gdy pomagała wnieść biedaka po schodach i ułożyć w prowizorycznym łóżku polowym, zrozumiałem, jaka jest silna.

Coś było w jej kolanach, kiedy tak tuliła do siebie tego nieszczęsnego żołnierza. W dłoniach. Spuchniętych i czerwonych od ciężkiej pracy. Kiedy zwracała się do mnie, jej oczy zawsze patrzyły w punkt ponad moją głowę.

Nagle obezwładniło mnie pragnienie, aby znaleźć się w łóżku z Karną. Odebrało mi wszelki rozsądek. Przepadłem w chwili, gdy zobaczyłem ją tulącą śmierć w ramionach.

Niebieski, wymięty fartuch opowiadający o koszmarze nocnego dyżuru. Podwinięte rękawy, ukazujące zimową biel skóry i dołeczki na łokciach. Zaokrąglone, silne palce, sprawnie poruszające się po nieszczęśniku leżącym w łóżku. Odór śmierci zmieszany z zapachami ciała. Wszystko wzbudzało we mnie pożądanie.

Poczułem, że stoję i czekam na śmierć mężczyzny w łóżku, bo wtedy nadejdzie moja kolej. Chciałem ją mieć.

*

Potem istniało już tylko ciało Karny. Kilka godzin później, gdy wynieśliśmy trupa, wymknąłem się za nią. Poszła po bandażę i prześcieradła do komórki, której używaliśmy jako magazynu.

Wślizgnąłem się do środka, zamykając drzwi. Potem przycisnąłem ją do półek, pozwalając dłoniom wędrować swobodnie. Nie mam pojęcia, jak mogłem zrobić coś równie głupiego. Należało użyć sprytu oraz uroku i pewnie też dostałbym to, czego chciałem.

Nawet nie krzyknęła. Po prostu wsadziła mi kolano w krocze i

zmuszony byłem ją puścić.

*

Tego samego wieczoru, gdy podczas posiłku siedzieliśmy naprzeciwko siebie w ciasnej kuchni, zauważyłem, że mi się przygląda. Nagle świat wokół mnie zawirował i musiałem wybiec, żeby zwymiotować. Wszystko było rozmyte. Nadeszło opętanie.

Kiedy wróciłem w żalonym stanie i cały drżący, skinęła przyjaźnie głową. Sprawiała wrażenie, że jest przyzwyczajona do tego, że wszyscy mężczyźni, zarówno umierający, jak i cała reszta, próbują ją napastować.

Karna stała się dla mnie cierpkim smakiem ołowiu w ustach i mrowiącym pożądaniem. Nie oplotkowała mnie przed pozostałymi dziewczętami. Zauważyłbym to. W ten sposób zdarzenie w magazynie pozostało nie tylko moim wstydem. Dopóki nie zdradziła go nikomu, było także jej wstydem. Na pewno zdawała sobie z tego sprawę.

Potem byłem na polu z Paulem i śmiertelnie przerażonym koniem przy wozie. Wokół unosiła się i opadała krwawa para i smród cierpienia. Ona brała w tym udział! Zawoziłem do niej otwarty wóz pełen ciał. Wnosiłem je do niej. A ona pozwalała im, wołającym mamę, umierać na swoich kolanach.

Już następnego dnia nasze spojrzenia skrzyżowały się ponad jęczącym, okaleczonym ciałem. Nic już nie robiłem. Czekałem.

Byliśmy najbardziej pożądanymi pomocnikami w umieraniu w całym lazarecie. Krążyliśmy razem, złączeni czymś na kształt wzajemnego uzależnienia. Poszukiwaliśmy swoich dłoni ponad rannymi żołnierzami. Dotykaliśmy nawzajem swojej skóry, kiedy

tylko się dało. Ale jeśli była w magazynie, trzymałem się od niego z daleka.

Czekałem.

*

Dotarły do mnie wieści o zamieszkach wśród studentów. Opluwano rodzinę królewską. Ale nie brałem w tym udziału. Moje dni i noce należały do Dybbøl. Czekałem na Karnę, kiedy duńska armia kładła się na spoczynek, i modliłem się, aby wał ziemny wytrzymał. Tak jak to się stało w czasie I wojny o Szlezwik.

Ale moje modlitwy nie zostały wysłuchane. Krew płynęła szeroką strugą. Tak szeroką, że dezercja i bunty żołnierzy były na porządku dziennym. Przybywali do nas jak przepędzane dzieci, oszalałe od szoku i lęku przed śmiercią. Czasami sami zadawali sobie rany, żeby móc uciec.

*

Kiedy Prusacy zaatakowali Dybbøl osiemnastego kwietnia, pełniłem akurat ochotniczą służbę. Wtedy właśnie, gdy jeszcze rozbrzmiewał głos armat i pożar za pożarem rozniecał łuny na niebie, czekała na mnie przy bramie. Poprowadziła mnie tyłami budynków do swojej izby. Karna Dons.

Na drzwiach miała haczyk, a w rogu izby wąskie łóżko. Nad łóżkiem wisiał oleodruk przedstawiający archanioła Gabriela z pochodnią w dłoni i wieńcem na głowie.

Nie była tak jędrna, jak sobie wyobrażałem. Piersi miała mniejsze, niż sądziłem. Ale stanowiły one ciepłe wzgórki w zimnym świecie. Miała jasną skórę, a pod moimi dłońmi, gdziekolwiek zawędrowały, biegły widoczne żyłki niczym tajemne sygnały.

Soki leciały z niej jak woda. Tak jakby zbierała je w sobie od tego dnia, gdy próbowałem pojąć ją w magazynie.

Chyba nie wypowiedzieliśmy ani jednego słowa. Od czasu do czasu unosiliśmy głowy, czekając, aż ucichnie dudnienie armat. Potem znów staraliśmy się odszukać siebie nawzajem. Przez cały czas pływałem w skórzanym worku z Andreą i narzędziem garbarza.

A jednak byłem na miejscu, z Karną. Nie wiem, czy wiele z tego miała. Przyjęła to ze spokojem. Tak jak ze spokojem przyjmowała śmierć.

Potem zjedliśmy ziemniaki ze śledziem, popijając taną wódką. Czułem się zawstydzony i próbowałem ustalić, jak ona się czuje. Ale nie miałem odwagi zapytać.

Kiedy butelka była prawie pusta, nagle zacząłem płakać jak tchórz. Płakałem, wykrztuszając z siebie coś o śmierci i wojnie. Kiwała głową. Miała suche, przyjazne oczy. Mogłem pokochać ją już za sposób, w jaki to przyjmowała. Ale nie byłem w stanie. Była ciężarem w moim ciele. Nie potrafiłem powiedzieć, czy bolesnym, czy przyjemnym. Stanowiła już część mnie. Mojego sumienia i smutku. Ale nadal jeszcze nic nie rozumiałem.

*

Nie mam pojęcia, czego oczekiwałem, oglądając z bliska szaleństwo i biegając po polu bitwy aż po smak ołowiu w ustach. Wiem tylko, że zostałem gruntownie wyleczony z Rosjanina.

Już tego samego dnia, w którym Karna stała się częścią mnie, biegliliśmy z Paulem przez cmentarz przy kościele w Dybbøl z mężczyzną zranionym granatem. Nie miał nosa, a jego zęby zwisały

z ust jak źle nawleczone na sznurek perły. W całej tej czerwieni. Nawet nie wzywał swojej matki.

Ja za to krzyczałem, przez co Paul dosłownie zsikał się ze strachu. A może to armaty grzmiały zbyt blisko. W każdym razie krzyknąłem do mężczyzny bez twarzy:

– Wszystko będzie dobrze. Leż spokojnie. Twoja matka przyjedzie! Zjawi się wkrótce!

Kuta brama stała otworem, śląc skrzypiący dźwięk na wskroś nagiego cmentarza. Rząd zaśnieżonych grobów wydawał się jedynym planowym elementem świata. Kamienny płot pokrywała sielska, śnieżna kołderka, a z dachu małego domku nad studnią zwisały błyszczące lodowe sople. Ogołoczone drzewa wokół kościoła rozpościerały gałęzie w stronę czerwonego nieba, pożerającego wybuchy armat i krzyki dobiegające znad pól.

Pływałem bez celu we własnej pustej głowie. Jak stary wrak. W tym wszystkim przez całe moje jestestwo przeniknęła myśl:

– Dino, pomóż mi nie zemdleć. Zastrzel tego mężczyznę! Pomóż mu umrzeć! Szybko!

Biegliśmy po sztywnej od mrozu trawie ze zgruchotanym człowiekiem na noszach. Jego krew i moje modlitwy toczyły bój o pierwszeństwo. Ziemia spijała je między naszymi stopami.

Później, kiedy ta scena stawała mi przed oczami, widziałem raczej zimowy krajobraz niż człowieka. Nie dostrzegałem skutków sześciu godzin nieprzerwanego ognia granatów, na który Duńczycy już nie odpowiedzieli. Nie widziałem dzikiego lęku we wszystkich napotkanych po drodze oczach. Ani dymu z prochu unoszącego się nad potężną armią pruską, stojącą bliżej wałów niż nasza własna.

Nie słyszałem wściekle wydawanych rozkazów i krzyków bólu. Jedynie mój rozsądek mówił mi, że to wszystko tam jest.

Widziałem tylko zimowy krajobraz pogrążony w zupełnej ciszy oraz mężczyzn przewracających się na siebie makabrycznymi, powolnymi ruchami. I czerwony śnieg. Rozrzucony po czarnych kraterach rozerwanej ziemi.

Osiemnastego kwietnia straty Duńczyków sięgnęły pięciu tysięcy ludzi. Ze wszystkich, których przeniosłem na noszach, ten bez twarzy najbardziej wrył mi się w pamięć. Wspólnie z biedakiem, który umarł na kolanach Karny, przegonił Rosjanina.

Zamiast nich została Karna.

*

Pewnego dnia zszywaliśmy zmalretowane przez wojnę ubogie dziecko. Dziewczynka miała oczy Hanny. Poczułem słabość. Ale tylko przez krótką chwilę. Potem poszedłem dalej. Do kolejnego łóżka.

Następnego dnia dziewczynka i jej cygańska rodzina zniknęli. Nazywaliśmy ich nocnymi gośćmi.

Pomyślałem, że może powinienem ratować się, jadąc do domu w Reinsnes. Dopóki istniał Bismarck, lekarze nie na wiele mogli się zdać.

Jednak nie pojechałem.

*

Kiedy wróciłem do Kopenhagi, czekał na mnie list od Andersa. Wyjaśniał w nim, dlaczego wysyła mi mniej pieniędzy na życie. Musiał się zapożyczyć. Morze było trudnym kawałkiem chleba, a

nowy kliper tyle kosztował. Na końcu wspomniał, że Hanna wyszła za mąż i przeprowadziła się na Lofoty.

Kiedy zrobiło się ciepło, zatrzymywałem się nagle, myśląc: teraz w Reinsnes jest lato! Widziałem oczyma wyobraźni słońce zawracające w górę nad przybrzeżnymi wysepkami, nie znikające już w morzu. I mocny zapach spalonych słońcem wodorostów potrafił nagle przyprowadzić mnie o ból, niezależnie od tego, gdzie akurat się znajdowałem.

Ale był to w gruncie rzeczy jedynie blady smutek spowodowany tym, że czas ruszył dalej, zostawiając mnie za sobą. Nawet nie potrafiłem przypomnieć sobie dokładnie rysów twarzy Hanny.

Reinsnes było miejscem, o którym czytałem w książce.

*

Kiedy pod koniec czerwca konferencja londyńska załamała się, a wraz z nią również zawieszenie broni, żywiłem dziecinną nadzieję, że Dina – gdziekolwiek była – zatelegrafuje lub napisze: Chodź! Pojedziemy do domu, do Reinsnes!

Ale tak się nie stało.

Potem Prusacy zdobyli wyspę Als i upokarzający pokój stał się faktem. Trzydziestego października Holsztyn i Szlezwik jednym machnięciem pióra zostały oddane cesarzowi Austrii i królowi Prus.

Postanowiłem, że nigdy więcej nie powiem ani słowa po norwesku. I nie zamierzałem nigdy już postawić nogi na szwedzkiej ziemi.

Kopenhaga była sparaliżowana. Jedni myśleli o swoich oszczędnościach i odsetkach w banku, inni gromadzili jedzenie w

spichrzach i uciekali z miasta. Pewnego dnia późną jesienią Aksel zauważył, że robię postępy w duńskim. To było oczywiste. Przecież siedziałem w zdradzonej ojczyźnie i miałem studiować medycynę.

*

Nie liczyłem się jednak z tym, że przybędę do Kopenhagi jako bohater. Bo zbierałem ciała pod Dybbøl. Taki był od zawsze i jest nadal mit męskości.

Nie spodziewałem się również tego, że i Karna przyjedzie do Kopenhagi. Jej ciało w Kopenhadze nie było już tym samym, co w Dybbøl. Pojmowałem to i nie rozumiałem tego zarazem.

*

Oszłomienie rolą bohatera w środowisku studenckim prawdopodobnie uderzyło mi nieco do głowy. Pewnego razu upiłem się do nieprzytomności i krzyknąłem do Aksela oraz pozostałych towarzyszy pijatyki:

– Czy znacie morderczynię?

Ale żaden z nich nie znał morderczyni. Wpatrywali się we mnie tak, jakby dotknęło mnie szaleństwo. Ogarnęła mnie taka wściekłość, że ryknąłem, waląc w stół:

– Gdzie, do cholery, podziewają się wszystkie morderczynie tego świata? Czy możecie mi to powiedzieć?

Nawet nie chciało im się potrząsnąć głowami.

– Zrobił się taki od czasu spotkania z Prusakami – mruknął Aksel i poprosił, abym się zamknął.

Dwóch kolegów wzięło mnie pod ramiona, wyprowadziło na

zewnątrz i doholowało do wdowy przy Bredgade. Oczywiście, że wiedziałem, gdzie one są. Morderczynie. W kryminałach i więzieniach. Przez pewien czas pracowałem w kryminale. Poznałem tam ze dwie. Ale nie zrobiłem się przez to szczególnie mądrzejszy. Raczej bardziej zaskoczony. Tym, jakie były niewinne. Skruszone. Nieszczęśliwe. Złamane. Upokorzone. Albo brutalne i ohydne, używające języka zaszczutego, znienawidzonego dziecka. Nie przypominały Diny. Ona miała oczy i myśli ze szkła.

Rozdział trzeci

Pewnej nocy włóczyliśmy się po mieście wspólnie z Akselem i kolegą ze studiów Clausem. Świątowaliśmy zaliczoną właśnie próbę męskości w postaci wielogodzinnej sekcji zwłok. Wyciągaliśmy jelita i organy wewnętrzne, wkładaliśmy do środka gazety oraz słomę i zszywaliśmy ponownie. Byliśmy spragnieni, podekscytowani i czuliśmy się prawdziwymi fachowcami z zakresu wiedzy o człowieku.

Claus zaczął opowiadać o tym znanym człowieku, którego otwieraliśmy i który nosił wszelkie znamiona daleko posuniętego syfilisu.

– Cicho – powiedział Aksel, kiedy tylko Claus otworzył usta.

– Nie podawałem nazwiska – bronił się tamten.

– Jeśli doniesiemy o twojej paplaninie ordynatorowi, będziesz miał poważne kłopoty – rzekł Aksel.

– Nie wiedziałem, że tacy ludzie też chodzą pod latarnię – odparł Claus.

– Teraz już wiesz – odpowiedziałem, próbując ukryć mdłości. Prawdę mówiąc, mdliło mnie przez cały dzień.

– Biedny nikczemnik! Przecież był duchownym! – powiedział Claus.

– Milcz! Żeby nikt tego nie słyszał. Inaczej sam okażesz się podobnym nikczemnikiem – rzekł Aksel, rozglądając się dookoła.

Claus zaczął mówić o ogólnym braku moralności i inteligencji u zmarłych uczonych.

– Ale żeby duchowny chodził pod latarnię – wybuchnął w końcu, nie zamierzając się poddać.

Wymieniliśmy z Akselem spojrzenia.

– A ty tam nigdy nie byłeś? – spytałem zniecacka.

– Co?

– U płatnych pań?

– Że co proszę?

– Wiesz, tak tylko pytałem – odparłem.

– Człowiek nie powinien tam chodzić – rzekł Claus w oszołomieniu.

– Gdzieś przecież trzeba stracić cnotę – powiedziałem prowokacyjnie.

– O rany! – jęknął, spoglądając na Aksela w poszukiwaniu pomocy.

– Właśnie! – odrzekł Aksel, nie zamierzając mu jej udzielić.

Sytuacja robiła się trudna, bo pojęliśmy, że nie jest jednym z nas, i miałem ochotę troszkę go podrażnić.

Ale Aksel przejął inicjatywę i zaczął zabawiać nas opowieściami o mieście swojego dzieciństwa, podwójnej moralności mieszczan i o swoim ojcu, który co niedzielę udzielał im w kościele odpuszczenia grzechów. Trzymał się podobnego, a jednak znacznie bardziej niewinnego tonu. Aksel powinien był dostać posadę w dyplomacji.

Zamiast tego żarłocznie wrzucił w siebie chleb i surowe jajka jak trzymany na uwięzi wilk albo wielki pies. Czyli: otworzył usta jak najszerzej i różnymi sposobami zdołał włożyć to wszystko do

gęby, nie brudząc sobie brody. Następnie zamknął usta i zaczął zajadle przeżuwać.

Surowe wychowanie najwyraźniej odcisnęło głębokie piętno, bo czyniąc to wszystko, nie powiedział ani słowa. I trzymał usta zamknięte. Ale cała reszta jego ciała była niczym w transie. Dygotała jak w skurczach lub na mrozie. Głowa i szyja wykonywały świadome ruchy, przenoszące się dalej na cały jego potężny tors. Kiedy ogromny kęs został już przełknięty i posłany w dół, Aksel pociągnął wielki łyk piwa. Dokładniej mówiąc, pół kufla.

Potem opowiadał dalej swoje dzikie historie o kochanku żony sędziego, nie zwracając uwagi na to, że w czasie gdy żuł, Claus i ja zostaliśmy przyjaciółmi. I że rozmawiamy o widokach na uzyskanie po zakończeniu nauki stanowiska kandydata w jednym z miejscowych szpitali.

*

Wtedy zauważyłem Cecilie. Właśnie pojawiła się w drzwiach, niosąc piwo. Teraz pochylała się nad naszym stołem w taki sposób, że w jej dekolcie widać było zagłębienie między piersiami. Całkowicie sparalizowana techniką jedzenia Aksela, wpatrywała się w niego tak natarczywie, że pozwoliła, aby piwo przelało się przez brzeg kufla.

W końcu uznałem, że szkoda piwa, i położyłem rękę na jej dłoni. Była lodowata od ciemnego napoju. Spojrzała na mnie. W jednej chwili uznałem, że coś wyjątkowego właśnie zaistniało w moim życiu.

Stała się moją gorączką. Na długo. Całkowicie przestałem odwiedzać Karnę przy ulicy Store Strandstraede. A wojna odeszła

w zapomnienie.

Po pierwszym spotkaniu w jej łóżku w czasie, gdy koleżanka z pokoju była w pracy, Cecilie zdecydowała, że zostanie żoną doktora z Reinsnes.

Miałem do tego sceptyczny stosunek, ale Cecilie była praktyczna i konkretna. Nalewała mi piwo, prała moje ubrania, przygarniała mnie do łóżka, kiedy tylko koleżanki nie było w domu, i czyniła mi wymówki za każdym razem, gdy jej zdaniem zachowałem się nie w porządku.

Kiedy byliśmy pokłóceni, a zdarzało się to dość często, szydziła ze mnie wspólnie z tą samą przyjaciółką. Lubiała mieć widownię. Więc każdy wiedział doskonale, kiedy byliśmy w stanie wojny. Wywoływało to we mnie coś na kształt cichej wściekłości. Więcej niż raz zdarzyło się, że potrząsałem nią, kiedy byliśmy sami. Mocno. Ale ona tylko spoglądała na mnie przekornym, miotającym błyskawice wzrokiem i wytrzymywała to. Oczywiście puściłem ją, kiedy już miała na mnie plunąć. Trudno było wskazać jakieś rozsądne przyczyny naszych kłótni. Rodziły się w naszych wnętrzach jak trudny do kontrolowania wulkan. Wybuchał z wielką siłą, a potem zamierał.

Nie wiem, czy ona również czuła, że otacza ją warstwa zastygłej lawy. Z każdym wybuchem coraz grubsza.

Stoczyliśmy kilka prawdziwych bitew, nawet Aksel nie słyszał nigdy czegoś podobnego. Czas spędzony z Hanną pozwolił mi nauczyć się pewnych sztuczek. Więc wykorzystywałem długie włosy Cecilie. Trzymałem ją za nie mocno, aż znalazła się w sytuacji bez wyjścia. Ale za każdym razem, kiedy już sądziłem, że ją mam, udawało jej się wsadzić mi kolano lub łokieć we wrażliwe miejsce.

Widać było wyraźnie, że i ona знаła małe, brudne sztuczki. Pewnego razu włożyła mi kciuk w oko i przez wiele dni widziałem nieostro.

Jakby tego było mało, jeszcze musiałem ją pocieszać, kiedy uświadomiła sobie, że prawie mnie oślepiła. Po jakimś czasie zdałem sobie sprawę, że zużywałem tyle energii na zewnętrzne zmagania w związku z Cecilie, że nie byłem w stanie skończyć najprostszej myśli.

Aksel przez cały czas uporczywie udzielał mi napomnień, żebym znalazł sobie kochankę z wyższej sfery.

– Człowiek nie powinien bić się z kobietami! – powiedział po ojcowsku tego dnia, gdy zmuszeni byliśmy uciekać z gospody z uczuciem, że Cecilie i jej przyjaciółka na pewno dosypały nam arszeniku do piwa.

– Znajdź sobie taką narzeczoną jak Anna! – dodał.

Nie miałem siły z nim dyskutować. Był wczesny wieczór. Padało. A życie jawiło się jako przykre. Oczywiście mogłem zapytać go, co takiego dostaje od Anny. To, co o niej wiedziałem, nie było szczególnie podniecające. Przesadnie ładna córka profesora, którą można było spotkać tylko na balach, w Tivoli albo w Alhambrze. Albo, co gorsza, w Teatrze Królewskim.

Odkąd Anders zaczął liczyć każdy szyling, nie miałem pieniędzy na takie rzeczy. Nie mówiąc o cierpliwości.

Dlatego odparłem tylko:

– Zamknij się, ty drobnomieszczański sługusie!

– Nie zamierzam się z tobą kłócić. Nie masz dość rezonu na

porządną potyczkę! – rzucił szyderczo w moją stronę.

*

Tym, który uratował Cecilie i mnie, okazał się sierżant armii królewskiej ze świeżą blizną na czole. Blizny są chyba pociągające dla kobiet. Albo ranni mężczyźni. Któż to zrozumie.

To jasne, iż nie było w tym winy sierżanta. Że wszystko się skończyło. Początek końca nastąpił kilka tygodni wcześniej. Tego dnia, kiedy w trakcie pobytu u niej wypadł mi z kieszeni list od Andersa.

Po raz pierwszy list Andersa zawierał ukrytą prośbę. Niewyrażoną wprost. I wszystko w tym górnolotnym, staroświeckim języku osoby rzadko wypowiadającej się na piśmie. Prosił, abym po skończeniu nauki przyjechał do domu. Albo przynajmniej zrobił sobie przerwę. Między wierszami można było odczytać troskę o Reinsnes. Potrzebował mnie w domu.

Żadnej sprawy poruszonej w liście nie mogłem zreferować Cecilie. Chyba się wstydziłem. Uświadomiłem sobie, że dzięki krwawicy Andersa przez prawie cztery lata mieszkałem w Kopenhadze. Na pewno miał obawy, że po powrocie do domu nie będę się do niczego nadawał. Dokładnie tak jak Johan.

Kiedy Cecilie opowiadała mi o tym, jak to będzie miło, kiedy już pojedziemy do Norwegii, usiłowałem ukryć gdzieś list Andersa.

Nie byłem w stanie wyobrazić sobie, że przez resztę życia miałbym przecinać na Północy wrzody na palcach i wypisywać recepty na pigułki i proszki. Ale tego wszystkiego nie umiałbym wyjaśnić Cecilie. Usiłowała wyrwać mi list. Odepchnąłem ją zirytowany.

Najpierw była zraniona, obrażona i utrzymywała, że mam przed nią tajemnice.

– To tylko list od mojego ojczyma – powiedziałem zrezygnowany.

– Dlaczego więc nie mogę go przeczytać?

– Bo to mój list! – odparłem zimno i zrozumiałem, że właśnie zrobiłem krok w kierunku wyprowadzki Cecilie z mojego życia.

Nie wiem, czy to zrozumiała. Ale w każdym razie zmieniła strategię. Zaczęła wypytywać mnie o Reinsnes, o tamtejszych ludzi, miejsca, łódzie, morze.

Najpierw poczułem się mile połączony, kiedy tak siedziała spokojnie u moich stóp, a ja opowiadałem, okraszając wszystko grubą przesadą. Wyciągałem z zanadru najlepsze historie, najpiękniejsze miejsca, najbardziej legendarnych w moich oczach ludzi. Zaczerwieniłem się i podekscytowałem jak uczeń, któremu wreszcie pozwolono pokazać, co umie.

Potem zaczęła wypytywać o Dinę. Najpierw ostrożnie. Bo pytała o to już wcześniej i nie dostała konkretnej odpowiedzi. Ale teraz, kiedy opowiadałem już o innych sprawach, nabrała odwagi. Przycisnęła mnie do muru.

– Jaka ona jest, twoja matka? – zapytała.

– Jest za granicą. Mówiłem to przecież już kiedyś... nie widziałem jej od wielu lat.

– Dlaczego? Jesteście w nieprzyjaźni?

– Ależ nie. Ja też przecież nie mieszkam w domu.

– Dlaczego nie chcesz rozmawiać o swojej matce? – zapytała. – Czyż nie jesteśmy narzeczeństwem? Czy nie jestem najbliższą ci osobą na tym okropnym świecie?

Akurat takie wypowiedzi od zawsze mnie irytowały. Ludzie nie powinni być ze sobą bliżej niż do pewnej możliwej do wytrzymania granicy. I nigdy nie znosiłem zbyt wielu pytań naraz. Przypominało mi to jednego z kandydatów, którzy uczyli nas w Tromsø. Zawsze wyrzucał z siebie wszystkie pytania jednocześnie. I w ten sposób wykluczał jakąkolwiek odpowiedź lub rozmowę.

I właśnie wtedy, gdy usiłowałem znaleźć taką odpowiedź, która nie przerodziłaby się w walkę, poczułem dokładnie, jak bardzo mam dość Cecilie.

– Dlaczego nie chcesz rozmawiać o swojej matce? – marudziła dalej.

Zamiast odpowiadać, rzuciłem się na nią. Tam, między jej udami, ssąc jej pierś, patrzyłem, jak płoną inne obrazy. Diny myjącej się za parawanem. Widziałem jej cień i czułem jej zapach. Niczym drobne okruchy grozy wyłoniła się roztrzaskana głowa Rosjanina. I głowa żołnierza na kolanach Karny. Wszystko miało ten sam rytm, co mój członek pode mną w łóżku. Pływało we włosach Cecilie. W końcu Rosjanin i żołnierz wyrzucili z siebie rytmicznie swoją krew. Potem leżeliśmy oblepieni nią w ciszy.

Ale nie opowiedziałem niczego. Cecilie już została skreślona. Nie była człowiekiem, któremu można powierzyć własną duszę, nie narażając jej na zmiżdżenie.

Walczyliśmy jednak jeszcze przez pewien czas. Do pojawienia się sierżanta. Nie pamiętam, żebym czuł smutek. Jedynie to, że nie

lubiłem sierżanta.

*

Dyskusje, wyprawy do miasta, śmiech, dym z fajek. Dawało mi to poczucie przynależności. Trzymało na dystans narastającą, niezrozumiałą tęsknotę.

Ale kiedy byłem już wolny od Cecilie, nagle przed oczami pojawiło mi się wyraźnie Reinsnes. Ptak przelatujący nad wyspami. Młode pędy w ogródku ziołowym. Liście odwracające się do góry na wietrze. Deszcz! Zapach kurzu, książek i lawendy.

*

Studenci ciągle prowadzili nowe dysputy o Kierkegaardzie, jego krytyce i pogardzie dla urzędowego chrześcijaństwa, o jego idei, w myśl której tylko indywidualna ofiara ma jakąkolwiek wartość. Sam to potwierdził, wypalając się na śmierć. Przewracając się na ulicy i umierając. I chociaż nie żył już od listopada 1855 roku, studenci ciągle o nim rozprawiali.

Niektórzy nigdy nie wybaczyli mu kopniaka, jakiego posłał Grundtvigowi. Ci stali na straży tezy Grundtviga: Najpierw człowiek, a potem chrześcijanin – to jedyny możliwy porządek życia.

Zastanawiał mnie niezłomny entuzjazm ludzi w kwestii zajmowania stanowiska za lub przeciw myśłom i dziełom innych. U wielkich myślicieli zawsze dostrzegałem coś, co nie było dla mnie w pełni zrozumiałe. I uważałem, że bardziej owocna będzie dyskusja, w wyniku której coś nowego pojmę, niż jednostronna pochwała bądź krytyka. Nie byłem w stanie wybrać pomiędzy Grundtvigiem a Kierkegaardem.

W mojej naiwności sądziłem z początku, że ci, którzy tak pewnie się wypowiadali, znali lub przynajmniej spotkali jednego z tych dwóch myślicieli. Po pewnym czasie często okazywało się, że nigdy ich nie poznali. Tylko o nich słyszeli. Niektórzy udawali, że zapoznali się z artykułami i pismami dokładniej, niż to miało miejsce w rzeczywistości. Koniec końców demaskowali się nawzajem.

Mam wrażenie, że na początku pociągały mnie te dysputy. Jako zjawisko w teorii Matki Karen, zgodnie z którym słowa są fałszywe, a w najlepszym razie przeinaczone. I że niebezpiecznie jest kochać książki, nie zdając sobie z tego sprawy. Dzięki temu nie istniał żaden powód, z jakiego jedne mądre słowa miałyby wykluczać drugie. Zupełnie jak gdyby można było podzielić życie na parcele i skrawki lasu, a potem porąbać je według dokładnych miar? Jak gdyby ktoś miał prawo decydować o tym, ile ryb można wyciągać z morza? Albo podjąć decyzję o swojej wierze lub zwątpieniu, zanim zostaną wystawione na próbę? Zupełnie jakby miłość bliźniego i tezy miały ze sobą cokolwiek wspólnego?

Kilka razy odwiedziłem dom studencki Borchy i przysłuchiwałem się komuś, kto zwrócił na siebie uwagę wielu osób. Nazywał się Georg Brandes. Mam wrażenie, że byłem lepszym słuchaczem niż dyskutantem. Kiedy ktoś wygłaszał słuszne argumenty za Grundtvigiem, zawsze siedziałem, myśląc sobie, że właśnie Kierkegaard był z nich dwóch bardziej trzeźwym myślicielem. Najlepszym mózgiem. Ale dla studenta medycyny, którym bez wątpienia byłem, sprawa zawsze kończyła się na zapędzeniu samego siebie w kozi róg. Bo nigdy nie oglądałem tych mózgów od środka. A nawet gdybym je widział, to nie miałem dość wiedzy, żeby zrozumieć to, co widzę.

Rozwazałem wszelkie za i przeciw jak ktoś, kto ma wybór pomiędzy soczystym kawałkiem mięsa z deserem na końcu a prostą zupą cebulową, za to z dobrym winem. Wybór zależy od chwili i twego stanu duszy.

Kiedy ktoś zręcznie argumentował za trafnością myśli Kierkegaarda i jego oczywistą satyrą, zawsze zaczynałem bronić Grundtviga jako najlepszego człowieka, który żył najbardziej zgodnie z prawdą.

Wyszukałem pisma, mowy i artykuły tych dwóch oraz to, co napisano o nich, choć ani o krok nie przybliżyło mnie to do wyjaśnienia. Byłem i pozostałem neutralny, uważając, że obaj są mi potrzebni, choć nie do końca wiedziałem, do czego.

Poruszano jednak także inne tematy, o których chętnie dyskutowałem. Jednym z nich była wina. Do rozmowy o niej prowokowałem najczęściej, jak tylko się dało. Zawsze kończyło się to zażartą bitwą o filozofię religijną.

Drugim były kobiety. To był trudny temat, bo studenci najczęściej ograniczali się w nim do powierzchownych przechwałek.

Aksel i ja wiedzieliśmy o sobie nawzajem. Ale Aksel nie dyskutował o takich rzeczach. Działał. Albo odstępował od działania.

Prawie nie było kobiety, której nie traktowałbym jak zmysłowego daru niebios dla mojej fantazji. Nie zawsze marzyłem o konkretnych postępkach. Ależ nie! Rozumiałem własne ograniczenia. Ale wplatałem je w swoje imaginacje. Najlepsze egzemplarze przechowywałem w pamięci i wyciągałem w stosownych okolicznościach. A było ich wiele. Katalogowałem je

według koloru, rozmiaru i wieku. Potrafiłem wywołać ich obraz, jeśli tylko chciałem. Niekiedy tak wyraźny, że gdyby nagle stanęły w drzwiach, nie dostrzegłbym różnicy. Ale najczęściej były na wpół ukryte, upiękzone, przysłonięte draperiami. Albo osadzone w wulgarnych okolicznościach lub sytuacji. Albo czyste, niewinne i bierne. Wszystko zależało od tego, czego akurat potrzebowałem.

*

Od czasu do czasu próbowałem porozmawiać z Akselem o mojej kolekcji, ale on zbywał to żartem.

– Ależ Akselu, one myślą inaczej. Są inne! Czepiają się jednej myśli, chociaż tego nie chcesz.

– Tak dużo rozprawiasz o babach. Można by pomyśleć, że znasz je z własnego doświadczenia! – rzekł.

Po tej uwadze poczułem się jak hermafrodyta.

– Może powinieneś znów pójść pod latarnię, będziesz mógł uciec, jak tylko skończysz – zarżał.

– Nie o tym mówię – odparłem kwaśno. – Poza tym, dlaczego sam tam nie chodzisz? Anna przecież raczej nie jest dostępna?

Prawie pragnąłem, aby mnie uderzył. Ale nie zrobił tego. Spojrzał tylko na mnie z pogardą.

– Przepraszam! – powiedziałem po chwili.

Wlekliśmy się wzdłuż kopenhaskich jezior smagani wiatrem. Jacyś ludzie jeździli po lodzie na łyżwach. Kręcili się tu i tam niczym przebrane kaczki.

– Człowiek nie jest w stanie tam pójść po zobaczeniu sekcji tego

duchownego – rzekł sucho.

– A gdybyś nie obawiał się tak bardzo syfilisu? – zapytałem.

– Wtedy, no cóż... – odparł, wierząc się niespokojnie.

– Podobało ci się? – spytałem.

– Beniaminie, zamknij się, człowieku!

– Co takiego ci się podobało? Zapachy? Przerazenie? Wielkie pośladki? – drążyłem.

– Zapachy? Nie! A reszta? Światło było przecież zgaszone.

Z trudem stłumiłem śmiech.

– Masz na myśli, że jest ci wszystko jedno, z kim idziesz do łóżka? Bo światło jest zgaszone?

– Oczywiście, że nie.

– To co masz na myśli? Czego chciałbyś doznać?

Wzruszył tylko ramionami.

– Nie mam siły na te twoje filozoficzne głupoty – odparł zdecydowanie.

– Ale musisz przecież mieć jakieś idee i marzenia na temat tego, co może dać ci burdel, skoro mówisz, że jedyną przyczyną, z której tam nie chodzisz jest lęk przed chorobami? A jednocześnie pouczasz mnie, żebym znalazł sobie kochankę, która nie zajmuje się czymś takim! – krzyknąłem.

– Cicho! Nic takiego nie powiedziałem!... Ale to oczywiste. To jest... no cóż... łatwe.

– A nie podniecające?

– Milcz już! – rzekł, idąc do przodu.

Pobiegłem za nim po oblodzonej drodze. Ślizgałem się długimi szusami. Przez cały czas miałem poczucie, że zdarłem z niego ubranie. Publicznie.

*

Następnego dnia w sali wykładowej przechodząc obok niego, wetknąłem mu w dłoń karteczkę. Naskrobałem na niej: „Powodem, z którego ja tam nie chodzę, jest strach, że mi nie wyjdzie. Ale jeśli jesteśmy we dwóch i chociaż jednemu się uda, to nie jest tak źle. Lekarze są w stanie zbadać, czy towar jest skażony, czy nie”.

Zobaczyłem, jak uśmiechając się półgębkiem, wkłada karteczkę z powrotem do kieszeni. Potem uniósł dłoń w geście oznaczającym, że mi wybacz.

Rozdział czwarty

Odłożyliśmy wyprawę pod latarnię. Aksel dopilnował natomiast, żebym został zaproszony do rodziców Anny na obiad.

Profesor był pełnym życia mężczyzną z wielkimi bokobrodami. Stojąc przed studentami, miał zwyczaj wspinać się na palce, a potem z głośnym chrzęstem opadać na pięty. Ten rytuał rujnował w moich oczach większość tego, co miał do powiedzenia.

Ojciec Aksela i profesor byli kolegami ze studiów. Mogło leżeć to u podstaw niewinnej miłości Aksela do Anny. Ale nie powiedziałem tego. W każdym razie zaproszenie dla niego na obiad dotyczyło również „studenta z wysuniętych najdalej na północ norweskich gór”.

Kiedy spytałem Aksela, jak mu się to udało, odparł z szyderczym uśmiechem:

– Muszę cię zbawić od takich jak Cecilie i Karna, czy jak tam mają na imię. Powinieneś wejść w szacowniejsze kręgi. Poza tym jest jeszcze inna przyczyna – oświadczył.

– Jakaż to? – zapytałem pełen złych przeczuć.

– Posiadasz tak nieprawdopodobną umiejętność chcenia, że ludzie, z którymi masz do czynienia, sądzą, że to ich wina, jeśli czegoś nie dostałeś, i mają wyrzuty sumienia. A wiele razy byłeś zły, kiedy szedłem do Anny bez ciebie. Dlatego jesteś też zaproszony!

*

Profesor mieszkał w eleganckim mieszkaniu przy ulicy Store

Kongensgade. Otworzyła nam drobna pokojówka, ubrana w czarno-biały strój. Odebrała od nas płaszcze i kapelusze. Włożyłem na tę okoliczność rękawiczki. Ale zobaczyła to tylko ta mała, czarno-biała istota.

W podekscytowaniu spróbowałem posłać jej uśmiech. Aksel syknął do mnie przez zaciśnięte wargi:

– To służąca...

Wzięła zakupione przez nas wspólnie pudełko czekoladek, dygnęła i wskazała nam drogę do salonów.

Mieszkanie stanowiło mieszkankę wyrafinowanego gustu i zmęczonej kondycji ludzkiej. Niektóre meble nosiły szlachetne znamiona świadczące o pochodzeniu z królewskiej fabryki mebli C.B. Hansens Etablissement przy Kongens Nytorv. Z jakiegoś zdania rzuconego mimochodem przez gospodynię wynikało, że rzemieślnik robiący te meble został mianowany nadwornym snycerzem królewskim.

Już w przedsionku salonu poczułem ciężki zapach cygara. Pomogło mi to poczuć się jak w domu. Zacząłem myśleć o Reinsnes. Izbach. Dźwiękach. Zapachach. Obrazach. Szczególnie o obrazie Jakuba. O mosiężnych lichtarzach i lampach. Monotonnym szumie ognia w rozpalonych piecach. Wszystko, co sobie przypominałem, dowodziło, że przedmioty i ludzie stanowią pewną nierozłączną całość.

*

Zarówno Annę, jak i Sophie spotkałem już wcześniej. Ale tylko w przelocie. Uścisk dłoni na ulicy. Nigdy nie brały udziału w studenckich zabawach. Sprawiało to wrażenie, jakby Aksel gdzieś

tę Annę ukrywał. Jakby nie do końca była prawdziwa.

Sophie i matka mówiły najwięcej. Tak było już przy daniu głównym. Ale zanim na stół wkroczył deser, postanowiłem, że nawiążę kontakt z Anną.

Nie odzywała się wiele, jednak doskonale widziałem, że przygląda mi się spod w półprzymkniętych powiek. Była dosyć szczupła, ale Najwyższy dał jej wszystkie niezbędne kobiece kształty. Jej dłonie były wąskie i miały piękne, długie palce, wprawnie trzymające sztuce. Twarz miała złotawą karnację, chociaż był środek zimy. Był to taki sam kolor skóry, jaki widywałem u nowo narodzonych dzieci z żółtaczką. Na tle reszty rodziny wydawała się obca. Coś było w pogłoskach, że profesor jest Żydem.

Jej włosy były ciemnobrązowe i proste. Ale tuż przy twarzy zmieniały się w loki, dzięki lokówce albo Stwórcy. Z kobietami nigdy nie można było mieć w tej sprawie pewności. W całym tym złocie i brązie oczy stanowiły zaskoczenie.

Nie zdawałem sobie sprawy, że przy pierwszym spotkaniu unikałem jej spojrzenia. Intensywnie niebieskie oczy przebijały na wylot wszystko, na co spozrzała. Ale również na wiele innych rzeczy nie zwróciłem wcześniej uwagi. Na przykład na nos. Był łagodnie łukowaty i silny z dużymi, nerwowymi skrzydełkami. Jej ramiona sprawiały wrażenie muru chroniącego przed wszystkim i wszystkimi.

Aksel spojrzał na mnie z uśmiechem. Z jakiegoś powodu bezgranicznie mnie to zirytowało.

Sophie zaprzątnięta była nauką Grundtviga i mówiła o tym, jak

ważne jest, żeby wiedza docierała do ludzi. Miała zamiar pracować jako nauczycielka krzewiąca jego idee. Kiedy tylko sama posiada dostateczną wiedzę.

Profesor z dumą skinął głową.

– Mój norweski przyjaciel bardziej poważa Kierkegaarda – rzekł Aksel, patrząc na mnie prowokacyjnie.

– Nie widzę żadnego powodu, żeby nie można było podziwiać ich obu – powiedziałem, czując, jak się czerwienię.

– *Bojaźń i drżenie* jest taka straszna – szepnęła Anna z przejęciem.

– I dlatego nie jest to lektura dla małych kobietek – zaśmiał się profesor.

– Co zdaniem Anny jest tam takie straszne? – zapytałem z uczuciem, że Aksel i rodzina Anny zniknęli w wielkim kredensie, zamykając za sobą drzwi.

– Potworna jest ta... kwestia ofiary. Abraham, który chce ofiarować swojego syna Izaaka – powiedziała, patrząc przeze mnie na wylot.

– Ale to było przecież na rozkaz Boga! Przecież ci to wyjaśniałem, moja mała – próbował wtrącić się profesor.

Udała, że nie słyszy swojego ojca, i patrząc wprost na mnie, powiedziała:

– Bóg wydający takie rozkazy nie może oczekiwać, że ludzie staną się lepsi nawet po upływie tysięcy lat.

– Ależ droga Anno! – rzekła matka z przerażeniem i odwracając

się w stronę męża, dodała oskarżycielskim tonem: – Przecież ci mówiłam, że Anna nie ma wystarczająco mocnych nerwów, aby czytać takie dzieła. Wszystko przyjmuje na poważnie. To niedobrze! Takie pisma nie powinny...

– Czy mam nie traktować Boga poważnie, mam? – przerwała jej Anna.

Pomyślałem, że nie powinna była tego mówić. Nie powinna była wypuszczać swojej matki z kredensu.

– A jak Anna sądzi, dlaczego Kierkegaard o tym napisał? – zwróciłem się do Anny.

– Bo Pismo Święte go wzburzyło. Ta historia jest przecież w Biblii.

– Powinien był zostawić Pismo w spokoju i raczej napisać coś, co pozwoliłoby ludziom dowiedzieć się, co myśli – rzekł Aksel.

– Ja też odczuwam chęć rozwiązywania zagadek Biblii – powiedziałem. – Więc nic dziwnego, że człowiek z osobowością Kierkegarda próbował to zrobić.

– Co najbardziej pana zajmuje? – zapytała Anna w taki sposób, jakbyśmy byli tylko we dwoje.

– Grzech i wina!

– A nie lęk, tak jak Kierkegarda?

– Nie... ale to zapewne jest ta sama sprawa.

Zawahałem się, bo nagle samego mnie to zadziwiło.

– Muszę powiedzieć, że wy, młodzi, macie ponure tematy rozmów przy stole – rzekła z westchnieniem matka Anny. – Nie,

Grundtvig jest bardziej ludzki. Stanowi dla ludzi cud wiedzy. Wierzy w lepszy świat, jeśli tylko sami tego zechcemy!

– Gdyby tylko ci, którzy są u władzy, byli jak Grundtvig! – kontynuowała, rozpoczynając długą przemowę o nikczemnym Bismarcku.

Po tym, jak Szlezwik i Holsztyn zostały wcielone do Prus, zażądał on przysięgi wierności od księży, nauczycieli i urzędników. I bez powodu zwolnił tych, którzy przysięgi takiej złożyć nie chcieli.

– Ze względu na ludzkość ktoś powinien posłać kulę panu Bismarckowi – rzekł pośpiesznie Aksel.

Doznałem nagle gwałtownego nieprzyjemnego uczucia, a całe moje ciało oblał pot. Przez dłuższą chwilę nie wiedziałem, o czym mówią. W końcu pochyliłem się nad stołem w kierunku Anny i w połowie zdania wypowiedzanego przez profesora zadałem jej pytanie:

– Co Anna sądzi o Grundtvigu?

Wokół mnie zapadła cisza. Najwyraźniej zachowałem się bezwstydnie.

– Nie znam go – odparła obojętnie.

– Annę interesuje tylko muzyka i poezja – powiedziała Sophie z westchnieniem.

– A jaką muzykę lubi panna Anna – zapytałem, patrząc wprost na nią i jednocześnie broniąc się przed jej spojrzeniem.

– Och, tak naprawdę nie lubię muzyki. Tylko inni tak myślą, bo grywam czasami na fortepianie.

– Ależ droga Anno, jak możesz mówić coś takiego – uniosła się matka.

Musiałem odkasznąć w serwetkę. Czerwony i spocony wynurzyłem się spod stołu, usiłując zachować godność. Ale zmuszony byłem znaleźć chusteczkę i wydmuchać nos. Przez cały czas wokół stołu panowała współczująca cisza. Nawet Aksel nie ruszył mi na pomoc. Kiedy mój puls się uspokoił, powiedziałem głupawo:

– Zawsze chciałem grać na instrumencie.

– Pozostaje więc tylko zabrać się do tego – rzekła Anna.

– To chyba nie jest takie proste?

– Zajmuje jedynie sporo czasu. Zasadniczo niewiele różni się od szydełkowania obrusów i zagłówków na fotele.

– Ależ Anno! Przecież muzyka to sztuka! – wybuchł profesor.

– Sztuka niewiele ma wspólnego z przebieraniem palcami po klawiszach – powiedziała, sprawiając wrażenie, jakby zaraz miała ziewnąć.

– Nie? A więc czym jest sztuka? – zapytałem z zaciekawieniem.

Przez chwilę wydawała się trochę niepewna, a potem odparła:

– Sztuka jest wyrażaniem tego, co stworzyła nie natura, ale człowiek z całą swoją zdolnością odczuwania.

– Czy Anna uważa, że to przeżycie nadaje sztuce ducha? – zapytałem.

– Nie, ale bez przeżycia zarówno ze strony wykonawcy, jak i odbiorcy, sztuka jest niewidzialna i pozbawiona wartości.

– Czy ona uważa zatem, że sztuka uprawiana w ukrytych grobowcach jest bezwartościowa, bo nikt jej nie widzi?

– Nie. Bo ludzie marzą, żeby ją zobaczyć.

Wstrzymałem oddech. Ona była objawieniem!

Miałem ochotę zawołać przez stół do Aksela: Cholera, teraz rozumiem, dlaczego nie chodzisz pod latarnię. Ale nie zrobiłem tego. Byłaby to zresztą niezwykle słaba replika.

Rozdział piąty

Naprawdę planowałem pojechać tego lata do domu. W głowie kołatało mi się poczucie, że w ten sposób wyświadczę przysługę i Andersowi, i Reinsnes. Zapewne byłem pod wpływem myśli Grundtviga o krzewieniu oświaty wśród ludu. Jego zwolennik Schrøder i inni zakładali szkoły ludowe, przyciągając do nich chłopów.

W Kopenhadze wielu tak zwanych intelektualistów próbowało bagatelizować i szydzić z tego wszystkiego. Ale po pewnym czasie tylko nieliczni nie zostali jeszcze porwani przez ideę oświaty wśród ludu. Wszyscy chcieli iść i zbawiać prostych ludzi przez wiedzę. Być może tęsknota za domem mieszała mi się z poczuciem misji.

Jednak przez cały czas krążyły mi po głowie słowa Kierkegaarda:

„Prawdziwy rycerz wiary jest świadkiem, nigdy nauczycielem...” Stały się dla mnie wyrokiem, przed którym nie sposób umknąć. Poza tym nie miałem okazji rozmawiać z Anną w cztery oczy. Słabą pociechę stanowił fakt, że Aksel chyba również nie miał takiej możliwości.

Siostry zawsze pojawiały się razem. Miałem silne uczucie, że Sophie została przydzielona Annie w roli przyzwoitki, bo krążyły o mnie nieprzychylne pogłoski. Jednakże zaprzyjaźniliśmy się w czwórkę na tyle, że mówiłem paniom po imieniu i mogłem brać je pod rękę.

*

Pewnego dnia, kiedy Aksel i ja byliśmy w Tivoli z Anną i

Sophie, Anna zapytała, czy znam norweskiego pisarza nazwiskiem Henryk Ibsen.

– Czytałem o nim w gazetach – odpowiedziałem.

– Czytałam jego ostatnią książkę! Mamy ją w domu. *Peer Gynt*. Możesz ją pożyczyć.

– Dziękuję! – odrzekłem.

– On również żyje na obczyźnie. Tak jak ty. Ale ma pewnie inne powody.

Wzruszyłem ramionami, sceptycznie nastawiony do pomysłu czytania jakiegokolwiek norweskiego pisarza. Pisarz nie mógł przecież być Norwegiem. Wszystko, co ceniłem w literaturze, nie przypominało niczego, co norweskie. A na pewno nie po tym, jak zbierałem ciała pod Dybbøl.

Nie wiem, czy bym powiedział to głośno. Ale o wszystkim zapomniałem, bo nagle na ulicy Ny Vestergade na chodniku przed nami stanęła Karna. Niosła wielki koszyk. Wyglądał na ciężki. Co ona tu robiła?

Szedł za nią ktoś, kto ją wyminął. Blokowaliśmy trotuar, więc musieliśmy przystanąć. Nasze spojrzenia się spotkały. Nie wiem, co ujrzała, ale kiedy przywitałem się, przeszła po prostu obok mnie.

– Czyż to nie była Karna? – zapytał Aksel.

– Ależ tak – odparłem.

Zapadła chwila ciszy, a potem powiedziałem:

– Czy Anna wie, gdzie na obczyźnie mieszka Ibsen?

– Znasz ją? – zapytała Anna.

– Kogo? – odrzekłem.

– Tę służącą z koszykiem?

– Ach, ją, tak. Chyba pracowała w szpitalu polowym w Dybbøl – odpowiedziałem.

Anna nie odezwała się więcej. Aksel również nie. Mógłby powiedzieć wiele, gdyby chciał.

Kiedy odprowadziliśmy panie do domu, dostałem książkę. *Peer Gynt*.

*

Nie wiem, czy to dlatego, że patrzyłem oczami Anny na tę książkę, ale nie odłożyłem jej, zanim nie przeczytałem ostatniej strony. Podziwiałem tego Peera i pogardzałem nim. I bardzo podobał mi się swawolny rytm opowieści. Ale jednocześnie mnie irytował. Zdrada samego siebie. Tchórzostwo. Kłamstwo. Nawet humor mnie denerwował. Robił na mnie nieprzyjemne wrażenie.

Tej nocy śniła mi się Karna. Ale nie do końca ją rozpoznawałem. Coś się nie zgadzało. Obudziłem się, a potem leżałem, rozmyślając. Wtedy dotarło do mnie, że Karna miała we śnie twarz Cecilie. A może Hanny?

We śnie nosiłem ją na łańcuszku na szyi. Tak jak Matka Karen nosiła srebrny krzyżyk, który przekazała po sobie w darze Johanowi. Śniło mi się, że stałem w deszczu na przystani w Nyhavn i bawiłem się Karną tak, jakby była amuletem. Przesuwałem ją mimochodem między palcami. Nagle niechcący wykonałem gwałtowny ruch ręką. Łańcuszek pękł. Karna ześlizgnęła się do wody. Łańcuszek spalił mi skórę i spadł w ślad za

nią.

Kiedy się obudziłem, przypomniało mi się coś, co kiedyś słyszałem lub przeczytałem. Albo ów sen sam doprowadził mnie do sformułowania tej myśli: Człowiek musi wiele sobie wybaczyć, żeby być zdolnym do przebaczenia innym.

*

Nie wiedziałem, czy Karna nadal mieszka u babki Dons przy ulicy Store Strandstraede. Ale następnego wieczoru poszedłem tam.

– Pracuje jako salowa na nocnych dyżurach w szpitalu Fredriks Hospital – powiedział jej brat, gapiąc się na mnie z zaciekawieniem.

– Kiedy będzie w domu?

– Jutro rano.

Staliśmy, przypatrując się sobie.

– Dawno cię tutaj nie było – rzekł w końcu.

– Tak. Pozdrowisz ją ode mnie?

– Tak. Przyjdiesz ponownie?

Zastanowiłem się.

– Być może – odparłem.

*

Następnego dnia po wykładach włączyłem się ulicami. Uniknąłem spotkania z Akselem i opuściłem gmach uniwersytetu, nie rozmawiając z nim. Zdawałem sobie sprawę, że uzna to za

dziwne. Omijałem również stałe miejsca spotkań. Staralem się, aby przez cały czas być jak najdalej od samego serca rewiru studenckiego, jakim była Okrągła Wieża^[10].

W końcu zebrałem się na odwagę, usiadłem przy Gammel Strand i naskrobałem list do Anny. Problemem pozostawało jego doręczenie.

Najpierw poszedłem do Ogrodu Królewskiego i wyobrażałem sobie, jak spaceruję w promieniach słońca. Potem ruszyłem w stronę domu Anny.

Służąca, która otworzyła mi drzwi, była tą samą dziewczyną, która wyszła nam na spotkanie w dniu, kiedy przyszedłem na obiad. Dygnęła, rozpoznając mnie, i w zdumieniu zmierzyła mnie wzrokiem. Nie miałem płaszcza ani kapelusza i zapewne wyglądałem na studenta, którym przecież byłem.

– Czy zechce pan zaczekać? – zapytała.

Skinąłem głową. Zostawiła drzwi wejściowe otwarte i poszła w głąb mieszkania. Usiadłem w oczekiwaniu na kamiennych schodach, nadstawiając uszu. Żeby móc zerwać się w każdej chwili i stanąć na baczność, gdyby ktoś się pojawił. Kim ten „ktoś” miałby być, służącą czy też Anną, nie byłem do końca pewien.

Kiedy Anna ukazała się w drzwiach, uświadomiłem sobie, że nie spodziewałem się tego. Czerwieniąc się, napotkałem jej wzrok.

– Dzień dobry! – rzekła z czymś na kształt pytania w głosie.

Jąkając się, zacząłem powtarzać treść listu.

– Miałam właśnie iść na lekcję gry na pianinie. Może moglibyśmy przejść tych kilka przecznic – razem?

Zerknęła czujnie przez ramię, jakby spodziewając się, że ktoś ją może zawołać do środka. Potem dodała szybko:

– Może pan iść przodem, spotkajmy się przy Ogrodzie Królewskim!

Wymieniła nazwę miejsca, gdzie mieliśmy się spotkać. Nie usłyszałem jej, bo puls zbyt mocno walił mi w uszach. Potem zniknęła.

Zszedłem chwiejnie ze schodów i ruszyłem w dół ulicy. Teraz wiedziałem już, że ma odwagę robić rzeczy zakazane. Ośmieliła się spotkać ze mną sam na sam, bez niczyjej wiedzy!^[P SEP] Nie wszedłem do ogrodu. Stałem tuż przy wejściu, żeby zobaczyć, jak będzie się zbliżać. Czekaając, cofnąłem się nieco w cień, między wielkie drzewa. Coś było nie w porządku zarówno z moim oddechem, jak i z biciem serca. Sam siebie za to wyszydzałem, ale niewiele to pomogło.

Niedługo potem ją ujrzałem. Ciemną sylwetkę w rozwianej, półdługiej pelerynie. Jej spódnica falami unosiła się nad brukiem. Stukanie obcasów brzmiało jak fanfary. Oto Anna idzie do ciebie!, mówiły.

Kiedy była już blisko, światło ją przemieniło. Opuściła ciemną powłokę i stała się objawieniem otulonym złotą, lekką tkaniną. Słońce pod koronami drzew zrobiło się bezsilne.

Chciałem ją pochwycić i przyciągnąć do siebie. Miałem uczucie, że moje członki próbują się uwolnić i działać w zgodzie z własnym zamysłem. Ale wiedziałem, że ona nie jest żadną Karną. Żadną Cecilie. Żadną Hanną. Była córką profesora, nawet jeśli akurat zgodziła się spotkać ze mną sam na sam. Jeśli w ogóle myślałem o

tym, że należy do Aksela, to nie byłem tego wówczas świadom.

Wchodząc do cienia, rzuciła mi pośpieszny uśmiech.

– Nie mam zbyt wiele czasu, tylko pół godziny. Naprawdę idę na lekcję gry – rzekła szybko.

Zupełnie jakbym zamierzał w to wątpić.

– Możemy przejść się ścieżką tutaj, pod drzewami. Tam jest ławka – kontynuowała.

Ciągle jeszcze nie wypowiedziałem ani słowa. Potakiwałem tylko głową, idąc za nią.

– A więc! Czy przeczytałeś Peera Gynta? I czy sądzisz, że autor pisał o tobie? – rzuciła przez ramię.

Minęło kilka sekund, zanim uświadomiłem sobie, że coś takiego napisałem w liście do niej. Czyżby śmiała się ze mnie? Czy mówiła poważnie?

– Chyba miałem na myśli to życie na obczyźnie – wyjąkałem, czując się już przegrany.

– Wiedziałaś! – wyrzuciła. – Wiedziałaś, że ci się spodoba! Wszyscy ludzie, których zawiódł. Próby, którym nie sprostał!

A jednak byłem nieprzygotowany na to, że przejdzie od razu do rzeczy:

– Zawiodłeś kogoś?

– Och... – odparłem wymijająco.

– Zrozumiałam to w ten sposób, iż właśnie myśl o zdradzie tego Peera Gynta skłoniła cię do napisania do mnie listu?

Nie byłem w stanie zinterpretować tonu jej głosu. Był neutralny jak dźwięki natury. A jednak zawierał w sobie wszystkie pytania.

– Tak – przyznałem.

– Tak? I mimo wszystko nie chcesz o tym rozmawiać?

– Chciałem się z tobą spotkać, Anno – usłyszałem własny głos.

Doszliśmy do ławki. Otrzeptałem ją z kurzu i podałem jej z galanterią rękę. Usiadła, nic nie mówiąc. Usadowiłem się na samym brzegu. Zwrócony do niej całym ciałem.

– Przecież spotykamy się często... – zaczęła.

– Ale nie sami!

Siedzieliśmy przez chwilę w milczeniu. Słowa, których wcześniej zamierzałem użyć, zniknęły. Wtedy spojrzała na mnie i rzekła:

– Nie. Masz całkowitą rację. Nie sami.

Poczułem się tak, jak gdyby dotknęła mojej skóry.

– Czy również z Akselem nie spotykasz się sam na sam? – odważyłem się zapytać.

Spojrzała na mnie spod oka i uśmiechnęła się. Nie wiedziałem, jak mam to rozumieć.

– To coś innego.

– Ach tak?

– Znamy Aksela.

– Czyżby? – zapytałem, myśląc o Akselu klęczącym za Madame

w zaułku Peder Madsens Gang.

– Zdaje się, że nie masz najlepszej opinii? – zapytała. Zupełnie jakby wiedziała, o czym myślę, wybacząc jednocześnie Akselowi.

– W jakim sensie?

– Przyjaciółka Sophie bywa czasem na spotkaniach studenckich w Regensen – powiedziała. Tak jakby to wszystko wyjaśniało.

– Tak samo jest w Valkendorfie – rzekłem. Dzięki temu mogłem wciągnąć w to Aksela.

– Ależ wiem o tym.

– Ach tak?

– To, że Aksel tam mieszka, chyba o niczym nie przesądza?

Nie mogłem powiedzieć nic więcej.

– A cóż przyjaciółka Sophie mówi o mnie?

– Że masz wiele kochanek – powiedziała szczerze.

– I co jeszcze?

– Że jesteś zapewne tyleż niegłupi, ile porządny pod każdym względem, ale że akurat nie obracasz się w tych najbardziej przyzwoitych kręgach studenckich.

Chciałem powiedzieć, że obracam się tam wspólnie z Akselem. Jednak się powstrzymałem.

– Coś jeszcze? – zapytałem.

– Że jak skończysz naukę, pojedziesz z powrotem do miejsca, z którego pochodzisz.

– Pytałaś o to wszystko?

– Tak.

– Dlaczego?

– Bo to mnie interesuje.

– Dlaczego? – wyszeptałem, nie mając odwagi na nią spojrzeć. Patrzyłem tylko na jej dłonie. Miały silne, mocne kciuki. Jej nadgarstki były masywne, jak u chłopca. Paznokcie krótko obcięte, zaokrąglone. Gdybym nie wiedział, jak sprawy się mają, mógłbym łatwo uznać, że pracuje rękami.

– Dlaczego, Anno? – powiedziałem prosząco.

– Bo jesteś inny. Wydaje mi się, że to dlatego, że pytałeś mnie o te wszystkie sprawy związane ze sztuką... Albo może...

Przerwała sama sobie, kopiając coś, co leżało na drodze.

– Czy mogę wziąć cię za rękę? Chciałbym potrzymać twoją dłoń. Wiesz, cały czas na nią patrzę. Ujęcie cię za rękę stało się dla mnie takie ważne.

Wtedy uśmiechnęła się, ukrywając zarazem przede mną oczy.

– Tak, za jedną. Drugą zachowam dla siebie.

Oczywiście nie zadowolilem się jedną. Przysunąłem się do niej, chwytając obie jej dłonie. Nieco oszołomiony, ale z wyraźnym uczuciem radości. Zapach leśnego poszycia. Czysty i świeży po deszczu. I jej woń. Lawenda? Woda różana? Cóż wiedziałem? Nie było potrzeby tego nazywać. Jej włosy. Obce i ekscytujące. A jednak takie, jakbym co noc spał z ich zapachem na poduszce.

– Jesteś inny... – powiedziała niemal gdzieś w przestrzeń.

– W jakim sensie?

– Mówisz... do mnie... o tym, co we mnie jest żywe.

Poczułem, że chciałem nieść ją przez wszechświat.

– Wiesz, chciałem... rozumiesz... Tak bardzo chciałem podyskutować... – zacząłem niepewnie.

– Tak? O Peerze Gyncie?

– Nie.

– Więc o czym?

– Chciałem porozmawiać z tobą o istocie miłości!

Zamrugła kilkakrotnie oczami, w bezładny sposób. Potem na jej twarzy pojawiło się coś na kształt zawoalowanego zrozumienia. Skinęła głową, dotykając lekko mojego palca ręką schowaną w mej dłoni. Poczułem uderzenie w podbrzusze.

– A zatem jak sądzisz... co jest istotą... miłości? – zapytała z powagą.

– Nie wydaje mi się, żeby miała bezpośrednio coś wspólnego z miłością fizyczną.

– O, a zatem z czym?

– Sądzę, że jest siłą.

– Tak? Jaką siłą?

– Tego nie wiem – powiedziałem, nachylając się bliżej.

Byłem schwytyany. Zniewolony. Tak blisko niej, że czułem na sobie jej oddech. Ale uwięziony. Aż do chwili, kiedy jej palce znów zaczęły poruszać się w mojej dłoni.

– Chyba muszę już iść – powiedziała bez tchu.

- Nie, nie idź, proszę – poprosiłem.
- Sądziłam, że chcesz porozmawiać o zdradzie Peera Gynta.
- Ależ tak, chcę. Porozmawiam o czymkolwiek!
- Sophie powiedziała, że słyszała, iż zadajesz się z kelnerkami.

Kilkoma naraz!

- Gdzie to usłyszała?
- Tam, gdzie chodzi czytać Grundtviga.
- Ach, tak – odparłem głupekowato, czując, że nienawidzę Grundtviga.

- Czy to prawda?
- Masz coś przeciwko kelnerkom?
- Nie o to chodzi... – rzekła.

Czy czuła się zraniona? Czyżby naprawdę była zraniona! Dobry Boże, gdyby tylko okazała mi, że ją to istotnie dotyka!

– Przez pewien czas miałem przyjaciółkę, która pracowała w gospodzie. Tak!

- Co się z nią stało?
- Odeszła do innego – powiedziałem.
- Hmm.

Zapadła cisza.

- Dlaczego odeszła do innego? – wyszeptała.
- Bo się nie kochaliśmy.
- Co robiliście wobec tego?

Teraz stała się bezceremonialna. Jak kolega ze studiów. Wyczuwałem, że jej ciekawość jest większa niż poczucie godności. A jednak kłamałem, żeby nie ryzykować, że po prostu ucieknie. *Peer Gynt i Wielki Krzywy*^[11] czaili się tam, udając, że są palcami Anny.

– Spotykaliśmy się od czasu do czasu. Była zabawna... i...

Napotkałem jej spojrzenie. Widziałem to po niej. Wiedziała, że kłamię.

– Dlaczego chcesz spotkać się ze mną? – szepnęła.

– Wydaje mi się, że jesteś jedną z tych osób, z którymi muszę się spotkać. Sam na sam!

– Powiedz, dlaczego!

Ciągle mówiła szeptem.

Kilka razy próbowałem znaleźć coś, co mógłbym powiedzieć. Ale to był jedynie bełkot. W końcu siedziałem, potrząsając już tylko głową. Gdybym mógł ją wziąć w objęcia! Rozmowa o tym wszystkim nie byłaby potrzebna.

– Przyszedłeś do mnie, bo przeczytałeś o tym Peerze. Napisałeś, że ta książka jest o tobie – rzekła, wyciągając mój list.

Już nie trzymała mnie za rękę. Byłem zupełnie sam!

Wtedy wyrwałem jej list, zmiąłem go i zdeptałem.

– To nie było ładne! Nie ma powodu, żeby tak się złościć. Mówisz, że kelnerka zostawiła cię dla innego, bo się nie kochaliście. Dlaczego właśnie ze mną chcesz rozmawiać o tych rzeczach?

– Przecież już powiedziałem.

– A więc?

– Musiałem znaleźć chwilę z tobą sam na sam. Nie wierzę w to wszystko, co jest napisane w książkach... Wiem, że ty i Aksel... Ale wydaje mi się, że będę... że mógłbym... cię pokochać...

Powiedziałem to. Sam usłyszałem, że to powiedziałem.

– Naprawdę muszę już iść – szepnęła tuż przy moim uchu.

Potem podniosła się i zrobiła kilka kroków. Zerwałem się w ślad za nią jak porzucony pies.

– Nie odchodź – zaskomlałem, chwytając ją za rękę.

– Muszę.

– Czy mogę cię ponownie spotkać? Tutaj? Jutro?

– To nie będzie możliwe.

– I tak spóźnisz się na lekcję gry na pianinie – krzyknąłem triumfalnie, usiłując ją zatrzymać. Uwolniła się i poszła dalej.

– Przyjdiesz za późno! To tylko pretekst, ta lekcja! Powiedziałaś to tylko po to, żebym się nie domyślił, że chcesz się ze mną spotkać!

Wtedy się zatrzymała. Odwróciła się i spojrzała na mnie. Jakby przyglądała się czemuś w szklanej gablocie.

– Zabieram książkę! Nie dostaniesz jej z powrotem! – krzyknąłem w desperacji.

– Jesteś szalonym człowiekiem – rzekła cicho. Potem odwróciła się i odeszła. Krótkimi, zdecydowanymi krokami. Wśród świergotu ptaków. Między pniami drzew. Na wskroś słońca. Na wskroś wszystkiego.

[10] Okrągła Wieża (Rundetårn) – najstarsze zachowane obserwatorium astronomiczne w Europie. Wieża stanowiła pierwszy element Kompleksu Trinitatis, w skład którego weszły trzy najważniejsze dla siedemnastowiecznych uczonych obiekty: obserwatorium astronomiczne, kościół studencki oraz biblioteka uniwersytecka.

[11] Bøyg (en) – w norweskich wierzeniach ludowych nieziemska istota, mająca postać ogromnego węża. Symbolizuje potrzebę ucieczki przed trudnościami, niewidzialną siłę hamującą człowieka w słusznych działaniach. Najbardziej znana z dramatu Henryka Ibsena *Peer Gynt* (w tłumaczeniu na polski: Wielki Krzywy).

Rozdział szósty

Nie wiem, kiedy dokładnie uświadomiłem sobie po raz pierwszy, że nie uznaję śmierci za ostateczną rozłąkę. Musiało to być w izbie Matki Karen. Po jej odejściu.

Przez całe lata, czytając książki, miałem uczucie, jakby głos Matki Karen spowiadał tekst. Historie, których nie rozumiałbym, gdyby ona mi ich nie przeczytała. Nie wyjaśniła. Nie sprawdziła słów w słownikach, mówiąc:

– Beniaminie, tutaj jest pochodzenie słowa. W ten sposób wyszło ze źródła i stało się czymś innym niż było na początku. I w takim sensie używane jest dzisiaj. Słowa zniekształcają rzeczywistość, Beniaminie. Czy to dostrzegasz? Słowo nigdy nie jest tym, za co się podaje. W innych rzeczywistościach, w innych czasach, ludzie używali tych słów w innym znaczeniu, z innym akcentem. Wyrażali odmienne sprawy. Bóg! Na przykład. Bóg zmienił się tak bardzo przez ostatnie sto lat. Kiedyś łatwiej było zrozumieć Boga. Teraz tak często używamy tego słowa do wszystkiego, od czego próbujemy się wykpić, że przestaliśmy rozumieć, kim jest Bóg.

– Kim jest Bóg? – spytałem bez tchu, sądząc, że otrzymam rozwiązanie tej wielkiej zagadki, zaćmiewającej ziemię.

– Bóg jest miłością w tobie, Beniaminie. Jeśli nie masz miłości w sobie, nie masz Boga!

W tamtej chwili, kiedy siedziałem samotnie na podłodze jej izby, z jej wielką księgą rozłożoną na kolanach, była to dla mnie marna odpowiedź. Ale miała rację. Słowa były fałszywe. Trzeba było żyć zgodnie z głoszonymi zasadami, zdając sobie sprawę, że bez miłości

nie ma Boga. Matka Karen objawiła mi to długo po swojej śmierci. Jej ciało nie było konieczne.

Oczywiście pragnąłem, aby pogłaskała mnie po policzku. Kiedy byłem chłopcem, udawałem, że bierze mnie na kolana, a jej białe loki łaskoczą mnie po twarzy. Ale w ten sposób poświęcałem całą swoją zdolność skupienia się i nie słyszałem, co do mnie mówi. Poza tym zawsze zaczynałem płakać z żalu nad sobą, wiedząc, że jej już nie ma. Więc wybierałem głos. On nie był zależny od istnienia ciała. Niosłem go we własnej głowie. Zabierałem do łóżka. Do letniej obory. W świat.

Po pewnym czasie każda otwierana przeze mnie książka niosła w sobie głos Matki Karen. Nawet nudne opisy przeklętej anatomii ludzkiego ciała miały głos Matki Karen.

Oczywiście między mną a staruszką toczyły się zajadłe walki tam, gdzie nie chciałem zaakceptować jej słów. Pod Dybbøl nie miałem ani miłości, ani Boga. Pozostał tylko smród. Mdłości, ślepy strach wydalany przez ciało z potem, szczynami, łzami. Pamiętam, że usiłowałem skłonić starszą panią do bycia pośrednikiem pomiędzy mną a moim nieobecny Bogiem. Ale dała mi wyraźną odpowiedź. Nie zamierzała zawracać Bogu głowy moją osobą, dopóki nie miałem w sobie miłości.

– Ależ Matko Karen, musisz zrozumieć, że nie mam czasu! – zawołałem w dym prochu i jęki rannych.

– Patrz na człowieka – odpowiedziała. – Nie biegaj dookoła, płacząc jak tchórz, mój chłopcze! Dostrzeż człowieka! Przeżyj jego cierpienie, a będziesz miał Boga.

– Ale ja nie potrafię się modlić, Matko Karen! Nie wierzę w

modlitwę.

– Czyżbyś jeszcze niczego nie zrozumiał! Nie musisz wierzyć. Tylko głupcy spędzają życie na praktykach wiary i modlitwach wymyślonych przez ludzi. Liczy się miłość. Jeśli masz miłość, to w niej spełniają się wszystkie modlitwy tej ziemi. A jeśli nie masz miłości, to nie ma żadnego Boga! Nie pomoże śmierć w imię nieobecnego Boga. Wtedy będziesz skazany na wieczną wędrówkę, obleczony w szkielet swoich marzeń.

Tak do mnie mówiła. W ten sposób nauczyła mnie, co mogło zostać zapisane w tych książkach, które powstałyby, gdyby słowa nie zostały po drodze przeinaczone i zniszczone.

Nastał czerwiec 1868 roku. Wkrótce miało skończyć się przychodzenie punktualnie o ósmej rano do kliniki Witha, zbliżał się koniec wykładów i egzaminów. Koniec szarpiącego nerwy napięcia, kiedy ocena wahała się pomiędzy najlepszą a średnią.

Aksel spadł do średniej. Uczestniczyłem w winie i wyrzutach sumienia. Trochę mi to pomogło. Od czasu do czasu bowiem musiałem pomyśleć o Annie, nie wspominając mu o tym. Bo jak, do cholery, człowiek mógłby coś takiego powiedzieć swojemu najlepszemu przyjacielowi. Szczególnie, kiedy sam nie był do końca pewien, co myśli.

Niejaką pociechę stanowiło to, że Aksel również miał mało czasu na bale z tańcami i zimnym bufetem oraz spacerzy z paniami. Został ukąszony przez blade, histeryczne widmo gorączkowej nauki.

Na tyle dobrze udało mi się zaliczyć pierwsze przedmioty, że mogłem jakoś prześlizgnąć się przez ostatni egzamin u O. Banga.

Na wyciągniętej przeze mnie kartce było napisane: Choroby

rdzenia kręgowego.

– Rdzeń kręgowy jest ogonem mózgu... – zacząłem.

O. Bang już w tym momencie się uśmiechnął. Potem rozpoczęliśmy zajadłą dyskusję. Na koniec powiedział:

– Zdaje się, że wiedza uczyniła z młodego człowieka prawdziwego zapaleńca!

W ten sposób było po wszystkim. Wyszliśmy chwiejnie na sztywnych kolanach i z powagą naciągniętą na głowę niczym kaptur.

– To był cholernie łagodny egzamin – wypaliłem po wyjściu. Mogłem się od tego powstrzymać.

– Nie wiedziałem, do diabła, że rdzeń kręgowy ma w ogóle jakieś choroby! – wyrzucił słabym głosem Aksel.

– Pamiętaj słowa mistrza: Jeśli masz wątpliwości co do diagnozy, najrozsądniej jest pamiętać, że najnaturalniejsze jest to, co naturalne! – powiedziałem z wyższością.

Od razu pożałowałem. Ale było już za późno. Aksel wyszedł bez słowa. Byłem cholernie złym kolegą. Ale nie zdobyłem się, żeby za nim biec. Poza tym on miał Annę. Na pewno wybierał się tam na obiad z okazji egzaminu.

*

Kiedy wyszedłem, nagle na chodniku tuż przede mną pojawiła się Anna. W tym samym momencie obok przetoczył się wóz, posyłając w stronę nogawki moich spodni strumień wody z rynsztoka.

Stukot wozu, rozbryzg błota i widok Anny, to wszystko mnie oszołomiło. Jedno klóciło się z drugim. Chyba nawet zamierzałem przejść obok niej, nie pragnąc jej rozpoznać. Schwyciła mnie za ramię i zawołała:

– Ach, tak! Aksel miał rację. Wyglądasz jak chodzący trup!

Stałem jak wryty. Bez przywitania.

– Aksel powiedział, że ma wrażenie, iż zakuleś się na śmierć – kontynuowała, pociągając mnie w stronę ściany domu w momencie, kiedy nadjechał kolejny wóz.

– Ach tak – powiedziałem w końcu, pozwalając się przesunąć.

Była ubrana na jasno, tak samo jak wtedy, kiedy ostatnio ją widziałem. Włosy miała zebrane pod kapeluszem. Twarz ukryta była w cieniu. Z profilu jej nos zaznaczał się łagodnym łukiem. Zbocze góry pokryte ciepłą skórą. Byłem tak blisko, że mogłem zobaczyć małe różowe zagłębienia przy skrzydełkach jej nosa. Światło opromieniało nieco wyraźniej jej usta i podbródek. Podczas mojej błyskawicznej wyprawy badawczej zauważyłem malutki wyprysk nad łukiem kupidyna. Coś to we mnie obudziło.

– Dawno cię nie widziałem... – wymamrotałem.

Teraz wzięła mnie za rękę. Widziałem, że coś mówi. Ale nie byłem w stanie pojąć co. Była zbyt blisko.

Potem zaczęła prowadzić mnie pod ramię po chodniku w stronę przeciwną do zamierzonej. Doznałem uczucia unicestwienia. Jej łokieć kłuł mnie w zębra.

Kobieta wyszła z cholernego zębra mężczyzny, pomyślałem sobie, usiłując znaleźć coś, co mógłbym powiedzieć głośno.

Gdybyż tylko nie było tak ciepło! Chciałem rozpiąć marynarkę, ale nie byłem w stanie zrobić tego jedną ręką. Druga była w jej władaniu. Trzymała mnie za nią.

– Aksel mówił, że tak ciężko pracujesz. Że w ogóle nie widzisz się z ludźmi.

– Cóż... – odparłem. Zebrałem się w sobie i kontynuowałem:

– Czy możemy gdzieś usiąść?

Rozejrzała się dookoła, jakby nagle przeraziła się, że ktoś nam się przygląda. Potem ścisnęła mnie za ramię.

– Oczywiście, że tak! – powiedziała z ożywieniem, ruszając przed siebie tak zamaszyście, jak pozwalała na to jej długa spódnica. Była obcisła na biodrach.

Przełknąłem ślinę.

Kiedy siedzieliśmy w kafejce przy ulicy Brolaeggerstraede, każde ze swoim kieliszkiem, pochyliła się nad stołem, mówiąc:

– Dostałam zgodę na zaproszenie cię na obiad. W niedzielę.

Kiwnąłem głową w milczeniu.

– Najwyraźniej ani trochę cię to nie ucieszyło?

– Ależ tak.

– Nie musisz przychodzić.

– Nie.

– Przyjdziesz?

– Tak. Dziękuję!

Mogłem dostrzec zaróżowienie rozlewające się po dekolcie jej

bluzki. Jak gdyby krew poczuła się źle w zamknięciu.

– Twoja krew chce wyjść do mnie – szepnąłem.

Zaczerwieniła się mocniej, otulając się szalem.

– Nie bądź zła – poprosiłem.

– Jesteś taki... pozbawiony taktu!

– Jestem o wiele lepszy, niż sądzisz. Nawet jeśli ukradłem ci *Peera Gynta*...

Zabawiała się różkiem obrusa, wpatrując się we mnie. Zupełnie jakby zastanawiała się, czy z niej kpię.

– Nigdy się nie odezwałeś – powiedziała.

– A powinienem?

– Zabawiasz się ludźmi.

– W jaki sposób?

– Tylko żartujesz... To, co mówisz innym... To nie jest prawda.

– Dlaczego?

– Ostatnio, kiedy się spotkaliśmy...

Słodkie poczucie przewagi rozlało się po całym moim ciele.

– Tak? – zapytałem swobodnie.

Spojrzała na mnie z przekorą. Zaczerwieniła się jeszcze bardziej, ale ani na chwilę nie cofnęła wzroku.

– Powiedziałeś, że ty...

Dinie podobałaby się Anna!

– Tak – zgodziłem się.

– A teraz?

– To była prawda – szepnąłem.

Zapadła cisza.

– A teraz? – powtórzyła, poprawiając na kolanach coś, czego nie mogłem dostrzec. Potem położyła dłonie na stole. Najwyraźniej czekała, aż coś powiem.

– Chodź ze mną do mojej kwatery – powiedziałem szeptem, chwytając jej nagą dłoń.

Jej oddech zmienił się w przeciągły świst.

– Kompromitujesz mnie celowo.

– Nie, mówię poważnie.

– Nie jestem dziwką!

– Chcę cię mieć mimo to!

Próbowała wstać. Chciałem ją zatrzymać. Nasze głowy zderzyły się ponad stołem. Miała twardą czaszkę. Ale jej kieliszek się przewrócił.

– Anno, nie odchodź! – powiedziałem, zaglądając szpilce od jej kapelusza w samo oko.

Przechodzący obok kelner spojrzał na nas z zainteresowaniem.

Nie miała innego wyjścia niż usiąść z powrotem. Ja również nie.

– Miałem na myśli to, co powiedziałem. Zarówno w Ogrodzie Królewskim, jak i teraz! – szepnąłem, gdy kelner już zniknął.

– Co zamierzasz z tym zrobić? – zapytała poważnie.

– Masz propozycję?

– Tak. Po spotkaniu na obiedzie – powiedziała tonem człowieka omawiającego interesy.

Nie wiem, skąd nadeszła ta intensywne radość. Może to była chemia. Albo fale dźwięku? Zapach? Pomiędzy nami. Tak czy owak, pochyliliśmy głowy jednocześnie i zgodnie zachichotaliśmy. Potem podniosłem się z największą galanterią, na jaką pozwalała mi zabrudzona nogawka spodni i kolana oblane sherry.

Wynajęliśmy dorożkę i poprosiliśmy woźnicę, aby podniósł budę. Ukryliśmy się najlepiej, jak potrafiliśmy, opuszczając jednocześnie miasto.

– Czy wiesz, co mówi mój ojciec? – zapytała po chwili.

– Nie.

– Że mam nierealistyczny stosunek do płci przeciwnej.

– Dlaczego?

– Bo nie chcę wyjść za mąż.

Nagle zrobiłem się czujny.

– O takich sprawach nie dyskutuje się chyba z profesorem – powiedziałem ze śmiechem.

– Jest się do tego zmuszonym, jeśli próbuje człowieka skłonić do zamążpójścia.

– Za kogo? Za Aksela?

– A za kogo innego?

Woźnica odwrócił się. Dorożka skakała przed siebie po nierównościach. Kopyta na bruku. Stuk, stuk, stuk.

– Nie możesz wyjść za Aksela – rzekłem spokojnie i zdecydowanie.

– Oczywiście, że nie! W ogóle nie wyjdę za mąż. Pojadę do Londynu... Mam tam ciotkę.

Siedziała, uśmiechając się. Z zamkniętymi oczami nabrała powietrza. Jej nozdrza były szeroko rozwarte.

– Czy po to mnie odszukałaś, żeby mi to powiedzieć?

– Fuj, to było nieładne! – odparła urażona.

– Gdzie w tym jest moje miejsce? – zapytałem najbardziej ironicznie, jak potrafiłem.

– Potrzebuję cię. Skandal całkowicie wykluczy mnie z pastorskiej rodziny Aksela. Potem trzeba będzie mnie odesłać na pewien czas... Wtedy poproszę, żeby to był Londyn.

– Jaki skandal?

– Że zadałam się z jego przyjacielem!

Ponizenie stało się totalne. Wzrok miałem wlepiony w koński zad i zastanawiałem się, co się stanie, jeśli wyskoczę w biegu i trafię pod kopyta. Ale siedziałem. Kiedy spojrzałem w bok, dostrzegłem, że uśmiech zniknął z jej twarzy.

– Czy masz przy sobie dość pieniędzy, żeby pojechać dalej? – zapytała najzwyczajniej w świecie.

– Nnnnie... – wydukałem.

– To musimy zawrócić.

– Co będziesz robić w Londynie?

– Oglądać świat. Grać na pianinie. Zaznawać wolności. Będę kobietą...

Zawołałem do woźnicy, żeby zawrócił. Głośno i ze złością, jakby był uciekającym złodziejem.

Długo tak siedzieliśmy, podążając za nierównym rytmem. Czułem się zdesperowany. Ten dzień był oczywistym szaleństwem.

Chciała wysiąść w bezpiecznej odległości od okien swego domu.

Zeskoczyłem, żeby jej pomóc. Zapłaciłem i podreptałem tuż obok niej. Radość zniknęła. Akt sztuki się zakończył.

– Musimy się tutaj pożegnać – powiedziała ze sztuczną wesołością.

– Co chcesz, abym zrobił? – zapytałem.

– Pokazał wszystkim, że mnie kochasz! A zatem widzimy się w niedzielę o 18? Punktualnie? Aksel też przyjdzie – rzekła, unosząc dłoń na pożegnanie. Potem zniknęła.

Czy wiedziałem już wcześniej, że kobiety są diabłami?

*

Chodziłem od gospody do gospody, poszukując Aksela. Kiedy znalazłem go w kawiarni Sorgenfri przy ulicy Brolaeggerstraede, byliśmy obaj zbyt pijani, aby się bić. Siedział w otoczeniu studentów z bursy Valkendorf i nie rozjaśnił się przesadnie na mój widok. Jednak zahuczał wesoło:

– Czyż nie jest to przypadkiem młody Beniamin Grønelv, który dla odmiany wyruszył w miasto? Gdzie byłeś przez całe moje życie?

– Gratuluję zdanego egzaminu – powiedziałem rzeczowo.

– Dziękuję i wzajemnie! Zniknąłeś po wszystkim jak przepędzony pies. Czy to z powodu słabych norweskich nerwów?

– Odczep się! To ty się obraziłeś i zniknąłeś! – powiedziałem krótko, wciskając się w ławkę obok niego.

Nie miałem pewności, czy coś zrozumiał, czy była to tylko wyjątkowa ulga z powodu zdania egzaminu.

– Zrobiliśmy przyjęcie w Valkendorfie. Kupiliśmy szampana! Szukaliśmy cię u wdowy przy Bredgade. Bezskutecznie! A teraz nagle tu się pojawiłeś! Jak najbardziej przy życiu! – bełkotał.

– Wiem, gdzie on był! – zawołał nagle student imieniem Otto, uderzając się po udzie.

– Więc wypluj to z siebie! – rzekł Aksel.

– Był na romantycznej przejażdżce z małą, cnotliwą Anną profesora! – powiedział triumfująco.

Usłyszałem milczenie Aksela. Jego wielka głowa skurczyła się przed moimi oczami do rozmiarów niedużego orzecha.

– Co takiego, do cholery? – sapali jeden za drugim, tylko nie Aksel.

– Nie miałem pojęcia, że się koło niej kręcisz? – dodał któryś.

– Miałem wrażenie, że poprzestajesz na salowych i kelnerkach! – zarykiwał się ze śmiechu kolejny.

Czasami człowiek ma ochotę uderzyć. Ale tutaj równałoby się to samobójstwu.

– Zaprosiła mnie na obiad – powiedziałem słabo, rzucając okiem w stronę Aksela.

Skinął głową.

– Czy masz pieniądze, chłopcze? Twoja kolej! – odparł zdecydowanie, zaglądając mi w oczy.

Postawiłem następną kolejkę i pozostali dali spokój sprawie Anny. Ale nie Aksel.

Po kilku kolejnych pieśniach i toastach wzniesionych za życie studenckie i kobiety, kiedy staliśmy już na ulicy, gotowi do przejścia orszakiem do Regensen na dalszą część zabawy, Aksel wynurzył się nagle obok mnie.

– Idziemy!

– Dlaczego? – zapytałem ostrożnie.

– To zbyt przyziemne dla pastorskiego syna! Potrzebuję strawy duchowej.

– Oprowadzę tego Aksela kilka razy wokół kościoła Ducha Świętego, żeby trochę odetchnął świeżym powietrzem! – zawołałem do pozostałych.

Kiedy zniknęli, odezwał się:

– Coś cię łączy z Anną?

– Spotkałem ją na ulicy, przejechaliśmy się wspólnie kawałek i zaprosiła mnie na obiad z błogosławieństwem swoich rodziców – odparłem lekko.

– Dlaczego?

– Dlaczego? Dlaczego pytasz? Mam cię pytać o radę, zanim wsiądę do dorożki z jakąś panią?

– Przecież wiesz o tym! – rzekł bardziej pojednawczym tonem.

– O czym?

– Że Anna i ja mamy się pobrać.

– Tak, wspominała o tym.

– A więc?

– Co więc?

– Uczepiłeś się jej.

– To ona chciała się przejechać!

– To kłamstwo – wysapał – to ty starasz się uruchomić ten swój cholerny, obrzydliwy urok, bo sądzisz, że zalecając się do profesorskiej córki, dostaniesz posadę kandydata w szpitalu Frederiks Hospital.

– Teraz, do diabła, grubo przesadziłeś! Zapewne dlatego, że ty tak myślisz! Ty...

– Przecież widzę, że jesteś w niej zakochany? – przerwał mi mrocznym głosem.

– Dobrze, dobrze, i cóż z tego? Czy coś mogę na to poradzić?

Jakby się zapadł w siebie. Usiedliśmy na schodach kościelnych, przeklinając jeden przez drugiego.

– Czy to na poważnie? – zapytał po chwili.

– Nie wiem – odparłem.

– A to miał być dzień radości – jęknął.

– Weź się w garść! – napomniałem go.

– Trzymaj się od niej z dala – powiedział zajadle.

– Nie posiadasz jej na własność!

– Czyż nie jesteśmy braćmi? Czy nie byliśmy razem u Madame w zaułku Peder Madsens Gang... ty i ja?

– Opowiedziałeś jej to? – zapytałem.

– Zdaje mi się, że jesteś naprawdę niespełna rozumu! – wybuchnął pełen odrazy.

Nie wiem, o co chodzi z Akselem, pomyślałem sobie, ale chyba go, do cholery, kocham.

– Zdaje mi się, Akselu, że uwielbiam cię, do cholery! – powiedziałem z głową schowaną w dłoniach. – Ale czasami żądasz zbyt wiele.

Wtedy zaczął płakać. Tak nieskończenie daleko odbiegał od mojego obrazu płaczącego mężczyzny. Dlatego gdy tylko pojąłem, co się dzieje, uciekłem wzrokiem. Chyba był bardziej pijany ode mnie. – Dobrze już, dobrze – mówiłem, kołyszając go. Górował nade mną jak potężne drzewo.

– Może jesteśmy skazani na siebie? – rzekłem gdzieś w powietrze.

Wytarł nos dłonią i nie odpowiedział.

– Może Anna jest dla nas obu? – powiedziałem.

– Jasna cholera! Co ty sobie wyobrażasz, człowieku?

– Tak, tak, tak! Nie bądź taki moralizatorski! Czyż nie byliśmy razem u Madame?

Wyciągnął tylko rękę przed siebie, przyszpilając mnie do kościelnych drzwi.

– Nie mów tak o Annie! – ryknął. – Anna jest aniołem! Jest kwiatem, jest..., jest...

Nie znalazł odpowiednich słów i ponownie się rozplakał.

*

Zapaliłem cygaro, które mogliśmy wypalić wspólnie, i nie powiedziałem nic więcej. Po długiej przemowie na temat piękna i doskonałości Anny uspokoił się wreszcie. Co do niektórych rzeczy miałem wątpliwości, ale z większością się zgadzałem. Jednak pilnowałem się dobrze, żeby nie okazać mu, co myślę.

Późnym wieczorem znaleźliśmy się przy ulicy Holmensgade. Aksel znał tam jedno czyste miejsce. Pełni poczucia braterstwa wgramoliliśmy się po schodach i zapukaliśmy. Madame ubrana w białą koszulę roboczą wyszła nam naprzeciw i szybko oceniła nas wzrokiem. Potem potrząsnęła głową, ziewając.

Pełni wstydu kręciliśmy się przez chwilę dookoła. Niepewnie jak oślepienie światłem mole. Opleceni ramionami w geście pociechy, śpiewaliśmy jedną wulgarną przyśpiewkę pijacką za drugą. Pół zwrotki i całą. Życie nie było nic warte. Egzamin się skończył. Wojna, pustka i kobieta. Czy było jeszcze dla czego żyć albo umierać?

Zasnęliśmy na waleta na ławce w parku. O wschodzie słońca obudził nas konstabl.

Kiedy wstaliśmy na nogi, Aksel rzekł z szyderczym uśmiechem:

– A więc wstałeś z martwych, mój drogi kolego z Północy!

*

Kiedy odprowadzałem Aksela do Valkendorfu i akurat

mijaliśmy Regensen, stała tam pod starą, murowaną ścianą. Na samym rogu ulicy Store Kannikestraede. Nocne światło uczyniło ją przezroczystą. Na głowę narzucony miała biały szal. Trzymała coś w rękach. Zawiniątko z ubraniami?

– Czy to nie jest przypadkiem Karna? – zapytał Aksel.

Zatrzymałem się, ale nie miałem odwagi, żeby od razu przejść przez ulicę w jej stronę. Kiedy zebrałem się w sobie, jej już nie było.

– Czyż to nie była Karna? – zapytał Aksel, głośno czkając.

– Nie – wymamrotałem.

Rozdział siódmy

Po odespaniu pijaństwa i ubraniu się w elegancki strój poszedłem z Akselem na przyjęcie do Anny. Oprócz Aksela, mnie i rodziny były tam jeszcze cztery osoby. Później nie wiedziałem nawet, jak wyglądały ani co mówiły. Ale były to po dwie osoby każdej płci.

Sophie wyrzekała, że z powodu wieczornego przyjęcia dla Aksela cały dzień spędziły na zdejmowaniu prześcieradeł z mebli i odkurzaniu największego salonu. Brzmiało to tak, jakby w całej Danii tylko Aksel zdawał w tym roku egzamin.

– I całe to jedzenie, które trzeba było przygotować! Boże! – rzekła Sophie.

– Sophie! – powiedziała matka ostrzegawczo.

Ale Aksel nie szczędził Sophie słów uznania za jej pracę i chwalił jedzenie, jej sukienkę i półmiski z krojonymi ozorami wołowymi. To ostatnie przewidziane było dla panów. Panie dostały konfiturę z malin.

Aksel, który nie cierpiał gier, zaproponował paniom zagranie przed jedzeniem w „bostona” albo „pół tuzina”^[12].

– Wyobraźcie sobie, że na deser będziemy jedli ciasto marcepanowe! Ale najpierw musicie rzucić okiem na zimny bufet – gruchała Sophie.

– Sophie, proszę! – rzekła surowo matka.

Gęś ułożona na grzbiecie z papierowymi papilotami na uciętych udkach dodała mi odwagi. Starąłem się odszukać oczy Anny. Pod

światłem kryształowego żyrandola bawiły się ze mną w chowanego.

W desperackim przyływie pożądania zdarłem z niej niezauważalnie dla innych sukienkę i położyłem ją pomiędzy wędzonym łososiem a roladą, anchois i solonym, czerwonym mięsem.

Potem zrobiliśmy to. Na stole. Jej uda ochoczo oplatały moje biodra. Widziałem je przez stojak z dwiema karafkami, winem i duńską wódką. Boże drogi, jakież były złociste!

Jej piersi leżały w koszyku z chlebem. Pochwyciłem je. Trzymałem w dłoniach. Z otwartymi ustami. A potem jej wargi! Z półmiska. Smakowały galaretką porzeczkową i marcepanem. Jeszcze długo potem.

Nie braliśmy udziału w rozmowach toczących się przy stole. Byłem w każdym ruchu Anny. Widziałem tylko ją.

W pewnym momencie zauważyłem Aksela. Siedział na krześle dość sztywno, rozmawiając z profesorem i matką Anny. Mógłbym pogłaskać go po policzku. Ale nie robiło się takich rzeczy.

*

Po posiłku podwójne drzwi do biblioteki zostały otwarte dla panów. Tam można było palić.

Ale jeszcze nie skończyłem z Anną. A ona nie skończyła ze mną. Jednak sukienkę miała już na sobie.

Ona teraz zniknie. I będę musiał siedzieć razem z Akselem, profesorem i tymi dwoma bez twarzy, pijąc koniak i paląc cygara – pomyślałem.

Nie wiem, skąd wziąłem taką odwagę, ale nagle powiedziałem:

– Proszę z nami do środka, panno Anno!

Najpierw popatrzyła na mnie sztywno, a potem posłała pytające spojrzenie swemu ojcu. Udał, że tego nie widzi. Ale poszła z nami.

Chyba pogwałciła w ten sposób wszelkie zasady. Najpewniej dostanie reprimendę. Później. Jednak nie do pomyślenia było, aby napominać ją w tej kwestii przy gościach. Profesor lubił stwarzać wrażenie osoby liberalnej i nowoczesnej. Był za tym, żeby kobiety mogły studiować na uniwersytetach.

Anna siedziała na pufie u stóp profesora. Z wyprostowanymi plecami i poważną twarzą.

Że też nie dostrzegłem tego wcześniej! Anna była postacią z jednej z ksiązek Matki Karen. Nie wiedziałem dokładnie, którą. Ale byłem pewien, że to tam właśnie ją spotkałem.

Biblioteka pełna była kosztownych ksiązek. Nagle przypomniałem sobie ten nastrój, kiedy Matka Karen dostawała skrzynie wypełnione mnóstwem ksiązek. Oczekiwanie. Czasami przybywały z bardzo daleka. W ostatnim roku jej życia jedna ze skrzyń przybyła właśnie z Kopenhagi. Były w niej także ksiązki niemieckie. Matka Karen czytała po niemiecku, ale na mój użytek tłumaczyła tekst własnymi słowami. W ten sposób odbyłem pierwsze lekcje przekładu z niemieckiego. Czytała głośno Heinego, bez przerwy zdejmując z twarzy lorgnon i wycierając oko, w którym – jak sama mawiała – ciągle dokuczała jej wilgoć.

Niewiele rozumiałem z wierszy. A jednak słuchałem, siedząc w bezruchu. Jej głos mnie unosił. Wtedy tego nie pojmowałem.

Dzisiaj siedziałem, patrząc na Annę i myśląc, że Matka Karen nie miała nikogo poza mną, z kim mogłaby podzielić się poezją.

Nawet wówczas docierało do mnie, że wiersze pełne są księżycowego światła i cierpienia.

Jeśli był dzień, światło niczym kolumna wypełniało wysokie okno, prowadząc powolny taniec z meblami i rzędami kwiatów na tapetach. Jeśli było ciemno, zapalała wysoką lampę z zielonym, porcelanowym kloszem. Cherub odlany z czarnego żelaza stał, podtrzymując zieloną kopułę wysoko nad głową. Światło pokrywało mchem stronicę książki i dłonie Matki Karen.

Lampy już nie było. Spadła na podłogę w dniu, w którym usłyszałem o swoim wyjeździe do Tromsø.

Skrzynia stała na podłodze, rozsiewając wokół mnogość zapachów. Kurzu, papieru i starych gazet, włożonych dla ochrony książek podczas transportu. Ledwo wyczuwalny odór wilgoci lub pleśni.

Pewnego razu rozpoznałem ten zapach w antykwariacie w Kopenhadze. Można było pomyśleć, że wywoła we mnie miłe uczucie rzewnej tęsknoty. Ale stojąc tam wśród półek, poczułem w całym ciele gwałtowny, fizyczny ból. Musiałem szybko wybiec na ulicę i złapać oddech.

W wystawnej, zdobnej w skóry bibliotece profesora uświadomiłem sobie, że izba Matki Karen odcisnęła się w mojej duszy znacznie wyraźniej niż wiele codziennych przeżyć. Była moja. Niosłem ją w sobie.

Słup światła w pokoju. *Chata wuja Toma*. Baśnie H.C. Andersena. *Żyd Wergelanda*, tegoż *Żydówka* oraz *Den engelske lods*. Wszystko zagnieździło się tam w domu, w poduszkach i tapetach. Nikt nie mógłby zapalić tam światła bez ożywienia tych

wszystkich istot.

Teraz siedziałem tu, pośród obcych półek z książkami, patrząc na Annę.

*

W bibliotece profesora wszystko było większe, chłodniejsze i bardziej męskie w zamierzony sposób. Podczas poprzedniej wizyty nie zrobiło to na mnie takiego wrażenia jak teraz. Zapewne dlatego, że moja ciekawość Anny nie pozwalała mi dostrzec nic innego. Teraz zwracałem uwagę na pokój, gdyż jej osoba wzmacniała różnicę pomiędzy domem a tym miejscem.

– Czy młody człowiek nadal czytuje Kierkegaarda? Czy też praca i lektury fachowe pochłaniają cały jego czas? – zapytał profesor.

– Skoro profesor pyta, to muszę przyznać, że rozważałem ponowne przeczytanie o złożeniu ofiary z Izaaka przez Abrahama – odparłem, przyjmując wręczony mi kieliszek koniaku.

– No cóż, ten stary patriarcha najwyraźniej nie był w stanie uciec przed boskim wyrokiem. A co powiesz ty, Akselu, synu teologa?

– Teologia nie jest moją najmocniejszą stroną – rzekł Aksel.

– Och, Boże, tego właśnie nie mogłam pojąć w tej całej *Bojaźni i drżeniu* – wtrąciła Anna.

Profesor łaskawie nalał jej sherry.

Wypowiedź profesora o Kierkegaardzie stanowiła dla mnie sygnał ostrzegawczy. Poczulem się nieostrożny. Wystawiłem się.

– Dziwne – powiedziałem. – Słowa Kierkegaarda dochodziły do mnie z książki jako głos mojej babki ze strony ojca. Była wierząca i czytała dla mnie... W ten czy inny sposób musi to być dla mnie sprawa kluczowa w poszukiwaniu figury ojca – rzekłem, sadowiąc się na wolnym krześle na wprost Anny.

– W jakim sensie...? – zaczęła Anna, lecz profesor jej przerwał:

– Ojciec nie jest przecież kimś, kogo się poszukuje, on po prostu istnieje.

– To możliwe. Mój ojciec zmarł, zanim się narodziłem.

Zapadła cisza. Wszyscy wpatrywali się w swoje kieliszki.

Jeden z mężczyzn mówił coś, czego nie dosłyszałem. Poczekiałem, aż skończy, i powiedziałem:

– Być może to dlatego reaguję tak gwałtownie.

– Na co reaguje młody Grønelt? – zapytał profesor.

– Na tę pełną bojaźni Bożej postać sprawiedliwego ojca. Na tego wierzącego Abrahama, który planuje złożyć Bogu ofiarę ze swego syna, nie mając zamiaru nic wyjaśnić temu, którego to dotyczy, a więc Izaakowi. Ani Sarze?

– A zatem to pojedyncze zdarzenie da się wyjąć z religijnej przypowieści, żeby spojrzeć na nie tak zwyczajnie, po ludzku? – uśmiechnął się profesor.

Ten uśmiech, bardziej niż cokolwiek innego, zirytował mnie. Ale nie okazałem tego.

– Jeśli mit o ojcu jest prostym zdarzeniem opartym na przemilczeniach i fanatycznej ofierze dla boskości, to być może

powinienem się cieszyć, że mój ojciec umarł – rzekłem sucho.

Kłopotliwa cisza. Zwielokrotniona skrzypieniem butów profesora.

– Abraham nie mógł nic powiedzieć, byłoby to sprzeniewierzeniem się Bogu – rzekł obojętnie Aksel.

Nagle zdałem sobie sprawę, że jeśli chodzi o Jakuba, najgorsze było nie to, że umarł, tylko wszystko, co przemilczał. To, że wisiał sobie z surowym, pięknym uśmiechem oprawiony w czarną, owalną ramę i nie był dla mnie nikim więcej niż dla wszystkich innych wchodzących do salonu.

Nie było w tym żadnego ostrzeżenia. Że ja będę ofiarą.

– Dokładnie tak jak rzeźnik, który musi oczyścić się, patrząc w oczy swojej ofierze, należy być szczerym wobec syna, którego z tego czy innego powodu zamierza się ofiarować. W moich oczach Abraham zawsze był nieszczerzy i tchórzliwy, nawet jeśli zarówno moja babka, jak i Kierkegaard bardzo go poważali. Jedną sprawą jest wykonanie Bożego rozkazu, a inną sposób przeprowadzenia tego czynu.

Nabrałem powietrza po tej długiej przemowie. Profesor siedział ze zmarszczonymi brwiami i pykał cygarem. Aksel wyglądał na zmartwionego.

Wtedy Anna powiedziała:

– Zgadzam się z kandydatem Grønelvem. Nigdy nie byłam w stanie zrozumieć, jak Kierkegaard mógł przeoczyć coś tak ważnego jak to, że przemilczenie także stanowi grzech. Ktoś, kto ma zostać złożony w ofierze, powinien wiedzieć, dlaczego.

Drugi z mężczyzn bez twarzy powiedział coś, czego w sumie nie miałem chęci wysłuchać. Kiedy skończył, profesor powiedział:

– Wy, młodzi, jesteście tacy absolutni. Nie macie zupełnie poczucia wymiaru, zrozumienia prawdziwego przesłania mitu.

– Co profesor ma na myśli? – zapytałem uprzejmie.

– No cóż, co mam na myśli...? Otóż tyle, że Abraham został wybrany przez Boga do złożenia ofiary. Musiał również przyjąć na siebie ten ciężar, jakim było przemilczenie przyczyny wobec tych, których najbardziej kochał. Jego stosunek do ludzi był podporządkowany stosunkowi do Boga.

– Nie rozumiem, dlaczego nie mógł zrobić jednego i drugiego. Powiedzieć ofierze i jego matce, że Izaak musi umrzeć – rzekła Anna.

– I jak sądzisz, co zrobiłaby Sara? – wtrącił Aksel z westchnieniem. Widać było, że ta rozmowa go nudzi.

– Poświęciłaby syna, żeby zachować dobre stosunki z mężem, który z kolei musiał zachować swoje relacje z Bogiem – powiedziała wyzywająco Anna.

– A Izaak? – zapytał profesor tonem sugerującym, że dobrze się bawi.

– Musiał pozwolić złożyć się w ofierze, bo nie miał gdzie się ukryć – odparłem.

– Interesujące – powiedział.

Jego spojrzenie wędrowało od Anny do mnie. I z powrotem do Anny.

*

Czarno-biało ubrana istota przyszła, mówiąc, że nakryto do kawy w salonie. Pozostałem w pokoju. Kiedy reszta towarzystwa odwróciła się, żeby wyjść, pozwoliłem sobie na odwagę dotknięcia dłonią przegubu Anny. Nie cofnęła ręki. Spojrzała tylko uważnie na swego ojca, który rozpoczął już wywód na temat nowoczesnego kształcenia lekarzy.

A Aksel? Czy nas widział? Dziwne, ale nie obchodziło mnie to.

– Bardzo ważna jest ścisła współpraca pomiędzy szpitalami i wywiązywanie się ordynatorów z obowiązku prowadzenia wykładów klinicznych dla studentów. Należy wprowadzić do stałej praktyki system, w którym studenci jak najwcześniej pracują w szpitalach jako wolontariusze.

– Tak, to nie jest dobre, że dotychczas lekarze mogli praktykować bez odpowiednio długiego stażu – stwierdził Aksel, nie spuszczając z Anny i ze mnie uważnego wzroku.

Usiedliśmy wokół niskiego stolika kawowego. Kobiety również. Wślizgnąłem się bezwstydnie pomiędzy Aksela i Annę.

Aksel spojrzał na mnie z pogardą.

– Tutaj Beniamin stanowi doskonały przykład. Widziałeś i wojnę, i poród, czyż nie? – rzekł, uśmiechając się do mnie szyderczo. Tak szyderczo, jak może sobie na to pozwolić tylko dobry przyjaciel.

Nawiązywał do zdarzenia, kiedy pomagałem przyjąć na świat źle ułożone dziecko.

– Cóż, kwestia porodu nie jest chyba żadną oczywistością –

powiedziała matka Anny. – Nawet jeśli lekarze muszą się uczyć, to należy chyba oczekiwać pewnej skromności oraz poszanowania granic.

– No i też nie zaszliśmy o wiele dalej niż do kursu klinicznego z pomocy przy porodzie dla już wykształconych lekarzy – rzekł profesor łagodnie, poklepując swoją żonę po dłoni. – A ja uważam, że studenci muszą uczyć się co najmniej dwa semestry, zanim można uznać ich za gotowych do takich działań. Ale należy dokładniej uporządkować kwestie stażu pod względem praktycznego kształcenia klinicznego.

– Tak, ale trzeba też wziąć pod uwagę, że chorób kobiecych nie można ujawniać przed wszystkimi – powiedziała zdecydowanie gospodyni.

– Przykro mi, ale jestem zmuszony się z tym nie zgodzić. Nie można brać pod uwagę sprawy skromności, kiedy w grę wchodzi poród z komplikacjami. Ważne jest, żeby lekarze umieli w tym zakresie więcej niż położne. To może uratować życie – rzekłem.

Nie powinienem był tego mówić. Widziałem po Annie, że nie powinienem był tego mówić.

– Oczywiście. Ale nie wolno obrażać kobiet, czyniąc z nich obiekty badań. To w złym tonie, młody człowieku – rzekła matka Anny.

A zatem ją obraziłem.

– Lekarz nie może być traktowany na równi z innymi mężczyznami – powiedział pojednawczo profesor.

– A jednak nadal jest mężczyzną – rzekła ostro matka Anny.

– Niemniej myślę, że należy cieszyć się, iż ten młody człowiek nie unika trudnych zadań praktycznych, droga żono – odparł profesor.

– Och, jak mnie nudzi cała ta lekarska gadanina! Czy nie możemy porozmawiać o lecie? O wycieczkach za miasto? – powiedziała Sophie.

– Czy Grøneltv pojedzie teraz prosto do domu w Hålogaland? – zapytał profesor.

– To jeszcze nie do końca pewne. Nie tak łatwo dostać miejsce stażysty w tutejszych szpitalach. A na pewno nie od razu.

– Namawiam go, żeby pojechał ze mną do domu – rzekł Aksel.

Chyba otworzyłem szeroko usta.

– Doceniłbym, gdyby mnie w zamian zaprosił do siebie – dodał przekornie.

– Jak miło, to może będziesz mógł wziąć udział w przyjęciu zaręczynowym – wyrwało się Sophie.

Zapadło kłopotliwe milczenie, a potem Aksel powiedział:

– Właśnie!

– Och, mam nadzieję, że nie powiedziałam niczego, co miało być tajemnicą? Benjamin Grøneltv jest przecież bliskim przyjacielem Aksela? – dodała zarumieniona Sophie.

– Oczywiście! – odparł Aksel z zadowoleniem.

Zdaje się, że już więcej nie włączyłem się w rozmowę. Siedziałem tylko, wpatrując się w Annę.

Po pewnym czasie z zachowania gospodarzy pojęliśmy, że czas

obiadu dobiega końca. Aksel podziękował za nas obu i wyszliśmy. Razem.

Kiedy staliśmy w hallu, żegnając się, trzymałem mocno jej dłonie. Wpijałem się w jej oczy. Próbowałem dotknąć jej umysłu, żeby zrozumiała.

Nie udało mi się jej zapytać. Czy zrozumiała.

*

Zaciskając zęby, szedłem w dół alei z dłońmi złożonymi na plecach. Dogonił mnie z rękami w kieszeniach, beztrosko pogwizdując.

- Nie możesz się z nią ożenić! – powiedziałem z wściekłością.
- Będziesz moim drużbą.
- Idź do ch...
- Dobrze już, dobrze! Nie podniecaj się tak. Pójdźmy na kielonka przed spaniem.
- Picie z tobą nie sprawia mi już żadnej przyjemności.
- Na litość boską, nie poróżnijmy się o to!
- Dlaczego nie?
- Wyszło szydło z worka! W końcu! Jesteśmy rywalami?
- Nie! – odpowiedziałem.
- Jeśli tak, to powiedz, że weźmiesz udział. Przynajmniej w zaręczynach.
- Nie! Ona cię nie chce!
- Oczywiście, że mnie chce – zaśmiał się lekko.

Podbiegł krótkimi susami, aż zrównał się ze mną. A potem zaczął krzyczeć i śpiewać na całe gardło.

– Powiem jej, że chadzasz na kurwy – rzekłem z zaciętością.

Zatrzymał się i odwrócił w moją stronę.

– Taką cholerną kanalią chyba nie jesteś! – rzekł.

Jego oczy i usta były niczym wąskie kreski w księżycowym krajobrazie.

– Ale ty jej nie kochasz! – powiedziałem najspokojniej, jak potrafiłem.

Stał w miejscu. Schwycił mnie ostrożnie za kołnierz marynarki, zmuszając, abym na niego spojrzał.

– To ty jej nie kochasz – warknął.

– Wiesz coś więcej o miłości ode mnie? – zapytałem, wyrrywając się.

– Miłość to nie jest żaden cholerny wyścig – odparł z wściekłością.

– A co wobec tego?

– Chodzi o to, żeby znaleźć żonę, z którą da się wytrzymać. Anna ma klasę. I nie jest...

Urwał. Nie wiem, skąd, do cholery, to się we mnie wzięło. Ale nagle zacząłem płakać. Sam nie byłem pewien, jak to możliwe. Siąkając nosem, tłumaczyłem się, że to przez te wszystkie nieprzespane noce i naukę. Że nie najlepiej znoszę koniak i wino.

Staliśmy na środku placu Kongens Nytorv. Ludzie zatrzymywali się i gapili na nas. Niektórzy uśmiechali się

wymownie, wzruszali ramionami i szli dalej, oglądając się. Obok pojawiło się dwóch młodych obwiesiów. Jeden śmiał się, a drugi przedrzeźniał mnie po mistrzowsku.

Usłyszałem dźwięk podobny do gniecionej chrząstki. Ułamek chwili później ten, który przedrzeźniał, leżał na plecach. Aksel powalił go na bruk. Dwie panie głośno krzyczały. A cała grupa widzów ustawiła się niczym w teatrze.

– O co tutaj chodzi? – zapytał pan w wysokim kapeluszu i garniturze.

– Mężczyzna na ulicy opluł mojego przyjaciela, który płacze, bo jest mu smutno! – rzekł Aksel z wściekłością.

Towarzystwo obrzuciło spojrzeniem chłopaka leżącego na ulicy. Panie zmarszczyły nosy. Potem wszyscy się rozeszli.

Konstabl już pędził w naszym kierunku. Wyglądał władczo i również chciał wiedzieć, co zaszło. Aksel powtórzył to, co powiedział wcześniej. Ale teraz chłopak pozbiierał się już na tyle, że zaczął rzucać przekleństwa. Nie powinien był tego robić. Świat nie jest sprawiedliwy dla takich jak on. Konstabl uwierzył Akselowi, schwycił chłopaka za kołnierz i zniknęli.

Chyba byliśmy dostatecznie nieskazitelnie ubrani. No i nie powiedziałem ani słowa.

Kiedy znów byliśmy sami na tyle, na ile to możliwe na placu Kongens Nytorv, Aksel warknął:

– Teraz chcę tego sznapsa, choćby to miało mnie kosztować wolność!

Podreptałem obok niego.

Po trzecim kieliszku wypitym w „Apotheket” w wymownym milczeniu, Aksel powiedział ostrożnie:

– Chyba rozumiesz, że nie możesz jej mieć?

Wpatrywałem się w niego z wściekłością, nie odpowiadając.

– Chcesz się z nią ożenić? Zawlec ją za sobą do tego zapomnianego przez Boga miejsca, z którego pochodzisz?

Nadal nie powiedziałem ani słowa.

– Uciekłaby z powrotem tutaj w ciągu dwóch miesięcy – powiedział zrezygnowany.

– Idź do diabła! – odparłem ze zniechęceniem.

– I ty również!

Siedzieliśmy przez chwilę.

Dwóch studentów przy sąsiednim stole miało trudności z utrzymaniem się na krzesłach. Człowiek zza baru próbował ich zachęcić, żeby wynieśli się do Regensen, zanim trzeba będzie zawieźć ich tam taczka.

– Jesteś obłudnikiem – rzekł nagle Aksel takim samym tonem jak właściciel gospody.

Słowo „obłudnik” przywróciło mi życie.

– Jakie masz prawo, żeby tak mówić?

– Bawisz się dziewczętami jak kot myszą. Ale jeśli znajdzie się jedna, która przeznaczona jest innemu, to właśnie tę chciałbyś dostać.

– Nie zabawiam się dziewczętami.

– Ależ tak!

– Kiedy? Z którą?

Zaczął je wyliczać. Miał nieprawdopodobną zdolność zapamiętywania imion. To pewnie z powodu wkuwania na pamięć psalmów w dzieciństwie.

– E tam – odpowiedziałem, nie broniąc się.

– Zastanawialiśmy się, czy może złapałeś syfilis, skoro tak nagle przestałeś się zabawiać i zamiast tego zdałeś egzamin.

– Kto się zastanawiał?

– O, wiele osób. Anna również.

– Dyskutowałeś o tym z Anną! Ty gnoju!

– Nie, to ona dyskutowała o tym ze mną.

Opadłem bezsilnie na krzesło.

– I co powiedziałaś o mnie, kiedy zapytała?

Wzruszył ramionami, wlewając w siebie resztki sznapsa. Wytarł usta.

– Że nie wiem, co powinienem myśleć. Siedzisz cały czas w swoim pokoju nad książkami. Schudłeś i wyglądasz jak strach na wróble i rzadko się myjesz...

– Co ona powiedziała?

– Że trzeba cię ratować.

Nagle zrozumiałem, że to nie przypadkiem spotkałem ją na ulicy. To miał być ratunek! Ale dlaczego? Bo ją obchodziłem?

– Ona cię nie chce! – zagroziłem.

– Zechce.

Splunąłem na podłogę, żeby zademonstrować swoją pogardę i protest.

– Ma zamiar uciec do Londynu! – wyrwało mi się.

Teraz ją wydałem, pomyślałem sobie.

Lecz Aksel spojrzał na mnie spokojnie.

– Kobiety z dobrych rodzin nie uciekają, nawet jeśli o tym mówią – rzekł.

Prawdziwe zamroczenie dopiero nadciągało. Nie było to żadne przyjemne upojenie. Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu. W końcu poklepał mnie przyjaźnie po ramieniu i rzekł:

– Skończmy już z tym, Beniaminie. Stawiam jeszcze jedną kolejkę. Nie zostało nam wiele czasu. Razem. Studenckie życie wkrótce się skończy... Było dobre. Będę... No cóż, do cholery, będę tęsknił za tobą! Ale dostaniemy posady kandydatów w Frederiku! Spotkamy się tam!

Poklepał mnie raz jeszcze.

– Czy ona uwierzyła, że mam syfilis?

– To nie ma znaczenia. Na pewno jesteś bardziej interesujący z syfilisem niż bez niego – odparł lakonicznie. – Kobiety takie jak Anna uwielbiają zbawiać ludzi.

[12] Duńska odmiana gry w „oczko” (blackjacka).

Rozdział ósmy

Przez następne dni Reinsnes wydawało mi się miejscem położonym gdzieś daleko za tęczą. Nie wiedziałem, jak tam dotrzeć, zachowując życie. I tym bardziej, jak stamtąd wrócić. Przez wiele lat wyobrażałem sobie, że przestałem myśleć o Reinsnes jako o „domu”. Ale teraz wypełniło mnie, nabierając w moim umyśle kształtów. Miałem uczucie, jakbym odnalazł starą książeczkę z obrazkami i siedział nad nią, nie mając odwagi jej otworzyć.

Mówiłem sobie, że powinienem pojechać do domu ze względu na Andersa. I ponieważ nie było pewne, że dostanę miejsce praktykanta w jakimkolwiek szpitalu w Kopenhadze.

*

Już na przystani w Bergen usłyszałem, że zmobilizowano potężne siły do organizacji corocznego zgromadzenia narodowego w Norwegii, mającego trzymać unijnego króla na wodzy. Nie angażowałem się w to. Długo mnie nie było. A nawet odczuwałem pewną złośliwą radość, bo Norwegia miała teraz potrzebę podkreślenia swojego znaczenia. Nie wybaczyłem jej jeszcze, że Dania musiała bronić się sama przed napaścią Bismarcka. I za każdym razem myśląc o tym, czułem wstyd.

Im dalej posuwałem się wzdłuż wybrzeża parowcem plującym dymem, tym bardziej żałowałem, że jadę do domu.

Współpasażer nie dawał mi spać swoim chrapaniem. A dzień zaczynał około szóstej od kaszlu i chrząkania. To, że mówił w moim języku czy trzeba, czy nie trzeba, nie poprawiało sytuacji.

Odpowiadałem monosylabami. A jednocześnie pamiętałem, jak

pogardzałem Johanem, bo po powrocie z Kopenhagi „zduńszczał” słowa. Postanowiłem w miarę możliwości nie odzywać się.

Współpasażer siadywał coraz bliżej stołu, przy którym miałem zwyczaj jadać. Jak ktoś, kto w rytualny sposób osacza swą ofiarę. Kiedy zwolniło się miejsce, bo jeden z pasażerów opuścił statek w Brønnøysund, mężczyzna przysiadł się do mojego stołu.

Wiedziałem, że już kiedyś go spotkałem. A po kilku minutach zaczął męczyć mnie pytaniami. Trudno było mu umknąć. Już kilkakrotnie wcześniej dał mi do zrozumienia, że wie, kim jestem. Nie przedstawiając się. Nie zadawałem pytań. Zamiast tego próbowałem sobie przypomnieć, gdzie mogłem go widzieć lub spotkać.

Teraz siedział przy moim stole z uśmieczkiem zadowolenia z siebie. Bez powodu zacząłem się pocić. Zupełnie jakbym się bał, że ujawni coś strasznego na mój temat.

Najpierw siedział w milczeniu. Podawaliśmy sobie półmiski, przeżuwać. Potem zaczął mówić o Reinsnes. Wysokim, piskliwym głosem. Ociekałem potem, czując podpełzający lęk. Zagrożające były nie tyle jego słowa, ile wyraz twarzy. Próbowałem go ignorować, odpowiadać krótko i neutralnie albo być przesadnie ujmujący i uprzejmy. Ale nie pojął ostrzeżeń. Po chwili atmosfera wokół stołu zrobiła się nerwowa, bo wszyscy rozumieli, że nie chcę o niczym rozmawiać z tym człowiekiem.

Mężczyzna był zadbany i dobrze ubrany. Miał karykaturalne, wielkie bokobrody, przez co jego twarz wydawała się szeroka. Sprawiało to wrażenie, że ogląda się go w pękniętym lustrze. Głos miał wysoki i jasny. Mówił przesadnie powoli. Jakby wyrażał odwieczne prawdy. Cały czas miało się uczucie, że próbuje zwrócić

uwagę na doniosłe znaczenie swoich wypowiedzi. Robiło mi się niedobrze, chociaż nie powiedział do mnie złego słowa. W zasadzie.

Poczułem się jak mały chłopiec wyobrażający sobie, że ten współpasażer jest Katastrofą. Już od chwili, w której wspomniał o Dinie w taki sposób, jakby był z nią blisko spokrewniony, nie byłem w stanie jeść w jego obecności.

Wspomniał, że podróżował do Trondhjem w interesach, dając mi do zrozumienia, że jest szanowaną osobą. Wszyscy powinni byli zrozumieć zawarte w jego podtekstach sugestie na temat własnej wyjątkowości. W określony sposób opowiedział nam, że handluje włóknami śledziowymi i że chętnie służy innym swoim kapitałem. Kapitan, który siedział z nami przy stole, wymienił nazwisko kogoś znajomego z pytaniem, czy jemu również sprzedał włóki.

– Nie, niech mnie Bóg chroni przed tym człowiekiem! On jest w tej chwili całkowicie niewypłacalny!

Kapitan nie powiedział nic więcej. Nikt się już nie odezwał. Więc mężczyzna kontynuował swój wątek:

– Sam obecnie nie łowię. Zajmuję się tylko uszlachetnianiem „morskiego srebra”. Praca jest dla biedaków. Interes się kręci. Idzie coraz lepiej. Jeśli tylko znajdzie się ktoś, kto ma dość rozumu, żeby się tym zająć! Ale w Reinsnes ostatnio różnie się powodziło? Czyż nie?

Zrezygnowany odłożyłem sztućce. Dlaczego wybrał sobie właśnie mnie? – zastanawiałem się. Dlaczego nie uczeplił się któregośkolwiek z pozostałych pasażerów? Może sprowokowało go to, że nie wypytywałem wcale o jego przymioty? Albo chodziło tu o coś, o czym nie wiedziałem.

– No cóż, wiem z pewnego źródła, że w Reinsnes były ostatnimi czasy pewne trudności z wypłacalnością. Ale on o tym zapewne wie? Tak jest już od dawna. Od czasu zatonięcia klipra. Oczywiście to był wypadek... Anders jest przecież zdolnym szyprem. Ale wszyscy mają jednak swoje ograniczenia. On pewnie nie zna się na handlu w składzie i podobnych sprawach. W końcu to Dina Grønely sama to wszystko... każdy to wiedział. Że się stało, jak się stało... Ludzie przecież gadali... No tak, Anders też próbował swoich sił w połowie śledzia we włóki. Ale nie miał szczęścia, czy jak to tam nazwać... Wygląda, że Strandstedet przejęło ten cały interes. Nie udało mu się z tym śledziem.

Poczułem nieprzepartą chęć pochwycenia go za poły ubrania. Albo założenia klamerki na szeroki, różowy otwór w jego twarzy. Zamiast tego z niekłamanym obrzydzeniem przyglądałem się dolnej części twarzy mężczyzny, konstatuując w myślach, że przypomina ona zad świni.

– Znałem przed laty pańską matkę – kontynuował.

Postanowiłem wyjść. Słońce mocno prażyło przez szybę w salonie. Żeby wydostać się ze swojego miejsca, musiałem precyzyjnie przycisnąć się o wiele za blisko jego ciała. Obiad stał mi w gardle. Przyglądał mi się dwiema chciwymi, wąskimi szparkami oczu i nie dawał za wygraną.

– Była bardzo władcza, ta pańska matka.

Mężczyzna pochylił się nad stołem, zasłaniając mi przejście.

– To prawdziwa zagadka, dlaczego wyjechała. Przecież była świeżo po ślubie? – kontynuował, westchnąwszy z zadowoleniem.

Zdobyłem się na wyduszenie „przepraszam”, precyzyjnie przycisnąłem się

obok niego i wyskoczyłem na pokład. W cieniu komina, w miejscu niewidocznym z salonu, usiłowałem ochłonać. Zwymiotowałem, a pot i wstyd spływały mi po całym ciele. W końcu opadłem na skrzynkę w trzeciej klasie.

Tutaj pasażerowie przebywali przez całą dobę. Spali i jedli we własnym zakresie. Wpatrywali się we mnie z zadziwieniem, ale zostawili mnie w spokoju. Przesiedziałem tak, pozbawiony wierzchniej odzieży, długie godziny.

Koła statku pchały nas w przód, a ja doszedłszy do siebie, zacząłem układać plan przetrwania kolejnych dni i nocy na parowcu.

Punkt 1: Należało przygotować dla tego człowieka zawiłe pytania. Na tematy osobiste. Rodzina, finanse. Trzeba było udawać, że wiem, iż blefuje w tym i owym.

Punkt 2: Trzeba było odparowywać wszelkie komentarze na temat Andersa, Diny i wszystkiego, co związane było z rodziną w Reinsnes.

Punkt 3: Przede wszystkim musiałem zwrócić mu uwagę, że jego chrząkanie i chrapanie było nie tylko nieapetyczne, ale również przeszkadzało mi w spaniu.

Uspokoilem się nieco. W końcu udało mi się nawet dostrzec śmieszność całej sytuacji. Byłem w drodze do domu.

Uświadomiłem sobie, że każde społeczeństwo rządzi się własnymi prawami. Te, które obowiązywały w knajpach Kopenhagi lub na tamtejszym wydziale medycyny, nie miały żadnego zastosowania tutaj, na tym śmierdzącym parowcu, wlokącym się wzdłuż kamienistego norweskiego wybrzeża. Zawieść i radość z

cudzego nieszczęścia miały tu inny głos i odmienną formę. Jeśli miałem sobie poradzić, należało grzecznie przypomnieć sobie odpowiednie wzorce postępowania. Prawdopodobnie nigdy nie nauczyłem się ich jako mały chłopiec. Bo żyłem pod kloszem w Reinsnes.

Już przy kolacji miałem gotowy plan. Czułem się jak niedoświadczony reżyser teatralny, kiedy mężczyzna nadszedł pośpiesznym krokiem i zadał mi pytanie, czy teraz, kiedy morze jest już spokojniejsze, moje mdłości ustąpiły.

– Jestem bardzo wrażliwy na towarzystwo przy stole. Czasami potrafię się rozchorować od głupiego gadania – powiedziałem.

Mężczyzna zawiesił swoje przysadziste ciało w połowie ruchu nad krzesłem i poczerwieniał na twarzy. Ale najwyraźniej nie miał odwagi zapytać, czy to do niego piłem. Wygrałem pierwsze starcie! Niedługo jednak cieszyłem się zwycięstwem. Zapytał mnie, z pozoru uprzejmie, czym zajmowałem się w Kopenhadze.

– Studia.

– Ach tak, słyszałem o tym już kilka lat temu. A kimże to zamierza student zostać?

Weszła pokojówka z dzbankiem kawy i skorzystałem z okazji, żeby bez odpowiedzi zmienić temat.

– A pan nie ma syna studiującego w Kopenhadze, skoro tak wiele pan pyta?

– Nie, rzeczywiście nie mam, ale...

– No tak, nie każdy może sobie na to pozwolić, to przecież strasznie kosztowne. Czy kawa smakowała?

– Tak – odparł zmieszany.

– Czy w domu pija pan na kolację kawę, herbatę i wódkę żytnią?

– Nie – przyznał zaskoczony, usiłując się zaśmiać.

Pozostali pasażerowie przy stole zamilkli i z zainteresowaniem przysłuchiwali się naszej osobliwej rozmowie.

– Zapewne nie jest pan żonaty? Muszę przyznać, że nigdy o panu nie słyszałem. Być może pana nazwisko nie jest szczególnie znane?

Mężczyzna jadł łapczywie, ale wpadł w pułapkę i między kęsami odpowiedział, że tak, to prawda, nie jest żonaty.

– Tak się domyślałem. Proszę nie brać mi tego za złe – rzekłem, czując się doskonale w roli reżysera teatralnego.

Mężczyzna spojrział w dół na swoje kolana, potem obrzucił szybkim spojrzeniem współpasażerów, a następnie powrócił do wrzucania w siebie jedzenia. Zupełnie jakby palił w parowym kotle.

Małżeństwo siedzące z nami przy stole chcąc nie chcąc stało się naszym świadkiem podczas obu posiłków. Widziałem, że są po mojej stronie. Płynęli do Tromsø w odwiedziny do córki. Ale ponad to niewiele o nich wiedziałem, ponieważ z powodu inkwizytora nie udało im się dojść do głosu.

– Wspomniał pan o Andersie? Kiedy pan go spotkał? – zapytałem, krzywiąc się, kiedy siorbnął swoją kawę.

– Zaraz, to było... Chyba na Lofotach w 61?

– Tak? Robi pan z nim interesy?

– Nie do końca...

– Odwiedzał pan go na kliprze?

– Nie – odparł wymijająco, odstawiając talerz.

– Ale zna go pan dobrze? Był pan w odwiedzinach u Diny Grøneltv w Reinsnes?

– Nie, w zasadzie nie...

– Jednak zna pan szczegóły prowadzenia gospodarstwa i składu?

– Człowiek słyszy to i owo...

– Tak, w tym miejscu, z którego pan pochodzi, to chyba najlepszy sposób na zorientowanie się w sytuacji. Że się słyszy to i owo? I opowiada się to dalej? To trochę jak prowadzenie interesu. Zbił pan na tym majątek?

Nie był w stanie dalej znosić mojej bezceremonialności.

Podniósł się ociężale. Przez chwilę wsparł się obiema dłońmi na kolanach, patrząc na kratownicę na podłodze. Potem z twarzą niczym wschód słońca i czołem jak wysmagana morzem skała ze sztokfiszami opuścił salon.

Po jego wyjściu przy stole zapadła cisza. A ja nie usiłowałem przeproszać ani podjąć konwersacji. Głęboko w środku wiedziałem, że posunąłem się za daleko. Że człowiek nie powinien aż tak mścić się na tego typu osobach. Choćby dlatego, że zło w nim tak bardzo przewyższało rozum. Tego drugiego nie wystarczało mu do uświadomienia sobie, jak głęboko jest w stanie dotknąć innych. Nie mógł również wiedzieć, że samo wspomnienie imienia Diny uruchamiało we mnie lawinę uczuć i sił niepodlegających żadnej kontroli.

Czułem na przemian złość i smak zwycięstwa. Ale dobrze zrobiło mi to, że siwowłosa żona człowieka przy stole skinęła w moją stronę głową w chwili, gdy nasze spojrzenia spotkały się nad podawanym jej przeze mnie półmiskiem śledzi.

– To wspaniałe, że noce są coraz jaśniejsze w miarę, jak posuwamy się na północ – powiedziała łagodnie.

– Tak – odparłem z wdzięcznością. – Już prawie zapomniałem, jak to jest.

– To nasza pierwsza wycieczka w te rejony, jesteśmy tak podekscytowani, że ledwo udaje nam się spać. Musiało panu być trudno opuścić te miejsca na rzecz studiów w Kopenhadze?

– Och, dobrze jest uczyć się i zobaczyć inne rzeczy niż w domu – rzekł jej mąż.

– To prawda – odparłem.

– Powrót do domu zapewne bywa trudny. Szczególnie, jeśli człowiek staje się obiektem takiej uwagi – powiedział lekko mężczyzna, wskazując głową na drzwi.

– Ale tym razem doskonale pan sobie poradził! – szepnęła żona, przechylając głowę w bok.

Nocą spałem pomimo jego chrapania. A może nie miał odwagi chrapać. Nigdy nie otrzymałem na to dowodu. Ale następnego ranka przesiadł się do innego stołu. A w salonie już po chwili rozbrzmiewał jego inkwizytorski głos, kiedy ze spokojną pewnością i zadowoloną miną demaskował jedno bankructwo i dwa skandale rodzinne. Jego towarzysze przy stole siedzieli w milczeniu, z coraz niżej pochylonymi głowami. A koła statku przez cały czas pchały nas w górę Vestfjorden.

Mężczyzna zszedł na ląd i nie wyglądało, żeby komuś miało go brakować. Zarówno w męskiej kajucie, jak i w salonie powietrze się poprawiło.

*

Nocą zbudził mnie sen. Poczułem, jak puste współczucie rozlewa się po moim ciele. Wiedziałem, że śnił mi się niesympatyczny współpasażer, ale nie pamiętałem, o co chodziło we śnie.

Chyba z grubsza o to, że widząc, jak dużo jest w nim zła, poczułem litość. Było tam wielu świadków. Ale poza tym okropnym uczuciem nic nie pamiętałem ze snu.

Nie wiem, czego oczekiwałem w chwili, gdy zobaczyłem zabudowania Reinsnes wylaniające się wśród zielonych pól. Trudno było mi stać tam pomiędzy obcymi ludźmi. Udałem, że muszę coś sprawdzić w bagażu, i kilkakrotnie pochyliłem się nad torbą podróżną, przeglądając dokumenty i dwa listy, które zamierzałem zostawić agentowi pocztowemu. Wyszukałem osiem szylingów na te listy i zobaczyłem, jak znikają w torbie agenta w chwili, kiedy małe łodzie przybiły do burty statku.

Dopadło mnie uczucie całkowitej obcości. Zebrałem się w sobie, widząc w łodzi Andersa. Wiosłował sam. Przez chwilę miałem wrażenie, że zacznę płakać. Ale udało mi się powstrzymać. Zamachałem dłonią, krzycząc coś w rodzaju: Ahoj! – bo uznałem, że tak powinno się zrobić.

Nie spodziewałem się, że przez tych kilka lat Anders tak się postarzeje i posiwieje. Nie oczekiwałem nowej łodzi i obcego młodzika na pokładzie. Nie pamiętałem, jak szeroko morze rozpościera się za przybrzeżnymi wysepkami. I że te wysepki są

tak małe i tak mocno skąpane w słońcu. Ani że Anders ma tak zniszczone ręce.

Nie rozpoznałem też przystani. Czyż na pomoście Andersa farba nie była mocno obłuszczona? Czy domy się nie skurczyły? Jak to możliwe, że dym z pralni tak krzywo wznosił się w górę? A ludzie na kamienistej plaży? Dlaczego patrzyli na mnie tak, jakbym był duchem? Czy byłem duchem? Czy przybyłem do domu, czy w gošcinę do obcych, którzy tylko odczytali moje nazwisko na liście pasażerów w lokalnej gazecie? Cóż, na Boga, miałem tutaj do roboty?

Czy to tak miało wyglądać doznanie powrotu do domu, kiedy nieobecność trwała całe wieki?

Nagle poczułem się tak, jak słyshałem w opowiešciach ludzi, którzy o mały włos nie utonęli. Życie przebiegło mi przed oczami. Niezwykle szybko. Zamroczony i znękaný chwyciłem mocno reling i zwymiotowałem. I do tego wszystkiego wmieszał się jeszcze idiotyczny sposób życia Peera Gynta. Łajdaka, tchórze i poszukiwacza przygód. Jak ja. Płatek piany całkowicie zagubiony na wielkim oceanie. A kiedy w końcu dopłynął do lądu, plaża okazała się obcą ziemią.

Córka Tomasza i Stine, Sara, miała stały obowiązek głošnego czytania Andersowi poczty i gazet w biurze przy składziku. Włašnie przeczytała o tym, że śledź wpłynął do wszystkich fiordów i że Strandstedet już zostało zastawione beczkami i pełne jest ludzi gotowych do solenia za zapłatę lub udział w zyskach.

– Zakładamy, że będziemy solić tutaj w Reinsnes – rzekł Anders, patrząc na Sarę tak, jakby była jego towarzyszem.

– Tfu, na psa urok! Kupimy więcej włóków!

Anders uderzył pięścią w biurko, aż zadźwięczało. Podbródek miał wysunięty do przodu, a oczy roześmiane. Był niczym wierzby na wzgórzu z flagą. W czasie niepogody kładły się płasko przy ziemi. Ale się nie łamały. Kiedy wiatr ustawał, prostowały się, otrząsając korony, jakby nic ich nigdy nie sponiewierało.

Podczas ostatniej wyprawy na Lofoty Anders zauważył, że gorzej widzi w nocy. Najpierw twierdził, że to z powodu tej nieludzkiej pogody, szalejącej w czasie przedwiośnia, kiedy to nie mogli opuścić portu, a sprzęty i łodzie co chwilę ulegały uszkodzeniu. Ale przyczynę stanowiła nie tylko morska mgła i ostry południowy wiatr. Coś stało się z jego wzrokiem, narzekał.

Tomasz przyglądał mi się przyjaźnie swoim jednym niebieskim, a drugim brązowym okiem. Nie mogłem zrozumieć, jakim cudem mieliśmy jakąś sprzeczkę przed moim wyjazdem. Ale nie rozmawialiśmy ze sobą zbyt wiele.

*

Hanna była świadkiem wszystkich moich działań. Nieobecny.

– Ma dobrze. Nieczęsto tutaj zagląda – rzekła Stine na swój oszczędny sposób.

Sara wyrosła. Rzadki, dziki kwiat, nienasycony w składaniu liter tak, aby utworzyły sens. Anders zatrudnił ją minionej zimy do czytania mu na głos gazety. Mieli stałą umowę, obejmującą dużą tutkę brązowego cukru co sobotę i nową sukienkę, którą miał przywieźć jej latem z Bergen.

Ten dzieciak najwyraźniej urodził się starym człowiekiem. Utykała nieco na jedną nogę. Widziałem, że ma lekko szpotawą

stopę. Wziąłem ją na kolana, żeby pomasaż jej nogę.

Siedziała cicho jak myszka.

– Jesteś podobna do Hanny, wiesz o tym? – powiedziałem.

Kiwnęła głową, sadowiąc się wygodniej.

– A ty nie jesteś podobny do nikogo tutaj! – rzekła z powagą w oczach.

Rozdział dziewiąty

Szukając śladów Diny po schowkach i szufladach, uświadomiłem sobie, że właśnie łamię obietnicę, którą sam sobie złożyłem jako siedemnastolatek: nigdy nie zbliżyć się do niej, dopóki sama nie wyciągnie ręki!

Pewnego wieczoru, kiedy Anders siedział i pracował w kantorku składu, poczłapałem do niego.

Nieśmiały wiatr poruszał koronami drzew w alei. Powietrze pachniało ostrym mrozem. Tęskniłem za gospodarzami i studenckim życiem. Cała ta natura przyprawiała mnie o męki sumienia, czyniąc mnie niespokojnym i samotnym. Nie byłem ani rybakiem, ani rolnikiem, ani myśliwym. Nawet nie kupcem. Ona zapewne też to dostrzegła. Że nie zrobię więcej dla Reinsnes niż Johan. Ale przynajmniej dziś wieczorem zamierzałem przełamać ten schemat.

Z najnowszymi hawańskimi cygarami, które przywozłem z Kopenhagi w kieszeni kamizelki, poszedłem na dół do Andersa, nie do końca wiedząc, jak zabrać się do sprawy.

Wyraźnie ucieszył się z przerwy. Zamknął protokoły, odsuwając je na bok. Potem nalał rumu i poprosił mnie, abym usiadł na szezlongu, stojącym tam jeszcze od czasów Nilsa. Mebel był mocno zużyty, z wystającymi sprężynami i zmechaconymi podłokietnikami. Pokryty plamami po niechlujnych rybakach i ze śladami po toastach wzniesionych z kupcami.

Zapytałem, nad czym się mozoli. A Anders zaczął opowiadać o widokach na zakup włóków śledziowych. Słuchałem go przez chwilę, kiwając głową i zadając pytania.

Kiedy podniósł się, żeby ponownie napełnić kieliszki, rzekłem bez ostrzeżenia:

– Noszę się z zamiarem napisania do Diny.

Stał zwrócony do mnie plecami, ale zauważyłem, że nieznacznie poruszyły się jego ramiona i kark. Potem zeszywniał i zastygł w powietrzu, tak jakby miał zostać w tej pozycji na całą wieczność. W końcu odwrócił się i spojrzał na mnie.

– Nikt nie może ci tego zabronić.

Wręczył mi kieliszek.

– Czy masz adres?

Uniósł kieliszek w moją stronę i powoli upił łyk. Potem usłyszałem:

– Wysyłałem list za listem... Na adres w Berlinie. Bez żadnej odpowiedzi. Poddałem się dawno temu. Nie jestem zbyt dobrym pisarzem. Dałem już sobie z tym spokój. Mam tylko nadzieję, że ona ma się dobrze.

Przełknąłem ślinę, czując narastającą wściekłość. Na chwilę musiałem wbić wzrok w podłogę.

– Dostałeś te listy jako zwrot?

– Nie.

– To znaczy, że musiała je otrzymać!

– No cóż...

– Tylko nie odpowiedziała – odparłem jadowicie, jednym haustem wlewając w siebie rum.

Nie odezwał się.

– Ale masz adres?

– Tak, ale jej zapewne tam nie ma. Berlin jest dużym miastem.

– Tak, a świat jeszcze większym miejscem – rzekłem sucho.

Spojrzał na mnie uważnie i powiedział:

– Dlaczego chcesz napisać teraz, skoro nigdy wcześniej tego nie zrobiłeś?

– Na wszystko przychodzi czas – odparłem wymijająco.

Skinął głową.

– Mieliśmy ciężkie czasy... Ale teraz kupię włóki. Mam wiarę w śledzia... Co takiego jej napiszesz? Nie pisz, że jest nam trudno. To nie są wiadomości warte otrzymania.

– Nie.

Przez chwilę milczeliśmy, a potem rzekłem:

– Napiszę jej wreszcie o mojej nienawiści.

Jego oczy podobne były do tych, które widziałem, zbierając ciała pod Dybbøl. Jeszcze tliło się w nich życie.

– Nienawidzisz swojej matki?

– Tak, to przecież oczywiste.

– Jesteś mądry, ale surowy – rzekł z namysłem.

– A ty? Ty również jesteś mądry. Czy miałeś dość świadomości, żeby odczuwać nienawiść?

– Nie – odparł, prostując się i patrząc na mnie. – Nie jestem

stworzony do stawiania na tak mocne karty. Nienawiść? Nie.

– W jaki więc sposób sobie z tym poradziłeś?

– Pracując! – usiłował wyszczerzyć zęby w uśmiechu. Klepnął się w udo, przeczesując drugą ręką białe włosy.

Nie pomogłem mu, śmiejąc się razem z nim. Udawałem, że nie pamiętam, jak prawdziwi mężczyźni radzą sobie z trudnymi sprawami.

– Nigdy nie oskarżałeś jej o to, że nie było jej tutaj, kiedy wróciłeś z Bergen, utraciwszy wszystko?

– To nie ona posłała żaglowiec na dno morza – rzekł zdecydowanie.

– Ale to jej nie było tutaj, kiedy wróciłeś do domu!

Przez chwilę siedział pochylony do przodu z łokciami opartymi na kolanach i zwisającymi dłońmi. Jak znużony rybak, który szczęśliwie dotarł na ląd i wraz z pierwszym haustem dymu z fajki puścił w niebo zmęczenie.

– Miała swoje powody – powiedział w końcu.

– Jakie powody?

Spojrzał prosto na mnie. Jego spojrzenie było tak surowe, że aż się wzdrygnąłem. To nie był wzrok Andersa. Tylko utopca.

– Ty, Beniaminie, najprędzej ze wszystkich powinieneś to wiedzieć.

– Co masz na myśli? – szepnąłem.

Czyżbym tęsknił za tym przez całe lata? Żeby ten lub ów powiedział: Wiem o wszystkim! Może teraz to się zdarzyło. Wtedy

nastałaby Prawda. Czy bym jej podołał?

– Co masz na myśli, Andersie? – powtórzyłem.

– Powiedziała mi, dlaczego wyjeżdża. Poprosiła mnie, żebym zajął się wszystkim tutaj.

Nie byłem w stanie dostrzec jego twarzy. Zwrócona była w ciemność podłogi.

– Pobłogosławiła mnie i wszystko co zrobię – rzekł cicho.

– Pobłogosławiła cię?

– Tak, jak ci starzy patriarchowie, o których czyta się w Biblii... obdarzyła mnie swoim błogosławieństwem.

– Zanim wyjechałeś i zanim „Matka Karen” zatonała z załogą i całym ładunkiem? – zapytałem. Nie mogłem się powstrzymać.

– Błogosławieństwo przyszło po jej wyjeździe. W liście. Ale wcześniej opowiedziała mi, dlaczego musi wyjechać.

W lampie wypaliła się nafta, kopciła teraz na izbę. Wstałem z postanowieniem, żeby to zakończyć. Ciemność zbliżyła nas. Niebezpiecznie. Podeszedłem do okna.

– Czy mogę zobaczyć to błogosławieństwo? – zapytałem.

– Spaliłem je od razu.

– Dlaczego?

– Mogłoby wpaść w ręce kogoś niepowołanego.

Wiedział! Leżałem z głową na pniu w oczekiwaniu na cios topora. Usta miałem suche, a mój umysł odmawiał współpracy. To był koniec. Anders wiedział o wszystkim, nie mówiąc mi o tym ani

słowa!

– Czy to błogosławieństwo miało taką siłę, że musiałeś je spalić?

Usiłowałem nadać głosowi normalne brzmienie. Próbowałem nawet włożyć w te słowa coś na kształt dziecięcej zazdrości.

– Można tak to ująć. Wiele treści zawarła w tym błogosławieństwie – rzekł.

– I nie chciałeś się tym z nikim podzielić?

– Nie!

– Ze mną też nie?

– Najmniej z tobą, Beniaminie.

Wbiłem wzrok w czarną linię wodorostów wokół zatoki Vika. Pamiętam, że będąc chłopcem, bałem się jej w ciemne wieczory. Obawiałem się również tego zapachu. Wpatrywałem się w księżyc. Samotny, złoty przecinek na nieskończenie pustej, fioletowej kartce książki.

Oto, co napisałem:

Reinsnes, dnia 15 stycznia 1869 roku

Dino,

ja, twój syn Benjamin, piszę do ciebie w sprawie Andersa i Reinsnes.

Wiele czasu upłynęło od twojego wyjazdu. A Anders nie otrzymał od ciebie żadnej wiadomości. Ma za sobą trudne lata. Jak wiesz, stracił w katastrofie morskiej „Matkę Karen”. Wszyscy pozostali zginęli. Anton również. Nic nie było ubezpieczone. Ryby nie dopisały przez dwa lata z rzędu, a

subiekt w składzie już wielokrotnie się zmienił.

O tym wszystkim Anders zapewne ci powiedział. I to nie z tego powodu piszę. Proszę, abyś dała Andersowi znak, czy żyjesz, ponieważ powinien ponownie się ożenić. Chyba jest po prostu samotny. Możesz zrobić dla niego tyle, żeby zwolnić go z przysięgi małżeńskiej lub posłać mu inną wiadomość. Jeśli nie dasz mu znaku życia, nie wiem, jak to wszystko się potoczy.

Tomasz, Stine i dzieci mają się dobrze. Oline zaczyna się starzeć. O ile wiem, cała rodzina referendarza jest zdrowa. Hanna wyszła za mąż i mieszka na Lofotach.

Twój syn

Benjamin Grøneltv.

PS. Jeśli ten list trafi do rąk kogoś innego niż Dina, proszę o odpowiedź w jej imieniu.

B.G.

Sam powiosłowałem do parowca z listem. Zupełnie jakbym obawiał się, że subiekt ze składu przeczyta go i będzie snuł domysły.

Mogłem wspomnieć, jak długo zamierzam zostać w Reinsnes albo że zdałem egzaminy i miałem nadzieję na zdobycie gdzieś posady kandydata. Ale nie pisałem tego listu ze względu na siebie. Tego by tylko brakowało.

Z czego żyła? Zgodnie z tym, co mówił Anders, nic jej nie wysyłał. Od czasu do czasu wyobrażałem sobie, jak siedzi pod mostem w jakimś obcym mieście. Z brudnymi, rozczochranymi włosami i pooraną zmarszczkami twarzą. Z ciałem ukrytym w

podartych łańchmanach, niepranych od miesięcy. Czasami również oczyma duszy widziałem ją na podium w sali koncertowej, ubraną w czarną, jedwabną suknię. Siedziała z błyszczącymi włosami spływającymi na ramiona i wionoczelą w objęciach, a ludzie słuchali w nabożnym skupieniu.

Nie było niczego pośrodku.

Usiłowałem trochę więcej wypytać Andersa o to, co myśli. Ale szybko pojąłem, że dla niego to tylko źródło cierpienia. Wyjeżdżając, zabrała ze sobą istotną część Andersa. Nie wiadomo było, czy kiedykolwiek zdobył się na odwagę, by ocenić straty.

*

Czasami człowiek robi beznadziejne rzeczy, które później okazują się czymś w rodzaju pokuty. Pojechałem z Andersem na Lofoty. Bardziej ku pociesze niż pożytkowi.

Powierzył mi odpowiedzialność za dokumenty i ładunek. Oraz inne bieżące sprawy.

Żeglowaliśmy nowym kliprem z dwoma barkasami przy boku. Dzięki temu mieliśmy więcej miejsca zarówno dla ludzi, jak i sprzętu. Transport zarobkowy był najwyraźniej dobrym interesem. Szczególnie pod koniec połowów, kiedy właścicielom małych łodzi zaczynało wszystkiego brakować. Wtedy wycofywaliśmy kliper z połowów, żeby odpłatnie dowieźć innym sól i sprzęt.

Miałem płynąć na kliprze, żeby dopilnować buchalterii. Przydzielił mi tam miejsce zapewne po to, aby oszczędzić mi zardzewiałych przynęt i odmrożonych palców.

Sam najbardziej lubił łowić. To w tym zapewne tkwiła wolność i przygoda. Stąd brały się wrzody na palcach i nieposkromiona

odwaga życiowa.

– Nawet jeśli ryby jest mało, to sam połów stanowi przyjemność. Wszystko inne, wszystko to, na co nic nie można poradzić, musi poczekać do powrotu z Lofotów – rzekł Anders.

Tę filozofię dzielił chyba ze swoją załogą. Uważali go za porządnego szypra. Ale miał w sobie coś, co trzymało ich na dystans. Co unosiło się w przestrzeni wokół niego. Wyróżniało go. Mógł mieć na sobie sztormiak oraz zydwestkę i tak jak pozostali smarkać w palce. A jednak widać było z daleka, że on tu rządzi. Człowiek mógł pożartować sobie z Andersem z Reinsnes. Ale nie za jego plecami. Nigdy nie klął i nie ustalał niedorzecznych zasad, żeby wzbudzić szacunek. Wystarczyło spojrzenie. Wyraz twarzy.

Cieszyłem się, widząc to.

*

Staralem się ukryć, że źle się czuję w rybackich szopach, przy monotonnych gadkach o pogodzie i kierunku wiatru. W zapachu rybich wnętrzności i kwaśnym odorze mokrych ubrań. Próbowałem odbyć pokutę. Za co?

Nigdy nie zauważyłem, żeby Anders kontrolował moją pracę. Ale mimo to zdawałem sobie sprawę, że to robi. Opowiadałem anegdoty o własnych popełnionych głupstwach. Mieliśmy z tego ubaw. Ale nie było tam przestrzeni na opowieści o życiu w Kopenhadze i tym podobnych bagatelach.

Nie tylko załogi łodzi z Reinsnes nadały mi status doktora. Zdarzało się, że przychodzili również rybacy z innych załóg. Prosilili o pomoc na wrzody na dłoniach i na przepicie, na przepuklinę i na gorączkę.

Na Morzu Lofockim nie zajmowano się głupstwami. Nie miało znaczenia, że człowiek nie odbył praktyki. Jeśli potrzebny był doktor, a ludzie mówili, że było się w Kopenhadze uczyć się na doktora, to w zupełności wystarczało. Granice były jasne. Obliczano zyski i straty. Życie albo śmierć.

Bycie doktorem zapewniało szacunek, nawet jeśli poza tym człowiek nie nadawał się do większości rzeczy. Czasami miałem uczucie, że lepiej byłoby, gdyby zanurzyli mnie w beczce z wątróbką dorsza zamiast okazywać mi ten pobłażliwy szacunek i rzucać spojrzenia z ukosa.

Jednak obraziłem ich, kiedy powiedziałem, że nie chcę równego z załogą udziału w zyskach. Mówiąc to, od razu pojąłem, że robię błąd. Ale było już za późno. Zdążyli zobaczyć, że nie traktuję poważnie ich ciężkiego, pełnego znoju życia. Nie miałem dla tej sprawy należnego szacunku. Ani woli, którą oni musieli posiadać, żeby wytrzymać.

Bachor czarownicy mógł zrezygnować z udziału w zyskach, bo był doktorem. Bachor czarownicy nie musiał być pełnowartościowym rybakim, bo mógł przechadzać się dookoła w kamizelce i marynarce. Ale nie dali tego po sobie poznać.

Gdyby połowy były nieudane, tak jak za pierwszym razem, kiedy byłem z nimi na Lofotach, być może rzuciliby się na mnie. Ale tego roku ryba dopisała. Dzięki temu byli w swej wściekłości niemrawi i powolni jak wciągany do łodzi czarniak.

Kiedy Anders stał na pokładzie wśród huku fal, a na jego twarzy odbijał się spokój otaczających gór, czułem zazdrość. Anders był morzem. W takich momentach wydawało się, że nie potrzebuje niczego innego.

Nie żywiłem niechęci do mężczyzn ani do prac, które mi polecali. Ale nie było to moje życie. Rozumieli to.

Ta, która posłała mnie w stronę ksiązek, chyba to dostrzegła.

Stroniłem od wódki i od pouczania mężczyzn, że świat jest nieco większy niż od jednego krańca Lofotów do drugiego. To również byłoby niemądre. Podobne niedocenianiu przeciwnika tylko dlatego, że posiada inną broń od mojej.

Wystarczyło, że człowiek jeden raz musiał paść na kolana w południowo-zachodniej bryzie na otwartych wodach Vestfjordu. Lub zanieść do łóżka kogoś, komu oberwało się za pijacką pyskówkę. Wtedy już się wiedziało.

*

Zostaliśmy zakwaterowani w stosunkowo dużej kajucie. Mimo to było ciasno. Dzieliłem koję z Andersem. Nad głową miałem półkę z książkami i przyborami do pisania. Nikt nie dotykał tych rzeczy ani z nich nie żartował. Ale spojrzenia wędrowały.

Tamtego razu, kiedy byłem chłopcem pokładowym podczas wyprawy na Lofoty, mieliśmy w załodze mężczyznę imieniem Tore. Każdego wieczoru bez wyjątku czytał na głos Biblię. Aż ludzie zasnęli. Wszyscy sądzili, że jest tak religijny, iż zostawili go w spokoju. Jednak pierwszej soboty, kiedy wtoczył się do kajuty kompletnie pijany, zrozumieli, że ta ocena była błędna. A kiedy przypomnieli mu o jego wiecznym czytaniu Biblii, okazało się, że właśnie nauczył się czytać. Stało się to jego obsesją. Miał prawie pięćdziesiąt lat i właśnie nauczył się czytać! Jediną książką, jaką posiadał, była Biblia. Jedinymi słuchaczami, których miał, była załoga klipra.

W wyobraźni zobaczyłem mężczyznę uroczyście składającego słowa z Ewangelii przed załogą zasypiającą z wyczerpania i znużenia. Ale on czytał i czytał.

Nagle pomyślałem o Dinie i wiolonczeli. Przypomniałem sobie, jak budziłem się nocami, bo przez ściany wmuszała w nas wszystkich te tony. Całymi nocami z sali sypialnej dochodziły dźwięki wiolonczeli, która na przemian grzmiała, łkała i śmiała się. Teraz bardziej rozumiałem, jak to jest dawać coś, czego nikt nie pragnie dostać.

Może człowiek ma tylko jeden wybór. Wejść w to wszystko, poddając się tak, jak ja zrobiłem to w domu garbarza.

Albo: Znaleźć w sobie siłę do wyzwolenia się.

Tak czy owak, trzeba zapłacić cenę.

Człowiek może oczywiście się uratować, odgrywając klauna. Wzbudzającego śmiech, ale też i lęk. Strach spowodowany zagrożeniem, że każdy może zostać przez niego ośmieszony.

Klaun może śmiać się z siebie samego, a jednocześnie nikt nie zna jego myśli i nie wie, w kogo tak naprawdę ten śmiech jest wymierzony.

Ale nie można zdecydować się na bycie klaunem. Człowiek nim jest albo nie.

Ja chyba nie jestem.

*

Cieszyłem się, że tego roku nie było z nami człowieka z Biblią. Czytałem bezgłośnie i przy jak najśłabszym świetle. Dzielenie pochłanianych słów z mężczyznami w kajucie byłoby dla mnie

stratą czasu. Nie czułem żadnej dumy, że potrafię czytać. Nie walczyłem o tę umiejętność. Dla mnie była ona oczywistością.

Moje działania nie miały jasnego celu. Tak jakby moje życie stanowiło raczej bierną podróż niż walkę. Chyba nie mam zdolności do walki. Nie rozumiem zasad. Kiedyś odznaczałem się talentem do podporządkowywania się. Ale posuwam się zbyt daleko i zostaję wyeliminowany.

Czy to dlatego, że jestem nieudanym klaunem?

*

Siedemnastego marca powróciliśmy z Lofotów.

W tym dniu kalendarz księżycowy Matki Karen głosił, że można pójść do łóżka, nie zapalając światła. Ale od Diny nie przyszedł żaden list.

Otrzymałem za to posadę kandydata w szpitalu Frederiks Hospital.

W maju, kiedy miałem wyruszyć z Andersem na przyspieszoną wyprawę do Bergen i stamtąd podążać dalej do Kopenhagi, nadal nie było od niej listu.

Teraz miałem wyjechać, nie podając żadnego adresu w Kopenhadze. Jeśli chciała stanowić dla mnie tajemnicę, to i ja zamierzałem być dla niej zagadką. Niech będzie zmuszona posłużyć się Andersem.

*

Anders siedział na dachu budki sternika, machając ręką, kiedy szkuner, którym okazji zabrałem się w podróż, prześlizgnął się obok „Svanen”, opuszczając zatokę Vågen w Bergen. Było lato, a

Anders siedział tam z zimą we włosach i machał tą chusteczką, w którą nie wycierał nosa.

– Zawsze czułem opór przed wycieraniem nosa w materiał... – to jego zwierzenie pamiętałem z czasów, gdy byłem chłopcem.

Potem twarz Andersa powoli się rozpląnęła. Sylwetka jakby się skurczyła. Lekko pochylony kark. Barki. Ramię. Włożył na siebie nową bosmankę, żeby uczcić mój odjazd. Cała jego figura wyglądała przez to jak czarna plama pomiędzy masztami.

Potem chusteczka zlała się w jedno z niebem.

Doznałem uczucia, jakbym był dorosłym, który wyjeżdża, a Anders małym chłopcem, który musi zostać. Może nie miało to znaczenia. Kto był ojcem, a kto synem.

Najważniejsze to nie zostać opuszczonym.

Człowiek mógł dziwić się, dlaczego Anders nie zadał pytania, czy Dina odpowiedziała na list. Ani nie spróbował odwieść mnie od podróży do Kopenhagi?

Teraz Anders miał wrócić do domu. Wieczory szybko ciemniały. Główny budynek w Reinsnes wyda się wielki i pusty. Z głuchym echem samotnych kroków w przeciągach korytarzy. Potem nadejdzie bezdomny, szarpiący wszystko wiatr. Słaby i silniejszy. I puste salony wypełnione stłumionymi dźwiękami, dochodzącymi ze spiżarni i kuchni. Mróz gryzący szyby. Najgorszy w pustych pokojach. Musiał chodzić tam między żywymi i umarłymi. A jednak nie miał nikogo, kto mógłby ożywić dla niego ogień w piecach.

Sam parokrotnie znosiłem jej pudło z kapeluszami na przystań i widziałem, jak znika na morzu. Było lato. Ale za każdym razem kawałek mnie zamarzał na śmierć.

Można było zadawać sobie pytanie, jakim cudem Anders przeżył.

Rozdział dziesiąty

Kopenhaga w lipcu była gorąca.

Przez dwa dni siedziałem przy ulicy Bredgade z zaciągniętymi zasłonami i odświeżałem wiedzę, przygotowując się na spotkanie z tym wszystkim, co czekało kandydata w Frederiks Hospital.

Od czasu do czasu musiałem wyjść. Kończyło się to w jednej z knajp w okolicy Regensen. Niewielu znajomych spotykałem. Studenci pracowali albo wyjechali na wieś. Aksel był w domu u swojej pastorskiej rodziny.

Człowiek mógł żałować, że przyjechał do Kopenhagi w środku lata. Ale starałem się wykorzystać to jak najlepiej. Czytałem, spałem i piłem piwo.

*

Pewnego przedpołudnia dokonałem niemożliwego.

Zmieniłem koszulę, dodałem sobie elegancji wysokim kapeluszem i poszedłem z wizytą do rodziny profesora. Nie było to do końca właściwe, zważywszy że byłem bez Aksela. Ale wpadłem na pomysł, że przecież kandydat w Frederiks Hospital może pozwolić sobie na coś takiego. Być może gdzieś odbywał się letni bal, na który taka wizyta mogła zapewnić mi wstęp. Mogłem też zaproponować, żeby Sophie i Anna poszły ze mną do Tivoli.

Otworzyła pokojówka wyglądająca na nową. Przyglądała mi się ciekawie. Nie, profesor był w szpitalu, a jego żona i panienki na wsi.

Nie zdobyłem się na zadanie pytania, gdzie jest „wieś”. Było mi

wszystko jedno. I tak nie mógłbym się tam pojawić.

Kiedy już dostatecznie nasyciłem się poczuciem samotności i litości dla siebie, pewnego wieczoru poszedłem do domu przy ulicy Store Strandstraede i zapytałem o Karnę.

Babka Dons stanęła w drzwiach. Była w nieokreślonym wieku, miała zmęczony głos i taką samą twarz. Ale jej ruchy były szybkie, a oczy czujne. Musiała być o wiele za stara do tak ciężkiej pracy. Roznosiła gazety. Zamiatała ulice. Sprzątała u ludzi. I pocieszała się starą, glinianą fajką, kiedy po sprzedaniu gazet mogła postać przez pięć minut w skwarze na schodkach.

Opowiedziała mi, że Karna miała wielkie szczęście, bo również tego lata dostała posadę salowej w Frederiks Hospital. Jeśli wszystko potoczy się tak jak zawsze, przyjdzie do domu następnego dnia, żeby pospać kilka godzin.

W jej słowach czaiła się nieokreślona przyjazność. Długo mnie nie było.

*

Karna? Czy myślałem o niej, będąc w domu?

Teraz stała się koniecznością. Musiałem ją zobaczyć. Zebrałem się na odwagę i tego samego wieczoru udałem się piechotą do szpitala. Przemierzyłem podwórze Grønnegården, żeby sprawdzić, czy najstarsze pielęgniarki albo salowe siedzą tam, pijąc swoje kakao i napawając się wieczornym spokojem. Bo wtedy istniała szansa, że Karna będzie sama w izbie chorych albo że znajdę ją siedzącą w małej izdebce w rogu pomieszczenia.

Porozsiadane były na ławkach i krzesłach wokół małych stolików z toczonymi nogami. Kubki z herbatą i kakao ustawiono

starannie pomiędzy haftem i robótkami na drutach. Gdyby nie wiedziało się, że to teren przyszpitalny, można by uznać, że to jakiś zakład dla kobiet w niebieskich uniformach. Koki i warkocze miały upięte równo na głowach, ale fartuchy nie zawsze były czyste.

Słyszając głosy albo śmiech, rozumiało się, że salowe to zakamuflowane kobiety.

Przybrałem oczywisty wyraz twarzy, tak jakbym miał równie oczywistą sprawę do załatwienia. Ale postanowiłem, że wejdę od podwórza. Tylko raz zobaczyłem, jak jedna ze starych salowych przechodzi korytarzem. Wtedy stanąłem, udając, że na kogoś czekam. Narazanie się na inwigilację za strony tych pań nie było dobrym pomysłem. Były gorsze od Oline. Bo nawet jeśli nie miały przekonania do podążania za „rozwojem antyseptyki”, jak nazywał to profesor, to były prawdziwymi potworami, jeśli chodzi o dyscyplinę.

Babka powiedziała, że Karna pracuje na Poddaszu, na „XY”. Znałem ten oddział. Wchodziło się tam po wąskich, stromych schodach. Opowiadano historię o pacjencie tuż po operacji, który wypadł z noszy i stoczył się trzy stopnie w dół, ponieważ ktoś nie miał czasu go przykryć. Na szczęście pacjent już znajdował się w szpitalu.

Poddasze składało się z dwóch izb chorych. Jednej dla kobiet i drugiej dla mężczyzn. O ile pamiętałem, w każdej izbie były tylko trzy łóżka. Tutaj leżeli pacjenci z chorobami zakaźnymi albo w malignie.

Pamiętałem również, że główna salowa była przemiłą osobą i że miała zwyczaj piec krążki jabłek na kolację, jeśli tylko pozwalał jej na to czas. Robiła to na kuchence stojącej w ciemnym korytarzu na

poddaszu.

I rzeczywiście, aż po sam dół schodów pachniało pieczonymi jabłkami.

*

Stała przy kuchence. Karna! Do połowy ukryta za szafą z ubraniami i komodą, na którą na pewno nie było miejsca w „pokoju”. Tak nazywano małą komórkę w rogu izby chorych, którą miały do dyspozycji salowe.

Kiedy dotarłem na górę, pachniało nie tylko jabłkami. Wyraźny stał się też odór klozetu. Wiadra opróżniano dopiero o północy, więc teraz stały tam jeszcze po długim dniu.

Zapach nie był aż tak straszny, żeby nie dało się wytrzymać. Można było przy okazji stwierdzić, że żaden z pacjentów nie cierpiał na biegunkę.

Przyglądałem się jej plecom i talii. Nie usłyszała, że się zbliżam. Gwałtowny kaszel dochodzący z jednej z izb zagłuszał wszystko. Jej uniform był za duży, a szelki fartucha i otwór na głowę zbyt szerokie. A jednak jej kształty ukazywały mi się ochoczo. Włosy miała spięte i owinięte chustką, tak jak niegdyś w szpitalu polowym.

Wzruszyło mnie to i jednocześnie podnieciło. Bóg jeden wie, jak to możliwe. Ale poczułem dziką ochotę, żeby wcisnąć się w nią od tyłu, zarazem prawie płacząc.

Drzwi do jednej z izb były uchylone. Światło rzucane przez zielone abażury lamp stojących przy łózkach padało na korytarz. Można było wyobrazić sobie, że Karna stoi przy kuchence w dzikim, zielonym lesie i czeka na to, abym ją posiadał od tyłu.

Szary kot wyslizgnął się spomiędzy jej spódnicy i zamiauczał w moją stronę. Wtedy odwróciła się i mnie zobaczyła. Nie wiem, czy wyglądała na zadowoloną, ale się uśmiechnęła.

Ktoś zajadle charczał i odpluwał gdzieś tam w środku, pod zielonym, leśnym światłem.

– To ty? – rzekła.

– Tak – odparłem.

Z Karną zawsze tak było. W momencie, gdy zostawałem z nią sam, zmieniała się w stan. Siłę w ciele. Nie byłem zdolny odróżnić jej od siebie. Dopóki jej nie posiadałem, nie byłem zdolny odróżnić jej od własnego ciała.

– Jak tu wszedłeś?

– Podwórkiem. Przez sterty basenów i zakrwawionych prześcieradeł – szepnąłem w podnieceniu.

– Ona może przyjść! – powiedziała, kiedy wcisnąłem się w nią, chwytając ją za biodra.

„Ona” była przełożoną salowych.

– Ona siedzi na podwórzu Grønnegården i haftuje, popijając kakao – rzekłem.

– Kłamiesz! Boli ją głowa i poszła przespać się do siebie do domu. Muszę podać jabłka – powiedziała spokojnie, obejmując mnie za szyję.

– Poczekam – odparłem z ustami tuż przy jej ustach.

– Nie, nie możesz tu zostać. Ta, która pracowała tu przede mną, została wyrzucona, bo przyjęła za kuchenką męską wizytę w czasie,

kiedy przełożona ucinała sobie drzemkę w „pokoju”.

Mówiła szeptem, obejmując mnie mocno za szyję.

– Więc nikomu nie przyjdzie nawet do głowy, że miałabyś odwagę zrobić to samo – powiedziałem.

W tym samym momencie poczułem opętanie. Musiałem wziąć ją tam, za szafą na Poddaszu.

Z wnętrza izby chorych dobiegła kolejna fala kaszlu i charczenia. Ktoś szedł po schodach, ale kroki umilkły na piętrze pod nami. Uwolniła się szybko i ruszyła zanieść jabłka. Ale najpierw wetknęła gorący krążek jabłka w moje usta, żebym odsunął się z drogi.

*

Beczki z zawartością klozetów zostały opróżnione, a łoskot wiozących je ciężkich wozów dawno już ucichł. Przez chwilę siedziałem na krześle za szafą cicho jak mysz, a Karna w tym czasie chodziła tam i z powrotem, przenosząc baseny, spluwaczki, naczynia z moczem i ściereczki ze śluzem i krwawymi smarkami.

Z pełną radości podniętą obserwowałem jej ciało, kiedy przechodziła przez drzwi. Zielone światło lampy krzyżowało się z błękitnym blaskiem nocy napływającym przez małe lufciki. Kiedy światło padało na ścianę, zakłócając karaluchom radość z życia, rozbiegały się całymi hordami po kątach. Podniecenie mieszało mi się z karaluchami. Kot natomiast leżał spokojnie na moich kolanach. Raz podniósł się i zrobił okrążenie, przemieszczając się wraz z plamą słońca, przez cały czas miękko ugniatając mój podolek. Jądra i ciężko pracujące ciało jamiste.

Wtedy niespodziewanie powróciła przełożona salowych. Ale w

korytarzu było na tyle ciemno, że zdążyłem ukryć się w pościeli wiszącej za szafą. Kot mógł mnie zdradzić. Ale dostał przyjaznego kopniaka, żeby zrozumiał, że muszę teraz zostać sam.

Starsza kobieta wzdychała, narzekając na głowę, i zapytała, czy wszystko jest w porządku. Karna wydusiła z siebie przeciągłe tak i stwierdziła, że znakomicie poradzi sobie sama przez resztę nocy.

– Regulamin... – westchnęła starsza kobieta, ruszając na swój obchód po izbach.

Zrozumiałem, że jeśli nie pójdę teraz, to istnieje spore ryzyko, że zobaczy mnie, wychodząc ponownie na poddasze. Dlatego schyliłem się szybko i ukryłem pod schodami.

Mimo zasad starsza kobieta sprzyjała nam, bo powróciła do jakiegoś łóżka w jednej z izb.

W końcu usłyszałem, że z dwóch miejsc za ścianą dobiega chrapanie. Pacjenci spali. Wkrótce miałem stać się uwolnionym więźniem! Życie natychmiast nabrało sensu.

Karna stanęła w drzwiach, przykrywając usta jedną dłonią, a drugą pokazując mi, abym poszedł za nią. Wskazałem na miejsce za szafą. Myślałem o tym. O przesunięciu nieco basenów i położeniu jej na blacie, z otworem skierowanym w moją stronę. Błat był odpowiednio niski. Ze wszystkimi jej spódnicami oplecionymi wokół mnie wyglądałoby to nawet dość obyczajnie.

Ale nie chciała tam iść. Wprowadziła mnie do izby chorych, gdzie minęliśmy parawan, już wcześniej ustawiony przez nią obok jedyne łóżka, w którym leżał pacjent. Spał, chrapiąc głośno, pod zieloną lampą naftową.

Znaleźliśmy się w „pokoju”. W ciemnym kącie z Karną.

Tak dawno z nią nie byłem! Pachniała kataplazmem z owsianką i arniką, pieczonymi jabłkami i świeżym potem. Towarzyszyła temu niebezpieczna woń materii i słodkiej krwi. Tajemna, pochodząca z wewnątrz. Świeża i wilgotna.

Kurczowo łapałem oddech.

Mieliśmy wszystko, co było nam w tych okolicznościach potrzebne. Sofę przy ścianie. Stół i krzesło nie zostały użyte tej nocy. Nie chciała być brana na stole. Chyba zresztą miał na to zbyt delikatne nogi.

Płynęliśmy wraz z oddechem i wydzielinami w „pokoju” na Poddaszu. Na dwa łokcie szerokim oraz pięć łokci długim, otoczonym cienkimi ścianami. Nie mieliśmy odwagi zawracać sobie głowy rozbieraniem się. Przy uważnej pomysłowości i w gorączkowym pośpiechu można wiele zdziałać.

*

Karno! Niech będzie błogosławiona twoja całkowita koncentracja nawet wtedy, kiedy kaszlący odwrócił się, wyjękując ku nam swój ból! Niech będzie błogosławiona twoja zdolność do ignorowania strupów na ranach i materii, płynącej krwi oraz brudnych kolb i naczyń. Basenów! Tych ciepłych glinianych naczyń o uchwytach skręconych z końskiego włosa i obciążonych skórą. Nigdy nie były do końca czyste, prawda, Karno!

Wprowadziłaś mnie na stanowisko kandydata w Frederiks Hospital. Udało ci się! Nawet po tym, jak stwierdziłem przed Bangiem, że „Rdzeń kręgowy jest ogonem mózgu”, udało ci się to!

Karno!

Od tego czasu nabrałem wiary w siebie i zyskałem trzysta talarów pensji stażysty. Niewiele rozmawialiśmy tej nocy. Miejsce nie sprzyjało rozmowom. Tamta chwila wymagała działania.

Raz wyszeptałem jej imię. Już to było zbyt wiele. Zamknęła mi usta i ruszyła, ujeżdżając mnie, zabierając ze sobą.

Później wymknąłem się schodami w dół, lekki jak ćma. Błąkałem się w ciemnościach tu i tam pomiędzy padającymi przez uchylone drzwi strumieniami zielonego światła. Wśród zapachów i groźby zdemaskowania. I czułem szczęście, bo byłem w Kopenhadze!

Karno! To wszystko działo się, zanim zacząłem myśleć jak starzec. Zanim cię zabiłem.

*

To było jeszcze w czasie, kiedy marzyłem o liście od Diny.

Zdarzało się, że budziłem się rano i znałem go na pamięć. Ale poczta nie przychodziła.

Nadeszła za to jesień. Nie mogłem być już tylko ćmą na Poddaszu w Frederiks Hospital. Miałem szczęście znaleźć się wśród tych nielicznych wybrańców mających stawić się na staż dla kandydatów.

Ten sam portier, którego pamiętałem z czasu pracy jako wolontariusz, siedział w swoim małym, drewnianym domku, strzegąc wejścia. Sprawiał wrażenie, jakby zmarł w chwili, kiedy go ostatnio widziałem, i teraz, kiedy się pokazałem, podjął życie ponownie. Nic się nie zmieniło. Nawet plama na jego kapocie. Pytania i ton, jakim je zadawał, były dokładnie takie jak wcześniej:

– Co on ma tam w swojej torbie? Dokąd idzie? Czy jest umówiony?

Gdyby człowiek miał na to siłę, mógłby uśmiechnąć się z przekąsem. Oczywiście nie był aż tak straszny, jaki wydawał mi się w dniu, w którym po raz pierwszy znalazłem się za żelazną kratą. Zanim zdałem „Kantusa”. Wtedy przywitałem się z portierem tak, jakby stanowił straż przyboczną samego króla. Teraz rzekłem tylko:

– Idę do drugiego chirurga!

Skinął podejrzliwie głową, udając, że mnie nie poznaje, i zaczął mi wyjaśniać, gdzie powinienem pójść.

– Znam drogę – odparłem krótko.

Chirurg rezerwowy rozpoznał mnie. To dodało mi odwagi.

Zapytałem o Aksela. Dowiedziałem się, że jest na rozpisce, jak to ktoś ujął.

A gdzie się urodziłem? Chirurg chciał zapisać to w swoich papierach.

Kiedy odpowiedziałem, rzekł, skrobiąc piórem:

– Ach tak, to prawda. On jest tym mówiącym po duńsku Norwegiem.

Nie byłem pewien, czy nie naigrawa się ze mnie, więc się nie odezwałem.

– A zatem jest on jednym z dziesięciu, którzy mają stawić się jutro. Dokładnie o wpół do ósmej w izbie P, tam gdzie zaczynamy obchód. Dobrze byłoby, gdyby wszedł głównym wejściem, przez

korytarz w budynku szkolnym i do góry, do tego wąskiego przejścia koło „kościola”, i tam zostawił swoją odzież wierzchnią. Wolontariusze i kandydaci o wiele za często wpadają w ostatniej chwili w płaszczach prosto z ulicy Amaliegade. To zły obyczaj!

– Znam zasady – powiedziałem, kłaniając się.

– Wszyscy znają zasady. Ale pan Saxtorph jest zdania, że należy ich przestrzegać!

Nie powiedziałem nic więcej, ukłoniłem się tylko, idąc w stronę drzwi.

A więc zaczęło się. Reinsnes było nieskończenie daleko. Anna stała się odciętym ramieniem.

*

Kiedy Karna pracowała, ja spałem. I na odwrót. Ale zdarzało się, że chodziłem na Poddasze. Niekiedy zaspokajała mój głód. Jednak od czasu do czasu tylko wycierała pot z czoła, dając mi ręką znak, abym poszedł. Poddasze w Frederiks Hospital nie było miejscem na głośne dyskusje.

Niemniej przyjmowała drobne prezenty. Szczególnie w niedziele, kiedy przynosiłem je do niej do domu. Babka nadal przyglądała mi się z uprzejmym sceptycyzmem.

*

Pewnego dnia, gdy Aksel i ja piliśmy kawę w Grønnegården, rzuciłem – jakby w powietrze:

– Anna! A cóż się dzieje z Anną?

Zanim odpowiedział, spojrzał na mnie szybko.

– Anna jest w Londynie!

Skinąłem głową i nie pytałem więcej.

Dostałem list od Andersa. Postawił wszystko na połowy włókami i solenie śledzia.

Takie były nasze życia.

Rozdział jedenasty

„Wojna to naturalny stan człowieka” – oświadczył Bismarck. Udało mu się dokonać nieprawdopodobnego: skłonić całą Europę do zachowania neutralności. Nikt nie pomógł Francji, kiedy Bismarck przybył ze swoimi 535 000 ludzi i z „triumfalnego pochodu” Francuzów ze Strasburga do Berlina uczynił krwawą porażkę.

Opowiadano szydercze historie o tym, jak to cesarzowa Eugenia siedziała w Paryżu, odmawiając swojemu mężowi prawa powrotu z pola bitwy z podkulonym ogonem. Wyobraziłem sobie chorego cesarza, wleczonego między sprzętem wojennym a bagażem jak kłopotliwy przedmiot. Szata cesarza była splamiona krwią i wymięta, a ostatni korek od szampana wystrzelił już dawno temu.

Kiedy Bismarck obalił cesarza, cesarzowa uciekła do Londynu. Jak wielu innych, identyfikowałem się z cesarzem i pogardzałem zbiegłą cesarzową.

W Paryżu wrzało. Twierdzono, że Bismarck powiedział ze śmiechem: „Za nic mam rewolucję w Paryżu, nadchodzę!”.

Tak właśnie było. Nagle droga z Paryża do Kopenhagi przerażająco się skróciła. Oblężenie stało się faktem. Żelazny pas, który uczynił z Paryża więzienie. Docierały do nas wieści o głodzie, zimnie i desperacji. Bogaci wyjechali dawno temu. Biedni zostali na pastwę śmierci głodowej. To była najgorsza zapamiętana przez ludzi zima. Mówiono, że śmierć ma w Paryżu dwóch pomocników. Głód i mróz. Ale miały nadejść jeszcze gorsze czasy. Nienawiść w stosunku do tych, którzy skapitulowali, poddając się Bismarckowi, doprowadziła do wybuchu patriotyzmu skierowanego przeciwko

zgromadzeniu narodowemu oraz bogatym mieszczanom.

Komuna stała się magicznym hasłem dla biedaków. Mieszczanie okazali się gorsi niż żołnierze. Szaleństwo dokonało się tego majowego dnia, kiedy wersalczycy weszli do Paryża. Miało się wrażenie, jakby wśród rzeszy komarów pojawiła się olbrzymia packa na muchy. Człowiek nie był wart więcej niż jego buty i guziki przy mundurze. Wersalczycy zabijali swoich więźniów strzałem, a w Paryżu oświadczone, że za każdą głowę w imię świętej zemsty polecą trzy. Paryż stał w płomieniach.

Niszczcie, bo życie jest krótkie! Potem nadejdzie szczęście w nowym społeczeństwie!

W końcu zgromadzenie narodowe ogłosiło Thiersa bohaterem. Zlikwidował trzydzieści tysięcy ludzi.

*

W tym czasie krążyłem między Frederiks Hospital a ulicą Bredgade niczym pustelnik w wieży bez okien. Jedyłą rzeczą, która naprawdę robiła na mnie wrażenie, były koszmarnie sny o tym, że Dina jest w Paryżu. Oczyma duszy wyobrażałem ją sobie w stercie trupów po egzekucji na cmentarzu Père-Lachaise.

Noc po nocy widziałem, jak próbuje wydostać się spod góry ciała. Ale powoli i nieubłaganie zostaje wciągnięta z powrotem. W końcu dostrzegałem już tylko wystający kawałek jej stopy.

Nie pamiętam, żebym kiedykolwiek zwrócił na to uwagę, ale przecież niemożliwe, aby było inaczej. Na małym palcu prawej stopy nie miała paznokcia.

Po pewnym czasie bardziej rzeczywiste stały się dla mnie moje sny niż to, co działo się w szpitalu.

Całe życie sprowadzało się do kwestii przerobienia różnych tematów: nowo wynalezionego środka nasennego – wodzianu chloralu – i błogosławieństwa, jakie niósł ze sobą dla ludzkości i nauk lekarskich. Narkozy eterowej. Albo kwestii syfilisu. Jego pierwszo-, drugo-i trzeciorzędowych objawów. Chłodne fakty dotyczące manifestacji syfilisu w systemie nerwowym i układzie krążenia nie były dostatecznie poznane, przez co leczenie nie mogło być skuteczne. Można było jednak używać zewnętrznje maści rtęciowej. Albo kalomelu wewnątrznie. W obu przypadkach celem było wywołanie ślinotoku, tak aby pacjent przez co najmniej piętnaście, a czasami dwadzieścia pięć dni wydzielał od trzech do sześciu funtów gęstej śliny na dobę.

*

Tej nocy, kiedy stopa Diny zniknęła w stercie trupów, zgłosiłem się we śnie jako zabójca Rosjanina. Referendarz zachował się zgodnie z przewidywaniami. Był wściekły, bo miał w rodzinie takich jak ja.

Następnego dnia udałem się na poranny obchód po izbach chorych wraz z całym orszakiem, planując po drodze, jak zachowam się podczas rozprawy sądowej. Pod numerem drugim leżał młody mężczyzna z raną na nodze. Chyba występował w moim śnie, bo wyglądał niedobrze.

Koc został odchylony na bok, a jednemu z nowych studentów z jesiennego rocznika polecono przytrzymać stopę. Ciepłe opary i nieprawdopodobny odór uderzyły nas w nosy. Aksel miał położyć świeży kataplazm z parującą, gorącą owsianką. Ale najpierw trzeba było ocenić wielki wrzód ponad raną i omówić problem. Profesor wycisnął z czyraka sporą ilość zielonej materii.

Student trzymający stopę zaczął lekko się chwiać. Stałem po drugiej stronie łóżka, więc nie mogłem zareagować. Ale zdążyłem pomyśleć: Wystarczy upaść. I już nie musimy brać udziału.

Kiedy student nieuchronnie ruszył na spotkanie z podłogą, usłyszeliśmy głuchy dźwięk.

– Wynieście go! – rzekł drugi chirurg.

Zrobiono, jak kazał. Nie słyszeliśmy o nim więcej. To było takie łatwe. Wystarczyło upaść.

Kiedy wyobrażałem sobie mój proces, miałem wrażenie, że słucham długich, nudnych wywodów o gruźlicy, którą można uleczyć terpentyną. O ile tylko zacznie się leczenie dość wcześnie!

Już z góry czułem zimną pogardę dla sędziów. Którzy oczywiście uwierzą w moje wyjaśnienia.

Było mi wszystko jedno. Więzienie czy gruźlica. Odsuwałem to od siebie jak parodię cierpienia. Człowiek był cierpieniem. I śmiesznością. Nie mogłem zakładać, że przed tym umknę.

Przez krótki czas studenci i kandydaci wykorzystywali przerwy na wystawanie po korytarzach i rozmowy o neandertalczyku. Nie miałem szczególnego przekonania do takich dyskusji jako sztuki dla sztuki. Powierzchność, jaka towarzyszyła staniu w przejściach i ujawnianiu swojego oczywistego braku wiedzy, nie była niczym kuszącym. Moje cele były proste, ale szlachetne, tak sądziłem.

*

Nie wiem, kiedy uświadomiłem sobie, że Rosjanin powrócił. Za jej sprawą. Za sprawą procesu. Nocne koszmary często były

niejasne. Pewnej nocy byłem owadem, próbującym wczłgać się w stertę starych liści, żeby się uratować. Ale bez względu na to, ile przebierałem nogami, niewiele to pomagało.

*

Nie napisała! Dlaczegoż, do cholery, nie napisała? Czy kiedykolwiek coś jej zrobiłem? Oprócz tego, na co nic nie mogłem poradzić: że kiedyś zobaczyłem, co zrobiła?

Na początku moje własne groteskowe, pełne lęku sny mieszały się z wypowiedziami profesorów. Albo wplatały się między wiersze podręcznika F.L. Bangsa *Praxis medica systematice exposita*. Napisany w 1789 roku, był beznadziejnie staroświecki. Czytałem go jako ciekawostkę, żeby mieć pod ręką cytaty, kiedy będę chciał udokumentować bezbrzeżną głupotę tego świata. Pasowało to do mojego stanu duszy.

Wszystko kręciło się wokół teoretycznej choroby i absolutnej śmierci. Natura, drzewa, kwiaty, zwierzęta – wszystko było utopią. Człowiek i tak niewiele widział pomiędzy brukiem ulic a wysokimi, ceglanymi domami. Nawet wielkie drzewa w parku i w alejach wzdłuż ulic były już martwe. Potrzebna była tylko jeszcze jedna wojna. Płomień zapalki. I zostałyby jedynie zwęglone resztki. Fascynowało mnie to. Chodziłem przyglądać się pożarom, bójkom ulicznym i czytałem tragiczne nagłówki w gazetach niczym stary sutener, snujący się pomiędzy domami uciechy jeszcze długo po tym, jak skończyła się rozrywka i zniknęły zyski.

Był październik 1871 roku.

Karna i ja nie rozmawialiśmy ze sobą zbyt wiele. To znaczy: ona nie prowadziła rozmów. Nie za pomocą słów. Ale jej oczy tak. I

dłonie.

Ale tego dnia najwyraźniej prowadziliśmy coś na kształt dialogu. Po czasie stał się on dla mnie pewnym rodzajem przymiara.

Był bardzo wczesny niedzielny ranek. Szliśmy w deszczu z Frederiks Hospital. Ona była w pracy przez całą noc, a ja balowałem wspólnie z Akselem i kilkoma innymi kandydatami i chciałem zrobić jej przyjemność, pojawiając się przy bramie, kiedy wyjdzie z niej bladym świtem.

Jeszcze szare o poranku i puste ulice pachniały jesienią. Szedłem z rękami głęboko wetkniętymi w kieszenie i rozpiętą marynarką. Koszulę miałem mokrą. Woda kapała mi z ramion. Z nosa i włosów.

Ona szła pod wielkim, dziurawym parasolem. Ale ja podziękowałem. Żeby iść z Karną pod parasolem trzeba było mieć zwinność węża. Szła nierówno, zrywami, niczym niespokojne zwierzę. Czasami zatrzymywała się nagle i człowiek ryzykował, że drut parasola utkwi mu w oku.

Usiłowałem prowadzić dalej dyskusję o wojnie i pokoju rozpoczętą w knajpach. Wyglądało to tak, że ja mówiłem, a ona słuchała, myśląc sobie swoje.

– Nigdy nie pojąłem, że człowiek może mieć wrogów – rzekłem.

– Im więcej uczę się od ludzi, tym mniej rozumiem słowo „wróg” – kontynuowałem.

Zatrzymała się, spoglądając na mnie tak, jakbym poprosił ją o zajęcie stanowiska w kwestii tego, czy deszcz jest zjawiskiem sprawiedliwym. Potem wyjęła chusteczkę i powoli wytarła nos,

wyciągając przy tym stopę do przodu i przyglądając się odpadającej podeszwie buta. Studiowała ją bardzo dokładnie. A potem padło:

– Czy masz coś do jedzenia?

– Tak. Jesteś głodna? – zapytałem zmieszany.

– Czy masz łóżko i jedzenie?

– Tak...

– Nikt cię nie bije?

– Nie...

– Jak zatem miałbyś rozumieć słowo „wróg”?

Już wcześniej zdarzało się, że mnie irytowała. Jej praktyczny, kategoriyczny sposób bycia. Potrafiła godzinami milczeć, a potem nagle wyrzucić z siebie swoje przyziemne tezy. Którym trudno było zaprzeczyć.

– Ale ja widziałem okrucieństwo wojny – rzekłem blado.

Milcząc, ruszyła z miejsca.

– Jeśli nie chcesz dyskutować o sprawach etycznych, bo jesteś kobietą, i do tego niewykształconą, nie ma to dla mnie znaczenia. Możemy równie dobrze nadal milczeć. Albo rozmawiać o ranach, biegunce i okaleczonych ciałach – powiedziałem obrażony.

– Nigdy nie brakowało ci niczego, Beniaminie?

– Co masz na myśli?

– Kiedy mówisz o swoim domu, o studiach, o... o wszystkim, to ma się wrażenie, że robisz to wszystko tylko z... ciekawości. Nie z konieczności.

Wpatrywałem się w nią. Zaatakowała mnie tak, jakbym był jakimś rozpieszczonym paniczkiem. Czyż nie oglądaliśmy wspólnie umierających ludzi?

– Za każdym razem, kiedy chcę z tobą o czymś podyskutować, odpowiadasz atakiem na mnie. Osobistym!

– Przepraszam! – powiedziała.

Głos miała zmęczony. Ruszyła z miejsca. Jej kroki z wielką siłą uderzały o mokry bruk i wracały do mnie jako delikatne plaśnięcia w uszy.

– Czy masz wrogów, Karno?

– Tak.

– Nie mam na myśli pomniejszych nieprzyjaciół ani ludzi, na których jesteś zła. Ale prawdziwych wrogów! Których chciałabyś nawet i zabić!

– Tak.

– Kogo?

Szła nadal przed siebie. Zatrzymałem się, ujmując ją za ramię. Deszcz spływał z nas równymi strumieniami. Brzeg jej spódnicy był całkowicie nasiąknięty wodą. Mimo parasola mokre włosy zwisały jej przed twarzą. Rzęsy miała sklezione w drobne pęczki, z których woda spływała na policzki.

Przez chwilę czas zatrzymał się dla mnie. W ten czy inny sposób wiedziałem, że na zawsze to zapamiętam: rzęsy Karny ciężkie od deszczu.

Od czasu do czasu człowiek ma uczucie, że to, co widzi lub czego

doznaje, stanowi jedynie powtórkę przeszłych zdarzeń. Nie będąc w stanie tego wyjaśnić ani zrozumieć. Wiedziałem, że będę przeżywał od nowa sklezione rzęsy Karny. Albo pamiętał je tak dokładnie, że staną się osobnym przeżyciem.

– Kogo? – powtórzyłem.

– To długa historia – odrzekła tylko.

– Opowiedz – odparłem.

– Nie, nie teraz.

– Dlaczego nie?

– Pada. Jest mi zimno!

– A gdyby nie padało?

– Beniaminie, jestem zmęczona.

Zamilkłem. No tak. Była zmęczona.

Zaczęły bić dzwony kościelne. Każdy sześć uderzeń. Odpowiadały sobie nawzajem różnymi głosami, bez rytmu. Szliśmy przez plac Świętej Anny tak jak zawsze w drodze ze szpitala. Miasto było już na nogach.

Kiedy dotarliśmy do Store Strandstraede, dzień zaczął wylewać się z korytarzy, okien i drzwi. Tu ramię, tam stopa. Zaspana twarz pod rondem kapelusza, parasolem, włosami.

Zapachy dnia i nocy mieszały się ze sobą. Smród. Kiedy przechodziliśmy, ktoś obok nas opróżnił do rynsztoka pełne po nocy wiadro. Jednocześnie między rzędami domów pojawił się nowo narodzony promień światła.

To chyba ten słup słońca spowodował, że pomyślałem o ślubie

Andersa i Diny. Przepowiednia kościelnych dzwonów wybijana między kamiennymi ścianami. Sufit tak nieskończenie daleki. Organy. Nie szemrały dźwiękiem unoszącym się powoli, jak napisano w książkach. Grzmiały. Miałem teraz ojca! Siedziałem w pierwszej ławie, patrząc, jak Dina z Andersem idą główną nawą do ołtarza. Oboje byli bladzi. Śmiertelnie bladzi. Oczy Diny nie miały źrenic. Zniknęły w promieniach światła wpadających przez wysokie okna. Liście wielkich drzew rzucały na nich cienie, kiedy odchodzili od ołtarza. Trzymali się za ręce, a cienie tańczyły po ich twarzach.

Stałem w kościele, tęskniąc za tym, żeby śmiać się wspólnie z Diną i Andersem.

Chyba wtedy jeszcze nie porzuciłem tej myśli.

Dlatego ująłem Karnę za ramię, pochylając się ku niej pod podartym parasolem. Dziura była dokładnie nad moim czołem.

Spojrzała na mnie. Poważnie, nieco pusto. Być może powinienem był spytać, jak ona się czuje. Zadać pytanie, czy mimo wszystko cieszy się, że w Danii nie ma już wojny? Zapytać, czy coś mógłbym dla niej zrobić. Ale powiedziała przecież, że jest zmęczona.

Dzwony kościelne ucichły. My też zamilkliśmy. Chciałem, żeby przemówiła do mnie. Dzwony kościelne zawsze wywoływały we mnie absurdalne myśli. Teraz przyszło mi do głowy, że mógłbym zapytać ją o komunię. Przypomniałem sobie, że wówczas wydawało mi się przerażające, iż ludzie dostają ten malutki kawałek chleba i wypijają łyk płynu z kielicha. Że pastor poleca im spożywać ciało i pić krew Jezusa.

Poza tym wszyscy odchodzący rzędem od ołtarza sprawiali

wrażenie nieszczęśliwych. Mieli pozbyć się swoich grzechów. Ale wyglądali, jakby właśnie zostali skazani na śmierć. Może wiedzieli, że to nie tak łatwo?

– Czy chodziłaś do komunii? – zapytałem Karnę.

Spojrzała na mnie zaskoczona.

– Dlaczego o to pytasz?

– Myślałem o kościele w moich rodzinnych stronach.

– Dlaczego?

– Myślałem o grzechu.

– Czyim?

– Moim – skłamałem. – Czy myślisz, że otrzymanie odpuszczenia grzechów jest możliwe?

– Tak, ale kłopotliwe jest robienie tego w ten sposób... Chodząc do kościoła.

Westchnęła.

– Tak – rzekłem.

– Gdyby to kobiety wymyśliły tę sprawę z chodzeniem do komunii dla odpuszczenia grzechów, to ustawiłyby w nawie kościelnej długie stoły i ławy, tak żeby można było siedzieć i odpoczywać, czując, jak nasze grzechy idą w niepamięć. Teraz jest tylko zimno i szybko. Mniej więcej jak z wytryskiem!

Nie pierwszy raz powiedziała coś takiego. Nawet Cecilie nie mówiła takich rzeczy.

– Ależ Karno! – powiedziałem z udawanym oburzeniem. Potem

zacząłem się śmiać. Z ulgą, że dała mi powód do śmiechu. Nie zawtórowała.

Doszliśmy do jej bramy. Złożyła swój parasol, otrząsając go nieporadnym ruchem. Żyły na jej dłoniach były niebieskie i wyraźnie odcinały się od jasnej skóry. Weszliśmy do ogromnej, zaniedbanej bramy.

Podwórze wypełniały zapachy. Smażony boczek, poranna kawa, stęchłe śmieci. Sznurki do suszenia bielizny mieszkańców rozpięte były pomiędzy oknami nad naszymi głowami. Gdzieś wysoko na tle nieba zobaczyłem cały pęk szmatek zwisających w deszczu. Przyszło mi do głowy, że Karna jest w złym humorze, bo zapewne ma właśnie swoje dni.

Dokładnie wtedy niebo rozdarło się i słońce zbudowało sobie w szmatkach czerwone gniazdo. Pewnie po raz drugi w tym miesiącu zabarwiły się czerwienią.

Jakby odgadując moje myśli, rzekła bezbarwnie:

– Nie możesz iść do mnie. Muszę położyć się spać.

Chciałem ją objąć. Ale wymknęła się, podnosząc jednocześnie twarz w moją stronę. Jakby z przekorą. Przez chwilę myślałem, że to deszcz. Potem zobaczyłem to. Płakała.

Mogłem ją zapytać. Czy z jakiegoś powodu jest nieszczęśliwa. Czy ma to coś wspólnego ze mną. Ale tego nie zrobiłem.

Usłyszałem jej kroki. Widziałem jej plecy. Pochylone, w zniszczonym płaszczu. Oderwana podeszwa buta wlokła się nieznacznie po ziemi. Dźwięk nasuwał skojarzenie z krokiem kulejącego człowieka.

Słaby wiatr zakołysał szmatkami na sznurze. Deszcz się skończył.

*

Dziwnie jest myśleć, że gdybym ją zapytał, to być może okazałbym się zdolny to przyjąć. Ale zapewne stałoby się inaczej.

Długo już nie brała udziału w niczym, co było ważne dla mnie. Moje rzeczowe, teoretyczne rozmowy tonęły w jej przyziemnych problemach i zajęciach. Za każdym razem, kiedy próbowałem wzniesć to wszystko na wyższy poziom, historia się powtarzała. Nie mówiliśmy tym samym językiem. To znaczy ja uważałem, że próbuję.

Byłem mokry i zmęczony, ale poszedłem prosto do gospody u Petera i jedząc solidne śniadanie, wysuszyłem odzież.

Po czasie łatwo jest wyliczyć, że już tego dnia wiedziała o dziecku. Nie wiem, czy ją obchodziłem. Nie mówiła o takich rzeczach. Ja też nie. Być może czuła się tak samo jak ja. Czasem trudno jest powiedzieć, czym różni się miłość od samotności.

Nigdy nie dowiedziałem się, kim był jej wróg.

Do niczego jej nie zmuszałem. Niczego jej nie obiecałem. Dlaczego miałbym być wrogiem?

Lubiłem ją. Tak, pożądałem jej. Ale w rzeczywistości nic o niej nie wiedziałem. Ani o jej rodzinie. Znałem tylko te dwie małe izby, w których mieszkała z babką i bratem. I teraz wiedziałem też, że ma wroga.

Pod wieloma względami stanowiła w moim życiu miłą znajomość. Wypełniała we mnie jakąś pustkę. Nie marudziła o

ochronę, zaręczyny ani uwagę.

Nic nie mówiła na temat tego, że tylko sporadycznie szukałem jej towarzystwa, trzymając się raczej z przyjaciółmi ze studiów. Zupełnie nie zdawałem sobie sprawy, co myśli.

Kiedy siedziałem tak tego ranka, przeżuując szynkę i ser, postanowiłem, że przez pewien czas będę trzymał się od niej z daleka. Ta dziwna wymiana zdań przygnębiła mnie.

Będę omijał ją póki co, pomyślałem sobie. Jeśli ona tak woli.

Rozdział dwunasty

Oczywiście był to przypadek, ale kiedy tego ranka stanąłem pod drzwiami mojego pokoju, leżała tam paczka. Jakbym brał udział w dobrze wyreżyserowanej sztuce. Zapomniałem o Karnie.

Na paczce widniały duże, nieobliczalne litery, skreślone ręką Andersa. Papier był solidny, obwiązany sznurkiem we wszystkie strony. Porto zapłacone z nadwyżką, żebym nie miał żadnych trudności.

Odwiesiłem okrycie na kołek przy drzwiach i kopniakiem zrzuciłem z nóg mokre buty. Potem położyłem paczkę na stole przy oknie, złamałem lakową pieczęć i niecierpliwie rozciąłem sznurek.

W środku znajdowała się duża, blaszana puszka ze składu. Kiedyś przechowywano w niej tytoń. Anders wiedział coś o tym, że towary źle zapakowane mogą zostać uszkodzone.

Z otwartej puszkii buchnął klimat wspomnień. Obrazy z Reinsnes. Zapachy przechodziły jeden w drugi w nieskończonym przeżyciu. Przyprawiły mnie o zawrót głowy. Musiałem usiąść.

Znów byłem chłopcem. Nagle przed oczami stanęła mi wyraźnie twarz Stine. Jej ręce, kiedy składała bieliznę zdjętą ze sznura. Wysuszoną słońcem i wiatrem, zwilżoną nocną rosą.

Zapach stajni, siana, ziemi. Zapachy u Oline w kuchni. Woń sody do pieczenia i praśnego ciasta. Mąki i otwartych butelek z sokami. Drewna palonego w piecu. Ten niepowtarzalny zapach, kiedy mężczyźni wczesną wiosną napełniali wodą beczki stojące w sieni. Woń lodowej brei i mokrych rękawic wpadająca przez drzwi.

Nagle przypomniałem sobie, jak pewnego razu ostrożnie dotknąłem językiem zamarznętego żelaza. Żeby pokazać, że jestem mężczyzną. I salony w Reinsnes: zawijane ciasteczka z kremem na wysokich paterach. Cygara. Słodki zapach krochmalonych cukrem obrusów. Kurz. Taki lekki. Ledwie jego przecucie w zimowych zasłonach, kiedy nadchodziła Wielkanoc. Korytarz na poddaszu: lawenda i złożony na sztywno len w szafach. Koszyki z łyka zawieszane pod powałą, pełne płatków róż i mieszanek ziołowych, włożonych tam przez Stine. Suchy, bezpieczny zapach wiadra z popiołem, które zawsze musiało być przykryte. Wiader kloacnych przed opróżnieniem ich wczesnym rankiem. Zapach ludzi mieszkających pod tym samym dachem. Ślady po tym, co każdy wiedział o innych, ale o czym się nie mówiło.

I Hanna! Słodki pot i wilgotne włosy. Wełniane pończochy. Świeży zapach jej skóry! Którego nie poczułem w żadnym innym miejscu. Który roztaczała teraz wokół siebie gdzieś na Lofotach.

Nagle dopadła mnie tęsknota. Za Hanną. Za naprawieniem tych chwil, w których zachowałem się, jakby była moją własnością.

*

Wśród tych zapachów i widoków unoszących się z blaszanej puszki znajdowała się Biblia. Ta sama, która od zawsze leżała na sekretarzyku Diny przed jej wyjazdem.

Nie wiem, czego oczekiwałem. Ale pierwszą rzeczą, jaką poczułem, było rozczarowanie. Nie dotarło do mnie, że to ona mi ją wysłała. Zrozumiałem to dopiero po przeczytaniu listu od niej, który znajdował się w środku.

Kiedy stałem tak z Biblią w dłoniach, otworzyłem ją i poczułem

bijące od niej jak od żywego stworzenia ciepło, zobaczyłem listy.
Dwa.

Jeden był od Andersa. Dość pobieżnie przesunąłem po nim oczami, a potem otworzyłem drugi list.

Napisany został zdecydowanym, pochylonym w lewo pismem.

W pierwszej chwili nie byłem pewien, czy to pismo Diny. Chciałem, aby tak było! Chciałem tego tak bardzo, że ręce mi aż drżały. Potem nabrałem wątpliwości. Musiałem przyznać sam przed sobą, że nie jestem w stanie rozpoznać pisma własnej matki. Na próżno usiłowałem przypomnieć sobie księgi rachunkowe i kwity zamówień. Ale nie byłem w stanie.

Jednak z treści pojąłem, że to musiało być od niej.

Drogi Beniaminie,

posyłam ci księgę Hjertrud, niech służy tobie albo zachowaj ją dla potomnych. Byłabym rada, gdybyś przyjechał tutaj zabrać wiolonczelę. Nie jest używana. Lepiej byłoby jej w Reinsnes. Ale podróż byłaby zapewne zbyt długa.

Dina

List nie zawierał żadnych informacji prócz tej, gdzie mogę znaleźć wiolonczelę. Podpis był prawie nieczytelny, jak gdyby celowo zniekształcony.

Z powodu bezsenności oraz wewnętrznego poruszenia mało co widziałem. Przez chwilę chodziłem po izbie tam i z powrotem. Potem usiadłem i napisałem list do Diny.

Po uprzejmym, chłodnym wstępie, w którym podziękowałem za Biblię mojej babki, którą zamierzałem zachować dla siebie, mimo że nie miałem pojęcia, do czego mógłbym jej użyć, napisałem:

„Jeśli chodzi o wiolonczelę, to nie przyjadę po nią. Zdałem egzamin z bardzo dobrym wynikiem i odbywam teraz praktykę w szpitalu jako kandydat. Po otrzymaniu dziś rano twojego listu podjąłem pewną decyzję. Zamierzam pojechać do domu i zgłosić się do referendarza. Przyznam się, że jesienno dnia 1856 roku z premedytacją strzeliłem ze sztucera do Rosjanina Leo Żukowskiego ze skutkiem śmiertelnym. Potem przyjmę karę, która zostanie na mnie nałożona. Być może będzie ona łagodniejsza, zważywszy że kiedy to się stało, byłem tylko dzieckiem. Powiem, że oszalałem z zazdrości, ponieważ ten mężczyzna zabrał mi matkę i groził, że zabierze ją ze sobą do Rosji. Zapewne mi uwierzą. Poproszę Andersa, żeby cię zawiadomił. Kiedy będzie po wszystkim, będziesz mogła zabrać wiolonczelę i wrócić do domu”.

Na końcu zapisałem mój adres w Kopenhadze, włożyłem mokrą marynarkę i wyszedłem nadać list.

*

Najpierw poczułem coś w rodzaju triumfu. Upojenia. Które

zmieniło się w lęk, kiedy uświadomiłem sobie, że w rzeczywistości sam się skazałem.

Søren Kierkegaard! Co takiego napisał? Nie pamiętałem dokładnie słów, ale miałem przed oczami ich sens: Zwracając się do swego wnętrza, odkrywa wolność. Losu się nie obawia, bo nie przyjmuje na siebie żadnych zadań w świecie, a wolność jest jego błogosławieństwem. Nie ta wolność, która pozwala na robienie w świecie tego lub owego, bycie królem albo cesarzem we własnej współczesności, ale wolność polegająca na świadomości własnej swobody... Jedyne przeżywany strach nie dotyczy tego, że zostanie uznany za winnego, ale że naprawdę nim będzie.

Ja nie byłem winny. Ale teraz zacząłem się obawiać ludzkiego wyroku. Pozbawienia wolności ciała. Upokorzenia. Zadrzałem, uświadamiając sobie, że miałem powody powątpiewać, by Dina chciała lub mogła zbawić mnie od winy. A gdyby to zrobiła? Przyjechała do domu? Wtedy oboje poszlibyśmy na dno pod ciężarem ludzkiego wyroku.

Ale teraz, tak czy owak, już się stało. List został napisany i wysłany. Powiedziałem jej, co zamierzam zrobić.

Powróciwszy do swojego pokoju, usiadłem, aby przekartkować Biblię. Delikatne kartki miały pozaginane rogi. Złocenia prawie zniknęły. W tekście znajdowały się podkreślenia oraz tu i ówdzie wetknięte skrawki papieru. Pierwsza otworzyła się przede mną Księga Kaznodziei Salomona, rozdział trzeci:

„Wszystko ma swój czas i każda sprawa pod niebem ma swoją porę:

Jest czas rodzenia i czas umierania; jest czas sadzenia i czas

wyrywania tego, co zasadzono.

Jest czas zabijania i czas leczenia; jest czas burzenia i czas budowania.

Jest czas płaczu i czas śmiechu; jest czas narzekania i czas płasów.

Jest czas rozrzucania kamieni i czas zbierania kamieni; jest czas piesszczot i czas wstrzymywania się od piesszczot.

Jest czas szukania i czas gubienia; jest czas przechowywania i czas odrzucania.

Jest czas rozdierania i czas zszywania; jest czas milczenia i czas mówienia.

Jest czas miłowania i czas nienawidzenia...”

Na marginesie, obok tekstu, widniały słowa skreślone miękkim ołówkiem: „Dla Beniamina, syna szczęścia”.

Chwiejąc się, dotarłem do łóżka.

Po pewnym czasie usłyszałem w izbie płacz mężczyzny.

*

Wpatrywałem się w zmrużone oczy węża. Wąż widniał na obrazie Matki Karen, pokazującym upadek w grzech. Wijące się ciało gotowe do ataku. Język poruszający się tuż przed moją twarzą. Potem poczułem ugryzienie. Strach miał lodowate zęby. Zdzierał ze mnie skórę i dyszał w moją stronę tak, że nie miałem odwagi się poruszyć. Tymczasem trucizna zaczęła działać. Schwytny w pułapkę, nie byłem w stanie się bronić. Cała izba kręciła się dookoła. Uświadomiłem sobie, że trzymam coś na

kolanach. Leżała tam głowa Hjertrud. Byliśmy nawzajem swoimi niewolnikami, zaklętymi w obrazy. Wszystko działo się szybko, a zarazem powoli. Spadaliśmy przez lata zdarzeń. Moich i jej. Ślina Hjertrud wypływała z jej ust niczym fontanna. Na szczycie każdego strumyczka kołysały się pełne obrazów bańki powietrza. Była na nich Dina. I ja tam byłem. Nie chciałem mieć głowy Hjertrud na kolanach. I nie chciałem być w pęcherzykach jej śliny. Wszystko było jednym wielkim lękiem i obrzydzeniem.

Ale nie udało mi się uwolnić. Bańki z obrazami kleiły się do mnie. Do twarzy. Do moich rąk. Byłem jednocześnie tym, który musi to przyjąć, i tym, który tkwi w wirze zdarzeń.

*

Obudziłem się chwilę przed północą. Było dość ciemno. Kontury skromnych mebli rysowały się na ścianach ponurym cieniem. Spomiędzy zasłon wpadał słaby promień światła. Miałem kłopot z oddychaniem.

Sen tkwił jeszcze w ciele i głowie, ale nie pamiętałem z niego nic prócz lepkiego lęku.

Omiotłem spojrzeniem stół, na którym stała puszka po tytoniu otrzymana od Andersa. Obok leżała czarna Biblia po Hjertrud.

Podobno oblał ją wrzący ług i zmarła w młodym wieku. To była okrutna śmierć. Nie do końca rzeczywista. Prawie jak w przerażającej baśni.

Pewnego razu, słuchając wykładu o leczeniu oparzeń, przypomniałem sobie tę historię i poczułem coś na kształt odległej grozy. Takiej, jaką się czuje, oglądając sceny wojenne na obrazie. Albo na gobelinie. Zużyte, wyblakłe od słońca nitki tworzą wzór z

innego czasu.

Mało o niej wiedziałem oprócz historii jej śmierci. Dina nigdy nie rozmawiała ze mną o samym wypadku. Była przecież wtedy taka mała. Może potrafiła tego nawet nie pamiętać, jeśli tylko chciała.

Parę razy usłyszałem co nieco od Oline. Ale wtedy miałem wrażenie, że najgorsze w tej historii było to, iż zdarzyła się tuż przed świętami. Referendarza nie można było pytać o takie rzeczy. Tego nauczyłem się już we wczesnym dzieciństwie. Należało chronić go przed jego własną wściekłością i smutkiem, galopującym sercem i podrażnionym żołądkiem.

Dlatego Hjertrud pozostała w mojej pamięci jako ktoś, kto tuż przed świętami został ugotowany na śmierć na długo przed moim urodzeniem.

*

Chodziłem chwiejnie pomiędzy łóżkiem a stołem, gdzie leżała Biblia. Powietrze wydawało się szklanym pyłem, który musiałem wdychać. Ciągle byłem poza samym sobą. Byłem człowiekiem, którego nigdy nie znałem. Jeszcze niepomyślaną myślą. Jeszcze niewykorzystanym dziedzictwem, a zarazem bolesnym wrzodem winy.

Tkwiałem w bólu Hjertrud. W tęsknocie za stałym punktem. Po nieskończonej długich latach dopadł mnie ból Hjertrud oraz lęk Diny przed zamknięciem do więzienia.

Napisałem do niej, biorąc to na siebie. Było moje.

Postukałem wieczkiem kałamarza, strzepnąłem zasłony i zrobiłem kilka kroków, żeby odgonić zły sen. Tak bardzo chciałem

się znaleźć na obrazach Jakuba. Bo niektóre z tych obrazów musiały przecież być dobre. Chciałem znowu być mały i tęsknić za Jakubem. Żeby wyszedł do mnie z czarnej ramy okalającej obraz.

Ale się nie pojawił. Nie miał skóry ani głosu. Był tylko wiecznym uśmiechem i płaską, piękną, papierową twarzą.

Usłyszałem, że ktoś gdzieś w izbie wzywa swojego ojca. Albo może działo się to w mojej głowie. Krzyki roznosiły się w bladym świetle nocy. Jakby miały pozostać tajemnicą.

Przeprowadzałem zabieg chirurgiczny na głowie Rosjanina. Pracowałem, zalewając się potem. Piłowałem, nawiercałem i szylłem. Bandażowałem. Potem położyłem go w pudle na wiolonczelę Diny i wyruszyłem w podróż do nieznanych miast, żeby ją znaleźć i zwrócić jej naprawionego Rosjanina. Otrzeptałem go z kurzu i poszczypałem w policzki, żeby się zaróżowiły. Wyglądał lepiej niż wcześniej. Bo zoperowałem mu bliznę, którą miał na policzku. To nie był wcale koszmar. Tylko męczący sen.

Zrozumiałem, że sen próbował skierować mnie właśnie w tę stronę. Żeby odnaleźć ją, przynosząc jej uleczone resztki zwłok Rosjanina.

*

Oderwałem zapalnik i zapaliłem lampę. Czułem pragnienie. Woda w karafce była stara. Ale się napiłem. Smakowała żelazem. Krwią?

Jeszcze raz spojrzałem na list z Berlina. Przez chwilę siedziałem, przyglądając się samemu sobie. Z zewnątrz. Jakbym był na wizycie lekarskiej u szaleńca i miał postawić diagnozę.

Rozczarowanie z powodu listu stanowiło jedynie reakcję

chorobową, powierzchowne zapalenie zewnętrznych tkanek. Natomiast lęk, że wziąłem na siebie winę za Rosjanina, był nieuleczalny.

W tym wszystkim dotarło do mnie, że nie stawiłem się o właściwej porze do pracy.

*

Dla dyrekcji szpitala zmyśliłem historyjkę o tym, że zachorowała moja matka, która mieszka sama w Niemczech, i kupiłem bilet do Berlina.

Niewykluczone, że żałowałem tego heroicznego listu o zamiarze zgłoszenia się do władz z powodu morderstwa. Ale nie pamiętam, abym przyznał się do tego.

Wydawało mi się, że chcę ją spotkać. Była mi winna to spotkanie, zanim się oddam władzom!

Miałem wrażenie, że skoro wiem, gdzie jest wiolonczela, to wiem również, gdzie jest ona.

Tym sposobem przekroczyłem granicę znienawidzonego królestwa Bismarcka. W taki sposób nauczyłem się, że jeśli nie znajduje się tego, kogo się szuka, to można zemścić się na kimkolwiek. I tym sposobem wróciłem, ciągnąc ze sobą wiolonczelę Diny, ale nie spotkawszy jej samej.

Kiedy siedziałem w pociągu do Kopenhagi, koła walcowały ją po torach. Godzina za godziną śpiewała bez przerwy:

– Nienawidź mnie, Beniaminie! Nienawidź mnie głęboko!
Wypędź mnie nienawiścią ze swego życia!

Próbowałem to wszystko poskładać rozumem. Przecież

musiałem. Tłumaczyłem sam sobie, że naczytałem się starożytnych filozofów i uczepiłem się greckich tragedii. Ale tragedie w rzeczywistości nie istniały. Tylko dowódcy armii i trupy.

Rosjanin miał być wielką tragedią w moim życiu. Mógł doprowadzić do tego, że Dina zostałaby zawleczona do więzienia. A ja pozostałbym w Reinsnes jako syn morderczyni.

W rzeczywistości od tego zdarzenia liczyłem czas w swoim życiu. Ono było jedyną rzeczywistością, do której mogłem się odnieść, niezależnie od grubości przeczytanych książek. Bez względu na tajemnice medyczne, które miałem możliwość zgłębić.

Podobno Bismarck powiedział: „Nie mogłem spać. Nienawidziłem przez całą noc!”

Powiedziałem sam sobie, że nienawiść jest równie mało wiarygodna co miłość. Blednie i znika w nudnym oceanie drobnych, pozbawionych znaczenia zdarzeń, składających się na ludzkie życie. Koniec końców chodzi o to, żeby wstać rano z łóżka. Zawrzeć kompromis z ciałem i duszą, że utrzymają się na powierzchni. Czasami człowiek zaznawał godnych zapamiętania radości. Ale ważne zdarzenia, stanowiące kamienie milowe, były równie rzadkie jak perły w małżach. Często powstawały z uwierających bez końca ziaren piasku. Czasami pojawiały się kolejne ziarna piasku, a z nich powstawały nowe perły, chociaż człowiek niezdolny był to dostrzec.

Mogłem pocieszyć się, zadając sobie pytanie: Byłeś jedynym świadkiem tego, że Dina zastrzeliła swojego kochanka. I co z tego? Czy wiesz, kim byłbyś bez tego zdarzenia?

Rozdział trzynasty

Powróciwszy z Berlina, całą uwagę skupiłem na obowiązkowych zadaniach do wykonania w Frederiks Hospital. Życie kandydata było poza tym na tyle wymagające, że na sprawy prywatne nie pozostawało zbyt wiele czasu. Zbiórka na obchód w izbie P dokładnie pięć minut po wpół do ósmej.

Kiedy przychodził Saxtorph, wszystko musiało być już załatwione i przygotowane. Chirurg rezerwowy, kandydaci i studenci ustawieni rzędem w izbie Q. Potem przejście przez trzy izby M. My, kandydaci, spisywaliśmy historie choroby pod niekończące się dyktando profesorów. Potem zaczynały się wykłady kliniczne i egzaminy. Po godzinie dziesiątej często musieliśmy stawić się w „kościelnie”, jak nazywano salę operacyjną. Potem przychodził czas na wizyty u pacjentów w izbach jednoosobowych.

Cieszyłem się, że nie mieszkam w szpitalu. Większość kandydatów dostała zakwaterowanie w pawilonie nad apteką. Było tam dostatecznie dobrze. Ale mnie ludzie tak szybko męczyli. Jadałem w szpitalu na dyżurach, ale poza tym starałem się jak najprędzej umknąć do swojego domu przy Bredgade.

Nawet przyjazne okrzyki Madame Frederiksen denerwowały mnie lub wzbudzały moją irytację. Odkryłem również swoje nowe, nieznane mi strony. Pewnego razu chwyciłem dość brutalnie umierającego pyszałka, który piskliwym głosem zawsze wykrzykiwał do nas rozkazy. Zupełnie jakbyśmy my, kandydaci i pielęgniarki, byli lokajami. Uczucie, że skurczył się w uchwycie mojej dłoni, sapiąc jak niedźwiedź, sprawiło mi niewyobrażalną przyjemność. Ale nie doniósł na mnie. Kiedy przyszedłem do

szpitala następnego dnia, został już wywieziony do kostnicy, położonej tuż obok łaźni i małego ogródka kwatermistrza. Myślałem o nim, skręcając za róg w drodze z pracy do domu.

Teraz jego ciało tam leży – chodziło mi po głowie.

Bliskość śmierci i zapach odchodzącego życia pasowały do mojego nastroju. Izolowałem się w książkach i pracy. Poczucie, jak niewiele warte jest życie, stało się bardzo istotne.

Aksel tylko potrząsał głową, kiedy zacząłem każdego poranka brać zimny natrysk w małej pakamerze przy łaźni. Ze dwa razy zimą podczas wykładu wyskubał drobne sople lodu z włosów na moim karku.

– Zawsze miałeś skłonność do przesady. Nie miałem jednak pojęcia, że dotyczy to również samoumartwiania się – szepnął wtedy ze zgrozą. Ale przynajmniej byłem czysty.

*

Aksel drażnił się ze mną z powodu pustelniczego trybu życia, jak to określał w sytuacjach, gdy nie chciałem przyłączyć się do zabawy. Ja wolałem powiedzieć, że nie mam ochoty się upijać.

Od czasu do czasu chadzałem do Ogrodu Królewskiego i siadałem na ławce mojej i Anny. Całkowicie bez sensu. Nigdy tam nie przychodziła. Jedyny moment, w którym przez chwilę byłem bliżej niej, zdarzył się pewnego popołudnia, kiedy siedziałem tam, przyglądając się szronowi na drzewach. Wiatr sprawił, że nieliczne już, sztywne, zmrożone liście zaszeleściły. Wtedy pojawiła się przy mnie, unosząc się w powietrzu. Wiedziałem przecież, że to tylko dziecinna fantazja. A jednak była przyjemna.

Aksel niezbyt często o niej wspominał. Mimo wszystko czasem

się to zdarzało.

– Byłem w czwartek u rodziców Anny – mówił niekiedy. Zupełnie zwyczajnie.

– Ach, tak – odpowiadałem.

Albo pytałem:

– Jak wypadło jedzenie?

W tym czasie czytałem rozważania Kierkegaarda Czyny miłości. Ale jakoś nie udawało mi się pogodzić jego tez z desperacką tęsknotą, o której pisał. Czy to dlatego, że wiedziałem, iż zrezygnował z miłości?

*

Kobiety. Duże, otwarte rany sromu, gdziekolwiek spojrzełam? Bywały u mnie i robiłem z nimi groteskowe rzeczy. W wyobraźni. Ale starałem się trzymać z dala od kobiecej rzeczywistości. Człowiek nigdy nie wiedział, jak się ich pozbyć, kiedy miał już dosyć.

Próbowałem porozmawiać o tym z Akselem. Miał gotową odpowiedź:

– Jesteś wypalonym babiarzem!

Oczywiście odgryzłem się. Wreszcie miałem okazję.

– Ty, Aksel, za kilka lat będziesz należał do innej kategorii – rzekłem z uśmiechem. – Tych, którzy poruszają się po świecie wspólnie z kobiecymi ciałami, ale ani one, ani żadne marzenia ich nie obchodzą. Będziesz miał zwisający od dobrobytu i kariery brzusek. Bo znalazłeś racjonalny sposób na wykorzystanie

brzucha zarówno swojego, jak i twojej kobiety. Jako świątyni apetytu i spermy. Jeśli za piętnaście lat ktoś będzie chciał porozmawiać z tobą o miłości, zrobisz wykład na temat najnowszych osiągnięć w medycynie. Albo cen chleba. Biedne te ciała kobiece, które zabierzesz ze sobą!

– Słyszę twoją złośliwość, bracie. Ale gdzie tkwi żądło? – zapytał lakonicznie Aksel.

– Czyż nie zauważyłeś, że zamężne kobiety zawsze wyglądają tak, jakby szukały czegoś, co zaginęło w sieni? Albo w sosie? Jest w tym coś bolesnego...

– A co z zainteresowaniem kandydata Grønelva kobiecymi ciałami? – przerwał mi, wyszczerzając zęby.

– Moje zainteresowanie kobietami raczej nie jest w niczym odmienne – rzekłem – natomiast moja niechęć do zabierania ich ze sobą jak towary prawdopodobnie jest rzadziej spotykana.

– To prawda, i ta niechęć została wyraźnie ujawniona już sporo lat temu. Wtedy, gdy Karna przyjechała do Kopenhagi, żeby szukać służby. Ale nie powstrzymało cię to przed odwiedzaniem jej, kiedy tylko ci pasowało, chociaż od czasu do czasu puszczałeś oko do innych – odparł sucho.

– Tego zazwyczaj uczą nas poprzednie pokolenia – powiedziałem, żeby zakończyć dyskusję. Wygrał tę rundę.

– Tak, bez wątplenia – rzekł ten, który zwykł przedstawiać się jako najgorszy syn pastorski w Danii.

Mogłem zapytać o Annę. Tylko po to, żeby go podrażnić. Zamiast tego on się odezwał:

– Czy nadal widzisz się z Karną?

– Ona pracuje, kiedy ja mam wolne, i śpi, kiedy ja pracuję. A dlaczego?

– Tylko pytam.

Oczywiście, mogłem powiedzieć, że nie ma monopolu na Annę. Ale to by nie pomogło. Miał monopol na Annę.

*

W Wigilię spotkałem Karnę.

Sporo czasu minęło od tego jesiennego dnia, kiedy odprowadziłem ją ze szpitala. Parę razy widziałem ją z daleka. Ale nie bywałem u niej.

Sala operacyjna została przerobiona na prowizoryczny kościół i ozdobiona świerkowymi gałązkami. Za mównicą stała rozświetlona choinka. Zmysł praktyczny obowiązywał również w święta. Gałązki włożone zostały w kałamarze studentów. Dzięki temu okazały się przydatne również w tych okolicznościach.

Poniżej, przy barierce wokół stołu operacyjnego, stały stare organy. Wydawały dźwięk niczym przeziębiony zamiatacz ulic. Czułem irytację, że te nieudolne tony wzruszają mnie i prowadzą moje myśli do świąt w Reinsnes.

Wtedy między ludźmi dostrzegłem Karnę. Miała śnieg we włosach i na szalu. Promieniowała jak zawsze czymś w rodzaju nieszczęśliwej świeżości i zdrowia. Rzuciła mi szybkie spojrzenie, a potem ustawiła się i zaczęła śpiewać. Popatrzyłem na nią ponownie. Nic więcej nie było potrzebne. Czułem, jak rosnę, stojąc tam ze złożonymi dłońmi i śpiewając psalmy.

Po nabożeństwie podszedłem do niej. Była ładnie ubrana. Zaokrągliła się, z czym było jej do twarzy. Wypełniła się. Dzięki temu łatwiej było się do niej uśmiechnąć. Trochę zbyt szybko ująłem ją za dłoń. Wilgotną i lekko drżącą.

Twarz miała bladą, prawie białą. Ze słodkim muśnięciem brzoskwini na kościach policzkowych. Jej słomkowe włosy były jeszcze wilgotne od roztopionego śniegu. Całą jej postać spowijała jakaś powaga i spokój. Była jedyną znaną mi osobą, która nawet śmiertelnie zmęczona, ciągle miała blask w oczach. Dzisiaj jej oczy promieniały nieszczęściem bardziej, niż zapamiętałem to kiedykolwiek wcześniej.

– Sporo czasu minęło... – rzekłem cicho.

Nie odpowiedziała. Popatrzyła na mnie tylko. Poczułem niepokój.

Dwóch kandydatów, którzy również nie wyjechali z miasta na święta, pomachało mi od drzwi. Rozmawiali o wieczornym wypadzie do knajp.

Poczułem się niezręcznie. Zrozumiałem, że tu nie wystarczy rzucenie uprzejmej uwagi. Karna była czymś więcej. Cholerne sumienie zmusiło mnie do postania jeszcze przez chwilę.

– Masz się dobrze?

Nadal nic nie mówiła. W oczach miała coś dziwnego. Poczułem, że to dla mnie zbyt wiele. Odchrząknąłem, robiąc ruch, jakbym zamierzał się pożegnać.

Wtedy zrobiła coś osobliwego. Odchyliła połą zniszczonego płaszcza. Jak mała dziewczynka, chcąc pokazać piękną sukienkę, wyczekująca, co powiem.

Ale sukienka nie była nowa. Pamiętałem ją z zeszłej zimy. Nie była nieładna. Ale też nie stanowiła dostatecznego powodu, żeby odchyłać płaszcz.

Wtedy to zobaczyłem. Jej brzuch wyraźnie wystawał. Nie bez powodu wyglądała tak zdrowo! Stała tam w samiotkę wigilię Bożego Narodzenia, pokazując mi, jak ma się sprawa jej brzucha.

Cóż pomyślał sobie wtedy kandydat Benjamin Grønelv? Czy pomyślał: a więc Karna będzie miała dziecko? Co powinienem z tym zrobić?

To możliwe. Sekundy mijały prędko. Parę razy wciągnąłem oddech. Koledzy jeszcze raz zamachali do mnie od drzwi. A ja? Ukłoniłem się uprzejmie, wpatrując się w jej brwi i życząc jej dobrych świąt, po czym odszedłem.

Ale jej brzuch już wtedy zaczął pożerać mój mózg.

Kiedy siedzieliśmy, popijając ciemne piwo, ze dwa razy przemknęło mi przez głowę: Zapewne chciała mnie ostrzec. Zadała się z kimś. I nie miała siły ze mną o tym rozmawiać. To dlatego nie kontaktowała się ze mną przez tyle czasu. Oczywiście, że to dlatego!

*

Po świętach dowiedziałem się, że wyrzucili ją z pracy z powodu haniebných okoliczności. Ze dwa razy miałem zamiar ją odwiedzić. W końcu byliśmy starymi przyjaciółmi, czy jak należałoby to nazwać. Ale przeklętym faktem pozostaje to, że pozwoliłem, aby jej brzuch wyjadał mi mózg, i niczego nie przedsięwziąłem. Przecież miałem pójść do więzienia za morderstwo! Tylko taki pomysł miałem na swoje życie.

Zdarzało się, że zadawałem sobie proste, lecz niebezpieczne pytania:

– A jeśli Dina naprawdę nie żyje? I dlatego nie napisała, prosząc, abym nie oddawał się w ręce władz?

Odpowiedź, której sobie udzielałem, brzmiała zawsze tak samo:

– Dina nie umarła. Dlaczego miałyby umrzeć?

Po prostu nie chciała się ujawniać. Pewnie uważała, że może sterować moim życiem, tak jak usiłowała rządzić nami wszystkimi. Ale była w błędzie!

– I cóż takiego osiągniesz, biorąc na siebie wszystko? – przesłuchiwałem sam siebie.

– Zmuszę ją.

– Do czego ją zmusisz?

– Żeby mnie dostrzegła...

– A co to da, że cię dostrzeże?

Na tym utykałem. Bo musiałbym dać sobie odpowiedź małego chłopca.

Nabrałem sentymentalnego zwyczaju. Niczym jakiś kaznodzieja czytałem na głos fragmenty tej starej Biblii. I napisałem również list do Johana z teologicznymi pytaniami. Między wierszami oskarżałem go o to, że był w Kopenhadze w tym samym czasie, co Kierkegaard, nie wspominając o nim w domu ani słowem. W zasadzie nie robiłem tego po to, aby postawić Johana pod ścianą, tylko z powodu wyobrażenia, że Dinie nie podobałby się mój kontakt z nim. Jeśli nie mogłem korespondować z Diną, to

przynajmniej mogłem robić to z Johanem.

Jego odpowiedź była przyjacielska, ale krótka. Obchodził święta w Reinsnes, u Andersa. Mimo trudów podróży zimą było to „błogosławieństwem”. Jeśli chodziło o Kierkegaarda, to cieszył się na mój powrót do domu i na dyskusję ze mną o dziełach tego szalonego człowieka. Oczywiście wielce smutna była jego przedwczesna śmierć.

W ostatnich słowach listu dziękował mi wielokrotnie za otrzymany ode mnie znak życia i zakończył: Serdeczne myśli dla ciebie tam w Królewskim Mieście przesyła twój brat Johan.

Brzuch Karny nie był naukową tezą. A jednak przez cały czas pożerał mój mózg. Parokrotnie byłem już w drodze do Store Strandstraede, ale za każdym razem zwracałem.

*

Zauważyłem to po nim, zanim wyruszyliśmy na poranny obchód. Rzucił płaszcz w powietrze na wysokość dwóch metrów, elegancko zawieszając go na kołku na ścianie. Coś się wydarzyło.

Anna wróciła do domu.

– Zrobiła się z niej znakomita tłumaczka angielskiego – pochwalił.

– Ach tak – odparłem – to teraz ze względu na nią musisz chyba szukać posady w dyplomacji?

Radość skamieniała w jego oczach. Przemknął obok mnie, nie mówiąc nic więcej.

Kiedy dostaliśmy wspólne zadanie w laboratorium, wymuszona bliskość stała się nieznośna. Światło w środku przyprawiało o

szaleństwo. To pomieszczenie zawsze przywodziło mi na myśl alchemików próbujących stworzyć złoto. Zaprzędających się diabłu, żeby tego dokonać.

– Nie miałem nic złego na myśli – powiedziałem ostrożnie.

– Mam cię dosyć – oświadczył.

– Przepraszam!

– Byłem pewien, że dałeś już sobie z tym spokój – rzekł.

– Ja też tak sądziłem – skłamałem.

– Jeśli tego nie zrobisz, to będzie źle.

– Po prostu ci zazdroszczę – odparłem. – Jesteś taki cholernie... taki pewny siebie!

Przyjął to za dobrą monetę!

– Zrobmy rundkę po mieście dziś wieczorem – rzekł przyjaźnie.

– Przecież ona przyjechała?

– Wiesz, ma dość własnych spraw – odparł.

Wróciliśmy do produkcji złota w szpitalu Frederiks Hospital.

Wieczorem poszliśmy do knajpy, gdzie występowała śpiewaczka. Aksel lubił siedzieć tuż przy podium. Uśmiechał się. Zupełnie jakby śpiewała tylko dla niego.

– Pewnie będzie miała krótką spódnicę – rzekł z zadowoleniem, kiedy wpadliśmy już do środka.

– Mam ją poprosić, żeby włożyła coś innego? – wyszczerzyłem zęby w uśmiechu.

– Nie bądź taki okropny w sobotni wieczór, ona nieźle śpiewa –

odparł.

Spowijał nas gęsty, papierosowy dym. Stała na niewielkim podium z górną połową ciała wystającą z największej chmury akurat na tyle, że mogliśmy zobaczyć jej poruszające się usta. Źle nastrojone pianino z chuderlawym grajkim na stołku stanowiło część występu. Jakiś pan z lorgnonem i w cylindrze, uznawszy, że Aksel chce zagarnąć uwagę śpiewaczki, rozgniewał się i w połowie występu zaczął głośno i z oburzeniem coś mówić.

– Milcz, człowieku! – rzekł Aksel, zadowolony ze zwróconej na siebie uwagi.

Kiedy mężczyzna mimo wszystko nie poddał się i próbował odepchnąć Aksela od brzegu podium, zaoferowałem mu swoje cygaro i pociągnąłem Aksela za ramię.

– Usiądź! – powiedziałem.

– Dlaczego?

– Bo prowokujesz tego pana tutaj.

Zmusiłem go, żeby usiadł. Ale był wojowniczo nastawiony. Szczególnie że śpiewaczka patrzyła na niego przeciągłym, uwodzicielskim spojrzeniem.

– Zaśpiewaj balladę Bøgha! Albo o Kopenhadze! – wykrzyknął, posyłając jej w powietrzu pocałunek.

Pan w cylindrze był wyraźnie niezadowolony.

Śpiewaczka pochyliła się, patrząc na Aksela, a potem dała znać grajkowi, żeby zagrał inną melodię. Życzenie Aksela zostało spełnione. Zaśpiewała dla niego:

Nie uświadczysz w żadnym innym mieście
tej muzyki, gwaru, szachrajstwa i tych pięknych dam!
Powiedziałybyś, że osiem w tygodniu wieczorów
kłębią się i młodzi, i starzy u Tivoli bram.
Teatrów ze dwadzieścia ludzie tu naliczą
i nic w tym zdrożnego, bo im czas umilą.
Ale tych śpiewaczek, które w nich zachwyca,
nie widział nigdy nawet chyba sam Babilon.

Potem Aksel zaczął wykrzykiwać, żeby zaśpiewała o miłości.
Nie powinien był tego robić. Pan w cylindrze poprosił o pomoc
swojego towarzysza. Ten pstryknął palcami w stronę wielkiego psa
nieokreślonej rasy, leżącego pod stołem. Pies był wielki i groźny.
Zwłaszcza gdy wyskoczył spod stołu, pokazując zęby.

Aksel się poddał. Miał imponującą zdolność ustępowania w
ostatniej chwili. Ale humor mu się popsuł, więc musieliśmy wypić
sporo piwa.

Rozdział czternasty

Stukanie dochodziło z wnętrza mojej głowy. Byłem beczką, a w niej coś pukało. Jednocześnie w środku i z zewnątrz. Beczka miała wyraźny smak ocynkowanego metalu. Uchyliłem usta. Suche! Otworzyłem oczy. Nie widziałem zbyt wyraźnie. Przez krótką chwilę starałem się zorientować, o co chodzi w tej stukającej beczce.

Potem pojąłem, że ktoś chwiejnie wkroczył do mojej izby. Niepewne, szybkie kroki, świszczący oddech i chłopięcy głos z mutacją wypowiadający moje imię, podczas gdy gospodyni mówiła coś piskliwie w korytarzu.

Po otwarciu oczu w pierwszej kolejności zarejestrowałem to, że leżę z twarzą przytuloną do niezbyt czystych stóp. Oczywiście nie były moje. Aksel ułożony na plecach gapił się głupawo na chłopca, który stał w drzwiach. Leżeliśmy z Akselem na waleta. Nawet nie zauważyłem, że odwrócił się we śnie.

– Byłem tu już wcześniej. Ciebie nie było – wyjąkał chłopiec, machając ramionami.

Usiłowałem przeczołgać się przez Aksela, żeby stanąć na podłodze. Trochę to trwało. Jak większość poważnych sytuacji w życiu, tak i ta wyglądała zupełnie idiotycznie.

– Chodzi o Karnę! Pośpiesz się! Coś ją rozrywa!

Aksel był jak worek z piaskiem.

– Chodzi o Karnę! – powtórzył chłopiec.

Wydostałem się z łóżka. Zanurzyłem głowę w wiadrze z wodą, próbując otrzeźwić się i napić. Dzięki temu mogłem przełknąć, żeby

się nie udusić.

– Babka powiedziała, że mam biec po ciebie, żebyśmy nie musieli płacić za doktora.

Zbierałem myśli, wycierając głowę. Spodnie, koszula, marynarka. Torba lekarska. Chyba musiałem wiedzieć, o co chodzi. Nie pamiętam, abym zadawał chłopcu jakiegokolwiek pytania.

Przez ten czas, kiedy szedłem za nim do domu Karny, zamieniliśmy może ze dwa słowa. Ale nie zapamiętałem, jak ma na imię.

Aksel śpieszył się. Miał ruchy wściekłego byka. Powtórzył moje czynności z wiadrem wody. Otrzeptał się do sucha. Jak uwijający się mors.

– Pójdę z wami – oświadczył.

Nic więcej nie można było powiedzieć.

*

Chyba spaliśmy aż do popołudnia. Bo kiedy biegliśmy, cienie litościwie muskały mnie po twarzy. Wiosna była przeklętą sprawą. Zajęło nam to tylko kilka minut. Ale miałem uczucie, że biegłem całe życie. Wszystko dookoła migotało. Ktoś wbijał gwoździe w moją głowę.

Kiedy zbliżaliśmy się do ulicy Store Strandstraede, spodziewałem się, że już na ulicy usłyszę krzyki Karny. One zazwyczaj krzyczały. Ale w całym kwartale jęczała tylko cisza.

Dwa razy byłem obecny przy porodzie. Jeden raz dziecko urodziło się martwe. Ale stanowiło to ulgę, bo matka nie była zameźna. Uważano, że dopiero asysta przy trzech porodach

uprawnia do ich samodzielnego odbierania. Uczepiłem się tych opinii, a serce wyskakiwało mi z ciała.

– W środku jest bardzo dużo krwi – ostrzegł chłopiec, kiedy już wpadliśmy na podwórko.

*

Leżała z rękami wbitymi mocno w poręcze łóżka. Kostki miała białe. Sprawiała wrażenie, jakby istniał dla niej tylko jeden cel: utrzymać się w swoim własnym łóżku.

Lniana koszula nocna musiała być kiedyś biała. Teraz zmieniła się w szarą szmatę zwiniętą prawie pod jej pachami. Nie było na niej ani jednego suchego kawałka.

Ciało tkwiło wygięte w łuk nad materacem. W środku skurczu. Desperacko rozwarty otwór patrzył na mnie oskarżycielsko, a klęcząca przy łóżku babka zerwała się z okrzykiem:

– Pomóż jej! Pomóż jej!

Napotkałem spojrzenie przekrwionych oczu Karny. Ale ona mnie nie widziała. Byłem nikim. Usta miała otwarte. Widziałem, że chce krzyczeć. Ale nic się z niej nie wydobywało.

Mechanicznie robiłem to, czego się nauczyłem. Aksel asystował mi na swój sposób. Byliśmy jak dwa żalosne uczniaki, starające się odrobić lekcje w praktyce.

Dziecko leżało plecami do wyjścia. Nie miałem pojęcia, czy żyje! Nie sądzę, abym w ogóle o tym pomyślał. Musiałem je wydobyć, zanim rozerwie Karnę na strzępy.

– Gorącej wody! – powiedział Aksel do starej kobiety.

– Miałam tutaj gorącą wodę przez długie godziny – płakała babka.

– Biegnij do Frederiks Hospital i poproś, żeby przysłali tutaj doświadczonego lekarza położnika. Chodzi o życie! Dwa życia! – szepnął Aksel do chłopca, który od razu rzucił się biec. Ociekał potem. Biegł już wcześniej.

Skurcze nadchodziły bez przerw. Było o wiele za dużo krwi. Desperacko próbowałem pochwycić śliski kłębek. Główka? Gdzieś tam przecież, do cholery, powinna być główka?

Skromnie wyposażona torba lekarska była tu całkowicie bezużyteczna.

– To pępowina przeszkadza – rzekł cicho Aksel.

Wpatrywałem się w niego. Co miał na myśli?

– Pępowina. Węzeł. To musi być powód. Prawdopodobnie wokół szyi.

Mówił najspokojniej, jak potrafił. Ale trudno było temu ufać. Pewnie i tak zaraz padnie zemdlony.

Nie byłem w stanie zaryzykować użycia siły. Aksel uświadomił mi, że w środku jest coś na kształt życia. Na długie minuty zmieniłem się w widza. Prawie miałem nadzieję, że Aksel zemdleje, żeby wreszcie coś się wydarzyło.

To w tym momencie powinienem był zrobić to, co jeszcze mogłem. Powiedzieć, że ją kocham. Ale jedyne, co uczyniłem, to zwiększenie jej bólu.

Byłem jej katem. Od pierwszego uścisku stałem się katem Karny. Umyłem ręce i rozłożyłem jej nogi. Wetknąłem w nią dłoń

aż po przedramię. Słodkawe opary krwi odebrały mi oddech. Ale pozostałem wyprostowany. Na kolanach.

Parę razy widziałem, jak Tomasz robił to z krowami i owcami, kiedy miały kłopoty.

Teraz była jedynie oddechem i mięśniami. Sama rozrywała się na kawałki. A ja w tym pomagałem. Żeby tylko to się już skończyło.

– To już cały dzień – rzekła babka, chwytając Karnę za rękę.

– Kiedy to się zaczęło? – usłyszałem pytanie Aksela.

– Jakoś wczoraj rano. Była sama... Kiedy wróciłam, było już popołudnie.

Musiałem odwrócić dziecko. Ale jak zapijaczony rzemieślnik może odwrócić dziecko w łonie matki?

– Czy mam spróbować? – rzekł Aksel.

Usłyszałem jego głos i potrząsnąłem głową.

– Nie – odparłem, po raz kolejny podążając ręką za kłębkim w ciele Karny.

To w tym momencie jak gdyby się poddała. Leżała cicha i bez życia.

– Ocuć ją – krzyknąłem ostro.

Usłyszałem plaśnięcia, ale ich nie widziałem.

– Użyjcie wody! – wydusiłem.

Usłyszałem wodę. Spływała po niej prawie z czułością.

Babka płakała.

– Moja malutka, kochana, dobra Karna – płakała.

Ale Karna była zmęczona wojną. Trwała przecież chyba latami. Nie chciała więcej.

– Przyj! – syknąłem przez zaciśnięte zęby.

Aksel położył się na jej biednym ciele. Z całą swoją siłą. Na przemian zbierał siły i naciskał.

– Dziecko utkwilo! Przyj Karno! PRZYJ!

Kat wydawał polecenia.

I w końcu jakby się ocknęła.

Zrobiła dokładnie, jak powiedziałem. Wypchnęła z siebie wszystko.

Jej oddech. Szeroko otwarte oczy.

Człowiek może próbować o tym nie myśleć. Starać się mieć w głowie inne rzeczy. Ale nie da się tego zapomnieć. Zapachu walczącego ciała. Oparów. Siły kobiecego brzucha pod mocnymi ramionami Aksela.

Najpierw był krzyk. Nie wyszedł z ust. Pochodził z jej brzucha. Wbił się jak tysiące ostrych, rozedrganych noży w ściany i sufit.

Wyciągnąłem rękę. Uformowałem dłonie w miseczki. Jak mały chłopiec przyjmujący piłkę. Oczy miałem wbite w przewidywane miejsce przyjęcia dziecka. Przekorny kłębek, zwrócony plecami do świata!

Nie dostrzegałem już Karny, słyszałem tylko dźwięk ciszy podobnej do odległej burzy. Odwijając drobne ciało z pępowiny, napotkałem spojrzenie starego człowieka. Czarne jak smoła, bezpośrednie spojrzenie. Wokół małej główki unosiła się czerwona

aura z niebieskimi i białymi błyskawicami.

Miękki, bliski dźwięk zagnieździł się w moich uszach. Delikatne jak szybkie westchnienie plaśnięcie w chwili, kiedy mały człowiek wylądował na moich rękach.

Potem wszystko ustało na kilka sekund. Ruch w izbie zamarł, tak jakby wszelkie poruszenia na zawsze zastygły w ustalonym z góry obrazie.

Cisza.

W końcu mocą jakiegoś odruchu pochwyciłem sinoczarne, oślizgłe stworzenie za kostki i tak długo je poklepywałem, aż posłusznie wydało z siebie dźwięk. Podniosłem się, trzymając kłębek wiszący nad ciałem Karny.

Ale jej twarz była pęknięta. Rozpadała się na naszych oczach. Leżała całkowicie cicho. Jej dłonie nie trzymały już poręczy łóżka. Kolana były bezradnymi, sięgającymi nieba łukami. Okrągłe i dziecinne. Z małym dołkiem w samym środku.

Jęk wydobył się z miejsca, gdzie kiedyś były jej usta. Oczy miała zamknięte.

Czy to była Karna?

Wypływała z niej szerokim strumieniem czerwona rzeka. Kapała dalej na wyszorowaną drewnianą podłogę. Podążała własną drogą. Miała swój własny rytm wzdłuż niebieskawej pępowiny, która jeszcze łączyła ją z dzieckiem. Potem rzeka przybrała na sile, wyrzucając dodatkowe fale. Krążyła tu i tam, gubiąc drogę w łóżku. Rzeka z ukrytego świata. Świata, który dawał schronienie katu.

Aksel zajął się odcięciem pępowiny. Wierzył, że zaliczyliśmy

nasz egzamin mistrzowski. Odpeñniania się nauczył.

Od tamtej chwili człowiek zawsze może powiedzieć o sobie: biedny Benjamin Grønelt! Wykształcony lekarz. I mężczyzna. Jeszcze jako chłopiec widywał umierających ludzi. Przyjmował śmierć na polu bitwy i wspólnie z Karną w lazarecie. A jednak był nieprzygotowany. I nikt go nie nauczył, że tylko póki jeszcze jest czas, można powiedzieć: – Jestem tchórzem, ale kocham cię!

Nie wiedziałem również i tego, że proste, lecz niezbędne słowa należy wymówić nie po to, aby śmierć tego drugiego była lżejsza. Nie, one potrzebne są człowiekowi, żeby sam mógł kiedyś umrzeć spokojnie.

*

Babka przyjęła nagi ludzki kłębek i coś zaczęła przy nim robić. Dziewczynka. Malutkie, poważne stworzenie, które od razu naznaczyło mnie mroczną nieufnością.

Aksel stał pochylony nad Karną. Jego słowa płynęły równym strumieniem. Coś na kształt pocieszającego szmeru. Kojące. Jak kiedy ktoś leje wodę do szklanki przed oczami spragnionego człowieka.

Wpatrywałem się w rzekę Karny. Czerwoną. Pulsującą. Rytmicznie płynącą. Z wielką siłą. Desperacko objąłem rękami jej biodra. Próbowałem unieść je, aby zatrzymać powódź. Długo tak siedziałem. Żeby zmusić życie do pozostania w ciele Karny. Skłonić ją do podjęcia walki. Ale wszystko zmieniło się w mgłę, w której nie potrafiłem się zorientować.

W rozpaczę szukałem zbawienia w oczach Aksela. Ale on potrząsnął głową. Zupełnie bez związku zauważyłem, że jego zarost

jest wyjątkowo gęsty. Pory jego skóry wychodziły mi naprzeciw w wyjątkowo obrzydliwy sposób. Mdłości podeszły mi do gardła. Ściany składały się i unosiły. Doprowadzało mnie to do wściekłości.

Pełen szaleństwa głos nagle rozległ się w izbie:

– Nie dotykaj jej! Nie dotykaj jej! Karna! KARNA!

Potem poczułem czyjaś rękę na ramieniu. Zamknąłem mocno oczy, żeby utrzymać świat z dala. W tamtej chwili czas zaczął płynąć dalej już bez Karny.

Kiedy otworzyłem oczy, Aksel stał pochylony i prostował jej dziecinne kolana. Potem przykrył prześcieradłem wysychającą rzekę.

Koszulę miał na wylot przemoczoną potem, a jego plecy delikatnie drżały.

Byłem tylko przypadkowym widzem. Karno! Nie wydawaj na mnie wyroku! Nie chciałem, aby tak się stało. To tylko życie tak boleśnie wyszło ci na spotkanie. Gdybym potrafił cofnąć czas i dać ci miłość, zrobiłbym to. Czy słyszysz, że cię wołam? Nic nie mówiłaś, prawda? Nie oskarżałaś mnie? Nie powiedziałaś, że muszę się tobą zająć? Gdybyś cokolwiek rzekła, to przynajmniej wiedziałbym – i mógłbym dać ci odpowiedź!

Może to z tobą powiniennem był zostać? Może to właśnie ciebie chciałem mieć? Dlaczego mnie nie zmusiłaś? Musiałbym przynajmniej dokonać wyboru. Dlaczego mnie nie odrzuciłaś? Mógłbym przynajmniej mówić, że próbowałem.

Czy uważasz, że cię nie dostrzegałem? Że mogłem zrobić dla ciebie coś więcej? Przyjść szybciej? Ale przecież nie wiedziałem, że tak bardzo mnie potrzebujesz. Nie mogłem wszak zabrać cię do

Reinsnes. Rozumiałaś to, prawda, Karno? Czy twierdzisz, że wiedziałem, iż oczekujesz dziecka, i nie obchodziło mnie to? Skąd miałem to wiedzieć? Nic przecież mi nie powiedziałaś! A gdybyś powiedziała mi, Karno, to skąd miałbym wiedzieć na pewno, że jest moje?

Skąd mężczyzna może to wiedzieć?

Karno?

Rozdział piętnasty

W czasie bezpośrednio potem najbardziej interesujące było to, że godziny pozornie i bez sensu ustawiały się w stos poza moim ciałem. W końcu sterta była tak wysoka, że zrozumiałem, iż zmiążdży mnie, jeśli czegoś nie zrobię.

Nie wiem, jak dotarłem do Bredgade ani co zostało powiedziane między mną a Akselem. Ale pamiętam, że po kilku dniach próbował mnie otrzeźwić. Pamiętam również, że przyszedł, niosąc chleb i butelkę wina w papierowej torbie.

– Jaka to była data? – zapytałem, kiedy nalewał mi wina do szklanki.

– Co masz na myśli?

– Kiedy poszliśmy do Store Strandstraede...?

Pochylił się nisko, żeby zobaczyć, czy nic nie rozlał.

– Dwudziesty trzeci kwietnia – usłyszałem w końcu.

– Ach tak – odparłem, unikając jego spojrzenia.

Nie podejmował tematu.

– Dzień świętego Jerzego – wymamrotałem.

Ale to nie miało znaczenia.

Nieco później Aksel rzekł:

– Zostawiłem informację w szpitalu. Jesteś okropnie przeziębiony. Ale przyjdiesz w poniedziałek rano. Dokładnie o wpół do ósmej. Na obchód. Operacja od dziesiątej do jedenastej jak zwykle.

Skinąłem głową. Przed wyjściem opróżnił butelkę. Miał pewnie swoje zmartwienia. Z Anną na przykład.

Tego dnia, kiedy gospodyni przyszła z żądaniem zapłaty czynszu, pojąłem, że to jeszcze nie koniec. Świat ciągle chował dla mnie w zanadrzu wiele przykrości. Gospodyni nie miała litości. Sądziła, że jestem chory, burknęła. Ale teraz dotarło do niej, że nie mogłem zapłacić czynszu, bo przepiłem wszystkie swoje pieniądze. Wrzasnęła też coś o tym, że u mnie cuchnie. Że nie wynoszę wiader. Że mam się wyprowadzić.

Wygrzebałem dla niej z kieszeni kilka banknotów. Rozejrzała się po kątach i poczłapała w stronę drzwi z oczywistym ostrzeżeniem.

– Czy ma pani dzieci? – zapytałem uprzejmie, jakbym nigdy wcześniej jej nie widział.

Otworzyła szeroko usta. Dziwnie to wyglądało. Z jej bezgranicznie rozdziawionych ust zrozumiałem, że nie życzy mi źle. Dodało mi to odwagi.

– Czy pani rodziła?

– Nie rozumiem...?

– Ja też nie – powiedziałem przyjaźnie.

– Prosię... próbuje mnie pan zagadać i odwrócić uwagę od pełnego wiadra! Kandydat Grøneltv jest świnią! – odrzekła z gniewem.

– Tak. I katem! – odparłem, myśląc: dobrze jest to powiedzieć.

Wpatrywała się we mnie oczami pełnymi przerażenia, mamrocząc coś o chorobie umysłowej, a potem zniknęła, zamykając

za sobą z trzaskiem drzwi.

Musiałem się uśmiechnąć. Pomyślałem, że uśmiech powinien przychodzić ludziom z równą łatwością, co łzy. Cała moja twarz była niczym kamień. Upuszczony chwilę wcześniej w głębinę.

Ponieważ wstałem, a jeszcze było dość światła, przyszło mi do głowy, że może mógłbym się ogolić. Wszedłem na podwórze, niosąc pełną ubikację i puste wiadro na wodę. Opróżniłem to, za które gospodyni miała do mnie pretensje. Oczywiście miała rację. Cuchnęło. Kobiety często mają rację. Po prostu nie zawsze powinny to mówić. To nie jest niezbędne. Człowiek przecież to wie.

Kiedy tak stałem przy pompie, napełniając wodą cynkowe wiadro, poczułem ten sam smak cynku, jaki miałem w ustach owego poranka, kiedy brat Karny obudził Aksela i mnie. Co takiego wtedy powiedział?

– Chodzi o Karnę! – zawołał.

W miarę napełniania wiadra smak cynku przybierał na sile. Tak strasznie mocno leciało z kranu. Zamknąłem go. Ale to nie pomogło. Dźwięk trwał we mnie. Leciało i ciekło.

Dopiero kiedy wszedłem do mojej izby, zamknąłem drzwi i głośno powiedziałem do siebie: – A teraz się ogolimy – dźwięk nieco ucichł. Pomocne było powiedzenie: my.

Otworzyłem usta. Przepłukałem je powietrzem. Wdychałem i wydychałem, jakbym robił to po raz pierwszy. Podszedłem do okna i je otworzyłem. Powtórzyłem ćwiczenia z oddechem. Kiedy zacząłem się golić, po trzeciej krwawej próbie pojąłem, że coś jest nie tak z moimi oczami. Nie widziałem, gdzie kończy się zarost, a zaczyna skóra. Lekarz patrzył na mnie chłodno z lustra. Stawiał

diagnozę: przeciążenie i brak równowagi uczuciowej. Ergo: zaburzenia widzenia.

Interesujące!

– Ale przecież leżałem przez długie dni! Czym miałbym być zmęczony? – szydziłem.

– Zaburzenia widzenia mogą pojawić się później. Mają tylko przejściowy charakter – odparł urażony lekarz.

– A co mam robić do tego czasu? Chodzić na wpół ogolony, z pociętą twarzą?

– Zobaczysz, że wszystko z czasem się poprawi, kiedy zrobisz już coś z tym, co nie do końca rozumiesz – rzekł lekarz.

Natychmiast poczułem się lepiej.

*

Wiem, że nie oczekiwałem przyjęcia mnie jak bohatera. Ale też nie spodziewałem się, że zostanę uznany za wroga.

Kiedy zapukałem, otworzył mi brat Karny. Wpatrywał się we mnie tępo i bez słowa. Ze środka dochodził dziwny, kruchy dźwięk. Jakby ktoś łamał chrząstki. Dziecięcy płacz.

– Pomyślałem, że może mógłbym... – odezwałem się, nie wiedząc, co mam powiedzieć.

Wyszła babka. Zmierzyła mnie wzrokiem. A potem powiedziała krótko:

– Pogrzeb był wczoraj.

Skinałem głową. Mrówka zabłądziła, wędrując w górę ściany. Teraz walczyła, żeby wcisnąć się między listwę drzwi a

powierzchnię ściany. Osobliwe. Mrówka? Tutaj, w środku miasta?
Czym się żywiła?

– Twój kolega przyszedł! Z kwiatami! – rzekła oskarżycielsko.

– Tam jest mrówka – odparłem przyjaźnie.

Chłopiec spojrział ukosem, wyciągając przez otwarte drzwi głowę. Stał z otwartymi ustami, patrząc na zmianę to na mnie, to na zapracowaną mrówkę. Kobieta otarła oczy, robiąc w moją stronę dwa drobne kroki. Przyglądała mi się zmrużonymi oczami spod krzaczastych, białych brwi.

– Co nagle, to po diable – powiedziała zniecka, wciągając mnie do środka.

Chyba przeprowadziliśmy coś na kształt rozmowy. Niewiele z niej pamiętam. Zdaje się, że zapytała, czy to ja, czy mój towarzysz ma na imię Beniamin.

– To ja. Mój kolega nazywa się Aksel.

– A zatem to ty jesteś ojcem tego biednego maleństwa – powiedziała z niechęcią.

Nie wiem, czy odpowiedziałem. Wiem tylko, że dziecko płakało za zasłonką. Dziwnie zduszonym płaczem.

Człowiek mógł pomyśleć sobie, że zaraz się udusi. Tak byłoby najlepiej. Karny przecież tu nie było.

– Miałam nadzieję, że to ten drugi – powiedziała wprost.

Skinąłem głową.

– On jest miłszy. To lepszy człowiek. Jest kimś. Przyszedł z kwiatami. Płakał przy grobie.

Ponownie kiwnąłem głową.

W chwili, kiedy staruszka, wzdychając, zamknęła oczy, zobaczyłem, że ma taki sam nos jak Karna. Mały i prosty, z ładnie uformowanymi dziurkami. Człowiek aż miałby ochotę dotknąć takiej dziurki od nosa.

Uniosłem dłoń. Ale pozwoliłem jej opaść.

– Będzie bieda – rzekła.

Nadal wpatrywałem się w skrzydełka jej nosa.

– Muszę oddać dziecko. Nie mogę jej zatrzymać. Jestem stara. Chłopiec też potrzebuje ubrań i jedzenia. On jeszcze nie potrafi wiele zarobić. Kiedy Karny już nie ma... to...

Na chwilę podniosła dłoń do oczu.

Płacz dziecka ucichł. Pomyślałem: A więc się udusiło. Szmątka albo kocyk zatkały drogi oddechowe. Sina twarz. Szeroko otwarte usta i oczy. Drobnutkie, zaciśnięte dłonie. Lekarz wiedział. Widywał martwe noworodki.

– Czy wiesz może, gdzie mogę zanieść to biedactwo? – zapytała.

Potrząsnąłem głową.

Ponownie zakryła rękami twarz. Usłyszałem dźwięk.

– Nie powinni byli zamuroвывать okna przy wejściu do Frederiks Hospital. Tego dla dzieci największych nędzarzy... których nikt nie może mieć.

Człowiek słyszał już o „szufladzie”. Jedno z okien przy kamiennym mostku zostało zamurowane. To, gdzie dawniej można było przynieść niechciane dziecko, zadzwonić i uciec. Na dzwonku

napisane było: „Zbawienie Nieszczęsnych Dzieci”.

– Czy mógłbym usiąść? – zapytałem, opadając na drewniane krzesło przy stole. Stały tam jeszcze dwa krzesła.

Weszła za mną i usiadła naprzeciwko. Wytarła nos w ściereczkę wysupłaną z rękawa. Skóra na jej nagich przedramionach była blada i obwisła. Układała się w fałdy, kiedy położyła ręce na stole, owijając szmatkę między dwoma palcami. Na swój sposób mnie to wzruszyło.

– Nie udało mi się sprowadzić nikogo ze szpitala – powiedział sztywno chłopiec i wyszedł. Człowiek wolałby, żeby został. Izba była taka przytłaczająca. Rozpacz starej kobiety miała obrzydliwy zapach.

– Bo ty nie zamierzasz zapewne być ojcem? – zapytała po chwili gdzieś w powietrze.

Chyba nie byłem w stanie odpowiedzieć.

– To zrozumiałe – rzekła gorzko. – Oni tego nigdy nie robią. A już na pewno nie wtedy, kiedy matka umiera... to ojcowie jakoś nie stoją w kolejce. Nie, to prawda.

– Co mogę zrobić? – zapytał lekarz najuprzejmiej, jak potrafił.

Podniosła głowę i spojrzała na mnie. Pogarda była tak widoczna, że aż się skuliłem.

– Czy masz jakieś pieniądze? – zapytała.

– Niewiele.

– Jestem winna za pogrzeb. Sporo... Biedna Karna...

– Ile jesteśmy winni – rzekłem krótko.

Babka posłusznie wymieniła sumę.

– Proszę ich poprosić, żeby przysłali rachunek – odparłem.

– Zrobią to i bez mojej prośby.

– No tak. Ale proszę im powiedzieć, żeby przysłali rachunek do Kandydata Beniamina Grønelva u wdowy przy Bredgade.

Stworzenie w łóżeczku znów płakało. A więc się nie udusiło.

– Co robicie z nią? Kiedy płacze? – zapytałem.

Babka westchnęła, ponownie wytarła nos i podreptała do zasłonki, za którą stało łóżko Karny.

– Daję jej wodę z cukrem i rozwodnione mleko. Ale ona źle to znosi.

Przysła z zawiniątkiem i włożyła mi je do rąk. Ruszało się. Bijące z niego ciepło powędrowało w górę moich rąk aż do gardła.

– Musimy znaleźć kogoś, kto będzie ją chciał – powiedziała babka, stojąc przy piecu. Podgrzewała coś w rondelku.

– Nie byłem sprzątać w manufakturze od czasu, kiedy Karna... Nie da się dłużej żyć bez szylinga na chleb i mleko, jesteśmy winni za dwa tygodnie – dodała.

– Załatwię jakieś pieniądze – powiedziałem, wpatrując się w małą, rozwścieczoną twarz w zawiniątku.

Czarne, półkoliste loki przyklejone były do spoconej główki. Stworzenie wiło się jak węgorz, wykrzywiało i krzyczało. Przy każdym krzyku usta otwierały się jak u pisklaka drozda. Najpierw wyglądało to tak, jakby stworzenie tylko nabierało powietrza i to wszystko. Potem cała zaciśnięta buzia drżała z urazą i wydobywał

się z niej przerażająco wściekły dźwięk.

– Ma mocne płuca – wysiliłem się.

– Dzieciak jest zdrowy i silny – rzekła babka. – Nie w tym rzecz. Ale nie toleruje jedzenia. Jest za ciężkie. Och, gdybym tylko wiedziała o jakiejś kobiecie, która mogłaby karmić ją piersią przez kilka tygodni...

Zaczęła płakać.

– Może ktoś się znajdzie w którymś ze szpitali – powiedział lekarz pocieszająco. – Poszukam.

*

Lekarz całkowicie przejął stery mojego życia. Wysyłał mnie na upokarzające zebranie o kobiece mleko dla stworzenia babki. Zaglądałem do położnych we Frederiks Hospital i w szpitalu gminnym. Żebrałem i błagałem. Zbierałem każdą kroplę jałmużny. Opowiadałem rozdzierającą historię o babce, dziecku i kobiecie zmarłej przy porodzie. W końcu położne i pielęgniarki знаły opowieść tak dobrze, że wystarczyło podać im butelkę.

Codziennie babka pytała, czy spotkałem może kogoś, kto chciałby przygarnąć zdrową dziewczynkę. A ja ze wstydem odpowiadałem, że nikogo jeszcze nie znalazłem.

W tym czasie widywałem Aksela tylko na dyżurach w szpitalu. Ale pewnego wieczoru po powrocie do domu zastałem go śpiącego w moim łóżku.

Zdecydowałem, że zacznę zamykać drzwi na klucz, wychodząc z domu.

– Co tutaj robisz? – zapytałem.

– Śpię – odparł, patrząc na mnie wrogo.

Zrzuciłem marynarkę i podszedłem do stołu przy oknie. Wodził za mną wzrokiem. Potem wyprostował się, usiadł i zaczął szukać butów leżących gdzieś pod łóżkiem.

Ponieważ znalazł tylko jeden, siedział, trzymając go w ręce. Pochylony do przodu. Nie widziałem jego twarzy.

– Czego chcesz? – zapytałem.

– Dlaczego mnie unikasz?

– Nie unikam cię.

– Nie? Dlaczego nigdy nie spotykam cię w tych miejscach, co zawsze? Dlaczego nigdy nie ma cię tutaj? Dlaczego mnie już nie odwiedzasz? Czy coś jest nie tak z twoim cholernym sumieniem? Byliśmy razem – tam, przy nieszczęściu Karny. Więc, do cholery, to nie była moja wina...

– Zamknij się!

– Nie, nie zamknę się. Musimy o tym porozmawiać.

– Nie ma tutaj o czym rozmawiać. Nie ma jej przecież...

– Nie chcę mówić o Karnie. Poza tym nie wiedziałem, że tyle dla ciebie znaczyła. Dobrze to ukrywałaś!

Nie wiem, czy spowodowały to słowa, które wypowiedział, czy sposób, w jaki to zrobił, ale rzuciłem się na niego. Idiotyczny czyn. Chwycił mnie w powietrzu za kamizelkę i trzymał tak, póki się nie uspokoilem. Kamizelka natomiast pękła. A jeszcze chwilę wcześniej miała jedwabny tył i eleganckie zapięcie. Kiedy poczułem podłogę, zdjąłem kamizelkę, wpatrując się w nią.

Aksel stał na środku pokoju ze zwisającymi ramionami.

– Nie drażnij mnie – rzekł.

– Masz cholernie cyniczny sposób...

– Zdaje się, że nauczyłem się tego od ciebie.

– Ach, tak! – odparłem tylko.

– Masz tutaj jakieś piwo? – zapytał.

– Nie, w taką pogodę tylko zrobiłoby się gorące.

– Czy możemy gdzieś pójść na kufelek?

– Nie, dopiero wróciłem. Muszę się położyć.

– Spałeś przez co najmniej czternaście dni.

– Skądże, wcale nie spałem – odparłem obojętnie, kładąc się na łóżku. Zagłębienie na nim miało kształt ciała Aksela.

Westchnął, siadając na krześle przy biurku. Zwrócony do mnie bokiem.

Z miejsca, gdzie siedział, emanowało głębokie milczenie. Zamknąłem oczy z nadzieją, że sobie pójdzie. Wtedy nagle odezwał się gdzieś w powietrze, jakby rozmawiał sam z sobą:

– Anna mnie nie chce.

Nawet z zamkniętymi oczami człowiek był w stanie dostrzec, że cienie w kącie za łóżkiem są niebieskie! Pod oknami z łoskotem przejechał wóz. Końskie kopyta stukały o bruk. Dina! Dina jadąca na koniu po kamienistej plaży. Echo uderzało drobnymi ciosami w moje uszy. Moje ciało leżało na łóżku. Ja sam niczym orzech siedziałem w głowie Aksela. Wtedy ponownie usłyszałem jego

słowa. Zawisły w powietrzu. Drżały tam w oczekiwaniu na to, że je przyjmę.

Przełknąłem je w całości.

– Czego zatem chce? – usłyszałem swoje własne pytanie.

– O to nie pytałem, ale to akurat nie jest żadną zagadką.

– Nie jest?

– Nie. Bo powiedziała mi, że wy... Że ty... Że się z tobą przespała!

Wyciągnąłem szyję znad poduszki, starając się oddychać spokojnie.

– Powiedziała... Anna powiedziała... – wyjąkałem. Ale nie byłem w stanie niczemu zaprzeczyć ani niczego potwierdzić. To było zbyt nieprawdopodobne. Kobiety nie mówiły takich rzeczy! Nawet Cecilie nie byłaby w stanie powiedzieć czegoś takiego, skoro nie było to prawdą. Anna? Nie!

– Do diabła z tym wszystkim! – wymamrotałem w końcu.

Odwrócił się i spojrzał na mnie. Byłem psim gównem leżącym na rybnym targu.

– Ile jeszcze osób przejedziesz, zanim się poddasz? – powiedział, wydmuchując nos. – Nie wiedziałem, że jesteś aż tak fałszywy, tak nikczemny, taki podły do szpiku kości!

– Nie – rzekłem. A przez cały czas myślałem o tym, co powiedziała Anna. Myślałem i myślałem. W końcu wypaliłem:

– Dlaczego to powiedziała?

Wpatrywał się we mnie z wściekłością.

– Pewnie jest bardziej szczerą od ciebie!

Zapadła martwa cisza. Potem wybuchnął:

– Uważaj tylko, żeby nie umarła w połogu, zanim ją doprowadzisz przed pastora. To byłoby niemiło! Ty cholerny, niegodziwy norweski kundlu!

Przyjąłem to na leżąco. W zasadzie go rozumiałem. Aksel. Drogi Aksel! Drogi, kochany Aksel!

– To nieprawda – wyrzuciłem z siebie.

– Nie, być może to lekka przesada, ale niedaleka od prawdy – wycedził przez zęby.

– Mam na myśli Annę. To nie jest prawda. Nie spałem z nią. Nigdy. Ja...

Przyglądał mi się lodowato.

– Próbujesz się wymigać? Chcesz wmówić Annie kłamstwo, żeby zachować przyjaźń ze mną? Chcesz posiadać wszystko. I mieć ciasteczko, i je zjeść. Jesteś gorszy, niż mi się wydawało. Powinienem rozmazać cię po ścianie w tej obrzydliwej...

– Musisz mi uwierzyć! To nieprawda.

Podszedł do łóżka. Wyglądał dostatecznie groźnie, abym wstał. Zmierzył mnie wzrokiem. Z góry do dołu! Najdłużej patrzył mi w oczy. Pomyślałem, że teraz się na mnie rzuci. No cóż. I wszystko się skończy.

– A co twoim zdaniem chciałaby osiągnąć, opowiadając mi takie ohydne kłamstwo? – warknął chrapliwie, jednocześnie usiłując przysunąć się do mnie jak najbliżej.

Czułem się źle. Jego ciężki kadłub wisiał w powietrzu tuż nade mną. Olbrzymie drzewce. Żagle nie zostały odpowiednio umocowane. Mogły w dowolnym momencie uderzyć mnie prosto w twarz.

– Tego nie wiem.

Nie wymierzył mi ciosu. Nic się nie zdarzyło. Nadal wpatrywał się we mnie.

– To jakaś przekłeta sprawa – odezwał się w końcu. Spokojnie.

Usiadłem z ulgą na łóżku, całkowicie wyprostowany i zacząłem po omacku szukać na nocnym stoliku tytoniu i fajki.

– Wierzysz mi? – zapytałem z ożywieniem. Zbyt wielkim ożywieniem.

– Czy wierzę? Wierzę, że Benjamin Grøneltv jest najbardziej dziurawym butem, jaki kiedykolwiek spotkałem! I pomyśleć, że przez lata miałem cię za przyjaciela! Czy naprawdę może być tak, że ona kłamie? Ale skoro tak, to pojmujesz chyba tyle, że musi mieć jakiś powód? Co zamierzasz osiągnąć, zdradzając ją przede mną? Dlaczego nie weźmiesz tego na siebie, jak mężczyzna? Ty zajęte serce!

Wyrwał mi z ręki tytoń i fajkę, wrócił na krzesło i niespiesznie nabił ją i zapalił.

– Masz rację – odezwałem się w końcu.

Aksel przewrócił oczami w kłębach dymu.

– Przecież marzyłem o tym – rzekłem w przestrzeń. – Marzyłem o tym bardziej niż o czymkolwiek innym: kochać się z Anną.

– To przynajmniej mamy jeszcze coś wspólnego – odpalił mi sucho i bez najmniejszego choćby cienia niezdrowego sentymentalizmu.

W tamtym momencie rozumiałem dobrze, dlaczego kocham Aksela. Myślałem o tym również wtedy, gdy stopniowo rozpędzał się w swojej cynicznej przemowie. Nie wiem nawet, czy faktycznie przejąłem się do głębi tym, co mówił. Oczyszcziło mnie to. Uczyniło wszystko prostym, możliwym do zamknięcia i zakończenia. W końcu posłał mi strzał miłosierdzia:

– Co zamierzasz w sprawie Anny?

– Dobrze wiesz, że ona przecież mnie też nie chce – odparłem.

– Ale gdyby zechciała?

Westchnąłem, wzruszając ramionami.

– To zabrałbym ją do Reinsnes.

Złośliwy uśmiech przebiegł przez twarz Aksela.

– No, muszę przyznać! Szybko powstajesz z martwych! W chwili, gdy będziesz ją pytał, zostanę twoim osobistym sekundantem. Z zadowoleniem przyjrzę się, jak wreszcie zachowujesz się jak mężczyzna.

Nie uznałem za stosowne odpowiedzieć.

– A jeśli okaże się, że ona chce jechać w skute lodem pustkowie?
– zapytał.

Coś powiedziało mi nagle, że zastawił na mnie pułapkę.

– Tak się nie zdarzy – odparłem zdecydowanie.

– Dlaczego nie? Skoro tak chętnie kłamię, dla ciebie

pozbawiając się czci i cnoty?

– Przecież nie mogę odpowiadać za to, co mówi tobie!

Skinął głową. Przez chwilę siedział, kiwając nią bez przerwy.

– I pomyśleć, że Beniamin odkrył, jak prosta jest miłość. Chciałby mieć miłość gdzieś pod ręką, ale nie zamierza dla niej nawet kiwnąć palcem! Nie może odpowiadać za słowa Anny. I nie jest w stanie odgadnąć, dlaczego ona to mówi! On! Który rozmyślał o tym, że chętnie przespałby się z narzeczoną swojego przyjaciela. To jest jego Ewangelia miłości i przyjaźni! Gratulacje!

Podniósł się do wyjścia. Kiedy stanął przy drzwiach, oprzytomniałem.

– Idziesz?

– Nie było mnie tutaj – mruknął.

– Nie jesteśmy już przyjaciółmi?

– Nie dzisiaj! – powiedział zmęczonym głosem.

– Nie powiesz jej... że ja temu zaprzeczyłem? – poprosiłem.

Posłał mi spojrzenie pełne żalości.

– Nie – odparł krótko.

*

Teraz nastawała jego kolej, żeby mnie unikać. Nawet w szpitalu. Staralem się jak najlepiej trzymać procedur na oddziale chirurgicznym u Saxtorpha. Życie pod dyktando zasad, w odorze karbolu.

Moją codzienną próbę męskości zdawałem, wpadając wbrew

wszystkim dobrym zasadom na teren izby porodowej dla niezamężnych matek, żeby wyżebrać trochę mleka dla dzieciaka przy Store Strandstraede. Zostawiałem mleko pod drzwiami babki. Czasami słyszałem w środku płacz dziecka.

W maju Aksel i ja rozpoczęliśmy sześciotygodniowy kurs, żeby zdobyć status praktyków w położnictwie. W zasadzie ciągle jeszcze się nie pogodziliśmy.

Ona się nie odzywała. Dina.

Człowiek mógł zadrećcać się myślą, że w tym momencie Aksel spaceruje z Anną wzdłuż jeziora albo przechadza się w Tivoli. Skutkowało to oczywistym zmęczeniem. W ogóle ciągle chciało mi się spać.

Przy Bredgade opróżniałem wiadro toaletowe z taką uwagnością, jakby była to najważniejsza sprawa w moim życiu. Usiłowałem też ustalić, jaka jest moja sytuacja materialna. Zrozumiałem, że muszę starać się o przedłużenie posady kandydata do chwili powrotu do domu. Do domu? A zatem sądziłem, że zdołam uniknąć procesu?

Na swoją korzyść nie będę też ukrywał, że długo rozważałem, czy napisać lub zatelegrafować do Andersa i poprosić go o pieniądze dla babki Karny. Osobliwe było to, że im więcej o tym myślałem, tym słabsza była wola, żeby naprawdę to zrobić.

Słowo po słowie analizowałem moją ostatnią rozmowę z Akselem. Jego oskarżenia. Starałem się również odtworzyć w myślach ostatnie spotkanie z Anną. Ale miałem takie uczucie, jakby w pewnym sensie już mnie to nie dotyczyło.

Wyjąłem księgi Kierkegaarda. Nie dlatego, żebym chciał go

czytać, tylko po to, żeby uwolnić się od siebie.

Bojaźń i drżenie: Problematy: „...tylko temu, co wyciąga miecz, oddany jest Izaak. A ten, co pracować nie chce, nie dostaje chleba, ale oszukują go, jak bogowie oszukali Orfeusza powietrznym obrazem zamiast prawdziwej oblubienicy; oszukali go, bo był niedojrzały, oszukali, bo nie był mężczyzną, tylko cytarzystą. [...] a ten, kto chce pracować, karmi swego rodzzonego ojca”^[13].

To wszystko były mile widziane tezy dla kontrolowanych uczuć.

^[13] Søren Kierkegaard, *Bojaźń i drżenie*, s. 43.

Rozdział szesnasty

Pewnego wieczoru, nie mogąc już dłużej wytrzymać z kandydatem Beniaminem Grønnelem, a także z wdową przy Bredgade, poszedłem do „Apotheket”.

Widząc go, od razu uświadomiłem sobie, że za nim tęskniłem. Aksel siedział pod lampą naftową. Samotnie, w kącie.

Podszedłem do jego stolika. Ostrożnie. Kiedy usiadłem, skinął ociężale głową.

– A więc zaszczyca się swą obecnością starą Kannikestraede?

– Człowiek musi przecież zobaczyć, czy nowe młokosy w Regensen mają już brody – odrzekłem.

Kiwnął ponuro głową.

– Nie za wiele tam bród, o nie! – odezwał się po chwili.

– Ja stawiam – rzekłem.

Kiedy dostaliśmy już coś do picia, a on nadal nie przejawiał zbyt wielu oznak życia, zapytałem:

– Masz zły dzień?

– Zarykuję się ze śmiechu – odparł.

– Aż tak?

– Tak!

Popijałem, przyglądając się ludziom. Dotarło do mnie, że powinienem był zdjąć płaszcz. Zrobiłem to i usiadłem ponownie. On nadal tkwił na swoim miejscu ze zwieszoną głową.

– Ej, ty! – rzekłem rozkazująco.

– Nie krzycz! – wrzasnął tak, że dziewczyna z tacą aż podskoczyła.

– Czy to mnie masz ochotę zabić? Czy kogoś innego?

– Nie zabijam ludzi – stwierdził stanowczo.

– To w czym problem?

– To właśnie jest problem!

Nagle zrozumiałem, co powiedział.

– Tak – zgodziłem się. – To właśnie jest ten problem.

Siedzieliśmy przez chwilę, patrząc każdy w swoją stronę, jakbyśmy się nie znali.

– Byłem na pogrzebie. Boże święty! – powiedział nagle.

Stałem się czujny.

– Tak? – zapytałem.

– Sądziła, że jestem tobą... Musiałem, do diabła, dać jej do zrozumienia, że to ty byłeś...

– Dzięki za twoją dobroć! Ale dlaczego mówisz mi o tym teraz? Żeby mi dokuczyć?

– Dobrze, dobrze, dobrze, tylko spokojnie! – burknął ze złością.

Przyjąłem to bez większego wrażenia. Starannie unikałem jego wzroku.

Wtedy znów się odezwał:

– Widziałeś ją?

– Kogo?

– Dzieciaka – odparł.

– Tak – odrzekłem krótko.

– Jest podobna?

– Przestań! – poprosiłem.

A po chwili rzekłem:

– Stawiam sznapsa!

– Co ty dziś taki szczodry? – zapytał szyderczo.

– A tak sobie – powiedziałem tylko.

– Czy widzisz też Annę? – zapytał w przestrzeń, kiedy dostaliśmy już sznapsy.

– Nie, a ty? – odparowałem.

– Tak – odrzekł, spoglądając na mnie z wściekłością.

Nic nie można było na to odpowiedzieć.

– Ruszam wkrótce do domu – rzekłem.

– Tak, teraz pewnie pali ci się pod nogami – odparł sucho.

Podniosłem się znad pełnego kieliszka, żeby odejść. Miałem dość. Naciągnąłem płaszcz. Śledził mnie wzrokiem.

– No cóż – powiedziałem, robiąc nieznaczny ruch głową w ramach pożegnania.

Siedział, jak gdyby nie widząc, że to może być nasz koniec.

– A twoja matka? Ciągle za granicą? Czy jest już zdrowa? – zapytał mnie w taki sposób, jakbyśmy ciągle siedzieli naprzeciwko

siebie.

– Nie była chora – odpowiedziałem.

– Ale przecież to dlatego jechałeś odwiedzić ją... w Berlinie.

– Nie spotkałem się z nią – odparłem wymijająco.

– Nie spotkałeś się?

Ciągle tam stałem.

– Nie!

– Ale przecież przywiozłeś wiolonczelę... Sądziłem, że jest tak chora, iż przestała grać. A przecież grała, nieprawdaż?

– Tak, przez jakiś czas. Chodziła na lekcje do mistrza.

– Właśnie tak to zrozumiałem. I skończyła grać?

– Tak.

– Czy ona też ostatecznie pojedzie do domu?

– Nie.

– Ależ usiądź, człowieku! To nie ty masz powód, żeby być zły! Tylko ja! – wykrzyknął.

Wzruszyłem ramionami, przysiadając na brzegu krzesła.

– Tam pod biegunem północnym kobiety są trochę dziwne, co? – powiedział, próbując ostrożnie się zaśmiać.

Nie odpowiedziałem.

– Czy jest wielka? Jest wirtuozem? – zapytał.

– Nie sędzę – odparłem wymijająco.

– A co ona sama mówi?

– Nic.

– Nie pytasz?

– Powiedziałem przecież, że nie spotkałem się z nią! Nie pyta się o nic kogoś niewidzianego od czasu, kiedy się było małym chłopcem.

– Chcesz powiedzieć, że twoja matka tak po prostu cię zostawiła?

– Coś w tym rodzaju.

– Dobry Boże! Kiedy? Ile miałeś wtedy lat?

– Nie pamiętam dokładnie... czternaście...

– Jasna cholera... – wymamrotał, szarpiąc się za brodę. – A ja sądziłem kiedyś, że cię znam! Wielu rzeczy się nie wie...

Nie odpowiedziałem. Ale pojąłem aluzję.

– Nie zdawałem sobie sprawy, że nie ma jej od tak dawna. Chodziło tylko o grę na wiolonczeli? Czy zdarzył się jakiś skandal?
– zapytał.

– O grę na wiolonczeli. O ile wiem – skłamałem.

Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu. Aksel na moment schował w dłoni swój kieliszek. Ja oglądałem własne paznokcie. Żaden z nas nie pracował rękami. Moje dłonie poza tym nie były do tego stworzone. Niezbyt potężne w porównaniu z rękami Aksela. Odziedziczyłem długie palce Diny. Ale co ja wiedziałem? Jakub mógł mieć palce jak stąd do Øresund! Ręce Aksela wyglądały tak, jakby przy porodzie zamieniono dłonie noworodka kowala i pastora.

– Chcesz powiedzieć, że jej nie znalazłeś? Że nie wiesz, gdzie jest?

- Coś w tym rodzaju.
- A próbowałaś? Czy tylko udawałaś?
- Daj spokój! Czy sądzisz, że pojechałem do Berlina bez celu?
- Nie siedziałaś tam zbyt długo.
- Nie było jej tam!

Obsesyjnie szarpał się za brodę.

- A gdybyś spróbował ją odnaleźć? Teraz! – rzekł.

Jego głos był niczym szept dobiegający nocą przez otwarte okno.

- Po co?
- Żeby dowiedzieć się, czy chce cię zobaczyć. I jak żyje.
- Przecież próbowałem. Nie interesuje mnie już, jak żyje!

Wpatrywał się we mnie przez chwilę, a potem zacisnął oczy i wykrzywił twarz.

- Nie oszukasz mnie, do cholery! Odkąd wyjechała, nie minął nawet jeden dzień, żebyś o niej nie myślał!

- Phi...
- Czyż nie mam racji?
- Może i tak. Od czasu do czasu...
- Jedziemy!
- My?

– Tak, potrzebujesz sekundanta! A ja muszę ruszyć się gdzieś w świat! Nie tylko panusie mogą sobie jeździć po świecie, kiedy my tutaj zaharowujemy się na śmierć! – wyszczerzył zęby.

– Nie mam żadnych pieniędzy na podróż.

Westchnął lekko, wyciągając usta w mięsisty ryjek, żeby pomyśleć.

– Spróbuję to załatwić.

– Nie, nie chcę pożyczać pieniędzy.

Zacząłem mu tłumaczyć, jakim przekleństwem jest pożyczanie pieniędzy od ludzi. Przez chwilę mi się przyglądał. Potem uderzył pięścią w stół.

– Jesteś tchórzem! Nie masz odwagi poszukać własnej matki! Boisz się, że cię odrzuci!

Izba nagle stanęła do góry nogami. Aksel stał się ohydny, cuchnącym padlinożercą, przed którym musiałem umknąć, zanim będzie za późno.

Podniosłem się niepewnie, żeby odejść, ale on wyciągnął ramię, przytrzymując mnie.

– Pojadę z tobą do Berlina! – rzekł zdecydowanie.

– Co skłania cię do takiej decyzji? – zapytałem, zauważając jednocześnie, że zapala jedno z hawańskich cygar profesora.

– Czy to ma jakieś znaczenie?

– Tak.

– Jakie?

– Muszę wiedzieć, jakie masz motyw. Czy chodzi o zemstę na Annie, czy o przekonanie, że chcesz mnie wspierać.

– Żadna z tych rzeczy. Po prostu zwykle, egoistyczne pragnienie

podróży – odparł.

Wyciągnąłem rękę. Starym obyczajem użyczył mi cygara. Pociągnąłem z niego dym parę razy i oddałem mu.

– Chodźmy – powiedziałem, opróżniając kieliszek.

Był podejrzenie zgodliwy. Ruszyliśmy w jego stronę. Do Valkendorfu.

– Nawet gdybym chciał, to nie mam pieniędzy na podróż do Berlina – rzekłem.

– Nie możesz czegoś załatwić?

– Nie. To znaczy, mógłbym zapytać Andersa. Ale nie wiem, jak wyglądają sprawy tam, w domu. I trochę by to trwało.

– Mogę załatwić ci pożyczkę – powiedział zdecydowanie.

– Skąd weźmiesz pieniądze? – zapytałem.

– Od mojej matki – wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Nie mówiąc jej, do czego są ci potrzebne?

Wzruszył ramionami.

– Pewnie liczy się z tym, że narobiłem sobie długów.

– Dlaczego tak bardzo się przy tym upierasz?

– Przecież już ci mówiłem.

– Chcesz trzymać mnie z dala od Anny! Ale ja przecież niedługo wyjeżdżam! – powiedziałem.

Zatrzymał się, chwytając mnie za ramię:

– Nie chodzi tylko o to! Jesteś prostakiem, jeśli tego nie

rozumiesz. Nie wydaje mi się, żebym mógł cokolwiek jeszcze zrobić dla Anny. Nie teraz. Jeśli kobietom wolno podróżować, to mogę i ja!

– Tak, tak – odpowiedziałem.

Po kilku kolejnych krokach zatrzymał się ponownie i chwycił mnie za ramię. Jego śmiech nie brzmiał dobrze.

– Byłem tam dziś wieczorem. U Anny – śmiał się.

– I było aż tak zabawnie?

– Nieszczególnie – przyznał. – Mam ci opowiedzieć, dlaczego?

– No cóż...

– Nie jadła obiadu razem z nami. Anna miała nagłą przypadłość, która nie pozwoliła jej usiąść z nami do stołu. Zapewniam cię, Beniaminie, nawet nie zaoferowałem się z postawieniem jakiejś diagnozy. Było to zbyt oczywiste. Ale pocieszałem rodziców, jako dobrze wychowany człowiek. A Benjamin Grøneltv unosił się nad tym wszystkim jak władczy duch!

– Przykro mi – wymamrotałem.

– Ależ nie ma powodu – odparował szybko. – Wszystko zostało ci wybaczone.

– Jesteś o wiele za młody na takie zgorzknienie – powiedziałem ostrożnie.

Ale nawet nie chciało mu się odpłacić mi tą samą monetą. Już dawno minęliśmy Valkendorf.

– Nie będę więcej się z nią spotykał – rzekłem, kopiąc coś leżącego na drodze. Było większe i cięższe, niż się spodziewałem.

– Och, ależ oczywiście, że będziesz! Będziesz się z nią spotykał!

– odparł z wściekłością.– I z każdym kolejnym razem będziesz coraz bardziej uleczony. Sam na sam z nią będziesz zapewne mówił o mnie dobrze. Wspólnie z nami obojgiem będziesz się śmiał. Będziesz moim przyjacielem i drużbą. W zamian będziesz mógł przeklinać, że zaoferowałem kapitał na odszukanie twojej matki.

Staliśmy pomiędzy dwiema latarniami ulicznymi. Jedyne, co widziałem, to jego dłoń trzymającą żarzące się cygaro.

– Czy to właśnie nazywa się przyjaźnią? – zapytałem.

– Tak, tego możesz być pewien!

– Szybko zdecydowałeś, jak mnie kupić? – rzekłem.

– Tak, ja szybko myślę. Ale wcale cię nie kupuję. Potrzebuję cię mieć dla siebie.

– Czy to takie oczywiste, że jesteś tym właściwym... dla Anny?

– Tak. Mówiłem ci to już wcześniej. Od pierwszego naszego spotkania wiedzieliśmy, że jesteśmy sobie przeznaczeni. Anna miała sześć, a ja osiem lat. Wiedzieliśmy to przez cały czas. Że będziemy razem. To jest piękne. Poważne. To nie jest coś, co można tak po prostu przyjść i zniszczyć.

– Nigdy nie mówiłeś o... o miłości. Sądziłem, że to raczej praktyczny układ.

– A gdybym wygłosił wielkie słowa o miłości, to nie spróbowałbyś? Czy to usiłujesz powiedzieć?

Co człowiek mógł na to odrzec?

– Wtedy nie spróbowałbyś? – powtórzył, wydmuchując imponująco wielkie kółka dymu ponad nasze głowy. Miał przewagę.

– Nie wiem – przyznałem.

Szedł jak byk z rogami spuszczone do ziemi. Długi kawałek. W milczeniu. A potem usłyszałem:

– A więc jednak! Oto wyznanie winy!

*

Kiedy mijaliśmy kamiennego rycerza na rynku Kongens Nytorv, niebo nad nami całkowicie zaciągnęło się chmurami i spadły pierwsze wielkie krople deszczu. Wiatr szumiał mocno w koronach drzew okalających pomnik, a włosy Aksela stały dęba w powietrzu. Spóźniony pucybut minął nas, ciągnąc za sobą smutno swój wózek. Kilka pojedynczych rozbłysków rozświetliło niebo.

– Patrz! – zawołał Aksel. – Fajerwerki w Tivoli!

– Tak – odparłem głupkowato, wtykając ręce w kieszenie.

Przypatrywaliśmy się sobie, a deszcz uderzał w bruk z taką siłą, że wokół nas rozpryskiwała się woda.

– Musimy znaleźć schronienie. Gdzie jest najbliższa gospoda? – zapytał.

– Aksel, przecież jutro rano musimy być w sali operacyjnej!

– To do ciebie podobne! Najpierw odwlekasz do późnej nocy spotkanie ze mną. Kiedy w końcu się pojawia, jesteś zmęczony. I to jeszcze zanim zaczniemy coś robić. Kiedy wyjeżdżamy?

Napawał się własną przewagą.

Na pewno stanowiliśmy osobliwy widok, idąc tak ulicami w deszczu. Dwa bliźniacze ciała z odrębnymi, a jednak pod każdym względem zależnymi od siebie mózgami.

Najbliższą gospodą było szemrane miejsce przy ulicy Ny Adelgade. Tam zdołaliśmy zamieść naszą niezgodę pod dywan i obmyślić wielkie plany. W sprawie Diny.

Pierwszy sznaps szarpnął mi jelita, przypominając, że powinienem był coś zjeść. Ale ponieważ Aksel najadł się przy suto zastawionym profesorskim stole, nie zamawialiśmy niczego. Poza tym Aksel twierdził, że w takich miejscach mają tylko kiełbasę z arsenikiem.

Ale przynajmniej się ogrzałem. Nasze mokre płaszcze wisiały na kołku, susząc się i nasiąkając dymem. Gęsty dym z fajek i głosy dobywające się z zarośniętych twarzy pod lampami stwarzały wrażenie ciasnoty. Smutki oddaliły się. Po pewnym czasie ogarnęła nas niepohamowana wesołość. Obu. Po kolejnych sznapsach byliśmy już pijani. Aksel przy każdym kieliszku wygłaszał krótkie przemowy. Wszystkie sprowadzały się do tego, że był oczkiem w głowie swojej matki. I że na pewno załatwi od niej pożyczkę. Kiedy skończy się czas naszej zawodowej kandydatury, pojedziemy do Berlina.

Poprosiłem go, żeby przestał powtarzać ciągle to samo, jeśli nie mam uznać, że to tylko pijackie gadanie. Odpowiedział mi głęboką analizą, jak wielka jest słabość jego matki do niego. Nie tylko z powodu jego czarującej powierzchowności, ale również ze względu na jego delikatną duszę. Która, jak utrzymywała matka, była okruczem jej własnej.

Zmęczenie i głód odeszły. Byłem młodym Judaszem, siedzącym u kolan Jezusa i słuchającym, jak zbawi nas obu za pomocą swoich kontaktów z siłami wyższymi. W przypadku Aksela: z matką.

Kiedy już przekonał mnie, jak łatwo jest dzięki urokowi

osobistemu zawładnąć człowiekiem cierpiącym na wrodzoną przypadłość w postaci bycia matką, zaczął wypytywać mnie o Dinę.

– Muszę przecież, do cholery, być w stanie ją rozpoznać, gdyby zdarzyło mi się ją spotkać, kiedy ciebie nie będzie w pobliżu!

Przez chwilę zastanawiałem się, niezdolny do opowiedzenia mu niczego, co mogłoby równać się z tą wyjątkową miłością matczyną, jaką on miał w swoim zasięgu. Dlatego wybrałem inną drogę. I porwała mnie moja własna historia. W końcu usłyszałem to sam. Nie opisywałem mojej matki. To była kobieta. Dina. O której myślałem przez lata. Która sprawiała, że ludzie zmieniali się, kiedy wchodziła do pokoju. Szczególnie mężczyźni.

Opowiedziałem Akselowi o pastorze, który prawie zawsze przyjeżdżał do Reinsnes bez żony. O Nielsie, który powiesił się z powodu nieszczęśliwej miłości. O Andersie, którego opuściła. O Rosjaninie, który zastrzelił się na naszych oczach, bo nie mógł jej mieć.

W niektórych miejscach przekraczałem granice. Sam wierzyłem w tę opowieść. Błyszczące oczy Aksela pod lampą. Głośny szmer rozmów wokół wszystkich stołów. Ciepło w ciele. Uczucie, że Aksel znów jest moim przyjacielem. Wszystko powodowało, że moja opowieść obrastała w szczegóły i nabierała nowych odcieni.

Od czasu do czasu Dina przemykała przez podwórko ze zmarszczonymi brwiami i niedostępną twarzą. Ale odsuwałem od siebie ten obraz. Wsadzałem ją na Szatana i pozwalałem, aby gnała przez pola. Kazałem jej grać Mozarta, aż drżały pajęczyny u powały. A Aksel wzdychał. Pozwalałem jej zapalać świąteczne lampki. Schylonej nad pięcioramiennym lichtarzem. Tak nisko, że zapłonęły jej włosy. I pozwoliłem jej jak szalonej żeglować przez

cieśninę Sund.

Nic nie szkodzi, że nie miałem w zanadrzu żadnych historii o tym, jak ulegała czarowi Beniamina. Opisywałem ją siedzącą na koniu, bez siodła, tylko na owczej skórze. Opisywałem ją w tłumie ludzi spuszcających wspólnie żaglowce na wodę. Albo kiedy przyjmowała mężczyzn wracających z Lofotów. Opowiadałem o tym dniu, kiedy we dwoje płynęliśmy przez otwarte morze, żeby kupić konia.

Aksel słuchał bez swoich zwykłych, ironicznych uwag. Dał się wciągnąć w rodzaj upojenia. Mam wrażenie, że siedzieliśmy tam i obaj byliśmy zakochani. Nie w Annie. W Dinie!

W pewnym momencie Aksel rzekł:

– Czy ty opowiadasz o swojej matce? Czy o kimś, o spotkaniu z kim marzysz?

– To ktoś, kogo obaj mamy spotkać!

– Może to ktoś taki, kogo ja powinienem mieć? – rzekł nagle.

Z wyższością opróżniłem kieliszek i zaśmiałem się:

– Ona na pewno nie pożyczłaby nam pieniędzy.

Spojrzał na mnie i klepnął dłonią w stół. Wznieśliśmy solidny toast.

– Przyjeźdź do Reinsnes, kiedy ona już wróci do domu! – rzekłem gościnnie.

– Z Anną?

Nie zawahałem się.

– Z Anną!

Lekkim krokiem wytoczyliśmy się na dwór. Deszcz przestał padać. Ale wszystko parowało wilgocią. Wędrowaliśmy przez jedną ze ślepych kiszek w brzuchu wielkiego wieloryba. Pachniało i cuchnęło.

Latarnie gazowe spoglądały na nas łagodnie. Ulice były prawie puste. Ale głuche odgłosy odległego przewodu pokarmowego wieloryba docierały do nas jak mroczne tajemnice. Bliźniacze ciała. Wspólne ramiona i nogi. Niepewnie stawiane, walczące z mlaskającym błotem aż po łydki.

– Gdzie, do cholery, podział się ten pucybut? Na gwałt muszę odświeżyć swoje wierne sługi! – krzyknął Aksel w stronę nieporuszonych ścian domów.

– Cicho, bo przyjdzie stójkowy i nas zamknie – ostrzegłem.

– Zamknie? – wybełkotał Aksel, zatrzymując się w środku rynsztoka. Uśmiech szczęścia opromienił całą jego wielką, rozczochraną głowę. Potem wyszeptał tak głośno, że można było usłyszeć go po drugiej stronie ulicy:

– Teraz zapukamy w okienko do Madame przy Peder Madsens Gang!

Natychmiast wytrzeźwiałem. Odór z rynsztoka uderzył w mój mózg niczym pałka. Godziny lukrowanych opowieści właśnie się skończyły. Obrzydzenie przypuściło na mnie atak. Potrząsnąłem głową, czując zawrót głowy i mdłości.

– Jestem zbyt wykończony... – powiedziałem z największą rozpaczą, na jaką potrafiłem się zdobyć.

Jeszcze długo po tym, jak się rozstaliśmy, słyszałem pogwizdywanie Aksela. Kiedy szedłem, trzymając się murów i ścian

domów, w mojej głowie rozlegał się śpiew:

– Przyjedź do Reinsnes z Anną! Z Anną... Z Anną...

Pieśń Anny dla mnie.

Rozdział siedemnasty

Kilka dni później po powrocie ze szpitala zastałem czekającą na mnie kopertę. Byłem pewien, że to od Aksela. Ale to było od niej. Od Anny, „powietrznego obrazu” z pism Kierkegaarda! Nie chciała przychodzić do mojej kwatery, ale pragnęła się ze mną spotkać w „A Porta” przy rynku Kongens Nytorv o godzinie osiemnastej tego samego dnia. Gdybym nie uznał, że to ważne, to nie ma problemu, pisała.

Niespecjalnie lubiłem miejsce, gdzie mieliśmy się spotkać. Snobistyczny lokal z cukiernią dla pań z towarzystwa, gdzie ludzie chodzili się pokazać. Ale to było przynajmniej coś. Że nie bała się, iż ktoś zobaczy ją ze mną. Nie tylko nakłamała Akselowi o najbardziej intymnych sprawach, ale zamierzała spotkać się ze swoim kłamstwem.

Czytając list po raz drugi, uświadomiłem sobie, że nie widziałem jej całą wieczność.

Była zaledwie czwarta, a ja już miałem wilgotne ręce. Człowiek powinien może porządnie się ubrać? To było rozwiązanie! Wyszykowałem się najlepiej, jak potrafiłem. Wypucowałem buty czernidłem. Kiedy skończyłem, była dopiero piąta.

Zapukałem do drzwi gospodyni z pytaniem, czy mógłbym może coś dla niej zrobić? W czymś pomóc albo...?

Otworzyła szeroko oczy, a potem uśmiechnęła się prawie przyjaźnie.

– On nie jest do tego stosownie ubrany. Dobrej zabawy!

Zacząłem przypuszczać, że przeczytała list przed oddaniem mi go. Nie był zapieczętowany. Poczułem irytację. Nie wiem jednak, czy to dlatego, że być może przeczytała list, czy z powodu jej protekcyjnego tonu. Tak czy owak, rzekłem dosyć kwaśno:

– Wiadro jest opróżnione!

– Ależ nawet nie pytam, broń Boże! – odparła.

– Dziewczyna, która przyniosła list, powiedziała, że przychodzi od profesora... jak tam on się nazywa...?

Uśmiechnęła się z wyrazem rozrzewnienia na twarzy. Jakby chodziło o jakąś tajemnicę pomiędzy nią a mną.

– To nie do zniesienia! – powiedziałem najbardziej ironicznie, jak umiałem.

– Niech no kandydat nie będzie taki impertynencki. Po tych wszystkich latach jestem jak matka. A teraz, kiedy wkrótce wyjedzie i tak dalej...

Dało mi to powód, żeby życzyć jej miłego wieczoru i wyjść z domu.

*

Byłem pierwszy na miejscu. Wybrałem stolik pod oknem tylko po to, aby zobaczyć, jak nadchodzi. Wydawała się obca. Pewnie z powodu ubrań z Londynu. Twarzy nie dostrzegłem. Okno było zbyt zakurzone.

Rozejrzała się ostrożnie po całym pomieszczeniu. Podniosłem się, żeby się przywitać. Wzrok mnie zawodził. Dostrzegałem jedynie

jasną kreację, otulającą ciało Anny. Ale była chyba bardzo elegancka. Bez przesady i mnóstwa zbędnych koronek, plisek i ozdobnych szpilek, zgodnych z obowiązującą modą. Może to dlatego wyglądała na starszą, niż w rzeczywistości była?

Kiedy podeszła bliżej, miałem wrażenie, że zaraz zacznie płakać. Utkwiłem spojrzenie w aniołach namalowanych na ścianie ponad jej głową. Niewiele to dało. Palmy na postumentach, krzesła i stoły, wszystko wirowało. Podałem jej rękę. Ale miałem uczucie, że nie mam za co chwycić. Czułem tylko jeszcze większe zmieszanie. Jak wtedy, kiedy leży się z zamkniętymi oczami wyciągniętym na trawie, a ktoś łaskocze nas pod brodą źdźbłem.

Człowiek mógł powiedzieć sobie, że Karna nie żyje. Że tego nie widzi.

Nie zapytałem o Aksela. Nie tylko z powodu przecucia, że tego oczekuje, bardziej dlatego, że nie byłem w stanie wykrztusić słowa. Nie tak miało to wyglądać, ale czułem mdłości. To nie była jej wina. Aksel miał rację. Trudno byłoby wskazać cokolwiek, co mogłoby być winą Anny!

Ale rzecz w tym, że posłała po mnie, bo chciała mi coś powiedzieć. Musiało to być coś ważnego. Lepiej było nie zgadywać. Ale to nie czyniło mnie człowiekiem bez winy w oczach Aksela. W jej oczach również nie.

Usiadła na krześle, które jej podstawiłem. Jej twarz ukryta była w cieniu modnego kapelusza typu budka. Jednak czułem na sobie jej spojrzenie. Skierowane wprost na mnie. Nieco dziecinne. Przestraszone?

Można by uznać, że sprawia wrażenie nieco zmęczonej i bladej,

pomyślał lekarz w czasie, gdy ja siedziałem, śledząc ruch jej piersi unoszonych oddechem. W głębi dekoltu. Zagubiony w tym osobliwym łuku nad jej górną wargą. Kiedy kilka razy otworzyła i zamknęła usta, a dwa dołeczki pokazały się przy kącikach warg, poczułem, jak te zagłębienia rozgaszczają się w moich pachwinach. Nie do końca tego świadom, wyciągnąłem do niej rękę ponad stołem. Ale nie przyjęła mojej dłoni.

Kiedy podszedł kelner, pytając o zamówienie, żadne z nas jeszcze nie odezwało się słowem.

– Ja poproszę tylko szklankę soku! – powiedziała, ściągając wolnym ruchem rękawiczki.

Zamówiłem dwie szklanki soku, a kelner zniknął.

– Widziałeś, że nadchodzę? – zapytała, wskazując głową w stronę okna.

– Tak, widziałem, jak idziesz.

Przez chwilę oboje milczeliśmy.

– Musiałam spotkać się z tobą sam na sam. Oczywiście to nie jest...

– Tak?

Jej usta otworzyły się, jakby chciała coś powiedzieć. Potem zamknęły się i zwęziły. Gdyby nie te dwa drobne dołeczki przy kącikach, uznałbym, że żałuje swojego przyjścia.

– Żeby porozmawiać o tobie i Akselu tak, żeby on tego nie słyszał? – wymknęło mi się.

– Nie. I tak! – rzekła hardo. Jakby właśnie w tym momencie

uświadomiła sobie, że właśnie tak się sprawy mają.

Zrobiłem przesadny gest dłonią.

– Rzecz w tym... Jest coś, do czego muszę się przyznać. I coś, o co zamierzam cię oskarżyć.

– Zajmijmy się najpierw oskarżeniem.

Serce całkowicie zamarło mi w ciele. To nie było normalne. Jeszcze chwilę wcześniej waliło tak, że prawie nie słyszałem turkotu kół na zewnątrz.

– Zdradziłeś moje plany Akselowi. Zwierzyłam ci się, że chcę mieć ciebie jako alibi. A ty mnie zdradziłeś.

– To musiało być dawno temu?

– Powiedziałeś mu, że chcę jechać do Londynu.

– A miał tego nie wiedzieć?

– Tak, ale musiało mu być przykro, że usłyszał o tym od ciebie.

– To może trzeba było mi tego nie mówić?

– To prawda – przyznała przekornym tonem.

– Sądziłem, że jesteś wolnym człowiekiem.

– Powiedz mi, jak naiwny może być mężczyzna? Od kiedy to kobiety są wolne? Tata jest jedynym znanym mi mężczyzną, który... który walczy nawet o to, żeby kobiety mogły studiować... medycynę!

– Przykro mi – rzekłem gładko.

– Przykro!

– Nie co do profesora! Nie, nie! Że powiedziałem o tym Akselowi!

Upiłem łyk soku.

– Zemściłam się – powiedziała.

– I co?

– Powiedziałam Akselowi, że wyjechałam do Londynu, bo zgodziłam się dobrowolnie, aby uwiódł mnie jego najlepszy przyjaciel.

Mówiła szybko i urywanie. A jednak wszystko zrozumiałem. Wiedziałem przecież o tym już wcześniej. Ale zaskoczenie było na pewno prawdziwe. Czułem się porażony tym, że ona mi o tym mówi.

Szybkim ruchem pochyliła się nad stołem i łapczywie upiła soku ze szklanki. Jej kapelusz był trochę przekrzywiony. Na zaokrąglonym z tyłu rondzie miał obciągnięty materiałem guzik. Wystawał teraz w powietrze i wyglądało to idiotycznie. Kiedy ponownie się wyprostowała, nad jej górną wargą rysowała się czerwona kreska. Tuż powyżej dołeczków. Poczulem chęć, aby przesunąć palcem po tej smudze.

– Dlaczego to powiedziałaś?

– Z dwóch powodów: Chciałam się zemścić. I zależało mi, aby zrobić z siebie kogoś, kogo Aksel nie będzie już chciał.

– Dlaczego mi to mówisz?

– Bo lepiej, żebyś to wiedział.

– Czy nie mogłaś zamiast tego powiedzieć Akselowi, że go nie kochasz?

– Nie.

- Dlaczego nie?
- Bo to nieprawda.
- Ach tak. Nie chcesz za niego wyjść. Ale go kochasz?
- Tak. Każdy, kto zna Aksela, kocha go. A ty nie?
- Jest tu pewna różnica.

Bawiła się czymś na kolanach. Rękawiczkami?

- Co myślisz o mnie? – zapytała. Prawie niedosłyszalnie.

Co myślałem o Annie? Jak, do diabła, mógłbym jej wyjaśnić, co o niej myślałem?

- Myślę, że nie jesteś...

- Czym?

- Że nie jesteś dla mnie. Że lepiej, żeby...

– Żebyś sobie po prostu... pojechał? I że ja jestem dostatecznie dobra dla Aksela?

Jej rzęsy rzucały takie długie cienie. Łuk jej czoła. Nos. Zagłębienie pod nosem. Podbródek. Robiłem się przez to ciężki. Od pragnienia. Żeby ją posiadać. Żeby usłyszeć, jak mówi zupełnie inne rzeczy niż te, które faktycznie wypowiadała. Jak z nagimi biodrami i pulchnymi ramionami oplecionymi wokół mnie wypowiada namiętne słowa, a jej kapelusz sterczy w powietrze.

Chciałem zapytać, czy nie moglibyśmy znaleźć miejsca, gdzie nie ma tylu ludzi. Ale oczywiście nie zdobyłem się na odwagę. I nagle zrobiło się za późno.

Położyła na stoliku obie nagie dłonie wnętrzem do góry, tak

jakby chciała coś przyjąć. A potem powiedziała cicho, patrząc prosto na mnie:

– Ta Karna? Ta, która zmarła w połogu? Ile znaczyła dla ciebie?

Jej oczy. Czy widziałem je już wcześniej? Obnażone. Z mięśniami drżącym w prawym kącie? Źrenice. Ciemne i intensywne.

Za jej głową stała palma, której cień tworzył wzór gałęzi na jej policzku i ramieniu. Jak gdyby dawno temu ktoś użył pazurów, żeby zrobić jej krzywdę, i pozostawił ciemne blizny.

Patrzyłem w stół.

– Nie wiem – odparłem, a mój członek zwił w zawstydzeniu.

– Byłeś z nią w czasie, kiedy widywałeś się ze mną?

– Nie.

– Dlaczego mówisz coś, o czym sam wiesz, że to nieprawda?

Mierzyliśmy się wzrokiem. Ale nie byliśmy zdolni zostać wrogami. Podniosłem moją serwetkę, przechylając się przez stół w jej stronę. Potem zwilżyłem ją o brzeg własnych ust i ostrożnie wytarłem tę czerwoną kreskę po soku.

Mocno zamknęła oczy, siedząc nieruchomo i czekając, aż skończę. Potem opadła z powrotem na oparcie krzesła i ponownie utkwiała we mnie oczy.

– Ty, który spotykasz się z jedną kobietą i jednocześnie jesteś z drugą, uważasz, że to dziwne, iż kocham Aksela, nie chcąc zarazem wejść na zawsze do jego rodziny i życia?

– Nie, nie uważam, że to dziwne – odparłem.

Wesoła kompania przeszła z hałasem ulicą gdzieś obok.

Znalazłem upragnioną wymówkę, żeby uciec przed jej wzrokiem i wyrzucić przez okno. Ale nie trwało to długo. Człowiek musiał przecież odnieść się do bieżącej chwili i miejsca. Nawet jeśli nie wiedział, co powinien powiedzieć.

Wypiła do końca sok. Czerwona smuga znów tam była. Usiłowałem się uśmiechnąć, ale mi nie wyszło.

– Pamiętasz, jak stałeś naprzeciwko mnie w parku i powiedziałaś, że mnie kochasz? – rzekła z nerwowym pośpiechem.

Skinąłem głową.

– Zaraz potem poszedłeś do niej?

– Nie.

– Dlaczego nie?

– Anno! – poprosiłem.

– Czy zawsze jest tak, że mężczyźni mówią, że kochają, ale idą do innej?

– Nie mogę odpowiadać za wszystkich mężczyzn...

– Wystarczy, że odpowiesz za siebie.

Moja krew. Wymierzyła mi cios w twarz. Poczułem taką cholerną ochotę, żeby ją za to uderzyć. Przycisnąć ją własnym ciałem, aż ustaną słowa! Aż ucichnie zupełnie w moich ramionach.

– Nasze... nasze relacje nie są takie oczywiste – rzekłem.

– Wyjaśnij mi, co masz na myśli.

– To nie jest takie proste...

– Gdzieś zacznij.

Można było wyobrazić sobie, że człowiek jej ufa. Że opowie jej wszystko. Również to, czego sam do końca nie wiedziałem. Tylko czy miałem odwagę narażać się na to? Teraz? Czy miałem coś do stracenia?

– Po pierwsze Aksel – usłyszałem własny głos.

– On jest moją sprawą.

– On jest moim przyjacielem.

Przyglądała mi się spod półprzymkniętych powiek. Czyż nie wyglądała cholernie frywolnie? Chociaż była córką profesora? Ależ tak! Anna flirtowała ze mną. Posyłała mi spojrzenia! Przez chwilę nie odzywała się. Patrzyliśmy tylko na siebie. Dopadło mnie uczucie, że w ogóle nie usłyszała słów: „On jest moim przyjacielem”.

Wtedy przerwała ciszę, mówiąc szeptem:

– Czy pamiętasz Peera Gynta? Wielkiego Krzywego? Czy pamiętasz Krzywego?

Przełknąłem ślinę.

– Najlepiej pamiętam Peera. Co masz na myśli?

– Mówisz jedno, a myślisz zupełnie coś innego. Tak bardzo chciałbyś, żeby jakoś się to wszystko udało. Żeby udało ci się uciec...

– To nieprawda!

Człowiek naprawdę mógł zacząć bawić się myślą o ucieczce. Ucieczce od Anny. Od jej słów. Patrząc tęsknie w stronę drzwi, kiedy otwierał je ktoś wychodzący na ulicę.

– Czy tylko żartowałeś, kiedy mówiłeś o uczuciach do mnie...

– Nie! – przerwałem.

– Powiedz mi więc, czego chcesz!

– Chciałbym, aby było ci dobrze. Akselowi i tobie.

Powtarzała moje słowa bezgłośnie, żaden dźwięk nie wydobył się z jej ust. Oczy napełniły się powoli. Potem zaczęła przeciągać rękawiczkami po dłoniach. Raz za razem. Monotonne, prawie desperackie ruchy. Złapałem się na tym, że liczę. Sześć. Siedem. Przypomniałem sobie, że wykonywałem takie rytuały jako chłopiec w sytuacji zagrożenia. Miałem zwyczaj liczyć cokolwiek. Żeby zatrzymać się na określonej liczbie i zostać zbawionym. Jednak musiałem pilnować, żeby ustawić się w pewnej koniecznej pozycji w stosunku do źródła zagrożenia.

Kiedy dotarła do swojej liczby i zatrzymała się, rzekłem:

– Życie to nie czytanie książek.

– Nie? – zapytała.

Co można było na to odpowiedzieć?

– Ta Karna? Jej dziecko? Ono żyje, prawda?

Wiedziała! Powinienem był zauważyć to po niej, jak tylko stanęła w drzwiach! Aksel jej to powiedział. Albo sama odgadła wszystko, kiedy opowiadał o Karnie i dziecku. No tak! I co z tego? Czy mogło być jeszcze gorzej?

– Żyje – odparłem.

– I nie miałeś zamiaru mi tego powiedzieć? Mimo tego, co twierdzisz?

Zrobiło się zbyt niesmacznie. Miłość nie powinna tak wyglądać. Obrzydliwe przesłuchanie w kawiarni.

– A jaki miałbym mieć cel, żeby ciebie tym męczyć? – powiedziałem.

– Męczyć mnie!

Kołysała się powoli na krześle tam i z powrotem. Nagle poczułem gwałtowną niechęć. Do siebie. A więc i do niej. Jej nie spędzało to snu z powiek!

– Najbardziej boli... odczuwanie pogardy – usłyszałem jej głos gdzieś daleko z góry. Potem dotarło do mnie, że idzie w stronę drzwi.

W końcu mogłem zrobić coś konkretnego. Pobiec za nią. Kelner powstrzymał mnie zdecydowanie. I nie od razu zrozumiałem, że chce zapłaty za dwie szklanki soku. W oszołomieniu wygrzebałem pieniądze z kieszeni.

Kiedy wyszedłem na ulicę, stała tam, opierając się o latarnię. Objąłem ją ramionami, nie myśląc o tym, że ku ogólnemu zgorszeniu stoimy na rynku Kongens Nytorv.

– Anno, czy możesz mi wybaczyć? – powiedziałem szeptem.

– Nie mogę ci wybaczyć tego, jaki jesteś – odparła po prostu, uwalniając się z uścisku.

Człowiek mógł poczuć zaskoczenie, że nie płacze. Powinna była płakać.

Poszliśmy bez celu w stronę Østergade.

Nagle dotarło do mnie, że to takie chwile zabiera się dalej ze sobą. Iść obok Anny. Być może kiedyś pomyślę: Tego wieczoru szedłem z Anną Aksela.

Mogłem oczywiście równie dobrze o tym nie myśleć. Ale nigdy nie byłbym w stanie tego zapomnieć.

– Nie wiem, jak mam sprawić, żebyś zrozumiała? – rzekłem.

Nie patrzyła na mnie. Tylko szła. Prosto przed siebie.

– Rozumiem. To ty niczego nie rozumiesz! Mam... chciałam... a ty nadal nic nie rozumiałaś!

– Że chciałaś się ze mną spotkać?

– To również.

– Jesteś odważna, Anno. Rozumiem, dlaczego Aksel chce cię mieć.

Stała, wpatrując się we mnie. Potem uniosła dłoń i uderzyła mnie w twarz. Ludzie zatrzymali się przy nas, gapiąc się.

Nie mogłem oderwać wzroku od jej kapelusza. W pośpiechu niechcący szarpnęła nim. Przez chwilę był przekrzywiony, a potem zawisł na troczkach na jej ramieniu.

– A ty? – krzyknęła. – Czego ty chcesz?!

Nadal jednak nie płakała.

Podniosłem rękę do twarzy. Nic innego nie mogłem zrobić. Błąd był nie do naprawienia. Musiałem pozwolić czasowi płynąć.

I znów można było zatęsknić za możliwością opowiedzenia jej czegoś, co wszystko usprawiedliwi. A Karny przecież i tak już nie było. Tylko jak to uczynić...

Uspokoila się, kiedy pomagałem jej założyć kapelusz. Miejsce po uderzeniu jej dłoni zaczęło piec. W ten sposób miałem ją tak blisko.

Nic już nie mogło być gorzej, więc kiedy ruszyliśmy ponownie, odważyłem się wziąć ją pod ramię. Poczułem pod ręką materiał rękawa jej zakietu.

Oczywiście powinienem był wiedzieć, że jeszcze nie skończyła.

– Co zrobisz z dzieckiem? – rzuciła gdzieś w powietrze. Jej głos był niczym mieszadło w metalowym naczyniu.

– Ja?

– Tak, ty!

– Biegam do wszystkich położnych w mieście, żeby zdobyć mleko – powiedziałem.

– I to wystarczy?

– Jest już lepiej...

W tym właśnie momencie zaczęła płakać. Jakby to, że załatwiałem mleko, było błędem.

Dotarliśmy do rynku Amager Torv. Omnibus i trzy konne dorożki leniwie wyczekiwały w cieniu kilku szerokich markiz. Handlarka zieleniną siedziała, drzemiąc, pod swoim parasolem. Twarz przykryła sobie starą gazetą „Adresseavisen”. Ta trzepotała lekceważąco przy każdym jej wydechu, a kiedy handlarka wciągała powietrze, przyklejała jej się do twarzy, wydając bulgoczący odgłos. Wszystko ku wielkiej uciechu dwóch chłopców szwendających się w pobliżu.

Poczułem gwałtowną potrzebę, aby z czegoś się zaśmiać. Dlaczego Anna i ja nie mogliśmy się śmiać? Pochyliłem się nad nią, wysilając się na uśmiech. Ale ona nie patrzyła na mnie. Byłem dla niej jak dziura w powietrzu.

– Muszę już iść do domu – powiedziała.

– Dlaczego?

– Aksel i ja jesteśmy w gruncie rzeczy na spacerze... Miał odebrać mnie spod „A Porta” i pójść ze mną do domu na obiad.

Można było domyślić się, że wykorzystwała Aksela! Jako przyzwoity pretekst, żeby spotkać się ze mną! Zamiast tego poczułem, jakbym się dusił. Coś we mnie zmieniło się w martwą tkankę. Należało ją wyciąć. Można było nazwać to zazdrością. Albo czymś na kształt samotności. O ile była między nimi jakaś różnica.

– A więc musisz iść... – wymamrotałem, odwracając się, żeby ją odprowadzić.

– Jesteś taki... – powiedziała zduszonym głosem, nie kończąc zdania.

Nie zapytałem, co ma na myśli.

– Czy jeszcze cię spotkam? – zapytałem zamiast tego.

Zatrzymała się i wytarła nos w malutką chusteczkę. Nagle sprawiała wrażenie obojętnej. Całkowicie spokojnej. Nawet nie widać było, że płakała.

– To zależy od ciebie.

Nie zapytałem, co ma na myśli. Czas nie był po temu.

Ulica Østergade nie miała w tym dniu końca. Nic już nie mówiłem. Trzymałem ją tylko z szacunkiem pod ramię. Kiedy zobaczyłem, jak Aksel długimi krokami wchodzi do kawiarni, zatrzymałem się i puściłem ją.

– Dziękuję, że chciałaś się ze mną spotkać! – powiedziałem

uprzejmie.

Przez chwilę wahała się, a potem wyciągnęła dłoń i dotknęła z przodu mojej koszuli. Błyskawicznym ruchem. Następnie odwróciła się i poszła.

– Wszystkiego dobrego, Anno! – zawołałem za nią cicho.

Nie wiem, czy mnie słyszała. Nie dała żadnego znaku.

Podbiegł do mnie obcy pies i zaczął ocierać się o moje nogi. Pochyliłem się i pogłaskałem go lekko. Niebo powoli przechodziło w fiolet. Dzwoniły dzwony w kościele Ducha Świętego. Siedem uderzeń.

Anna spędziła ze mną całą godzinę!

Rozdział osiemnasty

Aksel mieszkał w nowej części bursy Valkendorf. Nie każdy mógł dostać tam miejsce. W roku 1588 Fryderyk II potwierdził, że stary gmach karmelitów zostanie przeznaczony na mieszkanie dla szesnastu biednych, zdolnych studentów pod zarządem nowego właściciela – Valkendorfa. Lecz historia wiele zmieniła. Stary klasztor został zburzony i na jego miejscu powstał nowy budynek.

Aksel nie był ani biedny, ani zdolny. A jednak tam mieszkał. Za solidną bramą, starannie strzyżonym żywoplotem, obok masztu z flagą. Z własnym wejściem z korytarza. Szczyt marzeń dla studenta lub kandydata.

Dwa dni po spotkaniu z Anną poszedłem przypomnieć Akselowi, że czeka nas podróż. Nie widziałem go w szpitalu.

Dokładnie tak jak ja, zostawiał otwarte drzwi do swojego pokoju. Wszedłem i położyłem się na łóżku. W butach, poczęstowawszy się na pociechę jego cygarem. Zdrzemnąłem się i obudziłem sam, ale Aksel się nie pojawił.

Kiedy usłyszałem za drzwiami kroki jednego z mieszkańców, wytknąłem głowę z pytaniem, czy nie wie, gdzie podziewa się Aksel. Pojechał na kilka dni do domu, brzmiała odpowiedź.

Półmrok spowił już dom. Bez wahania położyłem się na łóżku, zapalając kolejne cygaro. Po chwili uświadomiłem sobie, że pojechał do domu, żeby zdobyć pieniądze na podróż. A więc potraktował to wszystko poważnie!

Musiała nadejść prawie bezszelestnie. Nie usłyszałem jej kroków, dopóki nie otworzyły się drzwi i nie ukazała się w nich

zdyszana. Anna!

Kiedy mnie ujrzała, stanęła jak wryta. Z obydwoma rękami z tyłu. Jakby broniła drzwi przed wejściem nieznanego wroga.

– Ty! – wyrzuciła.

– Tak.

Człowiek mógł uznać, że leży w łóżku Aksela, śniąc o Annie. Ale tak nie było. To była naprawdę ona.

– Co tutaj robisz? – rzekła. Słowa padały powoli, na wdechu i wydechu.

– Czekam na Aksela. Podobno pojechał do domu na kilka dni. A ty?

– Przyszedłam w odwiedziny do Aksela – odparła.

– Często to robisz? – zapytałam, usiłując nadać głosowi szydery ton.

– Zdarza się.

– Czy twoi rodzice wiedzą...?

– Dlaczego pytasz?

Spojrzenie miała zamglone. Ściana mroku była kruchym błękitem. Podniosłem się z łóżka. To miejsce stało się wykluczone. Zgasiłem cygaro. Mały pokój był niczym skorupa. Wokół Anny i mnie! Miałem ją tutaj. Blisko. Sam na sam. Nikt nas nie widział.

Wielka fala uniosła się z głębin, zabierając mnie ze sobą. Zrobiłem kilka kroków. Oparłem dłonie po obu stronach jej szyi i przycisnąłem ją swoim ciałem do drzwi. Znalazłem jej usta, jednocześnie dociskając ją mocniej. Dociskając bez dotykania jej!

Zamknąłem drzwi na klucz. Tak, to chyba ja zamknąłem drzwi.

– Nie! – powiedziała, kiedy otoczyłem ją ramionami, całując ponownie.

– Nie! – mówiła, kiedy raz za razem powtarzałem jej imię.

Bez wątpienia mówiła nie. Ale była ze mną! Czuję, że była ze mną. Chyba nauczyłem się wcześniej, że „nie” niekoniecznie musi oznaczać odmowę. Może nie byłem świadom swojej siły? A może wiedziałem o niej? Napawałem się nią? W pokoju Aksela. Po pewnym czasie w łóżku Aksela. Na jego pasiastej, szorstkiej kapie, z wyraźnymi śladami po cygarze i czernidle do butów.

*

Moja siła wywalczyła sobie miejsce na kwietnej łące. Zapach! Dobry Boże, jaki zapach unosił się w pokoju Aksela! Anna! Skóra. Materiał. Włosy. Ściany spowijała brunatna, ciemna ziemia. Sufit stał się tak lekki, tak łatwy do uniesienia. Dla kogoś silnego. Tak prosto było jej dosięgnąć.

Jeśli nawet pamiętałem, że przyszła na potajemne spotkanie z Akselem, to nic takiego się nie wydarzyło. Bo była ze mną!

Można było mieć nadzieję, że i ona tęskniła. Pragnąć dowieść jej, że i ona tęskniła. Za mną!

To nie był żaden wilgotny, potajemny sen. Jeden z tych, po których budziłem się z bladym zadowoleniem, ale z bezużytecznym ciałem. Ramionami. Do czegoż człowiek używał wcześniej tych dwóch cholernych ramion?

I dłonie. Moje dłonie chciały czynić tyle dobrego. Wszędzie naraz. Bez tchu usiłowałem przebiec przez wszystkie jej ogrody.

Przeskoczyć przez wszystkie furtki i płoty. Zerwać kwiaty z każdej grządki.

– Nie! – powiedziała.

Ale to była chyba tylko muzyka? Oczywiście, że muzyka! Jej głos. Wszystko jedno, co mówiła, bo muzyka mieszkała w niej.

– Nie – rzekła ponownie.

Ale jej „nie” wykraczało poza moje granice.

W chwili, gdy poczułem jej palec wciskający się w moje prawe oko, a wszystko stało się czarnymi mdłościami, usłyszałem, że płacze.

Człowiek mógł dojść do wniosku, że powinien był zrobić to piękniej. Spokojniej. Bardziej z miłością. Tak się nie stało. Chyba wiedziałem, że nie mam aż tyle siły.

Ale z powodu bólu oka musiałem przerwać. Mrugałem i mrugałem. Ból wzmocnił pożądanie, ale przez chwilę trzymał się na wodzy.

Wtedy dotarło do mnie, że przewróciłem Annę na brzeg łóżka. Wszystko leżało w nieładzie. Jej eleganckie ubrania. Wszystko. Ale pachniało tak cholernie słodko!

Leżałem z jedną dłonią wsuniętą pomiędzy jej zakiet a bluzkę i czekałem, kiedy przestanie płakać. Pod spodem było coś niezwykle miękkiego. Jej skóra. Ciepła, przypominająca w dotyku kacze pisklęta Stine.

Leżąc tak, myślałem sobie, że będzie próbowała się podnieść. Ale leżała zupełnie cicho. Strasznie cicho. Uniosłem powiekę, spoglądając wprost na jej zamknięte oczy.

Wtedy zacząłem poruszać dłonią. Powoli. Spodziewając się, że będzie broniła się przed moimi rękami. Ale jej ramię mocno obejmowało mnie za szyję, a dłoń zagłębiła się w moje włosy. To było takie dobre. Że miała dłoń w moich włosach.

Nie spodziewałem się tego. Było w tym wybaczenie. Między nas wślizgnęły się dłonie Karny. Bezsilnie. Krótkimi ruchami. Ale to w niczym nie przeszkadzało.

Nawet jeśli miała znów się rozzłościć, musiałem ją pocałować. Kiedy w którymś momencie otworzyłem oczy, zobaczyłem zwierzęce spojrzenie. Nieśmiałe, wściekłe, przestraszone, błogie. Wszystko w nim było. Zagrzebałem w nią głowę, aby uciec przed krwią Karny. Przęłykałem ślinę i z trudem łapałem powietrze. Mój członek był do bólu zdecydowany. Wstrzymywałem się. Obiema rękami odszukałem jej skórę, ale wstrzymywałem się.

Jej kapelusz stoczył się na podłogę. Wykonałem idiotyczny ruch ręką, żeby go podnieść. Ale odepchnęła go stopą. Grzebień wypadł z jej włosów, które wypłynęły dookoła.

Wtedy zrobiła to! Nie byłem w stanie myśleć, kiedy to robiła.

Gwałtownym ruchem odpięła guziki bluzki, wypłatała się ze sznurowań i haftek przy bieliźnie. Wyłoniły się. Piersi Anny się wyłoniły! Przywodziły na myśl dwa równe, okrągłe kawałki bursztynu, leżące w mroku plaży.

Nie istniała taka potrzeba, żeby w to uwierzyć. Bo działało się teraz tak, jak już kiedyś bywało. Mogłem przyglądać się im w spokoju i ciszy, a one nie uciekały. Nie były zbyt duże. Ale złociste, z małymi, ciemnymi brodawkami. Inne niż te, które widywałem wcześniej?

Dlaczego człowiek usiłuje sam zniszczyć sobie święte chwile? Dlaczego leżałem tutaj z Anną, czyniąc porównania? Z kim? Madame w zaułku Per Madsens Gang? Czy z tą przy ulicy Magstraede, która miała aksamitną opaskę na szyi i brzydkie, niebieskawe plamy na piersiach? A może z tą samotną panią w Berlinie? Albo Andreą garbarza! Panie nasz, Stwórco, jak człowiek potrafi sobie zawikłać te święte chwile! Miękkie, obfite piersi Karny z dużymi, rozlanymi brodawkami? Kiedy w moich dłoniach leżały piersi Anny?

A Anna? Czy mnie widziała? Moje myśli? Czy rozumiała, że przymierzam ją do tych wszystkich innych? Czy widziała, jak niewiele się od nich nauczyłem? Bo większość tych spraw działa się z powodu swego rodzaju naglącej konieczności. Czy takie rzeczy kiedykolwiek robiło się z miłości?

Pożądanie? Anna! Czy ono mogło być miłością?

Nie pytałem. Pożądanie było jak ogier. Nie do powstrzymania. Przedzierał się przez przeszkody i przeskakiwał żerdzie. To był koniec. Dzieło moich dłoni i ciała, żeby zaspokoić tęsknotę.

Jakie są losy zaspokojonych tęsknot? Niezależnie od tego, co się zdarzyło, tęskniłbym za zrobieniem tego ponownie. Właśnie z nią!

Anna była chyba bardziej odważna z nas dwojga. Anna! Uzdolniona córka profesora. Przesuwałem palcami po jej twarzy i włosach. Pieściłem nagą skórę. Podniecające miejsca, gdzie cienki materiał przechodził w naskórek. Brzegi. Gumki. Guziki. Jej pośladki miały delikatną, pokrytą drobnym puszkciem powierzchnię. Jakby dotykać tamtego aksamitu, którym obciążony był stary szezlong w palarni w Reinsnes! Tak bardzo chciałem zobaczyć ją nagą. Poczuć skórę wokół jej talii.

Najpierw nie miałem odwagi sięgnąć do jej kobiecości. Można było zaryzykować westchnienie ulgi, poczucie, że już prawie tam jestem. Ale nie miałem na to odwagi. Bo co będzie, jeśli teraz okaże się, iż przez cały czas zwodziła mnie, żebym wierzył, że tego chce? Tylko po to, aby ponownie odepchnąć mnie w mrok?

Na skraju katastrofy zawsze trzeba dokonać wyboru.

Wybrałem głębinę Anny. I dokładnie w chwili, kiedy wstrzymałem oddech, pragnąc w nią wejść, wycofała się. Jej zwierzęce oczy próbowały mi coś powiedzieć, ale nie byłem w stanie pochwycić jej spojrzenia. Płynąłem już przez ciemne, głębokie morze.

Jej oczy mnie ugodziły. Wypadłem z transu. Ta myśl! Trzeba było wziąć ją pod uwagę. Zrozumieć, chociaż ból rozrywał lędźwie. Że jestem tym pierwszym. A więc nie Aksel? Nie!

Pożądanie, które waliło mi w uszach, posyłając swój rytm w dół ciała, ucichło. Można by to nazwać zamętem. Albo czułością? Chwilą na pomyślenie, co teraz należy zrobić? I że człowiek nigdy nie miał do czynienia z kimś, dla kogo był to pierwszy raz.

Można było zadać pytanie, ale wtedy należałoby zrobić to szybko. A jak się pyta?

*

Nasze oczy przenikały się nawzajem, a jej jedwabiste uda oplatały moje nagie biodra. Potem przycisnęła do mnie brzuch, obejmując mocno moje plecy.

Usłyszałem swój własny jęk i pokój zniknął. Istniało tylko jedno miejsce na świecie: twarde, wilgotne i miękkie.

Między to wdzierała się wola Anny do zniesienia bólu. Żaden dźwięk nie wydobył się z jej ust. Wystarczyło dalej się poruszać. Przecież człowiek robił to już wcześniej!

Ale nie byłem w stanie. Osłabłem w niej. Kiedy miało się już wszystko i pozostawało tylko zrobić to, straciłem siły. Wtedy poczułem jej dłoń przesuwającą się wzdłuż moich pleców pod koszulą. Kiedy desperacko myślałem o pchnięciach. O tych dzikich, ślepych pchnięciach, jakie chciałem dać Annie.

Mogłem o tym myśleć aż po ciemność przed oczami. Ale nie byłem w stanie. W końcu zlegliśmy zupełnie spokojnie. Leżała przede mną, głaszcząc mnie po twarzy opuszkami palców.

*

Leżeliśmy tak obok siebie, nie spotykając się wzrokiem. Powoli zacząłem dostrzegać meble w pokoju. Ściany. Przyszło mi do głowy, że może powinienem wciągnąć jej spódnice.

– Ty – powiedziała tylko.

Trudno było domyślić się, co to miało znaczyć. Więc poszukałem jej dłoni. Żeby w jakiś sposób naprawić sytuację, zacząłem znów gmerać przy tym wszystkim, guzikach, haftkach i troczkach.

– Ty – rzekła znowu.

Czekałem. Ale nie byłem w stanie nic powiedzieć. Siedzieliśmy objęci na łóżku Aksela. Spojrzała na siebie z zawstydzieniem i zebrała bluzkę, zasłaniając piersi.

Czułem w nozdrzach ostry zapach własnego ciała. Zderzenie ohydy z pięknem. Mężczyzna w łóżku Aksela. Obok ciała Anny. Co ja zrobiłem? Poczulem, jak coś podchodzi mi do gardła.

Ktoś szedł pod oknami, pogwizdując.

W pewnej chwili oboje wstrzymaliśmy oddech, bo ktoś wszedł po schodach i niespiesznym krokiem przemierzał długi korytarz. Zapewne ta sama myśl powstała w naszych głowach: A więc nadchodzi! Aksel. Właśnie zdruzgotaliśmy Aksela.

Kiedy wszystko ucichło, ona zdruzgotała mnie:

– Możesz teraz wracać do kelnerek. Teraz jestem taka, jak one!

Człowiek powinien być być przygotowany na to, że potrafią być właśnie tak okrutne.

– Anno, Anno... – poprosiłem, przyciągając ją do siebie.

Ale widziałem to wyraźnie. Przystępstwo zostało wypisane na każdej ścianie czerwonymi literami! Podarłem na kawałki własny obraz Anny. Czym Anna była teraz? Dlaczego zawsze dzieje się tak, że musimy rozerwać kobietę na strzępy? Nie byłem w stanie żałować, że to zrobiłem i chyba nigdy nie uczyniłem niczego gorszego. Anna! Na łóżku Aksela, kiedy on zdobywał pieniądze na odszukanie Diny.

Nie wiem, skąd przyszło mi to do głowy, ale napłynęły do mnie słowa, o których nawet nie wiedziałem, że znam je na pamięć. Niepewnie, ale jednak wypowiedziałem je:

– „O jak piękna jesteś, przyjaciółko moja, jakże piękna! Oczy twe jak gołębice za twoją zasłoną. Włosy twe jak stado kóz falujące na górach Gileadu. [...] Cała piękna jesteś, przyjaciółko moja, i nie ma w tobie skazy. Z Libanu przyjdź, oblubienico, z Libanu przyjdź i przybliż się! [...]”^[14].

Jej dłonie opadły na kolana, a w każdym z dwojga błękitnych

oczku zapłonęło przeznaczone dla mnie małe światełko.

Kiedy wyszeptałem ostatnie słowa, uniosła dłoń, pociągnęła lekko nosem i przetarła ręką twarz. Potem zapięła bluzkę aż po samą szyję. Kiedy zbierała włosy, chowając je pod kapeluszem, zobaczyłem, że jej kark również ma złocistą barwę, a jej usta drżą. Nie wiem, na ile była nieszczęśliwa. Mogłem o to zapytać. Ale wtedy musiałbym sprostać temu, że być może zacznie płakać. Najchętniej wyobrażałbym sobie, że również czuje się samotna w tym przerażającym pragnieniu posiadania zakazanego chociaż przez krótką chwilę. Tylko przez krótką chwilę! Pragnienia ciała! I że jest ono silniejsze niż nieszczęście i zdrada? Silniejsze niż to, co czuliśmy do siebie nawzajem?

Powinienem był zapewne porozmawiać z nią o tym. Tylko jak? Siedziałem przecież na łóżku Aksela w czasie i przestrzeni o smaku krwi w ustach. To pewnie dlatego wypowiedziałem te wielkie słowa. O miłości. Bo przecież o czym innym?

Mogła była rzec: – Nie wymkniesz się tym razem, Beniaminie. Nie powiedziała tego. Pomogliśmy sobie nawzajem w najpotrzebniejszych czynnościach. Ubranie. Włosy i buty. Tuliliśmy się do tej wzajemnej troski. Byliśmy tak bardzo winni, że musieliśmy utopić winę w czułości, jeśli mieliśmy ją unieść.

– Teraz przynajmniej wiemy, kim jesteśmy – powiedziała, będąc już gotowa do wyjścia.

Kiedy otworzyła drzwi, jakiś nagły przeciąg pochwycił lok jej włosów i zarzucił go na rondo kapelusza. W przeblysku dzikości powtórzyłem: „Z Libanu przyjdź, oblubienico, z Libanu przyjdź i przybliź się!”

Ale kiedy już poszła, dotarło do mnie, że niczego nie powiedziałem.

[14] Biblia Tysiąclecia, Pieśń nad Pieśniami 4,1; 4,7–8.

Rozdział dziewiętnasty

Trzy dni po spotkaniu w Valkendorfie Aksel ciągle jeszcze się nie pokazał. W szpitalu najwyraźniej podał jakieś usprawiedliwienie, bo nikt go nie poszukiwał, mimo że rozpoczęły się właśnie ostatnie praktyki przed egzaminem. A ja nie miałem odwagi zapytać.

Mówiłem sobie, że Anna opowiedziała wszystko Akselowi. Że to tylko kwestia czasu, kiedy przyjdzie na Bredgade i rozmaże mnie po wdowej tapecie.

Zdawałem sobie sprawę, iż odwiedzając babkę Karny, odbywam pokutę. Obiecałem jej ponownie, że zdobędę jakieś pieniądze. W kilku wyprawach po mleko towarzyszył mi brat Karny. A raczej: ja poszedłem do izby porodowej, a on zabrał mleko do domu.

*

Ostatniego dnia w szpitalu Aksel pojawił się i był całkowicie spokojny. Zobaczywszy go, od razu wiedziałem, że Anna niczego mu nie wyjawiała. Po ceremonii zakończenia w „kościelnie”, wypełnionej przemówieniami i fałszywymi akordami z pianina, podszedł do mnie i klepnął mnie w ramię.

– Załatwiłem pieniądze!

Nie wiem, jak powinni zachowywać się ludzie tacy jak ja. Bo było to dość nowe. Być kimś takim. Można usprawiedliwić się tym, że nie minęło pięć minut, a już siedzieliśmy pod drzewami w Grønnegården tylko we własnym towarzystwie. A kiedy już tam

dotarliśmy, sami, Aksel był tak niebotycznie szczęśliwy. Opowiadał o swojej dobrej matce i czuł się panem świata.

Nie można, do ciężkiej cholery, za każdym razem mówić otwarcie, jak się sprawy mają! Świat przekonuje nas o tym raz za razem.

Nie miałem siły, żeby ruszyć w miasto na świętowanie. Nie z Akselem. Wytłumaczyłem się słabo. Pozostali zagrozili, że przyjdą na Bredgade z wieczorną wizytacją, o ile sam się nie pojawię. Potem pojechali do Valkendorfu albo Regensen. Jeszcze długo po tym, jak zniknęli za murami, ich pieśń rozrywała powietrze na drobne, drewniane szczapy.

Człowiek mógł zatem stać sobie tam na bruku, przeklinając fakt, że urodził się łotrem i idiotą. Albo snuć się ulicami. Mógł pójść trzy razy pod drzwi Anny i nie zapukać. Mógł patrzeć, jak cienie wydłużają się, mówiąc do siebie:

– Teraz możesz pojechać na Północ i powiedzieć, że zastrzeleś kochanka swojej matki! Miałeś dla siebie trochę czasu w Kopenhadze. Teraz to koniec. Oczywiście mógłbym jeszcze przez kilka dni siedzieć w knajpach, pijąc duńskie piwo i myśląc o wszystkim, co stracone. Ale wtedy lepiej przestać jadać ciepłe dania. Bo babka Karny musi dostać każdy pieniądz, jaki uda mi się zachować.

Przez jedną idiotyczną chwilę siedziałem na ławce, myśląc, że zaoszczędziłem trochę pieniędzy, żeby dać ubrania do pralni i kupić sobie nowe buty na wyjazd z Akselem do Berlina. Ale teraz stało się to niemożliwe. Wyjazd z Akselem.

Miasto było zakurzone i rozgrzane. Od rogu Østergade

rozpościerał się przed moimi oczami rynek Amagertorv. Ludzie i zwierzęta parowali od słońca i własnego ciepła. Cienie były jeszcze krótkie. Każdy, kto mógł, szukał schronienia pod ścianami wysokich domów. Pod latarnią stał spętany czarny koń o błyszczącej sierści i leniwie jadł siano z worka, a woźnica w tym czasie drzemał sobie pod budą dorożki.

W momencie, kiedy przypomniałem sobie, że szedłem tutaj razem z Anną, miałem wyraźne wrażenie, że wychodzi od krawca. Ale to był ktoś inny. Widywałem ją wiele razy. Stałem w gotowości, aby do niej podbiec. Ale to zawsze był ktoś inny. Niekiedy uciekałem, nie sprawdzając, czy to naprawdę ona. W ten sposób miałem ją. Choć trochę.

Beczkowóz przetoczył się obok, posyłając kaskadę wody na grupkę uliczników, którzy korzystali z okazji i się chłodzili.

Handlarki z Amager siedziały za swoimi stołami z desek oraz stertami warzyw i roślin doniczkowych. Niektóre miały parasole. Inne naciągały fartuchy na twarze jak kaptury, a pot spływał z nich gęsto. Z rynsztoka cuchnęło. Przechodzący ludzie zatykali nosy, pokonując prowizoryczne deski ułożone nad najgorszymi kanałami.

W chwili, gdy przechodziłem przez ulicę, ruszył z miejsca omnibus. Grupa mężczyzn w cylindrach siedziała na dachu. Jakby zostali odlani w powietrzu. Bez woli życia. Jednocześnie chmury przesunęły się za rzędami domów. W środku siedziały kobiety. Nieruchome. Niczym figury woskowe. Pełne lęku przed roztopieniem się w upale.

Szedłem wzdłuż starej ulicy Gammel Strand, przyglądając się sprzedawczyniom ryb. Nabrałem takiego zwyczaju. Być może

przyciągał mnie zapach ryb. Albo to, że od czasu do czasu nie miałem dość siły na spotkanie kogokolwiek znajomego.

Podróż od Bredgade przez rynek Kongens Nytorv zazwyczaj trwała akurat dostatecznie długo, żeby oczyścić umysł. Jednak nie dziś. Na rogu Store Strandstraede musiałem sprostać niespokojnemu sumieniu: czy powinienem zajrzeć do babki Karny? Czy niekoniecznie?

Wygrałem.

Przy Højbro prawie otarła się o mnie młoda służąca, niosąca w koszyku błyszczącą rybę. Podniecający zapach taniej wody różanej zmieszany ze świeżym potem i rybą. Z powodu ciepła miała całkowicie rozpięty zakiet. Piersi kołysały się pod cienką bluzką. Dwa bardzo dojrzałe owoce. Musiałem się w nią wpatrywać. Bo spuściła wzrok i szybkim krokiem przeszła obok mnie. Nic nie mogłem poradzić, że się odwróciłem. Poczulem ciężar w podbrzuszu. I samotność.

Szedłem wśród straganów z rybami, słuchając dobiegających spod parasoli okrzyków handlarek stojących tam w fartuchach, na szeroko rozstawionych nogach. Zbliżyłem się do nich, napotykać bezpośrednie spojrzenia, a ich brunatne twarze rozjaśniały się w uśmiechu. Usta handlarek otwierały się, a dłonie po omacku sięgały po śmierzący, oślizgły towar. Po każdej transakcji wycierały śluz i łuski w zgrzebny, płócienny fartuch.

Przeszedłem przez kilka mniejszych uliczek. Wzdłuż otwartych okien, w których widać było pulchne ramiona i sztywne, tanie uśmiechy. Nastąpiło popołudnie, a wydłużone cienie otuliły zaułki. Wtedy wyszły.

– Możesz teraz wracać do kelnerek. Teraz jestem taka, jak one!
– śpiewały podeszwy moich butów, aż spuściwszy spojrzenie, przeszedłem pośpiesznie obok.

W drodze do domu zobaczyłem datę na gazecie i zapragnąłem przypomnieć sobie, co mówił kalendarz runiczny Matki Karen o siedemnastym czerwca.

Doszedłem do tego dopiero po powrocie do mojego pokoju, gdzie na stole znalazłem list, zostawiony tam przez gospodynię. Od Andersa. Kiedy go otwierałem, przypomniało mi się: Siedemnasty czerwca. Dzień świętego Botulfa. „Glebę, która odpoczywała, zaorać teraz trzeba, korzenie siedzą w niej luźno, dadzą się łatwo wyrwać – a później zgniją”.

W pokoju panował duszący upał. Wokół unosił się ciężki odór smażonej cebuli dochodzący z kuchni. Chociaż przez cały dzień niczego nie jadłem, budził we mnie raczej mdłości niż głód. Zarzuciłem marynarkę na kołek przy drzwiach i wyszedłem z listem na podwórze.

Anders przysłał nie tylko list, ale również sporą sumę pieniędzy, chociaż o to nie prosiłem. Ucieszyłaby ona babkę Karny, a i ja mógłbym jeszcze pojechać do domu pierwszą klasą.

*

Na początku ostrożnie opowiadał o wszystkich ludziach w Reinsnes. Stine i Tomasz. Dzieci. Hanna, która wczesną wiosną owdowiała i dlatego przeprowadziła się ze swoim synkiem do domu.

Trudno było wyobrazić sobie Hannę jako wdowę z dzieckiem. Przez chwilę widziałem ją oczyma duszy. Drobna, ciemna sylwetka z nieugiętym spojrzeniem i przekornym wyrazem twarzy. Ale obraz

się rozplynął. Nie byłem w stanie go zatrzymać.

Od tak dawna już o niej nie myślałem.

Anders pisał przede wszystkim o pomyślnych połowach śledzia. Łodzie z Reinsnes miały nieprawdopodobne szczęście. A sprzedaż okazała się dużo większa niż w ostatnich latach. Wahania koniunktury i spekulanci popsuli interesy wielu właścicielom łodzi, ale nie jemu, pisał swoim kwadratowym, pochylonym w lewo pismem.

Nigdy w listach nie używał słowa „pożyczka”. Nazywał to niezbędnymi środkami. Teraz uporał się już z tą „plagą”.

Zobaczyłem go w wyobraźni, jak siedzi w biurze składziku, z rumem w starym, ozdobnym kieliszku z wyszczerbionym brzegiem.

Z entuzjazmem pisał o nowym telegrafie w Sandsøy. Tak, telegraf dotarł już nawet do Tromsø. Był to prawdziwy cud. Czary, można by rzec. Świat stawał się przez to taki malutki. Zachęcał mnie, abym pozwolił sobie na wysłanie depeszy, kiedy ma mnie oczekiwać. Tak bardzo lubił dostawać telegramy. Mogłem równie dobrze słać je na jego koszt, jeśli byłem w potrzebie. Nie miało to znaczenia. Ławice śledzia stanowiły wielki dar Boży dla bogatych i biedniejszych tam, na Północy. Koło Bjarkøy panowała doskonała pogoda na połowy, a w okolicach Malangen woda była gęsta od śledzia. Trzeba było tylko wypłynąć i zarzucić sieci, bo ryba nie podpływała bliżej lądu.

Wspominał rzeczowo, że kupił dach nad głową w Strandstedet i wynajął ludzi do solenia śledzi. Miał wiarę w ten interes. O ile nie straci się głowy w całej tej śledziowej babraninie. Ludzie cieszyli się z przyływu gotówki i łatwiej było z nimi postępować. Powszechnie

zawierano ubezpieczenia od pożaru, żeby pokazać swoją wielkość. Zrobili to również w Reinsnes. Poza tym ludzie i zwierzęta mieli się dobrze i byli zdrowi.

Listy od Andersa nadchodziły z innego świata. Człowiek po przeczytaniu ich zawsze miał uczucie, że coś zostało zapomniane.

*

Niektóre dni nie są podobne do żadnych innych.

Ten dzień nie zaczął się od uroczystości w szpitalu i przyznania przed sobą, że to koniec. Nie zaczął się wtedy, kiedy Aksel i pozostali zniknęli za rogiem, ani od obsesyjnych myśli o kalendarzu runicznym Matki Karen i o liście od Andersa.

Dzień zaczął się późnym popołudniem. Za płotem oddzielającym pompę od kotów i koszy na śmieci. Duża wierzba do spółki z pompą tworzyła tam miłosierną oazę. Z rury zawsze ciekła woda. Kapała nieprzerwanie. Jak tajemne źródło z wnętrza ziemi.

Trzy wysokie domy wokół podwórza stanowiły szkielet dla wszelkiego rodzaju dobudówek i komórek. Pochylały się nad podwórzem, żeby dać mieszkanie kolejnym ludziom. Schody, zewnętrzne korytarze i wykusze dawały w takie dni przyjemny cień. Pończochy i koszule łopotały nad tym wszystkim wesoło, rzucając cienie na czerwony mur. Skrzynki z kwiatami usiłowały nadać wrażenie idylli. Okna były otwarte. A dźwięki wydawane przez ludzi i przedmioty martwe łączyły się w bezładną kakofonię. Chyba to właśnie nazywa się – życie.

Ławka, na której siedziałem, była dość solidna. Miałem jednak uczucie, że się kołyszę. Cienie, poszum liści dobiegający z koron dwóch drzew tuż nade mną. Cztery chmury przesuwane się tam,

w górze. Wszystko migotało, wciskając się bólem pod powieki.

Niekiedy od strony bramy prowadzącej na ulicę dochodził jęk zawiasów. Nie widziałem jej z ławki. Ale kiedy ktoś wchodził, czubek jego głowy po chwili wyłaniał się ponad drewnianym płotem. O ile gość miał odpowiedni wzrost. Albo nosił kapelusz.

*

Parokrotnie przysnąłem, mając wrażenie, że widzę Annę. W pośpiechu. Jasny, słomkowy kapelusz z miękkim rondem. Słońce podkreślało złoty kolor jej skóry. Trwało to tylko ułamek sekundy. Tak jak niespokojny cień liścia na powiece. I znów byłem sam na sam z nieśmiałym wiatrem.

Czytałem właśnie po raz trzeci list od Andersa, kiedy brama po raz kolejny się otworzyła. Lekkie kroki. Zaraz potem usłyszałem wysoki głos Madame Frederiksen dobiegający z okna na parterze.

– Tak, jest w domu. Siedzi na ławce przy pompie.

Anna! To musiała być Anna! Wyczarowałem jej przyjście!

Zamknąłem mocno oczy, udając, że śpię. Szum spódnic był nie do pomylenia. Jej cień padł na mnie, ale nic nie dałem po sobie poznać. To była zabawa. Zabawa, od której unosiłem się lekko nad ziemią. Ulatywałem ze swego ciała. Byłem drzewem z gałęziami wyciągniętymi ku niebu i korzeniami w moich pachwinach.

Z ciszy wywnioskowałem, że stoi i patrzy na mnie. Ale nie otwierałem oczu. Niech mnie dotknie, zanim przyznam, że nie śpię. Niech podejdzie całkiem blisko. A ja będę niewinny. Będzie musiała zbliżyć się do mnie tak, jak w Valkendorfie. Tym razem to ona przyjdzie do mnie!

Rozdział dwudziesty

– Beniaminie – dobiegło z miejsca gdzieś nade mną.

Głos? Skąd go znałem? Fala. Powolna. Głos pachniał. Miał w sobie takie szalone światło. Aż do bólu. Jakby ktoś używał łomu na moich oczach. Miałem uczucie, jakby coś raz za razem uderzało mnie boleśnie w obie skronie.

Potem nagle stałem się mały i siedziałem na czarnym koniu, prowadzonym przez pola. Stała tam, obok mnie, w żółtej sukni i beżowym kapeluszu z szerokim rondem i powtórzyła:

– Beniaminie!

Chociaż nie zrobiłem nic, żeby tak się stało, stanąłem wyprostowany przy ławce. Chyba zamierzałem pójść do siebie i przespać się chwilę. Panował taki duszący upał. List od Andersa, który trzymałem w ręce, zrobił się całkowicie wilgotny. Kiedy rozłożyłem palce, sam przykleił się do mojej dłoni i tak został.

Coś było nie tak z twarzą. Człowiek mógł powiedzieć sobie, że wystarczy ruszyć z miejsca, a wszystko to przejdzie i będzie dokładnie jak zawsze.

Bo gdyby to była rzeczywistość, to człowiek wiedziałby, co ma zrobić. Bo planował to od czasu, kiedy był chłopcem! Wszystko. Co powie. Co ona powinna odpowiedzieć.

Głos znów tam był. Wiatr od morza? Tutaj, na podwórzu w Kopenhadze? Banalna tęsknota? Mówiąca:

– Beniaminie... Nie poznasz mnie?

Wtedy wahadło zaczęło się poruszać. Najpierw powoli. Potem

coraz szybciej. Człowiek mógłby za nie chwycić, żeby je uspokoić. Ale skończyłoby się to tylko tym, że zawisłby na nim, zmuszony podążać za jego ruchem.

A więc tak, zamiast tego obijał się o ściany świata. Daleko w przestrzeń. W końcu z tak wielką prędkością, że zmuszony był usiąść. Ale drewniana ławka nie była godna zaufania, więc lepiej było od razu podnieść się z powrotem.

Chłodna, wilgotna dłoń na czole. Woda ciekąca tuż obok. Że też nikt nie naprawił kranu. Dlaczego tak mało można było czemukolwiek ufać? Dlaczego człowiek nie poszedł do łóżka, zanim zrobiło się za późno?

Zapach przybrał na sile. Trzeba było unieść dłoń, żeby się ochronić. Zakończyć to. Spowijał jej piersi. Żakiet miała rozpięty. Ciepła skóra pod cienkim materiałem. Jej twarz! Tak blisko. Czy można było jej dotknąć?

Nic nie mogłem poradzić, że wypowiedziałem to słowo:

– Mamo!

*

Powtarzałem je raz za razem. Lata zniknęły. Wszystko było na swoim miejscu, tam gdzie zawsze być powinno. Przed Rosjaninem. Rozpłynąłem się we własnym ciele. Tuliłem się do niej. Łkałem.

Trzymała mnie mocno. Nie wiem, co się działo. Nie wiem, co powiedziałem. Tylko to, że trzymała mnie mocno. I że jej jasne oczy patrzyły wprost na mnie. Spokojnie. Trochę jakby w głąb siebie, jakby nie do końca była zdolna temu sprostać. Nieco zadziwione, jakby myślała: – Ależ tak, to przecież on!

Dostrzegła mnie!

Nie powiedziała jeszcze ani słowa. Tylko to jedno: Beniaminie...

I: Nie poznajesz mnie?

A jednak poszliśmy razem do domu tak, jakbyśmy lata temu umówili się, że musimy się ukryć. W górę po schodach. Wśród odoru smażonej cebuli.

Już w moim pokoju przez chwilę stałem oparty mocno o wezłowie łóżka. Wpatrywałem się w nią. Potem chwiejnie podszedłem do otwartego okna i zawróciłem. Cały czas z wbitym w nią wzrokiem.

Zdjęła żakiet i kapelusz. Potem usiadła na łóżku. Z jej ust wydobyło się coś na kształt westchnienia.

Ktoś rzucał piłką o ścianę. Liczyłem uderzenia. Dwadzieścia jeden. Potem zapadła cisza. Nieskończona cisza.

Człowiek mógł wyobrazić sobie, że tak właśnie wygląda błogosławieństwo dobrej śmierci. W środku tej śmierci weszła wdowa Frederiksen z propozycją, że poczęstuje matkę młodego Grønelva lodową herbatą albo wodą sodową.

Podziękowała, pytając, czy moglibyśmy wypić ją tutaj. Tyle mamy sobie do powiedzenia – o ile jej to nie urazi.

Madame Frederiksen absolutnie nie czuła się urażona.

– Uczył się tutaj i zapracowywał na śmierć, ten młody człowiek. Był aż niezdrów, jak nie on – rzekła Madame Frederiksen, dając do zrozumienia, że ma sprawy na oku.

Można było odnieść wrażenie, że jest się ważną osobą w tym domu.

Woda sodowa została podana w najładniejszych szklankach z domowego kredensu.

*

Głos Diny znów opłynął izbę. Jak wiatr przemknął koło moich uszu. Małe, pozbawione znaczenia słowa. Drobne pytania. Czy naprawdę byłem chory. Czy jest gdzieś w pobliżu miejsce, gdzie moglibyśmy coś zjeść.

Zjeść?

Gdzieś wewnątrz mnie płynęła cicha, potężna rzeka. Na niej unosiło się wszystko. To, co mówiła.

A te jasne oczy? Czy zawsze takie były? Takie czyste? Jak mogłem ich nienawidzić? Jak kiedykolwiek mogłem myśleć, że jest winna? Winna czego?

Mogłem pochwycić jej dłonie i zadośćuczynić za wszystko. Ale to spotykając jej oczy, rzeka przyniosła słowa:

– Musisz zobaczyć córkę Karny!

Wtedy się uśmiechnęła. Za sprawą tego wszystko stało się takie proste. Łatwe! Aż do chwili, gdy zapytała:

– Córkę Karny?

Chyba w tym momencie zrozumiałem, że Dina jest rzeczywistością.

*

Siedziała, patrząc na mnie. Pytająco. Bóg i Dina widzieli mnie. Zacząłem drzeć.

W końcu człowiek wykrzesał z siebie dość siły na to, żeby

potrzęsnać głową i powiedzieć, że to nic takiego. Absolutnie nic takiego! A rzeka popłynęła dalej w takt jej słów. Z dna wypływały drobne bąbelki. Unosiły się ze starych korzeni, leżących w głębinie, powoli zmieniających się w ziemię. Pochodziły od małych rybek, ukrywających się wzdłuż brzegów. Można było je dostrzec, jak błyskają pod powierzchnią.

Ale wtedy podniosła się nagle, ruszając w stronę drzwi. Jednym susem byłem przy niej. Mocno pochwyliłem jej ramię. Szarpnąłem.

– Nie odchodź. Nie odchodź! Tym razem nie odejdziesz, Dino!

W moim głosie była groźba. Wpatrywałem się w nią, grożąc jej, a ona wiała się w moim uścisku. Jednak jej oczy były spokojne. Straszliwie spokojne.

– Nie odejdę, Beniaminie! Chcę tylko wyjrzeć na chwilę na podwórko.

– O nie! Nie! Zostaniesz tutaj!

Zamknęła na chwilę oczy, a potem otworzyła je i spojrzała na mnie. Prawie z czułością.

– To wyjdźmy razem – rzekła.

Zwolniłem uścisk.

– Później pójdziemy znaleźć miejsce, gdzie możemy coś zjeść – kontynuowała, wkładając kapelusz.

Stałem między nią a drzwiami. Podeszła do pudła z wiolonczelą, kładąc na nim dłoń. Nie wspomniała o niej. Pokazała mi tylko, że ją dostrzegła.

– A więc? – rzekła. – Czy nie mógłbyś też założyć marynarki? I

wyglądać jak człowiek?

Zrobiłem, jak powiedziała.

Stała na środku pokoju, gotowa, a jej spojrzenie kilkakrotnie przewędrowało po całym pokoju.

– A więc to w tym pokoju mieszkałeś i ty, i Johan? – zapytała.

– Tak – wymamrotałem.

– Dobrze ci tutaj?

– Mieszkam tu – odparłem.

Kiedy staliśmy już w drzwiach, zapytała:

– Mówisz po duńsku?

– Tak.

– Również do mnie?

– Do ciebie również.

Nie widziałem jej twarzy, bo szła przodem. Ale miałem uczucie, że się uśmiecha. Nie powinienem był tak jej odpowiadać. Należało włożyć w to nieco humoru. Powiedzieć, że taki mam nawyk. Cokolwiek.

Była starsza. Szczuplejsza, niż ją zapamiętałem. Ta głęboka zmarszczka między oczami? Czyż nie była głębsza dawniej? Dziwne. Czy miała obecnie więcej dobrych myśli niż kiedyś? Poczuję dziecięcą zazdrość. Dlatego przeniosłem spojrzenie na jej skronie. Pojawiły się na nich drobne pasma bieli.

Przy stoliku w głębi lokalu odzyskałem coś w rodzaju równowagi. Wymyśliłem technikę kierowania spojrzenia tylko na

nasadę jej nosa. Dzięki temu byłem bezpieczny. Kiedy zwracała głowę odrobinę w bok, jej lekko wydatny nos rysował się wyraźną linią. Wysokie kości policzkowe. Usta prawie pozbawione łuku kupidyna. Nie pamiętałem, czy zauważyłem to już wcześniej. Górna warga nadal jednak miała głęboki dołek pod nosem. Zupełnie jakby jakiś zdecydowany palec postanowił zadośćuczynić za zaniedbanie z łukiem kupidyna i wycisnął dołek w tym miejscu. Kąciki ust poruszały się w sposób, który pamiętałem. A może były takie tylko dla mnie? Bo wiedziałem?

Czy w rzeczywistości jej się bałem? Teraz, kiedy tu była, nie wiedziałem, co mógłbym jej powiedzieć. Wszystkie oskarżenia i zarzuty, o których myślałem przez te lata, gdzie one były teraz? Gdzie, do diabła, były te wszystkie słowa? Dlaczego nie mogłem spojrzeć jej prosto w twarz i powiedzieć, co myślę?

Zamówiła to samo co ja. Szynkę, ser i ciemny chleb, a do tego mocne piwo. Przez dłuższą chwilę przeżuwaliliśmy w milczeniu. Pożerałem ją oczami między każdym kęsem. Ona była bardziej dyskretna. Kilkakrotnie położyła mi dłoń na ramieniu.

– Nie jedz tak szybko! – rzekła dość władczo.

Przerwałem. Wydała mi rozkaz. Musiałem się uśmiechnąć. Ale jadłem dalej najładniej, jak potrafiłem. Mimo to skończyłem na długo przed nią.

– Powinnaś zobaczyć mojego towarzysza, Aksela! – wypaliłem z ożywieniem. Zupełnie jakbym był uczniakiem, który właśnie odkrył, czym mógłby zabawić dorosłego.

– Dlaczego? – zapytała.

– Ma swój sposób na jedzenie surowych jajek na zakąskę do

wódki... Raczej nie nauczył się tego w domu. Pochodzi z rodziny pastora.

Przerwałem i poczerwieniałem. Sam usłyszałem, jak śmiesznie to zabrzmiało. Nie widziałem mojej matki od czasu, gdy byłem chłopcem, a jedna z pierwszych rzeczy, jakie jej opowiedziałem, dotyczyła sposobu jedzenia Aksela.

Śmiech błąkał się w jej oczach. To dodało mi odwagi. Najedzony i z kuflem mocnego piwa we krwi przyglądałem jej się otwarcie. Poczulem chęć, aby ją zirytować. Wprawić w niepewność. Rozzłościć. Byłem w stanie ją zatrzymać, gdyby obraziła się na tyle, by chcieć odejść.

– Dostałem dzisiaj list od Andersa – wypaliłem. – Najwyraźniej wszystko zdarza się dzisiaj! Chcesz przeczytać?

Potrząsnęła głową, upijając łyk piwa.

Wyciągnąłem list z kieszeni marynarki, udając, że nie rozumiem.

– Przeczytam! – powiedziałem z ożywieniem, rozkładając kartkę.

– Nie! – rzekła głośno.

– Dlaczego nie?

Trzymała dłoń między nami w powstrzymującym geście.

– Tchórzysz! – syknąłem.

W tej samej chwili, gdy te bezwstydne słowa wyszły z moich ust, usłyszałem, że nie zostały wypowiedziane po duńsku. To jeszcze bardziej mnie rozwścieczyło.

– Więc niech tak pozostanie – powiedziała powoli, nie dając po sobie poznać, że nie mówię już po duńsku.

– Czy nie przeczytałaś żadnego z tych listów, które do ciebie wysyłałaliśmy? – wycedziłem przez zęby.

– Wszystkie dostałam. Ale byłam wtedy sama. Wszystko ma swój czas, Beniaminie.

– Ach, tak?

Pochyliła się nad stołem, opierając podbródek na obu dłoniach. Kąciki ust poruszały się, ale oczy pozostały poważne.

– Odłóż ten list, on jest do ciebie, nie do mnie – rzekła.

Zacząłem głośno czytać.

Sądziłem, że wstanie i odejdzie i że będę mógł zrobić scenę. Ale siedziała tam, patrząc na mnie.

Czytając, usiłowałem znaleźć właściwy ton i jednocześnie obserwować ją. Nie było to łatwe. Przez krótką chwilę słowa niczym owady latały pomiędzy nami. Nikt z nas ich nie chciał. W połowie zrozumiałem, że miała rację. Bo Anders zniknął w tym wszystkim. Stał się tylko narzędziem w walce z Diną.

Zacząłem składać list. Składałem go w kółko od nowa. Bez końca. Aż została z niego jedynie mała kupka papieru w mojej dłoni. Kiedy tak ją trzymałem, poczułem, że ten papier czegoś ode mnie chce. Próbuje ponownie się rozwinąć. Małe skrzydła, uderzające o skórę.

– Opowiedz mi raczej wszystko o sobie. To, co chciałbyś, abym usłyszała – rzekła.

– Dlaczego?

– Bo jestem teraz tutaj i mogę posłuchać.

To było takie dziwne. Język. Tak dawno już go nie słyszałem. Irytowało mnie to, że mnie to wzrusza. Mówiła tak, jakby przyjechała wprost z Reinsnes. Dzisiaj. I nigdy nie wyjechała.

– Skończyłem właśnie okres kandydatury w szpitalu. Kupiłem sobie torbę lekarską.

– Jesteś bohaterem, Beniaminie! Chyba nie sądziłam, że wyuczysz się aż na doktora...

– Czy jest coś złego w byciu doktorem?

– Nie, to wielka sprawa! Ale wydawało mi się, że raczej wolisz czytać powieści i podobne rzeczy.

Powiedziała to! Pochwaliła mnie! A jednak wszystko było nie tak. Nie w ten sposób miała mi to powiedzieć! Dlaczego wspomniała o tych powieściach? Dlaczego, do cholery, to powiedziała?

Stałem na kamienistej plaży, patrząc, jak Dina biegnie w górę alei. Do ciała Rosjanina. Stałem tam ze stopami w morzu, usiłując wciągnąć łódkę na ląd. Sam. Teraz była już przy Rosjaninie. Ja stałem na dole z nogami w morskiej wodzie. Łódź była o wiele za ciężka.

Nadeszła fala mdłości. Szynka, ser i ciemne piwo domagały się wyjścia.

– Czy tylko tyle masz mi do powiedzenia? Nie dostałaś listu o tym, że zgłoszę się na policję?

– Dostałam ten list.

– Więc przecież wiesz! Wszystko!

– Nikt nie wie wszystkiego. Ale wiem dostatecznie dużo, żeby być tutaj. Mam nadzieję, że jeszcze się nie zgłosiłeś? – zapytała.

Czyż ona mówiła o pogodzie?

– Do jasnej cholery, czy Dina mówi o pogodzie? – powiedziałem.

– Nie – odparła.

Powoli wytarła usta czubkami palców i odchyliła się na krześle. Jej oczy wpełzły w cień.

– To brzemię nie jest twoje, Beniaminie. Wiesz o tym?

– Brzemię istnieje... Niezależnie od tego, do kogo należy.

– I chcesz ukarać za nie Beniamina? Bo Dina nie pozwoliła się zamknąć?

O tej godzinie prawie nie było gości. A jednak mówiła o wiele za głośno. Musiałem jakoś sprawić, żeby zniżyła głos. Ktoś mógłby usłyszeć...

– Zniknęłaś – powiedziałem szeptem.

Kąciki jej ust znów się poruszyły. Uśmiech? Czy co to było? Dziecko Karny zwisające z moich rąk głową w dół, chwilę przed pierwszym krzykiem. Kąciki ust!

Dina pochyliła się nad stołem, ujmując mnie za oba nadgarstki. Mocno.

– Tak, zniknęłam, Beniaminie. Zapewne tak to odczułeś.

Więc też to przyznała! Siedziała tutaj. Dotykała mnie!

Nadal stałem, trzymając w rękach jej pudło na kapelusze. Ciągle siedziałem na drzewie, przywołując ją z wściekłością, kiedy odpływała łodzią wiozącą ją do klipra.

– Dlaczego przysłałaś mi tylko starą, czarną Biblię, żebym myślał, że nie żyjesz?

Nie odpowiedziała od razu. Okopcony dymem dach i ściany zamykały nas w środku, skazując na siebie. W snopie światła przenikającym lokal na wskroś, przez niezbyt czyste okno można było dostrzec niewyraźne kontury zamku Christiansborg.

– Chyba sądziłam, że... To było jedyne, co mogłam ci dać. Chciałam, abyś miał... spokój – powiedziała niepewnie.

Nie zdobyłem się na wyrzucenie z siebie szyderczej riposty, którą miałem na końcu języka: – Jak to ładnie z twojej strony, że przysłałaś mi Biblię! I dalej: – Mogłaś posłać też Biblię Andersowi! On na to zasłużył.

Nie powiedziałem żadnej z tych rzeczy. Zamiast tego spojrzałem w dół, na swoje dłonie. Uważnie studiowałem ich linie.

– Dowiedziałaś się, że byłem w Berlinie?

– Tak. I że zaopiekowałaś się wiolonczelą.

– Dlaczego nie udało mi się z tobą spotkać?

– Nie wiedziałam, że przyjechałeś. Byłam w Paryżu...

– Nie wierzę ci!

Zapadła cisza. Przez chwilę wpatrywaliśmy się w siebie. Potem powiedziała tylko:

– No cóż.

Nastąpiła pustka. Zupełna pustka.

– Czy okłamałam cię kiedyś, Beniaminie?

– Nie wiem. Na pewno nie mówiłaś mi niektórych rzeczy!

– Że zamierzam wyjechać? Powiedziałam to!

– Tego nie pamiętam.

– Nie, to zrozumiałe. Pewnie było zbyt trudne.

Obracając w palcach koniec cienkiej nitki, wystającej z rękawa bluzki, przez cały czas patrzyła na mnie.

– Dlaczego przyjechałaś teraz?

– Chciałam... sprawić, żebyś zrozumiał.

– Zrozumiał?

– Tak. Nie możesz brać na siebie czegoś, czego nie zrobiłeś.

– Co masz na myśli?

Nie odpowiedziała od razu. Potem rzekła cicho i wyraźnie:

– To nie byłeś ty. Pewnego jesiennego dnia Dina Grønely zastrzeliła Leo Żukowskiego ze sztucera, a Beniamin Grønely stał w tym czasie na wzgórzu i wszystko widział. Od tamtej chwili Beniamin nie ma matki.

Jej twarz zamarzła. Oczy były jak roztopione jeziorka w lodzie.

Powiedziała to! Siedziała tutaj i przyznała to! A jednak niczego to nie poprawiło.

– Czy to już wystarczy, Beniaminie?

Czy można na coś takiego odpowiedzieć?

Zapadła cisza. Widziałem dźwięki, ale niczego nie słyszałem, kiedy kelner ustawiał na półce czternaście talerzy.

– Dziękuję, że nie wydałeś siebie i że musiałam przyjechać! – rzekła.

Powiedziała to! Słyszałem, że to powiedziała!

Rzeka wróciła. Wszystko pływało dookoła. Ona również. Nie do końca młoda kobieta unosząca się na rzece między własnymi słowami. Usiłująca zachować coś w rodzaju godności, chociaż wiedziała, że to beznadziejne.

*

Chyba byliśmy jedynymi gośćmi w lokalu. Właściciel krzątał się dookoła w białym, roboczym fartuchu, dając nam do zrozumienia, że powinniśmy już pójść. Przestraszyłem się, że ten człowiek zniszczy wszystko, odzywając się do nas, więc zacząłem grzebać w kieszeniach, żeby za siebie zapłacić.

Była szybsza. Wyszukała banknot w torbie.

Spojrzałem na obraz na ścianie. Statek pod żaglami w ciemnej ramie. Miałem przecucie, że kiedy wszystko się już skończy, kiedy rzeka zabierze zarówno nas, jak i nasze słowa do morza, to człowiek i tak będzie miał przed oczami żaglowiec w „Kanal Caféen”. Robiąc zupełnie coś innego. Otwierając książkę.

Już na ulicy chwyciła mnie za ramię, mówiąc pogodnie:

– Urosłeś. Bardzo!

– A ty chyba troszkę się skurczyłaś – odparowałem najbardziej dziarsko, jak potrafiłem.

Pomogło. Szliśmy, uśmiechając się do siebie ostrożnie. Słońce chowało się powoli. Kapało w swoim świetle wzgórza zamkowe, wieże kościelne i najwyższe dachy od zachodu. Oblewało złotem czerwone, ceglane mury. Pomiedzy domami stały cieniutkie ściany światła, kurzu i cieni. Warstwa przy warstwie.

– O tej porze w Reinsnes słońce nie zachodzi – powiedziała.

– Nie.

– Dobrze byłoby poczuć słony wiatr od morza i zaznać białej nocy – kontynuowała lekko. Zbyt lekko.

Wiedziałem, o co chodziło.

*

Pomachała do przejeżdżającego obok fiakra.

– Muszę odebrać bagaże ze stacji i znaleźć jakiś nocleg.

Teraz była taka jak zawsze. Rzeczowa, lakoniczna i energiczna.

– Musimy pojechać nad morze? Zapewne znasz okolicę? – powiedziała.

– Trochę zależy, czego oczekujesz i ile możesz zapłacić.

– Musi pachnieć mydłem i morzem, w pokoju muszą być czyste ręczniki i dwa łóżka.

– Dwa?

– Dwa! – stwierdziła. – Zrobiłeś się taki duży.

– Czy mamy pieniądze na wyjazd poza miasto? – zapytałem. Ale sam słyszałem własny zapal.

Już dogadywała się z woźnicą. Mieliśmy odebrać jej bagaże i

zajechać na Bredgade po najbardziej niezbędne rzeczy dla mnie. Po chwili cel podróży i koszt zostały ustalone. Woźnica znał odpowiednie miejsce. Miał brata, który wynajmował mały domek rybacki na północ od Klampenborg.

– Możemy pojechać koleją – powiedziałem.

Odwróciła się w moją stronę. Była teraz dokładnie taka, jaką ją pamiętałem. Dina z Reinsnes:

– To zły obyczaj kupiecki! Najpierw nakłonić sprzedawcę do ujawnienia, gdzie jest towar, a potem pozbawić go zysku. Poza tym nie nęci mnie ocieranie się kolanami o obcych ludzi ani zwracanie mi uwagi przez matrony, potrzebujące miejsca na pakunki i psa. Mam dość przedziałów kolejowych na pewien czas.

*

Kiedy dotarliśmy do Bredgade, poszedłem sam do środka. Madame Frederiksen wypadła na korytarz z ciekącym nosem, przepaszając gwałtownie. Tak bardzo chciała zaprosić mnie i moją matkę na obiad.

– ... ale stała się przykra rzecz, moja siostra zachorowała i muszę jechać do Roskilde, żeby jej pomóc. Ta podróż to koszmar i...

Mówiła dalej, a ja w tym czasie próbowałem jej wyjaśnić, że już jedliśmy i że wybieramy się na kilka dni na wieś.

Wtedy rozpoczęła swoje zwykłe napomnienia dotyczące zamykania drzwi na klucz, uważania na pożar i wiader toaletowych.

Wrzuciłem kilka ubrań i książek do worka marynarskiego, a ona wciąż stała w drzwiach i mówiła. Moje spojrzenie padło nagle

na wiolonczelę za łóżkiem. Wyciągnąłem ją i z naręczem rzeczy prawie zderzyłem się w progu z Madame Frederiksen.

– Klucze! – napomniała mnie. A w następnej chwili wydała okrzyk, wzywający imię boskie. Było to na tyle rzadkie zjawisko, że aż się zatrzymałem.

– Coś się stało?

– Nie, nie, chodzi tylko o to, że ten młody człowiek, z którym pan tyle przebywa, był tutaj i pytał o pana.

– Aksel? Ten wysoki z rozwianymi, jasnymi włosami?

– Tak, tak, Aksel. Prosił mnie, żeby przekazać, że przyjdzie ponownie. Dziś wieczorem.

Najpierw pomyślałem sobie, że nic nie wie o Annie i o mnie. Ale potem uderzyło mnie, że właśnie wie. Stałem tak z wiolonczelą w jednej ręce i workiem marynarskim w drugiej.

– Jak wyglądał? – zapytałem.

– Och – tak jak zawsze. Ładnie ubrany i...

– Mam na myśli, czy był zdenerwowany albo coś w tym rodzaju?

– Nic takiego nie zauważyłam – odparła zdziwiona.

Ukrywanie swojej wściekłości było podobne do Aksela, pomyślałem. Teraz mogłem równie dobrze zapaść się pod ziemię. Albo wypłynąć w morze.

Przemknąłem obok Madame Frederiksen i zbiegłem ze schodów.

– Klucze? – usłyszałem za sobą.

– Tak! Miłego wyjazdu! – odkrzyknąłem.

– Co mam powiedzieć koledze, jak przyjdzie? – krzyknęła.

Zatrzymałem się, starając się szybko pomyśleć.

– Że pojechałem na północ do Klampenborg razem z moją matką! Proszę powiedzieć po prostu, że moja matka przyjechała!

Prawda była najlepsza. Raczej nie będzie mnie szukał, żeby rozmazać mnie jak tapetę na ścianie, wiedząc, że Dina jest ze mną.

*

Nie skomentowała tego, że przyciągnąłem ze sobą wiolonczelę.

Kiedy opuściliśmy już miasto i jechaliśmy wzdłuż morza, powiedziała:

– Miło byłoby zamieszkać tutaj. Wiesz – morze.

– W Kopenhadze?

– W Danii. Tu jest coś takiego... Język. Wszystko. Bliżej...

– Tak – odparłem.

Plecy woźnicy były mokre od potu. Nucił coś cicho. Zwróciłem uwagę, iż trzyma bat uniesiony tak wysoko, że jego cień tańczył nad głową konia. Ale go nie bił.

Jechaliśmy wśród majestatycznych drzew. Cienie zmieniały je w chłodne, zielone stwory z baśni. Brały niebo w posiadanie.

O tyle rzeczy chciałem zapytać. Ale nie wiedziałem, od czego miałbym zacząć.

– Kiedy zaczęłaś mówić po niemiecku? Mam na myśli – mówić na tyle, żeby ludzie cię rozumieli?

Przez chwilę się zastanawiała.

– Coś się zmieniło, gdy pewnego ranka obudziłam się ze snu, w którym wszystko działo się po niemiecku... Był w tym śnie ktoś, z kim rozmawiałam. Wtedy zrozumiałam, że nigdy nie miałam nikogo, z kim mogłabym porozmawiać... o swoich myślach. Nie po norwesku.

Tymi słowami zmiotła wszystkie moje figury z szachownicy. Nie miałem odwagi się poruszyć.

– Nie chodzi tylko o język... Bywa tak, że ludzie prawie nigdy się nie spotykają. A wtedy nie mogą przecież rozmawiać. Dzisiaj mam uczucie, że naprawdę się spotkaliśmy, Beniaminie.

Siedziała, oglądając swoje dłonie.

– Tak bardzo bałam się z tobą spotkać. A okazało się to wielkim błogosławieństwem... Tylko trochę przeplatasz duńskim. Wcale nie tak dużo, zważywszy te wszystkie lata. Mam uczucie, jakbym z każdą swoją myślą powróciła do domu, synu.

Powiedziała to! Siedziała tam we własnej osobie i to powiedziała! Nie tylko wyobrażałem sobie, że to mówi. Poczulem chęć, żeby stanąć w dorożce i zaśmiać się głośno. Zamiast tego rzekłem:

– Czy widziałaś w swoim życiu tyle wielkich drzew, Dino?

– O, tak! Ale zawsze dobrze jest je podziwiać...

Błękitne cienie przemykały przez jej twarz, kiedy jechaliśmy pod drzewami.

A ja szedłem nagle w deszczu z Karną. Szedłem z Karną, mając przed oczami Dinę jako pannę młodą u boku Andersa w kamiennym kościele. Liście kładły się cieniem na jej twarzy. Czas

nie istniał. Wszystko się przenikało: Dina jako panna młoda. Karna z włosami i rzęsami ociekającymi deszczem. Dina w dorożce ze mną, ze słońcem migoczącym na twarzy.

Wiedziałem, że nawet gdybym o tym nie myślał, nigdy tego nie zapomnę. Nigdy nie dowiem się, dlaczego te obrazy należą do siebie. Dlaczego stały mi przed oczami akurat te dwa, razem.

– Czy kochałaś Andersa? – zapytałem bez żadnego wstępu.

Zawahała się na moment.

– Nadal go Kocham. Ale wiesz... Tyle nas dzieliło.

– Rosjanin?

Skinęła głową.

– I ty, Beniaminie! Anders był twój. To ty go miałeś.

– Mogliśmy go przecież dzielić?

– Czy na pewno?

– Wyszłaś za niego dla mnie?

– Dlaczego pytasz?

– Bo wreszcie tu jesteś i mogę zapytać.

Przez chwilę myślała.

– Nie – stwierdziła zdecydowanie. – Wyszłam za niego ze względu na siebie! Ale można i tak to ująć – że nigdy nie wyszłabym za Andersa, gdybym nie widziała, że jest dla Ciebie kimś ważnym. I dla Reinsnes...

– Później, kiedy już wyjechałaś, czy myślałaś... jak on się z tym czuje?

Dorożka gwałtownie zachybotwała. Wjechaliśmy na gałęzie leżące w poprzek drogi. Woźnica zwolnił i wstał, żeby uspokoić konia.

Mocno trzymając się oparcia, odwróciła się w moją stronę.

– Wiem, Beniaminie, że byłeś zmuszony zająć stanowisko przeciwko mnie, za Andersem. Nie mogło być inaczej.

Co mogłem powiedzieć? Po chwili dodała:

– Ale myślałam o tym, jak on się ma. Codziennie. Każdego dnia bez wyjątku myślałam o tym, jak wam jest.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Wynajęty przez nas dom położony był przy samej plaży. W gruncie rzeczy była to stara chata rybacka. Izba z najniezbędniejszymi wygodami. Łóżka przymocowane do ścian, zawieszane zasłonkami w kratkę. Stół i krzesła. Palenisko. Wodę braliśmy z beczki, napełnianej raz w ciągu dnia. Gospodarz prowadził zajazd, a jego syn przywoził nam jedzenie ciągniętym ręcznie wózkiem.

Godziny płynęły, mieszając się ze sobą. Niekiedy czas zatrzymywał się nagle. Morze spoglądało na nas przyjaźnie. Między tym odsłaniał się przed sobą, gwałtownie, jak fala przebijająca się przez nabrzeżne skały tam, w domu. Przedzierała się na wskroś i zabierała. Z całą siłą. Żeby za chwilę pociągnąć nas z powrotem. Daleko w morze. Każdego na jego własną głębinię.

Pierwszej nocy upiliśmy się razem jak starzy przyjaciele. Wiele razy głośno się śmiała. Jej śmiech był taki osobliwy. Aż uświadomiłem sobie, że nie pamiętam jej śmiechu. Dina w Reinsnes nie śmiała się chyba zbyt często. Musiałem ją o to zapytać.

– To prawda, o śmiech nie było tam łatwo.

– Czy przez cały czas byłaś nieszczęśliwa?

Spojrzała na mnie. Poprawiła obrus i przestawiła szklanę.

– Nieszczęśliwa? Nie... to nie to. Ale o wielu sprawach trzeba było myśleć. Wieloma się zająć. A ty przecież nie byłeś dorosły...

Nie śmialiśmy się wtedy z tych samych rzeczy, prawda? Więc to pewnie dlatego...

– I do tego Rosjanin?

– Tak, Rosjanin – odparła.

– Czy nie chcesz, abym pytał?

– Może lepiej miejmy to już za sobą?

– Co masz na myśli?

– Chyba masz do mnie wiele spraw, Beniaminie. To w porządku, że pytasz. Jeżeli tylko będę w stanie dać ci odpowiedź...

– Czy pojedziesz ze mną teraz do Reinsnes?

– Nie.

– Dlaczego?

– Moje życie już nie rozgrywa się w tamtym miejscu.

– A gdybym zgłosił się, żebyś była bezpieczna? Czy wtedy pojedziesz?

– Nie! I nie wolno ci się zgłaszać! Zrozum, że wymyśliłeś to tylko po to, żeby zmusić mnie do powrotu. Zrozum, że to jest... głupia ofiara.

Nalała wina. Kieliszki i tak były do połowy napełnione.

– Czy Anders ma być sam przez resztę życia? – zapytałem, unikając słowa „ofiara”.

Bezgłośnie postawiła butelkę na stole.

– Nie możesz brać na siebie cudzego życia! Twoje własne jest dostatecznie trudne! – odparła krótko, nie wymieniając imienia

Andersa.

To ona skierowała rozmowę ponownie na bezpieczne wody. Wypytywała mnie o życie studenckie. Opowiadałem. I szybko piłem wino. Opisywałem Aksela. Od czasu do czasu zadawała drobne pytania, ale głównie słuchała. I uśmiechała się.

Czułem się z tym bezpiecznie. Nabrałem ochoty, aby opowiedzieć o Annie. Ale nie wspomniałem o niej. Jeszcze nie.

W pewnym momencie tej nocy krzyknąłem do niej, chociaż siedziała tuż obok:

– Zagraj, Dino! Zagraj!

Potrząsnęła głową. Ale uśmiech nie zniknął z jej twarzy. Chyba tak samo jak ja lubiła się bawić.

*

Następny dzień upłynął nam na zorientowaniu się w okolicy i na spacerach, które miały wygonić z nas niepokój. Czekałem, żeby odsłoniła przede mną swoje myśli. Ale światło dzienne najwyraźniej zamknęło wszystkie drzwi. Kiedy drugiego dnia po zachodzie słońca otworzyła butelkę wina, ponownie skinąłem głową w kierunku kąta, gdzie postawiłem wiolonczelę.

– Dlaczego miałem odebrać wiolonczelę z Berlina? – zapytałem.

Usiadła i napełniła po brzegi obydwie kieliszki. Potem uniosła swój do ust, upijając łyk.

– Chyba potrzebowałam pretekstu, żeby się z tobą spotkać – rzekła niespodziewanie.

– Nie mogłaś po prostu przyjechać? Tak jak teraz?

– Zwlekałam z tym...

– A wiolonczela?

– Chciałam, żebyś zabrał ją do Reinsnes. Od dawna już nie gram.

– Nie grasz! Przecież po to chciałaś wyjechać, żeby się nauczyć.

Rzuciła mi szybkie spojrzenie.

– Owszem, sama chciałam w to wierzyć. Po pewnym czasie zrozumiałam, że nie o to chodziło. Powinnam była słuchać i się przyglądać.

– Czy nie grałaś od czasu wyjazdu?

– Przez pierwszy okres tak. Znalazłam tego człowieka, u którego odebrałaś wiolonczelę. Oczyszczył moją muzykę z najgorszego fałszu. Zaczęło mi dobrze iść. I wtedy coś się wydarzyło... Zniknęli. Wszyscy.

Wpatrywałam się w nią.

– Kto?

– Hjertrud, Jakub, Leo. Skończyło się. Nie chcieli już ze mną być.

Jej oczy były nagie.

– Rozumiesz to, prawda, Beniaminie? Rozumiesz?

– Nie. A martwi powinni zostawić nas w spokoju!

– Martwi są nami – odparła z prostotą.

– Nie! Nie mów tego! – zawołałam ze złością.

– Nie istnieje inny sposób, żeby to powiedzieć. Kiedy martwi nas

opuszczają... wtedy jest czas na pokutę. Dlatego przestałam grać.

W izbie powiało lodowatym chłodem. Przełknąłem ślinę. Przyglądała mi się uważnie. Ale nie chciałem dalej brać w tym udziału. Nagle przypomniałem sobie to i owo zasłyszane w czasach, kiedy byłem małym chłopcem. Słowa, które nie były przeznaczone dla mnie. O szaleństwie Diny. O jej nocnych seansach w altanie. Gdzie odprawiała diabelskie msze!

– Żartujesz – odparłem głupawo.

Siedziała nieco pochylona do przodu. Zupełnie jakby spała.

Potem zaczęła mówić. Głosem takim, jakby czytała z książki. Słowa przyklejały się do mojej twarzy niczym płatki śniegu. Leciutki dotyk na skórze i oczach roztopiał się i unosił w powietrze. Kruchy. Niemożliwy do zatrzymania.

– Budziły mnie krzyki. Wzwały się w moją głowę. Zjadały myśli. Nie zaznała spokoju. Przez cały czas umierała. Była jak biedny, rozplątany brzuch owcy. Wszystko wyszło. Wierzyłam, że zrzuciła mi z nieba mały guzik. Ale to był tylko tandetny zegarek, znaleziony na plaży. W pięknych, niebiańskich kolorach. Była w tym samotnym orle, krążącym nad domami. Strzegła mnie. Ale nocami krzyczała. Dała mi swoje krzyki, tak jakby w darze. Co mogłam zrobić? Nie byłam w stanie tego wyrazić. Wszystko zatrzymywało się we wnętrzu. A referendarz zburzył pralnię. Może o to chodziło, że nie miałam gdzie pójść. Żeby to z siebie wyrzucić. Pralnia została rozebrana i wywieziona na kamienistą plażę, a jej miejsce porosły krzaki. Jakby nic nie miało pozostać. Kiedy nastąpiła Dagny, wyprowadzili mamę z domu. Jej portret. Takiej, jaka była jeszcze nienaruszona. Wyrzucili go. Potem pojechaliśmy do Reinsnes, do Jakuba. Co innego mogliśmy zrobić? Lorch musiał

wrócić do Kopenhagi. Tego nie potrafiłam sobie wybaczyć. Że pozwoliłam im zabrać mi Lorcha. Mogłam podpalić dom, mogłam dźgnąć referendarza nożem, żeby zrozumiał. Muzyka, wiesz, Beniaminie. Lorch istniał w muzyce. Więc w pewien sposób go zachowałam. Chyba od muzyki wszystko zależało...

Przerwała. Morze oddychało na zewnątrz. Głęboki, rytmiczny oddech.

– Nigdy o tym nie mówiłaś – wcześniej?

– Chyba przestałam mówić tego dnia, gdy wywlekli mnie na śnieg przed pralnię. Tego dnia, gdy oparzyłam Hjertrud na śmierć. Kiedy odzyskałam mowę, niewiele było do powiedzenia. Ludzie biegali dookoła. Wszystko zostało zniszczone.

– To był wypadek! To nie twoja wina!

– Tak czy owak, to się stało!

Zamarłem. Ciągle z tym chodziła! Nosila bez przerwy w sobie!

Mogłem zadać pytanie, czy to nie wystarczyło. Dlaczego Rosjanin również?

– Ile miałaś lat?

– Pięć.

– Nie możesz mówić, że to twoja wina. Miałaś pięć lat!

– Wina, zdaje się, nie zależy od wieku.

– Ale byłaś dzieckiem?

– Wszyscy jesteśmy dziećmi.

– Powinnaś była porozmawiać z kimś... z kimkolwiek... o tym

wszystkim.

Zaśmiała się krótko. Nie podobało mi się to.

– To niczego by nie odwróciło. Porozmawiać? Z kim?

– Ktoś przecież przy tobie był?

– Nie.

A więc to zaczęło się dużo wcześniej, zanim nosiła mnie w sobie. Czyżbym sądził, że wszystkiemu dała początek ta chwila, gdy Rosjanin leżał pomiędzy nami we wrzosach? Że to wtedy przestała być w stanie sprostać przeżyciu nocy i dnia? Słuchając jej opowieści, miałem wrażenie, że nasze wspólne życie zaczęło się w momencie, gdy stała w zaspach, słuchając krzyków Hjertrud. Być może wołała o to, aby ktoś już wtedy zauważył. Ja przecież też nie widziałem niczego, dopóki Rosjanin nie upadł.

A potem wszystko było już tylko gorzej.

Izba wokół nas ucichła.

Ludzie z Reinsnes nadeszli, ustawiając się między nami na stole. Byli jak pionki szachowe w partii, którą rozgrywała na zmianę sama ze sobą i ze mną. A Rosjanin? Czy był pokonaną wieżą?

Zawsze była dobrą szachistką. I wiedziałem, że stara się ochronić te bierki, których przede mną nie odsłoniła.

Przez cały czas opowiadała w taki sposób, jakby ta historia dotyczyła kogoś innego.

– Musiałaś tęsknić za Hjertrud? – powiedziałem.

Przyglądała mi się z namysłem. Długo.

– Pytasz dlatego, że sam za mną tęsknisz?

Tym razem ja musiałem zyskać na czasie. Tak, teraz grała przeciwko mnie.

– Być może – przyznałem.

Skinęła głową.

– Musiałam nosić Hjertrud ze sobą. Nie miała nikogo innego.

– Kogo masz ty?

– Nie pytaj!

Wycofała się. Poczułem się odrzucony. Mogła przecież dać mi to, co sygnalizowałem, że jestem gotów przyjąć!

– Ty nie umarłaś! Uciekłaś! – wyrwało mi się.

– Na pewno wolno ci tak uważać. Musiałam.

– Wyrok? Bałaś się wyroku?

– Wyrok? – zapytała gdzieś w powietrze. Jakby po raz pierwszy usłyszała to słowo.

– Wiem tylko, że są rzeczy, których nie da się zmienić. Ale należy ci się podziękowanie, Beniaminie! Dziękuję za ten list, w którym rozważałeś zgłoszenie się do władz zamiast mnie. Musiałam przez to dać sobie pozwolenie na to, by cię zobaczyć.

– Czy to wystarczy, Dino? Podziękowanie mi?

– To chyba najważniejsze, tak sędzę. Żeby mieć po sobie następcę, który rozumie, dlaczego działa się tak, a nie inaczej. Może zrozumiesz... trochę bardziej... kiedy sam będziesz miał dziecko.

Ktoś wcisnął mi kciuk w oko. Z całej siły. Dała mi mata. A

jednak nie powiedziałem nic o dziecku Karny. Moim dziecku. Jeszcze nie wtedy. Ale wszystkie pory w moim ciele się zacisnęły. Staraly się zamknąć mnie w środku. A jednak to, co mówiła, wносиło między nas pewien porządek. Musiałem sam przed sobą przyznać, że posiadanie matki w więzieniu prawdopodobnie jednak nie pomogłoby Benjaminowi Grønelvowi. Nie wtedy. I nie teraz. Ale nie zdołałem tego powiedzieć.

– Dlaczego nie napisałaś, żebyśmy wiedzieli, gdzie jesteś?

– Żeby nie było możliwe sprowadzenie mnie do domu. Dokładnie z tego samego powodu, z którego ty jesteś tu, w Kopenhadze, i nie piszesz do domu. Bo nie chciałbyś być stąd zabrany?

Zauważyła więc, że Anders napisał o swoim oczekiwaniu na list.

– Może powinniśmy dać się zabrać? – powiedziałem.

– I dla kogo byłoby to najlepsze?

– Dla Andersa, na przykład.

– Chcesz dobrze, Beniaminie – powiedziała tylko.

Później wstała, podeszła do drzwi i otworzyła je. Dzień stał się już jasną kreską na wschodzie. Po chwili zamknęła drzwi, odwróciła się i uniosła dłoń w geście pożegnania. Jakby już stała na peronie i miała wyjechać.

Potem poszła do swojego łóżka.

*

Nie wiem, jak długo spałem, kiedy mnie obudziła.

– Krzyczałeś przez sen – rzekła, pochylając się nade mną.

– Karna – powiedziałem, jeszcze zanurzony we śnie.

Powoli usiadłem.

– To Karna! Ona umarła!

Twarz i włosy Diny. Poranek. Smuga światła wpadająca przez małe okno. Odchyliła koc i wsunęła pod niego stopy. Usiadła obok mnie.

– Umarła. W połogu! – krzychałem.

A chwilę później:

– Umarła! Tak się dzieje z tymi, których dotkniemy, prawda? – dodałem szeptem.

W chwili gdy to wypowiedziałem, zrozumiałem, że tak właśnie jest.

– A dziecko? – usłyszałem.

– Jest u babki, która nie może go zatrzymać.

Siedziałem tam z głową w dłoniach, czekając, aż powie: Więc zabierz ją ze sobą do Reinsnes!

Ale nie powiedziała tego. Wstała i podeszła do okna. Namacała dłonią zapałki i zapaliła ogarek stearynowej świecy. Długo to trwało. Kontury jej ciała rysowały się wyraźnie pod białą koszulą nocną. Przywodziły mi na myśl przeszłe lata. Wszystko stawało się od tego puste.

Nadal bez słowa podeszła, niosąc świeczkę w dłoniach i obserwując ją ostrożnie. Postawiła ją obok łóżka i ponownie wpełzła obok mnie. Płomień od czasu do czasu drżał. Tworzył wokół siebie słabą poświatę. W końcu już był dzień.

Czy spodziewałem się, że będzie mnie napominać? Wygłosi

umoralniającą mowę? Rozwiązanie?

– Dlaczego nic nie mówisz? – zapytałem w końcu.

– Niekiedy lepiej jest najpierw zapalić świeczkę.

Przetarłem twarz. Skórę miałem ściągniętą. Nie powinienem był nigdy tego mówić!

– Nie chciałem, żeby tak się stało. Nie wiedziałem...

Czułem się jak jeden z tych bezpańskich kundli, zaglądających na podwórka w poszukiwaniu padliny, wody i suki.

– Nie – odparła.

– Czy to rozumiesz? – wyrzuciłem z siebie gorączkowo.

– Tak.

Od razu zrobiło się nieco cieplej. Bezpieczniej.

– Opowiedz mi o Karnie! – powiedziała.

Potrząsnąłem głową.

Siedziała przez chwilę, a potem szturchnęła mnie lekko. Po przyjacielsku.

To była druga partia. Wygrała pierwszą w taki sposób, że nawet tego nie zauważyłem. Zaczęła rozstawiać pionki:

– Opowiedz mi o Karnie! – powtórzyła.

– Poznałem ją w szpitalu polowym podczas szturm na Dybbøl. Była silna i szybka i... Podobała się chłopakom. Ale oni...

– A ty?

– Nie wiem? Dobry Boże! O to właśnie chodzi: Nie wiem!

– Ale dziecko jest twoje?

– Nie wiem.

– Czyje inne może być?

Już zbiła pierwszego pionka.

– Nigdy nie wie się wszystkiego.

– Nie, tego jestem świadoma.

Odsunąłem się lekko. Była zbyt blisko. Zupełnie jakbym wypowiedział to głośno, podniosła się, podeszła do drzwi i je otworzyła. Morze pławiło się w srebrze. Ptaki morskie wzięły w posiadanie światło i powietrze.

– Beniaminie! Stoję tutaj i słucham – rzekła zwrócona do mnie plecami.

Wtedy wyprowadziłem z cienia Karnę. Niosła zawiniątko w jednej ręce i swój zniszczony parasol w drugiej. W końcu przyszła. Dina przyjęła ją. Zawiniątko zostało odpakowane i uważnie obejrzone. Dina nadała mu imię: Twoje dziecko. To było przerażające i dosyć nierzeczywiste. Ale wstyd w dziwny sposób zmalął.

W międzyczasie słońce wtoczyło się pomiędzy nas. Potężna, biała tarcza, z obmywającym ją od tyłu morzem. Światło nas wchłonęło. Staliśmy się niematerialni. Bez twarzy. Bez skóry. Przenikaliśmy się nawzajem. Poddawaliśmy się. Ciała i słowa przeplatały się, a ja w tym czasie wylewałem życie Karny na całą izbę. Potem wszystko ucichło.

Wtedy to się stało: Dina zdecydowanym krokiem przeszła przez pokój. Otworzyła pudło z wiolonczelą. Przyjrzała się

instrumentowi. Dotknęła go.

Wiatr targał miotłą stojącą na progu przed drzwiami.

Po chwili jednym falującym ruchem postawiła instrument między swoimi udami, pochyliła się i ustawiła smyczek w gotowości. Stroiła długo i starannie. Osobliwie było na to patrzeć. Wiolonczela i Dina płakały razem. Ona dawała łzy, a wiolonczela dźwięk.

Przypomniałem sobie przeczytane gdzieś słowa: cuda zdarzają się wokół przez cały czas. Ale tylko dla kogoś, kto gotów jest je przyjąć.

*

Stare psalmy Pettera Dassa. Mozart. Pieśni świąteczne. Dzikie melodie taneczne. W pewnej chwili przerwała, klnąc cicho po niemiecku.

– Bach! – wykrzyknęła gwoli wyjaśnienia.

Brzmiało to niedoskonale i topornie. Ale zaczynała ciągle od nowa. Parskając jak uwięzione zwierzę.

Zanurzyłem się w słonej wodzie i ubrałem za ścianą chaty. Przez cały czas słyszałem wiolonczelę. Spokojny i rozgrzany wszedłem do środka, żeby usmażyć bekon. Ukroiłem cienkie plastry i położyłem je ciasno na patelni. Dym unosił się w stronę otwartych drzwi.

Grając, przez cały czas wodziła za mną wzrokiem. Siedziała za wiolonczelą boso, tylko w bieliźnie.

Zjedliśmy w milczeniu, a potem powróciła do gry. Ciągle bez ubierania się.

Po południu musiałem jej pomóc owinąć szmatkami czubki palców lewej dłoni. Zdarła z nich skórę.

– Szkoda, że nie zabrałem torby. Z maścią – rzekłem.

Uśmiechnęła się.

– Na pewno się zagoi – powiedziała.

Jakby te słowa były hasłem albo może dlatego, że obawiałem się znów ją stracić dla wiolonczeli, powiedziałem bez wstępów:

– Jest ktoś inny.

– Inny?

– Na imię ma Anna.

– Ach, tak – powiedziała tylko, oglądając bandaż.

Byłem idiotą. Ale to żadne wytłumaczenie. W pewnym sensie musiałem wypuścić tę sprawę na światło dzienne.

– Chodzi o to, że... Kurwa, co za bałagan!

Próbowałem wysilić się na śmiech. Śmiech zawsze był dobry na wszystko.

– I ta Anna nie chce się z tobą widywać, bo zostałeś ojcem – powiedziała z zadowoleniem, jakby zwracała się do chłopca, który ukradł cukierka.

– Anna jest zaręczona z Akselem.

– Jakim Akselem? – zapytała.

– Z tym, który zjada surowe jajka... opowiadałem ci... Jedynym przyjacielem, jakiego mam.

Czekałem, aż zacznie się śmiać. To byłaby właściwa reakcja. Ale

nic takiego nie nastąpiło. Powiedziała:

– Benjamin dobrze wykorzystuje czas!

Mogłem zanurkować pod podłogę i zostać tam w bezpiecznej ciemności.

– Anna? Jakim jest człowiekiem?

Wszedłem w pułapkę i zacząłem ochotczo opowiadać o obiedzie z rodziną profesora i o pobycie Anny w Londynie.

Dina skinęła głową i ponownie dała mi mata:

– To przecież dobra partia!

Sam sobie mogłem podziękować.

– Nie o to chodzi! – wykrzyknąłem. – Boże święty, Dino!

– Łatwo jest kochać kogoś, kto wiele posiada. Sama wiem to najlepiej! – rzekła sucho.

– Dino!

– Co on mówi? Ten Aksel?

– Możesz sobie chyba wyobrazić. Pewnie zamierza...

Nie miałem siły zagłębiać się w szczegóły. Ona również nie sprawiała wrażenia zainteresowanej. Nie powinienem był o tym wspominać. Nie powinienem pozwalać sobie na sentymentalizm tylko dlatego, że nagle pojawiła się jakaś matka. Zamknąłem na kłódkę zdarzenie, które rozegrało się w pokoju Aksela. Albo to, że Aksel chciał zdobyć pieniądze, żeby pomóc mi pojechać do Berlina.

W końcu poczułem się jednak tak samotnie, że zapytałem wprost:

– Co myślisz?

Bawiła się obandażowanymi palcami. Każdym po kolei. Zaplatała je. Jakby chodziło o życie.

– Właśnie takie sprawy powodują, że mężczyźni nie potrafią ukryć swojej marności – powiedziała szczerze.

To było przynajmniej otwarte posunięcie.

– A co mówi ona, Anna? – zapytała po chwili.

– Nie wiem.

– Być może mógłbyś zapytać? Może to właśnie ciebie chce.

– Co mam zrobić? Nie mogę przecież zastrzelić Aksela!

Kiedy napotkałem jej wzrok, dotarło do mnie, co powiedziałem.

– Nie, Anna być może jest w stanie zastrzelić Aksela za ciebie – rzekła.

– Albo mnie...

– Albo ciebie – dodała.

Poruszyła się nieco. Jej kolano dotknęło mojego. Wyprostowałem plecy, żeby się odsunąć.

– Czy to sprawa życia i śmierci, to z Anną? – zapytała.

– Czasami mam takie wrażenie. Ale Aksel również...

Kiwnęła głową.

– Chyba jednak najgorsze jest to, z czym nie możesz nic zrobić. Z Karną. Ją musisz nieść dalej ze sobą.

Znów dostałem mata. A ciągle jeszcze nie udzieliła mi żadnej

radę.

*

Dni i noce zlewały się ze sobą. Później pamiętałem z nich tylko fragmenty rozmów, obrazów, dźwięków. Wszystko zachodziło na siebie, zmieniało, przykrywało, wyjaśniało siebie nawzajem.

Gdy chodziliśmy wzdłuż plaży, pociągała nosem, wzdychając. Niekiedy schylała się, żeby coś podnieść. Muszlę, kawałek drewna, zwiedłe źdźbło, okruch szkła. Niewiele mówiliśmy. Myślałem o Karnie.

Kiedy poczuliśmy głód, szliśmy do zajazdu gospodarza i jedliśmy, wymieniając zdawkowe uwagi na temat rzeczy wokół nas. W połowie posiłku zapytałem kiedyś:

– Z czego żyjesz?

Przeżuła kęs do końca i przełknęła. Kiedy zaczęła mówić, sprawiała wrażenie, jakby mówiła do siebie.

– Dobrze mi idzie. Lepiej radzę sobie z liczbami niż większość ludzi. To mnie uratowało. Ludzie potrzebują takich jak my, potrafiących utrzymać porządek w liczbach. W ten sposób wydaje im się, że są bezpieczni.

Opowiadała o drobnych sprawach ze swojego życia. O domu, w którym mieszkała. O kolorowych witrażach, które kazała wstawić w wykuszu. Jak w przeszklonej werandzie oficyny w Reinsnes, pomyślałem.

Mówiła o mężczyźnie będącym właścicielem domu, w którym mieszkała. Widywała się z nim od czasu do czasu. Kupował działki, projektował i obliczał. Budował. Nie tylko w Niemczech. Był

zdolny. Miał wcześniej zlecenia we Francji. Przez wiele lat pracowała, zajmując się jego liczbami w zamian za akcje w ramach części zapłaty. Rozumieli się nawzajem. Wiedzieli, czego mogą się po sobie spodziewać. Podróżowali razem.

– Pojechałaś z nim do Paryża? – zapytałem.

Wtedy się uśmiechnęła.

– Tak. A więc wierzysz, że naprawdę wyjechałam?

– Na to wygląda.

– Świetnie! Wobec tego zrobiliśmy pewne postępy.

Przez chwilę jedliśmy w milczeniu. Potem zapytałem:

– A więc masz dobrze?

– Dobrze?

– Nie cierpisz żadnego niedostatku?

– Nie, nie cierpię niedostatku!

Kiedy szliśmy z powrotem do chaty rybackiej, zapytałem:

– Gdyby nie Anders, czy wyszłabyś za tego, który buduje domy?

– Nie – odparła zdecydowanie. – To właśnie jest dobre w takich śmierdzących, zatłoczonych miastach jak Berlin. Nie musisz zastanawiać się, czy pastor i Bóg pochwalają twoje czyny. Jesteś sam – z Bogiem.

Odpowiedziała mi precyzyjnie. Ale moja radość była przedwczesna. Nagle zapytała:

– Czy ożeniłbyś się z Karną, gdyby nie umarła?

Te jej cholerne, zaskakujące posunięcia szachowe!

Potrząsnąłem głową. To i owo wróciło na swoje miejsce.

*

Nadszedł deszcz. Wielkie, ciężkie krople na krytym strzechą dachu i na szybach.

Wtedy opowiedziała o domu zagrodników w Helle. Zapewne słyszałem już wcześniej, że tam była. Ale sądziłem, że chodziło o kilka dni. Podobnie jak Oline nigdy nie chciała słyszeć o moich haniebnych narodzinach w letniej oborze, tak pobyt Diny w Helle był czymś, o czym nigdy nie rozmawiano w Reinsnes. Nawet Tomasz nie wspominał o Helle, chociaż stamtąd pochodził.

– W jaki sposób Tomasz znalazł się w Reinsnes? – zapytałem.

– Tomasz przybył do Reinsnes, bo po niego posłałam – odpowiedziała.

Przez chwilę sprawiała wrażenie, że chciałaby coś o tym opowiedzieć. Ale się powstrzymała.

Ciągle wspominała o Lorchu. Bardzo chciała odnaleźć jego grób. Zmarł tutaj, w Kopenhadze.

– Nauczył mnie wielu rzeczy – powiedziała.

– Jeśli na trochę zostaniesz w Kopenhadze, może uda nam się odszukać jego grób?

Wtedy uśmiechnęła się, szturchając mnie lekko.

– Ach, Beniaminie... – rzekła.

*

Gęsta, morska mgła skrywała świat.

Przed śniadaniem Dina obejrzała dokładnie czubki swoich palców i zaczęła grać. Od czasu do czasu śmiała się głośno, robiąc różne miny. Niekiedy nuciła albo śpiewała stare psalmy Pettera Dassa. Ja zaś najczęściej leżałem na łóżku, zaglądając we własne wnętrze.

Nagle przerwała w połowie psalmu i odłożyła smyczek.

– Już wystarczy! – rzekła.

Nie odpowiedziałem.

– Głodny?

– O, tak.

– Zrobimy coś z tym.

– Tutaj?

– Nie, w zajeździe.

Po posiłku ruszyliśmy wzdłuż plaży, pozwalając, aby piana i słona woda obmywały nasze bose stopy. Słońce powróciło. Dina podwiązała sobie szalem spódnice w pasie. Jednak mimo to mokra tkanina uderzała ją po łydkach.

– Czy mi się śniło? Czy to powiedziałeś? Że byłeś tam, kiedy dziecko się urodziło? – zapytała, zwrócona do mnie plecami.

– Tak, byłem tam, kiedy Karna...

– Kiedy dziecko się urodziło?

– Odebrałem ją.

– To dopiero czyn – wymamrotała.

Czyżby w jej głosie było szyderstwo? Nie. Zadziwienie.

– Mężczyźni chyba nie tak często... – mruknąłem.

– Nie sędzę – odparła z uśmiechem. – Anders ma do tego dryg, a i Tomasz na pewno by sobie poradził – dodała ze skrywaną wesołością.

– Poza tym siedział za drzwiami, kiedy się urodziłeś. Ale gdyby Oline nie przyszła do letniej obory... to być może...

Zesztywniałem. I zerknąłem na nią ciekawie.

– A mój ojciec? Jakub? – zapytałem.

Odwróciła się w moją stronę. W ułamku sekundy znów poważna.

– Nie! – rzekła krótko.

– Powiadano mi, że chodził na polowania. Przyzwyczajony był do krwi...

– Ta sprawa niewiele ma wspólnego z polowaniem. Krew?

– Mam na myśli, że mój ojciec musiał chyba znosić widok krwi, skoro polował?

– Jakub znosił krew. I chodził na polowanie. Ale nigdy nie poradziłby sobie z czymś takim. Ale nie musisz być w tym do niego podobny. Jakub nie jest twoim ojcem.

Cisza opadła niczym ciężka kotara. Zagłuszyła morskie ptaki. Fale opuściły swój żywioł. Wzniosły się ku mnie. Były chwytającymi mnie za szyję, duszącymi dłońmi. Statek parowy też walczył gdzieś tam na zewnątrz. Światło było jak nóż. Zacisnąłem oczy. JAKUB NIE JEST TWOIM OJCEM!

*

Nie słyszałem jej słów, kiedy zaczęła mówić dalej. Przez długą chwilę. Ale widziałem jej twarz. Usta. Wargi się poruszały. Oczy? Czy to była Dina? Mówiąca do mnie o czymś niepojętym? Dlaczego mówiła coś takiego?

Wtedy postawiła na planszy Tomasza. Przez całe lata był tą figurą, którą ukrywała w zanadrzu. Teraz ruszył na mnie. Niosąc swoje drągi. Z pół w Reinsnes, przez morze, przez pas rzadkiej mgły. Zostałem zmuszony, aby zrozumieć jego spojrzenia. Wybaczyc, że się nie ujawnił.

Karna i dziecko stanowili w tym wszystkim przeszkodę. Nie mogłem osądzać. Wściekłość uszła ze mnie, zmieniając się w obezwładniające zmęczenie. Stałem się starcem. Było za późno. Za późno, żeby zyskać ojca.

Nic nie wiem o czasie. Biegł przecież niezależnie od wszystkiego. Ale w jakimś momencie dużo później zapytałem:

- Dlaczego mówisz mi to teraz? Dlaczego?
- Bo zrozumiałam, że nadszedł właściwy czas.

*

Tylko jeden raz byłem w małej chacie komorniczej, z której pochodził Tomasz. Kłębowisko ludzi i zwierząt. Odór ciasnej izby. Mieszanka potu i świeżo odcedzonego mleka. Dym z otwartego paleniska. Niewyraźnie pamiętałem chudego, żylastego mężczyznę z pochylonymi plecami, białymi włosami i wąsem. Oraz rudą, pulchną, niewysoką kobietę o dobrych oczach i szybkich ruchach. Stanęli nagle przede mną. W moim ciele. W mojej krwi! A więc stąd miałem połowę swego dziedzictwa. Benjamin Grønelv był bękartem, noszącym fałszywe nazwisko i nieprawie dziedzictwo.

Nosiła tę tajemnicę przez wszystkie lata. Zakpiła sobie z nas. Można było do woli nienawidzić i osądzać. Ale niczego by to nie zmieniło.

Nie byłem w stanie na nią spojrzeć. Nie była przecież lepsza niż kurwy, które...

– Teraz możesz wracać do kelnerek! Teraz jestem taka jak one – powiedziała Anna. W tym momencie ona wkroczyła na planszę. I zagrażała królowi.

Czy to miało się nigdy nie skończyć? Robiło się zbyt przerażająco. I w to wszystko wkraczała Karna z zawiniątkiem i zepsutym parasolem. Pochylała się w milczeniu nad łóżkiem Aksela, obserwując grę. Jak Anna grozi królowi.

Milczałem, dopóki nie odzyskałem kontroli. Wtem uderzyła mnie myśl:

– Ale... wobec tego Matka Karen nie jest...

– Nie.

– Ale przecież to do niej jestem podobny. Zawsze mi to mówiono. To niemożliwe, że Matka Karen nie... – usłyszałem żalony, chłopięcy głos.

– Przypominasz Matkę Karen! Nikt nie jest w stanie tego zmienić – powiedziała.

*

Wtedy nadeszła! Wściekłość spowijająca mnie smołą, piórami i śmierdzącą, zleżałą wątróbką z dorsza. Szarpała mną i potrząsała, sypiąc sól we wszystkie szczeliny i rany. Nie wyłoniła się zza ogółu tych niezrozumiałych myśli. Gdzie rozpadłem się w nicości. Nie.

Miała swoje źródło w brzuchu. Kamień mdłości. Nie dało się go wymiotować. Był zbyt twardy. Zbyt ogromny, żeby przejść przez gardło i przełyk. Zmiażdżyłby mi zęby i przenicował na wylot. Żałowałem, że nie potrafię płakać. Krzyczeć. Ale nie byłem w stanie. Zamiast tego dokonywałem błyskawicznych refleksji, kto jest moją rodziną. I ja, który nigdy nie byłem przywiązany do myśli, że moim ojcem jest zmarły Jakub, nagle czułem wściekłość jak małe dziecko, bo Dina wyrwała mi Matkę Karen i za pomocą paru słów zrobiła ze mnie chłopskie dziecko w gospodarstwie referendarza Holma.

– Kto o tym wie? – odezwałem się szeptem po duńsku głosem, którego nie słyszałem nigdy wcześniej.

– Nikt – odparła.

Ale usłyszałem to drobne wahanie. Tylko w sposobie, w jaki wciągnęła oddech. A jednak je usłyszałem.

– Nikt? – podjąłem ze złością.

– Tomasz miał swoje przeczucia. Ale w księgach kościelnych wskazany jest wyraźnie Jakub Grønely.

– Czy Tomasz o tym wie?

– Nigdy nie może mieć pewności.

Wysoka, obca kobieta, z suknią podwiniętą wysoko wokół mokrych łydek, z ciemnymi włosami przeplecionymi pasmami siwizny przy skroniach, obiema rękoma trzymała za rączkę parasola. Mocno. Mały, jedwabny kutasik zwisał z jednego z prętów. Wiatr uderzał nim w jej policzek. Spojrzenie, które napotkałem, było bezpośrednie. Błyszczące.

– Mężczyźni nigdy nie mogą być pewni takich rzeczy. Sam na pewno znasz tę myśl?

Morskie ptaki się uspokoiły. Plaża była pusta. Byliśmy jedynymi ludźmi na świecie. Powietrze zwisało ciężko nad naszymi głowami. Jak gdyby cały wszechświat znalazł się w sferze grawitacji tylko po to, żeby mnie zgnieść.

Zawędrowaliśmy daleko. Jakies słowa leżały pomiędzy nami. Ale nie przebaczenie. Żadne rozwiązanie. Żadna pociecha.

Nie pragnąłem pocieszenia! Mały chłopiec z Reinsnes ciągał po polach drągi, nie mając pojęcia, że idzie obok swego ojca. Do diabła z wszystkimi kobietami!

W końcu zapytałem, zmęczony:

– Jak to mogło się zdarzyć? Z Tomaszem? Dlaczego on?

– Jak to mogło się zdarzyć z Karną? Dlaczego ona?

W oszołomieniu odpowiedziałem z pełną powagą:

– Była wojna, Dino.

Wystawiła głowę spod parasola, przyglądając mi się uważnie. Prawie niewinnie.

– Właśnie, Beniaminie! Była wojna.

– Czy Jakub już nie żył, kiedy zostałem spółdony? – zapytałem, świadom, że to niedopuszczalne pytanie.

– Dla innych żył – odparła. – Ale nie dla mnie – dodała.

– Więc go zdradziłaś?

– Tak, zdradziłam.

– Zdradziłaś go, zanim umarł? Z Tomaszem?

– Nie! Wszystko miało swój czas. Wtedy to on mnie zdradził.

Usiadła na wielkiej kłodzie drewna. Wiatr rozsuptał jej włosy i bawił się nimi dziko.

Nowa myśl pojawiła się w mojej głowie:

– A zatem Johan nie jest moim bratem?

– Nie.

– A więc to on jest prawdziwym dziedzicem Reinsnes wspólnie z Andersem?

– Nie! – odparła prawie ze złością. – Nikt nie może zmienić tego, co jest zapisane w księgach.

– Jesteś tego pewna, Dino? – zapytałem.

– Reinsnes jest dla tego, kto na nie zasługuje. Przez chwilę byłam to ja. Teraz Anders. Gdyby Johan był właściwą osobą dla Reinsnes, to byłby tam już od dawna.

– Przecież on jest pastorem. No i ty tam byłaś.

– Musiałam zasłużyć na Reinsnes – rzekła.

– Czy ja też muszę? Czy to próbujesz mi powiedzieć?

– Sądziłam, że powiedziałam to dostatecznie wyraźnie.

Chciałem zapytać, kto wobec tego ma dostać Reinsnes. Ale zrozumiałem w tym momencie, że to nie jej sprawa. Tylko moja.

– Johan może jeszcze zgłosić roszczenia do Reinsnes.

– Zanadto się boi, aby to uczynić.

– Boi?

– Tak. Boga. Jakuba. Na końcu bał się też mnie.

– Dlaczego?

– Bo zrozumiał, że chciałby mnie mieć. Ale wyobraził sobie, że Bóg jest temu przeciwny.

– Dino! Johan?

Nagle przypomniało mi się to i owo. Johan, który rozzłościł się tak bardzo, że mnie uderzył. Co takiego mu wówczas powiedziałem?

Oczy Diny zmieniły się w dwie rozbawione szparki, kiedy zobaczyła wyraz mojej twarzy.

– Tak. To było w młodości – zaśmiała się. – Był niewiele starszy ode mnie. Pojawiłam się w domu w roli macochy. Dla nikogo z nas nie było to łatwe. Pamiętam, że obiecał pisać do mnie z Kopenhagi... Najgorszy jest nie strach, tylko brak zrozumienia, że trzeba zrobić dokładnie to, czego się boimy! Wtedy lęk odejdzie!

*

Tej nocy przyszli wszyscy ojcowie. Jakub, Tomasz, Anders. Nie wiedziałem, co mam ze sobą zrobić. Wszyscy chcieli, żebym za nimi się wstawił. U Diny. W jakiejś sprawie, której nie mogłem pojąć.

Po obudzeniu czułem się, jakbym nie spał od wielu tygodni. Przyniosłem drewno, chleb i mleko. Zrobiłem kawę. Dina pokroiła ciemny chleb. Usiedliśmy przy piecu. Dina okryta wielkim szalem. Jej oczy były jeszcze ciężkie od snu. Wydawała się tworzyć jedność z morzem w oddali. Na początku nie mówiliśmy wiele. Siedziałem, zastanawiając się, czy powinienem opowiedzieć jej o śnie. Wtedy

rzekła:

– Koniec końców i tak trzeba zrobić tylko jedno postanowienie, Beniaminie. Że trzeba iść dalej. Nie zawsze tam, dokąd idziesz, możesz zabrać ze sobą innych ludzi. Ludzie są wszędzie. Trzeba ich tylko dostrzec. Spotkałam pewną osobę za murami Paryża. Pamiętam, że pomyślałam sobie: gdyby nie była tak skrzywdzona przez życie, to chciałabym jej dla Beniamina. Zupełnie jakbym chciała wystawić ci kwit gwarantujący prawo do tego, co czyste i nieskalane...

– W jakim czasie tam byłaś, Dino? – wyrzuciłem z siebie.

– Kiedy przyszedł Bismarck. Ale wydostałam się. Nie byłam w stanie myśleć w kilku językach. A Paryż był złym miejscem na myślenie po niemiecku.

Zaśmiała się gorzko.

– To wiele mnie nauczyło. To nie z piekłem jest coś nie tak. Tylko z ludźmi.

– Opowiedz o Paryżu!

Potrząsnęła głową.

– Każdy, kto jest zamknięty, znajduje się w piekle. Niektórzy są zatrzaśnięci w chorobie. We własnym ciele. Na pewno takich widziałeś. Nie wiem tego z całkowitą pewnością, ale chyba najgorzej mają ci, którzy zostali zamknięci we własnej głowie.

Poczułem intensywny niepokój. Siedziała, przyglądając mi się uważnie.

– Boisz się, Beniaminie? Bałeś się już od dawna? Procesu?

– Ja? To chyba ty musiałaś się bać?

– Od czasu do czasu. Ale nie na serio. Dopiero jak przyszedł twój list z informacją, że chcesz się zgłosić.

– Nie dasz rady mnie powstrzymać, jeśli będę chciał! – powiedziałem.

– Dam. I nie zmuszaj mnie, abym to zrobiła.

Patrzyła na mnie. Bez groźby. Tylko ze zmęczeniem.

– Czy nie żałujesz, Dino? Czy nigdy nie żałowałaś?

– Czy mam tu siedzieć po tych wszystkich latach i dręczyć cię moim żalem, Beniaminie?

– Ale żałujesz?

Gdzieś kapała woda. Uderzała o kamień.

Jej oczy nie stawiały żadnego oporu. Niczego nie kryły. Jak spojrzenie Karny i mojego dziecka.

– Żałowanie jest dla ludzi uważających, że to łatwe rozwiązanie.

– Czy nigdy... nigdy nie potrzebowałaś przebaczenia?

– Kto miałby mieć tyle władzy, żeby udzielić Dinie przebaczenia?

Cóż można było na to odpowiedzieć. Nie mówiąc: Bóg.

– Czy to było z miłości? Że strzeliłaś?

Wydusiłem z siebie to pytanie.

– Miłość...

Wymówiła to słowo, smakując je. Jakby po raz pierwszy je

usłyszała.

– Tak?

– Opowiedz mi o miłości, Beniaminie!

Przełknąłem ślinę.

– Nic o niej nie wiem – odparłem w końcu.

Rozdział dwudziesty drugi

Siódmego dnia Dina ubrała się, pogwizdując.

Stwierdziła, że słońce jest wysoko i że pojedziemy do ogrodu zoologicznego. Schronimy się pod wysokimi drzewami koło jeleni. Życie nie składa się wyłącznie z mgły, powiedziała wesoło.

Poszliśmy spacerem do zajazdu gospodarza i zjedliśmy przy nieheblowanym stole w ogrodzie. Po mojej stronie wyryte były dwa serca. Oraz litery B i D. Z uśmiechem wskazałem je palcem. Dina przekrzywiła głowę i się zaśmiała.

– Dziwna sprawa z tymi imionami – rzekła jakby nieobecna. I po chwili dodała:

– Jak ma na imię ta mała?

Byłem nieprzygotowany. Powiedziałem zgodnie z prawdą, że nie wiem. Nie pomyślałem o tym.

– To może powinieneś pomyśleć. Imię coś robi z człowiekiem.

Nie odpowiedziałem. Czytała w gazecie o przygotowaniach do obchodów nocy świętojańskiej. Skończyliśmy jeść.

– Może powinieneś się tego dowiedzieć, Beniaminie? – rzekła.

– Co masz na myśli? – zapytałem, udając, że nie pamiętam, o czym mówi.

– Jak ma na imię dziecko.

– Czy pójdziesz tam ze mną, Dino?

Uświadomiłem sobie, że przez cały czas o tym myślałem. Czy mogę o to zapytać. I co ona odpowie.

– To zależy.

– Od czego?

– Czy obchodzi cię nadanie dziecku imienia.

– A jeśli nie?

– To nie mam tam nic do roboty.

– Masz na myśli...

– To nie ja mam tutaj mieć coś na myśli! – przerwała, gotowa do wyjścia.

*

Mieszkańcy Kopenhagi obchodzili noc świętojańską, bawiąc się na statkach parowych i w pochodach. Klampenborg falował od letnich sukien, kapeluszy z szerokimi rondami i parasolek – oraz sapiących panów w ubraniach o wiele zbyt ciężkich i kapeluszach przyklejonych do czoła. Ale dźwięki były wesole. Głosy i muzyka rogów. Przez środek Bellevue szedł nawołujący donośnie mężczyzna z cukrowymi laseczkami w koszu zawieszonym na brzuchu. Zarówno on, jak i pałeczki zaczęli się rozpuszczać. Słońce było wszędzie. Z grzbietów koni zaprzęzonych do turkoczających wozów, które wypełnione były odświętnie ubranymi rodzinami, unosiła się para. Kurz wdzierał się we wszystkie zakamarki. Szczypał w oczy.

Elegancki jeździec w ostrogach i z palcatem przeszedł dostojnie obok. Zauważyłem, że posłał spojrzenie Dinie. Miała na sobie jasną, zieloną suknię z powiewającą u góry peleryną. Przepelniony

dziecięcą zazdrością pomyślałem, że na pewno nie stać go było na kupno tego konia. Wyjechał tylko po to, żeby pokazać się w stroju jeździeckim.

Przez środek placu szła para młodych ludzi. Kobieta pchała wózek z dzieckiem. Idiotyczne urządzenie na trzech kołach. Gdyby nie budka, można by uznać, że to trumna na kółkach. Wąska przy stopach. Czarna. Pokryta plandeką. Bez oznak życia.

Dina wskazała palcem znak z napisem „gospoda Bellevue”.

– Nie, tylko nie tam! Wydostańmy się stąd! – rzekłem z irytacją.

Nie odpowiedziała. Ale zauważyłem jej spojrzenie.

W chwilę potem siedzieliśmy w dorożce, jadąc przez otwartą przestrzeń wzdłuż ulicy Strandveien. Woźnica pozwolił nam sięgnąć do kosza pod siedzeniem i wziąć po butelce słodowego piwa. Dina piła swoje z wielkim spokojem ducha oraz wprawą, której mógłby jej pozazdrościć niejeden robotnik budowlany. Potem zapaliła cygaro, odchylając się do tyłu. Zaciągnęła się kilkakrotnie, a potem podała je mnie. Tak otwarcie napawała się przejażdżką, że nie musiałem mówić ani słowa.

Kiedy wysiedliśmy z dorożki i weszliśmy w cień drzew, zaczęła mówić o alei jarzębinowej w domu i o brzożach w ogrodzie. Oraz o jarzębach. Śmialiśmy się z tego, że oboje mamy bzika na punkcie drzew.

Wszystko było poruszające, śmieszne i nierzeczywiste. Człowiek mógł wyobrazić sobie, że kiedyś w przyszłości będzie mówił: to było tego wieczoru, kiedy spacerowałem z Diną w ogrodzie zoologicznym w Klampenborg. W noc świętojańską!

Wieczór nazwany od imienia świętego Jana Chrzciciela. Na swój

sposób myślałem zarówno o Tomaszu, jak i o Janie Chrzcicielu. Jednocześnie. W końcu ich ujrzałem. Sen na jawie. Postać nieprzerwanie wynurzała się z chmur. Mógłbym przysiąc, że jest równie prawdziwy jak my.

Majestatyczne dęby już dawno rozwinęły liście. Grube jak skóra. Chrzciciel stojący przy płocie pochylił się. W postaci Tomasza. I zbierał jałmużnę pozostałą po zimie. Surowy i cichy, we włosiennicy ze skórzanym pasem. Czy znalazł dziś swoje koniki polne? Albo może był to dzień na dziki miód? Co myślał o naszych pogańskich, świętojańskich obyczajach? On, który stał się symbolem oczyszczenia i odnowy samotnego człowieka, czy dostrzegał Dinę i mnie? Czy widział naszą uciechę z piwa i cygara, chociaż wszystko było nie tak, a dziecko nie miało imienia? Czy zauważał istnienie zła i dobra? W ludziach. W naturze. Czy dostrzegł nas już wtedy, kiedy napominał nas, chrzcząc po raz pierwszy wodą i nawróceniem? Czy widział Dinę, która nie miała wiary w żal? W przebaczenie? Czy zauważał, że koniczyna jest soczysta i zielona? Czarny bez i róże, czy czuł ich zapach? Czy rozumiał, że nie jest to czas na zbieranie owoców? Czy wiedział, że jest moim ojcem? Rozumiał, że potrzebuję czasu? Czy pojmował, że dopiero minęła ta przeklęta zima?

*

– Dino, czy rozumiesz, że potrzebuję czasu? – zapytałem.

Siedziała z zamkniętymi oczami, oparta o pień drzewa. I nie otworzyła ich, odpowiadając.

– Czas to nie jest coś, czego można potrzebować. To jest coś, co być może uda się dostać.

Szukałem pociechy u chrzciciela. Ale nie znalazłem.

– Brakuje mi konia – powiedziała po chwili.

– Może pójdziemy do drogi i złapiemy dorożkę?

– Nie, chodzi tylko o konia – wysapała.

– Czy wiesz, że duńskie sagi mówią, iż „Stary Eryk” i czarownica ujawniają się dzisiejszej nocy, w dniu św. Jana? Że podróżują na miotle w odległe zakątki. Na górę Bloksberg! I do Hålogalandu^[15]. I dlatego należy zostawić przed drzwiami gałązkę jarzębiny, żeby nas chroniła, kiedy przejeżdżają obok?

– Jeśli nawet, to już za późno, bo zaczyna zapadać zmrok! – zaśmiała się miękko.

– Mówi się, że jeśli chcesz dowiedzieć się, jak wygląda taki korowód do Hekkenfeldtu, góry Bloksberg czy Norwegii, trzeba usiąść o północy na skrzyżowaniu dróg. Pod broną z wyszczerzonymi zębami. Wtedy być może uda się zauważyć tego lub owego ze swoich znajomych, przelatujących na miotle w przekonaniu, że są niewidzialni. To w ten sposób można dostrzec czarownicę... i doznać zaskoczenia, kim jest.

Odsunęła kapelusz w tył głowy, zwracając ku mnie twarz. Jej ciało pływało w zieleni, a kołyszące się korony drzew obsypywały ją złotymi monetami. Padały raz na twarz, raz na ramiona.

Podszedłem bliżej, dotykając lekko jej ramienia. Żeby zobaczyć, czy jest prawdziwa.

– Czy sądzisz, że czarownice są złe? – zapytała.

– Dlaczego o to pytasz?

– Bo wydaje mi się, że o tym myślałeś.

Mogłem spróbować odwrócić to, pochylając się nad nią i mówiąc coś miłego. Ale pachniała kosztownie i obco. Ten mężczyzna, który projektował i budował domy? Czy to on kupił jej drogie perfumy? Dlaczego nie zapytałem?

Nagle przytuliła głowę do mojej piersi, mówiąc:

– Nie myśl, że jestem zła, Beniaminie!

Kłęczałem, trzymając ją mocno.

– Nie – szepnąłem.

Niebo pociemniało. Pomiedzy pniami drzew ostatnie promienie słońca migotały niczym szklane słupy. Odcienie zieleni przechodziły w brąz i delikatny błękit. Pozwoliłem, aby mnie to wciągnęło. Gdzie nic nie było rzeczywiste lub nie. Gdzie tylko się istniało. W spokój.

*

Znaleźliśmy namiot, w którym serwowano jedzenie i napoje. Świętowanie już się rozpoczęło. Ludzie napływali grupami. Całe rodziny. Tłumy młodzieży. Studenci z narzeczonymi, idący w objęciach. A koszyki brzęczały.

Nie zawsze się wie, dlaczego człowiek coś mówi lub robi. Zacząłem opowiadać o pismach Kierkegaarda. O ofierze Abrahama. Choć trochę o tym, co zaprzętało moje myśli. Pozwoliła mi mówić. Nie wiem, czy coś z tego do niej docierało. Ale od czasu do czasu kiwała głową. Raz uśmiechnęła się sama do siebie. Wtedy, gdy oskarżałem Abrahama o to, że zawiódł Izaaka, nie mówiąc mu, że zostanie ofiarowany.

– Ofiary niczemu nie służą. Człowiek jest taki, że nie potrafi nic ofiarować, nie mając czegoś w zamian. Abraham chciał zyskać względy u Boga. Nie był w niczym gorszy od innych. Tylko jego ofiara miała być bardziej znacząca, żeby Bóg zwrócił na niego uwagę.

– Dino, to nie jest takie proste. Tu chodzi o wiarę!

Spojrzała na mnie i uśmiechnęła się ponownie.

– Jesteś czytany – powiedziała.

– Czyżbyś nie słyszała o Kierkegaardzie?

– Być może słyszałam. Ale zapewne o tym zapomniałam. Ale opowieści z Biblii nie da się zapomnieć.

Mogłem może mimo wszystko spróbować podzielić się z nią moimi myślami. Tak aby kiedyś, już po wszystkim, móc powiedzieć: my, moja matka i ja, siedzieliśmy na wzgórzu Dyrehavsbakken, jedząc zupełnie cebulową i dyskutując o Kierkegaardzie i ofierze Abrahama!

Usiłowałem przypomnieć sobie dokładnie słowa Kierkegaarda. Ale pamiętałem tylko te o paradoksie wiary. Wypowiedziałem je, patrząc w punkt pomiędzy jej oczami:

– „Jak wielkim paradoksem jest wiara; paradoks ten pozwala z morderstwa uczynić święty i miły Bogu czyn, paradoks ten powrócił Abrahamowi Izaaka i nie daje się ogarnąć myślą, ponieważ wiara właśnie tam się zaczyna, gdzie myślenie się kończy”^[16].

W czasie, gdy urywanym głosem wypowiadałem te słowa, siedziała z dłońmi splecionymi na kolanach i z zamkniętymi oczami.

Kiedy skończyłem, powiedziała, nie otwierając oczu:

– Nie dostałam go z powrotem. Być może nie wierzyłam dostatecznie mocno? Albo może myśl o tobie, Beniaminie, była tak silna, że wiara zniknęła... Myśl o tym, że w zasadzie to ty zostałeś ofiarą.

Wypowiedziałem słowo: morderstwo. A ona wszystko zrozumiała.

– Morderstwo? Co to jest? Czy wojna nie jest morderstwem? Ofiara nie jest morderstwem? Czym wobec tego jest morderstwo? – zapytałem.

– Zawsze zależy to będzie od tego, kto ocenia. Wszystko, co zrobiłam, stało się wyrokiem wydanym na ciebie. Nie tak powinno się dziać.

Przyroda wokół nas była gotowa.

Po zachodzie słońca poszliśmy spacerem do źródła Kirsten Pils Kilde. Dawnego źródła bogów. Miał tam być festyn, przemowy, tańce i śpiewy. Podanie głosiło, że kubek wody źródlanej leczył ciało i duszę.

Na pagórku młodzież rozpalala właśnie ognisko.

– Zapalają ogień, żeby trzymać czarownicę z daleka – rzekła Dina.

Żałowałem, że użyłem słowa „czarownica”. Ale teraz, tak czy owak, było za późno.

Kiedy podeszliśmy bliżej, rozpoznałem kilku studentów z Regensen wraz z narzeczonymi i przyjaciółmi. Przywiązali do pala smołowaną beczkę. Przy wielkiej wrzawie podpalili ją, a ogień lizał

kije i wiązki słomy wyprostowane ku niebu. Po chwili zawtórowały im płomienie innych ognisk w oddali.

Myślałem o tym. Że mogę spotkać znajomych. Razem z Diną. Być może byłem aż tak dziecinny, że nawet tego chciałem. Ze wszystkimi pytaniami, jakie by temu towarzyszyły.

Grupa dziewcząt chwyciła się za ręce i tańczyła dookoła, śpiewając. Po pewnym czasie rozpoznałem tekst Oehlenschlägera:

Wśród cieni błędzimy
wśród zielonych traw,
tam kwiat już widzimy,
kwiecie, ty nas zbaw.
Płateczki złociste
tak jasne i czyste,
łodyżki zielone,
przez źdźbła traw chronione
W szparze pod powałą
roślinkę zmieścimy
co z nią będzie całą
Szybko zobaczymy.
Długo jest zielona,
zło nas nie pokona.
Zwiędnie w kilka dni,
Umrzemy i my.

Kto tu nie przybiegnie
radosny jak dziecię,
w te miesiące letnie,
gdy złoci się kwiecie.
Tam, wśród krzyży cieni,
tam, w święconej ziemi
Odnajdzie posłanie.
I wszystko ustanie!
Złoty kwiat zerwiemy
kwiecie, ty nas zbaw!
pośród leśnych cieni,
wśród zielonych traw
Płateczki złociste

tak jasne i czyste

łodyżki zielone

Przez źdźbła traw chronione.

Po obu stronach drogi ustawiono jarmarczne kramy. Jako przeciwwaga dla natury, melancholii i pieśni. Dwóch pijanych mężczyzn kręciło się dookoła, prowadząc ożywioną dyskusję z przechodzącym kotlarzem. Kotlarz szybko się poddał i z ogłuszającym brzękiem potoczył się dalej, ciągnąc za sobą wózek pełen miedzianych sprzętów i różnych innych przedmiotów.

W jednym z namiotów stała młoda, bosa dziewczyna i sprzedawała garnce, dzbanki i talerze. Zadowolonym, jasnym głosem wykrzykiwała, że jej dzbany są najlepsze do nabierania wody ze źródła.

Wiele wskazywało na to, że to raczej odsłonięte kostki oraz świeża twarz dziewczyny przyciągały kupców niż wizja życiodajnej, źródlanej wody. Mężczyźni tłoczyli się przed jej straganem. Wraz ze mną.

Później przyniosłem wody i obmyłem nią ręce Diny i własne. Następnie rzuciłem garnuszkiem z całej siły o kamienie, jak kazało podanie.

Interes dziewczyny szedł znakomicie. Podobnie jak w kramiku „osiem-szylingów-za-wszystko”, gdzie ludzie kupowali drobne upominki dla tych, co pozostali w domu, albo dla chwilowej narzeczonej, znalezionej na ten jeden wieczór.

Na podeście kilku muzykantów zaczęło zagrzewać do tańca. Ludzie z koszami piknikowymi rozsiadali się wokół. Niektórzy

starannie rozścielali białe obrusy i koce. Inni sadowili się, gdzie popadło. Studenci oraz młode dziewczęta siadali w przyzwoitej bliskości w kręgach wokół koszy, butelek i kieliszków.

*

Właśnie powiedziałem Dinie, że chcę kupić butelkę wina, kiedy jakaś postać uniosła się i podążyła w naszym kierunku. Śmiech i głosy zamarły w moich uszach.

Anna! Unosiła się przede mną we mgle. Kiedy zauważyła, że nie jestem sam, zatrzymała się.

Cieszyłem się z zapadającego zmroku. I zrozumiałem, że nie mogę tak po prostu pozwolić Annie stać tam, na ścieżce. Pociągnąłem Dinę za sobą w jej kierunku i powiedziałem:

– Dino, to jest Anna. Anno, to moja matka, Dina.

Jeśli nawet Dina była zaskoczona, dobrze to ukrywała.

Automatycznie przeszedłem na duński. To również jej nie dziwiło.

Podaly sobie ręce. Anna wpatrywała się w Dinę. To działało się naprawdę! – A więc to ty jesteś Anna! A więc to ty jesteś Anną Beniamina!

Nigdy chyba nie dopuściłem myśli, że taka scena może kiedykolwiek mieć miejsce. Wszystko zmieniło się w totalny absurd, kiedy z podium tuż przed nami dobiegł głos Aksela. Właśnie kończył przemowę z okazji świętego Jana:

– W tę jasną, letnią noc, kiedy siły przyrody osiągają największą moc, błogosławimy nigdy nieprzemijające, życiodajne żywioły, które zawsze oczyszczają, bezustannie dając młodość i nowe życie: Ogień

i wodę. Ogień i wodę!

Nie tylko ja się przysłuchiwałem. Dina była jak strzygące uszami zwierzę. Duża, jasna głowa Aksela oświetlona pochodnią. Niczym łeb dzikiego fauna. Który właśnie wyszedł ze spowitych ciemnością nocy lasów. Nie troszcząc się o to, że Aksel jest mój, pożerała go wzrokiem. Widziałem to po niej. I jednocześnie nie chciałem widzieć.

Salwy oklasków i okrzyki uznania dla przemowy Aksela przyćmiły w dużym stopniu spotkanie Anny i Diny.

A ja? Byłem owadem. Insektem w pokoju Aksela w Valkendorfie. Owadem na ciele Anny. Albo w piórach przy kapeluszu Diny.

Ostatnie dni wyślizgnęły się z rzeczywistości. Mogłem wyciągnąć dłoń i pochwycić puste powietrze. Dina zniknęła. Tak jak zawsze.

Ktoś przebiegł obok z płonąca pochodnią. Oświetliła nas wszystkich. Jaskrawa złota poświata przemknęła przez twarz Anny.

– Benjamin nie wspomniał ani słowem, że spodziewa się wizyty swojej matki – powiedziała.

– Nie, bo nie zawiadamiałam o tym – odparła Dina.

Człowiek mógł stać tam bez słowa. I śledzić uważnie ich ruchy w momencie, kiedy długa sylwetka Aksela zeskoczyła z podium i ruszyła w naszym kierunku. Jego zbliżający się cień wieszczył tyle samo dobrego, co rozprawa sądowa.

Przygotowałem się na to, że ta chwila pozostawi trwały ślad w

moim życiu. W starości, o ile jej dożyję, oderwane fragmenty słów Anny, Diny i Aksela będą powracały jak echo: „Teraz się znamy”... „A więc to ty jesteś Anną Beniamina”... „ogień i woda”...

*

Potem wszystko potoczyło się tak szybko.

Aksel, który ujął obie dłonie Diny i pochylił się przed nią ze śmiesznym unizieniem. Patetyczny gest, jakby wycięty z turnieju rycerskiego.

Na początku pochłonięty byłem wyłącznie wybadaniem tego, czy Anna powiedziała. O nas. Ale nawet jeśli to zrobiła, to grał umiejętnie, czekając na okazję, aby posiekać mnie na drobne kawałki.

Kiedy szliśmy w pewnej odległości za Anną i Diną, szepnął jednak:

– Pomyśl, że tak po prostu przyjechała! Słowa nie opiszą, jaką ty masz matkę! Jedziemy z nią do Berlina!

Ciągle jeszcze nie mogłem jednak być pewien, że nie wie o Annie i o mnie. Doznałem uczucia, że oboje, Anna i on, zawarli umowę: zemścić się, demaskując mnie! W obecności Diny.

W ten sposób wszystko zostało zniweczone. Dina nagle stała się kobietą, która wkroczyła jako świadek Aksela. Zmieniła się w osobę kluczową.

[15] Hålogaland – historyczna nazwa północnej części Norwegii.

[16] Søren Kierkegaard, *Bojaźń i drżenie*, s. 66.

Rozdział dwudziesty trzeci

Wieczór przeobraził się w makabryczny bal maskowy. Wypełniony śpiewem i dyskusjami.

Dina dyskutująca o nikczemności Bismarcka z moimi duńskimi przyjaciółmi ze studiów! Z dojrzałą dekadencją. Opowiadająca o krótkich epizodach depresji i szaleństwa w Paryżu, zanim Napoleon III został pojmany w niewolę.

Przypomniałem sobie, że ze mną nie chciała rozmawiać o tych sprawach. Wygłosiła tylko kilka dowcipnych rymowanek o pruskich dowódcach. Po niemiecku! Siedzieliśmy w kręgu wokół koszy i butelek. Jeden z kolegów miał na imię Jens i skończył studia razem ze mną i Akselem. Był raczej przyjacielem Aksela niż moim i mieszkał w Valkendorfie. Miał skłonność do popadania w zadumę. Od czasu do czasu gubił wątek. Jednak w dysputach zawodowych, kiedy zmuszony był mówić, nie miał sobie równych.

Claus Clausen pochodził z rodziny kupców, pozornie beztroski, dysponował najlepszym barytonem na uniwersytecie. Miałem wrażenie, że dzisiejszego wieczoru przyszedł jako kawaler Sophie.

Anna niewiele się odzywała. Nie wiem, jak zdołałem tego dokonać, ale siedziała pomiędzy mną a Sophie. Czyżby nosiła maskę nieco zaniedbanej narzeczonej Aksela? Niekiedy pochylała się ku siostrze, mówiąc coś, czego nie byłem w stanie usłyszeć.

Pochodnia oświetlała jej prawą kostkę. Pomyślałem, że zapewne spróbuje obciągnąć spódnicę. Ale nie zrobiła tego. Wręcz przeciwnie. Raz wygięła ciało na tyle mocno w stronę Sophie, że

brzeg spódnicy zatrzymał się powyżej łydki.

Maski Aksela nie widziałem nigdy wcześniej. Była jak półmisek pełen miodu, mający przyciągnąć Dinę.

Pomiędzy jasnowłosym stworzeniem, które nazywali Janną, a Clausem siedział wysoki student prawa o ciemnych włosach i żywych oczach. Otto. Miał imponujące, zważywszy na jego wiek, wąsy. Jako jeden z wielu, więcej się afiszował, niż studiował. Można było spokojnie wrzucić na jego widok ramionami. Miał jednak ten nieco gruboskórny, pozornie naiwny styl bycia, który często wywołuje w ludziach wrażenie, że to tylko niegroźny konformista.

Właśnie osiągnął stan zbliżony do ekstazy z powodu satyrycznych wypowiedzi Diny. I chciał, aby powtórzyła słowa o Bismarcku, spędzającym nocę na odczuwaniu nienawiści, a zatem – w domyśle – będącym słabym kochankiem.

Dina stwierdziła z uśmiechem, że już dosyć. Wtedy Otto zaczął opowiadać o skandalicznej miłości Georga Brandesa do o wiele starszej Caroline David. Ten temat wzbudził powszechne zainteresowanie. Sprowadzał się do znanej każdemu historii o kobiecie porzucającej męża i dzieci, która przybyła na obronę dysertacji Brandesa „Estetyka francuska w naszych czasach”. Brzmiało to tak, jakby dokonała tego wszystkiego w jedno popołudnie, kiedy inni ucinali sobie drzemkę.

Anna przerwała mu ze złością:

– Przestań! Brandes podarował nam książkę Milla *Poddaństwo kobiet*. Bez jego tłumaczenia nigdy nie dowiedziałabym się, że istnieje! A teraz nawet powstaje już tu, w Kopenhadze,

stowarzyszenie kobiet. Czy słyszeliście o tym?

– Dlatego nie musimy akceptować, że żyje w niemoralnym związku ze starą kobietą! I że przemawia na zgromadzeniach, zachęcając do samobójstw i cudzołóstwa! Wstyd! – rzekła słodka Janna, kładąc dłoń na ramieniu Ottona. Była córką jednego ze znanych w mieście cukierników i przypominała kawałek ciasta. Z ozdobami i polewą na całej swojej marcepanowej powierzchni.

Przez chwilę dyskusja skupiła się na tym, jakie wymagania etyczne ma się prawo stawiać znanym mężczyznom. Tym, którzy powinni stanowić dla nas wszystkich przykład. Janna była surowa i stwierdziła, że wobec takich mężczyzn należy stosować surowsze normy niż wobec zwykłych śmiertelników. Claus utrzymywał, że to typowe babskie gadanie. Ciasto obraziło się, mówiąc, że to nie ona wywołała ten temat.

Sophie zaczęła jej bronić, stwierdzając, że Claus powinien odróżniać babskie gadanie od dyskusji akademickiej, ale że wszystkim wiadomo, iż studenci więcej piją i śpiewają, niż dyskutują.

Rzeczowość sięgnęła zenitu, kiedy jeden ze studentów wybuchnął:

– Ale przecież nie trzeba wszystkiego robić tak cholernie ostentacyjnie jak ten Brandes!

Podczas całego tego przedstawienia Dina siedziała, przyglądając się kolejno każdemu, kto zabierał głos. Takim samym spojrzeniem, jakim studiowała przedmioty na straganach. W końcu powiedziała:

– Ach tak. Zameężna pani przyszła posłuchać, jak młody geniusz, Georg Brandes, dysputuje o estetyce francuskiej. Czy pani ta

siedziała w samej bieliźnie?

– Ależ skąd! – powiedziała wzburzona Janna.

– Muszę przyznać, że tutaj w Kopenhadze dyskutujecie o naprawdę wielkich sprawach! Uważajcie, bo pan Brandes będzie miał tego dosyć i przeniesie się... do Berlina!

Zapadła kłopotliwa cisza. A Sophie zaczęła gorączkowo rozprawiać o tańcu.

Zauważyłem wzrok Aksela spoczywający na Dinie. Chociaż nie byłem w stanie tego znieść, przyglądałem się. To było jak skradanie się do letniej obory w mroczne jesienne wieczory. Albo podglądanie służby w stodole po zwiezieniu siana. Zauważył, że na niego patrzę. A potem poprosił Annę do tańca.

*

Zobaczyłem ich pod latarniami. Pasowali do siebie. Ale ona była moja! W Valkendorfie. Tylko moja.

Warstwy spódnic. Kostki z wyszywanym błękitnym kwiatem na pończosze. Brzeg pończochy. Oddech. Zapach. Siedziałem w trawie, myśląc o tym wszystkim. Ta siła. Ta tęsknota. Za wejściem w głąb niej. Do środka.

Kiedy wrócili, widziałem, że nie wszystko jest między nimi jak należy. Nie zdołałem powściągnąć eksplodującej we mnie haniebnej radości, zerwałem się tylko na równe nogi i poprosiłem ją do tańca.

Po zakończonym tańcu była zdyszana. Ale zachowała maskę. Beztroski i nieświadomości.

– Powinnam była zabrać karnet balowy – rzekła donośnym, sztucznym głosem.

Ale poszła ze mną. Minęliśmy miotające iskry ognisko na wzgórzu. Dwóch mężczyzn pilnowało go, chodząc dookoła z wiadrami w rękach. Śmiech i okrzyki wydawane przez ciała poruszające się w ciemnościach mieszały się z muzyką i trzaskiem ognia.

Płynąłem wraz z nią. Wszystko mogło się zdarzyć! Człowiek dopuszczał myśl, że jutro nie istnieje. Tylko dzisiejsza noc. Świętojańska.

Staralem się, abyśmy byli jak najmniej widoczni dla Aksela i pozostałych. Jej ciało pachniało. A może to był bez?

Mogłem tańczyć z Anną w koło, a siła żyła w tym czasie własnym życiem. Rozchodziła się po ciele. Wypełniała głowę. Łędwie. Moje ramiona przeżyły się wokół niej. Była jak aksamit. Nie byłem w stanie ukryć, że mój członek twardnieje tuż przy jej ciele. Nie odsunęła się.

Wymawiałem jej imię. Raz za razem. Nic innego nie przychodziło mi do głowy.

Wokół nas ludzie nosili swoje maski radości. Wydawali dźwięki. Śmiali się. Chichotali. Flirtowali. Lampiony kołysały się na wietrze. Ognisko słało iskry i dym w stronę bezbarwnego nieba. Muzyka łączyła ludzi. Byli niczym węże oplatające się nawzajem. Tulili się do siebie i odpychali.

Już byłem w Annie. Zrozumiała to. Zatrzymała się i zgubiła krok. Nie byłem zdolny się wstydzić. Pragnąłem jej. Anna! Niech stanie się moja! Ze swoją odsłoniętą, złocistą twarzą.

– Powiedz to! To, co powiedziałeś w Valkendorfie – wyszeptała.

Nie od razu zrozumiałem. Zapomniałem. Czułem jedynie siłę,

przyćmiewającą wszystko inne. Miała tylko jeden cel. Chciałem odciągnąć ją od pozostałych. W las. Schować się w niej. W środku. Natychmiast.

– Powiedz te piękne rzeczy, które mówiłeś wcześniej! – szepnęła zdyszana.

Słyszałem w jej głosie oczekiwanie. Wśród tych wszystkich falujących, węzowych ciał.

Wtedy zauważyłem Aksela i Dinę tańczących razem. To była noc czarownic i demonów. Jej moc sięgała aż do piekła. I była zielona. Uragajaco zielona.

Włosy Diny rozsypały się pod kapeluszem. Spódnice wirowały. Ramię Aksela obejmowało ją w pasie. Odrzuciła głowę ze śmiechem do tyłu. Śmiała się do Aksela!

Nagła fala wspomnień przyniosła obrazy widziane już wcześniej. Kiedy? Wiele istnień temu? Przed życiem Rosjanina? Moim?

Nie mogłem tego znieść. To było zbyt okropne. Sam zrobiłem z tego ohydę. Ale to nie miało znaczenia. Zacząłem czuć nienawiść. Do wszystkich i wszystkiego. Diny. Aksela. Stali na mojej drodze. Niezbędni. Ale przeszkadzali.

– Powiedz te piękne słowa, które mówiłeś mi w Valkendorfie! – poprosiła ponownie Anna.

Jej uścisk trzymał mnie przy ziemi. Mój mózg był niczym wydrążony pień drzewa. Nie byłem zdolny przypomnieć sobie słów Salomonowej Pieśni nad Pieśniami. Chciała ode mnie słów. Czyż nie mogłem jej dać tych kilku wyrazów? Czekwała. Wpatrywała się we mnie. Ale nie potrafiłem. Stałem tam tylko, przyciskając ją

mocno do siebie. Blisko, jak najbliżej.

Wtedy odwróciła twarz. Jakby to ona musiała znieść wstyd z powodu mojego twardego jak kamień członka.

Próbowałem pociągnąć ją za sobą przez tłum ludzi. Nie do innych. Nie do tej idiotycznej grupy studentów. Do ich pieśni. Kieliszków. Pustki.

– Chodźmy gdzieś, gdzie będziemy sami – powiedziałem bez tchu.

– Nie – odrzekła krótko.

Mogłem przecież wypowiedzieć jakoś całe te słowa. Zamiast tego ująłem ją pod ramię i poprowadziłem przez gromadę ludzi.

Nie wiem, skąd przyszła. Ale nagle stała się obecna. Zimna wściekłość.

– Masz innych w karnecie balowym oprócz Aksela i mnie? – warknąłem.

Zatrzymała się w zdumieniu.

– Dlaczego jesteś taki bezwstydnym? – zapytała.

– Nie miałem zamiaru tutaj być – rzekłem.

– Ja też nie!

– Chodźmy między drzewa... tam... ścieżką!

– Nie bądź głupi! – rzekła, ciągnąc mnie za sobą i oglądając się do tyłu przez ramię.

Pewnie rozglądała się za Diną i Akselem?

Zobaczyłem samego siebie, unoszącego się wśród iskier i

kopącego dymu nad ogniskiem. Rozczarowanie. Wstyd.

– Przepraszam! – usłyszałem własny głos.

W chwili, kiedy mijał nas cały pochód ludzi w stukających drewniakach, zatrzymaliśmy się. Kiedy ruszyliśmy ponownie, obejrzała się, mówiąc:

– Ona jest piękna. Twoja matka.

Wziąłem się w garść.

– Tak.

– Chyba podoba się Akselowi – rzekła, odwracając się ponownie.

– Tak.

Kiedy prawie już dotarliśmy do pozostałych, rzekła:

– Nie zapytasz mnie, czy mnie się spodobała?

– A spodobała ci się?

– Tak, ale ty wszystko psujesz.

– W jaki sposób?

– Jesteś taki zły. Tak jakbyś nie mógł pozwolić na to, żeby komuś podobała się twoja matka. Tak jakbyś nikomu na nic nie chciał pozwolić.

Cóż można było na to odpowiedzieć?

Kiedy usiedliśmy pod lampionami wspólnie z innymi, starałem się załagodzić złe wrażenie. Otuliłem szalem jej ramiona. Ale ściągnęła go niecierpliwym ruchem. Nie widziałem jej twarzy.

Cała wieczność minęła, zanim Dina z Akselem powrócili do towarzystwa. A kiedy nadeszli, otaczała ich mgielka radosnej

poufałości.

Nagle usłyszałem mój własny, triumfujący głos:

– Właśnie o tym rozmawialiśmy, Anna i ja!

Chyba usłyszałem, że to źle zabrzmiało. Ale tyle razy zabawialiśmy się z Akselem w męskie gierki. Byliśmy przyjaciółmi. Starymi przyjaciółmi. Szczególnie w noc świętojańską! Chciałem to pokazać!

– Rozmawialiśmy właśnie tutaj z Anną – podjąłem już nieco spokojniej – że przyjedziecie na Północ w sierpniu. Do Reinsnes!

Dina siedziała wsparta na ramieniu Aksela. Jej spódnice płynęły dookoła.

Nie patrzyłem na Annę.

– To będzie zapewne wspaniała podróż poślubna! – rzekła słodka Janna.

– Kto z kim będzie się tutaj żenił? Dla mnie to trochę niejasne – wyrwało się ironicznie Clausowi.

Aksel puścił całkowicie mimo uszu tę obrazę i rzekł zwrócony do mnie:

– Znakomicie, ale skoro tak, to musisz przekonać Dinę Grønely, aby również tam była!

Gdzieś w tle tego spokojnego głosu czaiło się drżenie. Czyżbyśmy w końcu się rozumieli?

– Pojadę pierwszy i przygotuję mój dom – powiedziałem tak lekko, jak potrafiłem.

– Nie, tym niech się zajmą inni. Chcemy, żebyś towarzyszył

nam w podróży! Prawda, Anno?

Ale Anna nie odpowiedziała. Wstała. W chwilę później zniknęła między drzewami. Cisza, jaka po niej została, zatkała wszystkie pory mojego ciała. Członek stał się małym psem przy nodze.

Spódnice Diny zaszeleściły. Wstając również, powiedziała cicho, ale wyraźnie:

– Zrobiło się późno. Dziękuję za dzisiejszy wieczór!

Pochyliła się w stronę Aksela, mówiąc coś, czego nie mogłem usłyszeć. Zerwał się błyskawicznie. Zmusiłem się do krzywego uśmiechu.

Wtedy położyła dłoń na moim ramieniu.

– Idź za Anną. Zadbaj, żeby dotarła bezpiecznie do domu. To ważne, prawda?

Podniosłem się, zaskoczony. Ale ona już zniknęła z Akselem. Zapomniałem, jak zdecydowanie potrafi przeprowadzać swoją wolę.

Przyjemny nastrój prysł. Każdy myślał sobie swoje. Anna uciekła. Od czego? Janna i Sophie zaczęły zbierać kieliszki i resztki jedzenia do koszyków. Sophie w złowieszczym milczeniu, a Janna paplając nerwowo. Pozostali starali się rozmawiać o zwykłych sprawach. Otto wysilił się na dowcip o nocy czarownic.

Czułem się, jakbym miał gorączkę. Ruszyłem niepewnie, żeby poszukać Anny. Po pół godzinie poddałem się i wróciłem do pozostałych. Ciągle jeszcze nie wróciła.

Sophie została sama, trzymając jeden z koszyków. Reszta poszła zawołać dorożkę. Wyrzekała na wszystkich mężczyzn, a w szczególności na Aksela i na mnie. Aksel przysięgał na honor, że

odwiezie je bezpiecznie do domu przed północą. Teraz było już dawno po dwunastej! Aksel i Anna odpłynęli każde w swoim kierunku. A ona została sama z całym tym bałaganem.

Wziąłem od niej koszyk, ujmując ją pod ramię drugą ręką. Odpowiedziała, grożąc mi parasolką, a potem się rozplakała.

Pozwoliłem, żeby na mnie skupiła się jej złość.

*

Znaleźliśmy Annę przy źródle. Skamieniałą postać w jasnym odzieniu. Współczesnego ducha. Nie płakała, ale patrzyła na nas tak, jakbyśmy byli wrogami.

Sophie błagała, żeby z nami poszła. Ja błagałem, żeby z nami poszła.

– Znajdę dorożkę – powiedziałem, zastanawiając się jednocześnie, czy mam czym zapłacić fiakrowi.

Anna potrząsnęła głową, czyniąc ustami taki ruch, jakby chciała mnie opluć. Wstyd wypełniał mi całe ciało. Ale głowa pracowała.

– Pozwolisz nam zostać na chwilę sam na sam? – szepnąłem do Sophie.

Wycofała się nieco na bok. Ale nie dalej niż do miejsca, skąd mogła słyszeć każde wypowiedziane słowo.

– Nie możesz mnie obwiniać za to, co mówi i robi Aksel – powiedziałem najspokojniej, jak potrafiłem.

Nie odpowiedziała. Stała tylko, tupiąc stopą.

– Przykro mi, że to powiedziałem... iż rozmawiałem z tobą o podróży do Reinsnes.

– Jesteś potworem! – warknęła.

– Ależ...

– Nie masz za grosz wstydu! Nigdy więcej nie chcę cię widzieć! Żadnego z was! Powiem wam, kim jesteście. Aksel i ty. Jesteście pasożytami! Żyjecie z kompromitowania kobiet. Pożeracie nas ze skórą i włosami, a resztki wyrzucacie do rynsztoka! Nie ma dla was żadnych świętości i niczego nie traktujecie poważnie. Żeby was kiedyś za to wszystko porządnie pokarało!

– Anno. Proszę o przebaczenie. Zawiozę cię teraz do domu. I więcej nie musisz mnie oglądać.

– Tak, tak, chodźmy – dodała błagalnie zrozpaczona Sophie, wychodząc z zarośli.

Gdyby nie moje zdenerwowanie, mógłbym zaśmiać się z tej kompletnie idiotycznej sceny. Sceny Aksela? Jego zemsty na myśl, że przegrał? A może mojej? Bo to ja przegrałem?

*

Dorożka, podskakując, toczyła się przez noc. Pod ciemnymi drzewami. Od czasu do czasu słyszałem morze. Piana gdzieś tam w mroku lizała brzeg. Niebo było pełne gwiazd.

Wyobrażałem sobie, jak jedzie z nim na górę Bloksberg! Zabrała Aksela do Bloksbergu!

Siedziałem zesłany na miejsce obok woźnicy. Dlaczego wypaliłem z tym idiotycznym kłamstwem?

Odwróciłem się do Anny. Przez hałas kół i kopyt, nie troszcząc się o to, że słyszą mnie fiakier i Sophie, wykrzyknąłem:

– Czy to na mnie jesteś zła? Czy na Aksela? Powiedz, proszę! Co się stało, Anno?

Panowało kłopotliwe milczenie. Nigdy więcej nie odezwie się do mnie, pomyślałem. Wskoczy z dorożki i wejdzie do domu przy Store Kongensgade. I zniknie, zniknie! Nadal siedziałem zwrócony w stronę tylnego siedzenia.

– Powiem ci, co jest nie tak, kandydacie Grønelv! – usłyszałem z mroku. – Powiem ci, chociaż jest za późno! Jesteś tak tchórzliwy, że nie masz odwagi przyznać, że mnie kochasz. Rzucacie o mnie monetą i każdy na zmianę wygrywa! To piękna historia, kandydacie Grønelv! Bóg nam świadkiem, że to piękna historia! Wynoś się tam, gdzie twoje miejsce. Niech cię więcej nie oglądam! Bo wstydzę się tego, co czuję do ciebie!

– Nikt tak się nie zachowuje, Anno! – łkała Sophie.

Chciałem przeskoczyć przez kozła woźnicy i przycisnąć Annę do piersi. Chciałem ją przekonać, że się myli. Że wszystko będzie dobrze. Że będę kochał ją aż do śmierci. Niech tylko mi uwierzy. Ale nic nie powiedziałem. Bo miała rację.

Dotarliśmy do ulicy Store Kongensgade. Z okien salonu padało złowieszcze światło.

– Jeszcze nie śpią – powiedziała nerwowo Sophie.

– Wejdę z wami na górę i wyjaśnię, dlaczego jesteście tak późno – rzekłem.

– No nie, coś podobnego! – warknęła Anna.

Nie odpowiedziałem. Zapłaciłem woźnicy tyle, ile miałem. Poczzerwieniał ze złości, więc odwróciłem się szybko, żeby wnieść

koszyk na podwórze domu. Zbliżaliśmy się do jaskini lwa na pierwszym piętrze.

*

Profesor krążył dookoła w pikowanym szlafroku. W pierwszej chwili odezwał się z gwałtownością, ale po chwili się uspokoił. Wyjaśniłem najlepiej, jak potrafiłem, że Aksela zatrzymały niespodziewane sprawy. Że spóźniliśmy się, bo nigdzie nie było wolnej dorożki. Kiedy dał się przekonać, nie zadając pytania, na czym polegał kłopot Aksela, poprosiłem, abym mógł z nim porozmawiać. Sam na sam.

– Jest dosyć późno na rozmowy – rzekł. Ale zapalił lampę i wskazał paniom gestem, żeby wyszły.

Sophie przemknęła obok z bladym uśmiechem. Anna odwróciła się w jego stronę z protestem:

– On nie ma do powiedzenia niczego, czego nie mogłabym słyszeć!

– Anno! – rzekł krótko ojciec, wskazując drzwi.

Nie dostrzegła mnie. Poczułem tylko przelotne, ciepłe muśnięcie.

Profesor podszedł do barku, wyjął dwa małe kieliszki i je napełnił. Walczyłem z nagłym atakiem kaszlu. Próbowałem coś wykrztusić, ale nie potrafiłem.

– A więc? – zapytał. – Proszę wprost! O co chodzi?

Jeszcze raz zakaszlałem. Przełknąłem łyk wódki, odstawiając resztę.

– Aksel i ja jesteśmy rywalami. O Annę. To trudne dla Anny. Aksel i ja byliśmy przyjaciółmi przez całe studia. Wszystko staje się przez to nieznośne. Moja matka nagle tu przyjechała. Nie widziałem jej od wielu lat. To zawiła sytuacja. Ale nic mnie nie tłumaczy, zachowałem się parę razy głupio dzisiaj wieczoru. Anna jest zła.

– Na co takiego głupiego kandydat sobie pozwolił?

– Byłem nieuprzejmy dla Anny.

Przyglądał mi się tak, jak gdyby właśnie próbował postawić diagnozę, ale nie do końca potrafił podjąć decyzję.

– To pan przywiózł panie do domu...

– Och, tak. To była oczywista konieczność.

– A Aksel?

Cóż mogłem powiedzieć. Że pojechał do chaty rybackiej na odludziu razem z moją własną matką? Nie.

– Anna była na niego zła.

– Dlaczego?

– Chyba tak naprawdę była zła na mnie.

Nabił i zapalił fajkę. Kiedy wciągał dym, policzki zapadły mu się całkowicie.

– Czy ma pan poważne zamiary, młody medyku? Czy to dlatego pan tu przyszedł?

A więc padły te słowa. Mogłem domyślać się, że sprawy przybiorą taki obrót.

– Chyba nie ma to sensu – rzekłem.

– To dopiero jest nastawienie!

Gdybym powiedział, że uwiodłem Annę w łóżku Aksela, zapewne by mnie wyrzucił. Albo powiedziałyby, że teraz, do cholery, powinniśmy zadbać o to, aby się pobrać. Gdybym wspomniał o dziecku, to być może okazałyby nieco więcej zrozumienia, ale i tak by mnie wyrzucił.

Gdybym powiedział choć jedną z tych rzeczy, okazałbym odwagę.

Ale żadnej nie wyraziłem głośno.

A jednak wychyliliśmy kilka kieliszków. Profesor słuchał mnie uważnie. Byłem grzesznikiem. Ale profesor nie był pastorem, tylko chirurgiem. Nie wyrzekł ani jednego słowa potępienia.

Światło dzienne wdarło się do pokoju i obite czerwonym aksamitem meble stały się aż nadto widoczne. Widziałem wytarcia na nich w tych miejscach, gdzie ludzie siadali najczęściej. Fotel w rogu miał wyraźną tłustą smugę wzdłuż podłokietników. Nieco sfatygowany, przyjemny pokój o intelektualnym charakterze. Nie aż tak mieszczański, za jaki uznałem go podczas ostatniej wizyty.

– Co młody Grønelyw zamierza teraz zrobić? – rzekł w końcu. Jak gdyby potrzebował jeszcze jednego, drobnego szczegółu, żeby określić, co mi dolega.

– Chciałbym tylko, żeby pan profesor, jako najbliższy krewny Anny...

– Chce pan, abym się wstawił za panem?

– Nie, nie! To niemożliwe.

– To tu się zgadzamy. A więc?

– Jakiej rady może mi pan udzielić, profesorze? – zapytałem.

– Proszę pojechać do domu, do Norwegii. Dać Annie szansę zapomnieć. Jeśli wyjdzie za Aksela, będzie tak najlepiej dla wszystkich stron. Kobiety mają własne drogi. Anna odznacza się ponadto bardzo silną wolą. Już wypłakała sobie pół roku w Londynie. Ale jeśli ma pan poważne zamiary, proszę porozmawiać z Akselem! W życiu nie widziałem równie idiotycznego uwikłania. Jesteście przecież dorosłymi mężczyznami! Gotowymi iść w świat i czynić powinność lekarza – dodał, tłumiąc ziewnięcie.

– Czy profesor wierzy w miłość? – zapytałem.

Napotkałem jego wzrok. W oczach błyskał mu swego rodzaju uśmiech. Nie był nieprzyjazny. Przez chwilę obracał kieliszek w dłoniach, a potem usłyszałem:

– No cóż, miłość... Zakładam, że ma pan na myśli własne z nią doświadczenia... Nie wiem o panu aż tyle. To, że przyszedł pan tutaj porozmawiać ze mną, przemawia na pana korzyść, nawet jeśli wybrana chwila jest nieco nietypowa... Ale nie do mnie należy ocena, czy robi pan to z miłości. Nie wiem, czy ma pan długi. Czy jest pan zdolny utrzymać żonę. Nie wiem, czy Anna byłaby w stanie dobrze się poczuć w pana rodzinnych stronach, okrytych zimowym mrokiem. Ale... nie będę się sprzeciwiał, jeśli okaże się, że ona tego chce. Na pewno natomiast zaprotestuje jej matka. Jednak Anna... jest uparta. Bardzo uparta. To może być dla was sposób. Tyle na chwilę obecną wiem o miłości.

Uśmiechnął się, opróżniając kieliszek.

– Teraz musimy zadbać o trochę snu. Nie da się zbawić całego

świata w jedną noc – dodał, wyciągając do mnie rękę.

*

Wtedy Anna pojawiła się w drzwiach. Jej twarz, zazwyczaj złocista, teraz była poszarzała i ściągnięta. Oczy miała szeroko otwarte.

– Anno! Nie jesteś w łóżku? – zawołał profesor.

– Słyszałam każde słowo – odparła.

– Ach tak? Podśłuchuje się pod drzwiami? I co? – zapytał.

– Handlujecie tu moją przyszłością, jakbym była meblem.

– No już dobrze, dobrze – usłyszałem profesora.

– Nie pojedę na Północ. Ani w podróż, ani dla zamążpójścia! Jestem ponad męskie intrygi! Dziwaczne knowania. Czy to słyszycie! Nie chcę również wchodzić w pastorską rodzinę Aksela! Chcę wrócić do Londynu i zobaczyć coś innego niż to wszystko tutaj.

To była prawdziwa czarownica nocy świętojańskiej! Cała jej sylwetka jakby się rozplynęła. Elegancka, nienaganna suknia była pomięta. Włosy w nieładzie. Nagie stopy wystawały spod brzegu spódnicy. Koronki przy rękawach i dekolcie luźno zwisały. Zupełnie jakby wyszła z nocnej rosy lub z deszczu. Szczupłe palce były mocno zaciśnięte na silnych kciukach. Trzymała je przed sobą jak tarczę. Jej piersi były niczym ciężko pracujące miechy. Cofały się i powracały.

Nigdy nie widziałem jej równie pięknej.

– Daję wam dziesięć minut na uporządkowanie spraw. Potem

przyjdę pana wypuścić, młody człowieku – rzekł profesor, wychodząc z pokoju.

– Czy mogłabyś ze mną mimo wszystko pojechać? Anno? – poprosiłem, zanim zamknęły się drzwi.

Przyglądała mi się od góry do dołu. Przełknęła ślinę.

– Czy możesz dopuścić, że będziesz utrzymywała ze mną kontakt? Kiedy wyjadę?

– Nie wiem! Mam was dosyć. Obu. Nedorosłe szczeniaki!

Spróbowałem pochwycić jej rękę. Ale się wycofała. Wystawiła przed siebie dłoń wyprostowaną niczym tarczę.

– Nie potrafię ci wybaczyć tego, co zrobiłeś tej Karnie, nic mi o tym nie mówiąc – rzekła.

Usłyszałem, że absolutnie nie chce się rozplakać.

Czerwony aksamit oderwał się od mebli i wciskał mi do gardła. Dusząc się, poczułem śmiertelne zmęczenie. To już coś. Może nawet poczułem ulgę. Ulgę, że nie płakała, tylko była na mnie wściekła. Że nie trzymała się mnie kurczowo, mówiąc: Zabierz mnie!

W każdym razie, kiedy profesor wszedł do pokoju, podałem jej rękę w geście pełnym szacunku.

Kiedy prowadził mnie do drzwi, dotarło do mnie, że źle to wszystko zrozumiał. Powiedział:

– Chyba dostrzegałem to przez cały czas. Dokąd sprawy zmierzają. Od pana pierwszej wizyty tutaj. Miałem nadzieję, że Aksel i Anna będą razem. To byłoby tak bardzo na miejscu. Tak głęboko proste. Ale Anna jest taka... Nie będzie pan miał z nią

tylko przyjemnych dni, młody człowieku. Ma dość dumy za was oboje. Więc nie będzie się panu opłacało mieć własnej.

 Nie było żadnego powodu, żeby mu się przeciwstawić.

Rozdział dwudziesty czwarty

Nie wiem, co zdarzyło się w chacie rybackiej. Bo poszedłem prosto na ulicę Bredgade. Nawet po pewnym czasie zasnąłem. Aksel i Anna? Anna i ja. Aksel i Dina? Anna i ja?

Cóż mogłem zrobić? Byłem taki zmęczony. Jak bardzo można być zmęczonym? Tym, co człowiek sam sobie zgotował?

*

Minęły trzy dni i trzy noce. Zdobyłem dwie duże skrzynie, do których zamierzałem zapakować wszystkie swoje książki i nieliczne przedmioty. Stały w kącie przy drzwiach. Brązowe, solidne. Siedziałem na łóżku, paląc fajkę, a dzwony kościelne właśnie wybijały godzinę trzecią. Wtedy usłyszałem, jak Dina rozmawia z Madame Frederiksen gdzieś w głębi domu.

Potem stanęła w drzwiach. Promieniowała z niej siła. Czyste kolory. Miękkie ruchy. Jej zapachy wypełniły izbę. Ciężkie i lekkie jednocześnie. Sól i przyprawy. Zapach stajni ulotnił się gdzieś w Berlinie.

Wiedziałem, że nie mogę liczyć na to, iż uczyni moje życie łatwym.

Dni w chacie rybackiej również się skończyły. I czy w ogóle kiedykolwiek istniały? A może były tylko moim wyobrażeniem? Bo tak desperacko ich potrzebowałem?

– Przywiozłam tutaj twój worek i wiolonczelę. Poprosiłam woźnicę, żeby zostawił to na podwórzu – rzekła.

Skinąłem głowę.

– Jak poszło? – zapytała wprost.

– Z czym? – celowo mówiłem po duńsku.

– Z Anną?

– Nie najlepiej – odparłem.

– Ale znalazłeś ją i zawiozłeś do domu?

– Tak. A ty? Zawiozłaś Aksela do domu?

Podeszła tuż do mojego łóżka. Teraz odwróciła się na pięcie. Jakby sprawdzała płoty dookoła siebie. Naruszyłem jedną z jej granic.

Była dokładnie taka, jak wcześniej. Ale ja się zmieniłem. Nie byłem już chłopcem, którego mogła schwycić mocno za kark w chwilach, gdy ogarniała go wściekłość i rozczarowanie. Byłem wykształconym lekarzem, doktorem Benjaminem Grønelvem. Nie podlegałem jej woli!

– Nie, wręcz przeciwnie! – rzekła, odwracając się do mnie ponownie. Jej czyste jak szkło oczy rozsyłały wokół falujące kręgi. Trafiły mnie.

Milczałem. Ale napotkałem jej wzrok.

W ciszy, która zapadła, pomyślałem sobie, że teraz jej obraz na zawsze odciska we mnie swój ślad. Właśnie ta chwila. Cokolwiek się zdarzy, będę musiał go nieść.

Siedziała zupełnie spokojnie. Ustawiła głowę w takiej pozycji, jakby niosła na niej ciężki dzban z wodą. Ruch był raczej miękkim, pozbawionym napięcia, ale mówił: Nie próbuj mnie nagiąć!

Zwrócona była do mnie profilem. Jej nos nadawał twarzy nieulekły wyraz. Miękkie zagłębienie pomiędzy podbródkiem a dolną wargą stanowiło jego przeciwieństwo. Zanim odnalazła swą formę i została ostatecznie stworzona, ktoś położył tam palec i odcisnął go z całą swoją miłością. Zmarszczki przy ustach i między brwiami czyniły jej rysy bardziej miękkimi, niż kiedykolwiek pamiętałem. Tylko co tak naprawdę pamiętałem? Czy miałem jakiś klarowny jej obraz?

– Porozmawiałeś? Z Anną?

Potrząsnąłem głową.

– Jechałem razem z Sophie i Anną. Tak. Siedzieliśmy w jednej dorożce. Anna miała do mnie pretensje.

– Miała jakiś powód?

– Tak, chyba tak.

– Czy to jest coś, o czym chcesz porozmawiać?

– To, co powiedziałem, zanim uciekła, było kłamstwem. Że umówiliśmy się, iż ona i Aksel przyjadą do Reinsnes. Nie rozumiem, dlaczego ja...

– Ale chyba nie miała do ciebie pretensji tylko o tę sprawę?

– Nie.

Czekała, przyglądając mi się.

– Byłem tam przecież. Aksel natomiast nie... Nie zachowywał się do końca tak, jakby był zaręczony.

Można było oddać jej znów trochę pola. Wzruszyła ramionami.

– To prawda, trudno byłoby tak uznać. Ale to tylko stworzyło ci

okazję, prawda?

– To nie jest handel!

Przyjrzała mi się dokładnie. Od góry do dołu.

– Dla Anny nie. A dla ciebie? Dla Aksela?

– Nie rób z tego czegoś ohydneho.

– Ładne to nie jest! Jesteście siebie warci, ty i Aksel. A Anna stara się za wami nadażyć. To i owo mówi mi, że ona może okazać się lepszym kupcem niż którykolwiek z was...

– Dino! Nie wciągaj Anny w to bagno!

– Mylisz się, drogi Beniaminie, próbuję pokazać ci, że ona też w tym wszystkim istnieje. Jeśli zostanie wciągnięta w bagno, to zdaje mi się, że będziesz zmuszony zajrzeć uważnie w głąb siebie. To oczy, które patrzą, powinny ją oczyścić.

Rozejrzała się nagle po pokoju i zmieniła temat, jakby rozmowa właśnie została zakończona.

– Skrzynie? Pakujesz się?

– Tak.

– Ruszasz w podróż?

– Tak, wkrótce. A ty nie?

Nie odpowiedziała. Obeszła cały pokój dookoła, a potem usiadła przy stole obok okna. Za sprawą światła za jej głową twarz miała spowitą mrokiem.

– Rozumiem, że nie zamierzałeś poprosić, żeby Anna pojechała z tobą do Reinsnes?

– Zrobiłem to – odrzekłem.

– Co odpowiedziała?

– Nie dała żadnej odpowiedzi.

– Ale nie powiedziała nie.

– Nie...

– Obchodzi cię ona?

Skinąłem głową.

– Czy to poczucie honoru cię powstrzymuje? Kwestia Aksela?

– Nie, choć tak sądziłem... przez chwilę.

– Boisz się, że nie będzie jej tam dobrze? Że wyjedzie? Że będzie tam dla niej zbyt ciasno? Od dawna myślisz, że będzie tam zbyt ciasno również dla ciebie? Czyż nie? Zwlekasz...

Zmusiłem się, żeby spojrzeć jej w oczy. Ale nie miałem ochoty odpowiadać. A jednak wysyczałem przez zęby:

– Chyba nie jesteś właściwą osobą, żeby...

– Nie – przerwała szybko i zaczęła przeglądać książkę leżącą na wierzchu skrzyni. – Obawiasz się, że znów cię opuści?

Nie odpowiedziałem.

– Boisz się, że cię opuści?

– Tak! – rzekłem ze złością.

– Nie wiem, dlaczego to mówię... Chyba jeszcze sama tego do końca nie pojęłam... Ale dwóch rzeczy możemy być pewni. Jedna to śmierć. Druga, to że zostaniemy opuszczeni. W ten czy inny sposób. Opuszczeni.

Pomyślałem sobie: największą wadą ludzkiej inteligencji jest ślepe poleganie na wzroku – kompensowanie pustki i białych plam innymi zmysłami. W ten sposób zawsze dostrzegamy tylko jedną stronę świata. Zewnętrzną. W sprawach dużych i małych. A ponieważ jesteśmy tak bardzo przyzwyczajeni do korzystania z oczu, zapominamy o innych stronach. Niewiele wiedziałem o wnętrzu Diny.

Jednak odezwałem się w te słowa:

- Tak, cholernie opuszczeni!
- Co masz na myśli?
- Żeby tego uniknąć, wybrałaś rolę opuszczającego – odparłem.
- Może to tak wyglądać w twoich oczach.
- Czy ten wybór był dobry?
- Tylko ci, którzy dokonują wyboru, ryzykując, że będzie zły, naprawdę wybierają.
- A pozostali?
- Nie robią nic. A to, co dostają, nie należy do nich.

Nagle postawiłem wszystko na jedną kartę i zapytałem:

- Dlatego to zrobiłaś? Leo?

Usłyszałem, że coś próbuje powiedzieć. Czekałem. Żeby się przez to przedarła. Potrzebowała czasu.

- To właśnie było... opuszczenie – odrzekła powoli.
- I widziałaś, że to zły wybór – odparłem po chwili.

Nie odpowiedziała. Podniosła się i zaczęła krążyć po pokoju,

wykręcając sobie staw palca wskazującego. Słysząc było przykry chrzęst.

Zatrzymała się przy ścianie. Przez chwilę opierała na niej czoło. Potem odrzuciła głowę do tyłu, krzyząc:

– Tak, widziałam to! Widziałam!

Osunęła się wzdłuż ściany na podłogę i siedziała tam, obejmując ramionami kolana.

Mogłem podejść do niej. Usiąść przy niej. Ale była taka odległa. Nie byłbym w stanie do niej dotrzeć.

– Chodź tutaj, Beniaminie – dobiegł szept spod ściany – Chodź tutaj.

W końcu to powiedziała.

Obejmowała mnie. Długo.

– Aksel? – zapytałem.

Uśmiechnęła się lekko.

– Poradzi sobie!

– Odebrałaś go Annie – rzekłem.

Przyglądała mi się, jak gdyby oceniając, ile jestem w stanie wytrzymać. Potem odparła krótko:

– Tak.

– Ze względu na mnie? – zapytałem.

– Nie! Ze względu na siebie! – odrzekła ostro.

Ciągle jeszcze siedzieliśmy na podłodze. Zaczynałem odczuwać to w plecach.

– Dzisiaj wieczorem wyjeżdżam do Berlina – powiedziała.

Skinąłem głową. Mały ptak próbował usiąść na okiennicy. Jego ogon rzucał niespokojny, niecierpliwy cień ponad jej głową. Framuga okna lekko skrzypiała. Przechyliła twarz w stronę dźwięku. Wstrzymałem oddech. Już kiedyś byłem tego świadkiem.

Ptak odleciał, a ona zwróciła głowę w moją stronę.

– Ale najpierw jest jedna sprawa... Chcę, żebyśmy poszli tam razem... Do twojego dziecka.

Powędrowaliśmy spacerem w stronę ulicy Store Strandstraede. Do tej rozpadającej się bramy, wydającej z siebie krzyk rozpacz przy każdym najłżejszym dotknięciu. Podwórze nie było pod żadnym względem bardziej zapraszające niż zazwyczaj. Budynek wznosił się wokół nas niczym dekoracja teatralna. Rudera. Gdzie ludzie potrzebujący dachu nad głową wysilili całą swoją wiedzę i zmyślność, żeby rozbudować, dobudować i znaleźć miejsce, w którym można jeszcze przybić choćby jedną deskę. Powiększyć wzdłuż i szerz. Wszystko sprawiało wrażenie, jakby miało zwalić się na nas przy pierwszym oddechu. Pomysłowy system schodów – z poręczami i bez, z podestami, werandami i galeryjkami. Wszystko opierało się o siebie nawzajem w czymś w rodzaju niezbędnej do życia symbiozy. Dawało złudzenie domku z kart. Który zawali się natychmiast po wyciągnięciu choćby jednej deski.

Sznurki do bielizny porozwieszane były we wszystkich kierunkach pomiędzy zewnętrznymi galeryjkami, pokazując nam szarawe, zniszczone prześcieradła i wstydlive części garderoby, dyskretnie ukryte pod spódnicami i poszwami poduszkowymi. Światło grało w krzywych szybach okiennych, nadając barwę dźwiękom. Prywatne życie ludzi napadło na nas z wielu otwartych

okien. Grą kolorów i cieni światło, na miarę swoich możliwości, starało się zdjąć z tego miejsca piętno biedy. Ale i tak miało się wrażenie, że patrzy się na świat przez odłamek kolorowego szkła.

Wielki, nachalny kot zaczął owijać się wokół nóg Diny. Poczułem zażenowanie. Tak jakby wszystko tu w środku było moje. Jakbym odpowiadał za wszelki brud i rozpad. W kącie stały kosze, pudła i skrzynie pełne niewywożonych od wielu dni śmieci i złomu.

Kiedyś myślałem, że ta kamienica ciężka jest od pożądania.

Karna!

Przed mieszkaniem w suterenie, gdzie mrówki pełzały po framudze drzwi, babka najwyraźniej próbowała dodać jakąś ozdobę, wieszając skrzynkę, wypełnioną po brzegi czerwonym geranium. Obdrapana konstrukcja zwisała jakby na przekór na dwóch krzywych kołkach pod jedynym oknem sutereny.

Już pukając, zacząłem tęsknić za opuszczeniem tego miejsca. Żałowałem, że uległem i zabrałem tutaj Dinę.

Staliśmy przy łóżku Karny, a ja patrzyłem na półnagie, drobne stworzenie. Dina wyciągnęła rękę do małej piastki ukrytej w powijakach. Babka opowiedziała pośpiesznie historię całego nieszczęścia. Leżałem na szafocie. Topór właśnie opadał. Już słyszałem przeciągły gwizd rozwścieczonego żelaza.

– Ile ona ma? – zapytała Dina, patrząc na babkę Karny.

– Właśnie skończyła dwa miesiące – odpowiedziałem.

Spojrzały na mnie obie. Mogły sobie patrzeć. Człowiek pamięta pewne daty.

Mogłem dopuścić myśl, że Dina nagle straci panowanie nad

sobą, tak jak zdarzyło się wcześniej tego dnia, kiedy siedzieliśmy na podłodze. Mogłem nawet wyobrazić sobie, że porwie dzieciaka z łóżka i oświadczy, iż zabiera go ze sobą. Że chce dać jej dom. Bo w ten sposób dokonałaby ofiary, która wyzwoliłaby nas oboje. Życie za życie. Leo za dziecko. Wiedziałem, że kobiety robią takie rzeczy.

Ale nic takiego nie uczyniła.

Dziecko obudziło się i wymachiwało rączkami w powietrzu, aż znalazło podany jej przeze mnie palec. Jak zwierzę widzące tylko w nocy, używające instynktu i czułek, jeśli dzień nadejdzie zbyt nagle. Schwyciła i trzymała mocno, wpatrując się we mnie szeroko otwartymi oczami.

Od dawna jej nie widziałem. Ale teraz ją dostrzegłem: jedno oko miała piwne, a drugie niebieskie!

*

I zobaczyłem Tomasza. Szedł ku mnie przez pola w Reinsnes. Przepisnął się mozolnie przez geranium babki i wszedł oknem. Kroczył ociężale przez izbę, a w bruzdach na twarzy miał zapiekły brud. Przez ramiona przełożone miał drągi. Niósł je z trudem. Jego głowa była pochylona aż do podłogi. Z rozpaczą próbował spojrzeć na mnie spod rudych, kręconych włosów. Lekko przyprószonych siwizną przy skroniach. Najwidoczniej chciał mi coś powiedzieć. Ale rezygnował. Raz za razem. Sztapel drągów zaczął się przechylać i za każdym razem, kiedy Tomasz prostował się, aby pokazać mi swoją twarz, coś spadało. Był żywy. Straszliwie żywy. Pot i ziemia. Nie patrzył na Dinę. Patrzył na mnie. Chciał mi coś powiedzieć, ale nie był w stanie.

Miałem sześć, może siedem lat. Szedłem za Tomaszem ścieżką

przez ugory. Drogą do letniej obory. Dojrzałe jagody wydzielały słodki zapach. Tam zawsze były takie ogromne jagody. Powiedziano mi, że to dlatego, że zwierzęta tu się załatwiały. Niebieskie grona zwisały z gałązek wzdłuż ścieżki. Na małych pagórkach. Błyszczące od rosy lub deszczu. Albo ukryte w cieniu, wielkie i matowe. Bóg wybrał akurat je, dając im aksamitne powłoki. Idąc, nanizalem je na źdźbło trawy. Zapach dawał poczucie bezpieczeństwa. Nawet radość nie była potrzebna. Wystarczyło bezpieczeństwo. Plecy Tomasza rzucały potężny cień, w którym mogłem się schować. Między jego łydkami migotało światło. Rytmicznymi zrywami. Z boku na bok. Zawsze w drodze ku nowym dniom.

Zapachy tworzyły dzień. Dzień był jagodami przy zarośniętych ścieżkach. Dzień nadchodził od morza, kiedy brodziłem przy kamienistej plaży, czując słony wiatr łaskoczący mnie w nozdrza. Dzień zastygał w ciszy, kiedy wślizgiwałem się przez zewnętrzne schody, gdzie ciężki zapach siana unosił się wokół pełnego sąsiedka.

Stałem przy łóżku Karny, a w głowie miałem myśl: co ja, Benjamin Grøneltv, robię tutaj, przy ulicy Store Strandstraede?

Mój umysł zarejestrował obraz tego prostego pytania, a woń niemowlęcia zrobiła się straszliwie wyraźna.

Byłem w samym środku tego wszystkiego. A moje życie stało się małe i oczywiste.

*

Babka przyjęła Dinę, jakby do jej domu zawitała królowa. Wyciągnęła portwajn i poczęstowała nim nas w małych kieliszkach z rzeźbionym brzegiem.

Zapewne również poczuła nadzieję. Że Dina zabierze biedactwo

ze sobą. Z delikatnymi, nerwowymi wypiekami na policzkach opowiadała, jak wychowała swoje wnuki od czasu, gdy były zupełnie maleńkimi sierotami. O sobie mówiła tak, jakby już umarła ze starości. Wplatała w to drobne oczywistości na temat tego, że świat jest ciężki dla ludzi niemających pieniędzy albo zdrowia, żeby zająć się rodziną.

– Już teraz dobrze znosi rozwodnione mleko – zapewniła. – I jest zdrowa jak ryba! – dodała. A w chwilę później:

– Tak szybko rośnie... potrzebuje trochę ubrań... nie wiem, co robić... dobrzy ludzie nie rosną na drzewach... biedactwo, straciła wszystkie włoski... miała czarne i kręcone jak u aniołka, jak się urodziła... jak wyszywanka na główce... gdyby pani tylko widziała... to było niepojęte... biedna Karna... niepojęte...

– Czy jest podobna do Karny? – zapytała Dina.

Babka szybko podeszła do komody i wróciła ze zdjęciem Karny. Karna uśmiechała się zza szkła. To było mylące. Na twarzy Karny tak rzadko gościł uśmiech.

– Jak będzie miała na imię? – zapytała Dina, patrząc uważnie na fotografię.

Powietrze było gęste i czułem, że długo nie wytrzymam. A jednak trwałem.

Dina nie wystąpiła w roli zbawcy. Stała tam z tym towarzyszącym jej zawsze chłodnym dystansem, skrywającym ją jak niewidzialna powłoka. Była obecna, przepełniona czymś na kształt powściągliwej wrażliwości. A jednak stała z dala. Moje marzenia o matce pełnej żalu, gotowej do odbycia pokuty leżały rozbite w proch i pył. Była kobietą, która przypadkiem pochyliła się

nad łóżkiem Karny, wyjęła zeń maleństwo i złożyła je w moich ramionach. Powoli.

– Zrobiła w pieluchę – powiedziała babka Karny takim głosem, jakby to była moja wina, bo akurat przypadkiem trzymałem ją na rękach.

*

Wtedy się roześmiałem. Stałem z cuchnącym dzieciakiem na rękach, nie mając pojęcia, co powinienem z nią zrobić. Ale śmiałem się. Już podjąłem decyzję. To było szaleństwo! I prawdopodobnie pierwszy wybór, jakiego kiedykolwiek dokonałem w życiu.

*

Wróciliśmy na Bredgade i staliśmy teraz przy drzwiach, gotowi do odjazdu na stację. Dina z torbą podróżną, a ja z jej walizką. Wtedy wolną ręką chwyciłem futerał z wiolonczelą i zawołałem:

– Zabierz ze sobą wiolonczelę, Dino!

Wpatrywała się w nią.

– Nie! – powiedziała.

– Ależ tak! Ja zabiorę małą Karnę i księgę Hjertrud. A ty weźmiesz wiolonczelę! I będziemy kwita.

Dorożka mająca nas zawieźć na dworzec wtoczyła się na podwórze. Z wahaniem wzięła futerał z wiolonczelą.

– Cóż, dobrze. Niech Bóg cię błogosławi, Beniaminie! Jesteśmy kwita! – rzekła, szybko odwracając się do mnie plecami.

*

Wszystko było takie kruche. Kiedy jechaliśmy, siedziała z

wiolonczelą między kolanami, wpatrując się w dachy domów. Przypomniałem sobie samotną łanię renifera z cielakiem, która pewnej wiosny podeszła pod Reinsnes. Był taki głęboki śnieg. Wędrowała wzdłuż brzegu lasu, szukając porostów. Nieufna. Szybka. Wiecznie w drodze. Uciekająca od wszelkiego zagrożenia? Od ludzi?

Pomogłem jej wysiąść z dorożki i wejść przez łukowato sklepione odrzwia do hali dworcowej. Konstrukcja dachu tworzyła nad nami kokon. W perspektywie daleko przed nami przez półokrągły wylot tunelu wjeżdżały i wyjeżdżały pociągi. Ruszały stąd wprost w groźne niebo.

Dźwięki: nawoływania, gwizdy lokomotyw, skrzynie ciągnięte dookoła. Wszystko mieszało się w bezcelowy hałas z innego globu. Kiedy zapiszczał gwizdek, a pociąg powoli ruszył, przekrzykując hałas i próbując pochwycić przez okno moje dłonie, zawołała:

– Niech Bóg cię błogosławi, Beniaminie!

I zniknęła.

*

Zobaczyłem ją. Siedziała gdzieś pod wysokim, szarym mostem, grając na wiolonczeli, a świat rozpadał się wokół niej. Podniosła głowę i przemówiła do mnie.

– Beniaminie, możesz mnie oceniać, jeśli chcesz. Surowo, jeśli taka twoja wola. Tak już jest. Miłość jest smutkiem. Dzięki temu nauczyłam się wszystkiego, co umiem. Muzyki...

– Ale ludzie, Dino? A ja?

– Niosę cię w sobie.

Pochyliła się do przodu, skrywając twarz. Jej ruchy były lekkie i swobodne. Ramiona miękkie. Palce i nadgarstki stanowiły przedłużenie strun. Tony wybiegały z instrumentu.

– Smutek będzie twoim instrumentem. Używaj go! Został ci dany, żebyś zobaczył, kim jesteś!

Niebo się przejaśniło. Światło zabarwiło most na czerwono. Zamknąłem oczy. Poczułem zmęczenie.

– Koncert wiolonczelowy Haydna, Beniaminie. Czy orkiestra z tyłu jest wielka, czy też skromna, muszę zagrać wszystko! Za wszelką cenę!

Była teraz tak blisko przy mnie. Szerokie rękawy sukni lekko szeleściły. Tkanina delikatnie zsuwała jej się z ramion, gdy poruszała smyczkiem. Czyniła ją na przemian nagą i ubraną.

Wiolonczela wzięła w posiadanie kolana Diny. Tuliłem się do jej nóg. Przyłożyłem policzek do materiału sukni i poczułem, jak muzyka zagnieżdża się w jej ciele i kościach. We mnie. Teraz była moja.

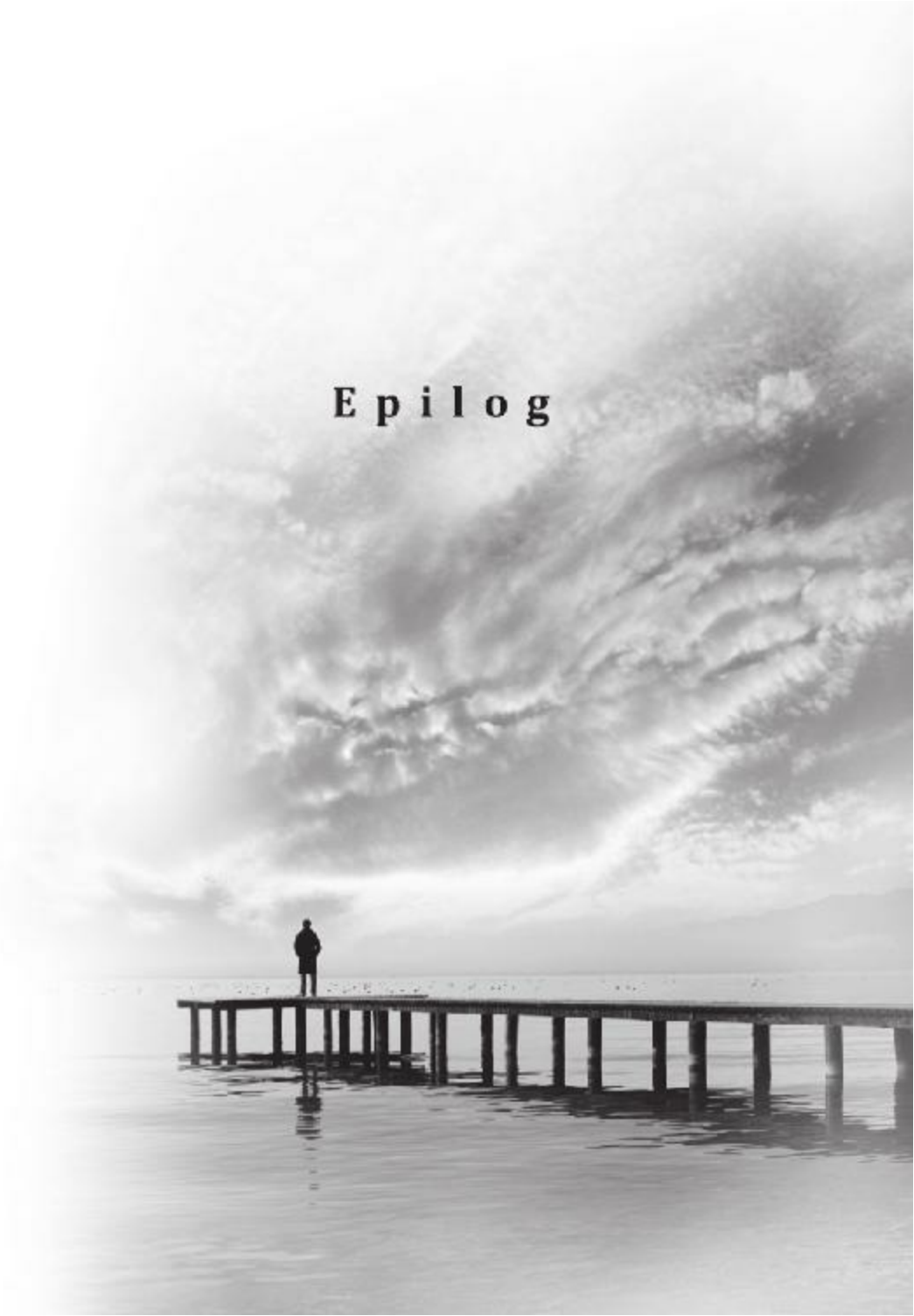
Pomyślałem, że powie w tej chwili, iż Beniamin jest już zbyt duży, aby tulić się do nóg swojej matki. Ale pozwoliła mi na to. Zajęta sobą. Nadstawiała ucha do środka, wsłuchując się w swoje własne tony.

Wtedy zagrzmiała orkiestra. Nie wiedziałem, że w ogóle tam jest. W mojej własnej głowie. Poczułem, jak pękają mi bębunki. Krew ciekła mi z uszu. Krople spadały na nas oboje w takt muzyki. Ból łagodził wszystko.

Potem się skończyło.

Zwolnięm uścisk.

Epilog



KIEDY WRACAŁEŚ DO DOMU Z GÓRY MORIA, NIE
POTRZEBOWAŁEŚ JUŻ PIEŚNI POCHWALNEJ, KTÓRA
BY POCIESZAŁA CIĘ PO RZECZACH STRACONYCH;
WYGRAŁEŚ BOWIEM WSZYSTKO I ZACHOWAŁEŚ
IZAAKA, CZYŻ NIE TAK BYŁO?

(Johannes de Silentio)^[17]

Stałem pod potężnym łukiem hali, wpatrując się w znikające
wagony. Niebo widoczne w oddali było niczym szary, ołowiany
półksiężyc. Połknął zarówno ją, jak i plującego dymem węża, który
pełen dzikiej siły wyskoczył z mojego mało znaczącego życia.

*

Kiedy w końcu się odwróciłem, zobaczyłem Aksela stojącego
kilka kroków za mną i przyglądającego mi się z dzikim wyrazem
twarzy.

- A więc? – zapytałem.
- Nie chciała, żebym tutaj przychodził.
- Nie?
- Chciała pożegnać się z tobą sam na sam.

Nie odpowiedziałem. Ruszyłem w stronę wyjścia. Szedł obok.
Chyba odczuwałem dla niego współczucie. Albo dla siebie.
Wiedziałem, co kryje się za ludzkimi wypowiedziami w rodzaju:
„Nie chciała, żebym tutaj przychodził”.

Później, kiedy siedzieliśmy już nad kuflami w piwniczce przy
Vestergade, rzucił gdzieś w powietrze:

– To chyba koniec... zabawy.

– Tak – odparłem tylko.

– Też zamierzam wyjechać – powiedział.

– Do domu?

– Do Berlina.

Coś spadło z półki w mojej głowie.

– Nie! – rzekłem ostro.

– Tak!

– Nie możesz tego zrobić! – powiedziałem zdecydowanie.

– Jeszcze ci pokażę, co mogę!

– To może cię kosztować...

– Mogę tam być dwa razy dłużej sam, niż gdybyśmy pojechali we dwóch – za otrzymaną pożyczkę. Ale znajdę sobie jakąś robotę.

Wyciągnąłem rękę, chwytając go.

– Nie, nie o to mi chodzi! Nie w tym sensie! Mam na myśli – nie chodzi mi o pieniądze!

Śmiał mi się prosto w oczy.

Musiałem go od tego odwieść.

– Ona jest niebezpieczna! – stwierdziłem idiotycznie.

– Do cholery, oczywiście, że jest niebezpieczna! – powiedział w zagubieniu.

– Nie godzi się nigdy... z opuszczeniem.

Spojrzał na mnie z zaciekawieniem. Potem to wypowiedział.

– Sądziłem zawsze, że to ty nie godzisz się z opuszczeniem? – zaryzykował.

– To prawda. Ale to ona jest niebezpieczna.

Musiałem to powiedzieć? Uratować go od wyjazdu do Berlina, gdzie stałby się złamanym paznokciem? Powinienem zapewne rzec: Ona zabija takich jak ty, chcących tylko nauczyć się i zabawić!

– Ona nie ma takiego samego poczucia dobra i zła jak twoja pastorska rodzina, Aksel... Rozumiesz...?

– Gdyby miała, nigdy nie chciałbym poznać jej bliżej! – wykrzyknął z zadowoleniem.

Wciągnąłem oddech. Dużo powietrza. Potrzebowałem całego orkanu.

– On był większy od ciebie, dużo starszy i mądrzejszy – wydyszałem.

– Kto?

– Rosjanin.

– Rosjanin?

– Mężczyzna, którego zastrzeliła! Nie pojął, że ona nie jest w stanie znieść opuszczenia!

A więc stało się! Zastawiłem na nią pułapkę. U Aksela. Zapewne przez chwilę jeszcze miała pozostać dobrze ukryta pod gęstą, zieloną murawą. Aż będzie dla niej za późno na ratunek. Pewnego razu, gdy księżyc będzie tańczył nad dachami domów w Berlinie, wpadnie do niej. I już spadając, pojmie: To dzieło Beniamina.

Przede mną siedział jasnowłosy, potężny mężczyzna z szeroko otwartymi oczami, wodząc nerwowo językiem po wargach. Długo. A potem powiedział zaciekle:

– Wymyślasz to wszystko, Beniaminie, żebym trzymał się od niej z dala!

Zwróciłem uwagę, że nie jest w stanie użyć słów „twoja matka”, wolał mówić „ona”. Też bym tak zrobił, pomyślałem i odrzekłem:

– Nie, przeciwnie. Od czasu, gdy miałem jedenaście lat, robiłem, co w mojej mocy, żeby nikomu tego nie powiedzieć.

Widziałem po nim, jak próbuje wyobrazić sobie konsekwencje moich słów. Ale one mu umykały.

– Niech się dzieje, co chce! Jadę do niej! – powiedział zdecydowanie.

– Było mnóstwo krwi. Tyle, co wokół Karny. Ale tam chodziło o głowę. Leżał we wrzosach. Stałem i patrzyłem na niego. Był taki piękny, jesienny dzień. Słońce – powiedziałem rzeczowym tonem.

– Przestań!

– Dobrze – zgodziłem się.

Zapadła cisza.

– Chyba znałem ją przez całe życie. Nie tylko przez te kilka dni... Wiesz o tym? – rzekł spokojnie. Z tego jasnowłosego mężczyzny promieniowała jakaś pokora.

– Czy ona..? Czy ktoś o tym wie? – dodał.

– Ty i ja.

Siedział w milczeniu.

– Nie powinieneś był tego mówić! – rzekł w końcu.

– Nie.

– Nie mogę tak po prostu pozwolić jej zniknąć. Nie odstraszysz mnie! Słyszysz! – powiedział z nieco mniejszą pokorą.

– Ale przynajmniej próbowałem!

Odchylił do tyłu swoją lwią głowę i siorbnął piankę z dna kufla.

– Nie jedź! – poprosiłem.

– Nie bądź dziecinny – odrzekł.

– Znasz ją dopiero kilka dni!

– Czekałem na nią całe życie!

– To ty jesteś dziecinny! Czyż sam tego nie słyszysz? – powiedziałem ostrożnie.

– Nawet jeśli, to wyłącznie moja sprawa – odparł ze złością.

– Nie jedź! – błagałem.

– Nie mogę nie jechać!

– To szaleństwo!

– Więc pozwól mi przeżyć szaleństwo! – rzucił w moją stronę. – Oszczędź mi swoich morałów i kazań! Słyszysz! Akurat ty się, do cholery, nie odzywaj!

– A Anna?

– Właśnie! Napisałem do niej list z życzeniami wszystkiego dobrego, cokolwiek zrobi.

– Jak ładnie z twojej strony – rzekłem cierpko.

– Tak uważasz? – odparł równie kwaśno.

Siedzieliśmy tak jak dwaj zmęczeni tragarze portowi po zakończonej zmianie. Ze zwieszonymi ramionami.

– Jest coś, co muszę ci zdradzić. Możesz za to rozmazać mnie po ścianie. I tak muszę to wypowiedzieć.

– Tak, wyobrażam sobie.

Usiłował zdobyć się na jeden ze swoich szyderczych uśmiechów. Nie udało mu się.

– Chodzi o Annę.

– Wiem o tym – odrzekł.

– O czym?

– W moim pokoju. W Valkendorfie.

– Opowiedziała ci to?

– Nie, nie musiała. Moje wypalone do połowy cygara i grzebień z jej włosów mówiły same za siebie.

Na chwilę zapadło milczenie.

– Na wzgórzu Dyrehavsbakken udawałeś, że o niczym nie wiesz? – powiedziałem.

– Czyżby?

– No jak cholera! – wybuchnąłem.

– Jak było? – zapytał.

Poczułem, że twarz mi się zagotowała.

– Jaka była? Anna? – nie poddawał się.

– Nie mogę z tobą o tym rozmawiać – odparłem niewyraźnie.

– To zrozumiało. Kelner! Poprosimy jeszcze po jednym!

Uznałem, że najlepiej nie wtrącać się do rozmowy, dopóki nie będzie to konieczne.

– Zabierasz Annę ze sobą? – zapytał, zanurzając wąsy w świeżej pianie.

– Nie. Dzieciaka!

Zmarszczył czoło i szeroko otworzył usta.

– Zamknijże się, człowieku!

A w chwilę potem wymamrotał pod nosem, jak gdyby sam do siebie:

– Jak to sobie wyobrażasz? Dzieciaka? Co z nim zrobisz?

– Proszę cię... Bardzo cię proszę – wydusiłem.

– Dobrze.

Do środka wkroczyła grupka hałaśliwych tragarzy portowych. Dostali wypłatę i świat należał do nich.

Postanowiłem, że pozwolę mu swobodnie żeglować dalej. Skinąłem głową.

– Ach, tak. Będzie mi ciebie brakowało – powiedziałem sentymentalnie. Głosem pokrytym rdzą i przepelnionym zaschlą krwią. Najwyraźniej leżał przez wiele lat pod tłustą ziemią na polach bitwy pod Dybbøl. Teraz został wykopany. Nie brzmiał szczególnie bohatersko.

Skinął głową. Jego twarz urosła przez ostatnią dobę. Była taka

ogromna.

– Pamiętam, kiedy pierwszy raz cię spotkałem... Miałeś taki apetyt na surowe jajka...

Dotknąłem własnej twarzy. Była mokra. Cały ten zmysłny ludzki system kloaczny. To sprytne oczyszczanie, inicjowane przez obieg krwi. Puls tętniący w dniach studenckich. Pieśń pod koronami drzew na podwórzu Regensen. Wszystkie grzeszne noce. Tamta u Madame przy Peder Madsens Gang. I to popołudnie, w które zdradziłem go w jego własnym łóżku. Teraz się rozliczył. Byliśmy kwita.

To wszystko, czego nie byliśmy w stanie dać. Musiałem to powstrzymać. Teraz! Dlatego powiedziałem:

– Było wesoło. Bardzo wesoło!

– Tak, zabawa się skończyła – wymamrotał.

Po pewnym czasie dodał:

– Jesteś do niej podobny. Ale ona jest piękniejsza.

Kiedy posłałem pięść w jego stronę, uderzając go w nos, usłyszałem, jak trzaska mu chrząstka. Przez chwilę mrugał oczami, a potem mi oddał. Mocno.

Po kilku sekundach siedziałem z rękami pełnymi krwi lecącej mi z nosa. To było dobre uczucie. Patrzyliśmy na siebie szyderczo. Wiedziałem, że przez resztę życia będę czuł cios jego kamiennej pięści.

*

Piętnastego sierpnia na kalendarzu runicznym Matki Karen

widniał napis: „Dzisiaj soki drzew powracają do korzeni”.

Anders stał w biurze składziku, myśląc o tym, że lato dobrze się trzyma. Pobłogosławiło ludzi wschodnim wiatrem i słońcem. Właśnie wrócił z Bergen i jakaś jego część jeszcze unosiła się między morzem a niebem.

Miał na sobie rozpiętą pod szyją koszulę i kamizelkę.

Zaaferowana Hanna wpadła przez otwarte drzwi. Od dawna już była nieocenioną pomocą w sklepiku. Teraz weszła bardzo szybko i wetknęła mu do ręki telegram.

– Właśnie przyniósł go posłaniec – rzekła i już jej nie było.

Anders podniósł się z krzesła, trzymając złożony papier przed sobą. Zmrużył oczy. Potem rozerwał go i zaczął czytać. Ponownie zmrużył oczy. Litery rozpływały mu się przed oczami. Odsunął kartkę nieco dalej, potem jak najdalej. Kilkakrotnie. Później poddał się i wyjął szkła, jak je nazywał. Następnie otworzył telegram i uroczyście odczytał:

„Wyślij mi jakąś kobietę na spotkanie. Moja mała osierocona córka i ja potrzebujemy pomocy. Przybywam do Bergen siódmego września, jeśli Bóg i pogoda pozwolą. Zamieszkam tam, gdzie zawsze. Wszystko w porządku! Benjamin”.

Anders z elegancją usiadł ponownie na krześle. Odsunął się nieco od blatu starego biurka, żeby zyskać na czasie. Poukładał wszystko metodycznie na miejscu. Włożył okulary do etui. Skrzyżował nogi. Przeczesał białą grzywę wolną dłonią, którą potem spokojnie złożył na kolanach. Nagle jednak zaśmiał się głośno, w chłopięcy sposób, wystawiając do przodu masywny podbródek. Potem wstał i poszedł do sklepiku. Stanął tam na

środku na szeroko rozstawionych nogach i przez chwilę odczytywał telegram.

Subiekt oprószony białą chmurą stał pochylony nad szufladą z mąką, z blaszaną łyżką w dłoni gotową do dzieła. Hanna zastygła z nożycami krawieckimi w ręce. Zamierzała właśnie uciąć pięć metrów płótna dla kobiety z jednej z wysp. Nożyce upadły. Przecięły słup popołudniowego słońca.

Wtedy Anders zakrzyknął tym samym głosem, którego zawsze używał, kiedy obwieszczał gotowość do zarzucenia sieci na śledzia. Radosnym, spokojnym i skupionym:

– Niech Bóg się zlituje nad moją grzeszną duszą, jakie my mamy szczęście z tym całym telegrafem! Gdzie jest kobieta, która popłynie pierwszym parowcem do Bergen?

*

Karno! Opowiem ci o Matce Karen. O tym, jak jej zapach wszędzie mi towarzyszył. O jej szkle powiększającym. Nadal je mam. Nie musi być moją babką. Wystarczy, żebym mógł zabrać ją i nieść ze sobą dalej. Spakowałem już nasze skrzynie z książkami. Pojadą do Reinsnes.

Dziwne, że wiem tak mało. Nie wiem nic o miłości. Słyszysz? To chyba w tym właśnie tkwi problem ze mną. Być może zauważyłaś to już w chwili swoich narodzin? Karno!

Zabieram cię ze sobą. Niosę cię. Czy to możliwe, Karno, jak sądzisz? Że to nie jest żadna cholerna ofiara? Tylko ratunek dla mnie samego?

Czy sądzisz, że to prawda, iż na wszystko przychodzi czas?

Jak to możliwe, żeby tak szybko zapomnieć, Karno? Z czego jesteśmy stworzeni, że o wszystkim zapominamy? Szpital polowy? Ciała. Pola bitwy. Opatrywaliśmy kikuty. Albo patrzyliśmy, jak się wykrwawiają. Czyżby nic to ze mną nie zrobiło. Karno! Czy zbliżyło nas to choćby o włos do miłości? Jeśli nie: po co to wszystko było? Czy widziałaś czaszkę pełną starych gazet?

Nie chcę nigdy zapomnieć twoich narodzin. Ale być może już zapomniałem. Bo były tak okrutne. Tak piękne. Czerwona rzeka płynąca za twoją sprawą spowodowała, że zapomniałem o tobie. Bałem się tak bardzo, że zapomniałem o tobie, Karno. Czy jesteś w stanie to zrozumieć? Nawet smutek przyczynił się do tego, że o tobie zapomniałem. Bo musiałem przejść przez to sam. Czy sądzisz, że dam radę pamiętać o tobie, brnąc przez to wszystko? Żebym mógł opowiedzieć ci o włosach twojej matki. Że miała dziurawy but. I że jej parasol był zniszczony.

Czy myślisz, że kiedykolwiek będę potrafił opowiedzieć ci o tym, jak bardzo zawiodłem? Nie sądzę, abym dał radę. Chyba poddałem się, zanim podjąłem próbę. Czy jesteś w stanie zrozumieć, że można być takim tchórzem? A mimo to wiem, że nie jestem zły. Nie jestem zły. Słyszysz! Ale człowiek tak szybko zapomina.

Dlatego nic nie wiem o miłości. Przeczuwałem ją tylko. W żelazie i krwi w każdym śladzie stóp. Wiem o tym. A jednak zapominam.

Wolałbym uniknąć całego tego kłopotu z tobą. Już kilka razy o tobie zapomniałem. Zapomniałem z powodu smutku. Zapomniałem z powodu radości. Zapomniałem, bo nie byłem zdolny znieść myśli, że zabiłem twoją matkę. Niosę was ze sobą.

Kiedy podaję ci rękę, chwytasz ją mocno.

Jeszcze nie pytasz mnie, kim jestem.

Czy myślisz, że w dniu, w którym spytasz, zapomnę wszystko?

[17] Søren Kierkegaard, *Bojaźń i drżenie*, s. 42.

Syn szczęścia

Spis treści

Okładka

Karta tytułowa

Dedykacja

Motto

Prolog

Księga I

Rozdział pierwszy

Rozdział drugi

Rozdział trzeci

Rozdział czwarty

Rozdział piąty

Rozdział szósty

Rozdział siódmy

Rozdział ósmy

Rozdział dziewiąty

Rozdział dziesiąty

Rozdział jedenasty

Rozdział dwunasty

Rozdział trzynasty

Rozdział czternasty

Rozdział piętnasty

Księga II

Rozdział pierwszy

Rozdział drugi

Rozdział trzeci

Rozdział czwarty

Rozdział piąty

Rozdział szósty

Rozdział siódmy

Księga III

Rozdział pierwszy

Rozdział drugi

Rozdział trzeci

Rozdział czwarty

Rozdział piąty

Rozdział szósty

Rozdział siódmy

Rozdział ósmy

Rozdział dziewiąty

Rozdział dziesiąty

Rozdział jedenasty

Rozdział dwunasty

Rozdział trzynasty

Rozdział czternasty

Rozdział piętnasty

Rozdział szesnasty

Rozdział siedemnasty

Rozdział osiemnasty

Rozdział dziewiętnasty

Rozdział dwudziesty

Rozdział dwudziesty pierwszy

Rozdział dwudziesty drugi

Rozdział dwudziesty trzeci

Rozdział dwudziesty czwarty

Epilog

Karta redakcyjna

Tytuł oryginału: *Lykkens Sønn*

Copyright © 1992 Gyldendal Norsk Forlag AS

All rights reserved.

Copyright © 2016 for the Polish edition by Smak Słowa

Copyright © for the Polish translation by Ewa M. Bilińska

This translation has been published with the financial support of

NORLA  NORLA
NORWEGIAN LITERATURE ABROAD

Wszystkie prawa zastrzeżone.

Książka ani żadna jej część nie może być publikowana ani powielana w formie elektronicznej oraz mechanicznej bez zgody wydawcy.

Edytor: Anna Świtajska

Opracowanie redakcyjne: Anna Mackiewicz

Projekt graficzny i skład książki: Agnieszka Karmolińska Wszystkie wiersze zawarte w książce tłumaczyła Karolina Drozdowska

Projekt okładki: Agnieszka Karmolińska

Zdjęcia wykorzystane na okładce:

© AngiePhotos / istockphoto

© Aaron Amat / shutterstock

ISBN 978-83-64846-86-1



Smak Słowa

ul. Sobieskiego 26/4,

81-781 Sopot

Tel. 507-030-045

Szukaj nas także na

facebook



Plik ePub przygotowała firma eLib.pl al. Szucha 8, 00-582 Warszawa

e-mail: kontakt@elib.pl

www.eLib.pl

Nagroda Księgarzy Norweskich przyznawana za najlepszą książkę dekady

Herbjørg Wassmo

Syn szczęścia

Oszłamiająca kontynuacja
kultowej *Księgi Diny*

smak

słowa

